



Agnieszka Glowacka

DŻUNGLA NIENAWIŚCI

Osadzona w egzotycznym Tybecie oraz nowojorskiej aglomeracji opowieść o młodej dziewczynie, Jackie Sand, która, by odnaleźć spokój ducha i poczucie sprawiedliwości, staje się ręką opatrności dla multimilionera Jerry'ego Lovestone'a, człowieka, który przyczynił się do śmierci członków jej rodziny. Podstępem wkłada się w łaski biznesmena i powoli, konsekwentnie odbiera mu wszystko, cokolwiek miał cennego - córkę, małżeństwo, pieniądze, firmę. Za dążenie do sprawiedliwości dziewczyna musi zapłacić wysoką cenę, jaką jest utrata miłości jej ukochanego, ojca jej dziecka. Losy bohaterów wplecione są w świat wielkiego biznesu. Planowana intryga spleta się z przypadkowymi zdarzeniami.

Książka ukazuje odwieczną ideę, że dobro zawsze zwycięża zło, choć by wygrać walkę, nie zawsze samym dobrem należy wojować.

Agnieszka Głowacka ukończyła studia na kierunku zarządzania i marketingu. Przeciwności losu traktuje nie jako porażki, lecz wyzwania do pokonania. Pełna optymizmu, a jednocześnie twarda, silna i konsekwentna w dążeniu do celu, stawia czoła najgorszym wyzwaniom losu. Szczęśliwa żona i matka.

W bohaterach swoich powieści pozostawia część siebie samej.

PATRONI

książki
magazyn

PORTAL
KSIĘGARŃSKI
www.kniazka.net.pl

PLATON
DYSTRYBUCJA KSIĄZEK

cena 24,00 zł

ISBN 83-60186-25-1



księgarnia internetowa
www.ksiegarnia.branta.com.pl
e-mail: oficyna@branta.com.pl

Wydawnictwo **Branta**



Agnieszka Głowacka

DŻUNGLA NIENAWIŚCI


Oficyna
Wydawnicza **Branża**
BYDGOSZCZ 2006

Redakcja i korekta:

Magdalena Geraga

Redakcja techniczna:

Czesław Rygielski

Projekt okładki:

Zdzisław Ptak

© Copyright by Agnieszka Głowacka Bydgoszcz 2006

© Copyright by Oficyna Wydawnicza BRANTA Bydgoszcz 2006

ISBN 83-60186-27-8

Oficyna Wydawnicza BRANTA - *Rok założenia 1990*

85-959 Bydgoszcz,

ul. Królowej Jadwigi 18

tel./fax (052) 322 89 19, (052) 322 75 34

www.ksiegarnia.branta.com.pl

e-mail: oficyna@branta.com.pl

Wydanie I

Druk ukończono w lipcu 2006 r.

Ark, druk. 25,5

Skład i łamanie:

AKAPIT - Bydgoszcz

Druk i oprawa:

OPOLGRAF SA

45-085 Opole,

ul. Niedziałkowskiego 8-12

tel. 77/ 45 45 244, fax 771 44 45 313

Rozdział I

Słońce tego dnia właśnie budziło się ze snu, wynurzając się zza szerokiego horyzontu. Nieliczne drzewa rododendronów rzucały długie cienie na falujące wrzosa. Śnieg lśnił na zboczach gór. Nad Tybetem wstawał nowy dzień.

Nagle ciszę budzącego się poranka przerwał tętent końskich kopyt. Koń nie miał uprząży: z rozchylonymi nozdrzami pędził szybko jak strzała, a jego mięśnie napinały się pod lśniącą czarną skórą. Dziewczyna, najwyżej dwudziestoletnia, wtulona w grzywę olbrzymiego bachmata, jechała z rozwianymi, długimi włosami, a oboje wyglądali, jakby byli jedną istotą. Ona i koń tworzyli jedno.

Dziewczyna na chwilę pochyliła się nad głowę konia, szepcząc mu coś do ucha, a on w odpowiedzi zarżał tylko i jeszcze szybciej pogalopował na południe. Przed nimi w oddali wznosiły się ponad tysiącletnie mury klasztoru Tsu-An.

Dojechawszy do wrót klasztoru, dziewczyna lekko zeskoczyła z konia, podeszła do bramy i zakolała mocno. Po chwili wrota się rozwarły.

- Witaj, Saran. Mistrz Jon-Te czeka na ciebie - powitał ją łysy lama.
- Nie wiesz, Tsumo, po co ojciec mnie wzywa?
- Czekaj, a twa cierpliwość zostanie nagrodzona. - To było wszystko, cały Tsumo. Żadnych zbędnych słów, jak gdyby ta krótka wymiana zdań mogła zakłócić jego wewnętrzny spokój budowany przez lata.

Mnich prowadził ją klasztornym dziedzińcem, na którym wprost ze zbocza góry tryskał odwieczny ogień. Kiedyś, jako dziecko, Saran bała się tego zjawiska, dziś wiedziała, że pod pokrywą skalną znajdują się naturalne zasoby gazu. Mimo to dziewczyna drgnęła lekko i spuściła głowę na znak szacunku dla potężnych sił natury.

Kamiennymi schodami doszli do sali narad. Saran dziwiło, że wszystko dzieje się tak oficjalnie. Dlaczego Jon-Te nie powitał jej na dziedzińcu, jak to zwykle czynił?

- Witaj, córko. - A oto i on, człowiek, którego kochała nad życie. Stał przed nią, stary już, choć w jego wyprostowanej sylwetce zęby czasu nie zdołały zrobić najmniejszej wyrwy.

- Witaj, Mistrzu - odpowiedziała z szacunkiem dziewczyna. - Wezwaleś mnie do siebie, więc jestem, chociaż dziwię się, po co ta cała ceremonia. Czy ma to związek z moimi urodzinami?

Równo dwadzieścia lat temu ciszę i spokój klasztoru Tsu-An zakłócił płacz niemowlęcia. Dziewczynkę, przynajmniej dwumiesięczną, znaleziono u bramy klasztoru i zaopiekowano się nią. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła. Jedynie biała cera i europejskie rysy zdradzały pochodzenie dziecka, a czyste koronkowe ubranko wykonane z najprzedniejszych tkanin świadczyło, że niemowlę nie pochodziło z biedoty.

- Już czas, córko, abyś poznała prawdę - rzekł Mistrz Jon-Te uroczystym tonem. - Pamiętaj jednak, że prawda bywa czasem trudna i bolesna.

- Tak, ojczu. - Powaga starego lamy zmusiła ją do tej krótkiej odpowiedzi, choć na usta cisnęły jej się setki pytań i obojętnie czego miałyby dotyczyć owa prawda, Saran gotowa była czekać choćby wieczność, mimo rozpierającej ją ogromnej ciekawości.

- Wiesz, że byłaś podrzutkiem? - było to raczej stwierdzenie, niż pytanie. - Otóż dowiedz się, że wcale nie bezimiennym. Masz imię, nazwisko, a także ciotkę w Nowym Jorku.

Saran skamieniała.

- Skąd o tym wiesz?!

- Przy twoich ubrankach znaleźliśmy też list - Jon-Te spuścił wzrok.

- I przez dwadzieścia lat milczałeś? Jak mogłeś?! - dziewczyna nie dowierzała własnym uszom. Poczula się nagle jak roślina, którą ktoś wyrwał brutalnie z bezpiecznej ziemi.

- Tak chciała twoja ciotka. A oto list, który powinnaś przeczytać.

Dziewczyna chciwym gestem wyrwała poślisk papier z ręki Jon-Te. Przez moment wydawało się jej, że ręka starego Mistrza jest bardziej żółta niż list. List! Szybko przeczytała równe rzędy liter. Potem przeczytała je jeszcze raz, a z oczu popłynęły jej łzy.

List napisany był przez matkę dziewczyny, dwudziestopięcioletnią Evę Sand, archeologa, do siostry, Helen O'Donnell z Nowego Jorku. Eva błagała siostrę o interwencję w Białym Domu w sprawie przetrzymywania w Nepalu ich ekspedycji naukowej oraz polecała jej opiece swą nowo narodzoną córeczkę, Jackie. Młoda mama chwaliła się siostrze postępami w rozwoju swego maleństwa. Z treści listu wynikało, że nie był to pierwszy tego typu list i że Helen już wcześniej wiedziała o narodzinach siostrzenicy. Dalej była moc pozdrowień, pytania typu co u ciebie i nadzieja na szybkie zobaczenie się.

I adres: Helen O'Donnell, Sunstreet 42, Nowy Jork.

Resztę wyjaśnił Jon-Te.

- Trwały zamieszki - mówił. - Twoi rodzice, przebywający w Nepalu jako naukowa ekspedycja archeologiczna, utknęli w tybetańskiej wiosce Khanata, położonej przy samej granicy Nepalu z Chinami. Pewnej nocy ci biedni ludzie zostali zamordowani. Podejrzanie padło na Chińczyków, do dziś jednak nie jest jasne, kto to zrobił, ani dlaczego. Zostałaś uratowana dzięki opiekującej się tobą Hindusce, która z obawy przed śmiercią bała się tobą zająć, więc podrzuciła cię tutaj. Najwyższym Mistrzem był wtedy Jitsu Lama. - Saran pamiętała tego małego starca z długą, siwą brodą. Zmarł, gdy miała pięć lat. - To on powierzył ciebie mojej opiece - ciągnął Jon-Te. - Otrzymałaś imię Saran, Księżyc, bo twoje oczy były jak księżyc, wiecznie żywy, wiecznie lśniący. Dopiero przed śmiercią Jitsu wyznał mi prawdę o tobie i wierz mi, byłem nie mniej zdumiony niż ty teraz. Powiedział mi wtedy, że odnalazł twoją ciotkę w Nowym Jorku i że rozmawiał z nią telefonicznie o tobie. A ona z jakichś powodów osobistych i zdrowotnych nie mogła cię zabrać. Oboje zdecydowali, że masz dowiedzieć się prawdy dopiero w swoje dwudzieste urodziny, że dopiero teraz możesz do niej pojechać.

- Jon-Te, ojczu, ja nie chcę nigdzie jechać - dziewczyna szlochała cicho. - Tu mi dobrze, wy jesteście moją rodziną. Nie potrzebuje jakiejś ciotki, która przez dwadzieścia lat miała mnie gdzieś.

- Saran - Jon-Te z trudem wypowiadał te słowa - przykro mi, ale musisz pojechać do Nowego Jorku. Nie po to otrzymałaś solidne wykształcenie, aby włączyć się po górach i paść jaki. Skoro w Europie ci się podobało, to i w Ameryce sobie poradzisz. Tam też są góry, lasy, rzeki. Nie możesz tu siedzieć bez końca. Zresztą, wołę Helen O'Donnell musisz wypełnić.

- Nie, Mistrzu - Sarán była zrozpaczona. - Nie chcę jechać.
- Pojedziesz. Ja tego chcę! - Głos Jon-Te nie pozostawiał cienia wątpliwości, że jest inaczej.

Wiecznie roziskrzzone oczy Saran powoli zaszyły mgłą.

- Tak, ojczu.

Hala przylotów na lotnisku La Guardia w Nowym Jorku, i tak zwykle zatłoczona, tego dnia dosłownie pękała w szwach; właśnie przyleciała z Rosji nowojorska drużyna koszykówki po zwycięskim towarzyskim meczu w Moskwie. Na powitanie przyszedł tłumy kibiców. Wykrzykiwali teraz jakieś swoje hasła i slogany, a ich głosy mieszały się nieskładnie, co sprawiało, że z tych okrzyków nic nie można było zrozumieć, a na terminalu panował niesamowity zgiełk. Wreszcie do akcji wkroczyli ochroniarze lotniska. Zaczęto wyprowadzać kibiców, którzy oczywiście nie byli tym zachwyceni, tak więc zamiast okrzyków radości dały się słyszeć złorzeczenia i wyzwiska.

Drużyna koszykówki zakończyła w końcu odprawę celną i opuściła terminal. Zgiełk zaczął cichnąć.

- Przepraszam, nie dosłyszałam - powiedziała młoda kobieta w słonecznych okularkach zatkniętych nad czołem na długie kasztanowe włosy. Ubrana była w białą bluzkę i błękitną minispódniczkę. Buty i torebka, również błękitne, wykonane były z najdelikatniejszej koziej skórki. Całość stroju dopełniały diamentowe kolczyki i taki sam naszyjnik.

- Prosiłam o pani nazwisko - tłusta celniczka przeglądała paszport kobiety. - Trudno pracować w takim hałasie - dodała jakby na usprawiedliwienie.

- Nazywam się Jackie Sand.
- Skąd pani przyjechała?
- Z Katmandu.
- Pani dokumenty są w porządku. Witamy w Stanach.

Wyszędłszy z lotniska, Jackie wzięła taksówkę i kazała się zawieźć do jakiegoś niedrogiego hotelu w północnej części miasta.

Jadąc taksówką, podziwiała ulice Bronksu. Były inne od ulic miast europejskich, które odwiedzała. Wydawały się jej bardziej ruchliwe, sztuczne, nieprzyjazne.

Lubiła ulice Rzymu. Nie dlatego, że były spokojne, że spacerując po nich podziwiała się zabytki, ale ponieważ czuło się na nich oddechy starożytnych ludzi, a nade wszystko przywoływały obraz klasztoru Tsu-An - jej rodzinnego domu.

Rzym był pierwszym miastem europejskim z listy wielu, jakie Jackie zwiedziła w ciągu dwóch lat swojej europejskiej edukacji.

Podstawy wszelkich nauk wyłożył jej Jon-Te. Od dziecka uczył ją języków obcych, nauk ścisłych i humanistycznych.

Gdy miała siedemnaście lat, Jackie została wezwana przed oblicze Jon-Te w jakiejś ważnej sprawie, zupełnie jak ostatnio.

- Wezwałem cię - usłyszała wtedy - bo czas już, abyś przestała być dziką dziewczyną z gór. Na jakiś czas opuścisz swoją chatę w lesie i pojedziesz do Europy. Będziesz się kształcić. Ja już nie nauczę cię niczego nowego. Posiadłaś całą moją wiedzę.

Jak się wkrótce okazało, była to wiedza dość pokaźna, zważywszy, że Jackie z wyróżnieniem ukończyła oxfordzki uniwersytet w niespełna dwa lata, tyle bowiem zajęło jej znalezienie uczelni odpowiadającej jej poziomowi wiedzy oraz zdanie niezbędnych egzaminów i to zarówno tych kwalifikacyjnych, jak i końcowych, gdyż Jon-Te tak ją wyuczył, że nawet Oxford nie mógł wnieść nic więcej w umysł tej zdolnej dziewczyny.

Taksówka dojechała do dzielnicy New Rochelle i zatrzymała się przed niewielkim hotelem Capitol, usytuowanym nad samym brzegiem cieśniny Long Island.

- Chcę wynająć pokój - Jackie zwróciła się do stojącego tyłem recepcjonisty. Mężczyzna któremu dość dawno stuknęła już czterdziestka, szczypliwy i z widniejącą na gęstych włosach siwizną, odwrócił się, a gdy ujrzał dziewczynę, szczeka opadła mu z zachwyty. Tak pięknej kobiety w życiu nie widział.

Stał tak z rozdziawionymi ustami i chyba nawet wybuch bomby nie byłby w stanie wyrwać go z osłupienia.

- Przepraszam pana, czy mógłby pan wynająć mi pokój? - powtórzyła.

- Tak, tak, oczywiście, tak - powtarzał jak nakręcony. - Czego sobie pani życzy?

- Pokój. Takie coś, co ma cztery ściany, podłogę i jest przykryte sufitem.

- Tak, naturalnie. - Recepcjonista wreszcie odzyskał władzę w członkach i drżącymi rękami podał jej książkę meldunkową. - Na jak długo zechce się pani u nas zatrzymać?

- Nie wiem jeszcze.

- Proszę, oto klucz do pokoju. Numer dwieście sześć, na piętrze. Zaprowadzę panią. Czy mam wziąć bagaż?

- Nie mam bagażu. I dziękuję, trafię sama.

Jackie weszła do pokoju, zamknęła drzwi na klucz i rzuciła swój jedyny bagaż - torebkę - na łóżko. Była pewna, że recepcjonista dzwoni teraz do kolegi z nocnej zmiany i opowiada, co mu się właśnie przytrafiło. Podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu. Miała rację - było zajęte.

Wzięła zimny prysznic, jednak nie tak zimny jak himalajskie potoki, potem rzuciła się nago na łóżko i mimo wczesnej pory - zasnęła twardo.

O tej porze w Tybecie był późny wieczór.

Rozdział II

Nicholas Coleman po raz kolejny z niezadowoleniem spojrzął na raport z badań opinii publicznej przepisany przez jego sekretarkę, Loreen. W maszynopisie aż roiło się od błędów ortograficznych. W dodatku nie był dokończony. Nick wezwał sekretarkę przez interkom, a gdy weszła, spojrzął na nią ostro, ona zaś puściła do niego oko.

- Co to ma być, do cholery! - wrzasnął i cisnął raport na biurko.

Kartki rozsunęły się. Niektóre spadły na podłogę.

Sekretarka zbladła.

- Przecież wczoraj mówiłeś, że nic się nie stanie, jeśli nie uda mi się skończyć raportu - próbowała się tłumaczyć - inaczej nie poszłabym z tobą na kolację.

- Loreen, złotko, musisz nauczyć się oddzielać pracę od przyjemności - wycedził przez zęby. - W przeciwnym razie nie masz tu czego szukać. Za godzinę przyjdzie po ten raport sam Jerry Lovestone, a wiesz, że on nie lubi czekać, podobnie zresztą jak ja. Bierz się więc do roboty, a o twoim poczuciu obowiązku porozmawiamy później.

Biedna sekretarka pozbierała prędko kartki i wyszła na miękkich nogach.

No nie, pomyślał Nick, te baby kiedyś mnie zgubią. Jakoś wytłumaczę Jerry'emu opóźnienie, ale Loreen wyleci stąd z hukiem. Jest do niczego.

Dwa miesiące temu poznał ją na jakimś przyjęciu. Była „nowym towarem”, więc należało ją zaliczyć. Lecz wtedy zaliczył tylko policzek z jej wypięgniętej dłoni, kiedy próbował nachalnie ją pocałować. A skoro okazała się taka niedostępna, to wręcz szczytem honoru było zaciągnąć ją do łóżka.

Miesiąc zabiegał o jej względy, a gdy nadal nic nie wychodziło, zaproponował jej pracę w swojej firmie reklamowej. Potrzebował jeszcze miesiąca,

by wreszcie wczoraj, po wytwornej kolacji suto zakrapianej szampanem, znaleźć się z niedostępną Loreen w luksusowym pokoju hotelowym i robić z nią rzeczy, o których marzył od dwóch miesięcy.

W rzeczywistości Loreen okazała się marną kochanką. Nick wziął ją na wszystkie możliwe sposoby, dziwiąc się, gdzie podział się jej wstyd i zażenowanie. Nad ranem wymyślił jakąś wymówkę i wrócił do swego mieszkania na Manhattanie, nie odwiózłszy jej nawet do domu.

- Przyszedł pan Lovestone - z zamyślenia wyrwał go głos sekretarki wydobywający się z interkomu. - Prosić?

- Oczywiście.

Do gabinetu wszedł mężczyzna po pięćdziesiątce, z wydatnym brzuszkiem i łysiejącymi zakolami na czole, ubrany w garnitur za pięć tysięcy dolarów.

- Cześć, stary byku! - rzucił wesoło od drzwi.

- Witaj Jerry - głos Colemana nie wyrażał bynajmniej radości ze spotkania.

- Niezła dupa siedzi tam za drzwiami. - To było o Loreen.

- Tak uważasz? Możesz ją sobie wziąć. U mnie od jutra nie pracuje.

- Żartujesz? Wygląda na niezłą w te klocki.

- Poczekaj, aż dostaniesz swój raport, o ile ta krowa w ogóle kiedyś skończy go przepisywać. - Słowa, wypowiedziane lekko, zawierały napięte oczekiwanie na mającą za chwilę paść odpowiedź. Wszak wszyscy w New York Oil and Company wiedzieli, że życzenia prezesa należy spełniać z wyprzedzeniem, a nie kazać mu na siebie czekać, tak jak teraz.

- To dlatego ją zwalniasz? Nie rób tego, właśnie przyszedłem ci powiedzieć, że nie musisz spieszyć się z tym raportem.

- Nie dlatego. Po prostu przestała mnie interesować, a teraz mam pretekst. Ale powiedz mi, Jerry - Nick wstał, podszedł do barku i nalał dwie szklanki whisky - dlaczego przestało ci się spieszyć z tym badaniem opinii społecznej? Czyżby twoja nowa elektrownia miała powstać niezależnie od okolicznych mieszkańców?

- Mam gdzieś tych sukinsynów. Ile by im człowiek zaproponował, ciągle są nienasytzeni. Powinni się cieszyć, że sprzedają swoje ugory po tak niebotycznych cenach.

- Tak, to prawda - odparł Coleman. - Ale pozostaje jeszcze kwestia ochrony środowiska.

- I tu cię zaskoczę, Nick - biznesmen uśmiechnął się chytrze.
- Otóż, wyobraź sobie, moi fachmani wykalkulowali, że ewentualne odszkodowania za zniszczenie środowiska to kropla w morzu w porównaniu z zyskami, jakie ta elektrownia przyniesie. Ale á propos zysków, nie widziałeś jeszcze mojego nowego nabytku. Ta pierś, ten tyłeczek! Mówię ci, wyborne - rozmarzył się Jerry.
- Ejże - zaśmiał się Coleman - czyżbyś został alfonsem? Niech no Barbara się dowie.
- Mój drogi, akurat co do tej inwestycji moja żona zgadza się ze mną jak nigdy dotąd.
- Więc cóż to za nabytek?
- Ma na imię Abigaile i jest trzyletnią klaczą arabską czystej krwi. Kosztowała mnie okrągły milion i mam nadzieję, że na jesiennych wyścigach pomnoży mi te pieniądze po wielokroć. Musisz ją zobaczyć, Nick. Dopiero wtedy docenisz jej piękno.
- Trzymasz ją na rancho?
- Zgadza się.
- Wobec tego chętnie wybiorę się tam z tobą w przyszły weekend - ucieszył się Coleman, który miał już dość zamknięcia w czterech ścianach biura i przeglądania sloganów reklamowych. Ponadto perspektywa spędzenia kilku dni na rancho Lovestone'a wydawała się rajem w porównaniu z wysłuchiowaniem słodziutkiego głosiku Loreen, na którą, prawdę mówiąc, nie mógł już patrzeć. - Odwiedzę przy okazji moje konie - dodał. - Przez tę dziwkę Loreen wyrzekłem się ich na dwa miesiące.

Rozdział III

Jackie obudziła się ze snu późnym popołudniem. W restauracji na dole zjadła sałatkę z owoców morza. Potem pojechała taksówką na zakupy.

W sklepie Marks and Spencer kupiła kilka bluzek, spódnic, kilka par butów, bieliznę, kostium kąpielowy, džinsy i strój sportowy. Za wszystko płaciła kartą kredytową National Union Banku.

Miesiąc wcześniej Jon-Te założył tam konto na jej nazwisko. Pierwsza wpłata, jakiej dokonał, opiewała na sumę stu tysięcy dolarów.

Jackie zostawiła zakupy w hotelu i wróciła do taksówki.

- Proszę mnie zawieźć na Sunstreet, numer czterdzieści dwa.

Kierowca taksówki ruszył z piskiem opon, zadowolony, że jego szósty zmysł i tym razem go nie zawiódł. Sunstreet była przecież dla Bronksu tym, czym Wall Street dla Manhattanu. Taka piękna i elegancka dziewczyna, na pewno córka jakiegoś dzianego bankiera, w jego taksówce. Do tego ten diamentowy naszyjnik. Taksówkarz zastanawiał się, ile może być wart.

Jechali autostradą w kierunku południowym. Jackie zauważyła, że otoczenie się zmienia. Niknęły posesje prywatne, a ich miejsce zajęły wysokie biurowce. No i dlaczego ciągle jechali na południe? Przecież ciotka mieszka na północy miasta.

- Czy my jedziemy w dobrym kierunku? - zapytała zaniepokojona.

- Oczywiście, proszę pani.

- Pytam, bo powiedziano mi, że Sunstreet znajduje się na północy miasta.

- Jestem taksówkarzem od trzydziestu lat i ani razu nie zabłądziłem w tej dżungli - odparł urażony i jednocześnie zawiedziony, że jednak jego pasażerka nie należy do elity finansowej Bronksu. W końcu, co by taka robiła w jego taksówce?

- Jesteśmy. Oto Sunstreet. - Dumny kierowca pokazał Jackie nazwę ulicy wypisaną wielkimi literami na jednym z budynków.

- Jest pan pewien, że to jedyna ulica o tej nazwie w Nowym Jorku? - Jackie była coraz bardziej zdziwiona.

- Jak najbardziej. A to numer czterdzieści dwa. - Taksówka zajechała na parking przed budynkiem.

- Nic nie rozumiem - szepnęła do siebie Jackie.

Numer czterdzieści dwa okazał się dziesięciopiętrowym biurowcem mieszczącym pocztę, agencje celne i jakąś spółkę przemysłu tytoniowego. Cała ulica zasługiwała raczej na miano „plastikowej” bądź „szklanej”, z całą pewnością zaś nie była ulicą słoneczną, jak wskazywała nazwa. Słońce nawet nie miało tutaj dostępu zza ogromnych wieżowców.

- Według moich informacji miał tu stać dom jednorodzinny - powiedziała dziewczyna do kierowcy.

- Niestety, nic pani nie mogę poradzić. Ale może pani informacje nie były dokładne?

- Zapewniam pana, że były. Zaraz! A stadnina? Musi tu być gdzieś stadnina koni!

- O, jest i to niejedna. Lecz nie na tej ulicy. Tu są firmy i banki. Z pewnością każdy z tych nadzianych prezesów ma własną stadninę, ale niech mi pani wierzy, nikt nie trzyma koni na zapleczu biura.

Nagle Jackie coś zaświtało w głowie.

- Mówi pan, że jest taksówkarzem od trzydziestu lat. A jak tu było kiedyś, piętnaście, dwadzieścia lat temu? Czy te wieżowce też tu wtedy stały?

- Chwilę! Ma pani rację! Dwadzieścia lat temu były tu rzeczywiście domy jednorodzinne. Pamiętam jak dziś, bo kiedyś przywozłem tu jedną rodzinę z Hartford. Przyjechali tu jednego dnia, a na drugi dzień już wszyscy nie żyli. Facet okazał się psychopatą, w nocy odkręcił gaz i otrulł wszystkich, siebie, żonę i troje dzieci. Pomyśli pani tylko, troje dzieci!

- Tak, to rzeczywiście okropne. Więc wychodzi na to, że jednak była to kiedyś ulica zamieszkaana przez zwykłych ludzi. A co się stało z jej mieszkańcami?

- Pewnie sprzedali swoje posesje tym grubym rybom, a za otrzymane pieniądze urządzili się gdzieś indziej.

- Tak, to całkiem prawdopodobne.

- To tłumaczy, dlaczego posadziła mnie pani o zły kierunek jazdy. Przez dwadzieścia lat Nowy Jork znacznie się rozbudował. Północne przedmieścia są teraz wiele mil stąd.

- Cóż, proszę w takim razie jechać z powrotem - Jackie usadowiła się ponownie na tylnym siedzeniu. Był wieczór, niezbyt odpowiednia pora na kontynuację poszukiwań.

Gdy dojechali do hotelu Capitol, dochodziła godzina dziewiąta. Jackie podała taksówkarzowi banknot studolarowy.

- Reszty nie trzeba. Dobranoc.

- Dobranoc paniencie. Dziękuję. - Kierowca już układał w myślach listę zakupów, jakie zrobi jutro żonie za tak nieoczekiwany napiwek.

Biuro detektywistyczne George Davis i Syn, jak głosił szyld nad drzwiami, mieściło się na najwyższym, drugim piętrze budynku, z którego tynk odpadał płatami niczym skorupa jakiegoś zdychającego gada.

Jackie wdrapywała się ostrożnie po stromych schodach, ledwie oświetlonych południowym słońcem przez brudne okienka. Ktoś musiał powykręcać żarówki na klatce schodowej.

Dziewczyna zdjęła z szyi apaszkę i szczelnie owinęła nią głowę. W takich miejscach lubią mieszkać nietoperze.

Drugie piętro. Taki sam szyld na drzwiach.

Zapukała i weszła do pomieszczenia, które w niczym nie przypominało pokoju biurowego, a co najwyżej jakiś składzik na narzędzia. Sterty akt piętrzyły się pod ścianami, które ktoś kiedyś zaczął malować, ale najwidoczniej mu się znudziło i przerwał w połowie, jako że teraz półtorej ściany było mniej brudnoszare od reszty. W kącie pokoju stała drabina malarska. Na jej stopniach również leżały teczki akt. Na podłodze wały się gazety.

- Dzień dobry - odezwała się do około trzydziestoletniego mężczyzny, który wlepił w nią zza stojącego na wprost drzwi biurka wzrok ciekawy, przesywający i... błagalny. Mężczyzna po sekundzie osłupienia zerwał się z krzesła i podszedł do niej. Ubrany był we flanelową koszulę i mocno sprane dżinsy.

- Moje uszanowanie, Clark Davis, do usług. Czym mogę służyć? - wyrzucił to wszystko jednym tchem. - Albo nie, proszę pozwolić mi zgadnąć. W końcu jestem detektywem. Pani się ukrywa. Być może ktoś panią śledzi. Nie chce pani, aby ktokolwiek wiedział, że pani tu przyszła. Albo też...

- Chwileczkę, panie Davis - przerwała mu. - Nie wątpię, że jest pan świetnym detektywem, ale proszę mi powiedzieć, jak pan na to wpadł? - Jackie z trudem utrzymywała powagę.

- No, jak to? przecież... - detektyw urwał i spojrzał wymownie na jej włosy.

Apaszka! Cała głowa Jackie była nadal owinięta apaszką. Dziewczyna wybuchła śmiechem.

- Nie ukrywa się pani? - Davis był najwyraźniej zbity z tropu.

- Ukrywam się, a jakże. Jednak doskonale wiem przed kim, a właściwie przed czym. Przed nietoperzami z pańskiej klatki schodowej.

Clark poczerwieniał ze wstydu. Tak głupio chciał zagrać przed nią świetnego znawcę fachu.

- Muszę panią rozczarować. Tu nie ma nietoperzy.

- Ja też muszę pana rozczarować, niestety. Przychodzę w bardzo nieromantycznej sprawie. Pragnę odnaleźć ciotkę.

- Dobrze, proszę usiąść - Davis podsunął jej krzesło, jedyne w tym pokoju, sam zaś oparł się o biurko - i wszystko mi opowiedzieć.

Detektyw żałował, że nie ma tu do czynienia ze sprawą rozwodową, inaczej mógłby doić z tej paniusi bez końca, gdyż nie wyglądała na biedną. Może wówczas starczyłoby mu na jakieś mieszkanie i nie musiałby spać w biurze na gazetach. Za biuro też zresztą nie płacił czynszu od kilku miesięcy. Rozwodząc się z Melannie, stracił wszystko - dom, dzieci, nawet jamniczkę Sonię. Zaniedbał biuro, w którym za dobrych czasów jego ojca pracowało siedemnastu detektywów i nie wiadomo ile asystentek i sekretarek. Oczywiście cały ten budynek wynajmowała wtedy firma George Davis i Syn. Ale ojciec zmarł przed dwoma laty, Melannie - ukochana żona Clarka - zostawiła go dla jakiegoś lekarza stomatologa, a on, pożałował się Boże, detektyw, nie potrafił nawet walczyć o swój majątek.

- Więc kiedy zaginęła pani ciotka?

- Ach, źle mnie pan zrozumiał, ona nie zaginęła, po prostu przeprowadziła się dokądś i chcę, aby pan ustalił, dokąd.

- Proszę mi mówić Clark. Naturalnie, odnajdziemy pani ciotkę. Takie sprawy to dla mnie chleb powszedni.

- Chyba dość czerstwy, zważywszy na warunki, w jakich pracujesz.

- No cóż, ja... Przestań grać, pomyślał Clark, ona nie jest ślepa. - Rzeczywiście jestem obecnie w dość trudnym położeniu finansowym. Za mną

burzliwy rozwód. Więc gdzie mieszkała pani ciotka i kiedy?

- Do mnie też proszę się zwracać po imieniu. Jestem Jackie Sand. Dwadzieścia lat temu moja ciotka, Helen O'Donnell, mieszkała tu, w Nowym Jorku, przy Sunstreet, numer czterdzieści dwa.

Dziewczyna opowiedziała Clarkowi o swojej wizycie na Sunstreet i o wszystkim, co wiedziała o ciotce.

- Taaak - westchnął detektyw, gdy skończyła - ta sprawa nie powinna nastęrczyć zbyt dużych trudności. Ośmielę się nawet twierdzić, że najprawdopodobniej do tygodnia otrzymasz aktualny adres pani O'Donnell. Pozostaje jeszcze kwestia honorarium... - dodał nieśmiało, gdy dziewczyna wstała, kierując się do wyjścia. - Obawiam się, że mogą powstać dość duże koszty...

- Jak duże? - Jackie wyjęła z torebki książeczkę czekową.

- No... taksówki, noclegi, gdyby trzeba było szukać poza miastem...

- Czy dwa tysiące dolarów wystarczy?

Clark wlepił w nią tępo wzrok, jakby niezupełnie docierało do niego, o czym mówiła. Ale to było tylko wrażenie, bowiem w tym momencie jego mózg przeliczał wszystko niczym najlepszy komputer. Koszty sięgnęłyby może trzystu dolarów, pozostałoby mu więc tysiąc siedemset dolarów zarobku.

- Tak, myślę, że tak - wysilił się na mądrą minę, ale radość w jego oczach była widoczna jak na dłoni.

Jackie wypisała czek i podała go Clarkowi. Ten, gdy zobaczył sumę na czeku, dostał niemal zawrotu głowy.

- Tu jest napisane pięć tysięcy dolarów - wyjąkał.

- Zgadza się. Dwa tysiące na koszty i trzy tysiące za twoją usługę. Oczywiście to tylko zaliczka. Gdy znajdziesz moją ciotkę, otrzymasz drugie tyle. A tu jest mój numer telefonu. - Zapisała mu numer na kawałku gazety. - Zatrzymałam się w hotelu Capitol.

Clark osłupiał zupełnie. To więcej niż mógłby zarobić przez pół roku, oczywiście pod warunkiem, że ktoś w ogóle chciałby dać mu pracę. To stanowczo za dużo za tak drobną usługę. Przeczynawał, że ona też to wie.

- Chciałbym cię jeszcze o coś spytać... Dlaczego przyszłaś właśnie tutaj? Jest wiele biur detektywistycznych bogatszych od mojego.

- Bo jesteś uczciwy, Clark.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Gdybyś nie był uczciwy, nie siedziałbyś w takiej norze.

Dziewczyna wyszła.

Clark pomyślał, czy Święty Mikołaj nie jest przypadkiem kobietą. Jego kłopoty finansowe na jakiś czas przestały istnieć. Znajdzie Helen O'Donnell, choćby była w piekle. Dla takiej kobiety, jak Jackie, znalazłby nawet zaginioną Arkę Przymierza.

Telefon zadzwonił dwa dni później, w chwili, gdy akurat brała prysznic. Zakręciła wodę i nago podeszła do aparatu.

- Słucham?

- Jackie Sand? - odezwał się męski głos.

- Przy telefonie. Kto mówi?

- Tu Clark Davis. Czy możemy się gdzieś spotkać?

- Dobrze. Zaraz przyjadę do twojego biura.

- Ach, nie. Już tam nie urzęduję. Wynająłem inne, w bardziej cywilizowanym miejscu, ale jeszcze się tam nie urządziłem. Jest mała włoska knajpka niedaleko twego hotelu. Nazywa się „U Giovanniego”. Bądź tam za pół godziny.

- Będę.

Gdy weszła do baru, owiał ją przyjemny chłód klimatyzowanego wnętrza. W porównaniu z panującym na zewnątrz upałem, była to nie lada rozkosz dla ciała.

Clark już czekał.

- Mam dla ciebie dwie wiadomości, dobrą i złą. Od której zacząć?

- Dobra, mam nadzieję, to ta, że odnalazłeś moją ciotkę. - Jackie po raz pierwszy zaczęła odczuwać podniecenie na myśl o spotkaniu z tą bliską, aczkolwiek obcą osobą.

- Masz rację.

- A ta druga wiadomość?

- Twoja ciotka nie żyje.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Jesteś tego pewien? - dziewczyna wreszcie odzyskała głos.

- Niestety tak. Pytałem tu i ówdzie, odnalazłem ludzi, którzy kiedyś mieszkali przy Sunstreet, przeczytałem trochę starej prasy. Helen O'Donnell zmarła osiemnaście lat temu. Na raka płuc.

Jackie nie odzywała się, tylko podparła głowę rękami i wpatrywała się tępo w stojak na serwetki. Clark ciągnął dalej:

- Dwadzieścia dwa lata temu Helen O'Donnell zachorowała na raka płuc. W tym też czasie firma New York Oil and Company zaczęła kupować tereny pod budowę nowego centrum biznesu. W planach wykupu działek były również te położone przy ulicy twojej ciotki. Krótka trwała, zanim prawie wszyscy mieszkańcy w okolicy pozbyli się starych domów. Tylko jedna działka stała się solą w oku speców od zabudowy terenu. Numer czterdzieści dwa przy Sunstreet. Nie wiadomo dlaczego, Helen O'Donnell uparła się nie sprzedać tej działki. Sumy, jakie jej proponowano, były z początku niezbyt duże, ale po dwóch latach sięgnęły milionów dolarów. A ona ciągle się nie zgadzała. Próbowano też i innych sposobów perswazji, wreszcie nawet spalono jej dom. Prasa pisała o tym szeroko. Prokuratura wszczęła dochodzenie, ale szybko je umorzono z braku dowodów podpalenia. W efekcie twoja ciotka zamieszkała w stajni. Pomyśl tylko, spała z końmi na sianie. Ale działki nadal nie sprzedawała.

Biedna ciociu, pomyślała Jackie, ty czekałaś na nas.

- Aż wreszcie poszła po rozum do głowy, albo ta zabawa w ciuciubabkę była już ponad jej siły i zgadnij, za ile wreszcie sprzedała swoją działkę?

- Nie mam pojęcia - Jackie oderwała wzrok od serwetek i przeniosła spojrzenie na Clarka. Zauważył, że ma wilgotne oczy.

- Za dwadzieścia procent udziałów w New York Oil and Co.!

- I co z tego?

- No, jak to?! To ty nie wiesz, że ta korporacja to jedna z największych firm w Stanach? Tu chodzi o miliardy dolarów! - ostatnie zdanie Clark wypowiedział prawie krzycząc, aż klienci siedzący przy sąsiednich stolikach zaczęli im się przyglądać z zainteresowaniem.

- No to zagoniła ich ciotka w kozzi róg - Jackie ze stoickim spokojem pociągnęła łyk herbaty, która do tej pory zdążyła już wystygnać.

A więc wszystko stracone. Na darmo rozbudziła w sobie nadzieje. Ale może to i lepiej, wróci teraz do domu, do Jon-Te, który nie będzie miał pretekstu by ją ganiać po świecie. Wszystko będzie jak dawniej.

Clark patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jackie, jeśli jesteś jedyną jej krewną, to dziedziczysz po niej cały ten majątek. Do cholery, nawet dla stu krewnych starczyłoby tego do końca życia!

- Być może, Clark, ale zejdź na ziemię. - Jej spokój był dla młodego detektywa wprost nie do pojęcia. - Czy uważasz, że bogate przedsiębiorstwo

ot tak sobie, lekką rączką, funduje jakieś babie miliony dolarów? I to za co? Za dwa akry ziemi, które być może nigdy nie zdołają zwrócić tych pieniędzy, a co dopiero wypracować zysk.

- Jackie, biedne dziecko - popatrzył na nią z politowaniem. - Ty nic nie rozumiesz. Dwadzieścia lat temu, bo wtedy to Helen O'Donnell podpisała umowę sprzedaży, korporacja New York Oil and Co, nie była jeszcze tyle warta. Może dwieście milionów, to wszystko. Ale szczerze mówiąc wiedziały, że w niedługim czasie pomnożą swój kapitał, a na drodze ku szczęściu stała im właśnie twoja ciotka. Musieli tylko wymyślić sposób, by usunąć przeszkodę.

- No dobrze, ale ci ludzie musieli przecież zdawać sobie sprawę, że ciotka przekaze komuś swój majątek.

- I tu się całkowicie mylisz. Okazuje się bowiem, że jednym z warunków transakcji było zobowiązanie Helen O'Donnell, że przed śmiercią nie sprzeda, a po śmierci nie przekaze swoich udziałów nikomu, żadnym organizacjom charytatywnym, kościołom, fundacjom. Nikomu, oprócz rodziny. Zresztą nikt nigdy nie słyszał, aby sporządziła jakiś testament.

- W dalszym ciągu czegoś nie rozumiem. Ciągłe przecież istniała możliwość, że jacyś krewni upomną się o majątek.

- O ile tacy by istnieli. Jackie, oni mieli pewność, że Helen O'Donnell nie ma żadnej rodziny!

- Mieli pewność, powiadasz? - wolno powiedziała dziewczyna. - A mnie się wydaje, że wokół tej sprawy coś śmierdzi.

W jej głowie zaczynała kiełkować pewna myśl. Straszna myśl.

- Gdzie pochowano moją ciotkę?

- Na cmentarzu w Hartford.

- Dlaczego tam?

- W Hartford mieści się jedno z hospicjów dla bezdomnych.

- Ona była bezdomna?! - Tego dla Jackie było już za wiele.

- Po wykupieniu od niej placu - mówił dalej Clark - firma wypięła się na nią. Helen miała, co prawda, pakiet akcji wart majątek, ale cóż z tego, skoro zobowiązała się ich nie sprzedać.

- Dlaczego nie korzystała z dywidendy? - dziwiła się Jackie. - Przecież od sprzedaży działki minęły dwa lata, a jak mówiłeś - dwadzieścia procent od dwustu milionów musiało przynosić piękne plony.

- No właśnie. Nie udało mi się dotrzeć do finansów firmy, ale coś mi mówi, że nie wypłaciła ona pani O'Donnell ani centa z tytułu dywidendy.

Była na ten temat krótka wzmianka w jednej z ówczesnych gazet, ale zaraz po ukazaniu się artykułu wydawnictwo, które wydało tę gazetę, wykupiła New York Oil and Co. Dziś jest to ekskluzywny magazyn mody.

- Co na to inni udziałowcy? A giełda papierów wartościowych?

- Korporacja nie weszła na giełdę. To firma rodzinna. Jej prezes dzierży wszystko w swoich rękach.

- Jak to możliwe, by był do tego zdolny? - zastanawiała się Jackie. - Pozostawić umierającą kobietę, jakby nie było - współniczkę - bez dachu nad głową.

- Tacy ludzie są zdolni do wszystkiego, małeńka. A zważywszy, jak postąpił z końmi

- Prawda! Co się stało z końmi?

- O, tu rozpoczyna się całkiem inna historia. Po sprzedaży działki stadninę przeniesiono na wieś. Teraz z kolei prezes New York Oil and Co, zobowiązał się zająć sprzedaż koni, tylko że do żadnej sprzedaży koni nie miało nigdy dojść. Chytry prezes wziął panią O'Donnell na przetrzymanie. Tak zręcznie ją zwodził, że wreszcie doczekał się jej śmierci. A wówczas zaopiekował się końmi na dobre. Zwiększył hodowlę, rozbudował stajnie. Dziś jest to najświetniejsza stadnina na całym Wschodnim Wybrzeżu, a konie to same championy, wystawiane na torach wyścigowych na całym świecie.

Jackie zmroziły te rewelacje. Więc to były owe problemy zdrowotne i finansowe, z powodu których ciotka nie mogła jej wziąć do siebie.

- Powiedz mi jeszcze, Clark, naprawdę przeczytałeś o tym wszystkim w gazetach?

Detektyw uśmiechnął się.

- Nisko upadłem, Jackie, ale wciąż jeszcze mam paru przyjaciół w policji i w biurach prawniczych, a wierz mi, kilku z nich z największą uwagą śledziło tamtą sprawę w nadziei, że gdy Helen O'Donnell zwróci się wreszcie do sądu po sprawiedliwość, oni skoczą jej na pomoc, zarabiając przy tym fortunę. Widocznie jednak twoja ciotka była zbyt chora, by dopominać się o swoje.

Davis nie wspomniał natomiast o tym, że dwie noce musiał się męczyć, uprawiając seks z zimną jak Arktyka i brzydką jak noc listopadowa archiwistką z biura prokuratora okręgowego, zanim wreszcie zgodziła się udostępnić mu pewne tajne dokumenty.

- Proszę, oto czek na pięć tysięcy dolarów - Jackie podała mu blankiet.
 - To za dużo, maleńka - zawstydzil się Clark. - Nie przyjmę tej sumy.
 - Bierz, bierz. Pieniądze ci się przydadzą. Zresztą rewelacje, którymi mnie dziś uraczyłeś, są warte każdych pieniędzy. Jeszcze jedno - rzuciła, wstając do wyjścia. - Nikt nie powinien się dowiedzieć o moim pojawieniu się.
 - Naturalnie.
 - I mam nadzieję, że będziesz do mojej dyspozycji, gdy będę znowu potrzebować informacji.
 - Bez wątpienia.
 - Acha! Zapomniałam o najważniejszym. Jak nazywa się człowiek, który okradł moją ciotkę i czy jest on nadal prezesem tej firmy?
 - Oczywiście. Jeden z najbogatszych ludzi w tym kraju, przykładny mąż i ojciec, działacz na rzecz ochrony środowiska, osoba hojną ręką wspierająca instytucje dobroczynne, prezes korporacji New York Oil and Company, to wszystko ten sam człowiek. A nazywa się Lovestone. Jerry Lovestone.
- Oczy Jackie błysnęły złowrogo. O, Mistrzu Jon-Te! Do jakiej dżungli rzuciłeś mnie z oazy spokoju, jaką była dolina rzeki Kosi. Tam mogłam głaskać wiewiórki i beztrósko ganiać za końmi. Tu muszę nienawidzić.

Rozdział IV

Dwaj mężczyźni w strojach do jazdy konnej stali przed wybiegiem dla koni.

- Miałaś rację, Jerry, ona jest prześliczna - rzekł Nick Coleman, patrząc z zachwytem na białą klacz imieniem Abigaile, którą zarządca rancza osobiście przed nimi prezentował. Ten stary łotr, Lovestone, zawsze znajdował najpiękniejsze konie.

- Podoba ci się? Może być twoja.

- A jesienne wyścigi? - Coleman spojrział ze zdziwieniem na Jerry'ego.

- Pal sześć wyścigi! Abigaile będzie twoja, jeśli wreszcie ożenisz się z Vanessą.

Jasne! Lovestone nigdy nie robił niczego bezinteresownie.

- Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy. - Nick nie chciał dyskutować na drażliwy temat. Cokolwiek by mówił i robił, to i tak był na straconej pozycji. - Ożenię się z twoją córką, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Na razie odkrywam uroki kawalerstwa. Vanessa jest zresztą jeszcze taka młoda...

- Ma dziewiętnaście lat. To wystarczająco odpowiedni wiek na zamążpójście. Tobie też niedługo stuknie trzydziestka. A twoje, pożałuj Boże, kawalerstwo, to nic innego, jak ganieanie za spódniczkami. Ale zapewniam cię, mój drogi, że po ślubie z Vanessą to się zmieni. Ona jest zbyt czysta i niewinna, by ją zdradzać. I kocha cię do szaleństwa.

- Wiesz dobrze, że ja jej nie kocham - rzekł cicho Nick.

- Twoje uczucia nie grają tu żadnej roli - powiedział Lovestone lodowatym tonem. - Jeśli moja córka pragnie być twoją żoną, będzie nią. I to jeszcze w tym roku.

- A jeśli jednak odmówię? - teraz Nick prawie szeptał.

- Zdajesz obie sprawę, jak kosztowne jest leczenie twojej matki. Czy zdołasz zapewnić jej utrzymanie, gdy znajdziesz się na bruku? Oczywiście, że masz wybór. - Lovestone uśmiechnął się. - Ale jeśli odmówisz, będziesz musiał żebrać, by zarobić na chleb. A żeniąc się z Vanessą zyskasz nie tylko młodą i piękną żonę, ale i ogromny majątek. No i pewnego dnia zajmiesz moje miejsce w firmie. Poza tym musisz pamiętać - dodał obłudnie - ile mi zawdzięczasz.

O tak! Nick pamiętał dokładnie dzień, w którym poznał Jerry'ego Lovestone'a.

Miał zaledwie siedemnaście lat, gdy zaczął pracować dla New York Oil and Company. Jego ojciec, Donald Coleman, również pracownik tejże korporacji, zginął niedawno w pożarze szybu naftowego niedaleko Tia Juana w Wenezueli, a matka otrzymawszy tę straszną wiadomość doznała udaru mózgu, wskutek czego do końca życia miała pozostać sparaliżowana.

Młody Nicholas rzucił więc szkołę i zatrudnił się jako goniec, by zarobić na utrzymanie i leczenie matki, gdyż pieniądze z ubezpieczenia za śmierć ojca jakoś szybko się rozeszły.

Wkrótce tego ambitnego i energicznego chłopca dostrzeżono i awansowano na asystenta sekretarza w dziale reklamy.

Aż wreszcie na jakimś przyjęciu w firmie Nicholas poznał samego Wielkiego Prezesa - tak pracownicy korporacji zwykli mówić o swoim szefie.

- To ty nazywasz się Coleman? - zagadnął go wtedy Jerry Lovestone.
- Tak, panie prezesie. - Nick ledwie mógł mówić z wrażenia.
- Jesteś synem Donalda Colemana?
- Zgadza się. Mój ojciec był inżynierem i pracował u pana, zanim...
- Tak, wiem. Znałem twego ojca. - Nastąpiła chwila milczenia. - A jak się miewa twoja matka, dalej bez zmian?
- Niestety - odparł Nick, zdumiony, skąd u prezesa takie zainteresowanie jego osobą.

Nie mógł przecież wiedzieć, że Lovestone sypia od czasu do czasu z szefową działu reklamy i że ta w łóżku zdaje mu relacje z każdego kroku Nicka.

- Przyjdź jutro o dziesiątej do mojego gabinetu - powiedział jeszcze wtedy Lovestone.

Nick przez całą noc nie zmrużył oka.

Nazajutrz, punktualnie o dziesiątej, stanął przed Wielkim Prezesem.

- Jak już mówiłem, znalazłem twego ojca - zaczął Lovestone. - Wierz mi, Donald byłby dumny widząc, że ma takiego syna. Niestety, przeglądałem ostatnio twoje akta i okazało się, że nie posiadasz odpowiednich kwalifikacji, by pracować w mojej firmie jako asystent.

Nick czuł, że cały świat wali mu się na głowę. Biedna mama, pomyślał.

- Zwalnia mnie pan? - zapytał mimo nagłej suchości w gardle.
- Och, tylko do czasu, gdy zdobędziesz potrzebne kwalifikacje.
- Ale ja nie mam pieniędzy - powiedział Coleman z rozpaczą.
- Za to ja mam ich pod dostatkiem. - Na ustach Lovestone'a zagościł uśmiech dobrotliwego wujaszka. - Ty wybierz tylko uczelnię.
- A co będzie z moją mamą? Oprócz mnie nie ma nikogo, kto by się nią zaopiekował.

- Więc wybierz też i klinikę. O pieniądze się nie martw. Ja stawiam.
- Jest pan hojnym człowiekiem, panie Lovestone. - Niewiele brakowało, by Nick rzucił mu się do nóg. - Jak ja się panu odwdzięczę?
- Nie traktuj tego tak poważnie. Dla mnie to po prostu kolejna inwestycja.

I, jak się później okazało, całkiem trafna inwestycja: dzięki Nickowi firmie New York Oil and Company przybyło ładnych kilka miliardów, gdyż w całym chyba stanie nie było większego specja od reklamy niż Nicholas Coleman. Ten trzydziestoletni mężczyzna, obecnie prawa ręka Lovestone'a, potrafiłby nawet sprzedać lód Eskimosom i to po bardzo korzystnej cenie.

A teraz Lovestone miał go w garści. Stary łotr miał rację. Jedno kiwnięcie palcem, a żadna firma na świecie nie zechce przyjąć Nicka do pracy.

Przez ostatnich kilka lat Coleman poznał dokładnie metody działania Lovestone'a. Oszustwa, łapówki, szantaże - oto czym kierował się Wielki Prezes budując swe imperium, trzeba przyznać, całkiem imponujące imperium.

Korporacja New York Oil zajmowała się chyba wszystkim, a to wydobyciem surowców, zwłaszcza ropy naftowej, w kraju i zagranicą, a to produkcją sprzętu elektronicznego. Także handel międzynarodowy i wiele gałęzi przemysłu, między innymi w branży spożywczej, samochodowej i tekstylnej, odbywały się z jej udziałem. Firma posiadała linię lotniczą oraz sieć

luksusowych hoteli na całym świecie. Zatrudniała tysiące ludzi.

A na czele tej gigantycznej maszyny stał właśnie Jerry Lovestone.

Nie było szans, aby cokolwiek mogło ocalić Nicka przed niechcianym ślubem.

- Czy odpowiada ci paździenik, Jerry? - westchnął Coleman.

- O to musisz zapytać Vanessę. Przecież to nie ja, do cholery, mam być panną młodą.

- A gdzie ona się teraz podziewa?

- Od kilku dni jest tu, na ranczo, razem ze swoją matką. Jeśli się pośpieszymy, zdążymy na kolację. Nikt nie przyrządza królika tak wspaniale, jak moja żona.

Rozdział V

Cmentarz w Hartford nie wyróżniał się niczym szczególnym. Kamienne aniołki zdobiły bramę po obu jej stronach. Za bramą rozciągały się symetryczne rzędy alejek i równo przystrzyżony trawnik.

Prochy zmarłych rozsypywano tutaj na trawę, następnie miejsce to, zwane Miejscem Wiecznego Spoczynku, otrzymywało numer oraz tablice z nazwiskiem zmarłego.

Nad jednym z takich Miejsc Wiecznego Spoczynku stała Jackie. Napis na tabliczce głosił: „Świętej Pamięci Helen O'Donnell. Zmarła dnia dwunastego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Żyła trzydzieści sześć lat. Pokój jej duszy.” Niżej widniał numer: tysiąc siedemset szesnaście.

- Biedna ciociu Helen - szepnęła Jackie - odeszłaś w samotności i ubóstwie. Zostawiłaś mi ogromne dziedzictwo, ale okrutnie za nie zapłaciłaś, ty i moi rodzice. Przysięgam ci, że ten, który stoi za śmiercią moich rodziców, nie zazna szczęścia na tym świecie. On i jego najbliżsi.

Jackie wróciła do samochodu, który wynajęła poprzedniego dnia, by przyjechać do Hartford. W samochodzie siedziała wiekowa zakonnica, siostra Maria Clara. To ona opiekowała się Helen O'Donnell na łożu śmierci. To jej umierająca kobieta podyktowała list do siostrzenicy.

Na krótko przed śmiercią Helen spytała siostrę, czy by ta nie napisała pewnego listu.

- Ja jestem już zbyt słaba. Nie dam rady utrzymać długopisu - mówiła chora.

- Oczywiście, drogie dziecko, przyniosę tylko papier i długopis.

A gdy zakonnica przyniosła przybory do pisania, Helen zaczęła dyktować:

- Kochana Jackie. To moja siostrzenica - wyjaśniła Marii Clarze - ma teraz dwa latka. Gdy będziesz czytać ten list - mówiła słabym głosem - będziesz już dorosłą kobietą, a mnie już dawno nie będzie na tym świecie. Wtedy zrozumiesz, że nie mogłam cię wychować i mam nadzieję, że mi przebaczysz. Wierzę, że u tybetańskich lamów jest ci dobrze. U nich zdobędziesz wykształcenie lepsze niż w Europie. Niech ta wiedza pomoże ci pomścić twoich rodziców, gdyż to nie chińscy rebelianci pozbawili ich życia, ale człowiek nazwiskiem Lovestone. Wynajął on płatnych morderców, aby pod osłoną zamieszek w Tybecie zabili twoich rodziców. Ty żyjesz dzięki temu, że człowiek ów nie wiedział o twoim istnieniu. Urodziłaś się w Delhi. Tam, w ambasadzie amerykańskiej, szukaj swojej metryki urodzenia. Miałaś nianię imieniem Tamar. To ona w tamtą straszną noc podrzuciła cię pod klasztor lamów.

Wybacz mi, jeśli to przeze mnie zginęli twoi rodzice. Nie chciałam sprzedać działki Lovestone'owi. Grałam na zwłokę, bo czekałam, aż przyjdziecie. I nagle ta straszna wiadomość z Nepalu, że moja siostra i jej mąż nie żyją... Już miałam dać za wygraną, lecz nieoczekiwanie dostałam telefon z Tybetu. Człowiek, który przedstawił się jako Jitsu-lama, powiedział, że żyjesz. Jakaż ja byłam szczęśliwa. Chciałam po ciebie jechać, ale ten Jitsu powiedział jeszcze, że schwytano w Katmandu Amerykanina, któremu udowodniono, że maczał palce w zamordowaniu twoich rodziców. Amerykanin przyznał się, że działał na zlecenie Jerry'ego Lovestone'a. Zaraz potem morderca powiesił się w swojej celi.

Wiesz więc teraz, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi ci z rąk Lovestone'a, który dla pieniędzy posunął się do takich czynów. Strzeż się go. To wąż w ludzkiej skórze.

Czasem myślę, Jackie, jakby to było, gdybym od razu sprzedała mu tę przeklętą działkę. Twoi rodzice żyliby nadal i cieszyliby się piękną córeczką, jaką zapewne jesteś. Wybacz mi. I módl się, by Bóg mi wybaczył. Nie przewidziałam, do czego może się posunąć zdradliwa ludzka natura.

Zostawiam ci testament, Jackie. Szukaj go u mecenasa Anthony'ego Bersa w Nowym Jorku. To uczciwy człowiek. Niech to będzie twoja broń w walce z Lovestonem. Odbierz mu wszystko, tak jak on mnie odebrał.

Jeszcze raz eie błagam, wybacz mi i módl się za mnie.

Twoja ciotka, Helen O'Donnell.

Umierająca kobieta własnoręcznie podpisała list.

- Niech go siostra odda mojej Jackie, jeśli się tu kiedyś zjawi.

- Dobrze. - Choć Maria Clara była oszołomiona treścią listu, jaki przyszło jej pisać w imieniu Helen, nie dała po sobie niczego poznać. Poza tym należało przypuszczać, że są to urojone brednie kobiety, której cierpienie spowodowane chorobą musiało wpłynąć na jasność myślenia. Takie rzeczy w dzisiejszych czasach? Nie, to zdecydowanie niemożliwe. Jakkolwiek wole umierającej należało wypełnić. - A jak ja poznam ową Jackie?

- Przybędzie tu za osiemnaście lat. Przedstawi się jako Jackie Sand. Niech ją wtedy siostra zapyta o drugie imię. Powinno brzmieć Saran. I proszę nikomu pod żadnym pozorem nie ujawniać treści listu.

- Obiecuje.

Gdy na drugi dzień zakonnica przyniosła chorej śniadanie, zastała puste łóżko.

Helen O'Donnell zmarła w nocy.

Jakież było zdziwienie siostry Marii Clary, gdy kilka dni później do hospicjum przyszli dwaj mężczyźni w drogich garniturach i słonecznych okularach. Pytali o Helen O'Donnell, czy nie zostawiła jakichś dokumentów.

Potem była kobieta, elegancka, około trzydziestki. Podawała się za siostrę zmarłej, która właśnie wróciła z Nepalu. Pytała o testament Helen. Potafatygowała się nawet na cmentarz, gdzie rzęsyistymi łzami zrosiła miejsce, w którym spoczywały prochy jej rzekomej siostry.

Maria Clara była nawet skłonna uwierzyć tej kobiecie, ale - tknięta przecuciem - zapytała w ostatniej chwili:

- Przyjechała pani z rodziną?

- Niestety - kobieta zrobiła bolesną minę. - Mój mąż zginął w Nepalu z rąk chińskich rebeliantów.

- Nie mieli państwo dzieci?

- Nie. Teraz, gdy odeszła moja siostra, zostałam sama na świecie.

- Przykro mi. Nic mi nie wiadomo o jakichkolwiek dokumentach pani O'Donnell. Helen właściwie nie miała nic. Jej dom i cały majątek podobno spłonął. Ona sama była zbyt chora, by myśleć o jakichkolwiek papierach, była zresztą przekonana, że pani nie żyje.

- Tak, no cóż. Trudno. W każdym razie dziękuję.

Następnym wydarzeniem, które jeszcze bardziej zdumiało siostrę Marie Clare, było włamanie do jej celi klasztornej i celi jeszcze jednej zakonnicy, z którą na zmianę opiekowały się Helen O'Donnell w hospicjum.

Włamanie nastąpiło w czasie, gdy wszystkie siostry były akurat w kaplicy na porannym nabożeństwie.

Sprawcy nie ustalono. Nic nie zginęło, no bo i co mogły mieć siostry oprócz łóżka i szafki nocnej? Jedyne materace z łóżek w obu celach były porwane w drobny mak, jakby tam właśnie złodzieje spodziewali się znaleźć... No właśnie, co?

Oni szukają testamentu Helen, pomyślała Maria Clara.

Jakby na potwierdzenie tego, wkrótce zjawił się w zakonie sam Jerry Lovestone, prezes rozwijającej się firmy New York Oil and Company.

- To pani opiekowała się Helen O'Donnell przed śmiercią? - spytał, gdy zostali sami w gabinecie matki przełożonej.

- Zgadza się. Ja i jeszcze jedna zakonnica, siostra Maria Simone.

- Tak, wiem. Już z nią rozmawiałem. Niestety, ona nie umiała mi pomóc. Tylko w pani jeszcze moja nadzieja.

- Nie rozumiem, w czym ja mogę panu pomóc. - Maria Clara bacznie obserwowała człowieka, o którym nie tak dawno pisała w liście, że jest mordercą.

- Chciałbym wiedzieć, czy Helen O'Donnell nie zostawiła pani przed śmiercią jakichś dokumentów, testamentu, czy czegoś w tym rodzaju. Niech mnie pani zrozumie - rzekł przymilnie - znaleźli się spadkobiercy pani O'Donnell. Czuję się w obowiązku im pomóc.

- Dlaczego pan?

- Zmarła była w posiadaniu dość poważnego pakietu akcji mojej firmy.

- Chyba niewiele wartej, zważywszy, że umarła w biedzie, bez dachu nad głową - odrzekła z właściwym sobie stoickim spokojem zakonnica.

- To był jej wybór - lgał Lovestone. - Mogła sprzedać akcje. - Wielki Prezes z trudem pohamowywał wściekłość. Ta bezczelna zakonnica zaczynała go już drażnić.

- Obawiam się, że nie potrafię panu pomóc.

- Proszę się dobrze zastanowić, siostrzo - nalegał Lovestone.

Nie uszło uwadze zakonnicy, że przestał się do niej zwracać per pani, co zapewne miało wzbudzić w niej sympatię i wywołać zwierzenia. - Jeśli uda się siostrze coś przypomnieć, może zmarła mówiła coś na ten temat, przyczyni się siostra do rozbudowy hospicjum. Mam zamiar ofiarować na rzecz tych biednych ludzi znaczną sumę pieniędzy.

- Wzrusza mnie pańska hojność - choć to powiedziała, jej głos daleki był od wzruszenia. - Ile konkretnie zamierza pan ofiarować?

- Myślałem o dwudziestu tysiącach dolarów, ale co tam! Niech będzie pięćdziesiąt tysięcy, na dowód, że akcje mojej firmy są jednak coś warte - to mówiąc Lovestone uśmiechnął się szarmancko i zamasyście wypisał czek. - Proszę, niech siostra uczyni mi ten zaszczyt i wręczy ten skromny datek przełożonym hospicjum.

Maria Clara również się uśmiechnęła. Czek zniknął w fałdach jej habitu.

- Przykro mi, panie Lovestone. Helen O'Donnell nie zostawiła mi żadnego dokumentu i nigdy nic nie mówiła na ten temat. Dziękuję za wsparcie finansowe w imieniu wszystkich chorych z hospicjum. Będę się za pana modlić.

Gdy Lovestone wyszedł, zakonnica przyłożyła rękę do piersi. Pod habitem namacała niewielkie zgrubienie. To sakiewka, z którą nigdy się nie rozstawała. Trzymała w niej obrączkę z zaślubin z Chrystusem i zdjęcie swojej matki, a od niedawna również list Helen O'Donnell do siostrzenicy - Jackie Sand.

I oto wczoraj, po osiemnastu latach, pożółkła kartka papieru ujrzała światło dzienne. Zjawiała się Jackie Sand. Odnalazła zakonnice opiekującą się jej ciotką. Na pytanie zakonnicy, jakie imię nosiła w Tybecie, dziewczyna odpowiedziała:

- Saran.
- Chciałabym siostrze podziękować za opiekę nad ciotką - odezwała się Jackie, wsiadłszy do samochodu. - I za dotrzymanie obietnicy.
- To nie jest konieczne. Wypełniałam tylko mój obowiązek.
- Mimo wszystko proszę ode mnie to przyjąć - to rzekłszy, Jackie podała zakonnicy jakieś zawiniątko. - Co to takiego? - Maria Clara rozwinęła flanelową szmatkę. Jej oczom ukazał się diament wielkości włoskiego orzecha.

- Matko Święta! - krzyknęła zdumiona. - Skąd to masz?
- Powiedzmy, że z własnych zbiorów. Sprzeda to siostra u jakiegoś jubilera. I proszę nie mówić nikomu o moim istnieniu. Cóż, na mnie pora - westchnęła Jackie. - Mam pewną misję do załatwienia. Odwiozę siostrę do miasta.

- Clark, zaszły nowe okoliczności - mówiła Jackie do słuchawki telefonu komórkowego, jadąc w kierunku Nowego Jorku. - Lovestone to większy drań, niż przypuszczaliśmy. Potrzebuję dokumentów na inne nazwisko, wiek... - zawahała się na chwilę - dwadzieścia pięć lat, miejsce urodzenia Dallas w Teksasie. Prawo jazdy, paszport, sam wiesz. Jak najszybciej.

- Jackie, jest sobotnie popołudnie - zirytował się detektyw. - Kto o tej porze...

- On kazał zabić moich rodziców. Właśnie wracam z Hartford, gdzie Helen zostawiła mi list. Musisz mi pomóc - powiedziała błagalnie. - Załatwisz to?

- Zrobi się, maleńka - usłyszała w odpowiedzi. - Jutro rano dostarczę ci te dokumenty do hotelu.

- Dzięki. Liczę na ciebie, Clark.

Gdy tylko samochód Jackie zniknął za rogami, siostra Maria Clara weszła do sklepu jubilerskiego.

- O, do diabła! - zaklął właściciel, gdy pokazała mu diament. - Przepraszam, siostró - zachnął się, że rozmawia z zakonnica. - Skąd siostra wytrzasnęła to чудо?

- Ofiarodawca pragnął pozostać anonimowy - odparła zakonnica. - Na ile szacuje pan ten kamień?

- Co najmniej na sto tysięcy dolarów. Chce siostra go sprzedać? - Jubilerowi aż trzęsły się ręce.

- Jak od pana wezmę sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Sto trzydzieści. Wyplacam gotówką - targował się jubiler.

- Zgoda. - Siostra Maria Clara nie posiadała się ze szczęścia. Ileż dobrego zrobi się dla hospicjum za te pieniądze.

Po wyjściu zakownicy jubiler długo obracał szlachetny kamień w palcach. Zarobi na nim drugie tyle, gdy odpowiednio oprawi go w złoto.

Rozdział VI

Wiejska dacza Lovestone'ów była w rzeczywistości dziesięciopokojową i sześciolazienkową luksusową rezydencją z kominkiem i dwoma basenami - jednym wewnątrz budynku, drugim pod gołym niebem, wśród pięknie utrzymanego ogrodu. Służba i obsługa stadniny mieszkała w sąsiednim budynku.

Gdy Nick wziął prysznic i przebrawszy się zszedł do jadalni, cała rodzina Lovestone'ów była już tam w komplecie.

Przywitał się najpierw z Barbarą. Była to elegancka kobieta po pięćdziesiątce, dobra i uczynna. Nick zastanawiał się często, czy wiedziała, że Jerry całe życie ją zdradza i co w ogóle pchnęło ją w ramiona takiego człowieka. Jedynie ją cenił w tym obłudnym towarzystwie.

Następnie podszedł do Vanessy, dziewczyny o anielskiej twarzy i krótko przystrzyżonych blond włosach.

- Witaj, Vanesso. Nie wiedziałem, że jesteś w Nowym Jorku. Myślałem, że opalasz się na Majorce.

- Ach, Nicholasie - westchnęła słodko dziewczyna - Baleary okazały się strasznie nudne. Pełno tam turystów z Europy Wschodniej. Plaże były tak zatłoczone, że trzeba by opalać się na stojąco. Na szczęście spotkałyśmy z Jane przyjaciół w Montpellier w Langwedocji i ci zabrali nas na swój jacht. Dzięki nim przepłynęłyśmy chyba całe Morze Egejskie.

- Nic mi o tym nie mówiłaś, córeczko - zainteresował się Jerry. - Czy ja znam tych twoich przyjaciół?

- Nie, tatusiu - zaszczebotała. - To koledzy ze szkoły. - Vanessa kształciła się w prywatnym koledżu w Barcelonie.

- Mimo wszystko powinnaś była zadzwonić i poinformować mnie, że zmieniasz miejsce pobytu.

- Nie rób problemu, tatusiu. Nie jestem małą dziewczynką, potrafię o siebie zadbać. W końcu przecież nic się nie stało. Majorka czy inna wyspa, co za różnica? Byliśmy na Santorynie, Milos, Paros i na jeszcze jakichś wyspach, których nazw już nie pamiętam i zapewniam cię, że wszystkie są do siebie podobne. Zresztą powinieneś być zadowolony, że twoja córka miała udane wakacje.

- Miałas być w Europie do końca lipca - zauważył Nick. - Czemu wróciłaś wcześniej?

- Znudziło mi się - krótko ucięła Vanessa.

W rzeczywistości trzej domniemani szkolni przyjaciele Vanessy okazali się przygodnie poznanymi mężczyznami po czterdziestce.

Dziewczyny poderwały ich w barze Palma Majorka, skąd pijane towarzystwo przeniosło się na mocno sfatygowaną łódź któregoś z nich. Ktoś rzucił hasło: Grecja. I tak przez trzy tygodnie trwała niekończąca się orgia suto zakrapiana alkoholem i przyprawiana najczystsza heroiną.

Aż wreszcie łódź została zatrzymana przez grecką straż przybrzeżną, a jej pasażerowie trafili do aresztu. Właściciel łodzi okazał się handlarzem narkotyków.

Vanessa po otrzeźwieniu wręczyła grubą łapówkę, tudzież ofiarowała swe młode wdzięki komendantowi posterunku, po czym obie z Jane wróciły do Stanów.

- A co u ciebie, Nick? - spytała Barbara. - Jak się miewa twoja matka?

- Dziękuję, niestety bez zmian. Czasem myślę, że lepiej byłoby dla niej, gdyby wtedy umarła.

Na te słowa z rąk Jerry'ego wypadł kieliszek i uderzył w marmurową posadzkę. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- To już trzynaście lat, jak się męczy - mówił Nick, jakby nie zauważył zdarzenia. - Aż serce się kraje. Tylko oczy pozostają ciągle żywe w tym martwym ciele.

Jerry był blady jak kreda.

- Czasem mam wrażenie, że te oczy próbują mi coś przekazać, lecz to chyba tylko złudzenie. Lekarze orzekli przecież, że udar mózgu miał negatywny wpływ na psychikę mojej mamy. Ale co ci jest, Jerry? - tu zwrócił się do Lovestone'a, którego twarz była teraz intensywnie czerwona.

- Nic. Trochę tu duszno. Wyjdę zaczerpnąć świeżego powietrza.
- Zawsze ci powtarzam, że za dużo pijesz, mój drogi - powiedziała

Barbara.

W tym momencie służąca podała duszonego królika. Lovestone wyszedł i nie pojawił się więcej na kolacji. Po raz pierwszy w życiu odmówił skosztowania ulubionej potrawy.

Coś cię niezłe dręczy, pomyślał Nick, coś, co ma związek z moją matką. I ja dowiem się, co.

Po kolacji Vanessa poprosiła Nicka o przechadzkę. Szli teraz parkową aleją, po obu stronach której szumiały dęby. Światło latarenek gazowych oświetlało dyskretnie drogę.

- Ojciec mówił mi przed kolacją, że przekonał cię do naszego ślubu - rzekła dziewczyna, przerywając milczenie.

Coleman milczał.

- Jesteś na mnie zły? - zapytała naiwnie.
- Zły? To mało powiedziane - wycedził przez zaciśnięte zęby.
- Złość nic tu nie pomoże. Tata obiecał mi, że ożenisz się ze mną.

Jerry nigdy nie złamał obietnicy danej ukochanej córce.

- Ja cię nie kocham, Vanesso! Czy chcesz, bym cię znieawidził? Nie rozumiesz? Nie kocham cię. Nie będziesz ze mną szczęśliwa. Czy nie możesz zakochać się w kimś innym, kto odwzajemniłby twoje uczucie?

- A kto tu mówi o miłości? - Vanessa ze zdziwieniem zatrzepotała długimi rękami.

- Jerry twierdzi, że chcesz wyjść za mnie, bo mnie kochasz. Tylko jak ty to sobie wyobrażasz? Że będę przychodził z pracy, całował cię na powitanie, a ty będziesz podawać mi kolacje? A potem będziemy siedzieć przed telewizorem z gromadką tłustych dzieciaków, jeść pieprzoną prażoną kukurydzą i oglądać jakieś durne talk show?

- A kto tu mówi o dzieciach? - roześmiała się.

- Jak to? - jej śmiech zbił go z tropu.

- Nie mam zamiaru podawać ci kolacji, ani tym bardziej rodzić dzieci! A tę bajeczkę o miłości musiałam wymyślić na użytek starego.

- To co ty w ogóle knujesz? - Nick nic już nie rozumiał. - Po co chcesz za mnie wyjść?

- Ciemny jesteś, a niby taki zdolny i inteligentny - wykrzywiła usta naśladując tonem głosu swego ojca. - Jako żona Nicholasa Colemana będę

niezależna. Nie będę musiała tłumaczyć się staremu z każdego wydanego dolara. Nie będę musiała iść na studia. Nareszcie będę mogła robić to, na co mam ochotę - jeździć po świecie i bawić się, bawić! - Obrzuciła Nicka ironicznym spojrzeniem. - A najsmutniejsze jest to, że ty nie będziesz mógł nic zrobić. Zawsze będziesz musiał mnie kryć, bo cokolwiek powiesz memu ojcu, on będzie wierzył mnie, swojej cnotliwej i dobrze wychowanej córeczce.

- Ale dlaczego ja? - Nick był oszołomiony nowym obliczem dziewczyny.

- Bo świetnie się do tego nadajesz. Masz wykształcenie, pozycję, ojciec cię lubi. Poza tym jesteś rzeczywiście szalenie przystojny i moje koleżanki pękają z zazdrości. No i tatuś ma na ciebie haka. W jednej chwili może cię zdeptać jak robaka.

- Ty dziwko! - syknął Nick.

- Przestań, bo to mnie podnieca - zachichotała Vanessa i pobiegła w stronę daczki. Będąc w połowie drogi, przystanęła na chwilę. - Mnie też odpowiada paździenik, najdroższy - i pobiegła dalej, a Nickowi wydawało się, że jej sylwetka zniknęła za drzwiami domu.

Więc taka była naprawdę Vanessa Lovestone. O anielskiej twarzy i o duszy diabła.

Córka godna swego ojca.

Niedzielnny poranek na ranczo Lovestone'a wstał deszczowy i chłodny. W kropłach deszczu to przepiękne miejsce wydawało się jakieś smutne. Dla Nicholasa, który właśnie się obudził, było obrzydliwe.

Długo ociągał się ze wstaniem. Dochodziła jedenasta, gdy wreszcie zszedł na śniadanie.

W domu panowała cisza.

- Państwo już jedli? - zapytał pokojówkę. Młoda, powabna Kubanka uwijała się hallu, ścierając kurze. Przez chwilę miał ochotę przewrócić ją na sofę i posiąść jak zwierzę, często tak robił z dziewczynami z niższych sfer, a one nie miały mu tego za złe. Ale podniecenie zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Przez ten cholerny stres stał się impotentem, zażartował w duchu.

- Państwo Lovestone opuścili daczę o świcie. Pan prezes poczuł się źle. Żona odwiozła go do doktora do miasta. Panna Vanessa pojechała z nimi.

Bynajmniej nie z troski o ukochanego ojczulka, pomyślał Nick. Nie uszło też jego uwadze poządlive spojrzenie Kubanki. Zignorował to spojrzenie.

- Zjem śniadanie, a potem pójdę do stajni - rzucił pokojówce, wchodząc do jadalni. - Niech przygotują moje konie.

Przez to wszystko nawet do nich wczoraj nie zajrzał.

Gdy Coleman dotarł do stajni, przestało padać. Jego konie wyglądały imponująco. Gniady ogier Rococo i dwie klacze - Indianka, nazwana tak z powodu srokatej maści i Czarownica, klacz maści karej, skubały teraz trawę na wybiegu.

- Widzę, że dobrze się nimi opiekujesz, Tony. - Nick pochwalił starego stajennego.

- Taką mam prace - odparł tamten. - Nie mówił pan, którego konia osiodłać.

- Osiodłaj Czarownicę. Jest jakby trochę tłusta. Dobrze jej zrobi przejażdżka nad rzekę.

- Jak pan sobie życzy.

Przejażdżka nie trwała długo. Nick zauważył, że klacz idzie z ociąganiem. Nie można jej było zmusić do galopu. Poza tym dyszała ciężko.

No tak, pomyślał Coleman, przekarmili mi konia.

Gdy wrócił do stajni, Tony'ego nigdzie nie było widać. Sam rozsiadł Czarownicę i zaprowadził ją do boksu.

Z klaczą było coraz gorzej. Co chwila spoglądała na swój zad. Sierść miała wilgotną od potu.

Gdzie ten cholerny Tony?

Stary stajenny wyrósł przed Nickiem jak spod ziemi.

- Ma pan gościa, panie Coleman.

Nick rzucił przelotne spojrzenie na młodą dziewczynę stojącą u boku Tony'ego.

- Zechce pani wybaczyć, mój koń właśnie zachorował. Dzwon po weterynarza, Tony, to mi wygląda na kolkę jelitową. - Był zbyt zdenerwowany cierpieniem zwierzęcia, by zainteresować się przybyszem.

- Obawiam się, że weterynarz wyjechał - odezwał się Tony. - Musimy działać sami. Proszę wyprowadzić klacz z boksu.

- Co chcecie zrobić? - zapytała nieznajoma.

- Trzeba prowadzić konia, aby rozruszać jego jelita - wyjaśnił stajenny. - Może wtedy nagromadzone w jego brzuchu gazy same znajdą ujście. W przeciwnym wypadku koń może nawet paść.

- Proszę nie przeszkadzać! - krzyknął Nick. - Niech pani poczeka na zewnątrz. Zdychający koń to nieodpowiedni widok dla pani oczu. - W tym momencie Coleman nienawidził wszystkich kobiet bez wyjątku.

- Skąd pan może wiedzieć, co jest dla mnie odpowiednie? - dziewczyna, ignorując polecenie, podeszła do mordy zwierzęcia i delikatnie pogłaskała Czarownicę. Klacz zarżała cicho i jeszcze raz stęknęła z wysiłkiem.

- Moim zdaniem ona rodzi.

- Co takiego?! - krzyknęli jednocześnie obaj mężczyźni.

- Pańska klacz się źrebi, panie Coleman - ciągnęła dziewczyna.

- Proszę spojrzeć na jej brzuch i posłuchać stękania. To nie jelita. Przez skórę widać regularne skurcze macicy. No i wymię. Jest nabrzmiałe to mówiąc, dziewczyna sięgnęła pod koński brzuch i nagle na twarz i ubranie Nicka trysnął strumień gęstej, gorącej cieczy. To było mleko!

- O, przepraszam, chciałam tylko pokazać...

- To ja przepraszam - przerwał jej Nick. - Zachowałem się jak grubianin. A teraz musimy działać szybko. Zechce nam pani pomóc? Nie mam pojęcia, co trzeba robić.

- Proszę mi zaufać - uśmiechnęła się dziewczyna. - Przyjęłam na świat niejednego źrebaka. Wychowałam się z końmi. Bierzmy się do dzieła.

Nie minęło dwadzieścia minut, gdy dorodny źrebak opuścił brzuch matki. Teraz leżał na słomie, a szczęśliwa klacz lizała jego mokre futerko.

- Tony, czy możesz mi wyjaśnić to wszystko? - Nick był oszołomiony ostatnimi wydarzeniami.

- Niestety, panie Coleman. - Stajenny podrapał się w głowę. - Podobnie jak pan, nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Nie zapładnialiśmy pańskiej klaczy.

- Wygląda na to, że Czarownica sama znalazła sobie wybranka i poszła za głosem serca - wtrąciła dziewczyna.

Dopiero teraz Nick przyjrzał się niezwykle gościowi. Jej twarz, choć umorusana w końskiej krwi, odznaczała się niezwykłą urodą, a pod białą bluzką i dzinsowymi spodniami rysowała się ponętna figura. Lekko kręcone, długie kasztanowe włosy związane były na czas porodu jakimś sznurkiem. Na uszach diamentowe kolczyki lśniły przy każdym poruszeniu głowy.

I te oczy, wielkie i lśniące jak księżyc w pełni...

- Pozwoli pani, że jeszcze raz przeproszę za moje zachowanie - odezwał się Nick. - Skąd mogłem przypuszczać, że taka piękna i młoda osoba ma takie umiejętności.

- Uważa pan, że młodość i uroda wykluczają wiedzę?

- Cóż, przyznam się pani, że rzadko spotyka się połączenie tych wszystkich cech w jednym ciele. Kobiety, które dotąd przyszło mi spotykać, jedyne co umiały, to malować paznokcie. A wiedza typu jaki puder dobrać do jakiej cery, stanowiła wyżyny ich umiejętności intelektualnych.

- Wobec tego teraz oto stoi przed panem kobieta, która nigdy nie malowała paznokci. Jestem Jackie Alexander - przedstawiła się. - Ale proszę mi mówić po imieniu.

- Nicholas Coleman. Po prostu Nick.

Nowo narodzone źrebie dźwignęło się ze słomy, na mocno drżących nogach podeszło do matki i zaczęło ssać.

- To dziewczynka! - krzyknął uszczęśliwiony Tony, nie bacząc, że przez całe to zajście najprawdopodobniej wyleci z pracy. Kochał konie jak rodzone dzieci, których jednak Bóg mu poskąpił. Pracował z końmi od wielu lat, nawet za czasów, gdy stadnina znajdowała się jeszcze na Sunstreet, a jej właścicielką była wówczas Helen O'Donnell.

- Czy zgodzisz się, Jackie, być jej matką chrzestną? - zaproponował nie mniej szczęśliwy Nick.

- To będzie dla mnie zaszczyt.

- Wobec tego wymyśl jej jakieś imię.

- Imię? - zakłopotana się. - Doprawdy nic mi nie przychodzi do głowy...

- Wobec tego co powiesz na Alex, od twego nazwiska? Dziewczyna zmieszała się jeszcze bardziej.

- To już niech lepiej będzie Saran.

Stajenny drgnął, słysząc to imię, ale oni tego nie zauważyli.

- Saran? - powtórzył Nick. - Trochę dziwne imię jak dla konia, ale niech będzie. - I zwróciwszy się do Tony'ego, dodał: - Przygotuj więc miejsce dla małej Saran. Gdy skończysz, przyjdź na daczę.

- Tak jest, panie Coleman. - Stajenny patrzył dziwnym wzrokiem za oddalającą się parą. Ona powiedziała: Saran. To nie może być zbieg okoliczności.

Łazienka, podobnie jak całe wyposażenie rezydencji, aż lśniła od przepychu. Pożłacane kurki, najnowsze wyposażenie, najdroższe meble. Tak, Jerry Lovestone z całą pewnością należał do ludzi, którzy lubią na co dzień dotykać swego bogactwa, widzieć je dookoła, chodzić po nim, chęć się nim.

Ale wystarczyłoby zabrać całe to bogactwo, a nie zostaliby z takich ludzi nic. Tylko pusta skorupa.

Zrobię z ciebie taką skorupę, Lovestone, pomyślała Jackie. A potem ją rozbiję!

Jackie wzięła prysznic. Potem ubrała przyszykowaną przez służącą letnią sukienkę na ramiączkach, czarną, w żółte słoneczniki. Jej własne ubranie umorusane w piachu i końskiej krwi nadawało się do porządnego prania. Sukienka okazała się lekko przyciasna, widocznie należała do szczuplejszej osoby.

Za drzwiami czekała służąca, by zaprowadzić gościa do jadalni. Kubanka patrzyła z uznaniem na Jackie, najpewniej wieść o jej wyczynie rozeszła się już po całym ranczo.

Nick skamieniał, gdy ujrzał przebranie dziewczyny. Przecież to sukienka Vanessy! Po chwili opamiętał się. To nie Vanessa.

Ta była wyższa i wyglądała o niebo lepiej od jego, o zgrozo!, przyszłej żony. Jackie coraz bardziej go fascynowała. I to nie dlatego, że zawsze interesowały go nowe spódniczki. Akurat w tej kobiecie czuło się jakąś moc, niezależność, dzikość. Ta budziła respekt.

Pomyślał, jak by to było kochać się z nią i czy zdobyłby się na taką odwagę.

Z apetytem zjedli obiad, jeszcze raz wracając do narodzin zrebienia.

- Czego się napijesz? - spytał Nick, gdy skończyli jeść i zdziwił się lekko, usłyszawszy odpowiedź.

- Wódki z lodem.

Najbardziej lubiła czang, białe piwo z ryżu lub jęczmienia, które beczkami pito w Nepalu. Trudno jednak o czang w Nowym Jorku. Na drugim miejscu preferowała właśnie wódkę, byle by była mocna i zimna.

- Czujesz się tu jak u siebie - zauważyła - ale to chyba nie jest twoje ranczo.

- Rzeczywiście. Należy do mojego... - już miał powiedzieć przyszłego teścia - mojego szefa. Trzymam tu swoje konie. To najlepsze stajnie w okolicy.

- A właśnie, wracając do celu mojej wizyty... powiedziano mi, że pan Lovestone jest tutaj.

- Był, ale wyjechał o świcie. Może ja mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie mógłbyś, skoro nie jesteś właścicielem. Szukam zatrudnienia - skłamała. - Chcę pracować przy koniach w, jak powiedziałaś, najlepszych stajniach w okolicy.

Znów udało jej się wprawić Nicka w osłupienie.

- Pracować? Tutaj? No tak, dlaczego by nie, udowodniłaś właśnie, że znasz się na rzeczy. Skąd właściwie u ciebie takie zamiłowanie do koni?

- Mówiłam ci już, wychowałam się wśród nich. Pochodzę z Teksasu. Tam wszyscy hodują konie. Poza tym chcę robić w życiu to, co naprawdę lubię. Mam, co prawda, spory majątek po ojcu - ciągnęła. - Mogłabym żyć z niego skromnie do końca życia, ale chcę czegoś więcej. Pociągają mnie nowe miejsca, nowi ludzie. A Teksas musiałam skreślić. Po śmierci ojca nie mogłam tam zostać.

- Nie masz nikogo?

- Matki nie znałam, umarła przy porodzie. Ojciec hodował konie, nie był jednak dobrym przedsiębiorcą, tonął w długach. Zmarł pół roku temu na serce. Po jego śmierci sprzedałam wszystko i wyniosłam się stamtąd w diabły. Czasem myślę, że umarł ze zgrzyoty - westchnęła.

- To smutne. A co na to ci wszyscy wierzyciele?

- Na pewno są wściekli. Zmieniłam nawet nazwisko, by nie udało im się mnie znaleźć. Ale gdy pomnożę swój majątek, oddam im wszystko, co do centa. Nie pozwolę, by cokolwiek plamiło honor mego ojca. Długi trzeba spłacać - ostatnie zdanie zabrzmiało złowroźnie.

- Myślę, że jednak będę umiał ci pomóc. - Nickowi zrobiło się żal tej pięknej dziewczyny z Teksasu. - To nie Lovestone zatrudnia tu pracowników, ale zarządca rancza. A ty dałaś dzisiaj wystarczający popis swoich umiejętności, zakasowałaś nawet Tony'ego. Bez dwóch zdań.

- Chyba go nie zwolnisz? - Stary stajenny zdążył wzbudzić sympatię dziewczyny. - To nie jego wina, że nie dopilnowano cnoty twojej klaczy. Przecież nawet ty sam nie zauważyłaś, że Czarownica jest żrebna.

- Wiesz, Jackie, masz rację. W końcu wszystko dobrze się skończyło, a mnie przybył jeszcze jeden koń, Saran. - I dodał: - Przeprowadzisz się tu w przyszłym tygodniu. Poinformuję o wszystkim zarządcę.

Tony przeniósł Czarownicę ze źrebięciem do innego boksu, specjalnie przystosowanego dla klaczy z młodymi. Było mu ogromnie żal, że nie będzie mógł patrzeć, jak to małe stworzonko staje się pięknym koniem wyścigowym. Coleman na pewno każe go zwolnić.

Jednak nie tylko to zaprzętało myśli starego człowieka.

Ta dziewczyna powiedziała: Saran. To musi być ona. Siostrzenica Helen O'Donnell.

Coleman stał na parkingu przed dacją.

- Chciał mnie pan widzieć - rzekł Tony.

Dziewczyny nigdzie nie było widać. Stajenny z przerażeniem zauważył, że zniknął też jej samochód.

- Tak - odparł Nick. - Wracam do miasta i chciałbym przedtem ustalić z tobą parę spraw. Po pierwsze, trzeba sporządzić metrykę Saran, a że nie wiemy, kto jest ojcem, wpiszesz mojego Rocco. Zresztą to całkiem prawdopodobne, że Czarownica właśnie jemu dała dupy. Z paniami nigdy nie wiadomo. Druga sprawa, nikt nie może się dowiedzieć, że to przypadkowe zapłodnienie.

- Ale już wszyscy wiedzą, że nie spodziewaliśmy się źrebięcia...

- To powiesz, że klacz była zapładniana, ale badanie ultrasonograficzne zawiodło i stał ta niespodzianka.

- Jak pan każe.

- I ostatnia rzecz.

- Rozumiem, panie Coleman. Pójdę się spakować.

- A po cholere?

- No, jak to? Po tym wszystkim to chyba jasne, że nie mam tu czego szukać.

- Tony - rzekł łagodnie Nick - przypadkowe narodziny źrebięcia to jeszcze nie powód, żeby wyrzucać kogokolwiek.

- Więc jaka jest ta ostatnia sprawa? - zapytał ucieszony Tony.

- Ta dziewczyna, która odebrała poród...

- Tak, panie Coleman? - stary ożywił się.

- Ona będzie tu pracować. Zjawi się na rancho w najbliższych dniach.

Dopilnuj, by niczego jej nie brakowało.

Więc nadszedł czas zemsty, pomyślał Tony za odjeżdżającym BMW Colemana.

- Mówię ci, Jerry, to niewiarygodne! - jeszcze tego samego dnia Nick zadzwonił do Lovestone'a. - Mnie i Tony'emy szczęki opadły ze zdziwienia. Żaden weterynarz lepiej by tego nie rozegrał. Co tu dużo mówić, sam myślałem, że Czarownica zdycha.

- Więc kazałeś zatrudnić tę Alexander - stwierdził Lovestone usłyszawszy całą historię. - A co o niej wiesz?

Nick opowiedział szefowi o Teksasie i o zmarłych rodzicach. Nie wspominał natomiast o długach dziewczyny. Nie chciał psuć jej dobrego wizerunku. Gdy skończył, Lovestone rzekł wspaniałomyślnie:

- Skoro jest taka niesamowita, niech sobie pracuje. Ale powiedz mi, mój drogi, zdążyłeś już zaciągnąć ją do łóżka?

Nicka zmroziły te słowa. Jackie nie zasługiwała na wulgaryzm. Już miał opowiedzieć o wrażeniu, jakie na nim wywarła, ale ugryzł się w język.

- Jakoś nie było czasu, Jerry.

- Och, nie trudź się więc - powiedział Lovestone. - Tym razem zostaw ten kasek przysłemu teściowi.

- Żartujesz? - Nick czuł nieprzyjemny uścisk w gardle.

- Bynajmniej.

- Ona jest w wieku twojej córki!

- Cóż, lekarz zalecił mi zmianę trybu życia. Myślisz, że miał na myśli wybieranie młodszych kochanek?

- Trzeba było jego o to spytać! - Coleman był już bardzo wściekły.

- No, no, odpuść sobie. Żartowałem. Ale widzę, że zaszła ci za skórę ta pani weterynarz z przypadku. - Jerry zaśmiał się chrapliwie do słuchawki.

Po skończonej rozmowie Jerry Lovestone rozciągnął się wygodnie na olbrzymim łóżku wodnym, a dwie młodziutki, najwyżej piętnastoletnie Murzynki ubrane jedynie w szpilki i skórzane pasy zapięte wokół talii, rozpoczęły delikatny masaż jego ciała. Prawie natychmiast zapomniał o Jackie Alexander.

Nick myślał o niej całą noc.

Tym razem detektyw Clark Davis powitał Jackie w nowym biurze w północnym Bronksie.

- Widzę, że powodzi ci się o niebo lepiej niż przedtem. - Dziewczyna usiadła na skórzanej kanapie i rozejrzała się dookoła. - Połyskujące metalem

nowoczesne meble i najlepszy sprzęt komputerowy. Zadziwiająca. O, jest nawet telefon - zaśmiała się.

- Tak. I mam więcej krzeseł. - Clark też się roześmiał. Cieszyła go ta wizyta.

- Wygrałeś los na loterii?

- Coś w tym rodzaju. Odnalazłem pewnej damie zaginioną ciotkę.

- Nie gadaj?! - szczerze zdziwiła się Jackie. - Przy wejściu powitały mnie dwie długie nogi, a przechodząc przez sekretariat zauważyłam pokój jeszcze jednego detektywa. Dwa tygodnie temu nie miałeś na mieszkanie, a teraz stać cię, żeby płacić im pensję. Niemożliwe, że starczyło ci na to wszystko z pieniędzy, które ci zapłaciłam.

- No, niezupełnie. Za tamte pieniądze tylko wynajęłam nowe biuro i spłaciłam część starych długów. Ale od pierwszego dnia, gdy zacząłem tu urzędować, posypały się zlecenia. Przychodzą pojedynczy klienci, ale jest też kilka kancelarii prawnych, dla których kiedyś pracowaliśmy z ojcem. Musiałem zatrudnić jeszcze kogoś. Sam nie dawałem już rady. Obaj z Markiem Howardem, to mój nowy pracownik, cały czas jesteśmy w terenie. Laura, długie nogi, przyjmuje zlecenia i jest naszą skrzynką kontaktową. A meble są na raty.

- W takim razie przyjmij moje gratulacje. Mało kto potrafiłby tak zgrabnie odbić się od dna.

Clark spoważniał.

- To dzięki tobie, Jackie. - Popatrzył na nią czule. - Pozostanę twoim dłużnikiem do końca życia.

- Nie przesadzaj - zmieszała się. Coś ją dziwnie ścisnęło w gardle. - Ale á propos dłużników, u jednego z moich zaczynam właśnie pracować.

- U Lovestone'a? Żartujesz? Jak ci się to udało?

- Pomógł mi przypadek. - Jackie opowiedziała mu o zajściu na rancho. Gdy skończyła, oczy Clarka wyrażały bezgraniczny podziw dla jej osoby.

- To niesamowite - rzekł. - Nie myślałem, że znasz się na koniach. Co ty właściwie robiłaś tam, w Tybecie?

- Żyłam, Clark - westchnęła. - Po prostu żyłam. Opiekowałam się końmi i innymi zwierzętami. Chodziłam po górach, po lasach, pływałam w rzekach. Cieszyłam się każdym dniem. Z dala od cywilizacji poznawałam myśli wielkich filozofów. W dżungli zwrotnikowej studiowałam Sofoklesa i Kanta, Nietschego i Rousseau. W szumie wodospadu podziwiałam sztukę

Moneta i Renoire'a. W ciszy wiecznych śniegów delektowałam się dziełami Chopina i Beethovena. To był całkiem inny świat, Clark - ciągnęła. - Tam tygrys zabija, by przeżyć, a człowiek chyli czoło przed wiecznością. Ale musiałam to zostawić, gdyż tak chcieli ci, którzy mnie kochają. - Głos Jackie zadrżał. - Trafiłam do innej dżungli, z betonu i stali, gdzie człowiek zabija nie po to, by przeżyć, ale by zaspokoić swą próżność.

Gdy skończyła, na chwilę zapanowało milczenie.

- Wiesz, Jackie - wreszcie odezwał się Clark - nie podejrzewałam nawet, że z ciebie takie indywiduum. Skoro tak zakuwałaś w Tybecie, powinnaś ukończyć jakąś szkołę, tu, czy w Europie - detektyw ożywił się. - Mogłaś sięgnąć wyżej niż stajnie Lovestone'a. Mogłaś zostać jego sekretarką albo jakimś dyrektorem, mogłaś...

- Clark - przerwała mu rozbawiona - studiowałam na Oxfordzie.

Detektyw wytrzeszczył oczy.

- No, nie patrz tak. Mistrz Jon-Te, tybetański lama, który mnie uczył i wychował - tłumaczyła - zadbał też i o to, bym miała jakieś legalne wykształcenie. I wiedz, że nie zamierzam być sekretarką Lovestone'a. Ja będę samym prezesem New York Oil and Company!

- Wierzę, że osiągniesz swój cel - podziw Clarka dla tej dziewczyny zmienił się w uwielbienie.

- Dzięki. A na razie powiedz mi, czy udało ci się odnaleźć tego Bearsa z listu od ciotki?

Detektyw sięgnął po dokumenty leżące na biurku i zaczął czytać:

- Anthony Bears, adwokat, urodzony w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku w Baltimore, do siedemdziesiątego piątego roku prowadzący niewielką kancelarię prawniczą w Brooklynie, właśnie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym z niewiadomych przyczyn kończy wątpliwą karierę adwokacką i, uważaj, zaczyna pracę u Helen O'Donnell jako osoba zarządzająca stadniną koni, adres, zgadnij, Sunstreet czterdzięci dwa. Po dwóch latach stadnina zostaje przeniesiona na wieś. Od tamtej pory, to jest od roku siedemdziesiątego siódmego, miejsce pobytu Anthony'ego Bearsa pozostaje nieznanne. - Clark skończył czytać i popatrzył przezpraszająco na Jackie.

- Przykro mi, małeńka, tym razem nie udało mi się ci pomóc.

- Ależ Clark! Pomogłeś mi i to bardzo! - ucieszyła się dziewczyna.

- Już wiem, gdzie jest mecenas Anthony Bears!

Jeszcze tego samego dnia Jackie Sand wymeldowała się z hotelu Capitol.

- Już pani nas opuszcza? - zagadnął ten sam recepcjonista, u którego chyba wieki temu wynajęła pokój.

- Tak, wracam do Europy - skłamała. - Czy tym razem mógłby pan mi pomóc przy bagażach? Tyle tego nakupiłam...

- Oczywiście! - recepcjonista promieniał. A gdy pobiegł na górę po bagaże, Jackie szybko weszła do recepcji i sięgnęła po książkę meldunkową.

Kiedy recepcjonista, uginając się pod ciężarem walizek, wszedł do hallu, dziewczyna stała tam, gdzie ją zostawił. Zapakował walizy do taksówki. Dziewczyna wsiadła. Taksówka odjechała.

Wróciwszy do recepcji, mężczyzna zerknął do książki meldunkowej. Tylko zapis w książce świadczył, że jeszcze przed chwilą to niezemskie zjawisko stało tutaj przed nim.

Dziwne, pomyślał, przysięgłbym, że nazywała się jakoś inaczej.

W książce widniało nazwisko Jackie Alexander.

Jackie jechała taksówką na rancho Lovestone'a. Cieszyła się, że łatwo udało jej się zatrzeć po sobie ślady w hotelu. Wystarczyło wszędzie przed nazwiskiem dodać ALE, na końcu ER, a S przepisać na X.

Na przyszłość muszę być ostrożniejsza, postanowiła. Na razie Lovestone nie powinien dowiedzieć się, kim jest jego wróg.

- Jestem Patt - trajkotała młoda służąca o latynoskiej urodzie. Obie z Jackie szły w kierunku budynku dla służby. - Sprzątam cały ten burdel na zmianę z Lilly. Teraz jest tu w miarę spokojnie, ale gdy zaczyna się sezon wyścigów, mamy urwanie głowy. Albo gdy Lovestone przywozi tu swoje dziwki. Mówię ci, istny cyrk! Całe towarzystwo potrafi nieraz biegać nago po dacy. O, niejeden dziennikarz z aparatem fotograficznym dorobiłby się tu fortuny.

- Czy Lovestone nie zdaje sobie z tego sprawy? - spytała Jackie, która chłonęła każde słowo Patt.

- To chytry lis. Dobrze się kamufluje. Nikt nie wie o jego prywatnym hobby. Nawet jego żona niczego się nie domyśla. Bardzo go kocha. To dobra i uczciwa kobieta. Nie zasługuje na takiego łotra.

- No a służba? Przecież pracuje tu sporo osób. Zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że ktoś się przed kimś wygada. Na przykład ty teraz.

Patt tylko zaśmiała się na to stwierdzenie.

- Skoro będziesz tu pracować, powinnaś wiedzieć, jakie tu panują zwyczaje. Zresztą, przekonasz się na własne oczy, że nie kłamię. A co do lojalności, to zbyt dobrze tu zarabiamy, by obchodziło nas, co robi Lovestone. Poza tym, niech no kto by spróbował coś powiedzieć, Lovestone by go zniszczył.

- Tak po prostu?

- Oczywiście - przytaknęła Patt, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod słońcem. - On jest wszechpotężny. Każdy to wie.

- Oczywiście - powtórzyła Jackie.

- Są dwie łazienki, dla kobiet i mężczyzn - mówiła Patt, gdy weszły do budynku. - Jadalnia jest na dole. Jedzenie wyśmienite, w końcu to moja mama jest tu kucharką - podkreśliła dumnie. - Z basenu przed daczą można korzystać tylko wtedy, gdy państwa ani gości nie ma akurat na ranczo, czyli w zasadzie prawie nigdy. Za to nieopodal, w lesie, płynie wspaniała rzeczka. Kąpiel w niej to prawdziwa przyjemność.

- To tak często ktoś tutaj przyjeżdża?

- Ci wszyscy bogacze z Manhattanu poczytują sobie za zaszczyt trzymać u Lovestone'a swoje konie. No i prawie każdy z nich to także niezły dziwak o wypaczonych upodobaniach seksualnych.

Dziewczyny stanęły przed drzwiami na piętrze.

- Oto twój pokój. - Weszły. - Masz tu telewizor, wygodne łóżko, szafkę na ubrania. Sprzątasz sama. To chyba wszystko. Gdy nie będziesz czegoś wiedziała, pytaj. Każę przynieść twój bagaż i powiem zarządcy, że już jesteś. Ach! Jeszcze jedno. - Patt była już w drzwiach. - Trzymaj się z dala od Michaela.

- A kto to jest Michael? - zapytała Jackie.

- Jest tu szoferem. To mój chłopak.

- W takim razie obiecuję, że nie będę ci wchodzić w drogę - zapewniła służącą Jackie.

Peter White, zarządca rancza, oprowadził Jackie po stajniach.

- Do twoich obowiązków będzie należała opieka nad końmi, czuwanie nad ich stanem zdrowia. Szczególną opieką otoczysz Abigaile, klacz Lovestone'a. Na jesiennych wyścigach ma się prezentować olśniewająco. Swoją drogą, niezłe się spisalaś przy narodzinach Saran - dodał z uznaniem.

Doszli do boksu Czarownicy ze źrebkiem. Tony wyczesywał właśnie sierść klaczy.

- Zobacz, Tony, kto przyjechał - powiedział zarządcą.

Tony'ego nie zdziwiła ta wizyta.

- Witam panienkę.

- Myślę, że Tony najlepiej wyjaśni mi moje obowiązki - zaproponowała Jackie.

- Nazywasz się Anthony Bears - bardziej stwierdziła niż zapytała Jackie, gdy zostali sami.

- Zgadza się - odparł stajenny. - A panienka jest...

- Jackie Sand. Saran.

- Wiedziałem! - Tony podszedł do niej wzruszony i z wielkim szacunkiem ucałował jej obie dłonie. - Mam coś, co panienkę zainteresuje.

- Wiem. Testament. Ciotka zostawiła mi przed śmiercią list. Ale powiedz mi, czemu pracujesz dla tego drania?

- To jedyne miejsce, gdzie mógłbym panienkę spotkać. Poza tym opieka nad końmi wychodzi mi znacznie lepiej niż adwokatura.

- Przestań z tą panienką.

- Twoja ciotka byłaby z ciebie dumna. Bardzo bolała nad tym, że nie może cię poznać - mówił Tony. - Szkoda, że musiała umrzeć tak młodo. To była wspańska kobieta.

- Wierzę. - Dziewczyna patrzyła w ziemię. - Lovestone zapłaci za to, co uczynił mojej rodzinie.

- W jaki sposób zamierzasz nadpić to piwo? Wiesz już przecież na pewno, jakim człowiekiem jest Lovestone.

Jackie uśmiechnęła się tajemniczo.

- Zwyczajnie. Wystąpię o wypłacenie dywidendy od dwudziestu procent akcji New York Oil and Co., zgodnie z ostatnią wolą Helen O'Donnell.

- To szaleństwo! - Tony wyglądał na przerażonego. - Myślisz, że Wielki Prezes odda tak po prostu piątą część swojej firmy? On zakwestionuje ten testament!

- Wielki Prezes? - dziewczyna uniosła do góry brwi w geście zdumienia.

- Tak go nazywamy.

- Dobrze więc. Niech sobie Wielki Prezes kwestionuje, co chce. Będziesz bronił moich racji.

- Jackie - jęknął Tony - nie praktykowałem od ponad dwudziestu lat. Jak ty to sobie wyobrażasz?

- Przesadzasz. Po prostu jeszcze jedna zwyczajna sprawa o spadek. - Lekki ton Jackie nie współgrał z jej zimnym spojrzeniem. - Tym razem nie pomogą Lovestone'owi jego pieniądze i wpływy. Prawo jest po mojej stronie. Jest coś jeszcze. Ja też mam pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. Dziś wieczorem przyjdź do mojego pokoju. Odczytasz testament, aby formalności stało się zadość. Wtedy powiem ci, co postanowiłam. A teraz bierzmy się do pracy. Opowiedz mi o tych wspaniałych czworonogach. Muszę je lepiej poznać.

Nick nie poznawał samego siebie. Przez dwa tygodnie nie zwrócił najmniejszej uwagi na swoją nową sekretarkę - Bernice Wood. Loreen wyleciała z hukiem. Jej następczyni była młoda, ponętna i dobrze wykonywała swoje obowiązki sekretarki. A jednak w ogóle nie interesowała go jako kobieta. Co się ze mną dzieje, myślał. Wciąż miał przed oczami obraz Jackie z twarzą umorusaną końską krwią i z włosami przetykanymi słomą. Ciekawe, czy już tam pracuje?

Wreszcie w czwartek Coleman nie wytrzymał.

- Wyjeżdżam - rzucił Bernice. - Odwołaj jutrzejsze spotkania. Nie będzie mnie do poniedziałku.

Tego czerwcowego popołudnia rancho Lovestone'a prezentowało się w całej swej okazałości. Tryskające fontanny, wypielęgowany ogród pełen róż i niskich drzew, równo przystrzyżony trawnik, wykładane marmurem alejki, a na tle tego wszystkiego okazała rezydencja zwana potocznie daczą. W dali zaś dębowy park i niezmierzone połacie zielonych łąk.

I konie - teraz maleńkie punkciki.

Nick nie zatrzymał się przed daczą, ale dojechał aż do stajni. Tak mu było pilno zobaczyć Jackie.

Zauważył ją z daleka. Galopowała w jego stronę na okazałym siwoszu i wyglądała jak bogini. Coleman czuł, że serce zaczyna mu bić żywiej.

Dojechawszy do celu, dziewczyna lekko zeskoczyła z konia.

- Cześć, Nick - rzuciła wesoło. - Przyjechałeś zobaczyć swój najmłodszy inwentarz?

Przyjechałem zobaczyć ciebie.

- Coś w tym rodzaju. Saran na pewno podrosła. Trzy tygodnie to dużo dla takiego maleństwa. - Jackie słuchała, patrząc mu głęboko w oczy, a on miał świadomość, że tonie w tym spojrzeniu. - Nie mogłem przyjechać wcześniej, miałem dużo pracy. Kierowałem kampanią reklamową nowych perfum. - Co ja robię, pomyślał, tłumaczę się jak szczeniak. - A to dla ciebie - podał Jackie flakonik. - Za Saran.

- Co to jest?

- Dotyk Oceanu. Nasze najnowsze perfumy.

- Dzięki, ale nie wiem, czy powinnam je przyjąć. Są na pewno dość drogie. - Jackie otworzyła flakonik. - Pachną pięknie.

- Półtora tysiąca za sztukę. Ale nie martw się. Nie kupiłem ich. Mam takich parę, jako materiał promocyjny.

- Wobec tego przyjmuję prezent. A swoją drogą, to rzeczywiście drogie perfumy. Skoro za uncję trzeba zapłacić aż półtora tysiąca dolarów, to ile dostaniecie za tonę?

- Ponad pięćdziesiąt milionów - odpowiedział bez chwili wahania. - Korporacja, dla której szefa oboje pracujemy, jest w stanie wyprodukować około stu ton tej substancji. Jednak po sprzedaniu jakichś dziesięciu, może dwudziestu ton, trzeba będzie zejść z ceny.

- Sporo zarobicie na tym produkcie - stwierdziła Jackie.

- Około dwóch miliardów dolarów na czysto.

- Wasze oferty nie są chyba kierowane do przeciętnych kobiet?

- Och, dla tych mamy inne perfumy, tańsze. Te są dla królowych, żon prezydentów i kobiet biznesu.

- To ciekawe. - Jackie uważnie obserwowała każde poruszenie warg Nicka. Dla niej mógłby mówić bez końca. Zapragnęła nagle dotknąć tych ust swoimi ustami, poczuć ich ciepło... Zawstydzona własnymi myślami odwróciła głowę. - Nie rozumiem jednego. Dlaczego potem trzeba będzie obniżyć cenę?

- Ponieważ rynek nasyci się w końcu Dotykiem Oceanu - tłumaczył Nick. - Będą też inne perfumy. Bogate panie będą miały w czym przebierać. A gdy nasz produkt stanie się, stanie się dostępny dla pań średniozamożnych. Tak jest zawsze. Za nowość i modę trzeba zapłacić więcej, a przy okazji producent spija śmietankę. Potem moda powszednieje, dochodzi konkurencja...

- Tym razem może być inaczej. - Dziewczyna oparła się o maskę BMW i patrzyła, jak Abigaile skubie trawę. - Nie musicie schodzić z ceny.

- O, czyżbyś oprócz koni znała się też na ekonomii? - zaciekawił się Nick. - Według ciebie, co powinniśmy zrobić? Przy obecnej cenie perfum nie utrzymamy się zbyt długo na rynku. Tony towaru pozostaną w magazynach.

- Radziłabym podnieść jeszcze cenę, gdy popyt zacznie słabnąć. Dopiero potem obniżyć ją do obecnego poziomu.

- Nie wiesz, co mówisz - oburzył się. - To kompletne bzdury! Flakony porosną mchem na półkach sklepowych, zanim ktoś je kupi po droższej cenie. Zajmij się lepiej końmi, bo na tym, zdaje się, znasz się najlepiej!

Dziewczyna wskoczyła na konia.

- Jak pan każe, panie Coleman - syknęła i zmusiwszy klacz do galopu, pognąła w stronę lasu, będącego jedynie postrzępioną czarną kreską oddzielającą łąki od błękitu nieba.

Nick był wściekły na samego siebie. Po co tu w ogóle przyjeżdżał? Po co dał jej te cholerne perfumy?

Kazał osiodłać Indiankę. Saran właśnie ssała matkę. Poklepał żrebię po zadzie. Czarownica parsknęła gniewnie.

Czy taka gęś, myślał, doceni mój prezent? W życiu! Zamiast za ekonomię, powinnaś wziąć się za gary, dziewczyno! Podwyższyć ceny! Śmieszne! Przecież gdy jedno bogate babsko kupi perfumy za półtora tysiąca dolarów, a potem cena wzrośnie, to drugie bogate babsko...

Nick doznał olśnienia. To było zbyt proste, by mogło być prawdziwe. Oczywiście! Drugie bogate babsko poleci czym prędzej do salonu sprzedaży, by kupić flakon, zanim cena wzrośnie jeszcze bardziej!

Jackie siedziała na trawie, na brzegu rzeki szumnie nazwanej przez Patt wspaniałym miejscem do kąpeli. Koń pasł się nieopodal. Woda w rzece była mętna i zanieczyszczona. Nie szumiała jak strumienie w Tybecie. Pełzła leniwie swym korytem, by wreszcie, gdzieś tam, wypłuć się do oceanu.

Dotyk Oceanu. Szumna nazwa przyszła jej na myśl. Dziewczyna zaciągnęła się głęboko zapachem, który ciągle pozostawał na jej palcach, chociaż właściwie tylko musnęła nimi flakonik. Coś w tym było, jakaś świeżość, głębia, obietnica. Jackie zatęskniła za doliną rzeki Kosi. Tam zapachów nie trzeba było zamykać w butelkach, tam czekały na każdym kroku, by otulić człowieka swą niewidzialną mgłą. A gdy letni monsun zmiesza ze sobą zapach kwiatów, wiecznych lodów, lasów i górskich potoków, tworzy się woń

tak silna, że siega nie tylko do płuc i serca, ale i do duszy. I czujesz, jak dusza wrasta w to dziewicze piękno przyrody. I wiesz, że tu chcesz żyć i umierać. Nie należysz już do siebie. Stajesz się częścią Himalajów.

Lecz oto wspomnienia ukochanych gór przesłonił inny obraz. Twarz mężczyzny, któremu zawdzięczała tę posadę. Twarz Nicholasa Colemana.

Jackie wiedziała o nim tylko tyle, że jest specem od reklamy i prawą ręką Lovestone'a, więc pewnie i jego przyjacielem, a jako takiego należało z urzędu nienawidzić. Lecz jakoś nie mogła się na to zdobyć. To był miły człowiek. Może trochę zbyt porywczy, ale szczery. Czuło się w nim pokrewną duszę. I te oczy. W życiu nie widziała piękniejszych. Osadzone pod krzaczastymi czarnymi brwiami, okolone długimi rzęsami, miały kolor morskiej zieleni, a ich spojrzenie było tak głębokie, że chciałoby się w nich tonąć bez końca.

Nagle echem po lesie odbił się tętent kopyt końskich. Abigaile czujnie uniosła łeb. I oto nie kto inny, jak Nicholas Coleman na swej kłaczycy Indiance, wyłonił się ze ściany lasu.

- Szukałem cię, Jackie. - Nick zszedł z konia i usiadł obok niej.
- Czy po to, aby mnie dalej obrażać? - oparła urażonym tonem.
- Winienem ci jestem przeprosiny.
- Tym razem przyjmuję. - Za wszelką cenę starała się ukryć swą radość z tego spotkania. - Ale uważaj, bo obrażanie mnie zaczyna ci wchodzić w krew.

Nick posłał jej czarujący uśmiech.

- A wracając do naszej rozmowy, którą tak niegrzecznie przerwałem - zaczął nieśmiało - czy mogłabyś mi bliżej wyjaśnić, o co chodziło z tymi podwyżkami cen? Bo coś mi się wydaje, że możesz mieć rację.

- Doprawdy? - przekomarzała się. - Pewien jesteś, że to cię interesuje? No dobrze, tylko mi nie przerywaj.

- Obiecuję.

- Otóż każdy wie - zaczęła - że gdy producent sprzedaje towar, a ten przestaje schodzić, obniża się cenę i wypycha go, nawet po kosztach produkcji, albo nawet poniżej nich. Ale jeśli towar jest dobry i wart swojej ceny, a zakładam, że Dotyk Oceanu właśnie taki jest, to co zrobi żona prezydenta Francji kupiwszy perfumy za półtora tysiąca dolarów?

- ??

- Pochwali się nimi żonie premiera, a ta z kolei jakiejś innej bogatej kobiecie. Gdy jakaś arabska księżniczka uzna, że w dobrym tonie jest mieć te perfumy, to kupi je nawet za trzy tysiące. To będzie moment podniesienia cen. Oczywiście arabska księżniczka może czuć się oszukana, że przepłaciła w stosunku do żony prezydenta Francji, ale cóż znaczą marne trzy tysiące w porównaniu do jej bogactw. Kupi najwyżej zapasowy flakonik, by uniknąć kolejnej podwyżki. Gdy popyt na droższe perfumy zacznie słabnąć, ceny powrócą do swojej pierwotnej wysokości. Wtedy zarówno żona prezydenta, jak i księżniczka kupią po jednej sztuce na zapas, a średniozamożne kobiety, jak je wcześniej nazwałam, rzucą się na niby tańsze perfumy, jakby od posiadania Dotyku Oceanu zależało ich życie.

- Przyznam ci, że twój pomysł ma ręce i nogi - Nick był pod wrażeniem. - Nigdy bym na to nie wpadł. Jednak zauważam tu jeden problem, mianowicie jest to pomysł krótkowzroczny.

- Co masz na myśli?

- Gdy wynajdziemy inne perfumy, może jeszcze lepsze od Dotyku Oceanu, ten numer z podwyżką cen nie przejdzie. Klienci odgadną nasze zamiary. Nie zechcą płacić drożej.

- Nick, głuptasie, jeśli wynajdziecie lepsze perfumy, nie zdążycie podnieść cen, gdyż nowy zapach renomowanej firmy rozejdzie się szybciej, jak świeże bułeczki.

- Jesteś genialna! - Nick patrzył na nią z podziwem. - Ale czy możesz mi wytłumaczyć jeszcze jedno?

- Co tylko zechcesz.

- Znasz się na koniach, bo wychowałam się wśród nich, ale skąd, u diabła, masz pojęcie o marketingu?

- Mimo długów ojciec zadbał o moje wykształcenie. Ukończyłam Oxford.

Rozdział VII

To spadło na nich jak grom z jasnego nieba. Jackie i Nick zakochali się w sobie bez pamięci.

Jackie miała już niewielkie doświadczenie z mężczyznami. Gdy jeździła po Europie, zawsze otaczało ją stado wielbicieli. Z niektórymi chodziła do dyskoteki, z innymi do kina. Czasem z którymś się pocałowała. Nikogo jednak nie darzyła uczuciem większym niż zwykła sympatia. Nigdy też nie odważyła się pójść z nikim do łóżka.

Co prawda szkolne koleżanki Jackie traktowały seks jako hobby, korzystając z niego przy każdej okazji i docinając Jackie z powodu jej dziewictwa, lecz jej to nie pociągało. Nie szukała miłości, ni przygody. Wierzyła, że przyjdzie dzień, w którym to miłość ją znajdzie.

I oto ten dzień nadszedł.

Razem z Patt i Michaeliem pojechali w sobotni wieczór do dyskoteki. Tamta para była z początku mocno skrępowana obecnością samego Nicholasa Colemana, szefa reklamy New York Oil and Co., jednak Nick szybko ujął ich swą prostotą, a i Jackie traktowała go tak normalnie, że wkrótce wszelkie lody zostały przełamane.

Nick dziękował Bogu, że nie próbował pojąć Patt tego dnia, w którym poznał Jackie.

Bawili się we czwórkę wyśmienicie. W którymś momencie, gdy didżej puścił wolną melodię, Nick - nie wiadomo już który raz - poprosił Jackie do tańca.

- Dobrze się bawisz? - zapytał, kręcąc się wolno na parkiecie.
- Bardzo. - Jackie po raz kolejny utonęła w jego spojrzeniu. - A ty?
- Nigdy nie było mi lepiej - szepnął jej do ucha i mocniej ujął talię dziewczyny.
- Nie żartuj. A te wszystkie bankiety, przyjęcia w twojej firmie?

- Są dla sztucznych marionetek poruszanych za sznurki przez inne marionetki. Tu jest inaczej. Tak... - szukał odpowiedniego słowa - żywióło-wo. Patt i Michael są wspaniali. Ty jesteś wspaniała. - Podniósł jej rękę do swych ust i delikatnie pocałował.

Jackie poczuła, jak przechodzi przez nią dreszcz, od dłoni poprzez całe ciało. Jej serce biło tak mocno, iż wydawało się, że wyleci z piersi niczym ptak.

Nick, widząc przyzwolenie w jej oczach, pochylił głowę i najpierw delikatnie musnął wargami jej usta, a gdy te poddały się pieścizocie, natarł odważnie, teraz już w pełni rozkoszując się smakiem pocałunku.

Takiego uczucia, które nagle ośwładnęło te dwa serca, żadne z nich nigdy nie zaznało.

Gdy wreszcie rozłączyli swe usta, ich oczy spotkały się. Nieprzygotowani na takie doznania, byli zdziwieni i zażenowani jednocześnie. Nie mieli pojęcia, co powiedzieć, ale czyż miłość można ubrać w słowa?

Wreszcie zaczęła Nick:

- Gdzie ty do tej pory byłaś, dziewczyno?
- Nieważne, skoro teraz jestem przy tobie.

Była przy nim całą noc i cały następny dzień. Oddała mu swe ciało i duszę, w zamian za co Nick obdarzył ją najgorętszym, nieznanym mu dotąd uczuciem.

W chwilach, gdy się nie kochali, opowiadał jej o ojcu, który zginął podczas pożaru naftowego w Wenezueli i o matce, cierpiącej na udar mózgu, a będącej pod opieką lekarzy w Prywatnej Klinice Neurologicznej w Trenton. Mówił jej o swej drodze do kariery i o roli Jerry'ego Lovestone'a w swoim życiu. Nie wspomniał natomiast o planowanym ślubie. Wciąż miał nadzieję, że jakoś uda mu się wykręcić z tej matni szantażu.

Jackie mówiła niewiele na swój temat. Chwilami zamyślała się nad czymś głęboko. Zastanawiała się wtedy, czy niszcząc Lovestone'a, uda jej się nie zranić przy tym Nicka.

Gdy wreszcie w niedzielę wieczorem Nick musiał opuścić ranczo i wrócić do miasta, pocałunkom przy rozstaniu nie było końca.

- Będę dzwonił, najdroższa - obiecał - a w piątek znów do ciebie przyjadę. Następny weekend będzie nasz. Kocham cię.
- Ja też cię kocham - szczerze odpowiedziała Jackie.

Cały kolejny tydzień Jackie poświęciła na tresurę klaczy Lovestone'a. Abigaile była w świetnej formie. Nie ulegało wątpliwości, że wygranie jesiennych wyścigów to będzie dla niej pestka. Tylko nagła choroba lub wypadek mogły sprawić, że klacz nie stanie do wyścigów. Ale Jackie zbyt kochała konie, by mogła je skrzywdzić. W końcu Abigaile nie była winna temu, że to akurat Lovestone ją kupił.

A Lovestone bardzo liczył na zwycięstwo Abigaile.

Jackie i klacz godzinami snuły się po okolicznych łąkach i lasach, a przypadkowy obserwator mógłby zauważyć dziwną rzecz. Oto koń rozpędzony do najszybszego galopu zwalniał nagle zaledwie do lekkiego klusa i to w momencie, gdy jeździec pochylał się nad końskim łbem. Nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby sytuacja taka nie powtarzała się raz za razem.

Jackie znalazła sposób, by Abigaile nie stanęła na mecie pierwsza.

Najbardziej dłużyły się Jackie wieczory spędzane w samotności. Patt była zajęta z Michaelem, druga służąca, Lilly, wracała na noc do wsi, gdzie mieszkała z mężem i dziećmi.

Tony, ku zmartwieniu zarządcy, odszedł z rancza, tłumacząc się złym stanem zdrowia, w rzeczywistości zaś przygotowywał w Nowym Jorku miejsce do majacej się wkrótce rozegrać walki o sprawiedliwość.

W telewizji także nie było nic ciekawego, może z tym wyjątkiem, że w środę wszystkie stacje telewizyjne zaczęły puszczać reklamę perfum Dotyk Oceanu.

Ciekawe, czy Nick zastosuje się do jej pomysłu.

Nick.

Na samo jego wspomnienie Jackie robiło się gorąco. Nie planowała tej miłości, ale skoro już się stało, trzeba było ją zaakceptować. Martwiło ją jedno, nie chciała okłamywać Nicka, lecz wyznanie prawdy na tym etapie jej gry mogło sprawić, że poczułby się narzędziem w jej rękach. Przestałby je ufać, a do tego żadną miarą nie mogła dopuścić.

Potrzebowała go. Nie tylko jako mężczyzny, ale też jako źródła informacji o New York Oil and Co. I to źródła z pierwszej ręki.

Już wkrótce włożę kij w mrowisko, pomyślała, i już wkrótce powiem ci, skąd przybywam, Nick. Mam nadzieję, że mnie za to nie znienawidzisz.

Nick zadzwonił dopiero w piątek.

- Niestety, nie będę mógł przyjechać na ranczo - mówił z żalem. - Zrozum, interesy. Dziś po południu spróbuję przepchnąć twój pomysł z podwyżką cen perfum.

Jackie zasmuciła się.

- Ale mam też miłą wiadomość - dodał. - Zapraszam cię jutro na wystawne przyjęcie na statku, które organizuje mój znajomy.

- Nie wiem, co powiedzieć - czuła się kompletnie zaskoczona, a smutek, jaki czuła jeszcze przed chwilą z powodu niemożności spotkania w piątek, ustąpił miejsca szalonej radości.

- Powiedz, że się zgadzasz.

- Z przyjemnością będę ci towarzyszyć.

- Wobec tego jutro po południu przyślę po ciebie limuzynę, bo na Michaela chyba nie ma co liczyć.

- O, tak - oboje się roześmieli. - Patt wydrapałaby mi oczy, gdybym porwała jej ukochanego na całą sobotnią noc.

- Więc jesteśmy umówieni - cieszył się Nick. - Acha! Byłbym zapomniał! Chyba masz jakąś sukienkę, oprócz tych twoich nieśmiertelnych dzinsów? Bo jeśli nie, to jestem gotów służyć ci moją kartą kredytową.

- Dziękuję, to nie będzie konieczne. Nie martw się, zrobię się na bóstwo.

Luksusowa limuzyna marki Lincoln z emblematami New York Oil and Co, na drzwiach zajęła na przystań u wybrzeży Manhattanu.

- Jesteśmy na miejscu - odezwał się kierowca. - Zechce panienka poczekać. Pójdę po pana Colemana.

- Dziękuję, trafię sama.

Kierowca otworzył jej drzwi.

Przycumowany do przystani statek kołysał się lekko na rzece Hudson. Wyglądał wspaniale w szarości zmierzchu, oświetlony tysiącami lamp. Słychać było muzykę i śmiech gości.

Dziewczyna weszła na pokład, skąd steward w białej liberii zaprowadził ją do sali balowej.

Jackie ruszyła schodami w dół.

Rozmowy powoli milkły. Wszyscy goście wpatrywali się w nią, urzeczeni jej urodą. Gdyby była naga, nie wywarłaby na nich takiego wrażenia, jak teraz.

Ubrana była w bordową sukienkę z odkrytymi ramionami i dużym dekoltem. Złote pantofelki i torebka połyskiwały przy każdym kroku. Włosy, zwykle rozpuszczone, dziś spięte były w luźny kok z niesfornymi puklami loków po bokach. Na szyi i uszach dziewczyny pyszniły się oprawione w złoto najprawdziwsze diamenty wielkości wiśni. No i ta urocza twarz.

- To anioł - szepnął prezes banku do swego kolegi, biznesmena.
- Rzekłbym raczej, że Wenus z Milo.
- Coś ty, tamta nie miała rąk.
- To chyba jakaś księżniczka - mówiła żona innego biznesmena do przyjaciółki. - Taka wystrojona. To musi być księżniczka.
- To na pewno jakaś córusia tatusia - syknęła Vanessa Lovestone do swego towarzysza, wynajętego chłopaka na telefon, gdyż tego dnia każdy z jej kochasiów był akurat z dziewczyną bądź żoną.
- Coś jak ty? - zadrwił jej wynajęty towarzysz.
- Właśnie.
- Ty nie masz takich błyskotek - zauważył uszczypliwie żigolak.

Nick stał na końcu sali, szczęśliwy i dumny ze swojej Jackie, z jej wyglądu, z wrażenia, jakie wywarła na gościach, a najbardziej z tego, że właśnie dla niego tu przyjechała, że to jego kocha. Gdyby tylko nie bał się Lovestone'a, jeszcze dziś krzyczałby ile sił w płucach, że Jackie jest jego dziewczyną.

- Cześć, Nick - odezwała się głosem, którego tak bardzo mu brakowało. Pocałował ją w rękę; z powodu obecności Vanessy nie chciał afiszować się zbyt mocno ze swoim uczuciem.
- Zaskoczyłaś mnie, podobnie jak wszystkich tutaj.
- Oni mnie nie obchodzą - odparła równie szczęśliwa. - Ważne, że zaskoczyłam ciebie.

Bawili się wspaniale. Tego wieczora wiele osobistości zapragnęło poznać uroczą towarzyszkę Colemana. Także Vanessa nie przegapiła okazji.

- Widzę, mój drogi, że znacznie poprawił ci się gust przy doborze kochanek na jedną noc - powiedziała na powitanie, a gdy Nick próbował ją zignorować, dodała: - Nie przedstawiś nas sobie?
- Jackie, poznaj Vanessę Lovestone. To jedyna jadowita żmija w tym mieście, niestety pod ścisłą ochroną swego ojca.

Na dźwięk zniechęconego nazwiska oczy Jackie zwięzły się jak u tygrysa szykującego się do skoku.

- Jestem Jackie Alexander, jeśli cię to interesuje, Vanesso. Nie martw się o mnie Nick, umiem sobie radzić ze zmijami-

- Doprawdy? - Vanessa wyraźnie szukała zaczepki. - W jaki sposób?

- Zabijam je. Rozgriałam im łeb obcasem buta. - Mówiąc to, Jackie posłała Vanessie promienny uśmiech, po czym ujęła Nicka pod ramię i para ruszyła w stronę wyjścia, zostawiając Vanessę z rozdziawionymi ustami, poczerwieniałą ze złości.

- Jezu - szepnął Nick, gdy znaleźli się na świeżym powietrzu - w życiu chyba nikt tak nie odpowiedział tej gówniarze.

Jackie uśmiechnęła się.

- Jeśli się nie mylę, to pewnie córeczka naszego szefa?

- Zgadza się, tylko że teraz możesz stracić pracę. Ona ma ogromny wpływ na Jerry'ego.

- Nie przejmuj się, nie ta praca, to inna - odparła lekkim tonem, a po chwili dodała: - Coś mi się zdaje, że ona jest o ciebie zazdrosna.

- To tylko wrażenie.

- Nie darzysz jej sympatią, Nick. Dlaczego? I o co jej chodziło, z tymi kochankami?

Nick zbliżył się do burty i - stojąc plecami do Jackie - rzekł ze skruchą.

- Byłem pierwszym mężczyzną w twoim życiu, ale ty nie jesteś pierwszą w moim. Prowadziłem typowe życie kawalera... Często zmieniałem dziewczyny... Lecz nigdy do żadnej nie czułem tego, co teraz do ciebie. - Podeszedł do niej i gwałtownie wziął ją w ramiona.

- Kocham cię, Jackie. Musisz mi uwierzyć - mówił gorączkowo. - Cokolwiek się stanie, pamiętaj, że cię kocham.

Jackie była mocno zaskoczona jego zachowaniem.

- Nie możesz mówić jaśniej?

- Jackie, ja... - Nick usiadł na jakiejś skrzynce i ukrył twarz w dłoniach. Boże, pomyślał, nie mogę jej powiedzieć, że się żenię! Jeszcze nie teraz. Nie w taki wieczór. - Nic, po prostu tak cię kocham, że wariuję. - Popatrzył na nią z uśmiechem. - Wracamy na przyjęcie?

Jackie miała przeczucie, że Nick ukrywa coś przed nią, ale nie chciała dłużej poruszać tematu, który najwyraźniej go drażnił.

- Dobrze - odparła. - Nie dajmy tej żmii satysfakcji, że nas przepędziła z przyjęcia. Ale pokażemy się tam na krótko, bo chcę zadowolić się tobą też w inny sposób.

- Myślę, tatusiu, że powinniśmy ogłosić moje zaręczyny - mówiła Vanessa Lovestone do ojca w dzień po przyjęciu na statku. - Już czerwiec, a datę ślubu ustaliliśmy na październik. Nie zdążę się nacieszyć byciem narzeczoną Nicholasa.

- Jak sobie zyczysz, moje dziecko. - Czyż mógłby jej odmówić czegośkolwiek? - Co powiesz na najbliższą sobotę?

- To doskonały termin - odparła zadowolona. Niech sobie Coleman nie myśli, że może ją bezkarnie upokarzać w obecności swoich dziwek.

- Wobec tego jutro porozmawiam z Nickiem.

W poniedziałek rano na biurku Nicka rozdzwonił się wewnętrzny telefon.

- Tu Lovestone - mówił głos w słuchawce. - Przyjdź zaraz do mojego gabinetu.

Nick odniósł wrażenie, że głos szefa wyrażał ogromne wzburzenie. Ale może tak mu się tylko wydawało?

Biuro Jerry'ego Lovestone'a mieściło się na osiemdziesiątym, najwyższym piętrze budynku firmy New York Oil and Company. Coleman musiał pokonać windą ponad pięćdziesiąt pięter, jako że jego dział reklamy zajmował piętra od dwudziestego piątego do trzydziestego.

Gdy wszedł do gabinetu Lovestone'a, jego uwagę zwróciły stosy codziennej prasy rozłożone na biurku i na podłodze. Dziwne, zważywszy, że firma zatrudniała dziesiątki ludzi właśnie do przeglądania gazet.

W pomieszczeniu było już kilka osób - szefów różnych działów. Lovestone siedział za mahoniowym biurkiem, trzymając w rękach poranne wydanie New York Timesa.

- Panie i panowie - zaczął. - Ktoś próbuje zaszkodzić dobremu imieniu naszej firmy. - Coleman odetchnął w duchu. Nie chodziło o Vanessę i o sobotnie przyjęcie na statku. - W prasie ukazały się oczerniające nas artykuły - grzmiał Wielki Prezes. - Musimy zlokalizować ich źródło i zdusić je w zarodku, nim zdoła narobić więcej szkód.

- Zdawało mi się, że nasza korporacja ma już wyspecjalizowaną komórkę do spraw prasy - dyrektor od wydobycia surowców mineralnych, Ronald Barker, zauważył na głos to, o czym pomyślał Nick.

- Tym razem to dużo poważniejsza sprawa - powiedział Lovestone. - Chodzi o historie sprzed dwudziestu lat. Niektórzy z was pamiętają doskonale kobietę nazwiskiem Helen O'Donnell.

- O, tak! - wtrącił Harley Mandylor, szef gospodarki terenami. - Zwłaszcza to, ile krwi napsuła ci swym uporem.

- Wiemy też, jaką cenę przyszło firmie zapłacić za jej cholerną działkę - przypomniał Wielki Prezes.

- Nie przesadzaj, Jerry - odezwał się zastępca prokuratora okręgowego, Dexter Tucker, szczerze opłacany przez New York Oil w swych kolejnych udanych kampaniach wyborczych, a dziwnym, niezrozumiałym trafem, obecny na tym spotkaniu. - Koniec końców nie wypłaciłeś jej ani centa.

- Tak było do tej pory. Lecz dzisiejsze gazety donoszą, jakoby pojawili się spadkobiercy Helen O'Donnell!

- Nie masz się więc czym przejmować - próbował uspokoić go Tucker. - Już dawno temu ustaliliśmy, że Helen O'Donnell była na tym świecie sama jak palec. Jej jedyna siostra, Eva, została zamordowana wraz z mężem, Johnem Sandem, w Himalajach. Oprócz nich pani O'Donnell nie miała nikogo.

- Może miała jakieś dzieci, męża, cholera wie, co! - Jerry był wyraźnie wytrącony z równowagi. - Jak inaczej wytłumaczyć tę pewność prasy? Spójrzcie tylko na tytuły: Dwadzieścia procent akcji New York Oil trafi wreszcie do rąk prawowitych właścicieli - cytował. - Spadkobiercy Helen O'Donnell istnieją. O, albo ten - Lovestone gorączkowo przerzucał gazety - Helen O'Donnell sięga zza grobu po swoje! Czysta paranoja! - dodał na koniec.

- Uspokój się, Jerry - szefowa od handlu międzynarodowego, pięćdziesięcioletnia Charlotte Fielding, włączyła się do rozmowy.

- Przede wszystkim należy sprawdzić źródło prasy, dopiero wtedy będziemy mogli zająć jakieś stanowisko.

Lovestone popatrzył z wdzięcznością na swą byłą kochankę. Może rzeczywiście zbyt się przejął? Może to zwykła kaczka dziennikarska?

Nagle zadzwonił jego prywatny telefon, znany tylko kilku zaufanym pracownikom, lecz wszyscy oni byli teraz obecni w gabinecie.

Wielki prezes podniósł słuchawkę i słuchał przez minutę, a w miarę upływu czasu na jego twarzy rysowało się coraz wyraźniejsze przerażenie.

- Dobrze, jutro o szesnastej w moim biurze - powiedział na koniec do słuchawki, a zebranych poinformował: - Dzwonił właśnie pełnomocnik spadkobiercy. Chce się jutro ze mną spotkać. Jak oni, do cholery, zdobyli ten numer telefonu?!

Nikt z zebranych nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Poprzedniego dnia Jackie, korzystając z tego, że Nick akurat brał prysznic, spisała wszystkie numery telefonów z jego osobistego notatnika.

Wieczorem na ranczo zajeżdżał sportowy jaguar. Jackie z daleka obserwowała wysiadające z samochodu trzy młode, skąpo ubrane dziewczyny i mężczyznę koło pięćdziesiątki. Widziała już tego mężczyznę na zdjęciach w gazetach, gdy ściskał dłoń prezydentom i szefom fundacji dobroczynnych. Był to Jerry Lovestone we własnej osobie.

Jackie dotknęła chłodnej obudowy aparatu fotograficznego marki Canon. Szczęście mi sprzyja, pomyślała.

Całe towarzystwo zajęło sypialnię na piętrze, od frontowej ściany rezydencji. Okna sypialni wychodziły na dziedziniec, wokół nie było ani jednego dość wysokiego drzewa, na które Jackie mogłaby się wspiąć. Na taką okoliczność dziewczyna zawczasu przygotowała na dachu linę. Kilkakrotnie też miała już okazję z niej korzystać, czego efektem była całkiem spora kolekcja niecenzuralnych zdjęć wysoko postawionych osób, gości rancza, leżąca sobie teraz bezpiecznie w skrytce National Union Bank.

Lecz dopiero dziś miała odbyć się ta najważniejsza sesja fotograficzna.

Dziewczyna zaczęła, aż zupełnie się ściemni, wówczas bezszelestnie opuściła się na linie do wysokości pierwszego piętra. Taki wyczyn nie był dla niej niczym niezwykłym, w Himalajach już jako pięcioletnia dziewczynka wspinała się na półki skalne. Przyklejona do ściany budynku, Jackie była po prostu jeszcze jednym cieniem pośród ciemności nocy. Tylko ledwie słyszalny szum przesuwanej się kliszy w aparacie zdradzał obecność człowieka. A klisza przesuwała się bez ustanku, uwieczniając niezwykłą płataninę nagich ciał za szybą.

W ten oto sposób Jerry Lovestone rozładowywał napięcie, którego Jackie była przyczyną. Leżał związany niczym prosię, a trzy młode prostytutki okładały go na przemian biczem, pieszcząc się przy tym wzajemnie.

Rozdział VIII

W biurze Lovestone'a od rana panował grobowy nastrój. Pracownicy chodzili na paluszkach, bojąc się wejść szefowi w drogę. Wreszcie, punktualnie o szesnastej, sekretarka oznajmiła:

- Przyszedł niejaki pan Charlton Craver, mecenas. Twierdzi, że jest pełnomocnikiem spadkobiercy Helen O'Donnell.

- Niech wejdzie. - Lovestone z trudem opanowywał drżenie, jakie odczuwał na całym ciele.

Do gabinetu wszedł mały, chudy człowieczek w bliżej nieokreślonym wieku; mógł mieć zarówno czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat. Gdy otworzył usta, zdawało się, że nie mówi, a szeleści.

- Dzień dobry - powiedział przybysz. - Jestem mecenas Charlton Craver.

Lovestone odetchnął z ulgą. Spodziewał się jakiegoś znanego adwokata, tymczasem taką płótkę, jaką stanowił Craver, jego prawnicy pokonają bez problemu.

Charlton Craver miał w rzeczywistości pięćdziesiąt jeden lat i na co dzień uczył historii w szkole niedaleko Denver. Kiedyś, jako początkujący prawnik, zaczynał karierę w kancelarii mecenasa Anthony'ego Bearsa, lecz szybko odkrył, że więcej zarobi jako nauczyciel, niż gdyby pozostał w niedającej nadziei na przyszłość, podupadającej kancelarii. Wyprowadził się do małego miasteczka w pobliżu Denver w stanie Colorado, gdzie założył rodzinę. Do tej pory prowadził spokojny, skromny żywot uczciwego męża i ojca dwójki prawie dorosłych dzieci. Taki było jeszcze przed dwoma tygodniami.

Dwa tygodnie temu, gdy Craver wrócił z pracy, zastał żonę dziwnie podkscytowaną.

- Masz gościa, Charlton - powiedziała tajemniczo.

Craver wszedł do pokoju.

- Jak się masz, Charlton! - Na kanapie siedział stary mężczyzna.
- Anthony Bears?! To naprawdę ty? - Craver stanął jak wryty. - Własnym oczom nie wierzę. Ile to już lat się nie widzieliśmy? Dwadzieścia pięć?
- Będzie coś koło tego. - Obaj mężczyźni uściskali się serdecznie. - Widzę, że nieźle się w życiu urządziłeś. Dla mnie los nie okazał się tak łaskawy.

- Właśnie, co u ciebie. Nadal prowadzisz kancelarię prawniczą?

- Jakby to powiedzieć... - odparł Tony wesoło. - Jestem stajennym w stadninie pewnego biznesmena. Krótco po twoim odejściu rzuciłem w diabły prawo i zająłem się tym, co naprawdę lubię robić. Końmi.

Żona Cravera podała mężowi obiad, częstując także gościa.

- A co przyгнаło cię w te strony? - zapytał Craver, gdy już skończyli jeść i opowiedzieli sobie wzajemnie swoje dzieje.

- Mam do ciebie interes, Charlton. Chcesz zarobić trochę zielonych?

- No... nie wiem. - Craver stał się czujny. - To, co zarabiam, jakoś wystarcza mi na życie.

- Nie masz się czego obawiać. Chodzi o zupełnie czystą sprawę. Wyegzekwowanie spadku.

- Dlaczego sam się tego nie podejmiesz, Tony? Jesteś przecież bardziej doświadczonym prawnikiem niż ja.

- Chętnie bym to zrobił, ale widzisz, jawna obecność mojej osoby mogłaby wszystko zepsuć. A my chcemy pozostać incognito, przynajmniej na razie.

- My?

- Ja i spadkobierca wielkiej fortuny.

- Ile konkretnie bym zarobił, biorąc tę sprawę? - Craver przeszedł do rzeczy.

- Jakieś... dwa miliony dolarów, może więcej.

Craver myślał przez chwilę.

- I mówisz, że sprawa jest uczciwa?

- Jak najbardziej. Uczciwa i pewna.

- A co musiałbym robić?

- Na początek wynajmiesz jakieś lokum w Nowym Jorku i założysz kancelarię...

Świtało, gdy samochód Anthony'ego Bearsa opuszczał posesję Craverów.

Teraz Charlton Craver siedział naprzeciwko człowieka, przed którym drżało pół świata. Dziwne, pomyślał, ja się go nie boję.

- Obaj wiemy, co pana tu sprowadza - zagrzemiał Wielki Prezes ze swego tronu. - Proszę więc mówić krótko. Nie mam zbyt wiele czasu.

- Będę mówił krótko - odpowiedział adwokat tym swoim szeleszczącym głosem. - W imieniu mego klienta żądam wypłaty dywidendy od dwudziestu procent akcji New York Oil and Company, a także włączenia mego klienta do rady nadzorczej firmy oraz zwrotu w całości rancza usytuowanego na peryferiach miasta, a powstałego na podwalinie stadniny bezprawnie zabranej pani O'Donnell dwadzieścia lat temu.

Lovestone spodziewał się takich roszczeń, często sam je w myślach wysuwał, ale wypowiedziane na głos nabrały teraz jakiegoś strasznego znaczenia.

- A kimże jest pański klient?

- Spadkobiercą Helen O'Donnell naturalnie.

- Przykro mi pana rozczarować, panie Craver, ale pański klient musiał wprowadzić pana w błąd.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Ja nie sądzę. Ja wiem! Wiem, że Helen O'Donnell nie miała żadnych krewnych, a jedynie takim osobom, zgodnie z warunkiem umowy sprzedaży działki, mogłaby zapisać swój majątek. Gdyby oczywiście sporządziła jakikolwiek testament. A obaj wiemy, że biedna pani O'Donnell testamentu nie pozostawiła.

- Nawet gdyby tak było, ów pakiet akcji należy się mojemu klientowi jako spadkobiercy naturalnemu, powiązanemu ze zmarłą więzami krwi.

- Chyba pan nie dosłyszał - Lovestone zaczął się irytować. - Mówiłem, że Helen O'Donnell nie miała krewnych.

- Pozwoli pan, że nie uwierzę panu na słowo.

Wielki Prezes nie dowierzał własnym uszom. Ta gnida ośmieliła się pysskować!

- Wobec tego proszę przedstawić jakieś dokumenty na poparcie swoich roszczeń! - teraz rozżościł się już na dobre. - I kim, do ciężkiej cholery, jest pański klient?! Chyba ma jakieś imię i nazwisko!

- Owszem, jak każdy - zaszeleścił adwokat - jednak ze względów bezpieczeństwa na razie zachowam jego personalia dla siebie.

- Czego się pan obawia?

- Cóż, istnieją pewne wątpliwości związane z morderstwem amerykańskiej ekspedycji naukowej, popełnionym w tybetańskiej wiosce na pograniczu Chin z Nepalem. A co do dokumentów, to nazwę jednego z nich już pan wymienił.

Mimo, że klimatyzacja działała bez zarzutu, Lovestone czuł, jak pot wychodzi mu na czoło. Nie! To musi być zły sen!

- Testament, panie Lovestone - adwokat ciągnął nieubłaganie. - Ja i mój klient jesteśmy w posiadaniu testamentu, jaki Helen O'Donnell sporządziła na dwa lata przed śmiercią, czyli dwadzieścia lat temu.

- Chce mi pan wmówić, że pański klient zwlekał dwadzieścia lat z przyjściem tutaj? Za kogo mnie pan uważa?!

- Niestety, mój klient do niedawna nie miał pojęcia, że Helen O'Donnell w ogóle kiedykolwiek istniała. Dowiedział się o tym, jak również o smutnym fakcie jej śmierci, stosunkowo niedawno. To także było elementem ostatniej woli pani O'Donnell.

- Ta kobieta była chora! - przez głos Lovestone'a przebijała wściekłość. - Nie była zdolna rozpoznawać swoich czynów! Na pewno wymyśliła sobie jakąś rodzinę, byle tylko zemścić się na mnie. Już dawno temu przeprowadziłem szczegółowe śledztwo w tej sprawie. Które nota bene wykazało, że była sama jak palec. Kogo uczyniła rodziną?! - krzyczał Wielki Prezes. - Instytucję charytatywną? Biskupa? A może jakiegoś bezdomnego z hospicjum? O, zapewniam pana, panie Craver, że nie wydrzecie ode mnie ani centa! Może pan to powiedzieć swojemu klientowi, kimkolwiek jest. Ja natomiast wiem, kim nie jest. Na pewno nie jest krewnym Helen O'Donnell!

- Dziwi mnie pańska pewność - odparł spokojnie adwokat - gdyż widziałem dokumenty potwierdzające tożsamość mojego klienta.

- Skoro tak, w jaki sposób jest on spokrewniony z tą kobietą?

- Już powiedziałem, że dopóki nie upewnię się, iż będzie pan skłonny spłacić dług, nie mogę zdradzić nic więcej na ten temat.

- Bo według mnie nie ma pan nic do powiedzenia. - Lovestone wstał. - Wie pan co, mecenasie? Nawet jeśli zobaczę ten testament oraz dokumenty tożsamości pańskiego klienta, to i tak nie dam wam ani centa! Nikt nie odbierze mi mojej firmy, nawet jej części. To moje dziecko! Wiele lat ciężko pracowałem, by osiągnąć to, co mam dziś!

- Wobec tego spotkamy się w sądzie. - Adwokat również wstał. - Obawiam się jednak, że ucierpi na tym wizerunek pańskiej firmy.

- Nie boję się sądów, Craver, a jeśli to już wszystko, zechce pan opuścić moje biuro. Przez pana marnuję czas.

- Prawie wszystko. Zażądamy też dziesięciu milionów dolarów jako zadośćuczynienia za to, że pozostawił pan chorą Helen O'Donnell bez środków do życia.

- Miałem ją niańczyć? - ryknął Lovestone.

- Nie - odrzekł adwokat, bynajmniej niezrażony zachowaniem swego rozmówcy - ale mógł pan wypłacić jej dywidendę od udziałów, mógł pan też sprzedać jej konie. Nie uczynił pan tego - dodał z wyrzutem.

- Nie zrobiłem tego, ponieważ uważam, że nic się tej kobiecie nie należało! Ta podstępna suka sposobem wyłudziła ode mnie moje akcje. Pięć tysięcy dolarów! Tyle była w rzeczywistości warta jej działka!

- Dla pana była chyba warta znacznie więcej, skoro musieli zginąć ludzie - zauważył Craver.

- Proszę mi cokolwiek udowodnić - Lovestone z całych sił starał się zapanować nad sobą. - To był tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Zresztą nie mam zamiaru się tłumaczyć.

- Nie mnie będzie się pan tłumaczył, Lovestone. Skoro nie chce pan załatwić sprawy polubownie, niech sąd rozstrzygnie, kto ma rację. A teraz żegnam pana.

Adwokat wyszedł.

Nie do wiary, myślał Lovestone, czego to ludzie sobie nie wyobrażają. Wielki Prezes nie bał się sądów, od tego miał swoje psy, które, odpowiednio wytresowane, były w stanie zagryźć na śmierć. Zastępca prokuratora okręgowego, Dexter Tucker, od lat był na jego usługach. Poza tym chroniły go zapisy w umowie sprzedaży akcji. Helen O'Donnell nie mogła ich przekazać nikomu prócz krewnych. A krewnych po prostu nie miała. Widział przecież fotografie zamordowanych ludzi. Craver i jego klient mogli sobie snuć domysły. Nie mieli dowodów. Jedynie sprawca zbrodni mógłby go wydać, ale szczęśliwie dla Lovestone'a sam został zabity przez współwięźniów w więzieniu w Katmandu.

A może Craver łże? Może naczytał się starej prasy i wymyślił łatwy sposób zbiccia fortuny? Tak bardzo sugerował polubowne załatwienie sprawy. Na pewno nawet nie pójdzie do sądu.

Tylko dlaczego ciągle się boję?

Charlton Craver wyszedłszy z budynku wykręcił numer z budki telefonicznej.

- Jak tam, Tony? Dobrze się nagrało?

Adwokat miał przy sobie maleńki nadajnik przekazujący każde słowo Lovestone'a do nowo wynajętej przez Cravera kancelarii, gdzie czekał Anthony Bears.

- Tak - odparł Tony - tylko że niewiele nam to da. Lovestone nie bardzo dawał się prowokować, za to jestem pewien, że teraz dokładnie przetrawia twoją wizytę.

- To niebezpieczny człowiek. Źle mu z oczu patrzy.

- Wiem, mówiłem ci. A teraz przyjeżdżaj szybko. Twój klient chce cię poznać.

- Jest pani jeszcze piękniejsza, niż Anthony mi opowiadał. - Craver wyszczerzył zęby w uśmiechu i ucałował szarmancko dłoń Jackie. - I taka młoda.

- Dziękuję, że zgodził się pan prowadzić tę sprawę - odpowiedziała, odwzajemniając uśmiech. - Czy nikt pana nie śledził?

- Nikt, z całą pewnością.

- Co pan sądzi o naszym przeciwniku? - zapytała.

- Boi się. Widać, że ma coś na sumieniu. Podczas naszej rozmowy cały czas się pocił, a jego twarz zmieniała kolory, jak kameleon.

- Kameleony to przemiłe zwierzęta, mecenasie. Niech ich pan nie obraża porównaniem do Lovestone'a.

- Dlaczego właściwie zależy pani - dziwił się adwokat - aby ta sprawa znalazła swój finał w sądzie? Przecież istnieją wystarczające dowody, by rzucić Lovestone'a na kolana już dziś.

- Zależy mi na rozgłosie - odpowiedziała dziewczyna. - Prasa i telewizja mają aż huczeć na ten temat.

- Oslabi pani korporację.

- Tylko do czasu, aż rozprawię się z jej prezesem. Obawiam się, że w tej chwili próbuje on namierzyć pańską kancelarię, Charlton. Od tej pory możliwy będzie jedynie kontakt telefoniczny i to z budki, gdyż należy spodziewać się tu podsłuchu. Numeru mojego telefonu komórkowego proszę nauczyć się na pamięć. A teraz przedstawię wam, panowie, dalszy plan działania...

W gabinecie Lovestone'a zebrało się kilka osób, między innymi Nicholas Coleman, prokurator Dexter Tucker oraz szef od gospodarki Harley Mandylor.

- Znalazłeś coś nowego, Tucker? - zapytał prokurator Wielki Prezes.
- Nic a nic, Jerry. Mówiłem ci, ten adwokat łże. Nie ma żadnych żyjących krewnych Helen O'Donnell.

- Co o nim wiesz?

- Przyjechał do Nowego Jorku dwa tygodnie temu. Założył kancelarię w południowym Bronksie. Wygląda na to, że zrobił to specjalnie, aby poprowadzić właśnie tę sprawę. Do tej pory pracował w szkole niedaleko Denver w Colorado, jako nauczyciel historii.

- Spotkał się z kimś po wyjściu ode mnie?

- Nie wiem. Moi ludzie go zgubili.

- Jak to, nie wiesz?! - wściekał się Lovestone.

Tucker spuścił wzrok.

- Niech to się więcej nie powtórzy. - Teraz Wielki Prezes zwrócił się do Grahama Perry'ego, adwokata firmy, który już nie raz reprezentował korporację na przeróżnych procesach. - Jakie mamy szanse, jeśli tamci pójdą do sądu?

- Jeśli rzeczywiście mają prawdziwy testament Helen O'Donnell - odparł adwokat - i dokumenty potwierdzające pokrewieństwo ze zmarłą, to obawiam się, że żadnych.

- To niemożliwe - Lovestone myślał gorączkowo - zawsze musi być jakieś wyjście. Spróbujemy unieważnić testament.

- Ale jeśli klient Cravera - mówił Perry - jest rzeczywiście krewnym Helen O'Donnell, to nic nam to nie da. Jako jej krewny i tak po niej dziedziczy.

- To niech sobie dziedziczy - powiedział Lovestone. - Po prostu nie wypłacimy mu tej cholernej dywidendy.

- Tak się nie da - zauważył adwokat. - Co innego, gdybyś i ty nie korzystał z zysków firmy, ale ty swoją dywidendę odbierałeś skrupulatnie, co więcej, korzystałeś też z zysków, które przynosiły akcje pani O'Donnell.

- Do cholery! - zirytował się Wielki Prezes. - Nie po to wam tyle płacę, abyście teraz rozkładali ręce! A co ty o tym sądzisz, Coleman?

- Jestem stosunkowo młodym pracownikiem, nie mnie doradzać w takich sprawach, ale jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, to uważam, że zbyttno się przejmujesz. Masz przecież Grahama Perry'ego, który nie raz wyciągał cię

już z podobnych opresji. Poza tym, nawet jeśli tamci poszliby do sądu i wygrali sprawę, to i tak pozostaje ci jeszcze osiemdziesiąt procent akcji.

- Niezupełnie, Nick - odparł cicho Lovestone. - Połowa z nich należy do Barbary.

- Chyba ufasz swojej żonie, Jerry - Coleman utkwiał w oczach szefa uważne spojrzenie.

- Sam nie wiem - powiedział Wielki Prezes jakby do siebie. Ale zaraz poprawił się: - Tak, oczywiście, że jej ufam. Tylko że nie uśmiecha mi się dzielić firmą z kimś jeszcze.

- Trzeba było - wtrącił Tucker - pomyśleć o tym dwadzieścia lat temu.

- Cóż - westchnął Lovestone - co się stało, to się nie odstanie. Dziękuję wszystkim. - Nie było sensu przedłużać tego spotkania. - Miej oczy szeroko otwarte, Tucker. A ty, Coleman, zostań jeszcze. Mam z tobą do pogadania.

Gdy zostali sami, Lovestone nalał whisky do szklanek.

- Nick - zaczął miłym głosem - chyba już nadszedł czas, byś opuścił swoje biuro na dwudziestym piątym. Tuż obok mam całkiem przytulny gabinet. W sam raz dla ciebie.

Nick nie dowierzał własnym uszom. Marzył o takim zaszczycie odkąd tylko zaczął pracować w korporacji, ale nigdy nie sądził, że ten dzień nadejdzie tak szybko.

- A co z reklamą?

- Nie ma ludzi niezastąpionych. Znajdziesz kogoś na swoje miejsce, ufam, że wybierzesz trafnie.

Lovestone wznosił toast.

- Wypijmy za nowo mianowanego wiceprezesa New York Oil and Company, Nicholasa Colemana - to powiedziawszy uściskał Nicka wylewnie. - Od dziś jesteś oficjalnie moim zastępcą.

Nickowi ze wzruszenia odebrało mowę. Wielki Prezes ciągnął dalej:

- Już dawno chciałem to zrobić. Teraz jednak, gdy nad korporacją zawisły czarne chmury, jest ku temu najlepszy moment. Czuję, że sprawa ze spadkiem zajmie mi trochę czasu, a nie chciałbym, by firma cierpiała z tego powodu. Do czasu wyjaśnienia tej szopki będziesz pełnił moje obowiązki.

- Nie wiem, co powiedzieć - Nick był szczerze zdumiony. Czyżby Lovestone miał też jakieś ludzkie uczucia?

- Powiedz, że się zgadzasz. - Lovestone przybrał wesołą minę jowialnego wujaszka.

- Dobrze - odparł Nick z wahaniem. - Spróbuję.

- Cieszy mnie twoja decyzja. Od jutra zacznę wprowadzać cię w nowe obowiązki. A teraz - rzekł, zmieniając temat - powiedz mi, mój drogi, co planujesz na najbliższy weekend?

- Wyjeżdżam na ranczo. Odwiedzę mojego żrebaka.

- A w następny?

- Cóż... Nie wiem jeszcze. Dlaczego pytasz?

- Wobec tego - ucieszył się Lovestone - nie planuj nic w przyszłą sobotę. Wydajemy z Barbarą przyjęcie w rezydencji na Manhattanie.

- Dziękuję za zaproszenie. - Nickowi wydało się dziwne, że Jerry Lovestone myśli o zabawie w chwili, gdy być może ważą się losy firmy. - Przyjdę na pewno. Czy to jakaś szczególna okazja?

- Owszem. Zaręczyny mojej córki. - po miłym dotąd głosie Jerry'ego nie pozostało najmniejszego śladu.. - Tylko nie zapomnij przynieść pierścionka.

Cała radość Nicka z nieoczekiwanego awansu prysnęła jak bańka mydlana. O, Jerry Lovestone z całą pewnością był jednak wyzbyty wszelkich ludzkich uczuć.

- Coś cię trapi, Nick - powiedziała Jackie, gdy tego samego dnia leżeli obok siebie w pokoju hotelowym, zmęczeni seksem.

- Nie przejmuj się mną. - Nick wtoczył się na nią i zaczął ssać jej lewe ucho. - Czasem nie potrafię zostawić problemów w biurze.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła, usiadłszy na łóżku.

Coleman ze szczegółami opowiedział Jackie o zdarzeniach w firmie. Pominął jedynie fakt zaproszenia na własne zaręczyny.

- A jak ty spędziłaś dzisiejszy dzień? - spytał, gładząc ją po plecach. Przeciągnęła się i położyła z powrotem obok kochanka.

- Zwyczajnie - odparła. - Rano pracowałam na ranczo, jak zwykle dośiadałam Abigaile; twoja Saran zapowiada się na prawdziwego championa. Po południu przyjechałam do miasta. Robiłam zakupy, spacerowałam. - Nagle roześmiała się. - Zarządca rancza, wiesz, Peter White, nawet nie wie, że tu jestem. Mam mu meldować każde wyjście poza teren rancza. Śmieszne, nie?

- Kochanie, wydaje mi się - powiedział Nick tajemniczo - że już wkrótce nie będziesz musiała tam pracować. .

- Co masz na myśli? - zapytała, unosząc się lekko na łokciu, ale Nick swoim ciężarem ciała powalił ją na poduszkę.

- Chciałabyś zostać panią dyrektorką działu reklamy New York Oil?

- Nie żartuj. - Dziewczyna wpatrywała się z powagą w jego twarz.

- Mówię serio, Jackie. Lovestone mianował mnie swoim zastępcą. W reklamie jest vacat. Mam znaleźć kogoś odpowiedniego na to stanowisko, a po twoim pomysle z perfumami wydaje mi się, że nie muszę już dłużej szukać.

- Hej, jeden pomysł i już? Tak po prostu?

- Nie widziałaś ich min - zaczął Nick z zapalem - gdy przedstawiłem na zebraniu twój projekt podwyżki cen perfum. Wszyscy orzekli, że to genialne posunięcie. - Popatrzył jej głęboko w oczy i dodał czule: - Kocham cię, Jackie. Wierzę, że się nadajesz. Jesteś dobra we wszystkim, co robisz. A co najważniejsze, będziemy blisko siebie przez cały czas.

- Co mi szkodzi spróbować - wzruszyła ramionami. - Ale pamiętaj, że wtedy mogę ci się znudzić.

- Nigdy mi się nie znudzisz - przytulił ją mocno. - Nigdy.

- Obyś miał rację, kochany - odpowiedziała zamyślona, patrząc w okno.

Rozdział IX

- **W**iesz, mamó, Jackie to cudowna dziewczyna - mówił Nick do swej matki, prowadząc wózek inwalidzki alejkami szpitalnego parku. Cierpiąca na udar mózgu Nancy Coleman od trzynastu lat wysłuchiwała w milczeniu monologów syna. - Sam nie wiem, jak to możliwe tak się zakochać. Życie bym za nią oddał. Jest taka dobra i mądra. Istnieje tylko pewien problem. Lovestone wyznaczył już datę moich zaręczyn. Nie wiem, co robić. Jeszcze nic nie mówiłem Jackie. Boję się, że nie zrozumie i mnie znienawidzi.

Nick skręcił wózkim w prawo i ciągnął dalej:

- Dzisiaj uczyłem się obowiązków Jerry'ego. W sumie niewiele się one różnią od mojej dotychczasowej pracy, nawet jest ich jakby mniej, tylko... obejmują znacznie szerszy zakres. To już przecież nie dział reklamy, lecz cała firma.

Nick mówił i mówił. O firmie, o Jackie, o sprawie Helen O'Donnell. Potrzebował tego. Matce mógł powiedzieć o wszystkim. Szkoda tylko, że go nie rozumiała. Lekarze orzekli u niej nieodwracalne zmiany w mózgu. Nie była zdolna rozumieć świata zewnętrznego.

Gdyby Coleman patrzył na nią, a nie szedł za jej plecami, dostrzegłby na jej twarzy grymas bólu za każdym razem, gdy padało nazwisko Jerry'ego Lovestone'a.

Lecz syn nie patrzył na matkę, siedzącą niczym posąg na wózku inwalidzkim. Wolał wyobrazić sobie, że jest zdrowa, że go słucha.

A jednak Nancy Coleman słuchała syna, a każde jego słowo zapadało jej głęboko w pamięć.

- Zbieraj się, Nick. - Lovestone wpadł do jego gabinetu. - Za godzinę mamy spotkanie z tymi dupkami tytoniowymi. - Tak nazywał przedstawicieli jednej z firm przemysłu tytoniowego, którą korporacja planowała kupić.

- Muszę jeszcze wprowadzić cię w szczegóły. A swoją drogą, jak ci minęło tych kilka dni na nowym stanowisku? - Już od tygodnia Coleman piastował funkcję wiceprezesa New York Oil.

Już od tygodnia pełnomocnik spadkobiercy Helen O'Donnell nie dawał znaku życia.

- Dziękuję, można powiedzieć, że jakoś - uprzejmym tonem odparł Nick, choć od chwili, gdy szef wyznaczył datę jego zaręczyn, stosunki między obu mężczyznami układały się raczej chłodno.

- Znalazłeś już kogoś na swoje miejsce? - zagadnął Wielki Prezes.

- Właściwie tak - Nick był pełen wahania, jak też Lovestone przyjmie jego protegowaną.

- To dobrze. Reklama nie może zbyt długo pozostawać bez szefa. Kto to jest? Któryś z asystentów? Może to ten ciekawy młody człowiek, którego przypominam sobie...

- To ktoś spoza firmy - wyjąkał Coleman, przerywając tym samym domysły Lovestone'a.

- Ktoś, kogo znam? - spytał Lovestone, a widząc wahanie Nicka, dodał: - Mów śmiało! Wiesz przecież, że w tej sprawie masz wolną rękę. Ktokolwiek to będzie, zaakceptuję twój wybór.

- Pamiętasz pomysł z podwyżką cen perfum? - zaczął Nick.

- Jasne! Jest genialny. Sam bym na to nie wpadł. Czasami, mój drogi - dodał z uznaniem - przechodzisz samego siebie.

- To nie był mój pomysł.

- Nie? - szczerze zdziwienie pojawiło się na twarzy Lovestone'a.

- A pamiętasz tę dziewczynę, która odebrała poród Czarownicy?

- Coś mi na ten temat mówiłeś. To ta sama, która opiekuje się teraz moją Abigaile.

- Właśnie.

- Musi być dobra w tym, co robi, skoro moja klacz jest w tak świetnej formie. Więc co ma wspólnego tamta dziewczyna z naszymi perfumami? Chce być dla odmiany modelką i zagrać w reklamie? - zapytał z ironią.

- Te perfumy... To był jej pomysł.

- Co?! - krzyknął Wielki Prezes, marszcząc brwi. Nick przestraszył się takiej reakcji. Taka gwałtowność u szefa nie wróżyła niczego dobrego. - Chcesz powiedzieć, że taki geniusz marnuje się, pasąc konie?

- Nie jesteś zły? - Coleman osłupiał.

- Zły? To za słabe określenie! Jestem wściekły, że wcześniej mi o tym nie powiedziałaś. Dawaj tu tę... jak jej tam...

- Jackie Alexander.

- ...tę Alexander. Od jutra jest szefem reklamy. - Lovestone zawahał się. - Bo to właśnie ją wybrałeś, prawda, Nick? - dodał z nadzieją w głosie.

- Zgadza się.

- Cieszy mnie twoja decyzja. Poklepał go po ramieniu. - A teraz bierzmy się za tytoniowych dupków.

- Kochanie, możesz zaczynać choćby od jutra - mówił Nick podnieconym głosem, dzwoniąc do Jackie na rancho. - Wyobraź sobie, Lovestone zaakceptował mój wybór bez wahania.

- Nie wiem, czy sobie poradzę - odezwała się Jackie.

- Nie martw się, będę przy tobie - zapewnił.

- Dobrze, jutro rano zjawię się w twoim biurze.

- Przyślę po ciebie limuzynę.

- Tony, skontaktuj się z Craverem - mówiła Jackie, tym razem do słuchawki swojego telefonu komórkowego. - Jutro wkraczam do jaskini lwa. Możemy zaczynać.

Tego popołudnia Jackie po raz ostatni dosiadła Abigaile. I znów raz za razem klacz rozpedzona do galopu zwalniała nagle bez wyraźniej przyczyny. Wszystko było w najlepszym porządku - klacz była wytresowana wyśmienicie - na dźwięk swego imienia zwalniała bieg.

Nie zarobi dla Lovestone'a ani centa. Za każdym razem, gdy znajdzie się na prowadzeniu, głos w megafonie będzie powtarzał jej imię.

Nie było szans, by zwyciężyła jakąkolwiek konitwę. Nie jako Abigaile.

- Doprawdy, Nick, to nowe biuro jest fantastyczne! - Jackie usadowiła się w olbrzymim skórzanym fotelu za mahoniowym burkiem. Jej wcale nie drobna postać wydawała się groteskowo mała w pełnym przepychu gabinecie dyrektora działu reklamy New York Oil.

- Cieszę się, że ci się podoba - uśmiechnął się Coleman - od dziś należy do ciebie. Oczywiście jeśli chcesz, możesz je urządzić według własnego upodobania. A teraz napijemy się kawy i wprowadzę cię w nowe obowiązki.

- W dalszym ciągu boję się, czy sobie poradzę.
- O nic się nie martw. Będziesz miała mnóstwo doradców, wkrótce ich poznasz. No i masz mnie - dodał. Naprawdę zależało mu na tym, by Jackie objęła tę posadę. Czuł, że w tej młodej dziewczynie drzemia olbrzymie zasoby wiedzy, które, w połączeniu z jego własnymi umiejętnościami pomogą zarobić dla New York Oil wiele milionów dolarów.

Dotychczasowa sekretarka Colemana, Bernice Wood, siedziała zła za swoim biurkiem w sekretariacie. No tak - myślała - Coleman przyprowadził nową kandydatkę na sekretarkę. Niech to szlag trafi!

Dziewczyna miała nadzieję długo pracować w dziale reklamy, ale widocznie było wiele prawdy w plotkach o jej bezpośrednim szefie. Coleman znany był jako kobieciarz, u którego sekretarki zaczynały rozmowę kwalifikacyjną w łóżku. Lecz, o dziwo, Coleman nigdy nie przejawiał innego zainteresowania osobą Bernice, niż pozwalałyby na to stosunki służbowe. Może nie jestem w jego guście? - zastanawiała się.

- Przyniesz nam kawę, Bernice - głos z interkomu wyrwał ją z zamyślenia.

Jeszcze mam jej usługiwać! - sekretarka klęła w duchu. Miała dziką ochotę wyłączyć kawę na nowiuśki kostium tamtej suki. Skoro i tak mam wylecieć... - przemknęło jej przez głowę.

Szybko przygotowała gorący płyn i, niosąc tacę, weszła do gabinetu szefa.

- Przepraszam, przyniosłam kawę.

Dziwne, nieznajoma zajmowała fotel Colemana, a on sam siedział na kanapie dla gości.

Sekretarka podeszła najpierw do dziewczyny i, jedną ręką trzymając tacę, drugą szybko uniosła filiżankę pełną wrzątku. Lecz zbyt energicznym gestem chciała postawić kawę przed gościem - w efekcie filiżanka zjechała ze spodka i poszybowała w kierunku nóg Jackie. Ta jednak w ułamku sekundy zerwała się z fotela, tak że naczynie najpierw potoczyło się po skórzanym obiciu fotela, rozlewając parującą zawartość, potem zaś wylądowało na miękkiej wykładzinie.

- Przepraszam najmocniej - sekretarka udawała zmieszanie. - Nie wiem, jak to się stało.

- Cholera, Bernice, mogłabyś uważać! - Nick zerwał się z kanapy. - Niewiele brakowało, byś poparzyła swoją nową szefową!

- Nową szefową? - wyjąkała Bernice i taca wysunęła jej się z rąk. Dzbanki i filiżanki rozsypały się po podłodze. Na jasnej wykładzinie utworzyła się całkiem spora plama z kawy.

- Co ty wyprawiasz?! - Nick omal się nie wściekł. - W życiu nie widziałem większej krowy!

- Nic się nie stało - Jackie wydawała się rozbawiona całą sytuacją. - I tak nie przepadam za kawą.

- Tak mi przykro. - Bernice pragnęła zapaść się ze wstydu pod ziemię i tym razem nie było to wstyd udawany. Nowa szefowa! Kto by przypuszczał?

- To jest Bernice Wood, twoja sekretarka - oznajmił Jackie Nick. - Zmianę wystroju wnętrza możesz zacząć właśnie od niej. A to jest Jackie Alexander - zwrócił się do Bernice - od dziś szefowa działu reklamy New York Oil.

- Nie sądziłam, że pan na stałe nas opuszcza - odezwała się nieśmiało sekretarka. - Myślałam, że to tylko chwilowe przejęcie obowiązków pana prezesa. Oczywiście, miło mi panią poznać, panno Alexander, jeszcze raz przepraszam

- Nie myśl za dużo, Bernice - uciął Nick. - Skup się raczej na tym, co robisz - spojrzał wymownie na walające się naczynia. - Posprzątaj tu trochę, ja tymczasem oprowadzę pannę Alexander po firmie.

Nick po kolei zapoznawał Jackie z pracą poszczególnych komórek działu reklamy. Dział ten stanowił swoistą firmę w firmie. Zajmował się promocją nie tylko produktów korporacji Nerw York Oil, w której skład zresztą wchodził, lecz także towarów innych firm współpracujących.

Będąc studentką oxfordzkiego uniwersytetu, Jackie miała już okazję zapoznać się z kulisami działania podobnych firm, ta jednak z całą pewnością przewyższała je wszystkie. Typowe dla Lovestone'a - superwnętrza, superwyposażenie, supertechnologie.

Nie uszły uwadze Jackie zawistne spojrzenia pracowników. Każda z przedstawianych jej osób zadawała sobie w myślach pytanie, jakie koneksje łączą tę młodą, niedoświadczoną dziewczynę z Wielkim Prezesem i co taka gówniara może wiedzieć o reklamie, skoro oni wszyscy już dawno zjedli na tym zęby.

- Oni mnie nienawidzą, Nick - stwierdziła, gdy przechodzili do kolejnego pomieszczenia.

- Przeszkadza ci to?

- Niespecjalnie.

- Wobec tego niepotrzebnie się przejmujesz. Mnie też nie kochali, a ty przynajmniej jesteś ode mnie miłsza, więc masz większe szanse. Wkrótce zdobędziesz ich szacunek i, mam nadzieję, uznanie.

Nagle rozdzwonił się jego telefon komórkowy.

- Tak? - Nick słuchał przez chwilę, po czym odezwał się do Jackie: - Trafisz do swego gabinetu? Ja muszę lecieć do Lovestone'a. Jest na coś strasznie wkurzony. Lepiej będzie, jak przedstawię was sobie innym razem.

- Jasne, nie martw się o mnie - odparła dziewczyna.

Plama na wykładzinie w gabinecie gdzie się podziiała.

- Przynieś mi herbatę - Jackie poleciła Bernice, a gdy ta znów przyniosła tacę, tym razem szybko postawiła ją na stoliku, zanim cokolwiek się rozlało.

- Pani herbata - nieśmiało odezwała się sekretarka. Wciąż jeszcze było jej wstyd za poprzednie zajście.

- Dziękuję. - Jackie popatrzyła łagodnie na Bernice. - A teraz powiedz mi, czemu próbowałaś mnie poparzyć?

- Ja nie... To był wypadek. Ja... - jąkała się Bernice, czerwieniejąc się na całą twarz.

Spojrzenie Jackie przybrało ostry wyraz.

- Ja myślałam, że Nick, to znaczy pan Coleman, chce mnie zwolnić... że przyprowadził panią na moje miejsce. - Sekretarka postanowiła wyznać całą prawdę. - Skąd mogłam przypuszczać, że jest pani nową szefową...

- Lubisz swoją pracę? - przerwała jej Jackie.

- Bardzo - szczerze odparła dziewczyna.

- Pamiętaj zatem, że cenię szczerą i wiedzę, że dopóki ja będę tu szefem, nie stracisz tej pracy, o ile nie zaniebasz swoich obowiązków, no i przestaniesz polować na mnie z gorącą kawą.

- Obiecuję, pani dyrektor. - Obie dziewczyny uśmiechnęły się.

- Mów mi Jackie. Panią dyrektor zachowaj dla innych napuszonych damulek.

- Dziękuję, Jackie.

- A teraz przedstaw mi sprawy bieżące - poleciła szefowa działu reklamy.

Resztę dnia Jackie spędziła załatwiając przeróżne sprawy i trzeba przyznać, że szło jej tak dobrze, jak gdyby od dawna nie robiła niczego innego.

Wieść o niefortunnym pomysle Bernice z kawą lotem błyskawicy rozeszła się po dziale reklamy. Wszystko za sprawą gońca imieniem Henry, któremu sekretarka wypaplała całą historię.

Personel firmy kręcił głowami z niedowierzaniem. Gdyby za czasów Colemana coś takiego wyszło na jaw, dziewczyna długo nie mogłaby znaleźć nowej pracy. Może nie będzie tak źle pod rządami tej Alexander, w końcu Lovestone nie pozwoliłby zatrudnić zielonej gęsi na tak odpowiedzialnym stanowisku.

Wieczorem Nick odwiedził Jackie w jej mieszkaniu.

- Widzę, że szybko się tu urządziłaś - powiedział z uznaniem.

- Dzięki tobie - odparła. - Sama nie znalazłabym tak fajnego mieszkania.

- Jak ci minął pierwszy dzień w pracy? Nawet nie miałem czasu do ciebie zajrzeć.

- I ktoś niedawno mówił o pomaganiu - roześmiała się. - Ale było w porządku. Rzeczywiście nie jest to takie trudne. Co to za ważna sprawa, dla której Lovestone cię wtedy wezwał? - spytała niby od niechcenia.

- Och, sprawa, która ponoć od dawna spędza sen z jego powiek. Lovestone dowiedział się, że złożono wniosek do sądu przeciwko New York Oil. Wnioskodawca chce wypłaty dywidendy, którą nasz szef przywłaszczył sobie już dawno temu.

Nick streścił pobieżnie całą historię Helen O'Donnell. Jackie słuchała z uwagą.

- Czemu po prostu nie wypłacicie długu? - spytała, gdy skończył. - Wówczas nie byłoby sprawy.

- Sam radziłem Lovestone'owi dokładnie to samo - odrzekł - ale on jest uparty. Choć adwokat firmy twierdzi, że przed sądem nie mamy szans, Lovestone jest przekonany, że uda mu się wygrać sprawę. Podobno chronią go jakieś zapisy w umowie sprzedaży akcji. Tamta zmarła kobieta mogła sobie posiadać dwadzieścia procent akcji, ale nie mogła ich nikomu przekazać, ani sprzedać, tak za życia, jak i po śmierci.

- Mówiłeś jednak, że znalazł się jakiś prawowity spadkobierca, krewny zmarłej.
- To pełnomocnik tego człowieka tak twierdzi. Na razie ani do nas, ani do sądu nie wpłynęły żadne dokumenty potwierdzające pokrewieństwo kogokolwiek z Helen O'Donnell. Nawet nie znamy nazwiska rzekomego spadkobiercy.
- Więc jakim cudem sąd przyjął wniosek, w którym wnioskodawca pozostaje nieznany?
- Wyobraź sobie, że pełnomocnik owego tajemniczego spadkobiercy, niejaki Charlton Craver, sam złożył taki wniosek. Zażądał wypłaty dziesięciu milionów dolarów jako dywidendy od dwudziestu procent akcji New York Oil za okres od ich kupna przez Helen O'Donnell do czasu jej śmierci, to jest za okres dwóch lat.
- Komu mają być wypłacone te pieniądze?
- Hospicjum dla bezdomnych w Hartford, gdzie Helen O'Donnell dokonała żywota.
- Dziesięć milionów dolarów dla takiego giganta jak New York Oil, nie powinno stanowić najmniejszego problemu - zauważyła Jackie.
- Tak, ale akcje procentowały jeszcze przez osiemnaście lat po śmierci tej kobiety. Poza tym istnieje kwestia odszkodowania za niewypłacenie dywidendy dla Helen O'Donnell, gdy jeszcze żyła. Jeśli tajemniczy klient Cravera jest rzeczywiście jej krewnym, Lovestone przegra i będzie musiał sprzedać znaczną część firmy, by uregulować cały dług. W grę będą wchodzić miliardy.
- Jaki on jest? - zapytała, przytulając się do Nicka.
- Kto? Lovestone? Zależy jak na niego spojrzeć. Jest dość miły, dopóki tańczysz, jak ci zagra, lecz gdy próbujesz mu się przeciwstawić, po prostu giniesz. - Oczy Nicka stały się nagle smutne. - Ja osobiście wiele mu zawdzięczam. Gdyby nie on, klepalibyśmy biedę, ja i moja mama.
- A właśnie, jak ona się miewa?
- Zawsze jednakowo - westchnął.
- Chciałabym ją poznać.
- Wykluczone! - Nick zerwał się z sofy i zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. - Ona jest... Sama wiesz! Nawet nie wie, czy jest noc, czy dzień. Jak to sobie wyobrażasz? Że usiądziesz przed nią z kawą i urzędzicie sobie ploteczki? Wybacz, ale wasze spotkanie byłoby dla mnie upokarzające.

- Mimo wszystko zaryzykuję. - Jackie podeszła do Nicka i mocno go pocałowała. - Kocham cię, Nick. Chcę poznać kobietę, która jest twoją matką.

Na twarzy Nicka widać było, jak w jego duszy toczy się walka z sobą samym.

- No dobrze. Kiedyś cię tam zabiorę.

- Jutro.

- Nie. Co do jutra mam inne plany. Pojedziemy na ranczo i spędzimy tam miły weekend.

- Nie chcę jechać na ranczo - zaprotestowała. - Głupio bym się tam czuła jako były pracownik obsługi.

- Skoro tak, zabiorę cię na plażę. Do Trenton pojedziemy innym razem.

Dziewczyna westchnęła. Nie było sensu dłużej przekonywać Nicka do rzeczy oczywistej. To jasne, że jutro pozna jego matkę.

Późno w nocy, gdy leżeli wyczerpani miłosnymi igraszkami, Jackie zagadnęła:

- Nie myślałeś czasem rzucić to wszystko w diabły i wynieść się gdzieś, gdzie są tylko dziewicze lasy i góry, zwierzęta jedzą ci z ręki, a kwiaty zaglądną przez okno do domu?

- Kotku - odparł z bólem w głosie - nie ma na ziemi takiego miejsca, bo gdyby było, jeszcze dziś zabrałbym tam ciebie i mamę i nigdy już byśmy tu nie wrócili.

Pragniesz raj - pomyślała, wyczuwając jego ból - i ja mogę ci ten raj dać.

- Poznaj moją mamę - powiedział Nick, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu. Właściwie pierwszy raz był w pokoju matki. Zazwyczaj odwiedzał ją w słoneczne dni, spacerując z nią po parku. Dziś jednak lało jak z cebra, z plaży nic więc nie wyszło, nie miał wymówki, by nie przywieźć tu Jackie.

W kącie pokoju stał włączony telewizor. Ciekawe po co - pomyślał Nick - skoro i tak nikt go nie ogląda.

Jackie podeszła do siedzącej nieruchomo kobiety. Mimo choroby Nancy wyglądała nieźle. Była nawet umalowana.

- Jestem Jackie Alexander. Miło mi panią poznać.

- Daj spokój, Jackie! - oburzył się Nick - Mówiłem ci, że ona nie kontaktuje! Nie rozumiesz? Roślina! Roślina w ludzkim ciele.

Jackie zupełnie go zignorowała.

- Pani syn wiele mi o pani opowiadał - uśmiechnęła się do sparaliżowanej kobiety.

Mnie o tobie również, pomyślała Nancy Coleman.

Oczy obu kobiet spotkały się. Jackie przeszedł dreszcz. Jakże strasznie wyglądały w tym na pozór martwym ciele oczy żywe i lśniące, zupełnie jakby dusza chorej kobiety żyła, zupełnie tak, jakby owa kobieta chciała coś powiedzieć. Nie, to tylko złudzenie. Nick mówił przecież, że udar mózgu miał negatywny wpływ również na psychikę jego matki.

- Czy zauważyłeś jej oczy, Nick? Wydają się takie żywe.

- Boję się patrzeć w oczy mojej mamy - odparł smutno. - Nie mogę znieść, że mimo ich blasku nie może mnie widzieć. Wolę pamiętać ją sprzed śmierci ojca.

- Twoi rodzice musieli się bardzo kochać, skoro ona tak strasznie przeżyła śmierć męża. Powiedz mi, kochanie, czy próbowano ją leczyć?

- Oczywiście. Na setki sposobów. Bioprądy, kąpiele wodne, masaże, to tylko niektóre z tych, jakie zastosowano w jej terapii. Niestety, wszystko na marne. Dziś tylko pielęgniarki ćwiczą jej mięśnie. To dlatego tak dobrze wygląda.

- Rzeczywiście. Nawet choroba nie odebrała jej urody.

Jackie ujęła dłoń chorej w swoją rękę.

- Ma pani wspaniałego syna, Nancy, i bardzo go kocham. Dziwne, oczy sparaliżowanej kobiety stały się jakby wilgotne.

- Zrobimy wszystko - ciągnęła Jackie - by dalej panią leczyć. Obiecuję.

- Jackie! - przerwał jej Nick - Lekarze nie dają żadnych szans nadziei! Naprawdę próbowano już wszystkiego.

- A medycyna niekonwencjonalna?

- Chyba żartujesz! - krzyknęła poirytowany. - Jacyś szarlatani mają wyczyniać z nią czary mary i poić ziółkami? I to ma pomóc? Nie bądź śmieszna! Boże, Jackie, czy ty zawsze musisz wyprowadzić mnie z równowagi?

- Przepraszam, chciałam dobrze. Widzi pani - Jackie zwróciła się do Nancy - Nick często się na mnie złości. Przeważnie jednak na koniec okazuje się, że miałam rację.

Ich wizyta u Nancy Coleman nie trwała długo. Opuszczając klinikę, Nick zagadnął jedną z pielęgniarek:

- Cieszę się, że tak doskonale opiekujecie się moją matką.
- Przepraszam - odparła pielęgniarka - jestem tu nowa. Nie znam pana. O kim pan mówi?
- O Nancy Coleman.
- Ach tak - pielęgniarka skojarzyła nazwisko z pacjentką z bloku C - to przemiła kobieta. Robimy wszystko, co w naszej mocy, by czuła się u dobrze. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z opieki, jaką zapewniamy pańskiej matce.
- Naturalnie. Dziwi mnie tylko włączony telewizor w jej sali.
- Starsza pani lubi sobie pooglądać telewizję w deszczowe dni.
- Doprawdy? - Nick uśmiechnął się do pielęgniarki, uznając jej odpowiedź za żart.

- Widziałas, co za opieka? - mówił Coleman do Jackie, wyjeżdżając z parkingu. - Można nawet pooglądać telewizję. Nieważne, że niewidzącymi oczami - dodał z sarkazmem.

Jackie długo zastanawiała się nad słowami pielęgniarki.

To Jerry Lovestone odwiedził Jackie w jej nowym biurze.

- Jesteś jeszcze piękniejsza, niż opowiadał Coleman. I taka młoda.
- Dziękuję. - Jackie przeszła wroga przenikliwym spojrzeniem, ale na jej twarzy nie zadrgał żaden mięsień. - Czego się pan napije?
- Whisky z lodem. - Lovestone rozparł się wygodnie na kanapie, cały czas z zainteresowaniem przyglądając się dziewczynie.
- Jak sobie radzisz? - spytał, biorąc szklanekę z alkoholem z jej rąk.
- Jak dotąd nie najgorzej. Staram się nie zawieść oczekiwań Nicka.
- Więcej takich pomysłów jak ten z perfumami, a wszystko będzie dobrze. Swoją drogą, jak na to wpadłaś?

Jackie coraz trudniej było ukrywać swoją wrogość za miłym, aczkolwiek nieszczerym uśmiechem.

- Cóż - odparła - zawsze pociągały mnie drogie kosmetyki. Im droższe, tym lepsze. To typowe myślenie kobiet.

Lovestone pokiwał głową ze zrozumieniem. Miał przecież córkę, która miesięcznie wydawała na kosmetyki więcej, niż niejedna amerykańska rodzina zarabiała przez rok.

- Poza tym - ciągnęła Jackie - trudno dostępny towar zawsze wyzwala chęć posiadania. Także w mężczyznach.

- O! Więc ta dziedzina także nie jest ci obca?

- Mówię teoretycznie. Zresztą, weźmy choćby stosunek mężczyzn do kobiet. Oni zawsze wybierają na żony te niedostępne, potem zdradzają je, gdyż posiadanie kochanki, to także coś ekskluzywnego, co podnosi ich męską dumę. Zastąpmy teraz kochankę samochodem czy jachtem, a efekt będzie dokładnie taki sam - zaspokojenie męskiej dumy. A im bardziej coś jest nieosiągalne, tym większe jest zadowolenie z posiadania tego. O to przecież chodzi w reklamie - przekonać klienta, że powinien mieć dany towar. W gestii producenta zaś pozostaje uczynić swój towar jedynym i niepowtarzalnym.

- Przyznam ci się, że zaciekawiał mnie twój sposób myślenia. Pomału utwierdzam się w przekonaniu, że Coleman uczynił słusznie, przenosząc cię tu z rancza. A właśnie, tam też udało ci się dokonać cudów - dodał z uznaniem. - Abigaile jest w świetnej formie, chociaż gdy ją kupowałem, nie liczyłem na aż tak dobre efekty.

- Pan mi pochlebia, panie prezesie. To wyłącznie zasługa Abigaile. Jest urodzoną mistrzynią. Zarobi pan na niej kupę szmalu.

Lovestone był urzeczony zarówno miłą aparycją, urodą, jak i wiedzą Jackie Alexander. Gawędzili jeszcze przez pół godziny. Na koniec Wielki Prezes zaprosił ją na przyjęcie na Manhattanie.

- To szczególne przyjęcie - mówił. - Urządzą zaręczyny mojej córce. Przy okazji poznasz też inne osoby piastujące najwyższe stanowiska w mojej firmie. I nie tylko w mojej.

- Będzie to dla mnie zaszczyt. - Jackie przyjęła zaproszenie.

Dni upływały jej teraz na wyczerpanej pracy, wieczory zaś pełne były miłych uniesień. Jackie kochała Nicka całym sercem. Nick oddałby duszę za Jackie. Oboje jednak mieli przed sobą coś do ukrycia. Każde z nich wierzyło, że uda się jakoś pomyślnie ułożyć wszystkie sprawy.

Pod koniec tygodnia Jackie poprosiła, by Nick wyszedł z nią gdzieś w sobotę. Miała na myśli przyjęcie u Lovestone'a i chciała zaskoczyć ukochanego tym, iż ją zaproszono. Była zresztą przekonana, że i on otrzymał zaproszenie. Jakże zdziwiła się i zasmuciła zarazem odpowiedzią ukochanego.

- Niestety, najdroższa, wyjeżdżam w interesach do Niemiec - skłamał. - Nie będzie mnie przez najbliższy weekend. Ale jak wrócę, pójdziemy gdzieś potańczyć. Obiecuję.

Nick nie podejrzewał nawet, że Lovestone zdążył już zaprosić Jackie na zaręczynowe przyjęcie. W końcu kim ona była dla Wielkiego Prezesa? Nic nieznaczącą dziewczyną z Teksasu.

Trudno, pomyślała Jackie, będę musiała pójść sama. Choć może to i lepiej. Nic nie powinno mnie rozpraszać, gdy znajdę się w domu tego łotra.

W porównaniu z dwupiętrową rezydencją przy Piątej Alei na Manhattanie, ranczo Lovestone'a rzeczywiście wydawało się wiejską chatką, zwłaszcza że było tam cicho, spokojnie i, można powiedzieć, skromnie.

A tu aż kapało od przepychu, jakim Lovestone chciał oczarować licznych gości tłumnie przybywających w ten sobotni wieczór na zaręczynowe przyjęcie jego jedynaczki. A goście były setki.

Trochę to przypominało przybycie gwiazd filmowych na rozdanie Oscarów.

Jackie widziała osoby poznane na statku. Znajomi ci podchodzili do niej, zamieniali kilka słów, przedstawiali nowe osoby.

Dziewczyna wyglądała jeszcze piękniej niż na przyjęciu sprzed kilku tygodni. Tym razem założyła ciemnoniebieską długą suknię od Armaniego, wspaniale podkreślającą figurę, włosy upięła po bokach, tak że z tyłu spadały kaskadami na odkryte plecy. Nieodłączne diamenty pyszniły się na smukłej szyi dziewczyny. Do tego wieść, że to ona została nową szefową działu reklamy, czyniła Jackie Alexander jeszcze bardziej atrakcyjną.

- Znasz tę dziewczynę, Jerry? - Barbara Lovestone zagadnęła męża.

- Ach, tę? - To Jackie Alexander. Właśnie ją zatrudniliśmy na miejsce Nicholasa.

- Chciałabym ją poznać.

- Oczywiście, kochanie.

Lokaj przyprowadził Jackie do gospodarzy przyjęcia.

- Miło mi panią poznać. - Jackie z szacunkiem uścisnęła dłoń Barbary. - Wspaniale przyjęcie.

- Nasza córka jest tego warta - powiedział Jerry z przekonaniem.

- Właśnie, gdzie jest Vanessa? - zapytała Jackie.

- Zaraz tu zejdzie - poinformowała Barbara. - Znacie się?

- Miałam przyjemność poznać państwa córkę na jakimś przyjęciu. To przemiła osoba.

Barbara obrzuciła dziwnym spojrzeniem Jackie za ten komplement. W końcu dziewczyna chce być miła, pomyślała. Nikt, kto poznał Vanessę, nie mógł być nią zachwycony, oczywiście poza jej ojcem. Za to nikt nie znał jej lepiej niż matka. Barbara wiedziała, jak fałszywa i próżna jest jej córka. Już jako dziecko przejawiała chęć dominacji nad otoczeniem. Potem było jeszcze gorzej. Dwie skrobanki i kilka scysji z policją za udział w narkotykowych balangach, to tylko nieliczne z osiągnięć młodziutkiej córki Lovestone'ów.

Lecz matka jest tylko matką. Kochała Vanessę i kryła ją przed mężem. Jerry nie miał o niczym pojęcia. Vanessa zawsze była jego oczkiem w głowie. Ten niezdolny do ludzkich uczuć człowiek ją jedną kochał naprawdę. Barbara nie chciała odbierać mu tej miłości.

Jackie rozmawiała jeszcze przez chwilę z państwem Lovestone, gdy nagle w głębi olbrzymiej, zatłoczonej gośćmi sali dostrzegła Nicka. To niemożliwe! Przecież Nick wyjechał do Niemiec.

A jednak to był on. Ubrany w elegancki smoking rozglądał się niepewnie dookoła. Jackie była zbyt daleko. Nie widział jej. Zaczęła przepychać się w jego stronę.

Lecz oto u szczytu schodów pojawiła się bohaterka wieczoru, Vanessa Lovestone. Wszyscy goście natychmiast zwrócili ku niej swe spojrzenia. Wyglądała ślicznie w białej, obcisłej, lekkiej sukience, schodząc wolno po schodach, pozwalając, by każdy nasycił oczy jej pięknem.

Jackie widziała, jak Nick podchodzi do Vanessy, całuje ją w policzek, a ta ujmuje go pod ramię.

- Drodzy goście - głos Lovestone'a przebijał się ponad głowami zgromadzonych. - Znaleźliśmy się tu po to, by wspólnie świętować wielką uroczystość. - Państwo Lovestone podeszli do córki. - Mam zaszczyt ogłosić zaręczyny mojej ukochanej córeczki - Vanessy i mojego długoletniego przyjaciela, Nicholasa Colemana!

Rozległy się gromkie brawa, które wydały się Jackie głośniejsze niż lawina śniegu w Himalajach. Patrzyła, jak jej ukochany wręcza tamtej pierścienek zaręczynowy i jak całują się namiętnie. W jednej chwili wspaniała uroczystość zamieniła się w najgorszy koszmar. Okłamał ją! Nigdy jej nie kochał!

W pierwszym odruchu Jackie chciała wybiec z sali, zmieniła jednak zamiar. Jak inni goście, tak i ona podeszła do pary narzeczonych, by złożyć gratulacje.

Nick zbladł, gdy ją zobaczył. Chciał w odpowiednim czasie wytłumaczyć Jackie, że padł ofiarą szantażu. Teraz wszystko na marne, teraz na pewno go znienawidzi. Lecz gdy stanęła przed nim i spojrzała mu głęboko w oczy, nie dostrzegł w nich nienawiści, tylko ogromne cierpienie.

- Wszystkiego najlepszego - szepnęła i natychmiast się oddaliła.
- Twoja znajoma nie wydaje się najszczęśliwszą z faktu naszych zaręczyn - powiedziała Vanessa z ironią.

Resztę przyjęcia Nick widział jak przez mgłę. Nie docierały już do niego życzenia pozostałych gości. Nie docierało do niego nic. Tylko czasami mignęła mu przed oczami sylwetka Jackie, a to jak rozmawiała z biznesmenami, a to jak tańczyła z jakimś europejskim księciem, a to znów, jak tłumaczyła coś arabskiemu szejkowi, gestykulując przy tym żywo.

Po północy Nick przestał widzieć cokolwiek. Upił się do nieprzytomności.

Chociaż Jackie udawała, że dobrze się bawi na przyjęciu zaręczynowym, jej duszę szarpały zgoła odmienne emocje. Jak mogła się tak omylić?

Lecz gdy po przyjęciu wróciła do swego mieszkania, ogarnęły ją wątpliwości. Nick wcale nie wyglądał na szczęśliwego narzeczonego. Przypominał raczej owcę prowadzoną na rzeź. Gdyby rzeczywiście kochał Vanessę, nie byłby wobec niej taki opryskliwy. Na pierwszy rzut oka widać przecież, że ją nienawidzi. Z drugiej strony jednak, po jaką cholere się z nią zaręczył?

Zaraz, co mówił Nick o swojej wdzięczności do Lovestone'a?

Gdyby nie Jerry, byłbym dzisiaj nikim. Nie potrafiłbym nawet utrzymać własnej matki.

To jasne, że Lovestone musiał wywierać na niego nacisk. Może nawet szantażował!

W jednej chwili powróciła cała miłość do Nicka. Ty głuptasie, pomyślała zasypiając, gdybyś mi powiedział, pomogłabym ci.

Rozdział X

Prywatna Klinika Neurologiczna w Trenton była miejscem, gdzie krewni bogatych ludzi biznesu, mający nieszczęście paść ofiarą choroby układu nerwowego, dożywali swoich dni. Wielu było też takich, którym pod wpływem fachowej opieki medycznej udało się dojść do zdrowia.

A chorych nie brakowało. W świecie biznesu nietrudno było o udar mózgu, bądź chorobę psychiczną. Ciągłe napięcie nerwowe, nadużywanie alkoholu, brak odpoczynku, wahania cen papierów wartościowych - oto przyczyny, dla których klinika nigdy nie narzekała na deficyt pacjentów.

Rodziny, rade że mogą bez wyrzutów sumienia zdjąć ze swoich barków ciężar opieki nad chorymi krewnymi, nie szczędziły datków finansowych, tym większych, jeśli chory dochodził do zdrowia.

Szefem kliniki od wielu lat był doktor Samuel Brackley, światowej sławy chirurg neurolog, cieszący się nienaganną opinią wśród licznych towarzystw medycznych w kraju i za granicą, autorytet w dziedzinie chirurgii mózgu, długoletni przyjaciel Jerzego Lovestone'a, jeszcze z czasów koledżu.

Codziennie rano doktor Brackley wizytował sale chorych. Był to powód jego dumy - osobiście czuwać nad stanem zdrowia pacjentów. Szczególnie jednak nie lubił tego robić w bloku C, jak nazywano zachodnie skrzydło kliniki. Miejsce to napawało go czymś w rodzaju wyrzutów sumienia. Tu trzymano przypadki niedające żadnych nadziei na powrót do normalnego stanu zdrowia. Właśnie tu, w sali numer dwanaście, przebywała od trzynastu lat Nancy Coleman.

Samuel Brackley dokładnie pamiętał dzień, w którym przyszedł do niego Jerry Lovestone.

- Musisz wyświadczyć mi przysługę, przyjacielu - mówił biznesmen. - Jest pewna kobieta cierpiąca na zupełny paraliż wskutek rozległego udaru mózgu. Chcę, byś ją zbadał oraz byś wydał orzeczenie o stanie jej zdrowia.

Doktor Brackley pofatygował się więc do Nowego Yorku, gdzie po przebadaniu chorej wydał orzeczenie, w którym stwierdził, iż udar mózgu miał ogromny wpływ na funkcje motoryczne organizmu Nancy Coleman. Nie była w stanie poruszać się i mówić. Nawet mruganie powiekami stało się u niej odruchem bezwarunkowym. Doktor Brackley stwierdził natomiast, że psychika chorej nie doznała żadnego uszczerbku. Kobieta była jak najbardziej zdolna widzieć, słyszeć i rozumieć otaczający ją świat. Jednak szanse na to, że system nerwowy zacznie w wyniku fizykoterapii spełniać swoje normalne funkcje, były, zdaniem Brackley'a, jak jeden do tysiąca.

- Cóż, niezupełnie o to mi chodziło - rzekł Lovestone, zapoznawszy się z treścią orzeczenia. - Zgodzę się z tobą co do ciała, natomiast jej świadomość...

- Świadomość Nancy Coleman jest zupełnie w porządku - odparł specjalista.

- I tu właśnie zaczyna się ta przysługa, Samuelu...

Gdy doktor Samuel Brackley opuszczał Nowy York, w jego kieszeni znajdował się czek na okrągłą sumę pięciu milionów dolarów.

Teraz orzeczenie brzmiało: „Na skutek rozległego udaru mózgu stwierdza się u Nancy Coleman ustanie funkcji motorycznych i psychicznych. Zbyt duże zmiany w systemie nerwowym nie rokują nadziei na jakąkolwiek poprawę stanu zdrowia pacjentki”.

Trzy miesiące później Nancy Coleman stała się pacjentką Prywatnej Kliniki Neurologicznej w Trenton, gdzie umieścił ją jej syn, siedemnastoletni wówczas Nicholas.

- Co mam robić? - pytał Brackley, dzwoniąc do Lovestone'a.

- Wylecz ją. Jeśli ci się to uda, ozłocę cię. Jeśli nie, nawet jej syn nie może się dowiedzieć, że jej umysł jest sprawny!

Chociaż młody Coleman mógł umieścić matkę gdziekolwiek by zechciał, to jednak za radą Lovestone'a wybrał właśnie tę klinikę.

- To najlepsza klinika w Stanach - mówił Lovestone. - Jeśli oni nie przywrócą zdrowia twojej matce, nikt więcej tego nie zrobi.

Od tamtej pory upłynęło trzynaście lat, podczas których codziennie poddawano Nancy Coleman fizykoterapii. W chwilach wolnych od ćwiczeń

kobieta oglądała telewizję, pielęgniarki czytały jej książki i czasopisma. Czasem, bardzo rzadko, odwiedzał ją syn. Nancy wiedziała, że dla świata zewnętrznego uczyniono z niej wegetującą roślinę. Wiedziała też, komu i dlaczego zawdzięcza to życie w grobie. Bolała nad tym, że Nick niczego nie zauważył, że uwierzył lekarzom i stracił wiarę w jej jasność myślenia. Obrzydzeniem napawał ją fakt, że syn je Lovestone'owi z ręki.

Nancy z zapalem poddawała się codziennym ćwiczeniom w basenie, gdy terapeuci rozciągali jej ścięgna i mięśnie. Wieczorami zaś leżała zrezygnowana w swoim łóżku i z całej mocy nienawidziła swojego ciała. Nigdy nie uda mi się odzyskać jakiegokolwiek sprawności, myślała wówczas. Lecz następnego dnia znów była pełna nadziei. Muszę stanąć na nogi, postanowiła sobie po raz tysięczny, dla ciebie, Nick. Muszę zniszczyć Lovestone'a. Za to, co mi zrobił. Za to, że zabił Donalda.

Mijały jednak lata, a Nancy Coleman wciąż pozostawała tylko nieruchomym posągami o jasnym, żywym spojrzeniu.

Właśnie tego spojrzenia doktor Samuel Brackley bał się najbardziej, wizytując salę numer dwanaście w bloku C. Zdarzało mu się nieraz wystawiać fałszywe orzeczenia czyniące zupełnie normalnych ludzi ubezwłasnowolnionymi pacjentami zamkniętych zakładów psychiatrycznych. Niejednokrotnie będący na usługach mafii przestępcy unikali kary dzięki podpisowi Brackleya pod zaświadczeniem o ich niepoczytalności w chwili popełnienia zbrodni.

Przeważnie nie musiał stawiać twarzą w twarz ze skrzywdzonymi przez siebie ludźmi. Jednak oczami Nancy Coleman patrzyły na niego rodziny ofiar zamordowanych przez mafię, a także ci wszyscy ludzie zawadzający swoim rodzinom i uznani przez niego za wariatów.

Tego dnia, odwiedzając salę Nancy Coleman, doktor Brackley również unikał jej wzroku, chociaż chora wodziła za nim swym nienawistnym spojrzeniem, wiedząc, ile krzywdy mu zawdzięcza. Szybko zakończył obchód sal wzdłuż korytarza bloku C i omal nie zderzył się z sanitariuszem pchającym wózek z pościelą.

Sanitariusz bąknął przeprosiny i czym prędzej wszedł z wózkiem do najbliższej sali.

Szef kliniki oraz cały sztab pielęgniarek i lekarzy towarzyszący w porannym obchodzie wsiedli do windy. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi,

sanitariusz odetchnął z ogromną ulgą. Udało się. Nikt nie poznał w nim obcego.

Był to detektyw Clark Davis w skradzionym w szatni uniformie pracownika obsługi kliniki. Korzystając z pory obchodu sal, wemknął się niepostrzeżenie do bloku C, gdzie nie niepokojony przez nikogo, przez resztę dnia obserwował poczynania terapeutów niestrudzenie próbujących tchnąć życie w nieruchome mięśnie Nancy Coleman.

- Oni wyczyniają z nią cuda! - następnego dnia Clark Davis zadzwonił z Trenton do Jackie. - Do południa jest fizykoterapia, potem obiad i znów fizykoterapia. Cały czas przy tym gadają do niej jak nakręceny i to wcale nie jakieś tam bla-bla-bla, ale normalnie, o życiu, polityce. Przy obiedzie pielęgniarka czytała jej New York Timesa, a wieczorem, gdy zmieniałem w jej sali pościel, Nancy Coleman z uwagą wpatrywała się w ekran telewizora. Akurat leciał jakiś film przygodowy. Przy łóżku stała karafka z wodą. Zsunąłem ją ze stolika, niby przypadkiem, a gdy z hukiem trzasnęła o podłogę, pani Coleman wyraźnie drgnęła i posłała mi swe spojrzenie! Zupełnie jakby chciała powiedzieć: nie strasz mnie, do cholery. Co o tym sądzisz, maleńka?

- Intrygujące - Jackie była przerażona - i szokujące zarazem. Myślę, że cały ten cyrk z ujemnym wpływem udaru mózgu na świadomość Nancy Coleman, to jedna wielka farsa. Komuś wyraźnie zależało na tym, by uznano ją za żywego trupa.

- Chyba wiem komu, Jackie.

- Ja też. Zastanawiam się tylko, dlaczego.

W najbliższych dniach Jackie musiała skupić się na prowadzeniu działu reklamy i trzeba przyznać, że śpiewająco wykonywała obowiązki dyrektora. Do jednego z takich obowiązków należało zatwierdzanie filmów reklamowych przed dopuszczeniem do emisji. A filmów było dużo.

Również i tego dnia w sali projekcyjnej działu reklamy siedziało kilka osób. Na ekranie młodzieńca modelka wdzięczyła się do kamery przy dźwiękach spokojnej muzyki. Jej nagie ciało owiewała morska bryza. Z lewej strony ekranu tło stanowiły kołysane wiatrem palmy, dalej był bezmiar oceanu.

Po chwili sceneria się zmieniła. Ta sama, również naga modelka, pojawiła się tym razem ukazana od pasa w górę, chłostana niemiłosiernie strugami wody jakiegoś niewielkiego wodospadu. Chłosta miała zapewne sugerować

delikatny masaż ciała. Przyjemny męski głos zapewniał, że stosując najnowszą generacji krem Paradise, nikomu nie będą potrzebne niewygodne aparaty do masażu.

- Wystarczy, że codziennie lekko posmarujesz naszym kremem swe ciało - kuśił głos - a już po sześciu tygodniach stosowania ujrzysz, jak skutecznie rozprawia się on z cellulitis, czyniąc twoją skórę gładką i jędrną. Zdobądź Paradise, a twe ciało dostąpi raju.

Głos ustał. Na ekranie pojawiło się białe tło. Minutowa projekcja dobiegła końca.

- No i jak? - Pomysłodawca i zarazem reżyser reklamy, Leo Carey, wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Podobają się?

- Przepraszam, ale co to było? - z twarzy Jackie Alexander nie można było wyczytać absolutnie nic.

- No... ta reklama kremu. Jest... niezła, prawda?

- Och, więc to była reklama? - Jackie udała ogromne zdziwienie. - A ja myślałam, że krótki film porno.

Ktoś parsknął śmiechem, ktoś inny chrząknął znacząco. Uśmiech znikł z twarzy Leo. Jeszcze nikt tak nie obraził jego pomysłu.

- Co masz do zarzucenia temu obrazkowi? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Absolutnie nic, gdyby chodziło na przykład o dezodorant. Ale krem przeciwko cellulitis? Przecież ta modelka ma najwyżej siedemnaście lat!

- Dziewiętnaście - skłamał reżyser.

- Tak czy inaczej, jest za młoda, by reklamować ten produkt, co najwyżej może reklamować krem przeciwtrądzikowy. Ale cellulitis dotyka raczej osoby nieco starsze i do takich miała być skierowana ta reklama. Widziałam wyniki badań rynkowych, które jednoznacznie określają grupę wiekową potencjalnych kobiet kupujących nasz krem. Poza tym twoja modelka za bardzo kręci tym gołym tyłkiem. To nie wybory Miss Natury. Znajdź inną modelkę, Leo. I trochę ją ubierz.

To nie do wiary, oburzył się w duchu Leo, jak ta dziwka się szarogęsi. Teraz on wyjdzie na głupka. Modelka była jego kochanką. Naprawdę miała szesnaście lat i niedawno uciekła z domu na Florydzie. Uwielbiał jej ciało. Ciągnęła druta jak żadna inna, na samą myśl o tym poczuł wzwód. Zagroziła, że jeśli nie załatwi jej roli, rzuci go. Obiecał, że zrobi wszystko w drodze do jej kariery.

- Coleman zaakceptowałby ten film - burknął cicho.

- Ja nazywam się Jackie Alexander - odparła dziewczyna lodowatym tonem - i teraz moje zdanie się tu liczy. Coleman może i zaślinałby się na widok gołego tyłka na ekranie, ale to ma być reklama tylko i wyłącznie dla kobiet. Trudno raczej oczekiwać, że jakiś mężczyzna po obejrzeniu naszej reklamy pobiegnie do sklepu, by oczarować swoją ukochaną prezentem w postaci kremu przeciwko cellulitis. Kobiety nie są głupie, Leo, dobrze wiedzą, że nie można mieć wiecznie dziewiętnastu lat. Nie każmy im wstydzić się mijającego czasu. Pokażmy, że akceptujemy je takimi, jakie naprawdę są, z ich problemami i schorzeniami. Z ich cellulitis. Pokażmy, że chcemy im pomóc, a nie naciągnąć na kolejny drogi krem, który i tak wylądzuje na półce w łazience. Nie możemy mieć ich ponętym ciałem młodzietki modelki, której w najbliższym czasie cellulitis z pewnością nie grozi.

Jackie zażyczyła sobie innego scenariusza do reklamówki, tym razem nie w plenerze, a w studio. Uparła się też, że reklama ma pokazać rzeczywiste efektu poprawy stanu skóry.

- Nie zdążymy - zafrasował się Willard Reymer, odpowiedzialny za całość produkcji. - Dopiero po sześciu tygodniach powstają zauważalne efekty, a my mamy kontrakt z telewizją. Kampania reklamowa ma ruszyć za trzy tygodnie. Z reklamą w prasie pójdzie szybciej, ale telewizja... Jeśli nie dotrzemy kontraktu, przepadną miliony.

- Niekoniecznie - odparła Jackie - jeśli zamiast zawodowej modelki zaangażujemy do reklamy kogoś, na kim testowano ów krem i to z pozytywnym skutkiem. Wiem, że grupa testująca na swojej skórze krem Paradise składała się z całkiem sporej liczby kobiet w różnym wieku, będzie więc w czym przebierać. Poza tym laboratorium zawsze robi wysokiej jakości filmy wideo z postępów w stosowaniu próbek testowych kremu, możecie je wykorzystać.

Reżyser i szef produkcji popatrzyli po sobie zaskoczeni. Ta mała miała łeb na karku.

Gdy opuszczali salę projekcyjną, Jackie zatrzymała na chwilę Leo Careya.

- Nie gniewaj się, że odrzuciłam twój film. Jest naprawdę dobry, ale nie na tę okazję. Tu trzeba naukowego podejścia. Wykorzystasz swój pomysł kiedy indziej, przy okazji reklamy jakichś innych kosmetyków. Tylko na przyszłość wcześniej konsultuj ze mną swoje pomysły, zanim nakręcisz cokolwiek. Ha! - dorzuciła wychodząc - i nie każ tej małej moknąć więcej pod

wodospadem. Taki prysznic nie należy do przyjemności.

Z własnego doświadczenia Jackie wiedziała, że uderzenie wody spadającej z dużej wysokości przypominało raczej grad kamieni niż piaseczkę dla ciała.

Może nie jest z niej znów taka suka, pomyślał Leo Carey patrząc za odchodzącym tyłeczkiem Jackie.

Podejmowanie przez szefową działu reklamy trafnych decyzji dotyczących kierunków działania firmy sprawiło, że prestiż Jackie Alexander w oczach podwładnych rósł z dnia na dzień.

Nie była tak opryskliwa i despocyjna jak Coleman, kierując się zasadą, że z niewolnika nie ma pracownika, co szybko zaowocowało przełamaniem wszelkich lodów dzielących ją od reszty personelu. Wkrótce też, oprócz porad służbowych, zaczęli ją prosić o rady i opinie dotyczące ich życia osobistego.

Była nie tylko szefem, ale i kumplem. Nie musiała już jadać samotnie lunchu w swoim gabinecie. Personel prawie bił się między sobą o to, z kim tego dnia Jackie Alexander zasiądzie przy wspólnym stole w restauracji na dole.

Wieczorami z co młodszymi pracownikami robili wypadki na piwo lub do dyskoteki, jeśli akurat Jackie nie miała w planach jakiejś ważnej służbowej kolacji.

Nicka widywała rzadko i to zawsze w obecności osób trzecich. Rozmawiali wówczas tylko i wyłącznie na temat firmy.

Przed sądem rozpoczął się proces o wypłatę dziesięciu milionów dolarów dla hospicjum w Hartford.

Pozwaną korporację New York Oil & Co, reprezentował mecenas Graham Perry wraz z całym sztabem doradców i asystentów.

Stronę przeciwną reprezentował mecenas Charlton Craver. Sam.

Przewodniczącym rozprawy był Ronald Fergusson, jeden z nielicznych absolutnie nieprzekupnych nowojorskich sędziów.

Sędzia Fergusson przed rozpoczęciem procesu rozmawiał z każdą ze stron.

- Nie próbowaliście załatwić sprawy polubownie? - pytał Perry'ego.
- Uważamy, że nie ma żadnej sprawy - odpowiedział tamten. - Craver strzela na oślep.

- Ja bym tak tego nie nazwał - zauważył sędzia. - W końcu pański klient rzeczywiście nie wypłacił ani centa pani O'Donnell, a przecież przez dwa lata była posiadaczką dwudziestu procent akcji korporacji.

- Mimo to dowiedzimy, że nic się hospicjum nie należy.

Potem sędzia rozmawiał z mecenasem Carltonem Craverem.

- Co pan zyska, mecenasie, na wygranym procesie? Mam na myśli środki finansowe.

- Przyznam się, że absolutnie nic. - Tą odpowiedzią adwokat wprowadził sędziego w absolutne osłupienie.

- Jak to?

- Na wygranym procesie zyska jedynie hospicjum dla bezdomnych w Hartford. Ja już otrzymałem swoją gażę, niezależnie od wyniku procesu.

- Czy mogę w takim razie wiedzieć, kto i ile panu zapłacił?

- Oczywiście. Rodzina pani O'Donnell wypłaciła mi dwa miliony dolarów za podjęcie się tej spawy.

Sędzia pokręcił głową z niedowierzaniem. Zanosilo się na ciekawy, acz dziwny proces.

Rozdział XI

Przed gmachem sądu zebrał się spory tłumek dziennikarzy i fotoreporterów. Ktoś dał im cynk, że tego dnia sam prezes zaskarżonej korporacji zaszczyli sąd swoją wizytą. Wkrótce też pojawiła się firmowa limuzyna i oto oczom zebranych ukazał się Jerry Lovestone w nienagannie skrojonym garniturze, z uśmiechem przyklejonym do ust. Dziennikarze natychmiast obściskali go ze wszystkich stron, zadając dziesiątki pytań.

- Czy to prawda, że nie wszyscy akcjonariusze korporacji otrzymywali należną dywidendę?

- Co sądzi pan o swoich przeciwnikach?

- Czy wierzy pan w istnienie spadkobierców Helen O'Donnell?

- Jak według pana zakończy się ten proces?

- Powiem tylko tyle - odezwał się Lovestone swoim jak zwykle silnym głosem - że korporacja New York Oil jest jak najbardziej uczciwa w stosunku do swoich wierzycieli. Tu jednak mamy do czynienia z bezczelną próbą wyłudzenia pieniędzy.

- Jak w takim razie wytłumaczy pan fakt, że przez tyle lat nie wypłacał pan zysków od akcji będących teraz przedmiotem sporu? - zapytała młoda reporterka z jakiejś lokalnej gazety.

- Bardzo prosto. Sama pani zauważyła, że minęło tyle lat. Na co zatem do tej pory czekał spadkobierca? Powiem pani, nie ma żadnego spadkobiercy, bo gdyby był, już dawno upomniałby się o spadek.

- Więc oddałby mu pan należną dywidendę?

- Gdyby rzeczywiście istniał? Jak najbardziej. Jestem rzetelnym przedsiębiorcą. Nie żyję z wyzysku.

Tymi słowami Lovestone zakończył tę prowizoryczną konferencję prasową. Błyski fleszy towarzyszyły mu, gdy wchodził do budynku sądu.

Głupie sępy, myślał. Najpierw szkalują człowieka w swoich brukowcach, potem przyłazą tutaj, żądni widzieć mnie w grobie. Ich durne reportaże zyskałyby wtedy szczęśliwe zakończenie. Ale nie zobaczą mego upadku! Nie dam im tej satysfakcji.

Tyle że dziennikarze byli zwykłą kaszką z mleczkiem. Gorzej było przekonać sędziego do racji Lovestone'a.

Już na samym wstępie rozprawy, po przedstawieniu roszczeń, adwokat firmy Graham Perry wygłosił kwiecistą mowę, doszczętnie druzgocząc stronę przeciwną w osobie Charltona Cravera. Żądania wnioskodawcy określił jako zupełnie bezpodstawne, nieoparte na żadnych przesłankach prawnych, zaś samego wnioskodawcę nazwał żądnym taniej sensacji poszukiwaczem wątpliwej sławy.

Sędzia Fergusson wysłuchał tego monologu w wielkim skupieniu.

- Ma pan niewątpliwie ogromne zdolności oratorskie - rzekł, gdy Perry skończył - i gdyby tylko od tego zależał wynik rozprawy, już dziś oddałbym wniosek powoda. Jednak pozwoli pan, że najpierw zapoznamy się z dowodami w sprawie, bo na tym, zdaje się, winna opierać się suwerenna decyzja sądu.

Przez wypełnioną po brzegi salę przeszedł szmer. Lovestone poprawił się w swoim krześle.

Mecenas Charlton Craver przedstawił z kolei swoje żądania. Domagał się naliczenia dywidendy wraz z odsetkami za okres od nabycia dwudziestu procent akcji przez Helen O'Donnell, do dnia śmierci nieuleczalnie chorej kobiety, a także wypłaty uzyskanej sumy na rzecz hospicjum w Hartford. Suma ta, według Cravera, powinna była wynieść dziesięć milionów dolarów.

- Mecenasie Perry - odezwał się sędzia - już na pierwszy rzut oka wiadać, że pański klient rażąco naruszył przepisy prawa handlowego, nie dopuszczając współdziałowca do sprawiedliwego podziału zysków.

- Wysoki sądzie - Perry zaczął przechadzać się po sali - firma New York Oil w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć prowadziła szeroko zakrojone inwestycje. Wszelkie zyski ze swej działalności przeznaczala na ten właśnie cel. Pozbawienie jej dwudziestu procent zysków spowodowałoby zatrzymanie czy nawet zupełne niepowodzenie tychże inwestycji. Firma nie byłaby wtedy tym, czym jest dzisiaj. Mój klient daje zatrudnienie tysiącom ludzi w kraju i za granicą, wspiera

organizacje charytatywne, funduje sprzęt medyczny dla szpitali, dotuje domy dziecka...

- Pański klient - przerwał mu sędzia - skazał nieuleczalnie chorą kobietę na śmierć w nędzy. Gdyby nie wspomniane wcześniej hospicjum przeznaczone specjalnie dla takich jak ona, bezdomnych chorych, Helen O'Donnell byłaby pozbawiona zwykłej ludzkiej godności w ostatnich chwilach swego życia.

- Ośmielę się zauważyć - zaproponował Perry - że mój klient niejednokrotnie proponował gotówkę pani O'Donnell w zamian za jej nieruchomości, lecz z powodu nieznanych przyczyn kobieta za każdym razem odmawiała sprzedaży posesji przy ulicy Słonecznej.

- A jednak najwyraźniej odpowiadał obu stronom taki układ - wymiana posesji na udziały w firmie, a skoro tak, należało wywiązywać się ze swoich obowiązków.

Dalszą część dnia zajęło sądowi zapoznawanie się z księgami finansowymi firmy.

Podczas przerwy na lunch Lovestone opuścił salę i tego dnia już tam nie wrócił. Choć wydawało mu się, że sędzia Fergusson jest nastawiony przeciwko korporacji, nie należało wyciągać pochopnych wniosków. Gdyby nawet i tak było, to Perry jest przecież doświadczonym prawnikiem, z łatwością rozgniecie argumenty tej wszy, Cravera.

Jackie widziała w telewizji wystąpienie Jerry'ego Lovestone'a przed gmachem sądu. Chcesz być rzetelnym przedsiębiorcą, pomyślała, o, nie martw się, wkrótce będziesz miał okazję spłacić cały swój dług.

Dziewczyna była pewna wygranej.

Jackie spędziła lunch w towarzystwie niezwykle miłego dyrektora firmy komputerowej mającej w niedługim czasie wejść na nowojorską giełdę papierów wartościowych. Człowiek ten, nazwiskiem Barnaby Heighes, chciał, by właśnie dział reklamy New York Oil zajął się promocją jego firmy w prasie i telewizji. Oferował w zamian grube miliony.

- Dlaczego właśnie my? - zapytała Jackie. - Jest wiele agencji reklamowych specjalizujących się w takich promocjach. Moja korporacja reklamuje głównie własne produkty.

- Zależy nam, abyście to byli wy. Macie odpowiednie doświadczenie, inaczej nie bylibyście jedną z przodujących w tym kraju firm.

- Niestety, panie Heighes, na tym polu nie mamy żadnego doświadczenia. Nasza firma nie emituje akcji na giełdę.

- Nalegam jednak, by pani się zgodziła. Wasz prestiż pomoże nam w nakłonieniu przyszłych akcjonariuszy do kupna naszych akcji. Będzie to swoista reklama, korporacja o długoletnich tradycjach pomoże mniejszej, aczkolwiek prężnie rozwijającej się firmie.

- Nie sądzi pan chyba, że użyczymy swego logo do reklamy pańskich komputerów?

- Ach, skądże znowu! Tyle że w pewnych kręgach rozniesie się wieść, iż to właśnie wy reklamujecie moją firmę, a to z kolei pomoże naszym akcjonariuszom trafić do rąk tych, do których trafić byśmy chcieli.

- Ma pan na myśli wielkie firmy państwowe i prywatne?

- A także banki - dokończył dyrektor.

- Panie Heighes - Jackie popatrzyła życzliwie na swego rozmówcę - z radością chciałabym panu pomóc, jestem jednak stosunkowo młodym pracownikiem korporacji i nie czuję się w mocy podejmować decyzji odbiegających od zwykłych zadań mojego działu. Zechce pan poczekać, aż skonsultuję się w tej sprawie z moimi przełożonymi.

- Oczywiście - Heighes posłał Jackie szeroki uśmiech. - I proszę pamiętać, że sporo zarobicie na interesie ze mną. Lecz musi pani podjąć decyzję już dziś. Jutro moja oferta nie będzie aktualna. Proszę mnie zrozumieć, nie mam czasu czekać.

Bezpośredni przełożeni Jackie okazali się tego popołudnia nieuchwytni. Coleman wyjechał do Włoch w jakiejś pilnej służbowej sprawie, natomiast Lovestone przepadł gdzieś zaraz po lunchu. Nie było go w biurze, ni w domu, w sądzie też się więcej nie pojawił.

Trudno, pomyślała Jackie wykręcając numer do Barnaby'ego Heighesa, sama podejmę decyzję. W końcu co mam do stracenia?

- Mam dla pana dobrą wiadomość, panie Heighes - mówiła do słuchawki. - Nie udało mi się, co prawda, skontaktować z moimi przełożonymi, jednak decyduję się na reklamowanie pańskiej firmy. Zechce pan jutro przyjść do mojego biura. Sporządzimy umowę i uzgodnimy warunki współpracy.

- Nawet nie wyobraża pani sobie, jak się cieszę - usłyszała podekscytowany głos dyrektora. - Być może i pani firma zechce nabyć nasze akcje.

- Być może. Do jutra.

Jackie odłożyła słuchawkę. Komputery? Nie, po co jej akcje firmy komputerowej? Hotele, turystyka, owszem, posiadanie pakietu kontrolnego w takich właśnie firmach pomogłoby jej osiągnąć jasno wytyczony cel.

A cel był jeden - zniszczyć Lovestone'a.

Zaraz po skończonej rozmowie z Heighesem Jackie opuściła biuro. Miała dość pracy jak na jeden dzień.

- Gdyby ktoś mnie szukał - poleciała Bernice - powiedz, że wyszłam na jakieś spotkanie i dzisiaj już nie wrócę do biura.

Godzinę później Jackie jechała wynajętym samochodem w kierunku Trenton w stanie New Jersey.

Nadszedł czas, by sprawdzić rewelacje Clarka Davisa.

Parking przed Prywatną Kliniką Neurologiczną w Trenton był jak zwykle zatłoczony przez luksusowe samochody dobrze zarabiającego personelu szpitala; Jackie z trudem znalazła wolne miejsce do parkowania. Zostawiła samochód i szła już w kierunku budynku, gdy nagle jej wzrok przykuło jedno z aut. Sportowy jaguar, który już wcześniej widziała na ranczo. Samochód Lovestone'a.

Co ten łotr mógł robić w takim miejscu?

Dziewczyna wróciła do swego wozu i rozpoczęła wyczekiwanie, podczas którego wielokrotnie ogarniała ją wątpliwość.

A może to nie Lovestone? W końcu po ulicach jeżdżą różne samochody, nawet takie...

A jeśli to Lovestone? Do kogo przyjechał?

Po kwadransie jej cierpliwość została nagrodzona. Z budynku wyszedł Jerry Lovestone i wsiadłszy do swego jaguara natychmiast odjechał. Wielki Prezes wydał się Jackie jakiś szary i przygarbiony. Nie wiedzieć czemu, dziewczyna była przekonana, iż to nie nadchodzący zmierzch był przyczyną tej szarości.

Jackie odczekała w samochodzie jeszcze kilka minut, po czym weszła do budynku.

- Nancy Coleman? - zapytała pielęgniarka w recepcji. - Jest w swoim pokoju. Kim pani jest dla chorej?

- Nazywam się Jackie Alexander, przyjaźnię się z synem pani Coleman. Byliśmy tu niedawno.

Pielęgniarka sprawdziła coś w rejestrze odwiedzin.

- W porządku. Może pani wejść. Blok C, sala numer dwanaście. Pani Coleman miała dziś gościa, ale już wyszedł. Trafi pani sama?

- Chyba tak.

Gdy Jackie weszła do pokoju Nancy Coleman, chora kobieta siedziała tyłem do drzwi na swym wózku inwalidzkim.

- Dzień dobry, Nancy. To ja, Jackie Alexander. Poznałyśmy się niedawno.

Jackie z wahaniem okrążyła wózek i stanęła przed obliczem matki Nicka.

Nancy płakała. Z jej oczu spływały gęste łzy, rozmywając po drodze makijaż. Pierś kobiety co chwila wstrząsał gwałtowny spazm, jednak z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Co się działo w duszy tej kobiety, wiedział tylko Bóg i ona sama, a musiało to być coś strasznego, skoro zmusiło to bezwolne ciało do tak okropnego płaczu.

- Pani Coleman, Nancy... - zaczęła niepewnie Jackie. - Co on pani zrobił? Był tu, prawda? Lovestone, widziałam go... Skrzywdził panią? Boże, nie płacz... - Dziewczyna przytuliła mocno targane niemym płaczem ciało kobiety. - Nancy, wiem, że jesteś normalna.

Ciało Nancy zadrżało mocniej. Jackie spojrzała głęboko w jej załzawione oczy.

- Wiem, że mnie słyszysz - mówiła - i rozumiesz. Kilka dni temu był tu nowy sanitariusz, pamiętasz? Słukł karafkę z wodą i przestraszył cię. To był mój przyjaciel, detektyw Clark Davis.

Nancy słuchała chciwie, a Jakie mówiła dalej:

- Posłuchaj, pomogę ci. Ale najpierw muszę się upewnić... Zrozum... Muszę mieć pewność, że się nie mylę. Zobacz - przytoczyła wózek do stołu - kładę teraz z jednej strony blatu książkę, z drugiej pilot od telewizora. Skieruj teraz wzrok na książkę...

Sparaliżowana kobieta przestała płakać i spojrzała dokładnie, na książkę.

- Świetnie! A teraz pilot.

Spojrzenie kobiety powędrowało zgodnie z poleceniem w kierunku pilota, po chwili zaś utkwilo w oczach Jackie. „Pomóż mi!” - błagała wzrokiem chora kobieta.

- A teraz posłuchaj - mówiła gorączkowo Jackie. - Książka oznacza tak, pilot oznacza nie. Zadam ci teraz kilka pytań, a ty postaraj się na nie odpowiedzieć. Uważaj! Nazywasz się Nancy Coleman?

Tak. Wzrok kobiety zatrzymał się na książce.

- Wspaniale! Czy masz syna Nicholasa?

Nancy nadal patrzyła na książkę.

- Czy twój mąż żyje?

Nancy z wielkim skupieniem przeniosła wzrok na pilota. Nie.

- Był tu dziś Lovestone?

Książka. Tak.

- Często przychodzi do ciebie?

Tak

- Lubisz te wizyty?

Nie.

Do pozornie martwych oczy kobiety znów napłynęły łzy.

- Dziękuję, Nancy. Musiałam mieć pewność, że posiadasz pełną jasność myślenia. Nick będzie szczęśliwy, gdy się o tym dowie.

Nie! Nancy popatrzyła na pilota.

- Nie chcesz? - zdziwiła się Jackie. - Dlaczego? Twój syn ma prawo wiedzieć... Boisz się, że będzie cierpiał przez to, że przez tyle lat nic nie zauważył?

Książka.

- Twój syn zasługuje na to, by cierpieć - Jackie oburzyła się na ten przejaw matczynej troski. - Sprzedał Lovestone'owi całego siebie. Honor, godność, wszystko. Zbyt łatwo pogodził się z dominacją Lovestone'a nad swoim życiem. Jest jak drewniana marionetka w rękach tego łotra! Powiedz, to Lovestone'owi zawdzięczasz ten koszmar?

Książka. Łzy.

- Już dobrze, Nancy, nic mu nie powiem. Sama mu powiesz, jak wyzdrowiejesz.

Kobieta spojrzała na pilota. Nie wyzdrowieje.

Jackie uchwyciła to spojrzenie, pełne bólu i rezygnacji.

- Nie wolno ci się poddawać - powiedziała. - Musisz uwierzyć w siebie. Wiem, że minęło tyle lat, ale kto nam zaręczy, że przez cały ten czas uczyniono wszystko, by cię wyleczyć? Może Lovestone chce, abyś na zawsze pozostała sparaliżowana?

Nancy jeszcze raz spojrzała na pilota. On chce, abym wyzdrowiała.

- No dobrze, skoro chce twego zdrowia, to dlaczego nie dopuszcza, aby ktokolwiek wiedział, że jesteś normalna? Znasz odpowiedź na to pytanie? - Jackie bardziej stwierdziła niż zapytała.

Książka. Znam odpowiedź.

Jackie myślała przez chwilę, a gdy zaczęła mówić, jej słowa podziały jak balsam na udręczoną duszę Nancy Coleman.

- Po pierwsze, spróbuje namówić Nicka, żeby zabrał cię stąd dokądkolwiek, byleby z dala od tych kłamliwych szarlatanów...

Tak!

- ...Po drugie, znam pewne miejsce na Ziemi, bardzo daleko stąd, gdzie znane są przypadki uleczenia chorych cierpiących na nieuleczalne choroby, także na paraliż. Zawiozę cię tam, obojętnie czy za zgodą twego syna, czy nie. Musisz mi tylko zaufać i uwierzyć, że się uda. A teraz, Nancy, opowiem ci o sobie. - Jackie wzięła się za usuwanie rozmazanego makijażu chorej kobiety. - Naprawdę nazywam się Jackie Sand. Wychowałam się w małej tybetańskiej wiosce na pograniczu Chin i Nepalu. Miałam ciotkę w Nowym Jorku...

Po godzinie do sali weszła pielęgniarka.

- Co pani tu robi o tej porze? - widok Jackie ją zaskoczył.

- Przyjechałam odwiedzić tę kobietę. Jej syn, Nicholas, prosił mnie o to, gdyż sam musiał wyjechać do Włoch - skłamała Jackie. - Wygląda na to, że trochę się tu zasiedziałam. Nabrałam od Nicka zwyczaju mówienia Nancy o wszystkich swoich problemach. Miałam właściwie już iść, ale zanim to zrobię, proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie, siostró. Gdy tu weszłam, Nancy Coleman płakała. Jak pani myśli, dlaczego?

- Cóż... być może chora miewa czasem przebliski świadomości, chociaż lekarzowi nigdy nie udało się trafić na taki moment. A może po prostu chory mózg tej kobiety sam nakazuje jej płakać.

- Tak, z pewnością ma pani rację, siostró.

Jackie podeszła do chorej.

- Trzymaj się, Nancy - rzuciła wesoło. - Powiem Nickowi, że masz się dobrze.

Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko.

Następnego ranka Jackie przyszła do pracy mocno spóźniona, ze śladami zmęczenia na twarzy. Podróż do Trenton zupełnie ją wyczerpała.

- Co nowego, Bernice? - zapytała wchodząc do biura.

- Nic po za tym, że był tu pan Lovestone. Szukał cię. Nie wiem, czego chciał. Powiedziałam, że się spóźnisz, bo z samego rana masz coś pilnego do załatwienia. Potem siedziałam tu z duszą na ramieniu, gryząc paznokcie i wyobrażając sobie, co się stanie, jeśli wyjdzie na jaw, że okłamałam samego Wielkiego Prezesa. Mogłaś chociaż zadzwonić - dodała z wyrzutem.

- Nie mogłam. Spałam. A teraz zrób mi mocną kawę i połącz z Lovestonem.

- Przecież nie lubisz kawy.
- I co z tego? Lovestone'a też nie lubię.

- Witaj, Jackie! - głos Lovestone'a w słuchawce brzmiał podejrzanie miło. - Trudno cię zastać w firmie.

- Cóż - westchnęła niewinnie - moja praca wymaga szerokiej dyspozycyjności. Czasami muszę przenieść biuro poza mury tego budynku. Stało się coś?

- Ach, nic. Tylko... - zawahał się - pomyślałem sobie, czy nie mogłabyś odłożyć swoich obowiązków do jutra i nie wybrałaś się ze mną na ranczo. Kupiłem nowe konie i chciałbym, żebyś rzuciła na nie okiem fachowca.

Coś podobnego! Ten dupek zalecał się do niej! Ciekawe, czy skórzane ubranka i pejczy stanowiły standardowe wyposażenie rancza, czy też kupiliby kilka po drodze?

- Przykro mi, Jerry, ale dziś nic z tego. Mam tu trochę zaczętych spraw. Naprawdę nie mogę dziś zrobić sobie wolnego.

Jackie postanowiła nagle nie mówić mu na razie o firmie komputerowej Barnaby'ego Heighesa.

- Trudno, w takim razie wybierzemy się tam kiedy indziej.
- Z przyjemnością.

Wieczorem Jackie Alexander spotkała się z Clarkiem Davisem w restauracji przy Park Avenue. Chciała mu w ten sposób wynagrodzić odkrycie w Trenton.

- Odwaliłeś kawał świetnej roboty - mówiła, gdy usiedli przy stoliku. - Byliśmy tam z Nickiem obydwójcie i niczego nie zauważyliśmy.

- Nie przesadzaj, Jackie. W końcu to ty zwróciłaś uwagę na włączony telewizor w sali Nancy Coleman i powiązałaś go ze słowami pielęgniarki.

- To prawda. Tamta pielęgniarka była nowa. Mogła nie wiedzieć o zakazie dotyczącym Nancy, być może nieświadomie palnęła o tej telewizji. Wczoraj inna pielęgniarka przekonywała mnie, że pani Coleman nie posiada żadnej władzy umysłowej.

- To okrutne - oburzył się Clark. - Jak można skazać kogoś na trzynastu lat odosobnienia?

- Można, Clark. Trzeba tylko być Jerryem Lovestonem.

Po kolacji Clark odwiózł Jackie do jej mieszkania.

- Nie zaprosisz mnie na drinka? - spytał, gdy znaleźli się przed jej drzwiami.

- Wybacz - zmieszła się - ale mało spałam tej nocy, a jutro rano muszę być w biurze. Dobranoc.

- Dobranoc. - Clark ujął ją za rękę i pochylił się, by pocałować Jackie w usta. Ale ona odwróciła nagle głowę i usta Clarka musnęły tylko lekko jej policzek.

- Dlaczego? - głos mężczyzny zachrypiał pożądaniem.

- Należę o kogoś innego, Clark - smutno powiedziała Jackie. - Zawsze już tak będzie. Musisz to zaakceptować.

- Jackie, ja... Kocham cię.

- Możemy być tylko przyjaciółmi. Przykro mi.

Jackie weszła do swego mieszkania, zostawiając Clarka samego ze swymi myślami.

Cholera - zaklął w duchu detektyw. - Że też zawsze ktoś musi mi sprzątać najlepszy towar sprzed nosa.

Polecisz do Modeny, Jackie - oświadczył Lovestone na cotygodniowym spotkaniu szefów wszystkich działów. - Coleman ma tam jakieś trudności ze sprzedażą naszych samochodów.

- Dlaczego ja? - zdziwiła się dziewczyna. - Skoro nawet Nicholas nie może dać sobie z tym rady?

- Jesteś szefem reklamy - wyjaśnił Wielki Prezes. - Poza tym udowodniłaś już, że znasz się na swoim fachu. Poleciałbym sam, zawsze tak robiłem, ale tym razem jestem uwiązany tym cholernym procesem. - Lovestone miał oczywiście na myśli sprawę Helen O'Donnell.

Następnego dnia Jackie była już we Włoszech.

Sprawa wyglądała właściwie beznadziejnie. Korporacja New York Oil miała w tym kraju fabrykę samochodów małolitrażowych.auta te nie trafiały bezpośrednio do dealerów, ale całość produkcji była zawsze sprzedawana firmie Alcala Motors, wchodzącej w skład korporacji produkującej samochody marki Ferrari. Tym razem Alcala Motors odstąpiła od warunków kontraktu. Jej szefowie byli zgodni wypłacić karę z tego tytułu, jednakże nie chcieli od New York Oil ich samochodów, wskutek czego zatrzymano linię

produkcyjną fabryki, a tysiące nowiuśkich aut zalegały plac wokół niej. Każdego dnia rosły straty korporacji.

Jackie spotkała się z Nickiem przed budynkiem firmy Alcala Motors i po wymianie zdawkowych uprzejmości weszli razem do środka. Nick czuł, że to nienajlepszy moment na usprawiedliwienie.

Szef firmy, hrabia Jose Eduardo Alcala, przyjął ich chłodno.

- Już panu mówiłem - zwrócił się do Colemana, zupełnie ignorując obecność Jackie - że odступujemy od umowy. Wkrótce prześlemy na konto New York Oil stosowną opłatę z tego tytułu. Traci pan czas, Coleman.

- Raczycie pan żartować - Nick był bliski rozstroju nerwowego. - Nikt nie zechce naszych samochodów na podzespołach Ferrari bez emblematów na masce!

- To już nie mój problem.

- Czy możemy - wtrąciła się Jackie - znać powody pańskiej decyzji?

- Co uprawnia panią do zadawania mi pytań? - rzekł Alcala niegrzecznym tonem, przekonany, że Coleman przyszedł ze swoją sekretarką.

Jackie niezrażona odpowiedziała:

- Jako dyrektor do spraw reklamy mojej korporacji powinnam znać przyczyny, dla których wieloletnia współpraca z nami ma zostać zerwana, chociażby po to, aby na przyszłość uniknąć podobnych sytuacji.

Alcalę zaskoczyła ta odpowiedź. Dyrektor reklamy? Ta młodzianka osóbką jest dyrektorem reklamy? Niesłychane! Kim w takim razie jest teraz Coleman?

Dotąd Alcala sądził, że Lovestone wysłał do Włoch swojego pomagiera, by ten załatwiał za niego interesy. Właśnie to było przyczyną zerwania kontraktu. Pełna temperamentu, gorąca, włoska natura nie pozwalała Alcali spoufaląć się z nikim, kto stał choćby o szczebel niżej od niego na drabinie społecznej. To, że Lovestone nie przyjechał do Modeny osobiście, godziło w dumę hrabiego. Szef Alcala Motors prowadził interesy jedynie z głowami państw, szefami rządów i prezesami wielkich firm. Włoski magnat mógł sobie na to pozwolić, jego firma należała do najlepiej prosperujących i najbogatszych w Europie. Hrabia Jose Eduardo Alcala traktował prowadzenie firmy bardziej jako rozrywkę aniżeli zło konieczne.

Jackie wiedziała o manii wielkości Alcali. Kilka lat temu, podczas swej podróży po Europie, Jackie poznała w Rzymie w dyskotecie syna hrabiego,

Enrique Alcalę, który ku ubolewaniu swego ojca zadawał się właśnie z popolitymi ludźmi. Jako obiekt westchnień Enrique, Jackie poznała wówczas bogate dzieje zamożnej rodziny Alcalów, jak również wszelkie wady i zalety głowy tej rodziny - Jose Eduardo.

- Pozwoli pani - odezwał się Alcalá - że nie podam przyczyn zerwania kontraktu z korporacją New York Oil. Nie będę mógł pani usatysfakcjonować, panno Alexander. A teraz zechcą mnie państwo zostawić samego. Mam wiele spraw na głowie.

Jackie i Nick wyszli z gabinetu hrabiego Alcalí.

- Rany, moja torebka! - Jackie nagle zawróciła, wchodząc tam z powrotem.

Zastąpiła włoskiego hrabiego patrzącego w dal przez okno. - Coś jeszcze, panno Alexander? - drgnął na jej nadejście.

- Głupia sprawa. Zapomniałam torebki. - Dziewczyna podeszła do kanapy, na której jeszcze przed chwilą siedziała z Nickiem. Torebka leżała na stoliku do kawy. Jackie wzięła torebkę i dostojnie ruszyła w kierunku wyjścia. Tuż przed drzwiami zatrzymała się jednak.

- Wielka szkoda, panie hrabio, że drogi naszych firm muszą się rozjechać, w dodatku z niewiadomych przyczyn.

- Takie jest życie, droga panno, ono jeszcze wielokrotnie panią rozczaruje.

- Ja się nie liczę. To Jerry Lovestone będzie rozczarowany sposobem, w jaki potraktował pan jego zięcia.

Dziewczyna wyszła.

Hrabia Jose Eduardo Alcalá poczuł się w tym momencie tak, jak gdyby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody.

Zięć! Mój Boże - pomyślał - nigdy bym nie zgadł! Prędko! Może jeszcze uda mi się naprawić całe zło.

W pośpiechu wypadł na korytarz, ale przedstawiciele New York Oil już zdążyli zniknąć w windzie.

W taksówce Nick zagadnął Jackie:

- Lovestone zmyje nam głowy za to niepowodzenie. Przepadną miliardy dolarów.

- Najwyżej - dziewczyna krótko ucięła rozmowę.

Zauważył, że najwyraźniej nie miała ochoty na pogaduszki. No bo i o czym mogła z nim rozmawiać? Mówił, że ją kocha, a tymczasem zaręczył się z córką szefa. Nick postanowił, że wytłumaczy jej wszystko, jak tylko dojadą do hotelu, należącego oczywiście do korporacji.

Jednakże gdy tam dotarli, Jackie natychmiast udała się do swego apartamentu, Nicka natomiast zatrzymał recepcjonista.

- Miał pan przed chwilą dwa pilne telefony - oznajmił. - Jeden od dyrektora fabryki samochodów New York Oil, drugi od niejakiego Jose Eduardo Alcali, obaj panowie proszą o jak najszybszy kontakt.

Nick zadzwonił najpierw do fabryki należącej do firmy.

- Niech pan natychmiast tu przyjedzie, panie Coleman - gorączkował się dyrektor fabryki. - Stała się rzecz niesłychana! Przyjechały lawety od Alcali Motors i chcą ładować nasze samochody! Ich kierowcy albo nic nie wiedzą o zerwaniu kontraktu przez ich szefa, albo też kontrakt nie został zerwany.

Kolejny telefon Coleman wykonał do Alcali.

- Niestety, szef wyjechał - poinformowała go sekretarka. - Prosił, by zechciał pan udać się do waszej fabryki.

Nick nie mógł pozbierać myśli. Wsiadł tylko do taksówki i kazał jechać kierowcy na złamanie karku. Co takiego mogło się stać, że Alcali zdecydował się jednak wziąć ich samochody? Bo co do tego, że tak właśnie zdecydował, nie było najmniejszych wątpliwości. Czyżby przemyślał wszystko jeszcze raz i zdał sobie sprawę, że zbyt dużo straci na zerwaniu kontraktu? Tak, najprawdopodobniej tak właśnie było.

Coleman nawet nie podejrzewał, że jest to zasługa Jackie. Od początku nie wierzył, że jej obecność tutaj mogła cokolwiek zmienić. To Lovestone uparł się, by tu przyjechała, a skoro tak - proszę bardzo, niech dziewczyna z Teksasu zobaczy trochę świata.

Bo czyż był w całej korporacji ktoś lepszy od Nicka w sprawach sprzedaży i reklamy? Coleman był przekonany, że nie. Nie wiedział jednak, jak bardzo jest w błędzie.

Tym razem nastawienie Alcali do Colemana zmieniło się diametralnie. Gdy tylko szef Alcali Motors, zobaczywszy Nicka, wysiadł ze swego Lamborghini, dosłownie rozpląnął się w uprzejmościach. Długo tłumaczył Colemanowi o zaistniałym nieporozumieniu. Oczywiście, że jego firma odbierze wszystkie samochody stojące na placu, zgodnie z umową. Co tam! Pokryje nawet straty spowodowane zatrzymaniem linii produkcyjnej.

- Dziękuję, że jednak zmienił pan decyzję. - Coleman był szczęśliwy z takiego obrotu sprawy.

- Drobiazg. Jeszcze raz przepraszam za to nieporozumienie. Przy okazji, proszę pozdrowić ode mnie Jerry'ego i pogratulować mu tak wspaniałego zięcia. Szkoda, że od razu nie powiedział pan, co łączy pana z Lovestonem.

Nick zdumiał się, skąd Alcala mógł wiedzieć o zaręczynach z Vanessą. Nagle przyszło olśnienie.

Jackie! Musiała mu o tym powiedzieć, gdy wróciła do jego gabinetu! Celowo zostawiła tam torebkę, by zostać z Alcalą sam na sam. Kochana Jackie. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby nie ona.

Coleman jak szalony wpadł do hotelu.

- W którym apartamencie zatrzymała się panna Alexander? - zapytał recepcjonistkę.

- Panna Alexander opuściła swój apartament przed godziną. - Recepcjonistka spojrzała na zegarek. - W tej chwili leci samolotem do Nowego Jorku.

Rozdział XII

Jerry Lovestone siedział w wielkim skórzanym fotelu we własnym gabinecie, przeglądając umowę z firmą komputerową reprezentowaną przez Barnaby'ego Heighesa, zobowiązującą New York Oil do wyprodukowania czterech filmów reklamowych uwypuklających korzyści płynące z nabycia akcji tejże firmy. Cenę usługi ustalono na, nie bagatela, osiemnaście milionów dolarów. Pieniądze te już wpłynęły na konto korporacji.

Pieniądze.

Ich potęgą i władzą, jaką dawały.

Właśnie to Lovestone lubił najbardziej - robić pieniądze i korzystać z pieniędzy. Zaprzedał im duszę. A one zrobiły z niego potwora zdolnego niszczyć i zabijać wszystko, co napotka na swej drodze, wszystko, co mogłoby przesłonić mu dostęp do nich. Były źródłem dającym mu energię do życia. Pozbawić Lovestone'a pieniędzy to tak, jakby go zabić.

Jerry Lovestone właściwie nigdy nie był biedny, chociaż jego rodzice urabiali sobie ręce po łokcie, by zapewnić synowi godziwy poziom życia.

Ojciec Jerry'ego był inżynierem, prowadził firmę Lovestone Mining, zajmującą się prowadzeniem odwiertów na roponośnych terenach południowych Stanów Zjednoczonych. Wędrowali od jednych małych miasteczek do drugich, od jednego stanu do drugiego. Czasem ekipa ojca natrafiała na śladowe ilości ropy naftowej, dające nadzieje, pozwalające na jako takie życie i na dalsze odwierty, nigdy jednak niewystarczające na tyle, by uczynić z nich milionerów.

Rodzina Lovestonów przemierzyła w ten sposób całą Oklahomę i pół Arkansas. Aż pewnego dnia, gdy Jerry miał dziewięć lat, tuż przed Bożym Narodzeniem Greg Lovestone wpadł jak oszalały do ich przyczepy mieszkalnej. Porwał w ramiona swą żonę Elaine i zaczął z nią tańczyć po prowizorycznej

kuchence, rozwalając przy tym stołki i naczynia.

- Znalazłem! - wrzeszczał. - To jest to! Kochanie, jesteśmy bogaci!

Elaine Lovestone, przyzwyczajona do takich ataków radości męża, nie patrzyła ze zbytnim optymizmem na najnowsze znalezisko. Zbyt często roponośna żyła okazywała się jałowa.

A jednak wydobyć trwało już dwa miesiące i nie zanosilo się na szybkie wyczerpanie surowca. Czyżby jednak to było to?

Przeprowadzono skrupulatne badania, które jednoznacznie wykazały, że pod powłoką ziemi znajdują się olbrzymie ilości ropy naftowej.

Rodzina Lovestone'ów mogła wreszcie osiąść gdzieś na stałe. Wybrali Little Rock, miasto w stanie Arkansas, kupili tam dom i zaczęli toczyć życie bogatych ludzi.

Dopiero teraz mały Jerry poczuł smak prawdziwych pieniędzy. Nie musiał już bawić się w przykrótkich spodniach z dziećmi pracowników ojca. Zaczął chodzić do prywatnej szkoły z pociechami innych dorobkiewiczów. Szybko odkrył też, że tam, gdzie nie sięgały pieniądze i prestiż jego ojca, wystarczyło użyć pięści czy szantażu, by zaskarbić sobie poważanie kogo trzeba. Nie był lubiany przez kolegów, ale też nie przeszkadzało mu to zupełnie. Wiedział, że pewnego dnia zajmie miejsce swego ojca, a wówczas nie będzie potrzebował niczyich łask. Wystarczą pieniądze z wydobywania ropy naftowej.

A firma Lovestone Mining każdego niemal miesiąca natrafiała na coraz to nowe złoża...

Gdy Jerry miał trzynaście lat, rodzice posłali go do prywatnej szkoły w Szwajcarii, gdzie pozostał aż do ukończenia szkoły wyższej. Tam też poznał Barbarę Wiedermann, dziedziczkę olbrzymiej fortuny.

Barbara była wówczas piękną, młodziutką dziewczyną, lecz ani trochę nie pociągała Jerry'ego. On od zawsze wołał dziwki z ulicy. Dopiero z nimi mógł robić w łóżku to, co naprawdę lubił, czyli wszystko, oprócz normalnego seksu.

Na Barbarę Jerry może by i nie zwrócił uwagi, ale raz usłyszał jej rozmowę z nauczycielką fizyki.

- Przykro mi, że tak się stało, Barbaro - mówiła nauczycielka. - Teraz, gdy zmarł twój dziadek, straciłaś ostatnią bliską osobę na świecie.

- To prawda - westchnęła dziewczyna. - Gdy tylko ukończę tę szkołę, będę musiała zająć się rodzinnym interesem. Nie wiem jednak, jak sobie poradzę. Zupełnie nie mam głowy do interesów.

Jerry wiedział, że rodzina Wiedermannów była bajecznie zamożna. Posiadali sieć luksusowych hoteli rozsianych po całej Europie. Należało zatem zapoznać się bliżej z osieroconą Wiedermannówną. Roztoczył więc wokół niej cały swój urok, a ona zakochała się w nim bez pamięci.

Gdy Jerry Lovestone ukończył szkołę wyższą i mógł wreszcie opuścić Szwajcarię, przywiózł ze sobą do Little Rock młodą dziedziczkę firmy hotelarskiej, lecz nie była to już Barbara Wiedermann. Teraz nazywała się Barbara Lovestone.

Rodzice Jerry'ego byli zadowoleni ze wspaniałej synowej.

Barbara była zadowolona, że jej ukochany mąż zdjął z jej barków ciężar zarządzania firmą.

Najbardziej jednak zadowolony był Jerry. Za jednym zamachem zdobył żonę będącą doskonałą partią towarzyską i zyskał olbrzymi majątek w postaci firmy hotelarskiej o międzynarodowym zasięgu - dziedzictwo Barbary.

Gdy zmarli jego rodzice, Jerry przeniósł się wraz z żoną do Nowego Jorku i połączył obie firmy - Lovestone Mining i Wiedermann Hotels - w jedną, pod nazwą New York Oil and Company.

Przez lata korporacja rosła w potęgę. Teraz mało która firma mogła się jej równać. Sekret Lovestone'a w zarządzaniu firmą polegał na tym, że umiejętnie manipulował ludźmi.

Zasady życia w świecie finansów nie różniły się zbyt od tych ze szkoły w Little Rock, z czasów jego dzieciństwa. Gdzie nie pomagały pieniądze i prestiż, tam nadal działała siła szantażu.

Gdzie zawodził i szantaż - wkraczała zbrodnia.

Po powrocie z Modeny, Jackie natychmiast udała się do swego biura.

- Lovestone kazał ci przyjść do niego, jak tylko się zjawisz - powitała ją od progu Bernice.

O! Czyżby znowu marzyła mu się podróż na ranczo tylko we dwoje? - uśmiechnęła się w duchu Jackie.

- W porządku, zobaczymy, czego chce nasz prezes.

Jackie pojechała na osiemdziesiąte piętro, wysiadła z windy i ruszyła w stronę pokoju Lovestone'a. Ciekawe, jaką miał minę szanowny pan Coleman, gdy się zorientował, dlaczego Alcalá zmienił zdanie i nie odstąpił od kontraktu - pomyślała, mijając drzwi do gabinetu Nicka.

- Cześć, Jerry - dziewczyna usiadła naprzeciwko Wielkiego Prezesa. - Przywożę ci z Modeny dobre wieści.
- Tak, wiem - odpowiedział, nalewając jej wódki z lodem. - Coleman już do mnie dzwonił.
- Ach tak? - bąknęła niepewnie, nie wiedząc, o czym dokładniej mówił Nick.
- Jak ty to robisz, Jackie Alexander - zapytał znieczeka Lovestone - że wszyscy jedzą ci z ręki?
- Słuchaj - odparła zmieszana - nie wiem, co naopowiadał ci Coleman, ale ja nic nie zrobiłam. To wyłącznie zasługa Nicka, że Alcala wziął od nas te cholerne samochody. Moja obecność tam niczego nie zmieniła.
- W każdym razie cieszy mnie, że wasz wyjazd był tak owocny. Martwi mnie natomiast co innego - zrobił zatroskaną minę. - Coś, co ma związek z twoimi kompetencjami.
- Co mianowicie? - Dziewczyna stała się czujna.
- Umowa z nieznaną mi dotąd firmą komputerową - rzekł, patrząc w dokumenty. - Niejaki pan Heighes zleca nam reklamowanie jego firmy, aby zachęcić potencjalnych akcjonariuszy do zakupu jej akcji.
- Niejaki pan Heighes - nie dała się zbić z tropu - przelał na nasze konto osiemnaście milionów dolarów za tę usługę. Dodam też, że ani ty, ani Nicholas nie byliście uchwytli w momencie podjęcia przeze mnie tej decyzji. A musiałam zdecydować szybko, uznałam więc, że warto zarobić osiemnaście milionów. - Puściła do Lovestone'a oko i dodała słodkim głosem: - O to nam, zdaje się, chodzi, nieprawdaż? Robić pieniądze.
- Cóż... Poniękad tak. - Jerry patrzył z uwagą na tę młodą dyrektorkę reklamy. Zastanawiał się, jaki potencjał umysłowy kryje się za tą piękną twarzą. - Nigdy jednak New York Oil nie reklamowała firmy zupełnie nam obcej - ciągnął łagodnym tonem. - Firmy współpracujące to co innego, zawsze była pewność, że mamy je pod sobą. My dajemy im pierwszorzędną reklamę, oni nam korzystne warunki usług. Pan Heighes jest osobą zupełnie mi nieznaną. Co więcej, nigdy nie słyszałem o jego firmie. Nie chciałbym, aby poprzez układy z niepewną, nieznaną firmą, ucierpiał nasz wizerunek, jeśli coś pójdzie nie tak. Dlatego jestem zmuszony nakazać ci, abyś odstąpiła od realizacji waszej umowy.

- Dziwi mnie twój sposób myślenia, Jerry - odparła ze spokojem. - Zawsze sądziłam, że jako prawdziwy biznesmen potrafisz podejmować ryzyko, zwłaszcza, że w grę wchodzi osiemnaście milionów. Nie podejrzewałam cię o sentymenty. - Uśmiechnęła się smutno. - Chciałam brać z ciebie przykład. Teraz widzę, jak wielki błąd bym popełniła. Oczywiście, odstąpię od umowy z Barnabym Heighesem, skoro sobie tego życzysz. Odrzucę też wszystkie podobne oferty. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Tyle pieniędzy... - mruknęła niby do siebie. - Aż strach pomyśleć, że zarobi je ktoś inny.

Jej słowa docierały do Lovestone'a powoli, powoli też jego umysł rozjaśniał się, jakby pod wpływem magicznego światła.

Zarzuciła mu zabawę w sentymenty... Chciała brać z niego przykład... Wątpiła w jego przebiegłość... I, do cholery, miała rację! Był głupcem, że dotąd odrzucał możliwość zarobienia pieniędzy na reklamowaniu obcych firm.

- Chwileczkę, Jackie - z wrażenia ledwie mógł mówić, jako że w tym momencie ogromne sumy z wieloma zerami przelatowały mu przed oczyma - nie działajmy pochopnie. Nie zrozum mnie źle, nie neguję twoich umiejętności. Gdybyś zechciała jednak bliżej wyjaśnić mi...

- Oczywiście - weszła mu w słowo. - Otóż pomyślałam sobie, że byłoby świetnie, gdyby mój dział zaczął zarabiać pieniądze.

- Przecież zarabia - zauważył niepewnie Lovestone.

- Owszem, ale przyznasz chyba, że produkowanie reklam w zamian za podwykonawstwo to dość niewymierny sposób, by zilustrować opłacalność mego działu. Ponadto, reklamując tylko własne towary, nie zarabiamy nic. Chodzi mi nie o poprawę image firmy i budowanie jej marki, ale o konkretne wartości wyrażone w pieniądzu.

- Za to zmniejszamy koszt całkowity produkcji, gdyż nie musimy korzystać z usług drogich agencji reklamowych.

- Oczywiście, Jerry, to wszystko prawda. Ale pomyśl, co by było, gdyby mój dział zaczął zarabiać na swoje utrzymanie?

- Przestałby być kosztem dla firmy. - Rosnący entuzjazm Jackie powoli udzielał się Lovestone'owi.

- Właśnie! - przytaknęła z zapalem. - Korzystalibyśmy z pieniędzy zarobionych na reklamie obcych firm, płacąc pracownikom pensję, ubezpieczenia, finansując badania rynku, wreszcie, robiąc reklamy własnych produktów: Wiesz, że co najmniej siódma część kosztu całkowitego produktu to

koszt promocji i reklamy? - Jackie zniżyła głos, Lovestone pochylił się nad biurkiem, aby lepiej słyszeć. - Zwróćmy teraz firmom piętnaście procent ich kosztów, a co uzyskamy?

- Co uzyskamy? - powtórzył jak echo.

- Produkty tańsze o piętnaście procent, albo zysk firmy o piętnaście procent wyższy! - Powiedziała to tak głośno, że Lovestone aż podskoczył w swoim fotelu.

- Muszę przyznać - pokiwał głową z uznaniem - że nigdy nie patrzyłem na dział reklamy w ten sposób. Twoje rozumowanie ma sens.

- Oczywiście nie ma potrzeby obniżać naszych cen o całych piętnaście procent - ciągnęła. - Myślę, że wystarczy pięć procent, by uczynić nasze ceny bezkonkurencyjnymi, a przy okazji pozostałe dziesięć procent dotychczasowych kosztów reklamy zamieni się w czysty zysk firmy. O ile oczywiście odejdziemy od standardów i podejmiemy ryzyko promowania i reklamy firm w żaden sposób niezwiązanych z New York Oil.

Lovestone jednym haustem dopił swoją wódkę. Z trudem nadażał za tokiem myślenia tego młodego, ale jakże płodnego umysłu.

- I sądzisz, że dałabyś radę sprawić, by nasz dział reklamy stał się w pełni niezależny finansowo?

- Gdybym uważała inaczej, Jerry, nie plotłabym ci tego wszystkiego. - Także Jackie dopiła drinka. - Ale ty tu rządysz - dodała niewinnie. Szkoda mi tylko tych osiemnastu milionów, które trzeba będzie zwrócić Barnaby'emu Heighesowi. - Dziewczyna wstała. - A teraz, jeśli pozwolisz, wróć do siebie. Przez wyjazd do Modeny spiętrzyły mi się sprawy bieżące.

- Wiesz, Jackie - głos Lovestone'a dopadł ją, gdy sięgała klamki u drzwi. - Nie musisz zwracać Heighesowi tych pieniędzy.

Odwróciła się.

- Nie rozumiem.

- Zrób mu tę reklamę. I przyślij mi wszystkie inne tego typu oferty. Coś mi mówi, że zarobimy kupę szmalu. - Lovestone promieniał szczęściem. Podobny wyraz twarzy mógł mieć Archimedes, gdy krzyczał swoje „eureka!”.

Jackie nie zaskoczyła ta decyzja. Dokładnie tego się spodziewała, tyle że poszło o wiele łatwiej, niż zakładała. Lecz czy istniało coś, co mogło zniechęcić Lovestone'a do zarobienia kolejnych miliardów dolarów? Tym bardziej, że sposób był prosty i nie wymagał od niego wielkich nakładów finansowych.

Lovestone długo siedział w samotności, patrząc na drzwi, za którymi zniknęła Jackie. Ta mała biła Colemana o głowę. Dobrze zrobił, przyjmując ją na miejsce Nicka. Gdyby wszyscy jego podwładni byli tak zaangażowani w rozwój firmy, Lovestone stałby się bez wątpienia najbogatszym człowiekiem na świecie.

Aż dziw, że taka bystra dziewczyna nie poradziła sobie z upadającą firmą swego ojca.

Wielki Prezes sięgnął po słuchawkę i wystukał numer Prokuratury Okręgowej w Nowym Jorku.

- Z Dexterem Tuckerem proszę - warknął do telefonistki z centrali. Po chwili usłyszał znajomy głos.

- Tu Tucker, kto mówi?

- Cześć, Dexter. Tu Lovestone. Jak tam nasze sprawy?

- Możesz spać spokojnie. W dalszym ciągu ani śladu żadnych krewnych naszej dawnej znajomej.

- To dobrze. Ale pracuj nad tym dalej. Mam do ciebie inną sprawę, ot, formalność. Dowiedz się wszystkiego na temat dwudziestopięcioletniej Jackie Alexander, urodzonej w Dallas w Teksasie. Jej ojciec miał tam stadninę koni.

- Drobnostka - odparł zastępca prokuratora okręgowego. - A co? Zalaźła ci za skórę?

- E, nie, po prostu lubię wiedzieć, z kim pracuję. I lepiej, żeby były to same dobre rzeczy, Tucker.

Podróż do Modeny zupełnie wyczerpała Jackie. Dziewczyna nie była przyzwyczajona do nagłych zmian stref czasowych, ani do podróży samolotami. Tam, skąd pochodziła, najlepszym i zarazem jedynym dostępnym środkiem transportu były konie. Tylko tak można było przemierzać górskie tereny.

Dochodziła trzecia nad ranem. Jackie spała smacznie w swym mieszkaniu. Nagle coś zakłóciło ten spokój. Na tle tłukącego o szybę deszczu odcinał się wyraźnie jakiś inny dźwięk.

Jackie, teraz już zupełnie rozbudzona, usiadła gwałtownie na łóżku. Ktoś pukał do drzwi. Narzuciła szlafrok na nagie ciało i wyjrzała przez wizjer.

Na zewnątrz stał Nick Coleman, przemoczony do suchej nitki. Otworzyła drzwi.

- Przyszedłem się wytłumaczyć. - Nick wyglądał jak zbity pies.

- Nie masz czego tłumaczyć - odparła lodowatym tonem, wpuszczając go jednak do środka.

W duszy cieszyła się z tej wizyty. Oby tylko tym razem był szczerzy. Lecz Nick, zamiast mówić, podszedł do niej i odgarnął włosy z jej twarzy, musnął palcami jej usta.

- Brakuje mi ciebie - wyszeptał ze łzami w oczach.

Jego głos i dotyk sprawiły, że Jackie ogarnęło nagle pożądanie tak silne, iż nie była w stanie mu się oprzeć. Przyłgnęła do Nicka całym ciałem, chciwie wpijając się w jego usta. Nawet nie zauważyła, że szlafrok natychmiast nasiąkł wodą od przemoczonego ubrania.

Dużo później, gdy nasyceni sobą leżeli w sypialni, Nick opowiedział Jackie całą historię z Vanessą, o tym, jaką suką się okazała i o szantażu jej ojca.

- Wybaczysz mi - zapytał na koniec - że wcześniej ci o tym nie powiedziałem?

- Głuptasie, już dawno ci wybaczyłam. Domyśliłam się wszystkiego zaraz po zaręczynowym przyjęciu. Wyglądałeś na nim, jakbyś za chwilę miał spłonąć na stosie. Zastanawiałam się tylko, kiedy do mnie przyjdiesz. - Jackie uniosła się na łokciu. - A teraz pomyślmy, jak temu zaradzić.

- Jackie, najdroższa - zaczął Nick z ogromnym bólem w głosie. - Kocham tylko ciebie i tak już będzie zawsze. Ale muszę też myśleć o mojej matce. Gdybym był sam, to co innego. Lecz w tej sytuacji nic się nie da zrobić. Jestem uwiązany do Lovestone'a grubym łańcuchem, którego nawet nasza miłość nie jest w stanie rozkuć.

- Powinieneś przynajmniej zabrać matkę z Trenton, Nick. Skoro przebywa tam od lat i do tej pory jej stan się nie poprawił, należałoby spróbować gdzieś indziej.

- Kochanie, klinika w Trenton, to najlepsze miejsce dla mojej mamy.

- Kto tak powiedział?

- No... - Nick zawahał się - tam są najlepsi specjaliści, sprzęt, rozumiesz.

- Nie rozumiem! - Jackie drążyła temat, hamując się, by nie złamać obietnicy danej Nancy.

- O co ci właściwie chodzi? - zirytował się Nick. - Ona jest nieuleczalnie chora! Na ciele i umyśle. Dla niej to bez różnicy, gdzie przebywa. A ja, jako jej syn, uważam, że właśnie w Trenton ma najlepszą opiekę medyczną.

Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś w błędzie - pomyślała Jackie, głośno zaś powiedziała:

- Nie denerwuj się. Postaram się więcej nie wtrącać do spraw twojej matki. Ale zanim skończymy temat, powiedz, czy klinika w Trenton to był twój własny wybór?

- Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Nick... - popatrzyła mu uważnie w oczy. - Co Lovestone ma wspólnego z twoją matką?

- Jackie - głos Nicka stał się nagle groźny - czy wiesz coś, o czym ja nie wiem?

- On... był u twojej matki...

- Skąd o tym wiesz, do cholery?! - krzyknął, zrywając się z posłania.

- Bo ja też tam byłam... przed wyjazdem do Włoch. Chciałam... - Boże! Dlaczego obiecała Nancy milczeć? - Chciałam się przed nią wygadać... O tobie, o zaręczynach... Na parkingu stał samochód Lovestone'a, zaczęłam więc w ukryciu. A gdy odjechał, pielęgniarka powiedziała mi, że Nancy miała właśnie gościa... Wiedziałeś, że on ją odwiedza?

Twarz Nicka miała straszny wyraz.

- Więc jednak miałem rację - powiedział cicho.

- W czym miałeś rację?

- Że coś go łączy z moją matką. Za każdym razem, gdy mówię przy nim o jej chorobie, odnoszę wrażenie, że jeszcze chwila, a Lovestone zemdleje. Nawet wtedy, gdy pierwszy raz zjawiłaś się na ranczo, on też miał tam być, ale w nocy poczuł się źle i pojechał do miasta, do lekarza. Wszystko się zgadza, Jackie. Poczul się źle, ponieważ dzień wcześniej, przy kolacji, rozmawialiśmy właśnie o mojej matce. On nawet nic nie zjadł tamtego wieczora.

- I nie domyślasz się, o co może chodzić?

- Nie mam pojęcia. Od niej raczej się nie dowiemy, a on też nam niczego nie powie, jeśli nawet ma coś na sumieniu. - Nick myślał przez chwilę - Słuchaj, a może dręczą go wyrzuty sumienia, że to przez niego nastąpiła katastrofa, w której zginął mój ojciec?

- Akurat!

- Dlaczego nie? To możliwe. Lovestone czuje się winny, bo ojciec pracował dla korporacji i zginął w pożarze jednego z jej szybów naftowych.

A później nagła choroba mamy... To całkiem prawdopodobne. W końcu zajął się mną potem jak rodzony ojciec.

- I jak rodzony ojciec zmusza cię teraz szantażem do ślubu ze swoją uroczą córeczką! - parsknęła Jackie.

- Fakt. Na starość zrobił się z niego cholerny drań. Lovestone nie rzuca słów na wiatr. Jest potężny i jest w stanie sprawić, abym, jeśli odmówię Vanessie, do końca życia pozostał bez pracy.

- Więc chodzi tylko o pieniądze? - Jackie zastanawiała się nad czymś.

- Oczywiście. Utrzymanie i fizykoterapia mojej mamy w Trenton pochłania ich całą górę. Gdyby była zdrowa, to co innego, ale w tej sytuacji... muszę się poświęcić. - Nick objął Jackie ramieniem. - Tak wygląda smutna prawda. Nie wymagam od ciebie, byś zaakceptowała tę chorą sytuację. Nie musisz przy mnie być, nie chcę ci wiązać świata.

- Nie mogę cię opuścić - powiedziała to jako coś oczywistego. - Pamiętaj, co niedawno mówiłeś? Cokolwiek się stanie, zawsze będę cię kochać.

- Mimo że i tak ożenię się z tą suką?

- Cokolwiek się stanie, kochany.

Nick zamknął jej usta długim pocałunkiem.

Jakiś czas później, gdy usnął w jej ramionach, Jackie po cichu sięgnęła do szuflady i wyjęła stamtąd naszyjnik z diamentów, które Jon-Te specjalnie dla niej opraczył w złoto.

Gdyby tylko Nick mógł zobaczyć tybetańskie diamenty, na które kiedyś natrafiła...

Włóczęc się po górach i wąwozach łączących Tybet z Nepalem, Jackie wielokrotnie spotykała obszary nietknięte dotąd ludzką stopą. Ludzie, wspinając się na najwyższe szczyty świata, zapominali o miejscach ukrytych bardzo nisko. A były to miejsca trudno dostępne i zwykle tak gęsto porośnięte przez kasztanowce, akacje i liany, że nawet w ciągu dnia panował tam niemal nieprzenikniony mrok. Do jednego z takich miejsc zapuściła się kiedyś Jackie, idąc w górę niewielkiego strumienia, jednego z dopływów rzeki Kosi. W którymś momencie uwagę dziewczyny zwróciły nietypowe kamyczki, których pełno było na piaszczystych w tym miejscu brzegach strumienia. Również dno rzeczki było nimi usłane.

Jackie długo puszczała tymi kamieniami kaczki na wodzie. Zabrała też garść z powrotem, by pokazać je Jon-Te.

Mistrz długo obracał kamienie w palcach.

- To diamenty, Saran - powiedział wreszcie. - Znalazłaś prawdziwe diamenty.

- Do czego służą? - zapytała z najwyższą ciekawością.

- Och, mają wiele zastosowań, od techniki po medycynę. Przynoszą ludziom ogromne bogactwo, ale i wielkie nieszczęścia.

Gdyby Nick mógł widzieć te diamenty, pojęcie pieniądza nabrałoby dla niego zupełnie innego znaczenia.

Gdyby tylko mogła mu powiedzieć... Ale nie! Jeszcze nie teraz. Niech to będzie niespodzianką. Gdy zniszczę Lovestone'a - postanowiła - podzielę z tobą swoje życie, Nick.

- Witaj, Lauro! - Jackie była w biurze detektywistycznym. - Przejeżdżałam obok i pomyślałam, że wpadnę - rzuciła wesoło.

Sekretarka bardzo dobrze zapamiętała Jackie, wystrojoną lalunię. To po jej telefonach Clark zawsze rozpyływał się ze szczęścia.

- Dzień dobry, panno Alexander - powitała ją chłodno. - Niestety, wszyscy detektywi są w terenie. - Laura wydawała się zadowolona z faktu, iż Jackie przybyła na darmo.

- Oto efekt niezapowiedzianej wizyty - roześmiała się Jackie. - Choć to bardzo dobrze, że macie dużo zleceń.

- Przekażę Clarkowi wiadomość o pani wizycie.

Nie dało się nie zauważyć, że sekretarka nie pała chęcią rozmowy.

- Dobrze - powiedziała. - Powiedz mu też, że w sobotę zapraszam go na kolację do pewnego biznesmena na Manhattanie.

Gdyby spojrzenie Lauro mogło zabijać, Jackie byłaby już martwa.

- Obawiam się, że tego dnia pan Davis będzie zajęty. Zaplanował podróż do...

- Jestem pewna - przerwała jej Jackie - że podróż może zaczekać. Przekaż mu, żeby w sobotę założył strój wieczorowy i zjawił się w moim mieszkaniu o szóstej.

- Jak pani sobie życzy - odparła Laura, a nienawiść w jej głosie nie uszła uwadze Jackie. Dla ciebie - pomyślała sekretarka - Clark wyrzekłby się spotkania z samym papieżem. Poleciałby nawet na księżyc, gdybyś tego chciała.

W piątek o jedenastej rano, na dzień przed kolacją na Manhattanie, Jackie znów została wezwana przed oblicze Wielkiego Prezesa. Tym razem

chodziło o dwa olbrzymie zlecenia na reklamę irlandzkiego piwa. W porównaniu z szacunkowym zyskiem za tę usługę, cena, jaką zapłacił korporacji Barnaby Heighes, wydawała się zaledwie drobnymi.

Dział reklamy New York Oil już rozpoczął realizację tego zlecenia. Termin zakończenia prac przewidziano na koniec października. Główną negocjatorską w rozmowach z irlandzką firmą była oczywiście Jackie Alexander.

I tylko Jackie Alexander wiedziała o tym, że owa irlandzka firma była w rzeczywistości jedynie małym browarem usytuowanym w piwnicy wiejskiego domku jednorodzinnego, a produkującym piwo tak marne, że niemal nie zasługiwało nawet na nazwę piwa. Jedyne, co łączyło ów płyn z renomowanym piwem irlandzkim, to kraj pochodzenia, o ile w ogóle można było mówić o krajowej produkcji; browar, który wyszukała Jackie, produkował swoje wątpliwej jakości piwo jedynie na potrzeby miejscowych opojów.

Właściciel browaru z radością i bez zadawania zbędnych pytań przyjął od Jackie tysiąc dolarów w gotówce w zamian za swój podpis pod zleceniem.

Ale oczywiście Jerry Lovestone nie mógł tego wiedzieć.

- Panno Alexander - powitała ją sekretarka Lovestone'a - zechce pani zaczekać. Prezes na pół godziny musiał opuścić biuro.

- Wobec tego zaczekam w jego gabinecie.

Sekretarka przyniosła jej herbatę i jakieś żurnale mody, po chwili Jackie została sama. Sięgnęła po kolorowy magazyn i wtedy jej spojrzenie padło na osobisty komputer szefa, stojący na biurku. Przez chwilę siedziała jak na rozżarzonych węglach, zmagając się sama ze sobą, wreszcie wrodzona ciekawość zwyciężyła nad rozsądkiem.

Szybko usiadła przed komputerem. Chwilę zajęło jej pobieżne przejrzanie zawartości twardego dysku. Jeden z plików wydał się jej szczególnie intrygujący: Firmy do przejęcia.

Jackie wybrała plik z listy i kliknęła enter, lecz zamiast spodziewanej zawartości pliku otworzyło się okienko z prośbą o hasło.

- Cholera - zakląła pod nosem. Od Nicka wiedziała, że w komputerach korporacji zainstalowany był specjalny system bezpieczeństwa. Trzykrotne błędne wprowadzenie hasła powodowało uruchomienie blokady w drzwiach gabinetu. W życiu nie wytłumaczyłaby się Jerry'emu, dlaczego grzebała w jego komputerze.

Myśl! - nakazała sobie w duchu. Jakie hasło mógł wprowadzić ten łotr? Osiem gwiazdek - osiem liter. Ale niekoniecznie. Spojrzała na zegarek. Z pół godziny zostało jeszcze dwadzieścia pięć minut.

- Jakie hasło ja bym wprowadziła? - zastanawiała się głośno. - Pewnie Jon-te - imię najdroższej mi osoby.

Wystukała słowo „Barbara” na klawiaturze. Błędne hasło! - odpowiedział komputer.

- Cholera! - zaklęła ponownie. Czy ten drań mógł mieć coś najdroższego? Co? Pieniądze? Firma? Władza?

Spróbowała raz jeszcze. Tym razem wystukała „Vanessa”.

Błędne hasło! - znów to samo.

No nie! Jeszcze tego brakowało! Jackie poczuła się osaczona. Jakaż jestem głupia - besztala siebie w duchu. Ale już się stało. Jeszcze tylko jedna szansa. I tylko piętnaście minut. Trudno, trzeba ryzykować. Ostatecznie powie, że chciała po prostu pobuszować w Internecie.

Trzęsącymi palcami wystukała jeszcze jedno słowo i... nagle na ekranie pojawiła się cała zawartość pliku „Firmy do przejęcia”. Udało się! Z trudem mogła w to uwierzyć. Otworzyła plik! Więc jednak Lovestone miał kogoś najdroższego.

Hasło brzmiało: „Nancy”.

- Przepraszam, że musiałaś czekać. - Gdy po piętnastu minutach Lovestone wszedł do swego gabinetu, zastał Jackie popijającą herbatę i śledzącą z najwyższą uwagą najnowsze trendy mody we francuskim miesięczniku dla pań.

- Nic nie szkodzi. - Dziewczyna odłożyła magazyn. - Chciałeś mnie widzieć.

- Te ostatnie dwa kontrakty... - zawahał się na moment. - Wydaje mi się, że cena jest za niska.

Jackie lekko uniosła brew.

- Sto osiemdziesiąt milionów dolarów to dla ciebie mało?

- Suma sama w sobie jest pokaźna, ale my musimy wyłożyć trzy razy więcej angażując się w reklamę irlandzkiego piwa. Obawiam się, że ponosząc koszty rzędu pół miliarda dolarów, możemy stracić, jeśli coś pójdzie nie tak. Irlandczycy nie dali dotąd żadnej zaliczki.

- Zrobią to, zapewniam cię - uspokajała go Jackie. - Spróbuję też wynegocjować wyższą cenę, na przykład ze względu na koszty dodatkowe, które napędce stworzymy na papierze.

- Skoro tak mówisz... - ciągle nie wyglądał na przekonanego.
- Zaufaj mi, Jerry - uśmiechnęła się. - Wiem, co robię. Nie miał podstaw, by jej nie ufać.
- OK. Rób, co uważasz za słuszne. W zasadzie masz rację. Niepotrzebnie zwracałem ci głowę. Tylko zmarnowałem twój czas.

Ona jednak wcale czasu nie zmarnowała. Przed piętnaście minut manipulowała danymi pliku. Plik stanowił zamknięte i dopracowane do ostatniego szczegółu sprawozdanie tajnej komórki firmy, które dotyczyło gorzej lub lepiej prosperujących firm amerykańskich, z głównym naciskiem na ich atrakcyjność i zyskowość. Na kilku z nich korporacja Lovestone'a chciała wkrótce położyć łapę, inne stanowiły nic nieznaczące przedsiębiorstwa, które nie przynosiły żadnych profitów swym właścicielom. Jackie pozamieniała dane niektórych firm, pewne rzeczy dodała od siebie.

Teraz, gdy korporacja zechce po cichu wejść w posiadanie świetnie prosperującego przedsiębiorstwa, kupi stojącą na skraju bankructwa ruinę. Pozostawało tylko czekać na uboczu i spokojnie obserwować skutki zmiany danych pliku.

Kończył się lipiec. Najdalej za dwa miesiące powinny pokazać się pierwsze rezultaty błędów w komputerze.

Wieczorem następnego dnia w rezydencji Lovestone'a przy Piątej Alei zebrało się kilkanaście osób. Kolacja wydawała się raczej skromna w porównaniu z przyjęciem zareczynowym sprzed miesiąca.

Goście zasiedli przy długim, suto zastawionym stole. Oprócz gospodarzy byli tu wraz z małżonkami adwokat Graham Perry, zastępca prokuratora okręgowego Dexter Tucker, jeden z podrzędnych dyrektorów firmy, odpowiedzialny za długofalowe planowanie działania, Malcolm Pencroft, a także dwaj potentaci naftowi z Texasu - Tim O'Brian i Winston Logan. Ci ostatni przebywali w Nowym Jorku sami - O'Brian był jeszcze kawalerem, a Logan owdowiał przed czterema laty. Obaj Teksaszczycy mieli nadzieję sprzedać Lovestone'owi swoje podupadające interesy.

Nie zabrakło także pośród gości Nicholasa Colemana, z Vanessą oraz Jackie Alexander, której towarzyszył Clark Davis.

Kilka dni wcześniej Lovestone zaprosił Jackie na tę kolację.

- Czy to jakaś szczególna okazja? - zapytała wtedy.

- Tym razem nie, chociaż nie wykluczam możliwości zrobienia dobrego interesu i mogę potrzebować twojej opinii.

- Co to za interes?

- Dwie spółki naftowe podupadające z powodu nieudolnego kierowania, a co za tym idzie z powodu długów z pozoru niemożliwych do spłacenia. Chciałbym mieć cię w pobliżu, gdy będę decydował, którą z nich kupić.

- Dlaczego nie obydwie?

- Lubię ryzyko, Jackie, ale może się okazać, że nie tylko złe zarządzanie doprowadza te firmy do upadku. Mimo bardzo szczegółowego raportu o tych firmach, nie wykluczam innych, niemożliwych dziś do przewidzenia czynników. Zadowolę się jedną z nich. A ty pomożesz mi wskazać tę właściwszą.

- Jasne, Jerry, możesz na mnie liczyć, jeśli moja opinia ma dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie.

- Udowodniłaś, że znasz się na rzeczy. Liczę więc na ciebie w sobotę. Ach, zaproś też osobę towarzyszącą. Nie chcę, żeby wyglądało na to, że kolacja jest wyłącznie w interesach. Moja żona nie lubi, kiedy przenoszę biuro do domu.

Nie wiedzieć czemu, Jackie odniosła wrażenie, że Lovestone'owi chodzi o coś więcej, niż tylko poznanie jej opinii co do wyboru odpowiedniejszej spółki.

Siedziała teraz przy stole obok Davisa, który ani trochę nie czuł się skrępowany obecnością wyższych sfer. Co więcej, Clark stał się duszą towarzystwa. Sypał zabawnymi anegdotami jak z rękawa. Panie co chwila podnosiły chusteczki do oczu, by otrzeć łzy rozbawienia, panowie także pokładali się ze śmiechu.

- Kiedyś - mówił Clark - mój ojciec musiał spędzić tydzień w szpitalu. Jako wielki służbista, codziennie posyłał nam do firmy dziesiątki poleceń. Pewnego dnia przysłał faks, w którym w punkcie pierwszym prosił o raport z pewnego ważnego dochodzenia. Potem wymieniał kolejne polecenia, aż do punktu czternastego, w którym grzmiał, panie wybaczą, gdzie jest ten cholerny raport z dochodzenia, o który prosiłem!

- Praca detektywa musi być bardzo stresująca - stwierdziła Barbara Lovestone.

- Dla ciebie, kochanie - odezwał się sarkastycznie jej mąż - każda praca jest stresująca.

- Znałem kiedyś detektywa George'a Davisa - wtrącił mecenas Perry - To jakiś pański krewny?

- To właśnie mój ojciec. - Clark spowaźniał. - Zmarł dwa lata temu. Od jego śmierci ja prowadzę rodzinny interes.

- Prywatni detektywi nie są przez nas darzeni sympatią - prokurator Tucker nie mógł powstrzymać się od złośliwości. - Same z wami kłopoty. Zbyt często działacie na pograniczu prawa.

- Nie wydaje się panu jednak - odparł Clark z niezmaconym spokojem - że przez to jesteśmy skuteczniejsi od was? Nie trzymamy się sztywnych procedur, co daje wymierne rezultaty w postaci szybkiego rozwiązywania spraw. Zresztą mój ojciec także nie pałał do was miłością.

- O! - Tucker poczerwieniał delikatnie na tę impertynencką uwagę. - Czy i na to ma pan stosowną anegdotę?

- Anegdotę nie, za to znam pewien dowcip.

- Proszę nam go opowiedzieć. - Panie klasnęły w ręce z uciechy.

- Cóż, dobrze. Otóż była kiedyś młoda para, która tuż przed ślubem zginęła w wypadku samochodowym. Tak się jednak kochali, że gdy tylko znaleźli się w niebie, od razu udali się do świętego Piotra mówiąc, iż bardzo pragną się pobrać. Teraz nie ma mowy - odparł święty, ale przyjdźcie do mnie za pięć lat. - Minęło pięć lat i jak im kazał, tak zrobili. W dalszym ciągu marzymy o ślubie - oznajmili.

- Nic z tego - padła odpowiedź - spróbujcie za następne pięć lat. Upłynęło kolejne pięć lat i wówczas w niebie odbyła się ślubna uroczystość. Ksiądz pobłogosławił młodej parze. Jednak tuż po ślubie zaczęły się między nimi kłótnie i awantury. Znów przyszli do świętego Piotra, tym razem prosząc o rozwód. Święty strasznie się zdenerwował.

- Co wy sobie wyobrażacie?! - wrzeszczał. - Dziesięć lat dla was księdza szukałem, a teraz chcecie, żebym prawnika w niebie znalazł?!

- Jest pan niesamowity, Clark. - Jerry Lovestone, podobnie jak wszyscy inni, pręczył ze śmiechu, trzymając się za brzuch. - A jak pan poznał naszą uroczą Jackie? - spytał, gdy wreszcie udało mu się pohamować atak śmiechu.

- Ja... - Clark zawahał się i spojrzał na swoją towarzyszkę.

- Banalna sprawa, Jerry - Jackie podchwyciła to spojrzenie i zaczęła mówić, zanim ten zdołał wydukać cokolwiek. - Szukałam pracy. Miałam nadzieje, że Clark zatrudni mnie jako swą sekretarkę.

- Właśnie! - rozpromienił się detektyw, wdzięczny dziewczynie za pomoc w wybrnięciu z trudnej sytuacji. - Ale wtedy miałem jeszcze spore trudności finansowe. Nie mogłem sobie pozwolić nawet na sekretarkę. A gdy okazało się, że Jackie zna się również na koniach, skierowałem ją do najlepszej stadniny na całym Wschodnim Wybrzeżu. Pańskiej stadniny, panie Lovestone. Nie spodziewałem się wówczas, że Jackie posiada jeszcze inne talenty, ani tego, że będę siedział z panem przy tym oto stole.

- Ha! Więc to panu zawdzięczam fakt, że Jackie pracuje teraz dla mnie? - nie mógł się nadziwić Lovestone.

Clark Davis wzruszył ramionami.

- Pański zysk, moja strata - powiedział lakonicznie.

- Pani musi być nieoceniona - zwrócił się Tim O'Brian do Jackie - skoro szef wyraża się o pani w samych superlatywach.

- O tak! - ubiegł ją Jerry Lovestone. - Jackie to istna kopalnia dobrych pomysłów. Ty, Tim, jesteś jeszcze za młody, ale pan Logan powinien znać rodzinę Jackie, w końcu, jak ona, pochodzi z Dallas.

Jackie poczuła, że traci kontrolę nad sytuacją. Więc taki był prawdziwy powód, dla którego Lovestone ją tu dziś zaprosił. Jego psy musiały coś zwęszyć. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zainscenizował spotkanie z teksańskimi biznesmenami?

- Znam w Teksasie parę osób o nazwisku Alexander - Winston Logan potarł czoło, myśląc intensywnie. - Ale nie przypominam sobie, by którykolwiek z nich miał córkę o imieniu Jackie.

Jackie i Nick skrzyżowali ponad stołem swe spojrzenia. Dalej, pomóż mi! - błagała wzrokiem dziewczyna.

Coleman wierzył świącie w bajeczkę Jackie o zmarłym w niesławie ojcu, o dziedzictwie długów, czuł się więc zobowiązany wziąć ją w obronę.

- Ojciec Jackie - powiedział - prowadził hodowlę koni w sposób nierentowny, nie był więc znany w szerszych kręgach.

- A ty skąd to możesz wiedzieć? - natychmiast zainteresował się Lovestone.

- Później ci to wyjaśnię, Jerry - Coleman uśmiechnął się do Lovestone'a, a zwracając się do Logana, rzekł: - Swoją drogą, to chyba dość powszechne w Teksasie zjawisko, dysponować szerokimi możliwościami pomnażania pieniędzy, nie wiedząc jednocześnie, jak owe środki wykorzystać, trwoniąc w rezultacie całe partie majątku.

W ten sposób Nick nawiązał do firm obu Teksańczyków, również nieren-
townych na skutek niewłaściwego zarządzania, odciągając rozmowę w kie-
runku spraw czysto służbowych.

Jackie, wdzięczna za okazaną pomoc, odetchnęła z ulgą. Lovestone naj-
wyraźniej już wiedział, że Alexander to nie jest jej prawdziwe nazwisko.

Pozostawało tylko pytanie - ile naprawdę wiedział Lovestone?

- Mogłeś wszystko popsuć! - dopiero teraz Nick Coleman mógł dać
upust swej złości na Jerry'ego. Goście już odjechali. W rezydencji, prócz
Lovestone'ów, pozostał tylko on sam.

- Niby co? - Lovestone patrzył na niego ze zdumieniem.

- Po jaką cholerę czepiałeś się Jackie? Po co interesowałeś się jej po-
chodzeniem? Może to właśnie tym Teksańczykom jest winna pieniądze!

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Przestań udawać, Jerry, za dobrze cię znam, by tego nie zauważyć.
Na pewno grzebałeś w przeszłości tej dziewczyny.

- Tak cię ona obchodzi? - Jerry zaniepokoił się. Nic dotąd nie wska-
zywało, by tych dwoje miało romans.

- Jackie mnie nie obchodzi. Sam jednak powiedziałaś, że mam być za
nią odpowiedzialny. W końcu to z mojej protekcji została twoją pracownicą.
Zamiast snuć domysły i robić przedstawienia, wystarczyło mnie o nią zapy-
tać.

- Więc mów! Co o niej wiesz?

- Alexander to jej nowe nazwisko. Starego musiała się pozbyć, przy-
najmniej do czasu, aż spłaci długi swego ojca.

Następnego dnia Lovestone zadzwonił do znajomego prokuratora.

- Wyobraź sobie, Tucker - mówił - że przez jeden wieczór dowiedzia-
łem się tego, czego tobie nie udało się ustalić przez tydzień. Nie musisz już
węszyć za Jackie Alexander. Odwołuję rozkaz.

- Stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Ona nie nazywa się wcale Alexander, ale to już nieistotna sprawa.
Ufam jej. Jest uczciwa i prostolinijna. No i zdążyła już dla mnie zarobić
ładnych parę milionów. To, że zmieniła nazwisko, w żaden sposób nie jest
związane z moją firmą.

- Więc czemu...

- Zmusiły ją do tego jakieś zadawnione sprawy rodzinne i finansowe.
Jak na ironię, była to szczerą prawdą.

Tym razem to Clark Davis zaprosił Jackie na kolację. Poszli do niedrogiej restauracji we Włoskiej Dzielnicy.

- Więc mówisz, że Lovestone uwierzył w twoją bajeczkę o Teksasie? - dziwił się detektyw. - Nie do wiary. On, zawsze taki nieufny i skrupulatny, dał się podejść jak dzieciak.

- Duża w tym zasługa Nicka - odparła dziewczyna. - Gdyby nie on, nie wiem, jak mogłoby się to wszystko dla mnie zakończyć.

- Szczęściarz z tego Colemana - westchnął Clark. - Mieć taką dziewczynę, jak ty...

- Przestań, proszę - speszyła się Jackie, ale on ciągnął dalej:

- Zazdroszczę mu. W ogóle zazdroszczę wszystkim zakochanym. Tylko ja jestem takim pechowcem, że nikt nie zwraca na mnie uwagi.

- A Laura?

- Co Laura?

- Ona cię kocha.

- Żartujesz? - roześmiał się Clark. - Laura miałaby mnie kochać?

- Co w tym śmiesznego? Wystarczy zobaczyć, jak ona na ciebie patrzy. Gdybyś mógł zobaczyć jej minę, gdy przed tygodniem byłam u ciebie w biurze i przekazałam zaproszenie na kolację u Lovestone'ów. Bałam się, że z zazdrości o ciebie rzuci się na mnie i wydrapie oczy.

- Mylisz się, była zła, bo obiecałem, że pomogę jej w przeprowadzce i akurat miało to być w ubiegłą sobotę.

Jackie pokręciła tylko głową. Ach, ci mężczyźni! Zawsze patrzą daleko przed siebie, nie zauważając tego, co jest na wyciągnięcie ręki.

- Wracając do Nicka - Clark popatrzył na nią z troską - to nie rozumiem, jak możesz się godzić na taki układ. Na twoim miejscu wyjawilibym mu prawdę o sobie i o jego matce, on zerwałby zaręczyny i byłibyście wreszcie razem. Tych twoich drogocennych kamyczków wystarczyłoby wam trojgu, by do końca życia opływać w dostatek. Najwyżej umieścilibyście Nancy w mniej kosztownym szpitalu.

- To nie takie proste, Clark. Sprawy zaszły za daleko. Oczywiście, że powiem Nickowi o wszystkim, ale jeszcze nie teraz. To będzie niespodzianka. A co do Nancy, to wierzę, że jeszcze będzie chodzić. I mówić.

- Cholerna z ciebie optymistka.

- Raczej realistka. Tam, skąd pochodzę, znane są przypadki uleczenia paraliżu.

- Nie powiesz chyba, że wierzysz w czary?

- W czary? - uśmiechnęła się. - Nie. Wierzę w medytację i w umiejętności tybetańskich lamów.
- A cóż to za umiejętności, jeśli można wiedzieć i w czym są one lepsze od umiejętności specjalistów z Trenton?
- Nie wiem, Clark. Nie pytaj mnie o to. Nie studiowałam tam medycyny, tylko ekonomię i nauki społeczne. Ale są mnisi, którzy znają się na medycynie i ziołolecznictwie, podobnie jak i tacy, którzy przędą wielbłądźią wełnę, obliczają czas zaćmienia słońca, bądź też wykonują wyroby ze złota.
- Na przykład twoje naszyjniki?
- Właśnie. Podajeś trafny przykład. Mój naszyjnik możesz zobaczyć i dotknąć. Poczekaj, aż zobaczysz Nancy Coleman, całą i zdrową.
- Wierz mi, chciałbym, żeby tak się stało. Ale najpierw musisz ją stąd jakoś wywieźć, a coś mi mówi, że tym razem Coleman nie będzie po twojej stronie.
- Masz rację. Nick nawet nie chce słyszeć o medycynie niekonwencjonalnej.
- Co więc zrobisz?
- Od czego ma się przyjaciół, Clark? - Jackie posłała mu swój najpiękniejszy uśmiech.

Rozdział XIII

Proces przed sądem o wypłacenie dziesięciu milionów dolarów dla hospicjum w Hartford powoli dobiegał końca. Cała sprawa opierała się wyłącznie na dowodach w postaci ksiąg rachunkowych i umowy pomiędzy Helen O'Donnell a korporacją New York Oil and Company. Niestety, jak się wkrótce okazało, nie było żadnych podstaw prawnych, by hospicjum mogło skorzystać z tych pieniędzy. Adwokat firmy, Graham Perry, udowodnił w sposób jednoznaczny, że wypłata dywidendy dla jakiegokolwiek instytucji rażąco naruszałaby ustalenia zawarte w umowie pomiędzy firmą a Helen O'Donnell.

- ...A skoro Helen O'Donnell zobowiązała się nie przekazywać swoich udziałów nikomu prócz krewnych, my tym bardziej nie jesteśmy w stanie tego uczynić. - Perry zakończył swój kolejny popis oratorski.

- Mecenasi Perry - zaczął sędzia - z dokumentów wynika, że piętnaście do dwudziestu procent zysków firmy jest stale przekazywane na konto prezesa tejże firmy, pana Jerry'ego Lovestone'a. Dopiero reszta zysków jest inwestowana. Dlaczego w takim razie pański klient nie utworzył osobnego konta, na które firma wpłacałaby dywidendę od akcji pani O'Donnell? Pan Lovestone mógłby przecież zmniejszyć dywidendę sobie i swojej małżonce, a tym samym wypłacić ją pani O'Donnell, zamiast brać swoją część w całości, zaś pieniądze należne pani O'Donnell inwestować.

Perry nie wydawał się ani trochę speszony tym oczywistym paradoksem.

- Jak już mówiłem na wstępie rozprawy, lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć, a tylko te lata powinny nas interesować na tej sali, były okresem intensywnego rozwoju korporacji. Mój klient nie korzystał wówczas z dywidendy, a całość zysków była zamieniana

na kapitał inwestycyjny. Pragnę tu przypomnieć, o czym wcześniej mówiłem, że korporacja proponowała pani O'Donnell gotówkę za jej działkę, dokładnie - spojrzal w akta - trzy miliony dolarów, jednak taka forma zapłaty nie odpowiadała tej kobiecie, która uparła się stać się posiadaczką akcji firmy, powinna więc była przewidzieć, że czasami firmy nie ustalają dywidendy. Mimo to mój klient, pan Jerry Lovestone, starał się pomóc pani O'Donnell w inny sposób. Zajął się sprzedażą jej koni, by chociaż z tych pieniędzy mogła skorzystać. Ale - rozłożył ręce w geście rezygnacji - okazało się, że konie były chore i źle utrzymane, nikt nie chciał ich kupić. W rezultacie mój klient tylko dołożył do tego interesu.

- Wysoki Sądzie - Craver wszedł mu w słowo - powszechnie wiadomym jest, że pan Jerry Lovestone przeniósł owe konie na tereny wiejskie, gdzie poszerzył hodowlę i dziś jest to jedna z najlepszych stadnin w całych Stanach.

- To prawda, mecenasie Perry? - zapytał sędzia Fergusson.

- Zgadza się, Wysoki Sądzie - odpowiedział adwokat. - Jednak to nie koniom pani O'Donnell stadnina zawdzięcza swoją świetność. W omawianych przez nas latach siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć, stadnina ta była w rzeczywistości schroniskiem dla czworonogów pani O'Donnell.

- Co więc stało się z tymi końmi - ciekawił się sędzia - skoro nikt ich nie kupił?

- Przyznam się, że nie wiem. - Perry miał już serdecznie dość jak na jeden dzień. - Być może zdechły, albo trafiły do rzeźni. Sprawdzę to.

- Nie ma potrzeby - rzekł wspaniałomyślnie sędzia. - Nie to jest przedmiotem sprawy.

- Dziękuję - ucieszył się adwokat. - Wracając do tematu, pragnę powtórzyć, że w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć prezes korporacji ani jego małżonka nie korzystali z dywidendy firmy.

- Wysoki Sądzie - wtrącił znów Charlton Craver - czy mogę słówko?

- Proszę.

- Klient pana Perry'ego w omawianym okresie rzeczywiście nie korzystał z dywidendy. Nasuwa się więc pytanie: co wtedy jadł, gdzie spał, z czego płacił rachunki? Otóż - Craver zrobił tajemniczą minę - przeglądając dowody w postaci ksiąg rachunkowych korporacji dotyczących nurtującego

nas okresu, znalazłem odpowiedzi na te pytania. Oto one. - Położył przed sędzią Fergussonem plik kserokopii. - Jest to ewidencja zakupu środków trwałych firmy z lat siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć, a także z lat poprzednich. Popatrzmy teraz, co tu mamy - Craver podszedł do swojego stolika i wziął w ręce takie same kserokopie. - Jest tu zaksięgowany zakup hotelu w Atenach... oprogramowanie komputerowe... fabryka papierosów w Baltimore...

- Zechce pan przejść do sedna, mecenasie Craver - upomniał go sędzia. - Podatnicy płacą za mój czas.

- Już, już. - Craver przełożył kilka kartek. - O, jest: zakup rezydencji przy Piątej Alei na Manhattanie - adwokat podniósł wzrok znad kserokopii. - Zastanawiające, po co korporacji rezydencja? Do lepszej realizacji public relations? - Powrócił do czytania: - Zakup stu akrów pastwisk wraz z nieruchomościami w pobliżu Nowego Jorku z przeznaczeniem na stadninę koni - i dodał od siebie: - ciekawe po co, skoro korporacja nigdy nie prowadziła działalności związanej z hodowlą zwierząt?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - warknął Perry. - Ewidencja środków trwałych nie ma tu nic wspólnego!

- Mecenasie Craver - zirytował się sędzia - albo powie pan wreszcie, do czego zmierza, albo będę zmuszony przyjąć sprzeciw.

- Wysoki Sądzie, oto dowody, dlaczego prezes korporacji rzadko ustanawiał dywidendę w swojej firmie, przeznaczając prawie wszystkie zyski na inwestycje i nie umierając przy tym z głodu. Pan Lovestone nie potrzebował wypłacać sobie dywidendy. Przez cały czas żyje na koszt firmy, wypoczywa w hotelach i jada w restauracjach także należących do firmy. Proszę spojrzeć - to mówiąc, Craver podsunął sędziemu inne kserokopie. - Tym razem to rachunki z funduszu reprezentacyjnego New York Oil. Jak sama nazwa wskazuje, fundusz ten służy do reprezentowania firmy na zewnątrz, służbowe bankiety, kolacje, gadżety, przejazdy i noclegi ważnych kontrahentów. Tymczasem co tu znajdujemy? Rachunek na sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów za futro dla pani Barbary Lovestone, przelot na wczasy państwa Lovestone'ów, spędzone oczywiście w kurorcie greckim będącym własnością firmy, opłata za czesne w prywatnej szkole, do której uczęszcza panna Vanessa Lovestone. Jest też rachunek za organizację zaręczynowego przyjęcia, które pan Lovestone wydał niedawno dla córki.

Oczywiście przytoczyłem tu tylko niektóre wydatki firmy na rodzinę państwa Lovestone. Jest tu tego dużo więcej.

Perry był błąd jak ściana. Nie miał pojęcia, jak Craver wszedł w posiadanie tych rachunków, skoro nawet on sam - adwokat Lovestone'a - o nich nie wiedział. Z całą pewnością nie było ich w aktach sprawy.

Aż do dziś.

- Sprzeciw! - Perry wstał, posyłając Craverowi mordercze spojrzenie.
- Rzeczony rachunki nie dotyczą lat...

- Oddalony - powiedział sędzia, przeglądając uważnie kserokopie dokumentów. - Proszę kontynuować, mecenasie Craver.

- Właściwie to już wszystko - odparł zadowolony z siebie adwokat. - Chciałbym tylko zwrócić uwagę na smutny fakt, że gdy jeden z udziałowców opływał w luksusy, pokrywając ich koszt bynajmniej nie z własnej kieszeni, drugi umierał samotnie w hospicjum dla bezdomnych, powtarzam, bezdomnych chorych. Niech sędziowie przysięgli rozstrzygną teraz, czy korporacja New York Oil and Company, utrzymująca jednych udziałowców, ma przejść obojętnie obok drugich, czy też powinna wypłacić owe dziesięć milionów dolarów dywidendy dla hospicjum w Hartford. Choć to nie przywróci życia pani O'Donnell, niech inni, podobni do niej ludzie, skorzystają z tych pieniędzy.

Sędzia Ronald Fergusson odłożył rozprawę do dnia następnego, dając Perry'emu czas na dostarczenie oryginałów skopiowanych przez Cravera dokumentów, a przysięgłym na zapoznanie się z tymi oryginałami.

- Nie przejmuj się, Jerry - pół godziny później Perry stał już na dywaniku przed Lovestonem, zdając szefowi relację z przebiegu rozprawy. - Nic nie jest w stanie złamać obwarowań umowy z Helen O'Donnell. Jeśli przysięgli każą nam wypłacić te pieniądze, odwołamy się wyżej.

Lovestone stał przy oknie, powoli sącząc whisky. Nie patrzył na Perry'ego. W ogóle sprawiał wrażenie nieobecnego.

- A swoją drogą - ciągnął adwokat - mogłeś mnie uprzedzić o ekstra wydatkach twojej firmy. Nie stałbym tam wtedy jak osioł, wysłuchując, jak Craver recytuje rachunki za twoje utrzymanie. I skąd on, do cholery, wytrzasnął te dokumenty? Nawet mnie nie raczyłeś ich pokazać.

- Nasuwa mi się tylko jedno wytłumaczenie - odezwał się wreszcie Wielki Prezes, dopijając swego drinka. - Ktoś próbuje nam zaszkodzić, ktoś, kto ma dostęp do naszych ksiąg rachunkowych.

- Domyślasz się, kto to może być?

- Coś mi chodzi po głowie. A na razie powiedz mi, jakie mamy szanse w tym pieprzonym procesie?

- Według mnie, po ostatecznych rewelacjach Cravera, pół na pół.

- Kiedy zapadnie wyrok?

- Najprawdopodobniej jutro. Obaj z Craverem wyczerpaliśmy już wszystkie argumenty.

- Dobrze więc - odparł Lovestone.- Jutro i ja zjawię się w sądzie. Niech moi przeciwnicy nie myślą, że się boję. Kimkolwiek są.

Gdy adwokat opuścił pomieszczenie, Lovestone sięgnął po słuchawkę interkomu.

- Wezwij Colemana - polecił sekretarce.

Nicholas Coleman właśnie podpisał umowę kupna firmy naftowej Teksańczyka Tima O'Briana. Wszyscy - w tym także Jackie Alexander - zgodnie orzekli, że to właśnie ta firma podupada z powodu złego kierowania. Druga z firm - Logan Industry - była już właściwie trupem, którego nie warto było reanimować.

Niestety, nikt nie przypuszczał, że dane obu teksańskich firm, jakie firma skrzętnie gromadziła w komputerze Lovestone'a, zostały ze sobą zamienione. W rezultacie korporacja New York Oil wywaliła kupę pieniędzy dosłownie za nic.

Jednak na razie nikt oprócz Jackie o tym nie wiedział.

Zadowolony z udanej transakcji Nick wkroczył różnym krokiem do gabinetu Lovestone'a.

- Głośno o nas w mediach - powiedział, siadając na kanapie. - Jeśli przegramy, dziennikarze są gotowi rozerwać nas na strzępy.

- Niech cię o to głowa nie boli - powiedział Lovestone, bacznie obserwując swego zastępcę.

- Ależ nic mnie nie boli - roześmiał się Nick - Przeciwnie, jestem szczęśliwy, bo właśnie zrobiliśmy dobry interes. Kupiłem tę teksańską firmę za dużo mniej, niż się spodziewaliśmy wydać. Tim O'Brian również wyglądał na zadowolonego, dla niego nasza cena to i tak ogromny majątek. A co do procesu... - Nick szukał odpowiednich słów - jestem przekonany, że nasza korporacja wybrnie z tego bez większego szwanku. W końcu, czym jest dla nas taki nikt, jak Craver?

Nie powinienem podejrzewać tego chłopca o szpiegowanie, pomyślał w duchu Lovestone. Nick był zbyt związany z firmą, by ją zdradzić. I jest zbyt uczciwy. Nie, to nie Coleman współpracuje z Craverem. Więc kto?

Jerry Lovestone nie przypuszczał, że to Jackie Alexander przekazała Craverowi kopie tajnych akt firmy. Jako dyrektor do spraw reklamy dziewczyna miała dostęp do takich dokumentów.

Miała też okazję.

Po powrocie z Włoch Jackie zajrzała do archiwum, by przejrzeć księgi rachunkowe dotyczące filii New York Oil w Modenie. Przypadkiem trafiła na inne dokumenty. Z ciekawości zaczęła je przeglądać...

Dla Lovestone'a Jackie była poza wszelkim podejrzeniem.

- Chcę cię o coś zapytać, Jerry - wyrwał go z zamyślenia Nick.
- Wal śmiało.
- Co robiłeś w Trenton kilka tygodni temu?

- Czuję, że to fałszywy alarm - mówił Nick do Jackie, gdy wracali wieczorem z teatru na Broadwayu. - Zawsze dostrzeżesz problem tam, gdzie go nie ma. Lovestone ma rzeczywiście wyrzuty sumienia z powodu śmierci mojego ojca. Gdy spytałem go o wizytę w Trenton, wcale się nie wypierał. Potwierdził, że jeździ tam czasem, by spotkać się ze swoim kumplem, Samuelem Brackleyem, szefem kliniki, a przy okazji dogląda, by mojej matce niczego nie brakowało.

- Więc skąd u Lovestone'a to dziwne zachowanie, ilekroć mowa o twojej matce? Sam mówiłeś, że prawie wtedy mdleje.

- Tym razem zachował się normalnie. Wiesz co? Teraz myślę, że to wszystko mi się zdawało. Przecież każdy ma prawo poczuć się źle. Lovestone z całą pewnością ma czyste sumienie w sprawie mojej matki.

Jesteś ślepy, pomyślała dziewczyna, nie zauważyłeś jeszcze, że Lovestone nie ma sumienia?

Ostatni dzień procesu o wypłatę dywidendy przyciągnął na salę sądową więcej przedstawicieli mediów niż dotychczas. Każdy z nich chciał na własne uszy usłyszeć werdykt w sprawie, która była dla mieszkańców Nowego Jorku źródłem kontrowersji. Także prasa zagraniczna była żywo zainteresowana finiszem procesu. Byli tu więc dziennikarze z Włoch, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Hiszpanii i wielu innych krajów, nie tylko europejskich,

w których firma New York Oil posiadała swoje filie.

Na sali sądowej nie zabrakło tego dnia także znaczniejszych osób kierujących pozwaną korporacją.

Prezes korporacji, Jerry Lovestone, siedział tuż za stołem obrony, świadom ciekawskich spojrzeń tłumu wypełniającego szczelnie sale. Gdy zjawił się dziś przed sądem, wścibskie dziennikarskie hieny obstały go ze wszystkich stron, chcąc wiedzieć tylko jedno - czy obawia się niekorzystnego wyroku.

- Wyrok będzie jak najbardziej niekorzystny - zaszczycił dziennikarzy jednym zdaniem - tyle że dla strony przeciwnej.

A teraz Wielki Prezes siedział tu - na sali sądowej - i bał się. Nie o to, że firma straci dziesięć milionów dolarów; taka suma, choć niebagatelna, była by zaledwie drobnym wydatkiem dla potężnej korporacji.

Lovestone bał się przeszłości. Czuł, że to przeszłość wyciąga po niego swe macki, by porwać go w piekielną otchłań. Czuł, jak te macki zaciskają mu się lodowatym chłodem wokół szyi, jak oplatają serce żelaznym uściskiem.

Zbrodnie, jakich się w życiu dopuścił, stały mu tego dnia jak żywe przed oczami.

Fotografie zamordowanych w Nepalu ludzi - Evy i Johna Sandów, skąpanych w morzu własnej krwi...

Przerażone oczy Donalda Colemana, gdy błagał Jerry'ego o pomoc w wydostaniu się z płonącego rusztowania...

Smutne twarze dwóch kobiet - Barbary Lovestone, której miłością pogardził i Nancy Coleman, której miłości pragnął, lecz zdobyć nie zdołał.

Adwokaci obu stron wygłosili swe mowy końcowe. Sędziowie przysięgli udali się na naradę.

- Jak sądzisz, Jackie - spytał Nick podczas lunchu - uda nam się wygrać proces?

Obydwoje mieli tego dnia ważniejsze sprawy, niż oczekiwanie w sądzie na werdykt.

- Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. - Dla Jackie było obojętne, co postanowi ława przysięgłych. Niezależnie od ich decyzji dziewczyna już osiągnęła swój cel - nadała sprawie zamierzony rozgłos i zasiała ziarno

niepokoju w sercu Lovestone'a Ostateczna rozgrywka miała dopiero nadejść.

Jakiś czas jedli w milczeniu, gdy Nick znów się odezwał:

- Kim jest dla ciebie ten Davis?
- Słucham? - dziewczyna podniosła wzrok znad talerza.
- Ten detektyw, z którym byłaś na kolacji u Lovestone'a.
- Ach, Clark? - Jackie roześmiała się. - Jesteś o niego zazdrosny? - zapytała przekornie. - Zauważ, że sam jesteś zaręczony z inną.
- To co innego, wytłumaczyłem ci się już. Więc kim on dla ciebie jest?
- Przyjacielem. Nikim więcej. Choć przecież przyjaźń to bardzo wiele.
- Odniosłem wtedy wrażenie - Nick zmarszczył brwi - że on chyba nie podziela twego zdania. Tak na ciebie patrzył i w ogóle...

- Przez jakiś czas - westchnęła - zdawało mu się, że mnie kocha.

- On? - oburzył się. - Jest od ciebie chyba z dziesięć lat starszy!

Piętnaście - poprawiła go w myślach Jackie. - To ty jesteś ode mnie starszy o dziesięć lat.

- Nieważne - powiedziała. - Co u twojej mamy?

- Przyznam ci się, że ty byłaś u niej ostatnia. Ja jakoś nie miałem czasu do niej pojechać.

- W dalszym ciągu uważasz - zaczęła nieśmiało - że medycyna niekonwencjonalna...

- Skończ z tym wreszcie! - nie pozwolił jej dokończyć. - I nigdy nie wracaj do tego tematu.

Sędziowie przysięgli powrócili na salę rozpraw. Wszyscy obecni na sali ludzie, w tym także sędzia Fergusson, w milczeniu czekali na finał.

- Czy ława przysięgłych ustaliła werdykt? - zapytał sędzia.

Przewodniczący ławy przysięgłych, czarnoskóry Louis Grant, powstał ze swego miejsca.

- Tak, Wysoki Sądzie. - Grant podał złożoną wpół kartkę woźnemu sądowemu, a ten z kolei zaniósł ją sędziemu Fergussonowi.

Sędzia rozłożył kartkę, szybko przeleciał ją wzrokiem i, poprawiwszy okulary, zaczął czytać głośno i powoli:

- Sędziowie przysięgli postanowili jednogłośnie - sędzia zrobił krótką pauzę w celu nadania słowom większego efektu - że nie przyznają hospicjum w Hartford sumy roszczenia w wysokości dziesięciu milionów dolarów,

będącej skalkulowanym zyskiem od dwudziestu procent akcji firmy New York Oil and Company, posiadanych przez panią Helen O'Donnell w latach tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć, gdyż byłoby to sprzeczne z ustaleniami umowy zawartej pomiędzy firmą a panią O'Donnell.

Na sali zawrzało.

- Proszę o ciszę! - darł się woźny.

- Jednocześnie - kontynuował sędzia - zobowiązuje się firmę New York Oil and Company do zgromadzenia na osobnym koncie sumy dziesięciu milionów dolarów z przeznaczeniem jej na wypłatę spadkobiercom pani O'Donnell, gdyby tacy się pojawili. Bezspornym pozostaje fakt, że pozwana firma powinna była wypłacić dywidendę pani O'Donnell, gdy ta jeszcze żyła, jak również to, że po jej śmierci należało gromadzić te pieniądze od razu na osobnym koncie, a nie dowolnie nimi dysponować. Nie do pomyślenia jest, że taki stan rzeczy trwa do dziś.

Sędzia mówił jeszcze długo, ale Jerry Lovestone już go nie słuchał. Sala rozmywała mu się przed oczami.

- Boże, Jerry, co ci jest? - szepnęła Charlotte Fielding, szefowa od handlu międzynarodowego. - Wyglądasz, jakbyś miał paść trupem.

Gdy sędzia zakończył posiedzenie, Lovestone, prowadzony pod rękę przez byłą kochankę, wyszedł z salki prosto w tłum dziennikarzy.

- Panie Lovestone - zwróciła się do niego jakaś dziennikarka - jak to połowiczne zwycięstwo wpłynie na dalszą działalność pańskiej firmy?

- Czy już wiadomo - przekrzykiwał ją ktoś inny - komu należy się spadek po Helen O'Donnell?

- Czy taki werdykt satysfakcjonuje pana?

Lovestone nie był w stanie zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź.

- Taki werdykt to oczywisty idiotyzm! - pomogła mu Charlotte Fielding. - Będziemy się odwoływać.

Oboje wsiedli do limuzyny korporacji. Przedarłszy się przez tłum dziennikarzy, samochód ruszył z piskiem opon.

Dziennikarze z niecierpliwością wypatrywali teraz mecenasa Charltona Cravera, a gdy ten wreszcie wyszedł na dziedziniec, przedstawiciele mediów obstąpili go liczną chmarą. Znów posypały się pytania:

- Panie mecenasie, czy jest pan zadowolony z werdyktu?

- Osobiście? - flegmatycznie zapytał Craver. - Jak najbardziej.

- A co na to hospicjum?
- Hospicjum dostanie te pieniądze. Mój klient je wypłaci.
- Kim jest pański klient? Skąd weźmie dziesięć milionów dolarów?
- Pieniądze będą pochodziły ze spadku po Helen O'Donnell, właśnie z tego konta, które przed chwilą polecono Lovestone'owi utworzyć. Mój klient jest spadkobiercą zmarłej kobiety.
- Czy może pan to udowodnić?
- Nie teraz, lecz wkrótce odbierzemy Lovestone'owi to, co sobie bezprawnie przywłaszczył.
- Mecenasiu Craver, pańscy przeciwnicy już zapowiedzieli apelację. A co pan teraz zrobi?
- Zjem lunch. - Craver wsiadł do taksówki. - W przerwie nie miałem na to czasu.

Z okna swego pokoju Barbara Lovestone obserwowała, jak jej mąż powraca z sądu. Nigdy chyba nie widziała go tak przybitego. Wiedziała już z telewizji, że ich przeciwnik - Charlton Craver poniósł porażkę. Tylko czy aby na pewno?

Barbara zeszła na dół.

- Gdzie mój mąż? - zapytała pokojówkę.
- Pan Lovestone poczuł się źle. Poszedł do siebie odpocząć.

Barbara wyszła na taras.

Musiała to być sprawa o wiele poważniejsza, niż kiedykolwiek do tej pory, skoro Jerry tym razem nie szukał pocieszenia u swoich dziwek. O ironio, Barbara wiedziała od dawna o licznych przygodach miłosnych swego męża, jak również o jego sadomasochistycznych upodobaniach.

Kiedyś, jeszcze w szkole w Szwajcarii, wszystkie koleżanki Barbary podkochiwały się w szalenie przystojnym Jerry'emu Lovestone'owi, ale ona sama była zbyt nieśmiała, by przyznać przed samą sobą, że kocha tego Amerykanina. Jerry'ego zresztą wcale nie interesowały dobrze wychowane panienki ze szkoły.

Aż tu któregoś dnia, gdy Barbara była tak bardzo przybita śmiercią ukochanego dziadka, sam cudowny Jerry Lovestone zastąpił jej drogę w korytarzu.

- Pomyślałem sobie, czy nie zechciałabyś gdzieś ze mną wyjść po zajęciach.

Umówili się do kina.

Koleżanki Barbary rozsadzała radość, Barbarę rozpie-rało szczęście.

Odtąd spotykała się z Jerry'm codziennie. Chodzili do teatru, do muzeum, czasem po prostu spacerowali po parku, trzymając się za ręce. Nieustannie powtarzali sobie, jak bardzo się kochają.

Nauka w szkole powoli zbliżała się do końca.

Podczas jednego ze spacerów Jerry zapytał Barbarę, co będzie robić po ukończeniu szkoły.

- Teraz - odparła ze smutkiem - kiedy odszedł mój dziadek, zajęmę się rodzinnym interesem. I z pewnością doprowadzę firmę do bankructwa.

- Dlaczego? Wiedermann Hotels to jedna z najlepiej prosperujących firm w Europie. Raczej trudno zniszczyć coś tak potężnego. Jestem pewien, że dasz sobie radę.

- Kochany Jerry - przytuliła się do niego. - W twoich ustach wszystko jest takie proste. A ja czuję się taka zagubiona i samotna.

- Przecież masz mnie.

- Tak, ale ty wkrótce wyjedziesz i zapomnisz o szkolnej miłości. Nikt mi już nie zostanie, tylko ta cholerna firma, o powadzeniu której nie mam zielonego pojęcia.

Po policzkach dziewczyny spływały łzy. Jerry pogładził ją czule.

- Nie musi tak być, kochanie - powiedział.

Podniosła na niego smutny wzrok.

- Kocham cię z całego serca, Jerry, ale Wiedermann Hotels to moje dziedzictwo. Nie zostawię firmy.

- Nie zostawisz. - Scałował łzy z jej powiek. - Będziesz kierować firmą z Ameryki. A ja ci w tym pomogę. Razem zbudujemy międzynarodową sieć ekskluzywnych hoteli. - Podniecony głos Lovestone'a nie wynikał bynajmniej z powodu wizji małżeństwa z tą piękną młodą dziewczyną. - Wyjdź za mnie, Barbaro, a razem rzucimy świat na kolana.

Barbara Wiedermann czuła się w tym momencie najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Oto wszystkie problemy rozwiązywały się w tej jednej pięknej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Tak, kochany - wyszeptala - zostanę twoją żoną.

Zaraz po rozdaniu dyplomów, w niewielkim kościółku obok szkoły odbyła się mała uroczystość - ślub Barbary Wiedermann i Jerry'ego Lovestone'a. Zaproszeni szkolni koledzy i koleżanki cieszyli się szczęściem dwojga przyjaciół.

Jerry mnie kocha. Pomoże mi. Będzie moją podporą na dobre i na złe - myślała Barbara, gdy jej ukochany zakładał jej obrączkę na palec.

Właśnie zrobiłem mój pierwszy wielki interes - myślał Jerry, uśmiechając się promiennie do młodej żony.

Barbara Lovestone została przyjęta przez rodziców Jerry'ego bardzo serdecznie. Wkrótce też jej uroda i miła aparycja zapewniły Barbarze szacunek i poważanie w świecie naftowych przemysłowców. Jerry, tak jak obiecał w Szwajcarii, zajął się ich firmą hotelarską, rozbudowując ją i doprowadzając do jeszcze większej świetności.

Pierwsze lata ich małżeństwa były dla Barbary jak najpiękniejszy sen. Kochała męża, a on zasypywał ją prezentami i adorował na każdym kroku.

Po śmierci rodziców Jerry'ego, młodzi państwo Lovestone opuścili Arkansas, przenosząc się do Nowego Jorku. Firmy Wiedermann Hotels i Lovestone Mining zostały połączone pod nazwą New York Oil and Company. Jerry uparł się, by usunąć ich nazwiska z nazwy firmy.

- Nie staniesz się kimś tylko dlatego, że umiesz tam swoje nazwisko - mówił. - Trzeba się jeszcze wykazać.

Nowy Jork w nowej nazwie firmy symbolizował świat wielkiego biznesu, świat, który ambitny Jerry Lovestone miał zamiar zdobyć.

Barbara ślepo wierzyła mężowi, w jego miłość do niej i w umiejętność kierowania firmą. Nie sprzeciwiała się nawet wówczas, gdy do Jerry'ego powędrowało sześćdziesiąt procent akcji nowej firmy, jej zaś przypadło czterdzieści procent.

- Twoje hotele, kochanie, były mniej warte niż moje szyby naftowe - tłumaczył. - Poza tym, to jasne, że muszę mieć pakiet kontrolny. Przecież i tak w ważnych decyzjach będę musiał się liczyć z twoim zdaniem.

- Moje zdanie będzie zawsze twoim, kochanie - odpowiadała Barbara. - Uczynię wszystko, abyś był ze mną szczęśliwy.

- Daj mi więc syna. - To było coś, czego Jerry Lovestone pragnął najbardziej.

Syn. Dziedzic. Ktoś, komu będzie można przekazać firmę, gdy nadejdzie jesień życia.

Jednak mijały lata, a państwo Lovestone jakoś nie mogli doczekać się potomstwa. Powoli ustawały prezenty i czułości. Coraz częściej Jerry robił zonie awantury o to, że jest nic nie warta jako kobieta.

Podczas jednej z takich kłótni, gdy wrócili z jakiegoś przyjęcia, Barbara nie wytrzymała.

- Więc po co się ze mną żeniłeś?! - wybuchnęła. - Dla moich hoteli?

Jedno spojrzenie Jerry'ego wystarczyło, by przekazać jej okrutną prawdę. Zawarta w nim nienawiść i pogarda pozbawiły Barbarę wszelkich złudzeń. Biedna kobieta rozplakała się. Jerry wyszedł, trzasnąwszy drzwiami i tej nocy już nie wrócił do domu.

Odtąd zaczął w nim bywać jedynie jako gość. Zabierał żonę tylko w takie miejsca, w których bez niej pokazać się nie wypadało, w przeciwnym bowiem razie ucierpiałby jego wizerunek.

Wtedy jeszcze Barbara go kochała. Myślała, że Jerry chce ją ukarać za to, że nie może zajść w ciążę. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby być tak wyrachowany, by związać się z nią tylko dla jej majątku.

Przecież on mnie kocha - wmawiała sobie.

Ale prawda była jeszcze bardziej okrutna, niż Barbara była w stanie sobie wyobrazić.

Pewnego razu, gdy bez zapowiedzi wróciła z Paryża do domu, zastała w sypialni własnego męża, którego wielki nabrzmiały członek zniknął co chwila w odbycie jakiejś młodej dziewczyny. Dwie inne zataczały się po ich małżeńskim łóżu. Całe towarzystwo było zbyt mocno pochłonięte sobą, by zobaczyć zszokowaną tym widokiem Barbarę, a ona stała w drzwiach sypialni jak wryta, niezdolna uczynić najmniejszego ruchu.

Wreszcie jej mąż ryknął jak zwierzę i sperma trysnęła na plecy prostytutki.

Wtedy ją zobaczył, a jego spojrzenie nie wyrażało najmniejszego wstydu czy choćby zażenowania.

- Wyjdź stąd, Barbaro - rozkazał. - Nie widzisz, że mam gości?

Wybiegła na oślep i ukryła się w piwnicy, w składziku na narzędzia. Szok nie pozwalał jej płakać.

Jakby tego było mało, wkrótce do uszu Barbary dobiegła rozmowa dwóch pokojówek wracających z pralni.

- Niezły ogier z naszego szefa, co, Lucy? - zaśmiała się jedna z nich. - Już drugi tydzień gzi się z tymi kurwami.

- Przestań, Rebeko! - rzuciła druga. - Wkurza mnie to wszystko. Musimy tańczyć nad nimi, jak nad jakimiś księżniczkami. Szkoda mi tylko pani Barbary.

- Barbara jest głupia i ślepa - przerwała jej Rebeka. - Jak można nie zauważyć pręg po pejcach na plecach własnego męża?

- Bo on starannie się przed nią kryje. Pracuję tu dłużej niż ty i wiem, że zdradza Barbarę od początku ich małżeństwa. Podobno tylko z kurwami może mu się zrobić dobrze.

- To po co się z nią żenił?

- Sama jesteś głupia, Rebeko. Lovestone ożenił się z Wiedermann Hotels, nie z Barbarą. Ona ma mu tylko dać syna. Potem pójdzie w odstawkę.

- To smutne. Wiesz, Lucy, nie zazdroszczę jej tego całego bogactwa. Rozmowa oddalających się pokojówek powoli cichła.

Barbara siedziała nadal w składziku i gryzła paznokcie do krwi. Mój Jerry - myślała z rozpazą. - Mój kochany Jerry. Jak mogłeś?!

Wszystko nagle ułożyło się jej w jedną całość.

Jerry połączył firmy i przekazał Barbarze tylko czterdzieści procent akcji, sobie zachowując pakiet kontrolny.

Jerry chorobliwie wręcz pragnął syna.

Jerry odsunął się od niej, gdy nie mogła zająć w ciążę, chociaż wszystkie badania wskazywały, że nie miała ku temu żadnych przeszkód natury fizycznej.

Jerry nigdy jej nie kochał. Wniosek był tak prosty, że aż przeraził Barbarę. Biedna kobieta wyszła z ukrycia i jak we śnie ruszyła do swojej garderoby, nie widząc nic po drodze. Weszła do środka i połknęła całą fiolkę środków nasennych.

Obudziła się w szpitalu. Jej mąż pochylał się nad nią.

- Wiesz, kochany - powiedziała słabym głosem - miałam właśnie okropny sen. Śniło mi się... - przerwała, uważnie przyglądając się mężowi. Jego wzrok nie wyrażał współczucia, lecz gniew. - O Boże - szepnęła - to nie był sen.

Błogosławiona ciemność zaległa jej umysł. Barbara zemdliała. Po nieudanej próbie samobójstwa, między państwem Lovestone nic już się nie układało.

Barbara zaproponowała rozwód.

- Niestety, kotku - odparł na to Jerry. - Nasi klienci nie patrzyliby przychylnie na kontrahenta - rozwodnika.

Pozostali więc nadal małżeństwem, choć tylko na papierze, w rzeczywistości nienawidząc się wzajemnie.

Firma New York Oil rozrastała się w tym czasie w potęgę. Lovestone kupował małe nierentowne przedsiębiorstwa i szybko przekształcał je w dochodowe filie korporacji.

Barbara, tak jak obiecała, nie wtrącała się do prowadzenia firmy. Jeśli już musiała podpisać jakieś dokumenty, Jerry dawał jej je do podpisania w domu. Zawsze też akceptowała zdanie męża co do wspólnego biznesu. Tylko jeden raz sprzeciwiła się, gdy chodziło o podpisanie pewnej umowy, gdy mąż zażądał od niej dziesięciu procent akcji, za które chciał kupić jakieś tereny na obrzeżu miasta. Sam miał dołożyć drugie tyle.

Barbara zjawiła się wtedy po raz pierwszy w biurze korporacji i zapowiedziała, że niepotrzebne jej są żadne grunty.

- Jeśli to dla ciebie takie ważne, Jerry, zapłać swoimi akcjami, masz ich przecież tak dużo - powiedziała wówczas i dumnie wyszła z zebrania dyrekcji.

Ten incydent długo nie schodził z ust pracowników firmy. Oto znalazł się ktoś, kto ośmielił się przeciwstawić Wielkiemu Prezesowi.

Jerry Lovestone kupił wreszcie upragnione tereny, tyle że za własne dwadzieścia procent akcji. Teraz miał tyle samo udziałów w firmie, co Barbara. Owe dwadzieścia procent przypadło zaś Helen O'Donnell.

Cena za tę transakcję nie miała właściwie większego znaczenia dla firmy, była jedynie papierkową formalnością. Tamta kobieta miała nigdy nie dostać ani centa za swoją działkę. Barbara doskonale pamiętała rechoczący śmiech męża na bankiecie wydanym specjalnie z okazji przełamania oporu Helen O'Donnell.

- Ta suka niedługo zdechnie - mówił wtedy Jerry. - Wszystko przypadnie nam - jej udziały i ta cholerna działka przy Sunstreet.

Po tamtym bankiecie pijany Lovestone zaciągnął żonę do sypialni. Po tem długo ją gwałcił i okładał pięściami gdzie popadło. Miała to być kara za nieposłuszeństwo.

Na skutek powstałych podczas pobicia obrażeń ciała, Barbara spędziła dwa długie miesiące w klinice neurologicznej doktora Brackleya w Trenton. Sprawę pobicia zatuszowano.

Gdy okres rekonwalescencji pani Lovestone dobiegł końca, na ciele kobiety nie zostały najmniejsze nawet ślady po uderzeniach jej męża. Jedynie młdości nijak nie ustępowały. Wówczas jeszcze raz gruntownie przebadano Barbarę. Najciekawsze były wyniki badań ginekologicznych. Doktor Brackley wezwał do siebie oboje małżonków.

Siedzieli teraz przed nim - Jerry zimny i obojętny oraz Barbara, przerażona, że przyczyną mdłości i zawrotów głowy może być guz. Ale doktor Brackley uśmiechnął się do nich serdecznie.

- Chciałbym państwu pogratulować - rzekł. - Pani Lovestone, ponad wszelką wątpliwość jest pani w trzecim miesiącu ciąży.

- Barbaro, ja... - Jerry popatrzył niepewnie na żonę, czując nagle do niej niewymowną tkliwość i ciepło.

Jednak ona nie zaszczyliła go swym spojrzeniem. Siedziała nieruchomo, wbijając wzrok w stojącą na biurku doktora popielniczkę.

Oto dowiedziała się, że nosi w sobie płomyk życia, coś, co będzie tylko jej, kogoś, kto będzie ją kochał dla niej samej, a nie dla jej pieniędzy czy wpływów.

W wieku trzydziestu sześciu lat miała zostać matką.

Zabrałeś mi godność, Jerry - pomyślała - ale nie zabierzesz mi dziecka. Szkoda tylko, że aby mnie zapłodnić, potrzebowałeś pięści i gwałtu.

Pół roku później, mimo swoich trzydziestu sześciu lat, Barbara bez komplikacji urodziła zdrową i śliczną córeczkę.

- Chociaż to nie syn, dziękuję ci, Barbaro - powiedział do niej wtedy Jerry, tuląc z miłością ich nowo narodzone dziecko.

Po raz pierwszy odkąd go znała, Barbara zobaczyła wzruszenie na twarzy męża.

Vanessa dorosła i okazała się jeszcze podlejsza od swego ojca. Lecz Barbara kochała i córkę i, na swój sposób, Jerry'ego. W rezultacie Jerry myślał, że jego córka to chodzący anioł. Barbara nie miała serca powiedzieć mu, że jest dokładnie odwrotnie. Nie chciała odbierać mu tej jedynej prawdziwej miłości.

Tak więc gdy jedną część serca Lovestone'a zajmowała Vanessa, druga należała do firmy. To firma nadawała sens życiu Jerry'ego, była motorem jego działania. Podnieść rękę na firmę, to tak, jakby ugodzić Lovestone'a w samo serce.

I właśnie teraz ktoś ośmielił się zadać ten cios. Znalazł się ktoś, kto się nie bał.

Barbarę ciekawiło, kto to mógł być. Nie zależało jej na firmie. Odkąd odkryła, że była jedynie marionetką w rękach męża, znienawidziła firmę z całego serca. Szczerze pragnęła, by ten tajemniczy człowiek naprawdę okazał się spadkobiercą Helen O'Donnell i by zachwiał korporacją Jerry'ego. Nieważne, że ucierpiałyby przy tym i hotele. Przecież i tak nie pozostało

już nic z dawnych Wiedermann Hotels. Odkąd wchłonęła je korporacja, przestały być dziedzictwem Barbary. Stały się łupem Jerry'ego Lovestone'a.

Biedna pani Lovestone naiwnie sądziła, że gdy Lovestone straci firmę, znajdzie w swym sercu miejsce dla żony.

Nagle pojawienie się pokojówki na tarasie wyrwało Barbarę z zamyślenia.

- Pani Lovestone, przysłała panna Alexander.

- Przyrowadź ją tu - poleciła Barbara.

Jackie weszła i usiadła naprzeciw niej w wiklinowym fotelu.

- Nie wyglądasz dobrze, Barbaro - powiedziała. - Coś cię gnębi?

- To z powodu procesu.

- Przecież to tylko dziesięć milionów - zdziwiła się dziewczyna. Nigdy nie podejrzewała Barbary o materializm. - Dla firmy to kropla w morzu - wzruszyła ramionami. - I tak wygraliśmy. Hospicjum nic nie dostanie.

- Nie rozumiałaś mnie, Jackie. Ubolewam nad tym, że sąd nie przyznał hospicjum tych pieniędzy. Będą leżały teraz beczynn timer na koncie, podczas gdy mogłyby przynieść tyle pożytku tym biednym chorym.

- Po czyjej jesteś stronie, Barbaro? - Jackie przypatrywała się jej uważnie.

- Po tej samej, co i ty - odparła Barbara z lekkim uśmiechem. - Możesz mydlić wszystkim oczy, ale mnie nie zwiedziesz.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Jackie nie była ani trochę zmieszana.

- Drogie dziecko - zaczęła Barbara smutnym głosem - kiedyś w młodości byłam strasznie naiwna, ale życie boleśnie mnie doświadczyło i teraz patrzę na wszystko jasnym spojrzeniem. Nie mogłam nie zauważyć związku pomiędzy twoim pojawieniem się a całą tą aferą ze spadkiem.

- Czysty przypadek. - Dziewczyna wbiła wzrok w podłogę.

Barbara ciągnęła dalej:

- Dla mego męża jesteś czymś w rodzaju bóstwa, albo, jak kto woli, maszyny do robienia pieniędzy. Omamiałaś go swą urodą i umysłem. Jerry stosuje się do każdego twego pomysłu. W krótkim czasie osiągnęłaś to, czego mnie nie udało się osiągnąć przez trzydzieści lat mego małżeństwa...

- Przestań! - Jackie zaczynała czuć się nieswojo. - Jeśli sugerujesz, że między mną a Jerryem istnieje jakiś romans, to się grubo mylisz!

- Nie, Jackie - Barbarę rozbawiło oburzenie dziewczyny - nie podejrzewam was o romans. Obie wiemy, że Jerry nie gustuje w kobietach naszego pokroju. Mam za to absolutną pewność, że pracujesz dla kogoś, komu rzeczywiście należy się spadek po tej biednej kobiecie.

Jackie milczała. Wystarczy, że Barbara podzieli się z mężem swoimi wątpliwościami, a wszystko pójdzie na marne. Jerry ukryłby wtedy znaczną część aktywów firmy i dalej pławiłby się w bogactwie. Z drugiej strony jednak, gdyby Barbara miała ją wydać, już dawno poleciałaby do męża ze swymi rewelacjami. A jednak siedziała tu, na tarasie i spokojnie deklarowała swój sojusz, nie wiedząc nawet, kto jest wrogiem Lovestone'a.

- Jedno mnie tylko ciekawi - zastanawiała się Barbara - dlaczego działacie podstępnie, zamiast po prostu przyjść do Jerry'ego ze słowami: słuchaj, draniu, to nasze dokumenty, jesteście krewnymi Helen, rozliczmy się i będzie po sprawie?

Jackie westchnęła. Dalsze upieranie się przy kłamstwie nie miało większego sensu.

- Nie jest to takie proste, Barbaro. Aby dojść naszych praw, musimy posługiwać się metodami Jerry'ego. Zbyt wczesna konfrontacja ze spadkobiercą Helen O'Donnell mogłaby doprowadzić do tragedii. Kiedyś już przez chciwość twojego męża zginęli ludzie. A teraz Jerry ma o wiele więcej do stracenia. Jest jak byk wyprowadzony na corridę.

- Mój mąż jest rzeczywiście ostrym przeciwnikiem - przyznała Barbara - ale nie chce mi się wierzyć, by był zdolny...

- W dalszym ciągu jesteś naiwna - przerwała jej Jackie - choć wydaje ci się, że jest inaczej. Chciałaś prawdy, oto ona: - zniżyła głos - Jerry Lovestone zlecił płatnemu mordercy zabicie siostry i szwagra Helen O'Donnell.

- To kłamstwo! - wykrzyknęła Barbara.

- Niestety, to prawda - odparła Jackie. - Nie posiadamy na to dowodów, gdyby było inaczej, policja już by się nim zajęła. Ale coś mi mówi, że ma je Lovestone. Człowiek o takiej psychice lubi chęlnie się, choćby przed samym sobą, podobnymi rzeczami. To go w pewien chory sposób podnieca. Gdybyś poszperała w sejfach Jerry'ego, natrafiłabyś na pewno na jakiejś ślady tej zbrodni. Lecz oczywiście nie musisz tego robić. Wygodniej jest udawać, że się o niczym nie wie i żyć sobie spokojnie w złudnym kokonie bezpieczeństwa. Choć zgrywasz się na szczęśliwą panią Lovestone - Jackie obdarzyła Barbarę współczującym spojrzeniem - nie da się ukryć, że cierpisz.

Barbara wstała dostojnie ze swego fotela i podeszła do balustrady tarasu. Zadziwiające, ileż prawdy było w kłujących słowach dziewczyny.

Jackie wstała również.

- Możesz dalej trwać w tym bezpiecznym cierpieniu - powiedziała - ale możesz też spróbować ukrócić to cierpienie, sprawić, by jutro nabrało cieplejszych barw.

Dziewczyna zauważyła, że ramiona kobiety drżą. Barbara płakała.

- Nie przyszedł tu po to - dodała Jackie przeprasającym tonem - by radzić ci, jak masz żyć. Chciałam tylko zostawić Jerry'emu dokumenty do podpisu. - Położyła tekturową teczkę na stoliku. Nie mam prawa krytykować twego życia, tak jak ty nie masz prawa mnie oceniać. Powiem ci tylko, Barbaro, byś trzymała się z dala od tej walki, bo inaczej i ty możesz paść jej ofiarą.

- Nie boję się ani Jerry'ego, ani was - Barbara odwróciła się - kimkolwiek jesteście. Jak już mówiłam, stoję po twojej stronie. Czymkolwiek miałyby się to dla mnie skończyć, pomogę ci.

- Dziękuję.

Słowa Jackie jeszcze długo po wyjściu dziewczyny rozbrzmiewały w głowie Barbary. Miała rację, Jerry był zdolny do wszystkiego. Było całkiem prawdopodobne, że kazał zabić tamtych ludzi. Czyż nie świętował kiedyś z powodu kupna działki przy Sunstreet, mimo że kosztowało go to dwadzieścia procent jego własnych akcji? Już wtedy przechwalał się, że nie zapłaci nic tej kobiecie. Miał pewność, ponieważ kazał zabić jej krewnych.

Jeśli znajdę na to dowody - Barbara zacisnęła zęby - nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, Jerry!

Kobieta wezwała służącą.

- Pan nadal u siebie?

- Tak, proszę pani.

- Poinformuj mnie, gdyby wyszedł.

W pokoju Jerry'ego był sejf. I choć państwo Lovestone mieli kilka sejfów, a to w gabinecie biura, a to w innych rezydencjach, ten jeden był szczególny. Lovestone przechowywał w nim pokwitowania wręczonych i otrzymanych łapówek, a także różne dokumenty i fotografie pozwalające mu na szantażowanie wysoko postawionych osobistości, gdyby te robiły mu jakieś problemy w interesach. Jeśli mógł istnieć jakiś dowód na popełnienie zbrodni, to właśnie tam, nigdzie indziej.

Rozdział XIV

Zastępca prokuratora okręgowego, Dexter Tucker, zjawił się w biurze Lovestone'a zły jak wszyscy diabli.

- Sfrajerowałeś, Jerry - powiedział do biznesmena. - Trzeba było na początku pójść na układ z Craverem.

- Trzeba było - fuknął Lovestone. - Dobrze ci mówić. To nie o twoje pieniądze tu chodzi!

- O twoje także nie - zauważył Tucker lodowatym tonem. - Bez mrugnięcia okiem orznąłeś Helen O'Donnell, nie dziw się, że teraz musisz ponieść tego konsekwencje. Poza tym, gdybyś wtedy dogadał się z Craverem, mielibyśmy spadkobiercę jak na tacy. A teraz on ma cię w garści. Już za późno, by zamknąć mu usta, jeśli domyślasz się, o co mi chodzi.

- Wielka szkoda. Sam udusiłbym tego drania gołymi rękami.

- Teraz możesz o tym zapomnieć, Jerry. Media są za bardzo zainteresowane tą sprawą. - Tucker zastanawiał się nad czymś przez chwilę. - Tak sobie czasem myślę - odezwał się wreszcie - czy my przypadkiem nie błądzimy po omacku, poszukując krewnych Helen O'Donnell nie tam, gdzie trzeba.

- Co wiesz? - Lovestone nie ukrywał złości. - A czy ja przypadkiem nie po to właśnie ci płacę, byś szukał tego mężczyzny?

- Otóż to, Jerry. Szukamy mężczyzny, a tymczasem to równie dobrze może być kobieta.

- Ale Craver wyraźnie mówił...

- Craver to chytry lis, pomimo że ma wygląd nieudacznika. W związku z nim nasuwa mi się jeszcze jedno pytanie, a mianowicie, o co mu chodziło, gdy mówił o swej pewności, że to nie Chińczycy zamordowali Sandów w Nepalu?

- Nie martw się, Dexter, nikt nam nic nie udowodni.

- Spaliłeś tamte zdjęcia, prawda?
 - Oczywiście - Lovestone uśmiechnął się szeroko. - Pytałeś mnie o to setki razy. Już dawno się ich pozbyłem. Nepal to zamknięta sprawa.
 - Niezupełnie, Jerry. Uważam, że tam powinniśmy poszukać naszego tajemniczego spadkobiercy.
 - W Nepalu?!
 - Dlaczego by nie? - teraz Tucker się uśmiechnął. - Skoro tutaj nic nie wskóraliśmy... - Przerwał i popatrzył wyczekująco na Lovestone'a.
- Wielki Prezes rozważał coś przez chwilę.
- Dobrze. Osobiście pojedziesz do tamtej wioski na granicy Chin z Nepalem i zrobisz dyskretny wywiad. Pamiętaj tylko - upomniał go - żeby nie wzbudzać podejrzeń.
 - Nie ruszę się z Nowego Jorku wcześniej niż za tydzień, może dwa. Nie mogę tak po prostu rzucić wszystkiego i polecieć do Azji.
 - W porządku. Nie ma pośpiechu. I tak uważam, że ta podróż będzie marnotrawieniem moich pieniędzy.

Tak jak wcześniej zapowiedziano, firma New York Oil wystąpiła z apelacją do sądu wyższej instancji. W odwołaniu tym mecenas Graham Perry domagał się anulowania decyzji niższej instancji, nakazującej firmie utworzenie osobnego konta na rzecz spadkobierców Helen O'Donnell. „To niedorzeczne - pisał - by pieniądze te leżały beczynnie w banku. Od dnia śmierci pani O'Donnell upłynęło osiemnaście lat. Do tej pory nikt nie zgłosił się po spadek po niej, należy więc domniemywać, że żadni spadkobiercy nie istnieją. Czemu zatem miałyby służyć utworzenie konta na rzecz nieistniejących osób...”

Dla Jackie Alexander takie odwołanie oznaczało konfrontację z wrogiem. Dziewczyna nie obawiała się uznania apelacji. Wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie, skoro ona sama, prawdziwa spadkobierczyni Helen O'Donnell, ma zasiąść na miejscu dla świadków.

Obawiała się za to czegoś innego. Wiedziała od Nicka o planowanej podróży Tucker do Nepalu. Martwiła ją ta podróż. Jeśli prokurator coś tam wywęszy, cały jej plan legnie w gruzach. Niestety, nie miała na to wpływu.

- Ech, kobieto - westchnął Anthony Bears, gdy podzieliła się z nim swoimi obawami - niby jesteś taka uczona, a nie zauważasz najprostszyczych rzeczy. Spróbuj myśleć tak, jak twój wróg. Czy Lovestone spodziewa się, że oto przyjeżdża z Khanaty, wioski na końcu świata, co do której nawet mapy

mają wątpliwości, czy leży w Nepalu, czy może już w Tybecie, dziewczyna o wyglądzie modelki i z dyplomem ukończenia Oxfordu? Nie! Jeśli dowie się o istnieniu siostrzenicy Helen O'Donnell, wychowanej w Himalajach przez niecywilizowanych Tybetańczyków, będzie ją sobie raczej wyobrażał jako odzianą w wilcze skóry, nie mówiącą po angielsku dzikuskę.

Jackie parsknęła śmiechem.

- Dzięki, Tony. Od dziś możesz do mnie mówić „Yeti”. - Dziewczyna była wdzięczna przyjacielowi za słowa otuchy.

Pozostawała jednak nadzieja, że zdąży ujawnić się przed sądem, nim Tucker ją przejrzy.

Z końcem sierpnia w tybetańskiej wiosce Khanata pojawił się podający się za turystę szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce. Nie zwiedzał jednak okolicy, nie wyruszał na wędrowki po niższych partiach gór, nie był też himalaistą. Jego blada twarz nie była osmalona wiatrem przygody. Z daleka widać było, że żaden z niego turysta. Jedyne, co go interesowało, to historia zamordowanej przed laty rodziny amerykańskich naukowców.

Mieszkańcom wioski wydał się jakiś podejrzany. Nabrali więc wody w usta i odesłali ciekawskiego przybysza do odległego o dzień drogi klasztoru Tsu-An.

Tak więc pseudoturysta znalazł się u wrót klasztoru buddyjskich lamów - miejsca, gdzie wychowała się Saran - Jackie Sand.

Dexter Tucker, gdyż to on był owym pseudoturystą, nienawykły do konnej jazdy, ledwie trzymał się w siodle po dwóch dniach podróży. Normalnie droga z wioski zajmowała dzień, ale nie dla kogoś, kto do tej pory dosiadał jedynie obrotowego fotela biurowego.

Tucker zsunął się ze swego konia, syknąwszy przy tym z bólu. Wewnętrzną stronę ud miał otartą do krwi. Posłał swemu przewodnikowi niewyraźny grymas, który zapewne miał być uśmiechem. Przewodnik, stary Nepalczyk z plemienia Szerpów, również zsiadł z konia, tyle że bez najmniejszych oznak zmęczenia podróżą.

Zakołatali do wrót klasztoru i zostali wpuszczeni do środka. Jeden z mnichów zaprowadził ich wprost przed oblicze Jon-Te - lamy.

Jako pierwszy głos zabrał przewodnik. W narzeczu tybetańskim opowiedział mistrzowi Jon-Te o nietypowych zainteresowaniach Amerykanina.

- Powiedzieliście mu cokolwiek? - zapytał mnich również po tybetańsku.

- Nie i dlatego przywiódłem go tutaj.

- Dobrze zrobiłeś, Ranak - pochwalił wieśniaka Jon-Te, po czym zwrócił się do przybysza w najczystszej angielszczyźnie: - Czujemy się zaszczytzeni z powodu pańskiej wizyty. Zechce pan zdradzić nam jej powód?

- Ależ oczywiście - odparł Tucker mocno oszołomiony niecodziennym widokiem klasztoru, jak i samym lamą. - Nazywam się Dexter Tucker. Poszukuję tu kogoś.

- Czy to ktoś bliski?

- Nie... - Amerykanin zawahał się. - Właściwie nie znam nawet nazwiska tej osoby, wiem tylko, że w jakiś sposób jest ona związana z tym miejscem.

- W jakim celu, jeśli można wiedzieć, poszukuje pan tego człowieka?

- W bardzo ważnej sprawie, panie... - Tucker nie miał pojęcia, jak się zwracać do mnicha.

- Na imię mi Jon-Te.

- ...panie Jon-Te. Człowiek, którego szukam, odziedziczył ogromny majątek - powiedział z entuzjazmem i spojrzał wyczekująco na Tybetańczyka.

- To wspaniale, panie Tucker - rzekł Jon-Te. - Boję się jednak, że nie będę umiał panu pomóc. Nasze święte góry odwiedza tylu obcokrajowców...

- Dokładnie to samo powiedziano mi we wiosce Khanata. Ale może przypomni pan sobie - Tucker nie tracił jeszcze nadziei - gdy podam pewne nazwiska. O'Donnell, Sand, czy nie panu one nie mówią?

Buddyjski lama zbyt dobrze umiał panować nad emocjami, by dać się teraz zaskoczyć, ale serce mnicha ogarnął nagle szalony niepokój o jego ukochaną dziewczynkę. Co ten przybysz mógł mieć wspólnego z Saran? Czy jest jej przyjacielem, czy wrogiem?

Należało postępować bardzo ostrożnie.

- Oba nazwiska brzmią mi zupełnie obco, panie Tucker. My, mnisi, zbyt jesteśmy pogrążeni w medytacjach, by zaprzętać sobie głowy światem zewnętrznym.

- A może pamięta pan morderstwo w Khanacie? - Tucker nie dawał za wygraną. - Dwadzieścia lat temu zamordowano tam ekspedycje naukową ze Stanów Zjednoczonych.

- Może i pamiętam - wolno wycedził mnich. - Czy to ma jakiś związek z pańską wizytą?

Tucker streścił pobieżnie sprawę pokrewieństwa zamordowanych z Helen O'Donnell, jak również opowiedział o okolicznościach śmierci tej kobiety.

- Skoro pani O'Donnell zmarła osiemnaście lat temu - zdziwił się mnich - dlaczego dopiero teraz szuka pan jej krewnych?

Tucker nie potrafił dać na to pytanie wyraźnej odpowiedzi. Tłumaczył więc coś o zawiłościach amerykańskiego prawa i o bezowocnych poszukiwaniach krewnych Helen O'Donnell w Ameryce, a im dłużej tłumaczył, Jon-Te coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że oto stoi przed nim wróg, nie przyjaciel.

Tucker odjechał z niczym.

Niepokój starego mnicha o przybraną córkę zmienił się w palącą ciekawość. Co też Saran tam wyczyniała? Jeśli to prawda, że Helen O'Donnell nie żyła od osiemnastu lat, dlaczego Saran nie wróciła do Tybetu? Czy rzeczywiście jej ciotka posiadała tak ogromny majątek, jak mówił ten Amerykanin?

Jon-Te nie przypuszczał nawet, że już wkrótce pozna odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania. Na razie jednak, jedynym dowodem na to, że Saran w ogóle żyje, były znikające z jej konta pieniądze, nie tylko owe sto tysięcy dolarów, jakie miała do dyspozycji. Dziewczyna wzięła również zaliczkę - całe dwa miliony dolarów pod zastaw swego funduszu powierniczego opiewającego na dziesięć milionów dolarów. National Union Bank miał prawo wypłacić jej tę zaliczkę, często tak czyniono. Poza tym pieniądze i tak należały do Saran - w końcu to ona odkryła złoża diamentów.

Jon-Te ufał jej. Wiedział, że wychował ją na rozsądną dziewczynę.

Czy jednak to niesforne dziecko nie za mocno szastało pieniędzmi?

Jackie przygotowywała właśnie nowy kontrakt dla firmy produkującej sprzęt sportowy, gdy nieoczekiwanie do jej gabinetu wszedł Jerry Lovestone. Zaglądał tu o wiele częściej niż za urzędowania Colemana. Zdecydowanie zbyt często.

- Dobrze, że cię widzę. - Jackie podniosła zmęczony wzrok znad dokumentów. - Właśnie miałam zasięgnąć twojej rady co do ceny za reklamę dla „Sport and Entertainment”.

- A, tak - odparł - przypominam sobie, że przeglądałem coś na ten temat, ale - uśmiechnął się - nie przykładałem do tego większej wagi, wiedząc, że Jackie Alexander czuwa nad tą sprawą.

Nie mam co do tego wątpliwości - pomyślała Jackie. - Cała twoja uwaga jest teraz zaprzątnięta kolejnym procesem.

- Więc jaka ma być nasza oferta cenowa? - dopytywała się.

- Jak najwyższa, oczywiście, i w granicach zdrowego rozsądku jednocześnie - rzekł, nalewając sobie drinka. - Przyszedłem powiedzieć ci, że zgłosiłem Abigaile do wyścigów.

- Doprawdy? - żywo zainteresowała się Jackie. - Kiedy pierwsza gonitwa?

- W następną niedzielę - odparł. - Właśnie w związku z tym do ciebie przychodzę. Co byś powiedziała na weekend na rancho? Przydałoby się sprawdzić, czy Abigaile nie zapomniała, jak się biegnie, a nikt nie ma do tego konia, oprócz ciebie, dobrego podejścia. Gdyby nie to, że jesteś dyrektorem od reklamy w mojej firmie, posadziłbym cię w siodło na wyścigach zamiast naszego dżokeja, Martina Bowersa.

Chociaż Lovestone tylko głośno myślał, Jackie była pewna, że brał taką ewentualność pod uwagę.

- Co to, to nie - roześmiała się. - Nie wyglądam dobrze w dżokejce.

- Jak ci się to podoba, Barbaro? - pytał Lovestone żonę.

Oboje podziwiali właśnie ich ulubienicę, Abigaile, która pędziła niczym strzała w ich kierunku. Na grzbiecie konia siedziała oczywiście Jackie.

- Jest naprawdę dobra - odparła Barbara. Nie wiadomo, czy chodziło jej o klacz, czy o dziewczynę.

Jackie, dojechawszy do nich, zeskoczyła z konia i podała cugle Lovestone'owi.

- Masz ochotę się przejechać?

- Nie, dziękuję. Jak dla mnie jest za szybka. Nie ulega wątpliwości, że to mój najlepszy koń.

Stajenny przyprowadził inną osiodlaną klacz, Spring Dawn, Wiosenną Jutrzenkę. To właśnie jej dosiadł Jerry. Mimo jego tuszy można się było dopatrzyć elementów wdzięku, gdy klusował w stronę lasu.

- Czy Abigaile - zapytała Barbara - jest naprawdę tak dobra, jak usiłujesz to wmówić mojemu mężowi?

- Jest najlepsza - szczerze odpowiedziała Jackie, unikając smutnego wzroku kobiety. - Nigdy nie dosiadałam szybszego konia. Ale nie postawiłabym na nią ostatniego dolara.

Barbara zrozumiała ostrzeżenie.

W czasie, gdy pani Lovestone przygotowywała na kolację tradycyjnego królika w winie, Jackie postanowiła rozejrzeć się po starych kątach. Pracownicy obsługi rancza powitali ją z otwartymi ramionami. Podobało im się, że ich dawna koleżanka, mimo bajecznego awansu, nie zadziera nosa. Wiecznie rozgadana Patt streściła Jackie wszystkie ploteczki dotyczące zarówno służby, jak i gości tłumnie odwiedzających ranczo ze swymi kochankami.

Kiedy Jackie wróciła na daczę, nieoczekiwanie natknęła się w salonie na Nicholasa Colemana. Korzystając z okazji, że chwilowo byli sami, przyłgnęła do siebie w gorącym pocałunku.

- Nie wiedziałam, że tu będziesz - ucieszyła się dziewczyna. - Też przyjechałeś podziwiać Abigaile?

- Nie - odparł tuląc ją do siebie. - Potrzebowałem podpisu Jerry'ego pod pewnymi bardzo ważnymi dokumentami. Niemniej jestem szczęśliwy, że cię tu widzę. Ostatnio rzadko się spotykamy.

- Taką mamy pracę - westchnęła. - Ale powetujemy to sobie, gdy skończy się ta heca z procesem.

- Wątpię, Jackie - Nick posmutniał. - Zapominasz, że za miesiąc biorę ślub.

- Miesiąc to bardzo długo, najdroższy. Jeszcze wiele może się wydarzyć.

Zza drzwi dobiegły ich czyjeś kroki. Odskoczyli więc od siebie, nie chcąc, by ktokolwiek odkrył ich miłość. Oboje popadliby w niełaskę u Lovestone'a, a zwłaszcza Jackie nie mogła do tego dopuścić.

Na szczęście nie był to ich szef, tylko pokojówka Lucy, zapraszająca ich na kolację.

- Królik jest jak zwykle wyśmienity, skarbie - mówił Jerry Lovestone do żony, pałaszując kolejną porcję.

- Dziękuję, kochanie - słowa Barbary, choć czułe, wypowiedziane były tonem ostrzejszym niż brzytwą.

To smutne - pomyślała Jackie - że mimo tylu wspólnie przeżytych lat nie ma w tych dwojgu ani kropli miłości.

- Zawsze ci powtarzam, Barbaro - odezwał się Nick - że powinnaś otworzyć restaurację. Na tym króliku zbilabyś fortunę większą, niż są warte wszystkie szyby naftowe Jerry'ego.

Pani Lovestone tylko się uśmiechnęła.

- Gdzież to podziewa się moja urocza narzeczona? - tym razem Nick zwrócił się do Jerry'ego.

- Czyżby - odrzekł Lovestone również z sarkazmem - nagle zaczęło ci się spieszyć do ołtarza?

- Od dnia zaręczyn - ironia w słowach Nicka była wręcz namacalna - nie snięć o niczym innym jak o ślubnym kobiercu.

- Vanessa nie lubi tu przyjeżdżać - nie chcąc sprzeczki przy stole, Barbara pospieszyła z wyjaśnieniem. - Wolą być w mieście z przyjaciółmi. Należy jej się trochę swobody. W końcu za miesiąc ma zostać mężatką.

Tak naprawdę nikt nie miał pojęcia, gdzie jest Vanessa. Przepadła gdzieś przed trzema tygodniami i tylko nieliczne telefony do matki świadczyły o tym, że żyje.

Barbara cierpiała z tego powodu tak bardzo, jak tylko matczyne serce cierpieć potrafi, patrząc, jak jej jedyne dziecko stacza się w przepaść. Vanessa zawsze miała za nic słowa matki. Było ogromnym sukcesem zmusić to niesforne dziecko, by raczyło chociaż zatelefonować ze swoich tajemniczych wojaży.

- Jeśli nie będziesz telefonować - zaszantażowała ją Barbara - ja nie będę mogła dłużej kryć cię przed ojcem.

Torturą natomiast było słyszeć w słuchawce pijany głos córki:

- Cześć, mamuśka! Żyję i mam się świetnie! No to pa!

Żał mi ciebie, Nick - pomyślała Barbara, patrząc, jak Coleman zabawia Jackie rozmową. Żałowała, że to nie Jackie jest jej córką.

Jerry'emu Lovestone'owi musiało również przyjść do głowy coś podobnego.

- Szkoda - rzekł nieoczekiwanie - że Vanessa nie ma takiej smykalki do interesów jak ty, Jackie. W ciągu niespełna dwóch miesięcy doprowadziłaś swój dział reklamy do zupełnej niezależności finansowej, a efekty twojej pracy można liczyć w setkach milionów dolarów. Nie mogę też nie wspomnieć o Abigaile, z którą dokonałaś cudów. O, gdyby moja córka była tobą, razem zbudowalibyśmy najsilniejsze imperium na świecie - rozmarzył się. - Tylko Vanessa, Barbara i ja...

- I spadkobierca Helen O'Donnell - tą jedną uszczypliwą uwagą żona sprowadziła go na ziemię.

- Dziękuję, że zawsze dbasz o szczegóły - Lovestone rzucił jej nienawistne spojrzenie, którego nie mogli nie zauważyć pozostali biesiadnicy.

- Doprawdy, jesteście chodzącą reklamą instytucji małżeństwa. - Nick nie mógł powstrzymać się od złośliwej uwagi.

Po powrocie z rancza Lovestone czuł się wielce przygnębiony. Dodatkowo przytłoczyła go najświeższa rewelacja adwokata firmy.

- Będiesz zeznawał, Jerry! - usłyszał od Perry'ego. - Nie ma innego wyjścia.

- Zwariowałeś?! - warknął do niego Wielki Prezes. - Mam się zniżyć do takiego poziomu?!

- Próbowałem tego uniknąć, wierz mi - tłumaczył adwokat - ale Craver zarzucił nam, że się czegoś obawiasz i z tego powodu nie chcesz zeznawać. Zrozum, to dla naszego dobra. Nie ma w tym nic trudnego. Po prostu przeciwiczymy razem odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania Craver i będzie po bólu.

- Kiedy będę zeznawał? - poddał się Lovestone.

- W czwartek, najpóźniej w piątek. To dobry czas - Perry próbował dodać szefowi otuchy. - Przysięgli będą zmęczeni po całym tygodniu siedzenia na sali sądowej i wysłuchiwania nudnych odczytów z ksiąg rachunkowych. Nie będą w stanie myśleć o niczym innym, jak o nadchodzącym weekendzie, a tym samym nie będą zbyt słuchani w twoje zeznania, nawet gdybyś stracił nad sobą panowanie i pozwolił wymknąć się jakiemuś głupstwu z twych ust. Ale przecież - poklepał Lovestone'a po ramieniu - wszystko pójdzie jak z płatka.

Barbara Lovestone siedziała samotnie w rezydencji przy Piątej Alei. Nie licząc służby, w domu nie było nikogo. Jerry pojechał do sądu, a Vanessa... No cóż, dzwoniła przed chwilą, prosiła o pieniądze. Wydawała się trzeźwa. Pewnie nie miała za co pić...

Barbara pomyślała o Jackie Alexander. Gdyby żyli rodzice tej dziewczyny, byłiby z niej bardzo dumni.

Nagle pani Lovestone wstała i ruszyła korytarzem do sypialni męża. Do tej pory nie miała odwagi, by szperać w jego sejfach, jednak myśl, że Jerry byłby zdolny popełnić największą zbrodnię, nie opuszczała Barbary od rozmowy z Jackie.

Korzystając z nieobecności męża, Barbara, niczym złodziej, zakradła się do jego pokoju i rozejrzała się niepewnie dookoła. Nie pamiętała, kiedy tu była po raz ostami, w każdym razie od tego dnia minęło wiele lat.

Styl umeblowania nie różnił się zbytnio od pozostałej części domu - z każdego kąta wyzierał przepych podkreślający status gospodarza.

Sejf znajdował się na północnej ścianie pokoju, za obrazem Renoire'a. Obraz nie pasował do wystroju wnętrza, ale widocznie był na tyle drogi, że zasługiwał na to, by zdobić ściany sypialni próżnego właściciela.

Kobieta ostrożnie zdjęła płótno ze ściany i wystukała znajomy kod na klawiaturze zamka. Ani przez moment nie przyszło jej do głowy, że Lovestone mógłby ośmielić się zmienić szyfr.

Drzwi sejfu odskoczyły z cichym trzaskiem. Drżącymi rękami Barbara zaczęła wertować jego zawartość. W sumie nie było tam niczego, czego nie spodziewałyby się znaleźć. Równe rzędy plików studolarowych banknotów zajmowały górną półkę - to były pieniądze na czarną godzinę, jak mawiał Jerry. Kilka milionów dolarów zupełnie wolnych od podatku.

Środkowa półka pełna była dokumentów mogących skompromitować niejednego urzędnika państwowego, biznesmena czy bankiera. Barbara szybko przejrzała te papiery, po czym odłożyła je na miejsce. Nie tego szukała.

Ostatnia, dolna półka, mieściła dwie szkatułki okazałych rozmiarów. W jednej z nich Lovestone'owie przechowywali klejnoty rodzinne Wiedermannów, w drugiej kosztowności zakupione już w trakcie trwania ich małżeństwa.

Pod wpływem nostalgii Barbara otworzyła pierwsze pudełko i ku swemu ogromnemu zdumieniu znalazła tam wszystkie klejnoty złożone razem. Co zatem zawierała teraz druga szkatułka?

Okazało się że jest zamknięta na głucho. Kluczyka nigdzie nie było widać.

Czyżby Jerry tu właśnie ukrywał swoje najczarniejsze tajemnice?

Jedynym sposobem na dostanie się do środka szkatułki było wyłamanie zamka, ale Barbara nie chciała się do tego posuwać.

Postanowiła poczekać. Może któregoś dnia Jerry zapomni przekreślić kluczyk?

Choć Jerry'emu Lovestone'owi drżały kolana, gdy siadał na miejscu dla świadków, nikt nie mógłby wyczytać z jego twarzy, że jest śmiertelnie przerażony. Dumnie spoglądał w kamery czterech stacji telewizyjnych, uśmiechnął się nawet do jakiejś dziennikarki.

Tak jak to przewidział Perty, zeznania przypadły na czwartek. Lovestone rzucił przelotne spojrzenie w kierunku sędziów przysięgłych. Nie wyglądali bynajmniej na znudzonych procesem. To, że dziś zeznawał sam prezes pozwanej korporacji, sprawiło, że odłożyli swoje krzyżówki i w największym skupieniu chłonęli każde słowo świadka.

Wszystko szło gładko, dopóki pytania zadawał mecenas Graham Perry. Lovestone ożywionym głosem opowiadał o inwestycjach firmy, kosztach działalności, wydatkach, nie zająknął się nawet wówczas, gdy Perry poprosił go o wytłumaczenie, dlaczego żyje na koszt firmy.

- To naturalne - odparł. - Jestem jej właścicielem. Czy posiadając dom, nie możemy w nim mieszkać? A czy posiadając konia, nie możemy go dosiadać?

- Proszę świadka o szczegółowe odpowiedzi na pytania - upomniął go sędzia wyższej instancji, tym razem trzydziestoosmioletni Joseph Cheeves.

- Nie mam więcej pytań. - Perry usiadł.

- Mecenasie Craver - odezwał się sędzia Cheeves - świadek jest do pańskiej dyspozycji.

Craver podniósł się ze swego krzesła i podszedłszy do Lovestone'a, zaczął przesłuchanie:

- Panie Lovestone, gdyby Helen O'Donnell żyła do dziś, czy wypłacałby jej pan dywidendę od posiadanych przez nią akcji?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. - Graham Perry wstał. - Interesują nas lata osiemdziesiąte, a nie obecne. Śmierć pani O'Donnell stanowi smutny, acz niezaprzeczalny fakt i nie należy się zastanawiać, jak by to było, gdyby nie umarła.

- Sprzeciw podtrzymany - oznajmił sędzia. - Mecenasie Craver, proszę o tym nie zapominać.

- Czy powodem niewypłacenia dywidendy w wymienionych właśnie latach osiemdziesiątych - Craver zadał kolejne pytanie - były inwestycje korporacji?

- Oczywiście - odparł Lovestone bez wahania.

- Czy gdyby nie te inwestycje, pani O'Donnell mogłaby korzystać z zysków firmy?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - wtrącił Perry. - Mecenas Craver znów sugeruje: „co by było gdyby”.

- Odrzucony. Pytanie dotyczy omawianych lat - wyjaśnił sędzia.

- Tak - Lovestone odpowiedział na pytanie Cravera. Powoli tracił pewność siebie.

- Nie dosłyszałem. - Craver był bezlitosny.

- Powiedziałem - powtórzył nieco głośniejszym głosem Lovestone - że Helen O'Donnell mogłaby korzystać z zysków firmy, gdyby nie rozpoczęte inwestycje.

- Czy Helen O'Donnell akceptowała taki stan rzeczy? - padło kolejne pytanie.

- Właściwie... ja... nie wiem.

- Jak to nie wie pan?

- Nie pytałem jej o zdanie.

- Mimo że była posiadaczką aż dwudziestu procent akcji korporacji?

- Mimo to.

- Zarządzał pan więc cudzą własnością - stwierdził Craver.

Wniosek był tak oczywisty, że Perry nawet nie usiłował protestować. Sędziowie przysięgli patrzyli w oburzeniu na Lovestone'a.

- Jakimi zasadami - kontynuował Craver - kieruje się pan, prowadząc swoje przedsiębiorstwo?

- Słucham rad i opinii moich doradców, potem samodzielnie podejmuję decyzję.

- Czy dwadzieścia lat temu doradzono panu, aby nie wypłacić ani centa pani O'Donnell? Czy pańscy doradcy sugerowali panu, że podjęte wtedy inwestycje są absolutnie niezbędne?

- Nie pamiętam.

- Czy posiada pan jakieś pisemne raporty z tamtych lat, sporządzone przez pańskich doradców, mówiące, że jeśli nie zainwestuje pan całości zysku firmy, grozi panu plajta, bankructwo, czy choćby poważne kłopoty finansowe?

- Nie mam takich raportów.

- A czy firmie groziłoby bankructwo, gdyby wówczas nie kazał pan zainwestować cudzych pieniędzy?

- Nie. - Lovestone był bliski utraty panowania nad sobą, choć Craver wciąż jeszcze zadawał mu pytania, które przerabiali z Perrym.

- Wobec tego - Craver zwrócił się do ławy przysięgłych - stanęliśmy przed smutnym faktem, że oto chęć zbudowania gigantycznej korporacji przeważała nad wartością życia śmiertelnie chorej kobiety.

Po efektownej pauzie Craver zadał świadkowi kolejne pytanie:

- Sędziów przysięgłych zainteresuje zapewne, dlaczego tak dokładnie opatrzył pan umowę sprzedaży akcji dla Helen O'Donnell tyloma obwarowaniami. Dlaczego umierająca kobieta nie mogła nikomu odsprzedać tych akcji, ani nawet podarować?

- Korporacja New York Oil to firma rodzinna. Nie mogłem pozwolić, by trafiła do niepowołanych rąk.

- Przecież pani O'Donnell to zupełnie obca panu osoba.

- Cóż, mimo wszystko jestem biznesmenem. Życie zmusza czasem do kompromisów.

- Więc zaakceptowałyby pan krewnych pani O'Donnell, gdyby tacy istnieli, jako współdziałalców?

Lovestone tylko czekał na to pytanie.

- Oczywiście - odparł gładko. - Jednakże żaden prawdziwy krewny nie pozwoliłby umrzeć Helen O'Donnell w samotności i w biedzie. To, że umarła w hospicjum, dowodzi, że nie miała nikogo na tym świecie. Właśnie dlatego po jej śmierci nie utworzyłem osobnego konta i nie przelewałem na nie dywidendy od akcji nieżyjącej już kobiety w kolejnych latach mojej działalności gospodarczej. Wiedziałem, że i tak nikt nie zgłosi się nigdy po te pieniądze.

- Rozumiem - drążył Craver - że jeśli jednak znajdzie się prawdziwy krewny, w dodatku wskazany w testamencie przez panią O'Donnell, jest pan gotów wypłacić wszystko, co się temu spadkobiercy należy?

- Jestem gotów - powiedział Lovestone głośno i wyraźnie.

Był stuprocentowo przekonany, że skoro Tucker nie znalazł nic w Stanach, to tym bardziej nie uda mu się w Nepalu. Helen O'Donnell po prostu nie miała krewnych.

Mecenas Graham Perry wstał niespodziewanie ze swego krzesła.

- Wysoki Sądzie - rzekł - nie chcę zgłaszać sprzeciwu, ale uwagę.

Sędzia wyraził zgodę.

- Otóż mój przeciwnik - mówił Perry - rażąco odbiegł od tematu. Nie widzę związku pomiędzy spadkiem i nieistniejącymi spadkobiercami Helen O'Donnell a sprawą będącą przedmiotem apelacji. Przypomnę, że powinien nas interesować wyłącznie okres, w którym Helen O'Donnell jeszcze żyła.

- Wobec tego powinien pan słuchać, zamiast patrzeć - odparł sędzia Cheeves, zmęczony tą adwokacką grą. - świadek wyraźnie wypowiedział się

w kwestii, dlaczego firma nigdy nie utworzyła konta z dywidendą pani O'Donnell.

Po tych słowach sędzia zakończył czwartkowe posiedzenie. Ława przysięgłych miała się zebrać następnego dnia, by wysłuchać dalszych zeznań Jerry'ego Lovestone'a.

Dexter Tucker nie od razu po porażce w klasztorze Tsu-An opuścił Nepal. Choć rozmowa z mieszkańcami Khanaty nie przyniosła żadnych rezultatów, dociekliwy prokurator natrafił na to, czego szukał.

Pomógł mu przypadek.

Wróciwszy z klasztoru tybetańskich lamów do Katmandu, Tucker był tak poraniony, że uznał, iż dobrze mu zrobi kilkudniowy odpoczynek w jakimś hotelu. Poinformował więc Lovestone'a, że wraca z niczym i wynajął pokój w jednym z bardziej luksusowych hoteli położonym w centrum hotelowej dzielnicy Katmandu, Thamelu, pięciogwiazdkowym Everest Sheraton International, choć ów luksus nie mógł w niczym dorównać amerykańskiemu hotelom o takiej samej renomie.

Z okna pokoju Tucker mógł podziwiać ośnieżone szczyty najwyższych gór świata. I choć właśnie stamtąd wrócił, zdecydowanie wolał obecną formę turystyki - bierne podziwianie z daleka.

Bar hotelu Sheraton nie należał do najspokojniejszych miejsc pod słońcem. Przypominał raczej nocny pub. Co chwila wybuchały tam awantury pomiędzy podpitymi himalaistami różnych narodowości.

Jeden z takich incydentów zaczął się akurat w momencie, gdy Tucker schodził do baru na drinka. Pijany Anglik usiłował dźgnąć nożem hinduskiego kelnera za to, że ten źle wydał mu resztę. Interweniowała policja, pijanego Anglika odprowadzono do aresztu.

Całe zdarzenie nie trwało dłużej niż kilka minut, wystarczyło jednak, by osoba Dextera Tuckera zainteresowała jednego z policjantów.

- Jest pan Anglikiem? - zapytał jeden z policjantów, wpatrując się w drogi garnitur Tuckera.

- Nie, Amerykaninem.

- Co pana tu sprowadza? Nie wygląda pan raczej na trackingowca ani himalaistę.

- Moja wizyta w tym kraju nie ma nic wspólnego z turystyką - odparł wyniośle prokurator. - Szukam tu kogoś.

- Znalazł pan? - Ciekawił się policjant.

- Niestety nie. Jutro, najdalej pojutrze, wracam do Nowego Jorku.

- Kim jest ta osoba? Może będę mógł panu pomóc?
- Wątpię. Nie szukałem jej tu, w Katmandu, lecz daleko stąd, przy północnej granicy Nepalu, w okolicy małej tybetańskiej wioski Khanata, gdzie przed laty zamordowano dwoje amerykańskich archeologów.
- Czy nie byli przypadkiem małżeństwem? - Pomarszczoną twarz policjanta ozdobił szeroki uśmiech.
- Skąd pan wie? - zapytał Tucker wielce zaskoczony.
- Dawno temu pracowałem na posterunku policji w Khanacie.

Mimo że był to czwartek i oboje musieli być na drugi dzień wcześniej rano w pracy, Jackie i Nick udali się późnym wieczorem do dyskoteki.

- Nie do wiary, jak można zardzewieć na biurowym krześle - śmiał się Nick, tuląc w tańcu swoją dziewczynę. - Powinniśmy przychodzić tu częściej.

- Ja wolę częściej robić co innego - odparła Jackie, ocierając się o niego zmysłowo.

Oboje byli w tej chwili szczęśliwi i bardzo zakochani. Patrząc teraz na tego mężczyznę z potarganą grzywką, ubranego w T-shirt i dżinsy oraz na tę piękną dziewczynę w obcisłej sukience mini i z włosami do pasa, nikt nie domyśliłby się, że oto ma przed sobą dwoje dyrektorów jednej z największych firm na świecie. Widząc ich szczęśliwe, roześmiane twarze, nikt nie domyśliłby się, ile cierpienia, goryczy i strachu kryje się za każdą z nich.

Dali się ponieść muzyce, zapominając o swych zmartwieniach - Nick o chorej matce i niechcianym ślubie, Jackie o straszliwej odpowiedzialności za to, że ośmieliła się być ręką Opatrzności.

Po dyskotecce Nick zawiózł Jackie do jej mieszkania.

- Nie zostaniesz na noc? - zdziwiła się dziewczyna, widząc, że Nick nawet nie gasi silnika w samochodzie.

- Chciałbym, wierz mi - powiedział z bólem - ale jest trzecia nad ranem, a Lovestone życzył sobie, bym był o dziewiętej w sądzie. Muszę jakoś wyglądać przed kamerami. - Pocałował ją na pożegnanie. - Jeśli teraz zostanę, nie zmrużymy oka do rana.

Jakiś czas później Jackie leżała samotnie w swoim łóżku rozmyślając.

Oto pierwsza część rozgrywki dobiegała końca. Wróg poniesie porażkę. Nie będzie to cios śmiertelny, wystarczy jednak, by pozostawić w ciele przeciwnika głęboką, niegojącą się ranę. Czy jednak ten cios nie okaże się

tragiczny w skutkach także i dla Jackie? Dziewczyna wiedziała, że wszystko wyjaśni się w ciągu kilku najbliższych dni. Już nie obawiała się, że Tucker trafi na jej ślad w Nepalu, ani że Lovestone, poznawszy prawdę, będzie być może próbował ją zabić.

Panicznie bała się jednak, że straci Nicka. Dlaczego nie powiedziałam mu o sobie - pomyślała - gdy był jeszcze na to czas? Teraz już było za późno. Zbyt wiele musiałaby mu tłumaczyć. Nick dowie się na procesie. Dlaczego miałby wówczas przestać ją kochać? Przecież stali po tej samej stronie barykady.

W piątek, punktualnie o dziewiątej rano, Jerry Lovestone wraz ze swoim zastępcą, Nicholasem Colemanem, zjawili się w sądzie. Po przeprowadzeniu przez sędziego przewodniczącego niezbędnej procedury wznowienia postępowania, prezes korporacji ponownie zajął miejsce dla świadków. Tym razem kolana już mu nie drżały. W nocy otrzymał telefon. Tucker wrócił z niczym z Khanaty. Wypoczywał teraz w stolicy Nepalu, liżąc rany zdobyte w trakcie podróży z gór. Teraz już nie było powodów do obaw.

Żaden krewny Helen O'Donnell nie mógł istnieć.

- Jest pan pewien, że nie stwarzałyby pan problemów z wypłatą dywidendy od akcji pani O'Donnell, gdyby znaleźli się jej krewni? - kontynuując przesłuchanie, Craver powtórzył pytanie z dnia poprzedniego, a gdy i tym razem otrzymał twierdzącą odpowiedź, zwrócił się do sędziego: - Wysoki Sądzie, proszę o dołączenie do materiałów dowodowych tej oto kasety magnetofonowej. - To mówiąc, sięgnął do kieszeni marynarki.

Lovestone spojrzał na Perry'ego, ten jednak był nie mniej zdziwiony niż jego klient. Nie miał pojęcia, co jest na tej kasecie. Perry już miał się zerwać ze swego miejsca, by zgłosić kolejny sprzeciw, ale ubiegł go sędzia Cheeves.

- Czy nie powinien pan przypadkiem - zapytał Cravera, chociaż sam był ciekaw tego nagrania - zgłaszać materiałów dowodowych przed posiedzeniem?

- Pragnę jedynie wykazać - Craver zrobił niewinną minę - że to, co dla świadka jest oczywiste we wrześnieu, w czerwcu takie oczywiste nie było.

Lovestone poczuł, jak oblewa go zimny pot. Tego nie było w scenariuszu.

Sędzia dopuścił kasetę jako dowód w sprawie.

Na sali zapanowała martwa cisza. Wszyscy w skupieniu patrzyli, jak dowód znika w kieszeni przenośnego magnetofonu. Po chwili rozległ się wyraźny męski głos. Nie było wątpliwości, że ów głos należy do przesłuchiwanego właśnie świadka.

- Wie pan co, mecenasie? - płynęło z taśmy - Nawet, jeśli zobaczę ten testament oraz dokumenty tożsamości pańskiego klienta, to i tak nie dam wam ani centa. Nikt nie odbierze mi mojej firmy, nawet jej części. To moje dziecko! Wiele lat ciężko pracowałem, by osiągnąć to, co mam dziś!

Teraz pojawił się inny, pełen wyrzutu głos Cravera:

- Mógł pan wypłacić jej dywidendę od udziałów, mógł pan też sprzedać jej konie. Nie uczynił pan tego.

- Nie zrobiłem tego - krzyczał głos Lovestone'a z taśmy - ponieważ uważam, że nic się tej kobiecie nie należało! Ta podstępna suka sposobem wyłudziła ode mnie moje akcje!

W tym momencie Craver wcisnął klawisz „stop”. Zwolniony przycisk „start” odskoczył z trzaskiem, który dla Lovestone'a zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu.

Craver rozejrzał się triumfalnie po sali.

- Pierwszą rzeczą, o jaką pana spytam, mecenasie - głos sędziego stał się nad wyraz surowy - będzie to, jak pan wszedł w posiadanie tego nagrania?

- Nie założyłem podsłuchu w biurze pana Lovestone'a - odparł Craver. - Po prostu przewidziałem, że świadek nie będzie zachwycony celem mojej wizyty i zwyczajnie zabrałem ze sobą dyktafon. A to przecież nie jest zabronione. Jak słyszeliśmy wszyscy, świadek podczas mojej wizyty u niego nie pałał hojnością wobec swych wierzycieli. Co więcej, nazwał panią O'Donnell przebiegłą suką! Pozwolę więc sobie jeszcze raz zadać świadkowi pytanie, czy ewentualni spadkobiercy pani O'Donnell otrzymaliby od świadka wszystkie należne im pieniądze?

Coś, niczym stalowa pętla, zacisnęło się na gardle Lovestone'a, nie pozwalając mu wykrztusić słowa.

- Świadek raczy odpowiedzieć - ponaglił sędzia Cheeves.

- Już mówiłem, że tak - Lovestone wreszcie zdobył się na odpowiedź.

- Trzykrotnie potwierdził pan coś, czemu w czerwcu tak zajadle pan przeczył. Skąd ta nagle zmiana decyzji?

Lovestone wykrzesał z siebie jeszcze odrobinę energii. Przecież nie było spadkobierców Helen O'Donnell. Nikt mu nic nie robi.

- To proste, mecenasie - odparł - tamte słowa kierowałem do pana, nie do krewnych tej kobiety. To przez pana poniosły mnie nerwy. Jest pan zwykłym oszustem, Craver. Wywęszył pan świetny interes na oczernieniu mnie. Nie wiem, kto za panem stoi, na pewno ktoś z konkurencji, lecz z całą pewnością nie jest to człowiek powiązany z Helen O'Donnell więzami krwi.

- Na metryce urodzenia mego klienta widnieje nazwisko O'Donnell - zdążył powiedzieć Craver, nim Perry zgłosił swój sprzeciw.

Sędzia oddalił ów sprzeciw, uznał bowiem, że kierunek przesłuchania świadka ma ścisły związek ze sprawą.

- Czy świadek o tym wiedział? - zapytał Lovestone'a.

Ten zawahał się przez moment, po czym uśmiechnął się ironicznie.

- Nie wiedziałem, ale czy mecenas Craver ma pojęcie, ilu O'Donnellów mieszka w Ameryce?

- Ale Cynthia i Matthew - stwierdził adwokat - stanowią raczej niezbyt popularną parę imion.

Cynthia i Matthew byli rodzicami Hellen i Evy.

Krew odpłynęła z twarzy Lovestone'a. Oni mieli przecież dwie córki. Tylko dwie córki! I obie nie żyją.

Sędziowie przysięgli z wielką uwagą patrzyli na świadka. Dla nich było jasne, że kłamał, deklarując chęć wypłaty dywidendy komukolwiek poza sobą.

- Nie mam więcej pytań. Świadek jest wolny - powiedział Craver, zadowolony z osiągniętego efektu.

Teraz nie było już szans, by przysięgli uznali apelację Perry'ego. Przez swoją pychę Lovestone zapędził się w kozzi róg.

Ale to jeszcze nie był koniec. Ostatecznym ciosem będzie pojawienie się prawdziwego spadkobiercy.

A na razie adwokat Jackie patrzył, jak Lovestone schodzi z podium dla świadków, jak przygarbiony zbliża się do wyjścia i znika za drzwiami, a za nim przeciska się tłum dziennikarzy.

Kolejnym świadkiem obrony był główny księgowy firmy, Norman Dovers, ale jego zeznania były tak obfite w cyfry i tak monotonne, że po pół godzinie sędziowie przysięgli poczuli się znudzeni do granic.

Cyfry zlewały się im w jedną całość, specjalistyczne słownictwo Doversa przestało być zrozumiałe. Mecenas Perry na próżno starał się wzbudzić w nich zainteresowanie zeznaniami księgowego.

Przysięgłym dudniły w głowach jedynie słowa z kasy magnetofonowej.

O piątej nad ranem w rezydencji Lovestone'ów rozdzwonił się telefon.

- Słucham? Kto mówi? - zapytała pokojówka zaspanym głosem.

- Tu Tucker. Chcę rozmawiać z Jerrym Lovestonem.

- Zechce pan zadzwonić około ósmej. Pan Lovestone nie lubi, gdy się go budzi tak wcześnie.

- Albo go poprosisz, albo osobiście skopię ci dupę, jak tylko wrócę z Azji - wrzasnęła prokurator. Dzwonił do Nowego Jorku z pokoju w Sheratonie. Czekał na to połączenie ponad godzinę i nie miał ochoty czekać kolejny raz.

Nie wiadomo, co bardziej poskutkowało, Azja, czy wizja skopanego tyłka, faktem jest, że po niespełna piętnastu sekundach rozległ się w słuchawce głos Lovestone'a.

- Jak tam, Dexter, zwęszyłeś coś? - i nie czekając na odpowiedź, dodał: - Lepiej dla ciebie, żebyś coś znalazł, bo jeśli dzwoniś tylko dlatego, że skończyły ci się czeki podróźne, to...

- Oni mieli dziecko - przerwał mu Tucker.

W słuchawce zaległa cisza.

- Jerry, jesteś tam? - gorączkował się prokurator. - Słyszysz mnie?

- Słyszę - pewność siebie wyparowała w jednej chwili z głosu Lovestone'a - tylko wydaje mi się, że jeszcze śpię i śni mi się ten koszmar.

- To nie sen, Jerry. Eva i John Sand mieli dziecko. To dlatego nie mogli uciec z Khanaty w trakcie zamieszek. Normalnie tak by zrobili, ale sam podróżowałem po tych górach i jeszcze nie pogoiliły mi się rany na nogach. Z niemowlęciem taka podróż byłaby z góry skazana na niepowodzenie.

- Przecież sprawdzaliśmy, pamiętasz? - Lovestone był zdruzgotany. - Eva Sand nie urodziła w Nepalu żadnego dziecka!

- Najprawdopodobniej urodziła je w Indiach.

- Jak w takim razie mogliśmy to przeoczyć?

- Nepalskie kobiety, zwłaszcza w górskich wioskach, mają dużo dzieci. Skąd nasz człowiek mógł wiedzieć, że jedno z nich należy do Amerykanów?

- Gdzie jest teraz to dziecko? Jakiej jest płci? - dopytywał się Lovestone. Nagle coś do niego dotarło. - Boże! - wykrzyknął. - Ono ma teraz dwadzieścia lat!

- Zgadza się. To jest teraz dorosły człowiek. Niestety, nie znam płci, ani późniejszych losów dziecka Sandów. Policjant, od którego dowiedziałem się tego wszystkiego, pracował w tamtym czasie w Khanacie, lecz zaraz po śmierci Sandów został w ramach awansu przeniesiony do Katmandu. Dziecko mogło zostać przygarnięte przez jakąś nepalską rodzinę. A propos, zgadnij, za co ten policjant dostał awans?

- Umieram z ciekawości.

- Za przyczynienie się do schwytania mordercy Ewy i Johna Sandów.

- Jaki ten świat mały - westchnął Lovestone, ocierając pot z czoła, choć w pomieszczeniu bynajmniej nie było gorąco. - Odwaliłeś w Nepalu kawał dobrej roboty, Dexter, ale dziecka Sandów z pewnością tam teraz nie ma. Wracaj do Stanów. Ono musi być w Nowym Jorku. Jeśli dorwiemy je przed zakończeniem procesu, może nie wszystko będzie stracone.

- Ile mamy czasu?

- Nie więcej, niż cztery, pięć dni. Craver właśnie skończył mnie przesłuchiwać. I wiesz co? Jeśli masz rację, to siedzę w gównie po same uszy. Nie możemy dopuścić, aby siostrzeniec Helen O'Donnell stanął przed sądem.

- Albo siostrzenica - zauważył Tucker posępnym głosem.

Jeszcze tego samego dnia, dzięki okazałej łapówce, Tuckerowi udało się zdobyć bilet na samolot Królewskich Linii Lotniczych - Royal Nepal Airlines do Delhi. Odtąd jednak wszystko zdawało się przeciwko Amerykaninowi.

Samolot wylądował z godzinnym opóźnieniem, potem, jak na ironię, skradziono prokuratorowi bagaż. Na szczęście zakupienie biletu do Nowego Jorku w Delhi nie nastęczało takich trudności, jak w Katmandu.

Tak więc z biletem w dłoni, choć bez bagażu, Tucker udał się do hali odpraw.

- Samolot do Nowego Jorku odleciał dziesięć minut temu - poinformował go hinduski pracownik obsługi naziemnej bez najmniejszego cienia współczucia. - Następny będzie dopiero jutro.

- Ale ja mam bilet na pierwszą klasę - jęknął zupełnie załamany prokurator.

- Przykro mi. Obie klasy odleciały jednocześnie.

Niedzielne otwarcie jesiennych wyścigów konnych przyciągnęło na trybuny kilka tysięcy miłośników tego kosztownego hobby, przez jednych zwanego sportem, przez innych zaś hazardem. Siedzieli teraz uśmiechnięci, podnieceni i pełni nadziei na wygraną. Rozmawiając beztrzesko ze znajomymi, nie dopuszczali do siebie myśli, że mogliby ponieść porażkę.

Jerry Lovestone również tam był. Nie zaliczał się jednak do tych wesoło paplających ludzi. Wczorajszy poranny telefon od Tucker zupełnie zwałił go z nóg. Lovestone nie spodziewał się aż takich rewelacji. Mimo to ciągle jeszcze miał nadzieję, że uda im się dopaść wroga i go unicestwić, nim będzie za późno. Niech no tylko wróci Tucker, wtedy wszystko się jakoś ułoży.

Gdyby tylko Lovestone mógł wiedzieć, że jego pies gończy biega właśnie po delhijskim lotnisku, wściekły, że nie zdążył na samolot do Nowego Jorku...

Prokurator Dexter Tucker doczekał się wreszcie dnia następnego. Za dwie godziny miał wsiąść na pokład samolotu lecącego do Stanów. Tym razem wolał się nie spóźnić, wałęsał się więc od rana po lotnisku. Po źle przespanej nocy, spędzonej w podrzędnym delhijskim hoteliku, nie czuł się najlepiej. Poza tym lot miał się odbyć dopiero późnym popołudniem i fakt ten nie wpływał na poprawę samopoczucia.

Nienawykły do trwonienia czasu, Tucker cały dzień poświęcił na rozważania, kim jest tajemniczy wróg Lovestone'a. Wreszcie, na pół godziny przed odlotem, miał już stuprocentową pewność.

Dzwoniąc z automatu telefonicznego z trudem uzyskał połączenie z Nowym Jorkiem. W rezydencji Lovestone'a długo nikt nie podnosił słuchawki.

Dzisiaj żadna suka nie powie mi, że Jerry śpi - myślał Tucker, bębniąc nerwowo palcami po obudowie aparatu. Tam, dokąd dzwonił, była dziewiąta rano.

Wreszcie ktoś odebrał telefon.

- Przykro mi, panie Tucker - była to ta sama pokojówka, co poprzednio. - Państwo Lovestone są właśnie na wyścigach konnych.

Tucker był wściekły. Wybrał na klawiaturze aparatu kolejny numer, tym razem był to numer telefonu komórkowego Nicholasa Colemana. Niestety, tutaj też spotkało go rozczarowanie. Coleman miał wyłączoną komórkę.

Nie było rady. Trzeba było zająć miejsce w samolocie i spokojnie dać się zawieźć do Nowego Jorku.

Dopiero wtedy będzie mógł oznajmić szefowi, że według niego tajemniczą spadkobierczynią Helen O'Donnell jest Jackie.

Państwo Lovestone zajmowali miejsca zapewniające im świetny widok całego toru wyścigowego. Nikogo też nie dziwiła obecność Jackie Alexander i Nicholasa Colemana, siedzących obok siebie w pobliżu Lovestone'ów.

Jerry Lovestone wystawił do wyścigów aż osiem koni. Faworytką była oczywiście Abigaile, mająca wystartować w siódmej gonitwie. Wszyscy czekali niecierpliwie na ten moment.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila. Konie zajęły pozycje w boksach startowych.

- O, jest moja słodka Abigaile - dopiero teraz Lovestone dał upust swojemu szczęściu, patrząc na albinosa z numerem czwartym. - Prezentuje się wspaniale. Za chwilę zarobi dla mnie ładnych parę milionów.

Jackie i Barbara wymieniły znaczące spojrzenia. Obie wiedziały, że za chwilę portfel Lovestone'a będzie cieńszy o pięć milionów dolarów, które Lovestone postawił na tę klacz.

Nick nie obstawiał tego dnia, chociaż bardzo tego pragnął- Przyczyniła się do tego Jackie, która z samego rana nawymyślała mu od hazardzistów.

- Jeśli postawisz na jakiegoś konia choćby dolara - powiedziała - będę zmuszona pomyśleć, że nie zależy ci na twojej mamie, ani na mnie i że pragniesz małżeństwa z Vanessą.

- A co to wszystko ma ze sobą wspólnego? - zdziwił się-

- Ma, i to bardzo wiele. Pragniesz oddawać się hazardowi i przetracać uczciwie zarobione pieniądze! Powinieneś raczej znaleźć bardziej bezpieczny sposób na pomnażanie swoich oszczędności, zamiast, jak potulne cielę, robić wszystko, co każe ci ten drań, Lovestone. To me do pomyślenia, że przy twoim stanowisku i twoich zarobkach nie odłożyłeś sobie jakiejś sumy zabezpieczającej przyszłość twoją i Nancy.

- Ale przecież Abigaile to pewniak - próbował tłumaczyć

- Los przynosi czasem niespodzianki, Nick. Pamiętaj o tym.

W rezultacie usłuchał Jackie. W końcu bardzo ją kochał i jeśli to było dla niej takie ważne, mógł zrezygnować nawet z obstawiania gonitw. Za to teraz, gdy siedział na trybunach i udzielał mu się nastrój panującego dookoła

podniecenia, był zły jak sto diabłów, zwłaszcza że Lovestone ciągle zapewniał go z dumą o cudownych zdolnościach swej klaczy. Proszę - myślał - oto Jerry znów zarobi lekką rączką kupę forsy, a ja przez tę przemądrzałą dziewczuchę obejdę się smakiem. Jednak było już za późno na jakiegokolwiek zakłady.

Zapowiedziano siódmą gonitwę. Sprawozdawca kolejno wyczytywał nazwiska dżokei oraz imiona koni.

- ...z numerem czwartym Martin Bowers na trzyletniej klaczy Abigaile - gromkie słowa unosiły się ponad torem wyścigowym.

Padł strzał startera. Konie ruszyły.

Tak jak można było przewidzieć, klacz Lovestone'a od razu pozostawiła wszystkie inne konie w tyle, co przyprawiło znaczną część widowni o radosne bicie serca.

- Na prowadzenie wysunął się koń z numerem czwartym - sprawozdawca przez megafon żywo komentował przebieg gonitwy. Dłuższą chwilę zajęło mu przedstawienie sytuacji reszty pędzących koni.

Wreszcie, tuż pod koniec drugiego okrążenia, padły słowa, których Jackie nie mogła się już doczekać:

- Abigaile w dalszym ciągu na prowadzenia! - darł się sprawozdawca. I wtedy stała się rzecz niesłychana.

Klacz usłyszawszy swe imię zwolniła tak gwałtownie, że dosiadający ją dżokej omal nie przeleciał przez koński łeb. Inne konie niemal zrównały się z Abigaile, która natychmiast podjęła galop i z pewnością uzyskalaby poprzednią przewagę, gdyby sprawozdawca znów nie wymienił jej imienia. Wówczas zwolniła po raz drugi.

Dalsze wypadki potoczyły się jak w oka mgnieniu.

Z głośników raz za razem padało imię klaczy:

- Abigaile zwalnia!... Abigaile straciła prowadzenia!... Coś się stało Abigaile!

Abigaile... Abigaile... Abigaile... Klacz zgłupiała zupełnie.

Gonitwę wygrał kary koń Amadeus z numerem drugim.

Abigaile ukończyła wyścig jako ostatnia. Przekroczyła metę dumnym klusem, mimo iż dżokej Martin Bowers czynił wszystko, by zmusić ją do galopu.

Na trybunach wrzało. Po tej gonitwie niejeden gracz stracił fortunę.

Jerry Lovestone dopadł Martina Bowersa i schwyciwszy za ramiona jego drobną postać, jął nim potrząsać gniewnie, obrzucając go przy tym stekiem

wyzwisk, nie bacząc, że za plecami stoi Barbara oraz Jackie i Nick, którzy również podążyli za Lovestonem. Dżokej był przerażony.

- Nie mam pojęcia, co się stało, szefie. Wszystko szło dobrze, aż do drugiego okrążenia... Sam pan widział... - Niestety, w oczach Lovestone'a nie czaił się choćby cień zrozumienia. Dżokej głośno przelknął ślinę. - I wtedy ta durna kobyła zahamowała niespodziewanie, omal nie wyrzuciło mnie z siodła... Potem już za żadną cholere nie mogłem jej zmusić do galopu, zresztą nie było już po co...

- Ta durna kobyła kosztowała mnie milion, baranie! - darł się Lovestone. - Nie dalej jak tydzień temu widziałem na własne oczy, co potrafi Abigaile i wierz mi, w niczym nie przypominało to dzisiejszego pośmiewiska! A przed chwilą straciłem pięć milionów, stawiając właśnie na nią! Jak myślisz, czyja to wina?!

- Czy ty przypadkiem nie jesteś niesprawiedliwy, Jerry? - wtrąciła się Jackie. - W końcu to nie Bowers biegł w tym wyścigu. Być może Abigaile coś dolega, coś, o czym nie wiemy? Może wystraszyła się tłumów? Nie zapominaj, że do tej pory trzymałeś ją na wiejskim odludziu.

- Hm - bąknął Lovestone, przyglądając się Abigaile. - Nie wygląda na chorą. Na wszelki wypadek każę dokładnie ją przebadać. - To powiedziawszy, odwrócił się na pięcie i odszedł, pozostawiając całe towarzystwo, w tym również własną żonę, samym sobie. Dla niego owa porażka była czymś więcej, niż tylko nieudaną inwestycją. Traktował wyścigi jako swoisty sposób na podbudowanie własnego ego. Rzadko kiedy mylił się co do konia, a już na pewno nie wtedy, gdy w grę wchodził taki pewniak jak Abigaile.

Barbara patrzyła za oddalającym się mężem bynajmniej nie ze współczuciem, a gdy po chwili przeniosła wzrok na Jackie, w jej oczach malował się ogromny podziw dla tej dziewczyny. Było jasne, że koniowi nic nie jest.

- Skąd wiedziałaś? - zapytała, zapominając, że obok stoi Coleman.

- O czym, Barbaro? - Nick również był zaszokowany rezultatem gonitwy.

- Ach, nic - uśmiechnęła się Jackie, nie tracąc ani na moment panowania nad sobą. - Po prostu radziłam Barbarze, podobnie zresztą jak i tobie, by nie stawiała krociovych sum na konia, który pierwszy raz bierze udział w wyścigach. Chyba przyznasz mi teraz rację, Nick - puściła do niego oczko - że los czasem płata dziwne figle?

- Ty chyba masz w sobie jakiś szósty zmysł. - Nick z bezgranicznym podziwem spojrzął w ukochane oczy siedzącej obok niego w samochodzie dziewczyny.

Było późne niedzielne popołudnie. Dojeżdżali właśnie do kliniki neurologicznej w Trenton.

- Nazwijmy to raczej kobiecą intuicją - wesoło odparła dziewczyna. - Zresztą, nie ma o czym mówić. Zapomnij o tym.

- Ja mogę zapomnieć - roześmiał się - ale Jerry zapamięta ten dzień do końca życia.

Obyś miał rację - pomyślała Jackie.

W recepcji kliniki natknęli się na nieprzewidziane trudności w dostaniu się do Nancy Coleman.

- Przykro mi - pielęgniarka bezradnie rozłożyła ręce - otrzymałam polecenie nie wpuszczać nikogo do tej pacjentki.

- To jakiś absurd! - zbulwersował się Nick. - Jestem jej synem i nie przypominam sobie, abym wydał takie polecenie.

- Cóż... - pielęgniarka wahała się chwilę - w takim razie może pan wejść, ale pani... - spojrzała na Jackie.

- Ta pani jest ze mną - powiedział Nick stanowczo.

- Proszę mnie zrozumieć, panie Coleman, muszę respektować odgórne polecenia, inaczej stracę pracę - pielęgniarka była bliska płaczu. - Nikt poza krewnymi nie może odwiedzać naszych podopiecznych.

- W porządku. - Nick z trudem opanował gniew. - Niech mi tylko siostra powie, kto wydał takie polecenie?

- Doktor Brackley.

W tym momencie nie kto inny, jak Samuel Brackley, szef kliniki, wyłonił się zza zakrętu korytarza. Nick od razu na niego naskoczył:

- Czy to prawda, że zabronił pan odwiedzać moją matkę?

- Ależ panie Coleman - odparł ze spokojem tamten - pan może to robić o każdej porze.

- Ale dziś jestem tu z przyjaciółką, a pańska pracownica...

- Moja pracownica najwyraźniej nie zrozumiała polecenia - przerwał doktor Brackley bynajmniej niespeszony zaistniałą sytuacją. - Wydając zakaz wpuszczania obcych do Nancy Coleman, miałem na myśli dziennikarzy - kłamał - którzy wążąc wokół procesu, mogliby zakłócić spokój pańskiej matki. W końcu jest pan wiceprezesem pozwanej firmy. Przepraszam za

nieporozumienie. To naturalne, że pan i pańska przyjaciółka możecie wejść do pacjentki.

- Cieszę się - odparł chłodno Nick - że jesteśmy tego samego zdania, doktorze Brackley. W przeciwnym wypadku musiałbym skorzystać z usług innej kliniki. Na przyszłość proszę poinformować swój personel, że ta oto pani - tu wskazał na Jackie - ma nieograniczony dostęp do pokoju Nancy Coleman.

- Jeszcze raz przepraszam za zaistniałe nieporozumienie. - Uśmiech nie zniknął z twarzy doktora, dopóki tych dwoje nie wsiadło do windy.

Brackley przeklinał w duchu Jerry'ego Lovestone'a. To właśnie na jego polecenie doktor wydał to idiotyczne polecenie.

- Nie życzę sobie - mówił przez telefon nowojorski biznesmen - aby wokół Nancy kręcili się jacyś obcy. To może nam obu napytać biedy. I tak już ktoś doniósł Colemanowi, że bywam w klinice.

Ale doktor Brackley nie widział niczego złego w tym, że Coleman odwiedza matkę z przyjaciółką. W czym taki młodzieńki kociak mógłby zagrozić jemu, czy tym bardziej Jerry'emu Lovestone'owi?

W pokoju Nancy Coleman nic się chyba nie zmieniło. Wszystkie sprzęty stały w tym samym miejscu, co poprzednio, nawet telewizor też był włączony. Jedynie Nancy wydawała się być jakaś inna.

Jackie przypatrywała się uważnie chorej kobiecie. Trudno było określić, na czym polegały owe zmiany, ale z pewnością dotyczyły jej twarzy. Po chwili dziewczyna już wiedziała. Nancy Coleman nie miała dziś makijażu, a mimo to jej twarz tryskała witalnością. W miejsce szarości zjawily się dwa rumieńce, zdobiące policzki niczym najprzedniejszy róż. A oczy? Były jeszcze bardziej żywe i błyszczące. Dziś można było w nich dostrzec coś jeszcze - niewysłowioną radość, której powód, oprócz niej samej, znała tylko Jackie.

Nick jak zwykle niczego nie spostrzegł. Wolał wyglądać przez okno niż patrzeć na chorą matkę.

Dotąd Jackie czuła, że nie ma prawa zabierać mu tej najdroższej w świecie istoty i posyłać jej w tak niepewną podróż. Lecz dziś wystarczyło tylko zobaczyć, jakich zmian dokonała nadzieja w nieruchomym ciele Nancy Coleman, by wszystkie wątpliwości rozwiały się jak poranna mgła.

- Już wkrótce - szepnęła do Nancy, pochylivszy się, by poprawić jej poduszki. - Przygotuj się. Najdalej za dwa tygodnie będziesz w Tybecie.

Rozdział XV

W poniedziałkowy poranek, w małym pokoju przylegającym do sali rozpraw, siedzieli trzej mężczyźni. Jednym z nich był sędzia Cheeves, pozostali to dwaj adwokaci przeciwnych stron.

- Mecenas Perry ma całkowitą rację - mówił sędzia do Cravera. - Jeżeli jeszcze raz ujawni pan na sali jakiś dowód w sprawie, będę zmuszony go odrzucić. Obrona ma prawo zapoznać się z dowodami przed zaprezentowaniem ich ławie przysięgłych, choćby po to, aby zawnocześnie przygotować się do odpowiedniego postępowania.

- Rozumiem - wtrącił Perry - że tylko to pan potrafi, mecenasie, uderzać na ślepo z zaskoczenia i mieszać przysięgłym w głowach.

- Czyż nie na tym właśnie polega sztuka wykonywania naszego fachu? - odparł grzecznie Craver.

- Panowie - upomniał ich sędzia - zachowajcie te sprzeczki dla siebie. Ja tylko chcę was ostrzec przed ujawnieniem dowodów bez udzielenia stronie przeciwnej szansy na zapoznanie się z nimi. W związku z tym zapytuje panów teraz, czy chowacie w zanadrzu jeszcze jakieś rewelacje?

- Nie - szczerze odpowiedział adwokat Lovestone'a.

- A pan, mecenasie Craver?

- No cóż... - Craver wlepił w Perry'ego swe małe oczka. - Jest pewien świadek... - zadowolony z uzyskania spodziewanego wyrazu zaskoczenia na twarzy przeciwnika, przeniósł wzrok na sędziego.

- Moim świadkiem będzie krewny pani O'Donnell. Dziś usłyszymy jego zeznania. Jeśli oczywiście nie ma pan nic przeciwko temu, panie sędzio.

- Jak rozumiem - sędzia Cheeves był nie mniej zdziwiony od Perry'ego - potrafi pan udokumentować to pokrewieństwo?

- Tak.

Graham Perry aż wstał, tak go przeraziła ta wiadomość. Niestety, nie miał pojęcia, co Tucker odkrył w Nepalu, a Lovestone nie uznał za stosowne go o tym poinformować. Wielki Prezes żył nadzieją, że zdąży odnaleźć i pozbyć się dziecka Sandów, nim ostatecznie ujawni się ono w sądzie.

- To niedorzeczne! - powiedział oburzony. - Nikt taki nie istnieje. Poza tym dokumenty łatwo spreparować...

- Łatwo też sprawdzić, czy są autentyczne - zauważył sędzia. - Mece-nasie Craver, chętnie zapoznamy się z zeznaniami owego, zdaje się kluczowego świadka, pod warunkiem, że nie będzie to kolejna szopka zorganizowana przez pana w celu podwyższenia ciśnienia krwi u pańskiego przeciwnika. W przeciwnym razie nie chciałbym być w pańskiej skórze.

Charlton Craver wszedł na salę rozpraw. Dziś nie było tu tylu ciekawskich widzów, co pod koniec ubiegłego tygodnia. Ludzie uznali najwyraźniej, że nic w tej rozprawie nie będzie już tak zajmujące, jak zeznania prezesa pozwanej firmy. Także liczba dziennikarzy zmalała o połowę, chociaż dla Cravera było to bez znaczenia, gdyż ci, którzy zostali, reprezentowali takie gazety jak New York Times, Newsweek, czy Daily News.

Adwokat z niepokojem zauważył, że nie ma jeszcze Jackie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Gdzie podziewa się ta dziewczyna?

Jerry Lovestone już tu był. Siedział otoczony całą switą szefów różnych komórek korporacji. Nicholas Coleman siedział obok swego prezesa, żywo o czymś rozmawiając z Charlotte Fielding, która zajmowała kolejne miejsce. Kilka miejsc dalej były jeszcze wolne krzesła.

Nagle Craver odetchnął z ulgą. Na salę weszła Jackie Alexander, jeszcze piękniejsza niż zwykle. Dziewczyna rozejrzała się po sali szukając Nicka. Wreszcie go dostrzegła. Siedział tuż obok Lovestone'a, do którego właśnie podszedł Graham Perry, dziwnie czerwony na twarzy. Ruszyła w ich stronę, obserwując jak dwaj mężczyźni kłócą się o coś zajadle. Kiedy przechodziła obok nich, do jej uszu doleciały strzępki rozmowy.

- Jeżeli to prawda, co mówi Craver - wściekał się Perry - to nie chcę cię więcej znać, Lovestone.

- Nie gorączkuj się tak - odparł tamten, również mocno zdenerwowany. - Tucker powinien już tu być. Namierzył drania w Nepalu. Teraz to już

kwestia kilku godzin. Po prostu odwlecz moment przesłuchania świadka Cravera. Dajmy Tuckerowi czas.

- Nie mamy kilku godzin! - warknął adwokat. - I gdzie jest teraz Tucker?

- Nie rozumiem, czemu jeszcze go tu nie ma. Od wczoraj powinien być w Nowym Jorku. - Lovestone przeleciał wzrokiem salę sądową. - O, cześć, kotku - dopiero teraz zauważył Jackie. - Co ty tu robisz?

- Przyszłam popatrzeć na ten cyrk - uśmiechnęła się do niego czarująco. - Nick tyle mi mówił na temat procesu.

- Cieszę się, że tu jesteś - wyznał Lovestone. - Twoja obecność podniesie mnie na duchu.

Wybiła dziewiąta. Na sali zapanowało poruszenie. Sędziowie przysięgli zajmowali właśnie swoje miejsca. Jackie zatrzymała się koło Nicka.

- Muszę z tobą porozmawiać, Nick - szepnęła. - Natychmiast.

- Nie teraz. - Ścisnął ją ukradkiem za rękę. - Za moment rozpocznie się posiedzenie sądu.

Na salę dostojnym krokiem wszedł sędzia Cheeves. Rozpoczęła się procedura otwarcia kolejnego dnia procesu.

Jackie na miękkich ze zdenerwowania nogach podeszła szybciotko do wolnego miejsca nieopodal Nicka. Nie zdążyła mu wyznać prawdy.

Stało się! Oto dziś położy na szalę losu swoje szczęście. Chęć wymierzenia sprawiedliwości była silniejsza niż lęk przed utratą zaufania ukochanego mężczyzny. Modliła się, by Nick ją zrozumiał.

Poprzedniego dnia, gdy wracali z Trenton, Jackie wciąż wahała się, czy wyznać Nickowi prawdę. Miała ku temu dziesiątki okazji, lecz im bliżej było do dnia procesu, w którym miała zeznawać, tym coraz trudniej było jej zdobyć się na szczerłość.

I oto nadszedł dzień, w którym miała zasiąść na miejscu dla świadków.

Dopiero w ten jesienny poniedziałkowy poranek dotarło do Jackie, jak wielki błąd mogła popełnić. Zrozumiała, że Nick nie może dowiedzieć się o jej pochodzeniu razem ze wszystkimi innymi. Poczuje się zdradzony i oszukany. Zasługiwał na coś innego. Jeśli mam utrzymać jego miłość - stwierdziła rano - muszę mu powiedzieć teraz.

Lecz nie zastała go ani w mieszkaniu, ani w biurze. Od rana towarzyszył Jerry'emu Lovestone'owi w prowizorycznej konferencji prasowej przed gmachem sądu.

A teraz było już za późno. Za późno.

Te dwa słowa huczały w głowie dziewczyny nawet wtedy, gdy na środek sali wyszedł mecenas Charlton Craver i głośno oznajmił:

- Wzywam ostatniego świadka...

Graham Perry zbladł.

- ...jedyną krewną nieżyjącej Helen O'Donnell i prawowitą jej spadkobierczynię...

Lovestone'owi zrobiło się ciemno przed oczami.

- ...pannę Jackie Sand!

Po sali przebiegł szmer zaskoczenia i podekscytowania. Jackie podniosła się niepewnie ze swego miejsca.

- Dokąd idziesz? - szepnął gorączkowo Nick, gdy przechodziła obok niego. - Teraz będzie najlepsze.

Jackie spojrzała na niego przepaszająco, jakby chciała powiedzieć „wybacz mi”, po czym zdecydowanym już krokiem ruszyła w kierunku podium dla świadków.

I nagle Coleman zdał sobie sprawę, że Jackie wcale nie zamierza wyjść na zewnątrz. Podobnie, jak reszta obecnych tu osób patrzył z przerażeniem, jak jego ukochana siada w miejscu dla świadków.

- Co ona wyprawia? - Nie mniej przerażony Lovestone złapał Colemana za rękaw marynarki. - Przecież to nasza Jackie! Ona nie może być...

- Proszę o ciszę! - powiedział sędzia Cheeves, a gdy uspokoiło się nieco, zwrócił się do świadka: - Pani imię i nazwisko?

- Nazywam się Jackie Sand - drżącym lecz wyraźnym głosem odpowiedziała dziewczyna. Unikając spojrzeń z sali, popatrzyła sędziemu prosto w oczy. Jestem córką Evy i Johna Sandów.

- Czy ma pani dokumenty potwierdzające pani tożsamość?

- Tak, oto one. - Jackie podała Craverowi swą metrykę urodzenia, a ten z kolei zaniósł ją sędziemu.

Sędzia Cheeves z uwagą przejrzał dokument.

- Hm - mruknął. - Wygląda na prawdziwy, jednak jestem zmuszony dać tę metrykę ekspertom do potwierdzenia autentyczności.

- Moja klientka ma jeszcze jeden ważny dokument - odezwał się mecenas Craver.

- Jaki?

- Testament Helen O'Donnell - odparła Jackie.

Sędzia przejrzał też testament. Podpis Helen O'Donnell wyglądał pod nim na autentyczny.

Trochę trwało, nim powołani w trybie natychmiastowym dwaj biegli sądowi orzekli wstępnie autentyczność obu dokumentów.

Sędziowie przysięgli wiercili się niespokojnie w swoich krzesłach. Nie mogli się doczekać, kiedy ujrzą metrykę i testament na własne oczy. Wreszcie ich pragnieniu stało się zadość - woźny sądowy podał im dokumenty, jakie zaprezentowała Jackie.

Sędzia Cheeves zezwolił Craverowi na przesłuchanie świadka. Adwokat zadawał dziewczynie dość ogólne pytania dotyczące jej życia, a ona opowiadała barwnie swoją przeszłość. Zgromadzeni na sali ludzie słuchali w milczeniu tego, jak wychowała się w klasztorze tybetańskich lamów, jak rosła otoczona przyjaznymi ludźmi, ale pozbawiona rodzicielskiej miłości, jak zdobywała wiedzę, wreszcie jak trafiła do Ameryki, by poznać swoją ciotkę, Helen O'Donnell, i jak zamiast ciotki znalazła tylko jej grób na cmentarzu w Hartford.

Opowiadając o swoim życiu, Jackie kilkakrotnie spoglądała na salę, na dziennikarzy, na przysięgłych, nawet na Lovestone'a, który siedział ze wzrokiem wbitym w ziemię. Widziała ludzi, którzy przyszli tu z ulicy żądni sensacji, a którzy teraz ocierali łzy wzruszenia i współczucia, słuchając jej słów.

Lecz ani razu nie spojrzała na Nicka. Czuła palący wstyd, że go okłamywała. I żał, że być może dzisiejszy dzień przekreśli ich wspiane uczucie.

Zeznawała już od ponad trzech godzin. Mecenas Perry ani razu nie zgłaszał sprzeciwu. No bo i czemu mógł się sprzeciwiać? Chyba tylko temu, że reprezentował takiego gada, jak Jerry Lovestone.

Odkąd Jackie odkryła prawdziwy wpływ Lovestone'a na losy swojej rodziny, marzyła o tym dniu. W dzień i w nocy widziała siebie siedzącą, tak jak teraz, na miejscu dla świadków i mówiącą wszystkim o swoich przeżyciach. Napawała ją jakaś zwierzęca radość, gdy wyobrażała sobie, co będzie czuł jej wróg, gdy się dowie, że to ona, jego oczko w głowie, jest ową tajemniczą ręką Opatrzności, która zacisnęła pięść na jego firmie.

I oto ten wymarzony dzień wreszcie nadszedł. Nie był już snem, ni wyobrażeniem. Stał się rzeczywistością. Lecz nie przyniósł Jackie ukojenia, nie złagodził bólu po stracie rodziców. Są rany, które nigdy się nie goją i zbrodnie, których nigdy się nie wybacza.

Jackie mówiła i mówiła. Ani razu jednak nie wspomniała o liście, jaki umierająca Helen zostawiła jej u siostry Marii Clary, ani o swej pewności co do tego, kto naprawdę zamordował jej rodziców w Nepalu. Takie oskarżenie nic by nie dało. Nie miała dowodów. Naraziłaby się tylko na śmieszność. Na razie musiał ją zadowolić widok Lovestone'a przygnębionego do granic. Oto jego ulubiona pracownica, co więcej, nawet przyjaciółka, której ufał bezgranicznie, okazała się główną bohaterką jego najczarniejszych koszmarów.

To nie sen, Jerry - pomyślała z satysfakcją. - Nie tym razem. Siedzę przed tobą prawdziwa i potężna i nie spocznę, dopóki nie zobaczę cię w piekle!

Wreszcie sędzia Cheeves ogłosił przerwę na lunch. Po raz pierwszy w życiu czynił to niechętnie.

Na prośbę Cravera świadkowi przydzielono dwóch uzbrojonych strażników sądowych, w celu ochrony przed wścibskimi dziennikarzami, a może kimś zdesperowanym na tyle, by zagrozić życiu dziewczyny.

Jackie jadła lunch w tym samym pokoju, w którym rano sędzia rozmawiał z prawnikami. Strażnicy mieli rozkaz nie wpuszczać do niej nikogo.

A chętnych było wielu...

- Teraz dziennikarze nie dadzą ci żyć - Craver uśmiechnął się do swojej klientki. - Za drzwiami jest ich pełno. Popraw makijaż, zanim stąd wydziesz.

- Lepiej byś nie żartował, Charlton - skarciła go Jackie skrzywiwszy się na widok przyniesionego właśnie lunchu. - Jestem taka zdenerwowana, że chyba nie przełknę ani kęsa. Czuję, że jeszcze chwila, a zupełnie się rozkleję.

- Nie marudź - adwokat pochylił się nad jej talerzem. - Ja zjadłem zimną pizzę, a ty się rozklejasz nad duszoną kaczką. Oj, rozpuścili cię na tym dyrektorskim stanowisku.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Craver pomógł jej rozładować napięcie.

- Powiedz lepiej, co porabia nasz słodki Jerry - zmusiła się do jedzenia.

- Widziałem go przed chwilą, jak rozmawiał z Perrym i z tym suchym prokuratorem, jak mu tam... Tuckerem.

- A Nick? Widziałeś go?
- On... - adwokat spoważniał - wyszedł z sali, gdy tylko sędzia ogłosił przerwę.

- Masz taką minę, jakby ta dziwka cię zaskoczyła - Tucker nie mógł zrozumieć zachowania Lovestone'a, który aż trząsał się z wściekłości.

- Uduśzę ją gołymi rękami - powtarzał co chwila Wielki Prezes.

- Ciszey, bo jeszcze ktoś cię usłyszy - uspokajał go Perry. - Jeszcze tego brakuje, by jakiś dziennikarz nagrał twoje pogróżki.

- Nic mnie to nie obchodzi - warknął Lovestone. - Uduśzę tę sukę!

- Jak to możliwe - dziwił się Tucker - że nic nie wiedziałeś? Przecież dzwoniłem do twego domu wczoraj wieczorem, jak tylko przyleciałem z tej piekielnej Azji. Tuż przed odlotem z Delhi zrozumiałem, że to właśnie Jackie Alexander tak ci miesza koło dupy. Próbowałem cię złapać z Azji, ale byłeś na wyścigach konnych, więc dopiero, gdy przyleciałem...

- Coś ty powiedział?! - Lovestone utkwiał przekrwione oczy w szczupłej sylwetce prokuratora.

- Że byłeś na wyścigach i...

- Wcześniej!

- Że dzwoniłem do ciebie, do rezydencji, wczoraj wieczorem, tuż po przylocie z Azji.

- Kto odebrał telefon?

- Barbara. Mówiłem jej, co wymyśliłem, a ona obiecała ci przekazać... Nie wiem, dlaczego tego nie uczyniła.

- Tę sukę też uduśzę - zdążył jeszcze powiedzieć Lovestone, nim dopadła ich pierwsza fala dziennikarzy.

Po przerwie na lunch, gdy tylko sędzia Cheeves wznowił posiedzenie sądu, Craver od razu zakończył przesłuchanie świadka.

- Świadek jest do pańskiej dyspozycji - zwrócił się sędzia do mecenas Perry'ego.

Graham Perry wstał ze swego krzesła i powoli podszedł do Jackie. O co właściwie mógłby ją spytać? Czy dobrze się jej mieszkało w otoczeniu najwyższych gór świata? Czy podoba jej się Nowy Jork? Czy ma zamiar zniszczyć tylko Lovestone'a, czy też wszystkich, którzy mieli z nim styczność?

Nic przecież nie było w stanie obalić faktu, że krewna Helen O'Donnell istnieje. Jerry Lovestone był głupcem, jeśli sądził, że Perry pomoże mu się wyłgać od sprawiedliwości.

- Czy... - adwokat szukał przez chwilę odpowiednich słów, którymi mógłby się zwrócić do Jackie. Była przecież jego dobrą znajomą, kilka dni temu jedli razem lunch. - Czy jest pani świadoma odpowiedzialności za swoje zeznania?

- Jak najbardziej - dziewczyna popatrzyła mu prosto w oczy.

- Czym wobec tego wytłumaczy pani fakt, że do tej pory posługiwała się pani dokumentami na fałszywe nazwisko?

- Wymusiły to na mnie względy bezpieczeństwa.

- Czego się pani obawiała?

- Bałam się o swoje życie - odparła bez zająknięcia.

Mecenas Perry uznał najwidoczniej, że swymi pytaniami może wkroczyć na niebezpieczny obszar, a tego wołał uniknąć, kilkakrotnie podczas całej rozprawy sam zapędził się w kozłi róg, zmienił więc temat.

- Dlaczego zamiast zwrócić się do pana Lovestone'a ze swoimi roszczeniami, rozdmuchała pani tę sprawę, angażując w nią wymiar sprawiedliwości?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - Charlton Craver poderwał się z krzesła. - Przedmiotem rozpatrywanej sprawy nie są roszczenia względem korporacji, lecz kwestia, czy wypłacić hospicjum w Hartford dziesięć milionów dolarów ze spadku po zmarłej Helen O'Donnell.

- Oddalony - odezwał się sędzia. - Proszę odpowiedzieć, panno Sand.

- Do pana Lovestone'a - odparła Jackie - zwrócił się mój pełnomocnik, lecz niestety spotkała nas kategoryczna odmowa, czego dowodem jest zaprezentowana w piątek kasetka magnetofonowa.

Przysięgli pokiwali tylko głowami. Oni bardzo dobrze zapamiętali to nagranie, jego echo towarzyszyło im przez cały weekend. Ich reakcja nie uszła uwadze Perry'ego.

- A jednak również w piątek - adwokat wciąż jeszcze próbował wykrzesać choć iskrę nadziei na ratunek dla swego klienta - pan Lovestone zeznał, iż gotów jest wypłacić spadkobiercy Helen O'Donnell należne pieniądze. Chyba wie pani o tym?

- Tak, słyszałam o tym, lecz w piątek pan Lovestone był zajęty w sądzie, a i ja miałam dużo pracy. Dziś jednak - Jackie popatrzyła triumfalnie

na Lovestone'a - nie omieszkałam wpaść do jego gabinetu i zażądać natychmiastowej spłaty wierzytelności.

Przez salę przeleciał stłumiony chichot. Także sędzia Cheeves chrząknął dyskretnie, co miało zamaskować uśmiech.

Nie było sensu ciągnąć dłużej tej farsy.

- Nie mam więcej pytań - rzekł mecenas Perry cichym głosem.

Ustalenie werdyktu zajęło przysięgłym dziesięć minut.

- Zobowiązuje się korporację New York Oil and Company - sędzia przewodniczący odczytał wyrok - do niezwłocznego utworzenia konta na nazwisko Jackie Sand i przekazania na nie dziesięciu milionów dolarów, stanowiących część spadku po Helen O'Donnell za lata tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt siedem do siedemdziesiąt dziewięć, a będących teraz przedmiotem sporu. Decyzja sądu pierwszej instancji w sprawie nieprzyznania hospicjum w Hartford wymienionej sumy pozostaje w mocy.

Sąd uznał, że tylko Jackie może decydować, czy i ile ofiarować hospicjum za opiekę nad umierającą ciotką.

- Udało się, Jackie! - Charlton Craver jako jedyny podszedł do Jackie, by jej pogratulować.

- To również twoja zasługa, przyjacielu - odparła dziewczyna.

Jak zwykle, z powodu natłoku dziennikarzy nie było szans na spokojną rozmowę. Ich interesowało tylko to, co zamierza Jackie.

- Nie teraz. - Dziewczyna z trudem przeciskała się przez napierających zewsząd przedstawicieli mediów, rozglądając się wokoło ponad ich głowami i wyrosłym nagle lasem mikrofonów. - Wkrótce zwołam konferencję prasową, wtedy udzielę państwu wszelkich możliwych odpowiedzi.

- Gdybym był uszczypliwy - zażartował Craver - powiedziałbym, że wypatrujesz Lovestone'a.

- Nie, zastanawiam się, gdzie może być Nick.

- Nie wrócił na salę po przerwie. W tej chwili może być wszędzie.

Prosto z gmachu sądu Jackie i jej adwokat pojechali taksówką do biura Clarka Davisa. Tam czekał na ich cześć mały bankieciak, na którym zebrali się wszyscy pracownicy agencji detektywistycznej. Nie mogło oczywiście zabraknąć Anthony'ego Bearsa, który uściskał serdecznie obydwójce przyjaciół.

- Wreszcie dopięłaś swego - powiedział uradowany.
- Tak - odparła z dziwnie zasępioną miną - lecz to dopiero początek.

Jackie nijak nie mogła odnaleźć w sobie tej iskry radości z dzisiejszego sukcesu, na którą tak czekała, a która nie przychodziła. Dziewczyna wiedziała, że wiele czasu musi jeszcze upłynąć, nim ostatecznie wypełni przysięgę złożoną nad grobem Helen O'Donnell. Wiedziała też, że gdy nadejdzie ten dzień, jej życie stanie się puste i matowe.

- No, nie smuć się, maleńka! - Clark porwał ją w objęcia, co natychmiast wywołało błysk zazdrości w oczach jego sekretarki Laury. - Przecież wygraliśmy. O jutro zdążysz się jeszcze pomartwić. A na razie zobacz, co tu mamy - to mówiąc, zatoczył ręką szeroki łuk, ogarniając pokój.

Cztery biurka zestawione razem tworzyły coś na kształt szwedzkiego stołu, trzeba przyznać, bardzo suto zastawionego stołu.

- Dziękuję, kochani - wyszeptwała Jackie i... rozplakała się.

Napięcie całego dnia dopiero teraz znalazło swe ujście.

Jednak zebrane w pokoju osoby nie pozwoliły jej utonąć we łzach.

Zaczęła się przednia zabawa.

Dziennikarze na próżno czekali przed budynkiem korporacji New York Oil. Ani Jackie Sand, ani Jerry Lovestone, nie pojawili się więcej tego dnia w biurze.

Lovestone wpadł do swojej rezydencji rozszalały z wściekłości. Cała służba kryła się gdzieś po kątach. Telewizja od rana donosiła na żywo o wydarzeniach w sądzie, wszyscy wiedzieli, co się święci, woleli więc zawczasu zejść szefowi z drogi.

Ale jego obchodziła teraz tylko Barbara.

Gdzie jest ta dziwka - myślał, zaglądając do wszystkich jej pokoi. Nie przyszło mu jednak do głowy zajrzeć do własnego gabinetu.

To tam była Barbara. Nie ukrywała się bynajmniej przed mężem. Nie bała się go. Chciała po prostu przejrzeć dokumenty dotyczące jej części firmy. Nawet nie podniosła głowy znad papierów, gdy Lovestone wykrzykiwał jej imię po korytarzach rezydencji. Widocznie Tucker musiał mu powiedzieć, że dzwonił tu i że to ona odebrała telefon.

Jakże się wtedy ucieszyła, gdy potwierdziły się jej domysły. Kto by przypuszczał, że to właśnie Jackie jest ową tajemniczą mścicielką?

Barbara drgnęła, gdy trzasnęły drzwi do pokoju Jerry'ego. Cierpisz? - pomyślała. - Obyś cierpiał jak najdłużej.

Po kilkunastu minutach drzwi trzasnęły ponownie. Jerry Lovestone wyszedł, a właściwie wybiegł z domu.

Tknięta jakimś przecuciem, Barbara odłożyła dokumenty na miejsce i weszła do pokoju męża.

Obraz zasłaniający sejf wisiał krzywo. Kobieta zdjęła go i wystukała szyfr. Może dziś jej się poszczęści?

Pieniądze, dokumenty i obie szkatułki były na swoim miejscu. Barbara sięgnęła po kasetkę z tajemniczą zawartością i, ku własnemu zdumieniu, otworzyła ją bez najmniejszego problemu. Udało się! Jerry wyszedł stąd w takim pośpiechu, że zapomniał ją zamknąć.

Barbara zajrzała do środka, prosto w martwe oczy Ewy i Johna Sandów. Ich gardła były rozciągnięte w groteskowym krwawym uśmiechu.

Szkatułka wypadła jej z rąk. Fotografie rozsypały się po podłodze.

Czerwony jaguar Lovestone'a zatrzymał się na tyłach niewielkiego budynku przy West 12th Street - Dwunastej Ulicy. Chociaż na zewnątrz budynek wydawał się raczej obskurny, w środku panował oszałamiający przepych. Właścicielkę budynku, sześćdziesięcioletnią Madame Fridę Mosley, stać było na ekstrawagancję, klienci przewijający się przez jej dom pozostawiali w nim horrendalne sumy pieniędzy, zawsze jednak mogli liczyć na dyskrecję i pełną satysfakcję z oferowanych tu usług.

Klienci byli różni - jedni przychodzili po to, by zdradzić żonę, inni by rozładować napięcie, a jeszcze inni po prostu szukali rozrywki i odmienności od szarości codziennego życia. Były kobiety i mężczyźni, lesbijki i geje, młodzi i starzy. Byli też i tacy, którzy szukali wyuzdanego seksu, takiego, jakiego nie spotyka się raczej w sypialniach zwykłych ludzi.

Dla każdego z nich Madame Mosley miała coś do zaoferowania.

To właśnie Madame Mosley wyszukiwała owe gorące dziewczyny, bogate i próżne, które Lovestone lub jego wpływowi znajomi zabierali potem na jego ranczo.

- Dzień dobry, Jerry - Madame Mosley powitała swego stałego klienta. - Nieźle cię przypiliło po tym procesie, co? - zażartowała. Mogła sobie na

to pozwolić; Lovestone nigdzie w Nowym Jorku nie znalazłby równie satysfakcjonujących kurew.

- Potrzebuję czegoś specjalnego, Frieda - odparł bynajmniej niezrażony uszczypliwym tonem właścicielki burdelu.

- Chcesz którąś z moich dziewczyn, czy wolisz świeży towar?

- Prawdę mówiąc, twoje panienki już mi się przejadły. Znajdź mi ze dwie nowe dupy, byle szybko.

- Klient, nasz pan - odparła. - Na twoje szczęście, mam tu dwie takie. Siedzą u mnie chyba ze dwa tygodnie. To jakieś nadziane nastolatki. Będą chętne na wszystko. Zapłaciły z góry i pieprzą się z każdym, komu je zaproponuję, uwielbiają to. A biorąc pod uwagę ich urodę, ręczę, że będziesz zadowolony.

Kobieta wyszła do holu, zadowolona, że pobierze opłatę i od Lovestone'a i od tych dwóch dziewczyn.

W holu poleciła Inez, jednej z pracujących tu prostytutek:

- Idź po blondynkę i tę drugą. Niech czekają w Błękitnym Pokoju.

Pokój ten został nazwany „błękitnym” chyba z przekory. Nic w nim nie było z błękitu. Gościło tam jedynie łóżko i cały zestaw pejczy, kajdanek i innych gadżetów nasuwających skojarzenia raczej z salą tortur lub ze statkiem galerniczym niż z pokojem kochanków. Inez bezzwłocznie wykonała polecenie.

- No, jak tam - zagadnęła dwie dziewczyny zajmujące duży wygodny pokój na piętrze - nie macie jeszcze dość?

Na stole leżały dwie działki heroiny. Pełno tu też było pustych butelek po wódce.

Mimo długotrwałego nadużywania alkoholu i narkotyków, obie nastolatki wciąż wyglądały kwitnąco.

- Czego chcesz? - zapytała nieuprzejmie ruda dziewczyna. - Mamy opłacone jeszcze dwa dni.

- Madame Mosley prosi panie do Błękitnego Pokoju. Trafił się klient.

- Błękitny Pokój? - ucieszyła się ta druga, blondynka o krótko przystrzyżonych włosach. - Lubię to miejsce. Co to za klient?

- Mężczyzna po pięćdziesiątce.

- Eeee... - jęknęła ruda. - Po pięćdziesiątce... i w dodatku tylko jeden...

- Jak nie chcesz, nie idź! - warknęła do niej blondynka. - Dla mnie może być.

- To dziwak - zachichotała Inez. - Będziecie miały okazję nieźle się na nim wyżyć. Ma facet do tego temperament.
- Świetnie! - Blondynka zażyła narkotyki. - No co, idziesz, Jane?
- Jasne. - Ruda również zażyła heroinę. - Jak szaleć, to szaleć.

Lovestone, drżąc z podniecenia, wchodził po schodach. Lubił Błękitny Pokój, zwłaszcza w takie dni jak dziś. Lubił też świeże dupy, w wynajdywaniu których Madame Mosley była mistrzynią. Dobrze, że nie brakowało bogatych suk, żądnych nietypowych rozrywek seksualnych.

Dzisiaj to ja dam wam wycisk - postanowił. - Za Jackie i Barbarę. Natychmiast też poczuł kolejny przyływ podniecenia.

Na moment przemknęło mu przez głowę, że jego córka również jest młoda, bogata i ponętna, szybko jednak odegnał tę myśl. Vanessa była przecież nieskazitelna pod każdym względem.

Lovestone rozebrał się w małej garderobie obok Błękitnego Pokoju. Ubrania dziewcząt już tu były.

Czekają na mnie - jego członek naprężył się do granic wytrzymałości.

Lovestone nago wszedł do pokoju.

Wewnątrz panował półmrok. Oczy, nienawykłe do ciemności, dostrzegły jedynie zarys łóżka. Świadomy obecności dziwki, Lovestone usiadł na nim.

I wtedy czyjeś dłonie objęły go od tyłu, a czyjeś usta zacisnęły się mocno na jego męskości, niemal ją połykając.

Mężczyzna poddał się tej pieszczocie, obserwując miarowe poruszenia głowy dziewczyny. Zatopił rękę w jej jasnych, krótkich włosach, by przyspieszyć nieco tempo.

- Podoba ci się? - zapytała ta z tyłu.
- Tak - bardziej wycharczał, niż wyszeptał.
- Chcesz, bym zakuła cię w kajdanki?
- Tak! - Lovestone zapomniał, że to on miał być dzisiaj oprawcą.

Blondynka nadal ssała jego członek, podczas, gdy jej koleżanka wstała po potrzebne rzeczy. Nie widząc jednak prawie nic w ciemności, sięgnęła do kontaktu. Rozbłysło światło.

I wtedy ją zobaczył.

Zdziwienie i obrzydzenie były zbyt silne, by Lovestone zdobył się na coś więcej niż jęk.

Sądząc, że to jęk spełnienia, Vanessa Lovestone podniosła na niego lubieżny wzrok i zamarła z przerażenia.

Mężczyzną, któremu robiła laskę, był jej rodzony ojciec!

Dziewczyna w oka mgnieniu zerwała się z klęczek i nago wybiegła z pokoju.

Lovestone był zbyt roztrzęsiony, by prowadzić samochód. Taksówką udał się do Dextera Tuckera.

- Znajdź Vanesę! - rozkazał zastępcy prokuratora okręgowego.
- Coś się stało? - zapytał Tucker, widząc wściekłość na twarzy biznesmena. - Masz taką minę...
- Po prostu ją znajdź.
- Nie mam pojęcia, gdzie może być twoja córka...
- Od dziś nie mam córki!

Z biura prokuratora Lovestone pojechał prosto do domu. Miał zamiar upić się do nieprzytomności.

Oto w jeden dzień otrzymał dwa druzgoczące ciosy - oba w samo serce. Ujawnienie się Jackie Sand mógł jeszcze jakoś odżalować. W końcu od czego ma się prawników? Można było spróbować unieważnić testament, a jeśli nie, to i tak pozostawała mu kontrola nad firmą.

Ale Vanessa...

Postanowił nie mówić Barbarze o tym, co zaszło. Brzydził się samego siebie za to, co uczynił, co uczyniła jego córka.

Jak ona mogła?! Nie chodziło już tylko o to, że trafił właśnie na nią. Dotarło do niego, że nie był to pierwszy raz Vanessy. Robiła laskę jak mistrzyni. Ona, taka czysta i niewinna, okazała się być najzwyczajszą kurwą.

Jerry Lovestone nie mógł przypuszczać, że ten poniedziałkowy koszmar jeszcze się nie skończył.

Słońce stało jeszcze wysoko, ale Nicholasowi Colemanowi nie przeszkadzało to w opróżnieniu połowy butelki ginu - tylko taki trunek miał akurat w mieszkaniu.

Gdy oszołomiony wydarzeniami w sądzie wrócił podczas przerwy na lunch do siebie, pierwszą rzeczą, jaką uczynił, był telefon do doktora Samuela Brackleya, szefa Prywatnej Kliniki Neurologicznej w Trenton.

- Chciałbym przeprosić za moje wczorajsze uniesienie - mówił do słuchawki. - Miał pan rację co do tych środków ostrożności. Proszę uprzedzić swój personel, że nikt poza mną nie ma prawa wstępu do mojej matki, zwłaszcza kobieta, z którą byłem u państwa wczoraj.

Gdy błogosławione działanie alkoholu przytępiło nieco jego gniew, Coleman wyciągnął się wygodnie na łóżku. Do diabła z tobą, Jackie Alexander, czy jak się tam nazywasz - pomyślał. - Okazałaś się obłudną suką, zupełnie jak Vanessa. - Znów pociągnął spory łyk ginu. - Obie jesteście sobie warte.

Wszystko dookoła wirowało w jakimś szaleńczym tempie. Coleman był już zupełnie pijany. Pusta butelka wysunęła mu się z dłoni.

Kochana Jackie - zdążył jeszcze pomyśleć - jutro zabiorę cię na plażę - po czym zasnął na dobre.

Lovestone dotarł do rezydencji i biorąc po drodze z salonu butelkę whisky, udał się do swego pokoju. Tam opadł bezsilnie na łóżko i wprost z butelki wychylił trzecią część jej zawartości.

Dopiero wtedy zauważył Barbarę. Siedziała na krześle w kącie pokoju. Jej twarz wyrażała bezgraniczny smutek. Mocno opuchnięte, zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że płakała.

- Co tu robisz? - zapytał. Miał dość własnych problemów. Żona mu przeszkadzała. Chciał, żeby wyszła.

- Chcę rozwodu, Jerry - odparła zadziwiająco mocnym i stanowczym głosem.

- Doprawdy? - zdobył się na uśmiech. - Już to kiedyś przerabialiśmy, nie pamiętasz? Znasz odpowiedź. Nic z tego. A jeśli to już wszystko, to wyjdź stąd, proszę.

Barbara wstała, lecz zamiast opuścić pokój, podeszła do obrazu Renoir-e'a, zdjęła go ze ściany i otworzyła sejf. Następnie ujęła w obie dłonie szkatułkę, której jej mąż nieopatrznie nie zamknął i jednym szybkim ruchem podniosła wieczko, obracając ją przy tym do góry dnem.

Przerazony Lovestone odruchowo zakrył ramieniem oczy, nie chcąc widzieć wypadającej zawartości. Jak Barbara zdołała otworzyć tę szkatułkę?!

Nie miał pojęcia, że przez rozartgnienie zapomniał przekręcić klucz.

Czekał teraz na szelest upadających na podłogę zdjęć, lecz nie takiego nie następowało. Zdziwiony podniósł powieki. Na podłodze nie leżały żadne fotografie.

Szkatułka była pusta.

Więc gdzie są zdjęcia?! - był zbyt zdruzgotany, by zadać to pytanie na głos.

- Chcę rozwodu - spokojnie powtórzyła Barbara i upuściła, teraz już celowo, szkatułkę na podłogę.

- Dostaniesz go - wychrypiał. Lecz czy wobec zaistniałej sytuacji mógł powiedzieć coś innego?

Barbara dostojnym krokiem wyszła z sypialni męża.

Stało się. Oto kobieta, którą całe życie gardził, miała nad nim przewagę. Lovestone nawet nie chciał myśleć, co by było, gdyby te zdjęcia trafiły na policję. Wiedział, że zrobi dla Barbary wszystko, aby do tego nie dopuścić.

Teraz za żadne skarby świata Barbara nie mogła dowiedzieć się o zdarzeniu przy West 12th Street. Mogłaby popełnić jakieś szaleństwo, wiedząc, że jej mąż, choć nieświadomie, podał kutasa do obciążenia własnej córce.

To było naprawdę udane przyjęcie - pomyślał Clark Davies, gasząc światło w biurze i siadając w swoim fotelu. W ciemnościach bałagan, jaki zrobili, nie wydawał się taki okropny.

Wszyscy już się rozeszli. Jackie pojechała do hotelu Holiday Inn, nie chcąc wracać do swego mieszkania. Słusznie podejrzewała, że oczekuje tam na nią stado paparazzich.

Bogu dzięki, że udało im się rozruszać tę dziewczynę. Nie do wiary, że tak jej zależało na tym dniu, a gdy nadszedł, przyniósł jej tylko smutek.

Szkoda, że nie chciała dzielić ze mną swoich trosk - pomyślał detektyw i zamknął oczy. Pogodził się już z tym, że Jackie odrzuciła jego zaloty. Wiodocześnie taki był jego los. Człowiek, któremu zwykły dentysta odbija żonę, nie zasługuje na niczyją miłość.

Clark już prawie zasnął, gdy nagle drzwi do jego gabinetu otworzyły się. Ktoś wszedł do pokoju. Detektyw popatrzył czujnie spod przymrużonych powiek, gotowy w każdej chwili do odparcia ataku przeciwnika.

To tylko Laura. Przyniosła koc.

Clark udawał, że śpi. Co ona tu jeszcze robi? - zastanawiał się.

Dziewczyna zapaliła małą lampkę na biurku i okryła go kocem. Clark z zadowoleniem poczuł przyjemne ciepło, jakie dawało okrycie. Czekał teraz, by sekretarka wyszła, miał zamiar zasnąć na dobre. Lecz zamiast tego poczuł coś jeszcze - dotyk jej dłoni na policzku, a po chwili delikatne muśnięcie ciepłych warg na jego ustach.

Zadrżał pod wpływem tego pocałunku. Jackie miała racje. Boże - pomyślał. - Jakim głupcem byłem do tej pory. Sięgałem po to, co niedostępne, a tymczasem tuż obok mnie był taki skarb!

- Lauro... - szepnął, otwierając oczy.

Dziewczyna odskoczyła zawstydzona, ale on zerwał się z fotela, porwał ją w ramiona i zasypał jej usta gradem pocałunków.

- Lauro - powtarzał co chwila, widząc na jej twarzy niewysłowione szczęście. - Moja kochana Lauro...

W sekundzie postanowił, że nie pozwoli jej odejść. Ani teraz, ani nigdy.

Tej nocy tylko tych dwoje ludzi było naprawdę szczęśliwych.

Rozdział XVI

- Jackie?! - sekretarka, Bernice Wood, z radosnym zdziwieniem zauważyła wychodzącą z windy szefową działu reklamy. - Co ty tu robisz?

- Jak to? - Jackie uśmiechnęła się do niej życzliwie. - Pracuję. Dlaczego się dziwisz? Dostałam wypowiedzenie, czy co?

- Nic o tym nie wiem - Bernice mocno uściskała swoją panią dyrektor. - Przyjmij moje gratulacje - powiedziała uradowana. - My tu wszyscy jesteśmy po twojej stronie. Nareszcie ktoś ukrócił poczynania tego łotra.

Również inni pracownicy działu reklamy, jak tylko dowiadywali się, że Jackie Sand przyszła do biura, schodzili się tłumnie, by tak jak Bernice, pogratulować dyrektorce odwagi i sukcesu.

- Dziękuję wam - wzruszyła się Jackie. - Bernice, zamów parę skrzynek szampana dla wszystkich.

- Na koszt firmy?

- Oczywiście.

Zadziwiające było to, że nikt w całej reklamie nie potępiał Jackie Sand. Czy robili to z chęci utrzymania swoich stanowisk pracy w obliczu prawdopodobnych zmian w zarządzie firmy i, co było nieuniknione, pewnych zawirowań kadrowych? Bynajmniej. Oni po prostu ją lubili. Zaczęła tu pracować pod koniec czerwca, teraz zaś była połowa września. Przez niespełna trzy miesiące zdążyła zaskarbić sobie ich sympatię i poważanie.

Ze swego gabinetu Jackie zadzwoniła do sekretarki Lovestone'a, Anny.

- Mówi Jackie Sand. Czy prezes jest u siebie?

- Nie, panno A... - ona również była zaskoczona. - Przepraszam, panno Sand, pan prezes jeszcze nie pojawił się w biurze. Pan Coleman też nie przyszedł.

- Poinformuj mnie, gdy zjawi się Jerry. Będę u siebie - poprosiła Jackie, w duchu zaś pomyślała: - Dziwne, czyżby Lovestone tak się przejął wczorajszym procesem, że wyrzekł się przyjścia do biura?

Jackie Sand nie mogła wiedzieć o innych niepomysłnych zajściach, które nawiedziły wczoraj jej wroga.

Nie odkładając słuchawki, wcisnęła przycisk interkomu.

- Bernice, zwołaj tutaj tych wszystkich dziennikarzy sprzed budynku. Urządzimy sobie małą konferencję prasową. Wczoraj im to obiecałam.

- Ale Jackie... - usłyszała pełen wahania głos sekretarki. - Kiedy wchodziłam rano do budynku, na własne uszy słyszałam, jak ochroniarze zabraniali im wejść. Podobno taki otrzymali rozkaz.

- Więc powiedz ochronie, że Jackie Sand, właścicielka piątej części korporacji, anuluje ów rozkaz.

Nicholasa Colemana obudził wcześniej rano potężny kac. Przed pójściem do biura wstąpił więc do baru na drinka, by złagodzić nieco dokuczliwy ból głowy.

Była za kwadrans dziesiąta, gdy wchodził do budynku firmy. Akurat w tym samym momencie Bernice osobiście tłumaczyła strażnikom, że muszą pozwolić wejść dziennikarzom do środka.

- Co ty wyprawiasz, Bernice? - spytał zdziwiony.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jackie Sand urządza konferencję prasową - odpowiedziała.

Coleman zostawił sekretarkę Jackie przed budynkiem i pojechał do siebie, na osiemdziesiąte piętro.

- Co słyhać? - zapytał Annę.

- Panie Coleman, dobrze, że pan przyszedł - ucieszyła się sekretarka Lovestone'a. - Mamy tu istny cyrk. Pan prezes jeszcze nie przyszedł. Telefony się urywają. Dzwoni prasa i klienci. Nie wiem, co mam im odpowiadać.

- Do czasu, aż przyjdzie Jerry, informuj wszystkich, że jeszcze nie zajęliśmy stanowiska - polecił dziewczynie i wszedł do swego gabinetu.

W zasadzie cała sprawa nic by go nie obchodziła, gdyby nie fakt, że pierwsze skrzypce grała jego ukochana Jackie.

Wziął do rąk jakieś dokumenty do przejrzenia, ale przerzucał tylko bezwiednie kartki, nie widząc liter. Przed oczami stanęła mu dziewczyna w

białej bluzce i dżinsowych spodniach, z twarzą umazaną końską krwią. Przypomnił sobie ich pierwszą noc, swą radość, że Jackie nie miała przed nim żadnego mężczyzny. Nadal słyszał jej słowa: kocham cię, Nick.

Nieprawda, Jackie - pomyślał, czując napływające do oczu łzy. - nie kochałaś mnie. Byłem tylko narzędziem w twoich rękach.

Miał w życiu tyle kobiet. Gardził nimi i wykorzystywał je. A gdy wreszcie znalazł tę jedyną, zdawałoby się, prawdziwą miłość, okazało się, że to jedna wielka pomyłka. Teraz on sam poczuł się wzgardzony i wykorzystany.

Jeśli Bóg zsyłał mu tę pokutę za grzechy, Nick gotów był ją przyjąć. Nigdy więcej jednak nie chciał mieć nic wspólnego z Jackie Sand.

Jerry Lovestone miał po przebudzeniu nie tylko kaca alkoholowego. Dręczył go również kac moralny. Wiedział, że nigdy nie zdoła wymazać z pamięci widoku swojej córki klęczącej między jego nogami.

Dochodziła jedenasta rano. Lovestone włączył telewizor, by choć trochę rozładować napięte nerwy. Nie miał zamiaru iść tego dnia do biura. Niech Coleman odeprze pierwsze uderzenie. Poza tym bał się spotkania z Jackie.

Nagle doznał czegoś na kształt porażenia prądem. Z ekranu nie kto inny, jak właśnie Jackie Sand wpatrywała się z uśmiechem w jego oczy. Spojrzenie to wydało mu się tak przenikliwe, że aż się cofnął. Uspokój się! - pomyślał. - Ona patrzy w kamerę, nie na ciebie.

Ze zdziwieniem zauważył, że Jackie nie siedzi w żadnym studio telewizyjnym, lecz w swoim własnym gabinecie. Odpowiadała na pytania dziennikarzy i dziś jej odpowiedzi były dużo bardziej szczegółowe niż wczoraj. Nie szczędziła przy tym słów skargi na temat firmy i samego Lovestone'a.

Co ta dziwka wyprawia, do diabła?! - przeraził się.

Chcąc nie chcąc, ubrał się szybko i pojechał do budynku firmy.

- Przykro mi, ale musimy już zakończyć tę konferencję - powiedziała do dziennikarzy Jackie, której już zaschło w gardle od udzielania odpowiedzi na ich niekończące się pytania.

Właśnie otrzymała telefon od sekretarki Lovestone'a.

- Pan prezes już przyszedł do biura i prosi panią - mówiła Anna. Czas na wielkie wejście - pomyślała Jackie.

Tak jak się spodziewała, w gabinecie Lovestone'a zebrali się dyrektorzy wszystkich istotnych działów firmy. Dumna świta otaczała swego pana i władcę. Gdy tam weszła, spotkała się z ich pełnym wyrzutem spojrzeniem.

Siedzieli po obu stronach długiego konferencyjnego stołu, u którego szczytu zajmował miejsce sam Wielki Prezes. Tylko Nick stał przy oknie, patrząc przez szybę na zewnątrz. Z pozoru wydawał się nie zauważyć, że weszła.

Jackie podeszła dumnie do przeciwległego końca stołu, oparła się rękami o blat i wyniośle popatrzyła po twarzach zebranych.

- Nie cieszycie się - uśmiechnęła się ironicznie - że wreszcie znalazł się ktoś, komu można przekazać niewygodny spadek?

Odpowiedziało jej milczenie.

Jackie zatrzymała wzrok na Lovestone'ie i powiedziała:

- Żądam moich pieniędzy, Jerry. - A gdy nie zareagował, dodała: - Rozliczysz się ze mną dobrowolnie, czy znów mam iść do sądu?

Lovestone nie chciał sądów. Już i tak zrobił błąd, dając się wmanipulować w poprzednie rozprawy. Kolejne przedstawienie przed wymiarem sprawiedliwości nic by nie dało. Wszystkie asy w tej grze należały do Jackie Sand.

- Nie podejrzewałem cię o zdolność do takiej intrygi - rzekł cicho.

- Powiedzmy, że były to moje ukryte zdolności, Jerry - odparła. - Ach, chcę też miejsce w radzie nadzorczej.

- Masz tupet - wtrąciła Charlotte Fielding.

- Siedź cicho - warknął do niej Lovestone, do Jackie zaś powiedział:

- Spłacę cię, pod warunkiem, że na zawsze znikniesz z mego życia.

- To raczej niemożliwe, zważywszy, że będziemy się widywać w naszej New York Oil.

- Pomyślę nad tym. A jeśli to już wszystko, to wyjdź stąd. Nie mogę na ciebie patrzeć.

- Nie wszystko, Jerry - Jackie zignorowała ironiczne uśmiešky siedzących wokół stołu osób. - Jeszcze stadnina. Zapomniałeś, że należała do mojej ciotki? Zgodnie z testamentem jest teraz moja. Daję ci czas do końca miesiąca. W przeciwnym wypadku znowu zwrócę się do sądu, co więcej, rozgrzebię sprawę morderstwa moich rodziców.

Słyszając to, Lovestone'owi serce podeszło do gardła. Czyż Jackie Sand nie współpracowała z Barbarą? Czyż Barbara nie zataiła przed nim telefonu od

Tuckera? Czyż Barbara nie zabrała mu fotografii z sejfu?

- Zgoda - powiedział z rezygnacją, a wszyscy dyrektorzy spojrzeli na niego zdziwieni, że poddawał się tak łatwo. - Do końca września dostaniesz wszystko, czego żądasz.

Miał trzy tygodnie.

Po południu Tucker przywiózł do rezydencji Lovestone'a jego córkę.

- Znaleźliśmy ją w melinie narkomanów, Jerry - powiedział prokurator głosem pozbawionym emocji. - Nie chciała iść dobrowolnie, więc użyliśmy kajdanek.

Ostatnie zdanie przywołało w pamięci Lovestone'a wyposażenie Błękitnego Pokoju. Nie mógł spojrzeć Vanessie w oczy. Ona za to rozglądała się wokół dzikim i nienawistnym spojrzeniem.

- Nie będę czynił ci wyrzutów - odezwał się do córki, gdy zostali sami - gdyż sam nie jestem bez winy. Powiedz mi tylko... czy często robiłaś podobne rzeczy?

- Tak często, jak się tylko dało. - Jej odpowiedź zapiekła go żywym ogniem. - Zawsze, gdy była okazja, a nawet jeszcze częściej.

Naprawdę wolałby tego nie usłyszeć. Czemu się nie tłumaczyła, nie płakała, nie przepraszała? Stała tylko przed nim, krnąbrna i bezwstydna.

- Twoja matka się załamie - rzekł cicho.

- Matka od dawna wie o wszystkim. Ty też się wreszcie dowiedziałeś, szkoda tylko, że w takich okolicznościach. - Jednak twarz Vanessy była wolna od choćby cienia żalu co do okoliczności zajścia z dnia poprzedniego.

Lovestone nie mógł uwierzyć w tę jawną bezczelność. Jej naprawdę nie było wstyd!

- Idź do siebie - powiedział grobowym głosem. - Nie masz prawa do następnej soboty wychodzić z pokoju. Przyślę ci lekarza. Przejdziesz detoks i...

- Tylko dwa tygodnie szlabanu? - dziewczyna parsknęła śmiechem i zamilkła nagle, gdy ojciec uderzył ją w twarz.

- W następną sobotę wychodzisz za mąż. Za Nicholasa Colemana, gdybyś nie pamiętała. Ja cię wydziedziczam. Od soboty nie będziesz już moim zmartwieniem.

- Ale ja już nie chcę wychodzić za mąż - jęknęła.

Teraz, gdy jej podwójne życie wyszło na jaw, jej plan związany z zamążpójściem jako przykrywką dla jej prostytutcko-narkomańskich wypadów, nie miał już sensu.

- Przecież go kochasz. - Lovestone uśmiechnął się szyderczo. - Gdy będziesz stateczną żoną i urodzisz mu dziecko, wpiszę cię z powrotem do testamentu.

- Nie mogę mieć dzieci, tato - popatrzyła na niego błagalnie. - Po drugiej skrobance mam uszkodzoną macicę.

Lovestone oniemiał. Boże przenaajświętszy! - pomyślał z rozpaczą. - A mnie było tak bardzo wstyd.

- Zejdź mi z oczu, diabelskie nasienie - rozkazał.

Vanessa wyszła.

Lovestone opadł ciężko na fotel i ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł uwierzyć, że tak go zawiodła.

Jego mała Vanessa... Jego jedyne, ukochane dziecko... Potwór splodzony gwałtem i nienawiścią.

Diagnoza psychiatrów doktora Brackleya była jednoznaczna: Vanessa cierpiała na silne zaburzenia psychiki na tle seksualnym. Wykluczono obecność chorób wenerycznych, stwierdzono za to początki uzależnienia od alkoholu i narkotyków.

- Byłoby dobrze, gdybyś zostawił ją u nas na jakiś czas - mówił doktor Brackley do Lovestone'a. - Ona nie powinna w tym stanie pozostawać bez stałej medycznej opieki.

- Wykluczone - odparł Lovestone. - Przepisz jej tylko jakieś psychotropy, a ja sam się nią zaopiekuję.

- Leki psychotropowe nie wystarczą, by wyleczyć ja z alkoholizmu i narkomanii. Tu potrzebna jest inna terapia.

- Więc zorganizuj to tak, żeby Vanessa nie opuszczała mego domu. W przyszłą sobotę ma się odbyć jej ślub. Do tego czasu chcę ją mieć na oku.

Barbara Lovestone nie była zdziwiona nagłą zmianą nastawienia męża do Vanesy. Widocznie dowiedział się o wybrykach ich córki. Nawet jej to było na rękę. Może on zdoła sprowadzić Vanesę na dobrą drogę?

Państwo Lovestone postanowili odłożyć sprawę rozwodu do czasu, aż wydadzą córkę za mąż.

W czwartkowe popołudnie dwójka przyjaciół odprowadziła Charltona Cravera na lotnisko La Guardia.

- Może jednak zostaniesz? - prosiła Jackie. - Przydasz mi się, kiedy już będę panią prezes.

- Ciężko mi was opuszczać - odparł ze wzruszeniem Craver - ale już połowa września. Wakacje się skończyły, a ja stęskniłem się za moimi dziećmi. Nikt nie nauczy ich historii lepiej ode mnie. Poza tym masz jeszcze Tony'ego.

- Bądź spokojny, Charlton - Anthony Bears poklepał go po ramieniu. - Zaopiekuję się naszą Jackie.

Przyjaciele wymienili pożegnalne uściski.

Jackie i Tony długo jeszcze stali na lotnisku, patrząc, jak samolot United Airlines wzbija się w powietrze, unosząc do Denver Charltona Cravera, teraz już nie adwokata, a nauczyciela historii.

- Chyba nie będziesz mógł dotrzymać danej przed chwilą obietnicy - odezwała się dziewczyna, gdy samolot zniknął im zupełnie z oczu.

- Jak to?

- Wkrótce lecisz do Nepalu. Załatwisz mi tam pewną sprawę...

Rankiem następnego dnia Jackie udała się do Hartford. Tam złożyła na ręce siostry Marii Clary czek wartości dziesięciu milionów dolarów. Tak jak zapowiedział prasie Craver, pieniądze pochodziły z konta, jakie firma New York Oil zgodnie z nakazem sądu utworzyła na nazwisko Jackie Sand.

Były to pierwsze pieniądze odzyskane od firmy - spadek po Helen O'Donnell.

Było późne popołudnie. Wiceprezes korporacji New York Oil, Nicholas Coleman, siedział w swoim biurze na osiemdziesiątym piętrze biurowca firmy. Przed chwilą otrzymał pierwszy raport z działalności nabytej półtora miesiąca temu teksańskiej spółki O'Brian Enterprise, zamienionej teraz w filię korporacji New York Oil.

Wyniki były szokujące. Coleman nie mógł uwierzyć własnym oczom, ale cyfry mówiły same za siebie. Korporacja dołożyła do tej filii pół miliarda dolarów, wymieniono przestarzałe technologie, skierowano tam najlepszych fachowców, a mimo to miesięczny raport wykazywał same straty.

Coleman zachodził w głowę, jak mogło do tego dojść. Niemożliwe przecież, by tylu specjalistów od wyszukiwania ciekawych firm do przejścia mogło się naraz tak pomylić. Sam widział akta O'Brian Enterprise, sam porównywał je z aktami Logan Industry. To właśnie Logan Industry była kompletnie nic niewarta. Dziwne - pomyślał. - Wygląda to zupełnie tak, jakbyśmy kupili firmę Logana, tyle że pod nazwą O'Brian Enterprise.

Ktoś zapukał do drzwi gabinetu.

- Proszę! - Coleman nawet nie podniósł głowy znad dokumentów, sądząc, że to sekretarka. - Czego chcesz, Anno?

- Witaj, Nick... - ten aksamitny głos z pewnością nie należał do sekretarki.

- Co tu robisz? - rzucił ostro, mierząc Jackie oskarżycielskim wzrokiem.

- Przyszłam się wytłumaczyć - powiedziała cicho.

Coleman poczuł, jak jego serce zaczyna bić żywiej, mimo to rozsądek wziął górę nad emocjami.

- Nie musisz mi się tłumaczyć, zresztą nie mam ochoty słuchać twoich kolejnych kłamstw - z każdym kolejnym słowem jego głos przybierał na sile.

- Ale Nick...

- Co mi powiesz tym razem? - Zerwał się z fotela. - Znów jakąś wysaną z palca historyjkę? Jak mogłaś tak mnie okłamywać?! Wierzyłem ci! Kochałem cię!

Odwrócił się do niej tyłem. Nie chciał, by widziała jego słabość.

- Odejdź, Jackie - poprosił już nieco łagodniej. - Tak będzie najlepiej. Między nami wszystko skończone.

Chociaż jego słowa paliły ją ogniem, nie mogła tak po prostu wyjść. Musiała przynajmniej spróbować.

- Chodziło mi tylko o Lovestone'a. Nie sądziłam, że tak to przyjmiesz. - Starła się mówić szybko, by nie zdążył jej przerwać. - Uznałam, że będzie lepiej, jeśli nie będziesz o niczym wiedział. Teraz widzę, że się myliłam. Tego dnia, gdy miałam zeznawać, chciałam ci powiedzieć... Szukałam cię, ale ty byłeś w sądzie, a obok ciebie ten łotr.

- A ja sądzę, że było inaczej. - Nick znów zwrócił się w jej stronę. - Myślę, że wybrałaś mnie sobie jako narzędzie, dzięki któremu mogłaś zaistnieć w świecie biznesu, a co najważniejsze, wśliznąć się w łaski Lovestone'a. To ja kazałem zarządcy rancza przyjąć cię do pracy! To ja uwierzyłem w twoje zdolności i obsadziłem cię na tak wysokim stanowisku w reklamie! To ja, jak idiota, broniłem przed Lovestonem twego nazwiska i przeszłości, nie przypuszczając nawet, że to jedna wielka bzdura!

- Myśl sobie, co chcesz! - teraz i Jackie podniosła głos. - Nie prosiłam cię o nic. Sam zaproponowałeś mi pracę w korporacji.

- Zrećnie mnie podeszłaś - uśmiechnął się z ironią. - Przez łóżko.

- Moje kłamstwa są usprawiedliwione - broniła się. - W inny sposób nie przekonałabym Lovestone'a. Ale jeśli Chcesz pozować na ofiarę, proszę bardzo, to twoja sprawa. Jednego tylko nie zniosę. - Jackie podeszła do niego blisko. Bardzo blisko. Czuł jej oddech na swojej twarzy. - Nie rób ze mnie dziwki. Kochałam cię i nadal Kocham, a jeśli tego nie widzisz, to jesteś albo ślepy, albo głupi, a może jedno i drugie!

Coleman wpatrywał się jak urzeczony w jej piękne wielkie oczy, walcząc z przemożną pokusą porwania tej dziewczyny w ramiona, ale urażona duma zwyciężyła.

- Nie próbuj na mnie więcej swoich sztuczek, Jackie Sand - odezwał się zaskoczony stanowczością własnego głosu. - Stałem się na nie odporny. Dla mnie przestałaś istnieć.

Jackie patrzyła na jego usta, jakby nie rozumiejąc tych okrutnych słów. Wiedziała, że musi wyjść, ale nie mogła uczynić kroku.

Och, gdyby można było cofnąć czas, cofnąć złe słowa i czyny, których nieopatrzenie się dopuściliśmy... Ale czas płynie nieubłaganie, a słowa zostały wypowiedziane. Nic już nie miało być jak dawniej.

Taka była jej cena za pomszczenie śmierci swoich rodziców - unieszczęśliwić Lovestone'a, przy okazji unieszczęśliwiając samą siebie.

Jackie powoli ruszyła do drzwi, wkładając w każdy krok ogromny wysiłek. Ostatni raz spojrzała przez ramię na Nicka, ale on znów stanął do niej tyłem. Jego pięści były mocno zaciśnięte. Gdyby mogła zobaczyć jego twarz, widziałaby, że jest mokra od łez.

Lecz Jackie Sand wyszła.

Coleman usłyszał cichy trzask zamykanych drzwi. Dopiero wtedy pozwolił sobie na drżenie ramion. Z jego piersi wyrwało się głośne łkanie. Spojrzał na drzwi gabinetu. Jakże pragnął, by wróciła, by dalej błagała go o przebaczenie, by patrzyła na niego tymi swoimi pięknymi błyszczącymi oczami, które nadal tak bardzo kochał...

I wtedy jego wzrok padł na biurko, na małą białą kopertę. Był pewien, że przed chwilą jej tam nie było. Jackie...?

Rozerwał zamknięcie i wyjął kartkę, właściwie krótki liścik: „Jeśli chcesz, wykorzystaj je.” - Tylko tyle - jedno zdanie napisane na maszynie. Potem wyjął fotografie...

Coleman natychmiast zapomniał o płaczu. Cholera - zagwizdał przeciągle - sam nie wiedziałem, że tak można. Miał przed oczami zdjęcie swego

pracodawcy i przyszłego teścia w jednej osobie, ujętego w czterech pikantnych pozach miłosnych, bynajmniej nie w towarzystwie własnej żony. Cztery fotografie, jak cztery asy w pokerze.

O nie, Jackie! - pomyślał ze złością. - Jestem może wredny, ale uczciwy. Nie będę posługiwał się metodami, których się brzydzę. Szantaż zostawiam tobie i Jerry'emu.

Podarł fotografie na strzępy, po czym podpałił je w popielnicze.

Rozdział XVII

W poniedziałek, akurat w tydzień po zakończeniu procesu, Jerry Lovestone wezwał do siebie głównego księgowego firmy, Normana Doversa.

- I jak, Norman, ile jesteśmy winni tej dziwce?

O dziwo, do tej pory nikomu nie przyszło do głowy zainteresować się, ile naprawdę wynosi dług wobec spadkobierców Helen O'Donnell. Nikomu, oprócz Doversa. Skrupulatny księgowy poświęcił na pobieżne wyliczenia cały miniony weekend.

- Zmartwię cię, Jerry. - Dovers położył na biurku szefa segregator. - Tu jest zestawienie dywidendy od akcji Helen O'Donnell za całe dwadzieścia lat.

- Nic nie szkodzi - odparł Lovestone lekkim tonem, jakby chodziło o uregulowanie rachunku telefonicznego. - Spłacę Jackie Sand wszystko, potem każę jej się stąd wynieść.

Wielki Prezes otworzył segregator. Gdyby stał, a nie siedział, suma, jaka widniała na pierwszej stronie, z pewnością zwałaby go z nóg.

- To niemożliwe - jęknął.

- To prawda, Jerry. Księgi nie kłamią. Ty korzystałeś ze swojej części zysków - tłumaczył Dovers - zaś procent od akcji Helen O'Donnell był stale inwestowany. Przez lata narosło tego trochę. Jeśli chcesz spłacić dług tej dziewczynie, musisz sprzedać połowę korporacji.

Lovestone myślał intensywnie. Po chwili jego wargi wykrzywił chytry uśmiech.

- Niekoniecznie, Norman. Od czego są banki?

- Sam nie wiem... - perspektywa zaciągnięcia miliardowego kredytu nie napawała księgowego zbyt dużą otuchą. - To kupa forsy.

Jednak Lovestone pozostawał optymistą.

- Jaki bank odmówi kredytu Jerry'emu Lovestone'owi?

- Jak to, w tę sobotę? - Coleman był zaskoczony, że Lovestone przyspieszył datę ślubu. - Przecież ustalaliśmy październik...

- Stwierdziłem, że w świetle ostatnich wydarzeń związanych z moją firmą, tak będzie lepiej - oznajmił Wielki Prezes. - Ostatecznie, co dla ciebie za różnica?

- Właściwie żadna - stwierdził Nick. Co miał do stracenia? Nie warto było zawracać sobie głowy Jackie Sand. - W porządku - odparł zrezygnowany. - Może być nawet jutro.

- W najbliższą sobotę - powtórzył Lovestone. Trzeba było przecież jako tako podleczyć pannę młodą.

- Jeszcze jedno, Jerry... - Nick uśmiechnął się smutno. - Już nie chcę dostać od ciebie Abigaile w prezencie ślubnym.

Na wspomnienie znienawidzonego konia, Lovestone tylko zacisnął zęby.

- Oddam ją do rzeźni - powiedział ze złością.

- Podaruj ją lepiej naszej Jackie - zaproponował Coleman. - Jedna pasuje do drugiej. Pokładasz w takiej nadzieje, a w rezultacie okazuje się, że wdepnąłeś w gówno.

- Masz zupełną rację, Nick. - Lovestone ożywił się. - Zawsze twierdziłem, że zajdziesz daleko. Oczywiście, że tak zrobię. Zwrócę tej suce całą cholerną stadninę, Tyle że z jednym koniem. Abigaile kosztowała mnie milion dolarów. Czy Jackie mogłaby spodziewać się lepszej ceny za dwanaście nędznych szkap jej ciotki?

Od niefortunnego niedzielnego wyścigu minęło osiem dni. Abigaile wystawiano jeszcze w siedmiu gonitwach. Każdą ukończyła jako ostatnia.

Pierwszym z dość długiej listy nowojorskich banków, do których udał się Lovestone szukając pieniędzy na spłatę Jackie Sand, był Imperial Bank. Niestety, wizyta ta nie przyniosła spodziewanych rezultatów.

- To zbyt duża suma - powiedział prezes Imperial Banku, Andrew Stevens. - My nie udzielamy takich kredytów.

- Więc daj mi chociaż trochę - błagał Lovestone. - Resztę wezmę gdzie indziej.

- Przykro mi, Jerry - prezes banku bezradnie rozłożył ręce. - Nawet gdybyś poprosił mnie o pięć dolarów, nie dam ci ich.

Jego upór był dla Lovestone'a nie do pojęcia.

- Nie muszę chyba dodawać - rzekł zdenerwowany - że ta odmowa spowoduje wycofanie kapitału mojej firmy z konta w Imperial Banku?

Chociaż Andrew Stevens pragnął pomóc przyjacielowi, miał związane ręce.

Kilka dni wcześniej jego biuro odwiedziła elegancka młoda kobieta w diamentowym naszyjniku. Miała ze sobą zdjęcia. Kompromitujące fotografie prezesa Imperial Banku, wykonane podczas jego wizyty na rancho Lovestone'a. Fotografie pełne wyuzdanego seksu.

- Jedyne, czego od pana żądam w zamian na niepublikowanie tych zdjęć - powiedziała z niewinnym uśmiechem tamta kobieta - to maleńka przysługa. Proszę nie udzielać Lovestone'owi ani New York Oil żadnych pożyczek.

Utrata najważniejszego klienta, jakim dla Imperial Bank była New York Oil, wydała się Stevensowi niczym, w porównaniu z wizją utraty żony i trojga dzieci, nie wspominając już o zaprzepaszczeniu kariery w bankowości.

- Mimo wszystko muszę ci odmówić, Jerry. - Prezes Imperial Banku spuścił wzrok.

Jerry Lovestone spotkał się z podobną reakcją u wszystkich przyjaciół - bankierów, których zawsze tak hucznie przyjmował w wiejskiej posiadłości. Nie mógł tego zrozumieć. Zwykle chętnie udzielali mu kredytów. Dranie! Nie tego się po nich spodziewał. Pozostało mu dwa tygodnie do wyznaczonego przez Jackie terminu spłaty i żadnej nadziei na pozyskanie z banku środków finansowych.

Co ja teraz zrobię? - pomyślał z rozpaczą.

Jak poprzedniego dnia poradził mu Coleman, Lovestone przekazał rancho Jackie Sand. Biznesmena dziwiła radość dziewczyny, mimo iż Abigaile stanowiła tam teraz jedyny inwentarz. Wszystkie pozostałe konie Lovestone'a, a także jego przyjaciół, zostały umieszczone w innych stadninach.

- Teraz pani jest tu szefową - pisnęła ni z tego, ni z owego służąca Patt, gdy Lovestone odjechał swym jaguarem.

Wszyscy pracownicy ranca, w tym także Anthony Bears, który zjawił się tu trzy dni wcześniej, zebrali się wokół nowej pani.

Jackie oderwała zamyślony wzrok od pasącej się spokojnie białej klaczy i popatrzyła na dziewczynę.

- Nic się nie zmieniło, Patt. Nadal jestem tą samą Jackie, z którą jeździłaś do dyskoteki.

- Tak się cieszę - służąca odetchnęła z ulgą. - Tylko widzisz... - zaczęła niepewnie - teraz, gdy został tu tylko jeden koń, w dodatku taki wyścigowy nieudacznik, martwimy się o miejsca pracy...

- Niepotrzebnie. - Jackie z uśmiechem powiodła spojrzeniem po pracownikach rancza. - Wszyscy zostajecie. Jeśli oczywiście nie macie nic przeciwko zmianie właściciela stadniny. Wkrótce zapełnimy boksy nowymi końmi.

- A co z Abigaile? - Zarządca rancza, Peter White, nie mógł powstrzymać się od tego pytania. - Okazała się przecież niewiele warta jako koń wyścigowy.

- Abigaile to wspaniała klacz - powiedziała Jackie. - W najbliższą niedzielę zamierzam wystawić ją do kolejnej gonitwy.

Obsługa stadniny popatrzyła po sobie ze zdziwieniem. Wystawiać takiego konia? Toż to idiotyzm! To prawda, że Lovestone był szurnięty, cieszyli się, że już nie jest ich szefem, ale czy przypadkiem nie trafili z deszczu pod rynnę?

- Zmienisz jej tylko imię, Peter - dodała nowa właścicielka rancza - a za pięć dni będziemy świętować jej zwycięstwo. Od dziś nie będzie to już Abigaile, lecz Revenge - Zemsta.

- Nie pomieszało się jej przypadkiem w głowie? - Peter White patrzył, jak szefowa znika we wnętrzu daczy.

- Synu - odpowiedział mu Anthony Bears - jeśli Jackie Sand mówi, że Revenge wygra, to znaczy, że tak się stanie. Na twoim miejscu oddałbym w zastaw ostatnią koszulę, byle tylko postawić na tego konia.

- Bardzo dobrze, pani Coleman - mówiła terapeutka Lana Hedrick, próbując tchnąć życie w bezwładne członki sparaliżowanej kobiety. Dziś pracowała nad mięśniami nóg. - Jeszcze raz powtórzmy to ćwiczenie i na dzisiaj to już koniec.

Była sobota. Pani Hedrick uznała, że świat się nie zawali, jeśli pominie poobiednią fizykoterapię. Obiecała matce, że pomoże jej posprzątać piwnicę. Zresztą było raczej mało prawdopodobne, że akurat dziś Nancy Coleman odzyska władzę w nogach.

Terapeutka zawołała sanitariusza i razem zdjęli panią Coleman z przyrządu służącego do rozciągania mięśni nóg.

Sanitariusz Mark Sullivan pracował w klinice od półtora miesiąca i bez problemu opanował swoje obowiązki, zwłaszcza te, które bezpośrednio dotyczyły Nancy Coleman.

- Zawieź ją do jej pokoju, Mark - poleciła sanitariuszowi pani Hedrick. - Nie wiem, jak ona - wskazała wzrokiem kobietę na wózku - ale ja mam już dość. Cieszę się, że to już ostatnia moja pacjentka na dziś.

- To nie będzie po obiedzie fizykoterapii? - zainteresował się Sullivan.

- Nie - uśmiechnęła się terapeutka. - Należy nam się chyba wolne popołudnie?

Sanitariusz mrugnął konspiracyjnie okiem i potoczył wózek w stronę bloku C. To, że zrezygnowano z fizykoterapii, tylko ułatwiało sprawę.

- Proszę się dobrze najeść, pani Coleman - szepnął do pacjentki. - Dziś może panią ominąć kolacja.

Inni pracownicy Prywatnej Kliniki Neurologicznej w Trenton doszli najwidoczniej do takiego samego wniosku, co pani Hedrick. Po obiedzie całą klinikę ogarnęło leniwe rozpasanie. Pielęgniarki plotkowały w dyżurce. Wartownicy grali w karty w portierni.

Nikt nie zauważył sanitariusza, jak pchając przed sobą wózek inwalidzki, na którym siedziała nieruchoma drobna postać, wyszedł tylnymi drzwiami i szybkim krokiem zmierzał w kierunku porośniętego gęstymi krzewami ogrodzenia parku.

Mark Sullivan powrócił do budynku zaledwie po czterech minutach. Sam. Bez wózka i bez Nancy Coleman.

Wybornie - stwierdził w myślach. - Nikt mnie nie widział. - Za tydzień stąd odejdzie. Wystarczy, by nie wzbudzać podejrzeń. Nareszcie będzie mógł zająć się czymś ciekawszym niż niańczenie psychicznie chorych pacjentów kliniki.

W rzeczywistości był to Mark Howard, pracujący jako detektyw w agencji Clarka Davisa.

Ślub Vanessy Lovestone i Nicholasa Colemana początkowo miał się odbyć w kościele świętego Tomasza przy Piątej Alei. Planowano zaprosić około tysiąca gości. Jednak w obliczu zaistniałych okoliczności Jerry Lovestone

uznał, iż lepiej nie nadawać temu wydarzeniu większego rozgłosu.

Tego sobotniego popołudnia w sali balowej rezydencji na Manhattanie zebrało się zaledwie kameralne grono najbliższych przyjaciół Lovestone'a, w sumie około pięćdziesięciu osób.

Wielebny William H. Pindar miał tutaj, na miejscu, połączyć dwoje młodych ludzi węzłem małżeńskim. Jerry Lovestone uniknął w ten sposób kłopotliwych spotkań z przedstawicielami mediów; od pewnego czasu wciąż unikał prasy, co z kolei nie przeszkadzało prasie w drukowaniu obszernych, agresywnych w stosunku do niego artykułów.

Nick nie czuł się tego dnia najlepiej. Głowa mu pękała z bólu, miał też wysoką gorączkę, jednak trzymał się dzielnie. Musiał się przecież poświęcić, nie było innego wyjścia. Dla ciebie, mamó - powtarzał sobie w myślach.

O dziwo, Vanessa Lovestone nie wydawała się ani trochę szczęśliwa z faktu, że jej obłudny plan wchodził w życie.

Czyżby jednak miała się rozmyślić? - Nick odganiał od siebie tę radosną, uporczywie powracającą myśl. Jego przyszła żona stała obok niego i trzeba było przyznać, że wyglądała cudownie w prześlicznej błękitnej sukni, pasującej kolorem do jej oczu. A jednak Vanessa sprawiała wrażenie, że czyni to pod przymusem. W ogóle była jakaś otepiała, jakby nieobecna.

Coleman nie mógł wiedzieć, że Vanessa od dwóch tygodni zażywa silne leki psychotropowe.

Niektórzy z zebranych gości dziwili się, że Lovestone, jako ojciec panny młodej, nie prowadzi córki do ołtarza.

- Przeszkadza ci, że to ołtarz prowizoryczny? - żartowali.

- To staromodny zwyczaj - tłumaczył się Lovestone, w rzeczywistości zaś nie chciał zbliżyć się do Vanessy choćby na krok.

Jak na ironię, Jackie Sand również otrzymała zaproszenie na tę uroczystość. Lovestone chciał w ten sposób pokazać jej, że nic sobie nie robi z jej ujawnienia się i spokojnie wydaje córkę za mąż. Nie przewidział tylko jednego - że dziewczyna ośmieli się przyjść.

Fakt, że Jackie uradowało owo zaproszenie, również zakrawał na ironię. Od kilku dni wiedziała z prasy o przygotowywanym ślubie Nicka, ślubie, który miał nie dojść do skutku. Czyż mogła wyobrazić sobie lepsze alibi na ten wieczór?

Siedziała teraz pośród zgromadzonych gości i słuchała, jak wielebny Pindar recytuje formułkę przysięgi małżeńskiej.

- Vanesso, czy pragniesz pojąć za męża tego oto mężczyznę, przysięgasz szanować go w zdrowiu i chorobie...

Cholera! - pomyślała Jackie, patrząc nerwowo na zegarek. - Czy w Trenton wszyscy poumierali?! Dlaczego nic się nie dzieje?

- Tak - głos panny młodej był tak cichy, że zebrani ledwie mogli go usłyszeć.

Teraz z kolei pastor zwrócił się do Nicka:

- Nicholasie, czy pragniesz...

I wtedy to się stało - pokojówka, porządnie wystraszona tym, że zakłóca taką ceremonię, weszła do Sali Balowej, niosąc na tacy słuchawkę telefonu. Oczy wszystkich zebranych zwróciły się w jej kierunku.

Jackie odetchnęła z ulgą.

Pokojówka ruszyła niepewnie w stronę młodej pary.

- Panie Coleman, telefon do pana.

- Co, do cholery?! - wrzasnął Lovestone. - Zwariowałaś? Przecież widzisz, że Coleman jest zajęty!

- Ale oni mówią, że to pilne - pokojówka przepaszająco popatrzyła na Nicka. - Dzwonią z Trenton. Chodzi o pańską matkę.

Nick zadrżał. Nie! Boże, tylko nie to! Ona nie mogła umrzeć! Nie mogła go zostawić!

Jak oszalały dopadł do słuchawki, pozostawiając pastora, Vanesę i całą tę ślubną maskaradę.

- Mówi Coleman. Co się stało mojej matce?! Czy ona... - słuchał przez chwilę, blednąc na twarzy. Po chwili powiedział: - Przyjadę najszybciej, jak się da.

- I co? - dopytywał się Lovestone, również nagle pobladły. - Co ci powiedzieli, na miłość boską? Co z Nancy?!

- Moja matka zniknęła - odparł Nick bliski obłędu. - Jestem zmuszony odwołać ślub.

Przed Prywatną Kliniką Neurologiczną w Trenton stało mnóstwo wozów policyjnych. Ściemniało się, gdy helikopter New York Oil wylądował na trawniku przed budynkiem. Ledwie płozy dotknęły ziemi, Nick Coleman już by na zewnątrz, a za nim wysiadł Jerry Lovestone, który także uparł się, by tu przylecieć.

- Pan jest synem Nancy Coleman? - zapytał mężczyzna w białym prochowcu.

- Zgadza się - odparł Nick.

- Jestem nadinspektor Duncan MacRae z filadelfijskiej policji. Czy wie pan, komu mogło zależeć na zniknięciu pańskiej matki?

- Sugeruje pan...

- Nancy Coleman została porwana. Znaleźliśmy jej wózek inwalidzki w krzakach za parkiem. Tuż obok biegnie wąska dróżka. To tam porywacze ukryli samochód.

- Ale jak to się mogło stać?

- Po porannej fizykoterapii zawieziono pańską matkę do jej pokoju. Pielęgniarka karmiła ją obiadem. Potem, około trzeciej po południu, ta sama pielęgniarka poszła sprawdzić, czy pani Coleman śpi. Zastała pusty pokój.

Nick był wstrząśnięty tą informacją. Nie, nie miał pojęcia, kto mógłby uczynić coś takiego. Nie, nie otrzymał jeszcze żadnego żądania okupu.

- Obstawiliśmy wszystkie drogi w promieniu pięćdziesięciu mil - poinformował go nadinspektor. - Nawet mysz się nie prześlizgnie, co dopiero sparaliżowana kobieta.

Szef kliniki, doktor Samuel Brackley, bezradnie rozłożył ręce.

- Jestem nie mniej zaskoczony niż pan - tłumaczył Colemanowi. - Przecież mamy tu system kontroli odwiedzających. Sprawdziliśmy, od pańskiej ostatniej wizyty nikt nie próbował wejść do pańskiej matki.

- Sama też nie mogła odejść - sarkastycznie zauważył Jerry.

Nick popatrzył na niego podejrzliwie.

- Nie chciałbym nic sugerować przy policji, ale jeśli okaże się, że miałeś coś wspólnego z tym porwaniem...

- Zwariowałaś?! - zachnął się Lovestone. - Może to ty tak spektakularnie porwałeś Nancy, żeby uniknąć tego ślubu. Po co miałbym ukrywać swój jedyny atut, jaki mógłby cię zmusić do małżeństwa z Vanessą? Dobrowolnie raczej nie zechcesz wziąć jej za żonę.

- Zadziwiająco, jak trafnie to ująłeś. Zgadza się. Ani teraz, ani nigdy. Dość tej szopki! Mam gdzieś ciebie i twoją rozpieszczoną córkę! Brzydzę się wami. A co do pana, doktorze Brackley, to pierwszą rzeczą, jaką uczynię, kiedy policja odnajdzie moją matkę, będzie znalezienie dla niej innej kliniki. Takiej, z której pacjenci nie znikają ot tak sobie. - To powiedziawszy, Coleman wyszedł z gabinetu doktora.

- Coś podobnego! - Brackley poczuł się dotknięty tymi słowami.
- Przejdzie mu - powiedział Lovestone. - Teraz jest rozżalony, ale to minie.

- A ty pozwolisz, by cię tak obrażał?

- Nie mam wyjścia, Samuele - Lovestone rozłożył ręce w geście rezygnacji. - Przyszłość mojej firmy stoi pod znakiem zapytania. Chociaż Coleman o tym nie wie, tylko on jeden jest w stanie uporać się z całym tym gównem. Wyrzucając go, podpisałbym na firmę wyrok śmierci.

- Nie przejmuj się tak - mówił Lovestone, gdy helikopter unosił ich z powrotem do Nowego Jorku. - Policja z pewnością odnajdzie Nancy. Jeśli ci to pomoże, zatrudnimy dodatkową ekipę. Tak - stwierdził sam do siebie z entuzjazmem - to dobry pomysł. Każę Tuckerowi jej szukać. On jest dobry. Najlepszy. - Coleman nie odpowiadał, więc Lovestone ciągnął dalej: - I nie wracamy już do Vanessy. Nie będę więcej namawiał cię na poślubienie jej.

Dopiero teraz Coleman zaszczylił swego szefa spojrzeniem, w którym pogarda przeplatała się ze zdziwieniem.

- Czego ty właściwie chcesz, Jerry?

- Jestem twoim przyjacielem, Nick - odparł tamten obłudnie. - Zawsze nim byłem. To, co robiłem, robiłem dla twego dobra. Ale nikt nie jest nieomylny. Masz prawo sam decydować o swoim życiu.

Może źle go oceniłem? - pomyślał Nick.

- Chyba nie żywisz do mnie żalu o ten ślub, co, Nick? - Nie do wiary, że Lovestone go o to pytał. - Mam nadzieję, że nie wpłynie to na nasze stosunki służbowe?

- Jeżeli ty nie zamierzasz mnie wyrzucić, to bądź pewien, że sam również tego nie uczynię. Lubię tę pracę i potrzebuje jej, zwłaszcza teraz, gdy zniknęła mama. - I odeszła Jackie, dodał w myślach.

Jego odpowiedź nie mogła być dla Lovestone'a bardziej satysfakcjonująca.

Nowojorskie lotnisko imienia Johna Kennedy'ego powoli tonęło w wieczornym mroku. Do planowanego na godzinę dziewiętnastą odlotu pasażerskiego samolotu linii Pan American pozostało dwadzieścia minut. Ostatni pasażerowie lecący do Delhi w pośpiechu zegnali odprowadzających ich przyjaciół.

Starszy siwowłosy mężczyzna popychał wózek inwalidzki w kierunku stanowiska odpraw. Na wózku siedziała nieruchomo elegancka kobieta po pięćdziesiątce.

- Państwo Smith? - urzędniczka sprawdziła listę pasażerów. - Port przeznaczenia: Katmandu, przesiadka w Delhi. Czy to aby nie za ciężka podróż dla pani, pani Smith? - zapytała z troską.

Kobieta na wózku wpatrywała się w urzędniczkę uważnym spojrzeniem.

- Moja żona cierpi na stwardnienie rozsiane - odpowiedział zamiast niej mężczyzna. - Ma przed sobą niewiele życia. Kiedyś była wyborową himalaistką. Razem zdobyliśmy sześć ośmiotysięczników, ale zaczęła się choroba... Alice chciałaby jeszcze raz ujrzeć Himalaje, zanim... - urwał wymownie.

- Rozumiem. - Urzędniczka była pełna współczucia dla tej starszej pary. - W porządku. Możecie państwo lecieć.

- Chodź, kochanie - powiedział pan Smith do żony. - Już wkrótce ujrzysz ukochane góry.

Wzruszające - urzędniczka długo patrzyła za oddalającą się parą. - Tyle czułości w tym wieku.

Nancy Ciernan w życiu nie widziała Himalajów. Nie była nawet w Azji.

Anthony Bears zresztą także.

Następnego dnia, po nieudanym ślubie Nicka i Vanessy, miała odbyć się gonitwa, w której udział brała także klacz Jackie, teraz jako Revenge.

W rewanżu za zaproszenie na ślub, Jackie jeszcze w piątek odwzajemniła się, zapraszając Lovestone'a wraz z małżonką na tę gonitwę. Nieoczekiwanie Lovestone prócz Barbary przyprowadził ze sobą Nicholasa Colemana.

- Nie powinieneś gnić sam w mieszkaniu - mówił rano, dzwoniąc do Nicka. - Nie przyspieszy to odnalezienia twojej matki. A widowisko, jakiego dostarczy nam dziś ta dziwka, Jackie Sand, pomoże nam obu rozładować nerwy.

Po chwili wahania Coleman zgodził się mu towarzyszyć. Nie z chęci ujżenia kolejnej porażki Abigaile. Pragnął po prostu zobaczyć Jackie.

Chociaż rozpaczliwie próbował wyrzucić tę dziewczynę ze swego serca, jakaś nieodparta siła wciąż pchała go ku niej.

Lovestone'a zdziwiła natomiast postawa jego własnej żony. Mimo iż na zajutrz Barbara miała złożyć pozew rozwodowy, uparła się towarzyszyć mu na wyścigach. Co więcej, miała też zamiar postawić na klacz Jackie dziesięć tysięcy dolarów.

- To nie moja sprawa, co robisz ze swoimi pieniędzmi - próbował wyperswadować jej ten pomysł. - Nie mogę jednak patrzeć, jak dosłownie wyrzucasz je w błoto.

- Twoje opinie przestały mnie interesować - Barbara krótko ucięła dyskusję.

Cała trójka szła teraz w kierunku Jackie, która, mimo zdenerwowania, uśmiechała się szeroko.

Falszywa jędrza - pomyślał Nick. - Mnie porwano matkę, a ona sobie urządza wyścigi. - Gdyby nie to, że była wczoraj obecna na ślubie, gdy doszło do porwania, byłby skłonny uwierzyć, że maczała w tym palce.

- Cieszę się, Jerry, że przyjąłeś zaproszenie. - Jackie przerwała kłopotliwe milczenie.

- Nie mogłem sobie odmówić takiej przyjemności - odparł z ironicznym uśmiechem. - Toż to rozkosz dla oczu widzieć, jak Abigaile przychodzi do mety jako ostatnia. Szkoda, że nie można obstawiać gonitwy od końca.

- Nie zapoznałeś się z programem wyścigów - stwierdziła dziewczyna. - Nie wystawiam Abigaile.

- Nie? - zdziwili się obaj mężczyźni. Tylko Barbara nie wydawała się zaskoczona ową rewelacją.

- Zmieniłam imię mojej klaczy. Teraz to już nie jest Abigaile, lecz Revenge.

Lovestone parsknął śmiechem

- Nazwałaś klacz Zemstą? I sądzisz, że to jej pomoże?

- Kto wie? - tajemniczo odparła dziewczyna.

Nie zamienili ze sobą więcej ani słowa. Do rozpoczęcia gonitwy zostało zaledwie kilka minut.

Zemsta - śmiał się w duchu Lovestone. - Nie mogła wybrać lepszego imienia. Myśli, że zemściła się na mnie. Na Jerry'm Lovestone'ie! Może sobie nazywać tę szkapę, jak tylko chce. Od kiedy to zmiana imienia ma jakikolwiek wpływ na wynik gonitwy? O nie, Jackie Sand, to raczej moja zemsta na tobie! Wcisnąłem ci nic niewartego konia w zamian za dwanaście pięknych arabów twojej ciotki.

W rzeczywistości to konie Helen O'Donnell, nazywane w sądzie przez Grahama Perry'ego nędznymi szkapami, dały początek stadninie Lovestone'a. Biznesmen sądził naiwnie, że Jackie o tym nie wie.

Tak jak równo dwa tygodnie temu, tak i dziś Revenge wystartowała do biegu, z tą tylko różnicą, że dziś prawie nikt na nią nie stawiał. Bo któż mógłby liczyć, że koń, który zawsze przegrywał, nagle odniesie sukces.

Liczyła na to Barbara. I Jackie.

Zaraz po starcie Revenge zostawiła wszystkie konie daleko w tyle. Nie było w tym nic dziwnego. Była najlepsza. A skoro imię Abigaile nie padało z głośników, nic już nie stało na przeszkodzie jej zwycięstwu.

Revenge wygrała.

Twarze widzów na trybunach pełne były zdziwienia.

Na twarzy Lovestone'a malowała się wściekłość.

- Jak to zrobiłaś, Jackie Sand? - Z całych sił powstrzymywał się, by nie krzyczeć. - Co zrobiłaś memu koniowi?

- Teraz to jest mój koń, Jerry - Jackie uśmiechnęła się niewinnie. - Może właśnie tu tkwił problem?

- Co masz na myśli?

- Wystarczyło zmienić właściciela. Abigaile nie chciała wygrywać dla takiego łotra, jak ty.

Po gonitwie obaj mężczyźni opuścili trybuny. Nick niespodziewanie poczuł się rozluźniony tym zdarzeniem. Fantastycznie było popatrzeć, jak Jackie upokarza Lovestone'a. Barbara skorzystała z zaproszenia Jackie na lunch.

- Teraz chyba możesz mi wyjawić - poprosiła, gdy znalazły się w chłodnym wnętrzu restauracji - jak sprawiłaś, że Abigaile, to znaczy Revenge, dziś wygrała.

- Nie było to szczególnie trudne - odpowiedziała Jackie. - To mądry koń. Parę godzin tresury i gotowe. Na dźwięk słowa Abigaile ta klacz zwyczajnie wyhamowuje swój bieg. A przecież podczas gonitwy sprawozdawca zawsze wykrzykuje imię prowadzącego konia.

- Niesamowite - szepnęła Barbara. - Więc jednak twój złośliwy chchlik tkwił w imieniu.

Kelner przyniósł im zamówione dania. Gdy skończyły jeść, Jackie zapytała z wahaniem:

- Powiedz mi, Barbaro, czy udało ci się trafić na jakieś dokumenty w rzeczach Jerry'ego, wskazujące na jego udział w zamordowaniu moich rodziców?

- Niestety - skłamała.

Nie mogła powiedzieć Jackie o fotografiach, ani tym bardziej pokazać jej ich. Dla Jackie byłby to szok.

Barbara zniszczyła zdjęcia, zanim ktokolwiek odkryłby prawdę. Czuli, że postępuje słusznie. Nie mogła pójść z nimi na policję. Nie mogła pozwolić, aby na jej córce ciążyło piętno ojca - mordercy. Jerry i tak zostanie ukarany. Ręką Jackie Sand.

- Niemniej w dalszym ciągu jestem gotowa ci pomagać - dodała.

- O tak - odparła Jackie. - Poproszę cię o pomoc szybciej, niż ci się zdaje.

Rozdział XVIII

Jak w każdy poniedziałek, tak i tego dnia Jerry Lovestone spóźnił się do pracy. Tym razem nie było to spowodowane wizytą u Madame Mosley; od czasu, gdy spotkał tam własną córkę, stał się impotentem.

Dziś Jerry Lovestone zwyczajnie zasnął.

Wysiadł z windy pełen energii i planów na nadchodzący tydzień, tydzień, jaki pozostał mu na spłatę długu.

Skoro banki nie chciały mu udzielać kredytów - proszę bardzo - niech sobie duszą pieniądze w swych sejfach. On już znalazł rozwiązanie. Przez jakiś czas nie będzie płacił zobowiązań wobec dostawców materiałów i usług. Oni mogą poczekać. I tak żerowali na jego firmie wiele lat. Ta długoletnia współpraca mogła nareszcie przynieść jakąś korzyść. Tak! Sam sobie przedłużył termin spłaty należności! To było jakieś wyjście.

Lovestone wszedł do swego gabinetu, spojrzął na biurko i zamarł z przerażenia. Cała energia wyparowała z niego w ułamku sekundy. Na blacie biurka leżały depesze. Mnóstwo depesz od współpracujących firm, z których każda żądała natychmiastowej zapłaty za przekazane w kredycie kupieckim towary. Kilka było też i takich, w których dostawcy i odbiorcy wypowiadali zawarte kontrakty.

To jakiś żart - pomyślał Lovestone.

Jakby tego było mało, na drugi dzień, tuż przed lunchem, sekretarka zapowiedziała gościa. Niesłychane, Hrabia Jose Eduardo Alcala zaszczycił Lovestone'a swą wizytą.

- Cóż to dla mnie za zaszczyt, panie hrabio - Lovestone'owi trzęsła się ręka, gdy podawał ją Alcali na powitanie.

- Przyjechałem osobiście - odparł tamten stojąc, chociaż gospodarz zaproponował mu wygodną kanapę - by uniknąć wszelkich nieporozumień. Pragnę powiadomić pana, Lovestone, że Alcala Motors odstępuję od

wszelkich umów z pańską firmą. Uznaliśmy, że dalsza współpraca z panem nie będzie dobrze odbierana na światowym rynku samochodowym.

Lovestone zrozumiał, że wypadł z łask.

Inni kontrahenci nie byli tak uprzejmi jak Alcalá. Przez tydzień posypała się istna lawina zerwanych kontraktów, czasem w formie faksu, czasem telefonicznie. Niektórzy ignoranci po prostu zostawiali wiadomość sekretarce Lovestone'a.

Mało kto chciał mieć cokolwiek wspólnego z New York Oil.

Lotry! - przeklinał wszystkich kontrahentów Lovestone. - Są jak szczury uciekające z tonącego okrętu. Ale mój okręt jeszcze nie zatonął, o nie! Jeszcze będę świecił zwycięstwo!

W ostatni piątek września w gabinecie Lovestone'a zjawiała się Jackie Sand. Dziewczyna nadal piastowała stanowisko szefa reklamy New York Oil. Nikt nie ośmielił się jej wyrzucić.

Lovestone jak zwykle siedział w końcu długiego konferencyjnego stołu, otoczony nieodłączną świtą dyrektorów, lecz nie miał w sobie ani odrobiny tej pewności siebie, którą Jackie widziała u niego przed trzema tygodniami. Dziś się bał. Więcej nawet, był przerażony.

- Wierzę, że masz dla mnie pieniądze - odezwała się, mierząc go chłodnym spojrzeniem. - Wiem, że przez te lata zebrała się spora sumka.

Lovestone milczał.

- No jak? - nalegała. - Wyplacisz mi mój spadek, czy znów chcesz się szarpać po sądach?

- Dostaniesz to, o co prosisz - powiedział wreszcie Wielki Prezes - tyle że w innej formie.

- Ale ja chcę gotówki - nie ustępowała, chociaż wiedziała, że Lovestone nie wykombinuje ani centa. Pozostał sam. Całkiem sam.

- Proponuję ci połowę mojej firmy. - Lovestone sam był zdziwiony, że wypowiedzenie tego zdania przyszło mu z taką łatwością.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni.

- Zwariowałeś?! - krzyknęło jednocześnie kilka osób, a potem każdy zaczął mówić przez drugiego:

- Co ci przyszło do głowy?

- Tak nie można!

- To niewiarygodne!

- To szaleństwo!

Ale Wielki Prezes podjął już decyzję. Uciszył ich wszystkich podniesieniem ręki. Gdy zamilkli, powiedział z ciężkim sercem:

- Tak postanowiłem. Podział firmy i jasna sytuacja co do własności nad nią uspokoi inwestorów i ośmieli dostawców. Dalsza zimna wojna szkodzi firmie w sposób niewyobrażalny. Muszę ratować to, co jeszcze pozostało. Czy tobie to odpowiada, Jackie Sand?

- Proponujesz mi pół firmy, niczym dobrotliwy król połowę królestwa. Pomyślmy, co na tym zyskasz?

- Zaoszczędzę sobie patrzenia na ciebie - pomógł jej Lovestone. - W przeciwnym wypadku musiałbym znosić twoją obecność na każdym kroku, a tego nie ścierpię. Jest jeszcze coś - dodał. - Wiem, że jesteś w zмовie z tą podłą suką, moją żoną. Mogłoby jej przyjść do głowy głosować za twoją kandydaturą na moje miejsce. Przy waszych udziałach, dających razem sześćdziesiąt procent akcji, byłbym bez szans. Tego także wolałbym uniknąć.

Gdy skończył, znów zapadła cisza. Zebrani dyrektorzy w milczeniu trawili słowa szefa. Oto ważył się ich los. Poczuli się jak pionki przestawiane na szachownicy. Pozostawało pytanie: kto będzie grał białymi, a kto czarnymi figurami? Lovestone, czy Jackie Sand?

- Dziękuję za szczerość - uśmiechnęła się dziewczyna. - Lepiej bym tego nie ujęła. Wiesz co, Jerry? Ja też będę z tobą szczerą ten jeden, jedyny raz. Masz rację. Rzeczywiście miałam zamiar sięgnąć po twój stołek. Rzeczywiście Barbara chętnie by mi w tym pomogła. Ale ułatwiłeś mi sprawę. Zaoszczędzę sobie brudzenia rąk. Też jestem szczęśliwa, że nie będę musiała cię oglądać. Po tym, co uczyniłeś mojej rodzinie, twój widok to dla mnie tortura.

- Czy to oznacza, że przyjmujesz moją ofertę? - zapytał z nadzieją.

- Tak - odparła. - I ufam, że podział firmy nastąpi szybko i sprawiedliwie.

- To ci mogę obiecać - zapewnił skwapliwie.

Tak jakby twoje obietnice były cokolwiek warte - pomyślała, opuszczając jego gabinet. Ale nie martwiło to Jackie. Zdążyła już poznać tok myślenia Lovestone'a. Miała nadzieję, że i tym razem trafnie przewidziała jego zamiary.

Tyle że Lovestone nie doceniał zdolności swojej przeciwniczki.

Gdy tylko za Jackie Sand zamknęły się drzwi, w gabinecie Lovestone'a zawrzało. Każdy podniesionym głosem wyrażał swoją opinię na temat decyzji szefa, opinię zgoła odmienną od jego zdania.

- Wiem, co robię - uspokajał ich Lovestone.

Wielki Prezes byłby nawet rad z efektów dopiero co przeprowadzonej rozmowy, gdyby nie fakt, że miało go to kosztować aż pół firmy. Ale lepsze to, niż utrata dotychczasowego stanowiska. A o spędzeniu reszty życia w więzieniu nawet nie chciał myśleć.

Wprost nie mógł sobie wyobrazić, że byłby podwładnym Jackie Sand. Rzucając jej na przynętę część firmy, zyskiwał przynajmniej jakąś pozycję, mierną, ale nie ostatnią.

- Jak ty sobie w ogóle wyobrażasz taki podział?! - krzyczał do niego główny księgowy. - I co się wtedy stanie z nami?!

- O to nie musicie się martwić. Dalej będziecie pełnić swoje funkcje w mojej części firmy - rzekł wspaniałomyślnie.

Nagle kilka osób zdało sobie sprawę, że wcale nie są pewni, czy akurat tego chcą.

- A podział? - Lovestone wybuchnął gromkim śmiechem. - Damy tej dziwce to, na co zasługuje - wszystkie filie, które właśnie straciły dostawców bądź rynek zbytu. Ona jeszcze o tym nie wie, miesięczne raporty zostaną sporządzone dopiero w listopadzie. Poza tym są jeszcze filie zadłużone, filie podupadłe, filie nierentowne! Jest w czym wybierać.

Lovestone był niesamowity. I miał łeb na karku. Ci, którzy jeszcze przed chwilą w niego wąpili, teraz gotowi byli oddać pod zastaw własne domy, byle pomóc mu w tym niegodziwym planie.

Colemanowi było właściwie wszystko jedno, co się stanie z firmą. Jego matki nadal nie odnaleziono, chociaż od chwili porwania minęło już kilka dni. W dodatku szanse malały z każdym kolejnym dniem.

Nie zależało mu na tym, czy zachowa swoje miejsce pracy. Teraz nie miał już po co pracować. O co kiedyś pytała go Jackie? Ach tak! Czy chciałby wyjechać gdzieś w nieznaną, odnaleźć swój własny raj. I co jej wtedy odpowiedział? Że nie ma takiego miejsca. Dziś wiedział, jak bardzo się mylił. Raj był zawsze na wyciągnięcie ręki - tam, gdzie jego matka.

Lecz teraz matki zabrakło i Nick przeklinał wszystkich, którzy się do tego przyczynili. Zrozpaczonemu synowi nawet do głowy nie przyszło, że ktoś mógłby wykonać ten desperacki czyn dla dobra Nancy.

Jedyne, co powstrzymywało Nicka przed załamaniem, to całotygodniowy nawał pracy w firmie. Każdego ranka Coleman zrywał się wcześniej rano z łóżka i pędził do biura, gdzie spędzał czas do późnych godzin nocnych. Wtedy

wracał do swego mieszkania i padał zmęczony na łóżko, prawie natychmiast zapadając w niespokojny, pełen koszmarów sen.

Taki napięty tryb życia nie wpływał dodatnio na jego stosunki z podwładnymi. Po tygodniu Coleman zyskał sobie miano większego tyrana niż Lovestone.

Także i tego dnia, w którym Jackie zgodziła się przystać na propozycję Lovestone'a, Nick wyszedł z biura jako ostatni.

Był piątkowy wieczór, początek weekendu, lecz cóż to oznaczało dla Colemana? Dwa dni spędzone w samotności. Dwa dni udręki.

W sobotę po południu zadzwonił nadinspektor Duncan MacRae z pytaniem, czy porywacze dali jakiś znak, a gdy padła przecząca odpowiedź, policjant dodał:

- Robimy wszystko, co w naszej mocy, panie Coleman. Proszę się tak nie przejmować. Odnajdziemy pańską matkę.

- Łatwo panu mówić - westchnął Nick.

- Dlaczego nie pójdzie pan gdzieś, nie rozerwie się - poradził MacRae, słysząc ogromny smutek w głosie swego rozmówcy. - Pańska zgryzota z pewnością nikomu nie pomoże. Proszę przynajmniej spróbować - powiedział jeszcze i rozłączył się.

Rozerwać się? Właściwie... dlaczego by nie?

Nick wziął prysznic, ogolił się i wyruszył na miasto. Zaraz jednak jego przygnębienie tylko się nasiliło. Dookoła było pełno ludzi. Uśmiechnięte twarze przechodniów były czymś nienormalnym w obliczu nieszczęścia, jakie dotknęło Nicka. Z czego się tak cieszyacie? - rozżościł się. A oni, nic sobie z tej złości nie robiąc, przechodzili obok rażnym krokiem, oglądali wystawy, robili zakupy, rozmawiali, trzymali się za ręce. Byli szczęśliwi.

Nick nie spieszył się, no bo i dokąd? Nie miał celu. Czuł się nieszczęśliwy i samotny.

W ponurym nastroju wszedł do pierwszego napotkanego pubu.

- Czego się pan napije? - zapytał barman.

- Wódki z lodem.

Jackie lubiła wódkę. Byle by była mocna i zimna - mawiała.

Zastanawiał się, co ona teraz robi. Czy szykuje kolejnego kopniaka dla Lovestone'a? Było jasne, że poprzednie przegrane gonitwy Abigaile to jej sprawka. Co będzie następne? Bankructwo korporacji? A może trzecia wojna światowa?

Wychylił kolejnego drinka. Alkohol rozchodził się po organizmie przyjemnym ciepłem. Nagle wszystkie problemy zaczęły blednąć, odpływać w dal. W miarę, jak znikwały kolejne kieliszki, świat Colemana zaczął przybierać żywsze barwy. Porwanie matki nie wydawało mu się już takie straszne, czyż nadinspektor Duncan Mac Rae nie obiecał, że ją znajdzie?

Natomiast wina Jackie za zatajenie przed nim prawdy spadła prawie do zera. Może i dziewczyna miała rację, postępując w ten sposób z Lovestonem? Nie! - pomyślał oburzony. - Zdecydowanie powinna była mi powiedzieć, kim naprawdę jest.

Nick był już mocno wstawiony, gdy jego uwagę zwróciła siedząca nieopodal dziewczyna o długich kasztanowych włosach. Musiała przypatrywać mu się od dłuższego czasu, bo podchwyciwszy jego spojrzenie, uśmiechnęła się wesoło.

- Mam coś na twarzy? - właściwie wybelkotał, niż zapytał.
- Dlaczego? - odpowiedziała pytaniem.
- Bo tak patrzysz...
- Patrzę, jak usiłujesz utopić w wódce swój smutek. - Podeszła do niego. - Jestem Brenda.
- A ja Nick. Masz ochotę na coś do picia? - zaproponował.
- Nie piję - odparła. - I ty też masz już wyraźnie dość.
- Mój smutek chyba jeszcze nie dość utonął. - Nick wychylił kolejną wódkę.

- Gdy mam chandrę, idę potańczyć. - Brenda ujęła go pod rękę.

Podobał jej się. Taki przystojny, dobrze ubrany i na pewno bogaty. A z nią właśnie zerwał chłopak i również czuła się nieszczęśliwa. Lecz czy można wyobrazić sobie lepsze miejsce, by zapomnieć o ukochanym, niż ramiona innego mężczyzny?

- Jest tu niedaleko mała knajpka. - Pociągnęła go do wyjścia. - Tak przyjemnie tam grają do tańca...

Gdy objęci wyszli na ulicę, Nick zauważył jeszcze, że zupełnie się ściemniło. Po chwili przestał zauważać cokolwiek. Wypity alkohol wziął w końcu górę nad umysłem.

Nazajutrz rano Nick obudził się we własnym łóżku z silnym bólem głowy. Nie pamiętał prawie nic z poprzedniego wieczora, zaledwie krótkie migawki wspomnień przelatywały mu przed oczami. Dziewczęcy śmiech, wirująca sala... Tańczył chyba, lecz nie miał pojęcia gdzie, ani z kim.

Nagle poczuł miękki dotyk na swojej twarzy. Otworzył oczy. Długie kasztanowe włosy były rozrzucone po poduszce.

Jackie!

Fala radości ogarnęła serce Nicka. Przytulił mocno leżące tyłem do niego nagie ciało dziewczyny. Kochana Jackie! Jakże przyjemnie było znów poczuć jej ciepło. Uświadomił sobie, jak bardzo się za nią stęsknił.

- Najdroższa - wyszeptał czule.

Dziewczyna mruknęła coś rozespana i zwróciła się do niego twarzą. Szok, jakiego doznał, eksplodował pod czaszką tysiącem bolesnych ukłuć.

- Kim jesteś?! - wrzasnął, zerwawszy się z posłania. - I co tu robisz, do diabła?!

- Kochany, nie pamiętasz? - Brenda rozbudziła się na dobre i również wstała, wystraszona jego gwałtowną reakcją. - Byliśmy wczoraj na dancingu - tłumaczyła. Tańczyliśmy. Prosiłam cię, żebyś tyle nie pił - dodała z wyrzutem.

- Ja... Nie pamiętam. - Załamany Nick sięgnął do spodni i wyjąwszy portfel odliczył pięć studolarowych banknotów.

- Zaszło nieporozumienie. - Rzucił pieniądze na łóżko. - Ubierz się i wyjdź.

Brenda patrzyła na to z niedowierzaniem.

- Nie jestem prostytutką! - powiedziała oburzona.

Po chwili już jej tam nie było. Nick usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Wpatrywał się otępiąłym wzrokiem w leżące na łóżku studolarówki.

Co ja najlepszego zrobiłem? - pomyślał z rozpaczą. - Zdradziłem Jackie.

Jak postanowił Lovestone, rozpoczęła się gorączkowa selekcja tych filii korporacji, których przyszłość rysowała się niezbyt jasno na tle wymówionych kontraktów. Do tego celu powołano specjalną komórkę, na której czele stanął sam Wielki Prezes.

Jak na ironię, na to właśnie liczyła Jackie. Gdyby szefem tej komórki został Nick, jej komputerowe machlojki szybko by się wydały. Lovestone'a jednak nie musiała się obawiać. Nienawiść do niej zaślepiła jego zdrowy rozsądek.

Lovestone nalegał, by ukończyć zestawienie źle rokujących filii jak najszybciej. Obawiał się, że Jackie znudzi się czekaniem i pójdzie do sądu.

Strach było pomyśleć, czym by się to skończyło dla korporacji, skoro drobny proces o wypłatę dziesięciu milionów dolarów dla hospicjum wywołał tyle szkód. Wypowiadane umowy, banki żądające natychmiastowej spłaty kredytów i żadnej nadziei na nowe pożyczki - oto, czego dokonała Jackie Sand wraz ze swoim psem, Craverem. Im prędzej się jej pozbędę - myślał Lovestone - tym lepiej.

W połowie tygodnia zestawienie było gotowe, a jego wynik zaskoczył nawet samego Lovestone'a. Wielki Prezes nie spodziewał się, że w tak krótkim czasie notowania jego korporacji spadną do tego stopnia. Okazało się bowiem, że zaledwie około trzydziestu procent wszystkich przedsiębiorstw wchodzących w skład firmy prosperowało bez zakłóceń, podczas gdy niestety pozostałe siedemdziesiąt procent weszło w skład właśnie owego zestawienia.

Jednak po chwili zastanowienia ten smutny fakt nie wydawał się już Lovestone'owi tak straszny. To Jackie Sand otrzyma większość podupadłych filii, a on kupi sobie nowe przedsiębiorstwa, które rozbuduje i które przyniosą mu zysk o niebo większy niż dotychczasowe. Miał przecież w swoim osobistym komputerze wykaz takich firm. O tak! Jeszcze pokaże tej suce, co znaczy umiejętne kierowanie przedsiębiorstwem. Gdy zakupi te świetnie zapowiadające się spółki, korporacja znów urośnie w potęgę, a wówczas wchłonięcie części należącej do Jackie Sand stanie się tylko czysta formalnością.

Pozostawało tylko przekonać Jackie Sand, że proponowana jej część korporacji jest jak najbardziej rentowna.

W czwartek Lovestone zwołał posiedzenie akcjonariuszy firmy. Nie było ich wielu - Jackie Sand, Barbara Lovestone oraz on sam - prezes New York Oil and Company.

Dla Barbary była to druga wizyta w biurze firmy, kobieta miała nadzieje, że ostatnia.

Oprócz nich obecni byli jeszcze notariusz - Harry Amos, główny księgowy - Norman Dovers, szef do spraw długofalowego planowania - Malcolm Pencroft oraz wiceprezes - Nicholas Coleman.

Jakież było zdziwienie Lovestone'a, gdy Jackie, prawie nie rzuciwszy okiem na wykaz proponowanych jej firm, zgodziła się zaakceptować wszystkie warunki podziału. A były to warunki dość surowe, zważywszy, że prowadzony przez nią dotąd dział reklamy, jak i cały budynek firmy, miały przypaść Lovestone'owi.

Teraz z kolei Jackie wysunęła swoje żądania, a właściwie jedno - cała sieć hotelarska miała ponownie zyskać nazwę Wiedermann Hotels i stać się wyłączną własnością Barbary.

- Nie sędzę, że to najrozsądniejsze posunięcie - odparł na to Lovestone, skwapliwie podpisując jednak wszelkie niezbędne dokumenty.

Barbara była wdzięczna Jackie za pomoc w odzyskaniu jej dziedzictwa. Nie pragnęła nic więcej. Teraz naprawdę nic nie będzie jej łączyło z Jerrym.

Rad, że za jednym zamachem pozbywa się dwóch niewygodnych współniczek, Lovestone powstrzymał się, żeby nie skakać z radości.

Całe zdarzenie podziału majątku nie trwało dłużej niż pół godziny. Obecni pracownicy firmy nie zabierali głosu, gdy mecenas Amos sporządzał akty notarialne. Gdy jednak podział firmy stał się faktem, Pencroft nie wytrzymał.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć, Jerry. Pozbyłeś się połowy firmy. Nie wiem, sam nie wiem, jak to będzie dalej.

Księgowy Dovers wolał milczeć. Bo i cóż mógł powiedzieć? Że to jawne oszustwo? Że Jackie Sand właśnie weszła w posiadanie nic niewartego ochłapu korporacji?

- Nie wiem - wyraził swoje zdanie Coleman - czy składać wam gratulacje, czy kondolencje. Dla mnie to czysta paranoja, ale to wasza sprawa, co zrobicie ze swoim majątkiem. Powiem tylko, że to, co właśnie podpisaliście, to akt zgonu jednej z najlepiej prosperujących firm w kraju. Szkoda.

- Nie martw się, Nick - Lovestone wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Odzyskamy dawną świetność prędej, niż ci się zdaje.

- Zawsze możesz pracować dla mnie, Nick - powiedziała Jackie.

Lovestone'a opuściła nagle cała radość.

- Nigdy! - wykrzyknął. - Jeśli to zrobisz, Coleman, gorzko tego pożałujesz.

- Nie wzruszają mnie ani wasze prośby, ani groźby - rzekł wstając - ani to, jak skaczeć sobie do gardeł. Dla mnie możecie się nawet pozagryzać. Ale nie życzę sobie, byście kłócili się o mnie, jakbym był przedmiotem, a nie człowiekiem. - Zarówno Jackie, jak i Lovestone przestraszyli się lodowatego spokoju, z jakim Nick wypowiadał te słowa. - A nawiązując do twojej propozycji, Jackie - dodał - dziękuje i jestem wzruszony, ale nie zdecydowałem jeszcze, co będę robił, jeśli policja nie odnajdzie mojej matki - to rzekłszy wyszedł z pokoju.

Jackie krajało się serce, gdy patrzyła na jego ogromny smutek, skrywany pod maską spokoju. Wierz mi - pomyślała - to dla twego dobra, Nick. Twego i Nancy.

W gabinecie Lovestone'a pozostał tylko on i jego żona. Wszyscy inni przed chwilą wyszli.

Barbara również zaczęła zabierać się do wyjścia. Spieszyła się. Chciała jeszcze wpaść do hotelu, by się przebrać; zaraz po nieudanym ślubie córki wyprowadziła się z rezydencji przy Piątej Alei. Potem miała jechać do Trenton, gdzie w klinice doktora Brackleya przebywała na leczeniu Vanessa.

- Barbaro... - nieśmiało zatrzymał ją Jerry - nie sądzisz, że teraz mogłabyś oddać mi tamte fotografie...? Dostałaś już to, czego chciałaś. Hotele wróciły do ciebie, pomogłaś Jackie Sand, dałem ci zgodę na rozwód...

- Przykro mi, Jerry. Nie zwrócę ci ich.

- Czego chcesz jeszcze? - patrzył na nią błagalnie. - Zrobię wszystko, co tylko będę w stanie, ale, zaklinam cię, oddaj mi te zdjęcia!

- To niemożliwe, Jerry - powtórzyła. - Nie mam ich już.

- Nie?! Więc gdzie są, do cholery?!

- Zniszczyłam je - powiedziała po prostu. - Spaliłam je zaraz po tym, jak tylko je znalazłam.

Barbara wyszła, a Lovestone opadł ciężko na fotel.

Więc wszystko na marne! Dał się podejść jak dziecko. Pozwolił podzielić firmę! Jakże łatwo dał się omamić Barbarze. Gdyby tylko wiedział...

Lecz stało się. I nic nie mogło tego cofnąć. Ale przysiągł sobie, że obie - Barbara i Jackie - zapłacą mu za to. Czy one w ogóle miały pojęcie o prowadzeniu wielkiej firmy? Zwłaszcza Barbara, dla której coś takiego zawsze równało się z niemożliwym do zrozumienia.

Lovestone roześmiał się sam do siebie, gdy wyobraził sobie byłą żonę na stanowisku prezesa Wiedermann Hotels. Pod takim kierownictwem sieć hoteli nie przetrwa nawet roku. Po chwili roześmiał się jeszcze głośniejsze, teraz wyobrażając sobie z kolei minę Jackie, kiedy ujrzy pierwsze raporty z działalności swych, pożałuj, Boże, przedsiębiorstw. Ciekawe, jak nazwie swoją firmę? Może Sand Business - Piaszczysty Interes? O tak! Ta nazwa

zdecydowanie pasuje do tej części korporacji. Sam piasek - tylko tyle ta dziwka zdoła wyciągnąć z nic niewartych filii.

A on, Jerry Lovestone, prezes drugiej części, teraz pod nazwą Lovestone Mining, będzie czekał, aż którejś z tych kobiet powinie się noga.

Następnego dnia prasa podała, że Barbara Lovestone uczyniła Jackie Sand pełnomocnikiem światowej sieci hotelarskiej Wiedermann Hotels.

Rozdział XIX

Cały październik upłynął Jackie na spotkaniach z kontrahentami jej nowej firmy. Przedsiębiorcy, którzy wcześniej zrywali umowy z New York Oil, teraz cisnęli się drzwiami i oknami, byle tylko poznać uroczą panią dyrektora, a każdy z nich poczytywał sobie za zaszczyt współpracę z nową Sand Corporation.

Jedynymi przyjaciółmi, z którymi Jackie mogła podzielić się radością ze swych sukcesów, byli Laura i Clark Davisowie - świeżo upieczeni małżonkowie. Nikt więcej jej już nie pozostał. Nick nie chciał jej znać, a Tony nie wrócił jeszcze z Nepalu.

Jackie siedziała w biurze Clarka, popijając szampana i patrzyła na dwoje przyjaciół, jak zakochani na każdym kroku manifestowali nawzajem swe uczucie. Clark przyjął nawet do pracy jeszcze dwóch detektywów, byle tylko móc jak najczęściej być przy swojej młodej żonie.

Jackie zazdrościła im tej miłości. Ona swoją utraciła.

Nagle z zamyślenia wyrwał się czyjś głos:

- Hej! Co to za uroczystość beze mnie? - W drzwiach stanął starszy mężczyzna z łobuzerskim uśmiechem i twarzą osmaloną górskim wiatrem.

- Tony! - Jackie rzuciła mu się na szyję. - Jak ty to robisz - zapytała szczęśliwa - że zawsze zjawiasz się tam, gdzie się ciebie najmniej spodziewają?

- Jestem prawnikiem, zapomniałeś? - przytulił mocno tę dziewczynę, którą zdążył już pokochać jak córkę.

Clark nalał mu szampana.

- Wypij za nową panią dyrektora - powiedział.

Na twarzy Tony'ego odmalowało się szczere zdziwienie.

- Co, już? - spojrzał na Jackie poważniejąc. - Tak szybko? Jak ci się to udało?

- Jestem Jackie Sand - uśmiechnęła się. - Zapomniałeś?

Tony wypił na raz cały kieliszek szampana, a potem Clark i Laura streścili mu pobieżnie wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatniego miesiąca.

- Nie dopięłabym swego - odezwała się na koniec Jackie - gdyby nie Barbara. To ona, w jakiś sobie tylko znany sposób, wpłynęła na Lovestone'a. Inaczej pewnie latami targalibyśmy się po sądach.

Clark otworzył kolejną butelkę szampana.

- Teraz - powiedział - napijemy się za szczęśliwy powrót Anthony'ego Bearsa z najwyższych gór świata.

- No, Tony - ponagliła Jackie - teraz ty opowiadaj.

- Wszystko odbyło się tak, jak zaplanowałam - uspokoił ją. - Nikt nas nie zatrzymywał. Przesiadkę w Indiach Nancy zniosła bardzo dobrze. W Katmandu czekał przewodnik, którego wynajęłam.

- Pocziwy Bahadim Norbu - wtrąciła.

- Właśnie. Przemily człowiek. Dwa dni wiozł nas land-roverem na północ, potem przesiedliśmy się na słonie. Po trzech dniach przejażdżki na tych olbrzymach dotarliśmy do niebezpiecznej przełęczy, którą można przebyć tylko pieszo. Zajęło nam to półtora dnia, musieliśmy nieść Nancy w toboganie. Dalej jechaliśmy już konno. Trzy dni na wschód. Wreszcie, dziesiątego października, ujrzeliśmy dolinę Tsu-An. Myślałem, że z radości zawyję jak wilk.

Jackie znane były dokładnie niuanse wędrowania po górzystych terenach Nepalu, gdzie odległości nie mierzy się na mile, lecz na dni.

- A Nancy? - zapytała. - Jak ona zniosła podróż?

- Otóż to! - odparł. - Gdy ja padałem ze zmęczenia, ona z każdą milą przybliżającą nas do klasztoru zdawała się tryskać coraz większą radością. Chociaż tak się o nią martwiłem, pokonała dzielnie całą drogę. Bahadim Norbu zadbał, by miała odpowiednie nosze. Jechała na nich jak królowa w lektyce.

- A potem?

- Potem wpuszczono nas do klasztoru - ciągnął. - I przyjęto jak królów. Spróbują wyleczyć Nancy Coleman, jeden z mnichów, Tsumo, mówił, że jest na to duża szansa. Właśnie on będzie prowadził leczenie. Mistrz Jon-Te przesyła ci pozdrowienia.

Oczy Jackie zaszklily się na wspomnienie rodzinnego domu.

- Mów dalej - poprosiła przez ściśnięte wzruszeniem gardło.
- Opowiedziałem mu o wszystkim. O Lovestonie, o twojej ciotce, o spadku. Był zaskoczony. Prosił, by ci przekazać, że cofa swoje polecenie i że możesz wracać w góry. A swoją drogą, to prawdziwy raj, ta cała dolina. Nie myślałem, że gdzieś na świecie może być tak pięknie.

- O, tak - szepnęła Jackie, a dwie wielkie łzy spłynęły jej po policzkach.

I dla niej nie było nigdzie drugiego tak cudownego miejsca. Wiedziała, że wróci tam na pewno, lecz jeszcze nie teraz. Nie wypełniła do końca przysięgi, którą dała swojej ciotce.

Czy wytłumaczyć to umiejętnościami negocjatorskimi Jackie Sand, czy też po prostu jej błyskotliwością i miłą aparycją, faktem jest, że do końca roku powrócili prawie wszyscy dawni dostawcy i odbiorcy, a i całkiem nowe firmy ubiegały się o współpracę.

Jackie urzędowała teraz w biurówcu przy Ósmej Alei. Kadre kierowniczą Sand Corporation stanowili głównie ludzie młodzi, wykształceni i wzbudzający zaufanie. Każdy z nich miał już na swoim koncie bagaż doświadczeń z innych firm, a Jackie oferowała tak wysokie zarobki, że bez wahania porzucali swe dotychczasowe posady, byle tylko zatrudnić się w Sand Corporation. Szefową biura została oczywiście Bernice Wood.

Nicholas Coleman nie przyjął oferty Jackie. Pozostał w Lovestone Mining, jak Lovestone nazwał swoją część niedawnej New York Oil and Company.

Chociaż Jackie gorąco pragnęła, by właśnie Coleman został dyrektorem generalnym Sand Corporation, musiała poszukać na to stanowisko kogoś innego. Jej wybór padł na Arthura Scotta, dobrze zapowiadającego się finansistę z Wall Street.

W połowie listopada, gdy przeprowadzała ze Scottem rozmowę kwalifikacyjną, od razu rzucili jej się niesłychanie wręcz dobre referencje. Nadawał się na dyrektora generalnego wprost idealnie. Zbyt idealnie.

- Ma pan u mnie pracę - oznajmiła. - Ale proszę przyjść dopiero w przyszłym tygodniu. Do tego czasu wyszukam dla pana odpowiednie stanowisko.

Scott wyszedł, a Jackie wykręciła numer biura detektywistycznego Clarka Davisa.

- Sprawdź dla mnie kogoś - poprosiła. - Arthur Scott, trzydzieści dwa lata, finansista.

- Co cię interesuje? Czy jest żonaty? Ile ma dzieci? Stan konta? - żartował Clark.

- Czy ma cokolwiek wspólnego z Jerryem Lovestonem.

Nie miał. Clark Davis sprawdził to bardzo rzetelnie.

Wspaniale - ucieszyła się Jackie. - Arthur Scott to człowiek, o jakiego właśnie mi chodziło!

Gdy po tygodniu Scott przyszedł na ponowne spotkanie z panią dyrektor, nogi trzęsły mu się jak u jakiegoś uczniaka. Nie przejmuj się tak - skarcił się w duchu. - Przecież nie każe ci sprzątać kibla.

Sprzątaczkę w Sand Corporation zarabiała więcej, niż niejeden makler giełdowy.

- Jak już mówiłam, Arthurze - przywitała go Jackie Sand - miło mi będzie z tobą pracować.

- Jakie będą moje obowiązki? - zapytał nieśmiało.

- Chciałabym zaproponować ci stanowisko dyrektora generalnego Sand Corporation.

- O, rany! - Scott nie wierzył własnym uszom. - Słyszałem, że rozdaje pani posadki jak święty Mikołaj prezenty, ale że aż tak? - powiedział z zapartym tchem. - Jestem zaskoczony...

Jeszcze tego samego dnia podpisali umowę. Jackie była pewna, że to dobry nabytek dla jej młodej firmy.

A potem zaczęło się kupowanie nowych spółek.

Jerry Lovestone z niepokojem obserwował coraz większe zainteresowanie światowych kapitalistów firmą Jackie Sand.

Coś poszło nie tak. Zamiast paść na samym początku, Sand Corporation rosła w potęgę i siłę. Rozsiane w różnych częściach świata podupadłe filie, których Lovestone tak sprytnie się pozbył, stawały się nagle wielkimi ośrodkami biznesu. To chwilowe - próbował sobie tłumaczyć Lovestone. - Nie mogłem się aż tak pomylić.

A jednak to nie Lovestone Mining lecz Sand Corporation podpisywała coraz to nowe kontrakty. Ba! Wykupywała nawet całkiem spore przedsiębiorstwa!

I ani myślała bankrutować.

- Czy możesz to jakoś wytłumaczyć, Nick? - pytał Lovestone swego zastępcę.

- Nie obchodzi mnie, co robi Jackie Sand - odpowiedział Coleman.- A i ty lepiej zajmąbyś się własną firmą, bo jakoś nie widzę, byśmy posuwali się naprzód. Palisz każdą szansę dobrego interesu, zanim jeszcze dobrze rozkręcę temat.

Rzeczywiście, firma Lovestone Mining zdążyła zainwestować miliardy dolarów w kupno dobrze zapowiadających się spółek, korzystając z zestawienia w osobistym komputerze Lovestone'a. Jednak mimo to do kasy firmy nie wpływały żadne zyski, co więcej, zasoby finansowe Lovestone Mining topniały w zatrważającym tempie.

Nagle bowiem okazywało się, że nowo nabyta, wspaniała wręcz firma austriacka, produkująca urządzenia techniczne, jest tak zadłużona, że cały jej majątek nie wystarczy na spłatę wierzycieli.

Albo norweska spółka wydobywająca ropę naftową na Morzu Północnym - gdy tylko jej właścicielem stała się Lovestone Mining, roponośne źródła nagle wysychały.

Setki ton wybornej kawy zakupionej w Brazylii nie wjechały nawet na terytorium Stanów Zjednoczonych z powodu silnego zainfekowania ziaren przez niedopuszczalną normą pewne gatunki szkodników.

Nie byłoby w tym może i nic dziwnego, w końcu biznes nie należy do rzeczy łatwych, gdyby te i inne podobne niepowodzenia nie wydarzyły się w tak krótkim czasie.

W ciągu ostatnich miesięcy każde z nabytych przedsiębiorstw, każda z zawieranych transakcji, okazywały się w rezultacie wielką klapą.

Pracownicy Lovestone Mining długo zachodzili w głowę nad przyczyną tego zjawiska, wszyscy na koniec stwierdzili jednomyślnie, że musi ona mieć źródło w komputerze Lovestone'a. Któż jednak ośmieliłby się oskarżyć o sabotaż własnego szefa?

Tym śmiałkiem był Nicholas Coleman.

- Dlaczego każesz kupować najgorsze firmy? - spytał pewnego dnia Lovestone'a. - Co chcesz przez to osiągnąć?

- Ja... nie wiem, o czym mówisz. - Wielki Prezes był kompletnie zaskoczony tym zarzutem.

- Mówię, że odkąd podzieliłeś firmę, nie udało nam się prawie żaden kontrakt. Mogę zrozumieć, że straciliśmy wiele filii, bo zerwano z nami umowy na odbiór towarów, ale to, co się teraz dzieje...

- Uspokój się i wytłumacz mi, o co ci chodzi! - Lovestone'a przeraziły insynuacje Nicka.

Coleman streścił pobieżnie to, o czym pracownicy biura plotkowali po kątach od kilku dni.

- Sugerujesz więc, że mój komputer zwariował? - oburzył się Wielki Prezes. - Przecież wykaz dobrze prosperujących firm sporządzali najlepsi fachowcy.

- Kto ma dostęp do tego komputera?

- Ja sam. Nikt więcej. Zresztą, te dane są dodatkowo chronione hasłem.

- Więc wracamy do punktu wyjścia. - Coleman popatrzył przenikliwie na swego szefa.

- Oszalałeś?! Po co miałbym to robić? - Podeszłszy do komputera Lovestone uruchomił plik. - Chodź tu i sam zobacz! - polecił Nickowi.

- Te firmy to same perły. Ich wyniki finansowe są rewelacyjne. Sam nie wiem, dlaczego po ich nabyciu przynoszą nam same straty.

Coleman przeglądał przez chwilę zawartość pliku „firmy do przejęcia”.

Perły! Akurat! Kilka z nich splajtowało, zanim jeszcze Lovestone podzielił firmę. Czy specjaliści od wyszukiwania złotych interesów byli pijani, czy też ktoś włamał się do komputera?

Tknięty przeczuciem Nick sprawdził coś jeszcze. A więc to tak! - pomyślał.

O'Brian Enterprise także figurowała w zestawieniu jako spółka do nabycia, a przecież okazała się niewarta nawet splunęcia. Przed dwoma tygodniami Nick osobiście podpisał dokumenty związane z jej likwidacją.

Zaraz! Jak nazywała się ta druga teksańska firma, której wtedy nie kupili? Logan Industry? Wszyscy uznali wtedy, że nie warto zawracać sobie nią głowy.

- Wybacz, Jerry, właśnie przypomniałem sobie, że muszę coś załatwić. - Coleman zerwał się z fotela i wybiegł z pokoju szefa, pozostawiając Lovestone'a samego ze swymi wątpliwościami.

Dzwoniąc z własnego gabinetu do Dallas w Teksasie, Nick był pełen wewnętrznych rozterek. Co zrobię, jeśli okaże się, że miałem rację?

- Dzień dobry, czy to firma Logan Industry?

- Niezupełnie, proszę pana - odpowiedział mu miły, dziewczęcy głos. - Teraz nazywamy się Sand Corporation. Przed miesiącem zmieniliśmy właściciela. Czym mogę służyć?

Nick rozłączył się.

Nie mylił się. Jackie odeszła, ale jej niszcząca siła pozostała.

- I co? - zapytał Lovestone, gdy Coleman powrócił po kwadransie do jego gabinetu. - Domyślasz się, co tu jest grane?

- Sądzę, że to może być jakiś wirus komputerowy - odpowiedział Nick, spuszcżając wzrok. - Wiesz co, Jerry? Nie kupuj więcej firm z tego wykazu. Najlepiej wyrzuc go z pamięci komputera. Te firmy to jedna wielka kupa gówna.

- Za późno. Kupiliśmy je wszystkie.

Coleman nie podzielił się z szefem swoimi domysłami, uznał bowiem, że Lovestone nie zasługuje na taką lojalność z jego strony. Po tym, jak Wielki Prezes chciał zmusić go do niechcianego ślubu, Nick przestał odczuwać wdzięczność do tego człowieka. Postanowił więc nie wtrącać się do walki pomiędzy Jackie a Lovestonem i z jakimś niezdrowym podnieceniem czekał teraz na kolejną wpadkę Lovestone Mining. Bo co do tego, że będą następne wpadki, Coleman nie miał żadnych wątpliwości.

Pozostawało pytanie, gdzie jeszcze namieszala Jackie Sand?

Na odpowiedź Nick nie musiał długo czekać. Tuż przed Bożym Narodzeniem Lovestone wysłał go do Irlandii, by zorientował się, dlaczego do tej pory nie wpłynęły żadne pieniądze za kampanię reklamową piwa, przeprowadzoną w Ameryce na zlecenie tamtejszej firmy.

- Nie wiem, co się dzieje - mówił Lovestone. - Nikt tam nawet nie odbiera telefonu. Tego by nam jeszcze brakowało, byśmy umoczyli kolejne miliony!

Nick spełnił więc polecenie. Czuł, że Jackie maczała w tym palce, w końcu to ona załatwiała tę transakcję, ale to, co zastał w Dublinie, przerosło jego najczarniejsze obawy. Zamiast spodziewanej olbrzymiej firmy produkującej markowe piwo, trafił do małego domku jednorodzinnego w dzielnicy, w której nocą nie należało wychodzić na dwór.

Gospodarz domu - zaczerwieniony od nadużywania alkoholu grubas i jego szczerbata małżonka - byli mocno zaskoczeni wizytą eleganckiego Amerykanina w drogim garniturze.

- Panie - mówił Irlandczyk - w tej okolicy jedyną większą firmą jest zakład pogrzebowy, i tak teraz nieczynny, bo jego właściciel po pijanemu rozwalil karawan. Ale browar? - pokręcił głową. - Odkąd tu mieszkamy, nie przypominam sobie, by był tu jakiś znany browar.

- A od kiedy państwo tu mieszkacie? - zapytał Nick.
- Będzie już z pół roku - odparł gospodarz. - Kupiliśmy tę rudę, bo było tanio.

- Zaraz! - wtrąciła się do rozmowy żona Irlandczyka. - Sąsiadka mi mówiła, że kiedyś w naszym domu była wytwórnia piwa. Ci, co tu mieszkali przed nami, robili piwo w piwnicy. Piwo i bimber. Cała okolica się u nich zaopatrywała. Ale żeby zaraz wielka firma? - kobieta odsłoniła w uśmiechu swe bezzębne dziąsła. - Ktoś panu bzdur naopowiadał.

- Gdzie są teraz poprzedni właściciele domu?

- Cholera wie - powiedział Irlandczyk. - Gdzieś się przeprowadzili. Kto by tam się nimi przejmował.

Rewelacje, jakie Nick przywiózł z Europy, przerażyły Lovestone'a.

- To Jackie Sand! - wrzeszczał. - To ta suka wpieprzyła nas w ten kontrakt! Pięćdziesiąt milionów dolarów, Coleman, tyle wywaliłem na reklamę piwa! - Lovestone miotał się po swym gabinecie. - To Jackie wynalazła tę firmę! O, nie - dodał z przekonaniem - teraz zapłaci mi za to. Nadszedł czas, byśmy sobie porozmawiali.

A jednak Jackie Sand odmówiła przyjścia do biura Lovestone Mining, co jeszcze bardziej rozwścieczyło Lovestone'a.

- Widzisz, Nick - mówił - miałem rację. To jej sprawka. Ale jutro udasz się do niej i...

- Nie, Jerry - stanowczo sprzeciwił się Nick. - To wasze gierki i ja nie chcę brać w nich udziału. Rób co chcesz. Nigdzie nie pójde.

Jerry Lovestone musiał schować dumę do kieszeni i nazajutrz osobiście udał się do biura Sand Corporation przy Ósmej Alei. Mimo iż była to wizyta umówiona, kazano mu czekać aż dwie godziny.

- Mniemam, że to jakieś naprawdę ważne sprawy kazały ci tak marnować mój czas - rzekł do Jackie, gdy go wreszcie do niej poproszono, po czym bez zaproszenia rozsiadł się wygodnie na kanapie.

- O, tak - odparła z uprzejmym uśmiechem dziewczyna. - Miałam właśnie spotkanie z manikiurzystką. Moje paznokcie były w oplakany stanie - dodała jakby na usprawiedliwienie.

- Jak śmiesz! Lovestone poczerwieniał z powodu tej jawnej ignorancji. - Czekałem dwie godziny!

- Uwielbiam marnować wszystko, co twoje, Jerry, czas również. - Jackie uśmiechnęła się jeszcze milej, po czym spoważniała zupełnie. - Do rzeczy, Lovestone. Mów, czego chcesz i wynoś się!

- Nie tak prędko, skarbie - rzucił jej na biurko plik dokumentów. - Najpierw sobie porozmawiamy.

- Nie sędzę, byśmy znaleźli wspólny temat. - Jackie wpatrywała się w owe dokumenty. Czyżby nareszcie zaczęło się coś dziać? A już zaczynała w sobie wątpić... - Co to jest?

- Dwa kontrakty z firmą, która nie istnieje - poinformował ją wzburzonym głosem. - To tobie zawdzięczam tę szopkę! Albo zwrócisz mi koszty, jakie wyłożyłem na reklamę nieistniejących firm, albo tym razem to ja pójde do sądu!

Jackie, bynajmniej nieporuszona jego groźbą, sięgnęła po dokumenty.

- Coś sobie przypominam - zmarszczyła czoło. - Więc... straciłeś trzydzieści milionów?

- Pięćdziesiąt milionów! Produkcja reklamy wyniosła pięćdziesiąt milionów! I ty mi teraz to zwrócisz.

Jackie westchnęła i odłożyła dokumenty na blat biurka.

- A co ja w ogóle mam z tym wspólnego? - zrobiła niewinną minę.

- Ty zawierałaś te kontrakty - powiedział z wyrzutem.

- Ale to ty je podpisałeś, Jerry - zauważyła chłodno. - Zawsze sam podpisujesz duże umowy. Moje nazwisko nie figuruje w tych papierach. Twój jedyny błąd polegał na tym, że ślepo mi ufałeś.

- Gdybym mógł przypuszczać, do czego jesteś zdolna... - Lovestone zdał sobie sprawę, że Jackie ma rację. Nie mógł jej nic udowodnić.

- Gdyby - odparła lodowatym tonem - Helen O'Donnell wiedziała, do czego ty jesteś zdolny, moi rodzice żyliby do dziś.

Lovestone nie chciał tego słuchać. W pośpiechu zabrał dokumenty i ruszył do drzwi. Czuł się przybity i upokorzony.

- Już uciekasz? - zawołała za nim Jackie. - Skoro tu jesteś, dlaczego nie pochwalisz się osiągnięciami Lovestone Mining? Moja, jak widzisz, prosperuje bez zarzutu.

Zatrzymał się u drzwi i spojrzał na nią zaskoczony.

- A co u ciebie? - ciągnęła. - Nadal kupujesz nic niewarte firmy ze swego spisu w komputerze? - Bernice Wood dowiedziała się od przyjaciółki, pracownicy biura Lovestone'a, że plik został trwale usunięty.

- To ty... - wytrzeszczył na nią oczy. - Jak udało ci się złamać hasło?

- Nietrudno cię rozgryźć, Jerry - uśmiechnęła się. - Wiem, że kochasz Nancy Coleman, a także to, ile nieszczęść zawdzięcza ci ta biedna kobieta. Wiem to od niej!

Tego już było Lovestone'owi za wiele. Odwrócił się i potknąwszy się wybiegł z gabinetu.

Jackie pozostała sama, z uśmiechem przyklejonym do warg i z oczami wyrażającymi ogromny ból.

Od podziału firmy New York Oil minęły trzy miesiące. Przez ten czas Jackie Sand dokonała cudów ze swą spuścizną. Mimo swego młodego wieku oraz braku doświadczenia, tak umiejętnie pokierowała swoją firmą, że Sand Corporation w tym jakże krótkim okresie podwoiła swe zasoby, a zyski wciąż rosły z dnia na dzień. Każdy dzień był dla Jackie wyzwaniem, każdego dnia dziewczyna odnosiła kolejne sukcesy, zaś każdy sukces przybliżał ją do zwycięstwa nad Lovestonem.

Zupełnie odwrotnie rzecz miała się w firmie Lovestone Mining, która przez owe trzy miesiące straciła dosłownie połowę swego majątku, a to na skutek złych inwestycji, a to z powodów zrywanych kontraktów, co gorsza, nie zanosilo się na szybkie odwrócenie złej passy. Dla tej części New York Oil każdy dzień przynosił kolejne niepowodzenie. Straty liczone w miliardach dolarów.

Na trzy dni przed końcem roku do dyrekcji Lovestone Mining wpłynęło zaproszenie na bal noworoczny. Przyjęcie miało odbyć się w nowojorskim hotelu Wiedermann. Organizatorką była Jackie Sand.

- Mam zamiar pójść na ten bal. - Tym stwierdzeniem Lovestone sprawił Nicka w kompletne osłupienie.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Coleman. - Nie dalej jak przed tygodniem wróciłeś z Sand Corporation z podkulonym ogonem, a teraz chcesz tam wracać?

- Jestem gotów uczynić wszystko, by ratować moją firmę - odparł Jerry Lovestone. - Poza tym to hotel Barbary, a więc pole neutralne. Jackie nie ośmieli się obrażać mnie na nie swoim terenie.

- Głupiec z ciebie, jeśli nie czujesz w tym jakiegoś podstępu.

- I tak mnie nie odwiedzisz od mego postanowienia.

- Bądź zatem tak dobry - westchnął Nick - i wytłumacz mi, co wspólnego ma bal noworoczny z ratowaniem Lovestone Mining.

- Bardzo wiele, mój drogi. - Wielki Prezes uśmiechnął się tajemniczo. - Wiesz przecież, że po tej hecy ze spadkiem odwróciło się od nas wiele firm. Wielu ich szefów będzie na tym balu.

Nick nie wyglądał na przekonanego, więc Lovestone ciągnął dalej:

- Będę miał okazję porozmawiać z nimi o przyszłej współpracy. To może być niezwykle owocne przyjęcie - rozmarzył się. - Pomyśl tylko, wystarczy odpowiednie podejście, jakaś przelotna rozmowa, by pozyskać inwestorów. A im więcej kontraktów będziemy mieli my, tym mniej zyska Jackie Sand. - Roześmiał się do swoich myśli. - Na jej własnym balu sprzątnę jej sprzed nosa najlepsze transakcje.

Nick nie dostrzegał w tym, co mówił Lovestone, żadnych powodów do śmiechu. Już od jakiegoś czasu nabierał przekonania, że Jackie wcale nie chodziło o pieniądze. Owszem, mogła czuć urazę do Lovestone'a za to, jak postąpił z jej ciotką, ale cały spadek odzyskała przecież trzy miesiące temu.

Coleman sam był zaskoczony, że przez dwadzieścia lat narosła taka olbrzymia kwota zobowiązania New York Oil wobec spadkobiercy Helen O'Donnell. Połowa olbrzymiej korporacji! I Lovestone zgodził się tę połowę oddać bez walki.

Tyle że Jackie, zamiast pójść swoją drogą, nadal kopała dolki pod Lovestone Mining, nadal prześladowała Jerry'ego swoją osobą.

Nick nie pojmował motywów takiego postępowania, a im dłużej się zastanawiał, tym częściej dochodził do wniosku, że między nią a Jerryem Lovestonem musiało dojść do czegoś więcej niż tylko do zatargu o pieniądze. Lecz nijak nie mógł sobie wyobrazić, co było tym bodźcem, który nakazywał Jackie gnębić jego szefa, niszczyć dobrze prosperującą firmę i doprowadzać ją do ruiny. Cokolwiek jednak to było, działało na tyle skutecznie, że jeszcze pół roku, a po Lovestone Mining nie pozostanie ślad, mimo całej jej dotychczasowej potęgi.

Coleman miał przecucie, że nie pomogą zmiany w kadrze kierowniczej, ani przeprowadzane gorączkowo ulepszenia. Dopóki Jerry Lovestone był tu prezesem, firma była skazana na zagładę. Dla Nicka, który zawsze chylił czoło przed Wielkim Prezesem, było to iście fascynujące uczucie - wiedzieć, że Jerry Lovestone nie jest niezniszczalny.

Nazajutrz Nick umówił się z Barbarą Lovestone na lunch. Miał nadzieję, że może ona pomoże mu zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Przecież trzymała stronę Jackie.

Jednak kiedy usiadł z nią przy stoliku i zadał jej nurtujące go pytanie, usłyszał:

- Niestety, jeśli Jackie postanowiła ci tego nie mówić, ja także nie będę w stanie ci pomóc.

- Ale Barbaro... - próbował. - Nie uważasz, że to raczej nienormalne tak wziąć się na niewinnego człowieka?

- Mój były mąż nie jest niewinny - powiedziała ze smutkiem. - Między innymi dlatego właśnie się z nim rozwiodłam.

- Czy to... Czy on... - Nick bał się przed samym sobą zadać to pytanie, a jeszcze bardziej bał się usłyszeć odpowiedź. - Czy on cię zdradzał... z Jackie?

Barbara uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Jackie to anioł, Nicholasie. Czy dotąd tego nie zauważyłeś?

- Tak? - bąknął zaskoczony tą odpowiedzią.

- Tak. A jeśli masz choć trochę oleju w głowie, powinieneś przestać się na nią dąsać. Ona cię kocha. Czy tego nie widzisz?

Nick uporczywie wpatrywał się w nieskazitelnie białą serwetkę. Słowa Barbary były jak balsam dla jego duszy. O, jakże pragnął, by było tak, jak mówiła.

Mimo całego swego wysiłku nie zdołał zapomnieć tej miłości. Jackie towarzyszyła mu w myślach każdego dnia.

- Myślisz, że i ja powinienem iść na ten bal? - zapytał.

- Powitanie Nowego Roku - odparła Barbara - to najlepsza okazja, by zacząć wszystko od nowa.

Nick odczuwał ogromną wdzięczność dla tej kobiety. Właściwie była dla niego jak matka. Mimo że los nie oszczędził jej cierpień, serce Barbary wciąż pozostawało dobre i otwarte dla innych. Jeśli Jackie próbowała skrzywdzić także ją, to na tym polu poniosła porażkę. Od czasu rozwodu Barbara wyraźnie rozkwitła. Dotąd żyła w cieniu swego męża, niekochana i upokarzana. Teraz zaś siedziała przed nim zupełnie inna kobieta, pewna siebie i zadowolona z życia.

- A co u Vanessy? - czuł się w obowiązku o to zapytać.

- Za kilka dni - westchnęła Barbara - zabiorę ją z Trenton. Doktor Brackley twierdzi, że terapia odniosła skutek. Zamieszkamy razem tu, w hotelu Wiedermann.

- Dziwię się, że podczas rozwodu nie walczyłaś o rezydencję przy Piątej Alei.

- Z tym domem - odparła - kojarzą mi się dość niemiłe wspomnienia. Jakiś czas jedli w milczeniu, gdy nagle Barbara zapytała:

- Czy już wiadomo cokolwiek na temat porwania?
- Niestety - odpowiedział z bólem w głosie. Policja wciąż kręci się w kółko. To w ogóle bardzo dziwna sprawa - dodał. - Brak poszlak brak motywu. Coraz częściej zaczynam mieć wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę moją mamę.

Ostatniego dnia grudnia policja filadelfijska i FBI odstąpiły od śledztwa w sprawie porwania Nancy Coleman. Akta śledztwa trafiły do archiwum spraw niewyjaśnionych.

Dla Jackie Sand był to jeszcze jeden powód, by szczególnie uroczyście świętować nadejście Nowego Roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego.

W niewielkiej, wiecznie zielonej himalajskiej dolinie, do której skalnego zbocza od ponad tysiąca lat przytulał swe mury klasztor Tsu-An, brała swój początek mała rzeczka, by po przepłynięciu wielu mil zasilić swymi wodami rzekę Kosi. Na początek ów składało się kilkanaście gorących źródełek, trykających ze stoku wzniesienia wyrastającego u górnego krańca doliny.

Nawet teraz, mimo zimowej pory, było tu ciepło. Łąki zieleniły się wrzosami i porostami. Tu i ówdzie rosły olbrzymie drzewa rododendronów. Dookoła pełno było tundrowych i alpejskich kwiatów. A wszystko to było osnute pajęczyną mgły, powstałej z parującej wody.

Cały ten ciepły mikroklimat na wysokości czterech tysięcy metrów nad poziomem morza mógł istnieć właśnie dzięki owym gorącym źródłom, z których strumyki oplatały dolinę swymi ciepłymi wodami, by w dolnym jej krańcu połączyć się w jedną rzekę.

Cztery z tych źródeł łączyły się ze sobą w połowie doliny, wpadając do dość dużego zagłębienia, tuż u stóp klasztoru i tworząc coś w rodzaju basenu. Każdego dnia, od przeszło trzech miesięcy, do basenu przynoszono kobietę w średnim wieku. Następnie dwaj mnisi tybetańscy wchodzili po pas w wodę i zmuszali tę kobietę do nieustannych, żmudnych i wyczerpujących ćwiczeń.

Czasem mnisi mieli dość wcześniej niż sama chora. Tsumo pytał wówczas:

- Nie jesteś zmęczona, Nancy?
- Nnnieeee - z trudem artykułowała kobieta i z jeszcze większym zapalem podejmowała kolejne wyzwanie.

Nancy najbardziej lubiła masaże za pomocą dźwięków, jakie wydawały misy tybetańskie. Mistrz Jon-Te układał na ciele kobiety misy przeróżnych rozmiarów, następnie uderzał w nie młoteczkami, a dźwięki, jakie przy tym powstawały, przesywały Nancy na wskroś swym wibrującym, uzdrowicielskim drganiem. Na długo po takim masażu Nancy czuła w głowie dziwne mrowienie, które z każdym kolejnym seansem nasilało się i rozprzestrzeniało stopniowo na całe sparaliżowane dotąd ciało. Nareszcie poczuła, że ma ręce i nogi, że w ogóle istnieje. Kiedy odzyskiwała czucie, ze zdziwieniem odkryła jakiś ból w okolicy lewego biodra. Uśmiechnęła się wówczas w duchu. Taki ból, sama możliwość jego odczuwania, wydały się dla niej jak najpiękniejsza muzyka.

Postępy, jakie uczyniła w ciągu tych trzech miesięcy, były wprost niemożliwe do pojęcia. Potrafiła już poruszać lewą ręką, choć palce nadal pozostawały niezgrabne. Mogła też zmieniać mimikę twarzy oraz, co najważniejsze, odzyskiwała powoli mowę.

Ten cud zawdzięczała mnichom, swemu wewnętrznemu uporowi, a także niezłomnej wierze w odzyskanie zdrowia. Czyż nie to właśnie obiecała jej Jackie Sand? Będziesz chodzić - powtarzała jej - i mówić. Ziarno nadziei zasiane w sercu Nancy Coleman rozrosło się teraz w bujny krzew, który zakwitał, ilekroć sparaliżowanej od lat kobiecie udawało się zmusić kolejny mięsień do posłuszeństwa.

Na szczęście ciało Nancy Coleman, mimo trzynastoletniego kalectwa, było utrzymane w dobrej formie. Trzeba przyznać, że specjaliści z Trenton znali się na swojej robocie.

Mnich Tsumo, absolwent Uniwersytetu Pekńskiego i praktykant na oddziale neurologii w Centrum Medycznym V.A. Lakeside w Chicago, był dobrej myśli, lecz nie potrafił sprecyzować terminu ostatecznego ustąpienia paraliżu. Mogły upłynąć jeszcze miesiące, ale i lata. Z całą pewnością jednak ciało Nancy Coleman miało powrócić do normalnego funkcjonowania, choć mogło nie być tak sprawne, jak niegdyś. Lecz cóż to znaczyło w porównaniu z trzynastoma latami zamknięcia i odizolowania nawet od własnego syna?

Rozdział XX

Sala bankietowa nowojorskiego hotelu Wiedermann, mogąca pomieścić pięćset osób, tego szczególnego wieczora była wypełniona do ostatniego miejsca.

Gośćmi Jackie Sand była sama elita nowojorskiego biznesu, ale nie zabrakło też osobistości ze świata polityki. Arabscy szejkwowie i księżniczki, głowy europejskich korporacji, gwiazdy Hollywoodu - to był dodatek mający jeszcze bardziej uświetnić tę jedyną w roku noc.

Arthur Scott, dyrektor generalny Sand Corporation, który osobiście sprawował pieczę nad przebiegiem całego przyjęcia, dwoił się i troił, byle tylko goście czuli się zadowoleni.

Punktualnie o dziewiątej wieczór zjawiała się na sali organizatorka przyjęcia - Jackie Sand. Jej uroda i strój bezspornie były o głowę wszystkie obecne tu kobiety. Czarna obcisła suknia do ziemi uwypuklała wspaniałą figurę dziewczyny, a diamenty dodawały blasku jej młodej urodzie.

Jackie podeszła do Scotta.

- Świetnie się spisałeś - pochwaliła go z uśmiechem.
- Zrobiłem, co mogłem - odparł skromnie. - Reszta należy do ciebie. - Popatrzyl na nią przenikliwie. - Co ty na dziś kombinujesz, Jackie?
- Nic a nic - powiedziała. - Szczerze. Po prostu mam zamiar dobrze się bawić.

I była to najprawdziwsza prawda. Ona była tu królową i zamierzała cieszyć się tą chwilą aż po świt.

Rozejrzała się po sali. Byli tu wszyscy, których zaprosiła. Nawet Jerry Lovestone, pogrążony teraz w rozmowie z senatorem. Nawet Nicholas Coleman, tańczący właśnie z żoną bankiera.

Jackie ruszyła przez wielką salę w stronę, gdzie stały rzędy stołów. Skinieniem głowy odpowiadała gościom na pozdrowienia, uśmiechała się, czasem zamieniała z kimś kilka słów.

Wreszcie podeszła do swego dwunastoosobowego stolika. Tak jak chciała, po lewej stronie miała Anthony'ego Bearsa, po prawej zaś siedział sam Jose Eduardo Alcala z żoną i synem Enrique. I chociaż było tu jeszcze wiele innych stołów, łącznie dla czterystu osiemdziesięciu ośmiu gości, Lovestone'owi i Colemanowi dziwnym trafem przypadły miejsca akurat naprzeciwko Jackie, choć nieco z boku, po jej lewej stronie.

Jednak szef Lovestone Mining nie uznał tego za afront, wręcz przeciwnie, był zadowolony, że będzie mógł przysłuchiwać się rozmowom swej zniechęconej przeciwniczki. Widział w tym własne korzyści. Może uda się ukraść jej jakieś kontrakty? Może dziewczyna zwierzy się komuś ze swoich handlowych planów? Jedyne, co drażniło Lovestone'a, to to, że hrabia Alcala powrócił do współpracy z włoską filią New York Oil, teraz należąca do Jackie.

Parkiet opustoszał. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie, roznosząc główne danie wieczoru - królika duszonego w winie - potrawę, która od niedawna stała się atrakcją wskrzeszonej sieci hotelowej Wiedermann Hotels.

- Przyznam się, panno Sand - zaczął włoski hrabia - że kiedy była pani w Modenie, nie poznałem się na pani. Wprost niewiarygodnie zaskakuje pani każdego, ktokolwiek ma zaszczyt z panią współpracować.

Choć Jerry Lovestone był zgoła odmiennego zdania, nie odważył się wyrazić go głośno.

- Dziękuję - odparła skromnie Jackie, pewna, że komplement ten, wypowiedziany ustami tak znaczącego magnata finansowego, obiegnie wkrótce całą Europę. - Ale nie mówmy, proszę, o interesach. To rzeczy zbyt przyziemne jak na tak szczególną noc.

Rozmowa zeszała zatem na temat sztuki. Również i teraz Lovestone nie zabierał głosu, lecz tym razem jego milczenie wynikało z niewiedzy.

- Jest pani nie tylko piękna, ale i wykształcona - Alcala znów wyraził pochlebstwo na temat Jackie. - Syn mówił mi, że poznaliście się już kiedyś, w Rzymie.

- To prawda - odparła, posyłając młodemu Alcali przeziły uśmiech. - Enrique pomagał mi odkrywać uroki tego wiecznego miasta.

- Ale wtedy - powiedział Enrique - byłaś zupełnie inną osobą. Szkoda, że ze zwyczajnej małej Sary Rai zmieniłaś się w bogatą i sławną Jackie Sand.

Jako zupełne przeciwieństwo swego ojca, młody Alcala zawsze wolał towarzystwo pospolitych osób. A Jackie nie była już pospolita przestała więc w ogóle interesować Enrique jako kobieta.

- Sara Rai? - powtórzył za synem Jose Eduardo. - Tak się pani nazywała?

- Mój przybrany ojciec - wyjaśniła - nadał mi imię Saran, co po mongolsku znaczy księżyc. Sara to jakby angielska wersja tego imienia. A Rai to właśnie nazwisko mego przybranego ojca. Przez wiele lat - ciągnęła - uważano mnie za bezimiennego podrzutka, a przecież musiałam się jakoś nazywać, by mieć paszport, móc studiować, podróżować. Dopiero w maju tego roku poznałam swe prawdziwe imię. - Jackie urwała, nie chcąc bardziej drażnić Lovestone'a. Nie powinien zbyt wcześnie opuścić przyjęcia.

- Jeśli to nie tajemnica - odezwał się szejk Sal'D Al-Ashmawy, siedzący na wprost niej wysoki, dobrze zbudowany i szalenie przystojny Arab o typowej, śniadej cerze, o którym Jackie wiedziała, że jest bajecznie bogaty i wpływowy jak na swoje dwadzieścia osiem lat - chciałbym prosić cię, Jackie, byś wytłumaczyła nam coś jeszcze.

- Jeśli tylko będę w stanie - odparła z czarującym uśmiechem.

- Otóż poznałem cię, jeszcze zanim zaczęłaś pracować jako dyrektor reklamy u pana Lovestone'a - szejk miał na myśli przyjęcie na statku, na które kiedyś zaprosił Jackie Nick Coleman. - Już wtedy miałaś na sobie ten sam naszyjnik, co dziś. Nie przypatrywałem mu się wówczas z bliska i przyznam się, iż myślałem, że jest wypożyczony, lecz najwyraźniej byłem w błędzie. Jako kolekcjoner klejnotów widziałem już różne cuda, ale twój naszyjnik odbiega znacznie od wszystkich znanych mi egzemplarzy, a już z całą pewnością czegoś takiego nie można wypożyczyć w Nowym Jorku. Kunszt wykonania naszyjnika zawiera orientalne nuty, ale różnią się one od znanych mi z różnych stron świata wzorów. Czy możesz mi zdradzić, skąd u ciebie te bajeczne klejnoty?

- Zabrzmi to banalnie, ale znalazłam je w lesie.

Jej odpowiedź wywarła na siedzących przy stole piorunujące wrażenie. Zaskoczenie pomieszane z niedowierzaniem zagościło na ich twarzach. Lovestone wybuchnął gromkim śmiechem.

- Jak orzechy? - szydził. - Albo grzyby?

- Coś w tym rodzaju - odparła niezrażona, a zwróciwszy się do Al-Ashmawy'ego, dodała: - Jako dziecko często włóczyłam się po górach i

przynosiłam z tych wypraw różne znaleziska. Nieraz był to ogon wiewiórki, niekiedy uschnięta żmija, ale przeważnie ściągałam do domu wszelkie kamienie. Mnisi żartowali, że można by z nich zbudować drugi klasztor, tyle ich było. Również i te diamenty - dotknęła ręką szyi - właśnie w ten sposób weszły w moje posiadanie.

- Chcesz powiedzieć - spytał zupełnie już poważny Lovestone - że odkryłaś w Himalajach złoża diamentów?

- Niezupełnie - powiedziała. - Tylko trzy, najwyżej cztery garście.

Lovestone czuł, jak coś go ścisła w żołądku. Och, gdyby mógł dowiedzieć się, gdzie jest to miejsce...

- Znając pani przedsiębiorczość - wtrącił włoski hrabia - mniemam, iż od dawna posiada pani w Nepalu kopalnię diamentów.

- Myli się pan - powiedziała lekko, jak gdyby nigdy nic.

Lovestone poczuł się gorzko rozczarowany.

- Więc twoje klejnoty są unikatowe - zauważył Sal'D Al-Ashmawy, pasjonujący się w gromadzeniu takich błyskotek. - Ośmielę się zaproponować ci ich kupno.

- Przykro mi, Sal'D - Jackie jeszcze raz przyłożyła dłoń do naszyjnika.

- Dla mnie moje klejnoty są bezcenne. Nie mówię tu o wartości pieniężnej lecz uczuciowej. Ten naszyjnik wykonał dla mnie mój przybrany ojciec. - Ostatnie zdanie wypowiedziała z wielką czułością.

Szkoda - westchnął arabski szejek. - Lecz jeśli nie mogę go mieć, niech wolno mi będzie poprosić cię do tańca, bym z bliska mógł choć nacieszyć oczy tym kunsztownym dziełem sztuki.

- Chętnie - roześmiała się Jackie. - Tylko nie wpatruj się w mój naszyjnik zbyt uporczywie. Ochrona może pomyśleć, że planujesz mnie okraść.

Lovestone odetchnął z ulgą, gdy Al-Ashmawy poprowadził dziewczynę w kierunku parkietu. Jej obecność przy stole mocno go krępowała, a teraz zyskał możliwość rozmowy z Alcałą o interesach.

- Daj spokój, Jerry - włoski hrabia jednak najwyraźniej nie zamierzał podjąć tematu. - Nasza współpraca to już zamknięta sprawa.

Lovestone przeklął go w duchu, podobnie jak wszystkich innych na tej sali. Przyszli tu świętować zwycięstwo Jackie? Proszę bardzo! Niech sobie świętują. Wciąż miał nadzieję, że jej popularność minie równie szybko, jak się pojawiła. A wtedy największe światowe koncerty będą błagać na kolana o kontrakt z Lovestone Mining, lecz jej prezes nie będzie wówczas pobłażliwy dla zdrajców.

Jednak dzień ponownego triumfu Lovestone'a miał już nigdy nie nadejść.

Nicholas Coleman z trudem zachowywał obojętność, widząc Jackie i Sal'Da tańczących razem na parkiecie. Arabski szejek nie podziwiał bynajmniej diamentów. Nie odrywał oczu od twarzy partnerki, pochylając się co chwila i szepcząc jej coś do ucha, a ona w odpowiedzi uśmiechała się radośnie i rzucała po sali swym błyszczącym spojrzeniem.

Nickowi wydało się, że Jackie na ułamek sekundy zatrzymała na nim swój wzrok, zaraz jednak odwróciła zupełnie głowę.

Patrzył dalej, jak Sal'D nieco zbyt poufale obejmuje talię dziewczyny. Kokietka - nazwał Jackie w myślach. - Najpierw uwiodła mnie, bym pomógł jej wkręcić się do New York Oil, a teraz migdali się z Arabem. I nieoczekiwanie sam zapragnął być tym Arabem, tulić w tańcu ukochaną dziewczynę i szeptać jej do ucha, jak bardzo za nią tęsknił. Do diabła! - Nick wstał zza stołu. - Co mi szkodzi spróbować?

Jackie i Sal'D skończyli właśnie kolejny, trzeci taniec. Nie opuszczając parkietu, w oczekiwaniu na następną melodię, gawędzili z wiceprezydentem i jego żoną. Nick już miał zamiar przerwać im tę rozmowę i poprosić Jackie do tańca, gdy w ostatniej chwili zauważył, że Sal'D ciągle trzyma w rękę delikatną dłoń Jackie. Nie protestowała, a zatem podobało jej się to.

Obydwoje stali tyłem do Nicka, nie mogli więc widzieć, jak skreślił gwałtownie w kierunku grupki gości, żywo dyskutujących o polityce. Przysłuchując się tej dyskusji, Nick nie przestawał kątem oka śledzić parkietu.

Orkiestra zaczęła grać wyjątkowo wolną melodię. Mimo iż sala była olbrzymia, Jackie i Sal'D tańczyli zaledwie kilka kroków od Nicka.

Jackie z niepokojem zauważyła, że miejsce Nicka przy stole opustoszało. Czyżby opuścił przyjęcie? - zatrwożyła się. - To niemożliwe! Tak się dla niego wystroiłam, a on po prostu wyszedł! - Dziewczyna gniewnie zacisnęła pięści, zapominając że jedna z nich znajduje się w dłoni Al-Ashmawy'ego. Arabski multimilioner uznał najwidoczniej, że jest to z jej strony gest zachęty. Znowu pochylił się nad nią, lecz tym razem nic nie powiedział, tylko musnęła wargami jej szyję.

Nick miał już dość tej czulej sceny i w ogóle całego przyjęcia. Jedyne, czego pragnął, to wyjść z sali i nigdy już tu nie wracać. A jednak reakcja Jackie zaskoczyła go zupełnie.

Dziewczyna spokojnym, acz stanowczym gestem, odsunęła dłonie szejka od swego ciała i zmierzwiwszy go lodowatym spojrzeniem podziękowała za taniec. Następnie odwróciła się od swego dotychczasowego partnera i rozgniewana ruszyła ze spuszczoną głową przed siebie, na oślep. Nagle, nie wiedząc jak, potknęła się i przewróciłaby się niechybnie, gdyby nie jakieś męskie silne ramiona, które podtrzymały ją mocnym uściskiem.

- Przepraszam - bąknęła speszona, unosząc głowę - i dzie... - urwała w pół słowa, patrząc w śliczne oczy swego wybawcy.

- Istnieją lepsze sposoby na zwrócenie na siebie uwagi, niż od razu rzucanie się w ramiona - odezwał się z rozbawieniem Nick, ani na jotę nie poluzowując uścisku.

- Nie wiem, co cię tak cieszy - odparła, próbując bez powodzenia wyswobodzić się z jego objęć. - Jak na razie, to my zwracamy na siebie uwagę innych.

- Nikt na nas nie spojrzy - Nick rozejrzał się dookoła - jeśli przestaniesz się tak szamotać.

- No to mnie puść - nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz? - zapytał zaskoczony własną odwagą.

Jackie jeszcze raz spojrzała mu głęboko w oczy.

- Nie - szepnęła.

Nagła radość ogarnęła serce Nicka. Więc jednak nie wszystko stracone.

Mimo to wypuścił dziewczynę z ramion i podając jej ramię, poprowadził na sam środek parkietu. Po chwili znów trzymał ją w ramionach, poruszając się w wolny takt melodii. Milczeli obydwójce, nie chcąc psuć tej ulotnej magicznej chwili.

W głowie Jackie płątały się wszystkie myśli. Co jest grane? Najpierw Nick ją odtrącił, a teraz tańczył z nią w obecności tylu ludzi, nawet Lovestone'a. Pod wpływem impulsu dała się Nickowi sprowokować. Teraz żałowała, że tak jawnie okazała swą słabość do niego. Co on zamierzał? Czy chciał ją kolejny raz upokorzyć? Nie, po co zapraszałby ją wówczas do tańca? A może... - pomyślała z nadzieją - może mi przebaczył?

Nie chciała teraz o to pytać. Pragnęła jedynie, by orkiestra nigdy nie przestała grać, by jej ukochany nadal trzymał ją w ramionach.

Jednak taniec się skończył, a Nick, ku rozczarowaniu Jackie, podziękował za taniec i odprowadził ją do stolika.

- Zgłodnieliśmy nieco - rzucił wesoło do siedzących tam gości.

Jackie wiedziała, że nie przełknie ani kęsa. Skosztowała krewetek, ale wydały jej się bez smaku, zupełnie jakby żuła drewno. Przełyk także robił jej problemy z każdym kęsem, dała więc spokój. Do północy pozostała jeszcze niecała godzina, ale ona miała już wszystkiego dość. Więc o to chodziło Nickowi? Znalazł okazję, by zagrać na jej uczuciach?

Bal, który miał być uhonorowaniem jej trzymiesięcznej działalności, stał się nagle koszmarem nie do zniesienia. Gdyby tylko mogła stąd wyjść... Ale nie należało pozostawiać tylu znamienitych gości. Jej obecni i potencjalni kontrahenci poczuliby się znieważeni. A Coleman i Lovestone nie posiadali by się z zachwytu. Muszę jakoś wytrwać - nakazała sobie.

Po chwili rozmowa przy stole zeszała na bliski jej temat.

- Nigdy nie byłem w Nepalu - zagadnął prezes jednej z korporacji naftowych. - Słyszałem, że to dość ubogi kraj.

- Cóż - odparła Jackie - w pewnym sensie to prawda. Eksportuje dywany, futę, drewno salowe, wyroby tekstylne i wyroby rzemiosła tradycyjnego, głównie do takich krajów, jak Wielka Brytania, Niemcy, Stany Zjednoczone czy Indie. Nie są to jednak duże pieniądze. Ale za to olbrzymie dochody czerpie z turystyki. No i ma coś, czego nie ma żadne inne państwo na świecie.

- Co takiego? - dopytywali się wszyscy.

- Najwyższą górę świata - oznajmiła Jackie - Mount Everest, znaną też pod tybetańską nazwą Chomo Lungma vel Jolmo Lungma, co znaczy Bogini Matka Ziemi. Ciekawostką jest - mówiła - że kiedyś Chomo Lungma nie oznaczała w ogóle żadnej góry. Tak nazywano jedną z siedmiu dolin. Nepalska nazwa tego szczytu brzmi zaś Sagar Matha, co znaczy Głowa Nieba.

- To musi być fascynujące - rozmarzyła się hrabina Maria DuPont-Alcala - mieszkać wśród takich cudownych gór.

- Byłoby to dla ciebie raczej trudne, kochanie - wtrącił jej mąż - zważywszy, że całe życie pławiłaś się w luksusach. A jadło i warunki życia w Nepalu - dodał zwróciwszy się do Jackie - nie słyną podobno z jakości.

- Rzekłabym nawet - roześmiała się Jackie - że słyną z ohydy. Ale niech się pani nie obawia, hrabino. Gdy wkroczę tam z nową linią hotelową,

będzie pani moim honorowym gościem, a ja już zadbam o to, by przyjęto panią w iście królewskim stylu.

Jackie znalazła doskonałą okazję do tego by, niby przypadkiem, napomknąć o swoich niedalekich planach handlowych, świadoma, że Lovestone chłonie każde jej słowo.

- Więc - zaciekawił się Alcala - zamierza pani rozszerzyć działalność Sand Corporation na Azję? To dość nowatorski pomysł.

- Dlaczego? - odparła. - Jeśli król Birendra całkiem nieźle żyje sobie z turystyki, czemu nie miałyby skorzystać z tego także Jackie Sand?

Wszyscy roześmieli się na to swoiste stwierdzenie, a ona mówiła dalej:

- Powstanie tam kilkanaście luksusowych, oczywiście w amerykańskim słowa tego znaczeniu, hoteli, sieć sklepów ze sprzętem sportowym, wypożyczalnie zaprzęgów konnych i sama nie wiem, co jeszcze.

Kopalnia diamentów! - pomyślał ze zgrozą Lovestone.

- Chętnie uwierzyłbym w powodzenie tego przedsięwzięcia - oświadczył Alcala - gdyby nie kulawy nepalski transport. Jako producent światowej jakości samochodów, nie wyobrażam sobie turystyki bez wygodnego, szybkiego auta, którym mógłbym dojechać wszędzie tam, gdzie miałbym ochotę.

- Konne podróże, panie hrabio - Jackie uśmiechnęła się wdzięcznie - to jedna z atrakcji nepalskiej turystyki.

Gdyby był tu Tucker, wyraziłby na ten temat zgoła odmienną opinię.

- Ale oczywiście zamiast koni - ciągnęła dziewczyna - może pan wybrać słonie. Są wygodniejsze, lecz, niestety, mniej zwrotne. I czasem trudno przewidzieć, co im przyjdzie do głowy.

- Brr - wzdrygnęła się żona owego prezesa, który rozpoczął rozmowę o Nepalu. - Nigdy nie wsiadłabym na takiego olbrzyma. W ogóle nie wyobrażam sobie, jak można jeździć na czymś takim.

- A można, droga pani - uprzejmie zapewnił ją Anthony Bears. - Nie dość, że jeździć, to jeszcze grać w polo.

- Polo na słoniach! - nie dowierzała hrabina Alcala.

- Oczywiście - przytaknęła Jackie - trzeba mieć tylko odrobinę dłuższe kije. A teraz pozwolą państwo, że przeproszę na jakiś czas - to powiedziawszy, Jackie wstała i oddaliła się w stronę innych gości.

- Jak sobie radzisz, Arthurze? - zapytała Jackie swego dyrektora generalnego.

- Uff - westchnął. - Jeszcze żyję, choć, prawdę mówiąc, sam się dziwię, że to możliwe.

- Nie przesadzaj - poklepała go po ramieniu. - Przyjęcie jest doskonałe, a goście zadowoleni.

Ucieszyła go pochwałą szefowej.

- Mimo wszystko znacznie lepiej czuję się wśród cyfr.

- Bądź pewien, Arthurze, że dzisiejszy wieczór przysporzy nam bardzo wielu cyfr z ogromną ilością zer na końcu.

- Upredź mnie - powiedział z miną cierpiętnika - jeśli w przyszłości będziesz planowała podobny bal. Pójdę na urlop.

- Pod warunkiem - przypomniała mu - że przeżyjesz ten dzisiejszy.

Rozmawiając z senatorem, Jackie spojrzała w kierunku swego stolika i rozzłościła się nagle. Nick bezczelnie wbijał w nią swój wzrok i ani myślał odwrócić głowę, gdy przyłapała go na tym podpatrywaniu. Patrz sobie - pomyślała - patrz. Może nareszcie ocknie się twoje zatwardziałe serce.

A serce Nicka wybijało właśnie najpiękniejszy rytm dla jego ukochanej Jackie.

Na kwadrans przed północą Jackie powróciła do stołu. Widząc to, Sal'D Ashmawy podziękował żonie ministra za taniec i zjawiwszy się przed Jackie, pokłonił jej się nisko, teraz z kolei ją zapraszając na parkiet.

Dziewczyna czuła się niezręcznie. Nie chciała urazić arabskiego szejka, ale nie chciała też jego natrętnych objęć.

I nagle stało się coś, czego nikt by się nie spodziewał.

- Przykro mi, Sal'D - powiedział Nick, pojawiwszy się obok nich - ale panna Sand zarezerwowała już wszystkie tańce dla mnie.

Niezdolna do jakichkolwiek protestów, Jackie pozwoliła Nickowi zaprowadzić się na parkiet, pozostawiając za sobą mocno zaskoczonego Araba.

- Nie masz mi za złe - zapytał Nick, gdy zaczęli tańczyć - że tak bestialsko pozbawiłem cię towarzystwa szejka Al-Ashmawy'ego?

- Nie - wyszeptwała. - I dziękuję.

Bezpieczne ramiona Nicka znów otoczyły jej ciało. Nie pytała, dlaczego z nią tańczył, pewnie chciał zwyczajnie pomóc jej wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Nieważne. Teraz liczyło się tylko to, że znów był blisko niej, czuła jego

oddech i bicie serca przez jego dziwnie napięte mięśnie.

Nick nie mówił nic. Tulił w tańcu ukochaną dziewczynę, dziwiąc się, jak mógł tak długo bez niej wytrzymać.

Taniec się skończył i należało wracać do stolika. Za chwilę miał się rozpocząć Nowy Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy.

Nagle światła na sali przygasły. Rozpoczęło się odliczanie ostatnich sekund starego roku.

- Pięć... Cztery... skandowali wspólnie wszyscy goście. - Trzy... Dwa... Jeden...

Wybiła północ.

Sala rozbłysła na nowo tysiącem kolorowych wirujących świateł. Wystrzeliwane korki od szampana zabrzmiały jak salwa z karabinu. Napelniono kieliszki i wzniesiono toast:

- Za Nowy Rok! - krzyknęła Jackie.
- Za Nowy Rok! - zawtórowały jej setki głosów.

Dalsze słowa nie miały sensu. Wśród wiwatów i hałasu, jaki robiły sztuczne ognie, nawet muzyka orkiestry stała się ledwie słyszalna.

Gospodyni przyjęcia utonęła w ferworze noworocznych życzeń i gratulacji.

Wreszcie, po dobrym kwadransie, zgiełk przycichł nieco. Arthur Scott wykorzystał ten moment, by zaprosić gości na taras, skąd mogli podziwiać pokaz sztucznych ogni.

Widok był imponujący - w dole panorama rzeki Hudson, z jej jasno oświetlonymi tej nocy przystaniami i łodziami kołyszącymi się na wodzie, na niebie zaś tysiące rozbrzgujących się ognistych rac, tworzących w ułamku sekundy olbrzymie migoczące kule we wszystkich kolorach tęczy. Nim jedno ognie zgasły, już zapalały się inne, jeszcze piękniejsze od poprzednich, tworząc na niebie i wodzie mozaikę świetlistych barw.

Noc była mroźna. Jackie, zamyślona, stała oparta o balustradę tarasu, z kieliszkiem szampana w dłoni. Zachwyt gości z oglądanych na niebie cudów pirotechniki jej się nie udzielał. Czowała się straszliwie samotna. Chciało jej się płakać. Przez Nicka. Przez cały świat.

Nagle ktoś dotknął ją lekko za łokieć, a tuż za sobą usłyszała znajomy szept:

- Czy najpiękniejsza kobieta na tej sali przyjmie ode mnie życzenia noworoczne?

Odwróciła się, chcąc odpowiedzieć, lecz Nick zamknął jej usta długim, namiętym pocałunkiem. Jackie bez wahania poddała się tej pieszczocie, nie bacząc, że dookoła pełno było wielkich osobistości.

Na niebie jednak wciąż pojawiały się nowe fajerwerki. Nikt z gości nie zwracał najmniejszej uwagi na całującą się parę.

Nikt, oprócz Lovestone'a, który stał przyczajony za kotarą, jak bestia szykująca się do ataku. Jakież zdziwienie malowało się na jego twarzy, gdy patrzył na swego zastępcę całującego jego najzacieklejszego wroga.

Resztę nocy Jackie i Nick przetańczyli już razem, a gdy pierwsi goście zaczęli się rozchodzić, oni także wymknęli się niepostrzeżenie do apartamentu Jackie.

Cały czwartkowy dzień - pierwszy dzień Nowego Roku - upłynął im na wzajemnym przepraszaniu się, czułościach i kochaniu.

Zasnęli dopiero wówczas, gdy Nowy Rok znów pogrążył się w mroku nocy, a i we śnie ich ramiona wciąż pozostawały splecione.

Tych kilka zdań rzuconych mimochodem przez Jackie na przyjęciu odniosło zamierzony skutek. Lovestone'a opanowała obsesyjna myśl, że dziewczyna doskonale wie, gdzie leżą diamentowe pola w Himalajach.

Myśl ta nie opuszczała go ani w pierwszy dzień Nowego Roku, ani w następny. A gdy pierwszy noworoczny weekend się skończył, Lovestone wyrobił w sobie stuprocentową pewność, że zamiast wznosić hotele i rozprowadzać sprzęt sportowy, Jackie Sand założy w Himalajach kopalnię diamentów.

Poprzysiągł sobie, że nie spocznie, póki nie dowie się, gdzie znajdują się owe miliony, jeśli nie miliardy dolarów, i nie odbierze Jackie tego skarbu.

Gdy w poniedziałek rano Nick stawiał się do pracy, szef Lovestone Mining powitał go z tajemniczym uśmiechem.

- Zawsze twierdziłem, że daleko zajdziesz - powiedział - i jak zwykle się nie myliłem.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparł Coleman, zastanawiając się, czy jego szczęście jest aż tak widoczne.

Lovestone roześmiał się w głos.

- Nie próbuj mi wmówić, że poszedłeś do łóżka z Jackie Sand tylko dlatego, że ci stanął kutas. - Poklepał go po ramieniu. - Sam długo się

głowiłem, jak znaleźć dojscie do tej suki, a tobie udało się to w parę godzin. Zaslugujesz na podwyżkę, Nick. - Usiadł w fotelu. - A teraz zamieniam się w słuch. Opowiadaj - nakazał.

- Nie mam o czym opowiadać - wycodził Nick przez zaciśnięte zęby. Ten drań naprawdę sądzi, że jestem taki jak on, pomyślał ze zgrozą. - Zrobiłem to - wyjaśnił - bo tak mi się podobało. A ciebie, Jerry, nie powinno obchodzić moje życie prywatne.

- Jesteś jeszcze młody, mój drogi. - Lovestone nie zamierzał odpuścić takiej okazji. Jeśli Nick naprawdę nie miał złych intencji w stosunku do Jackie, on i tak zrobi z niego wtyczkę, za jego zgodą, lub bez tej zgody. - Nie zauważasz korzyści płynących z...

- Nic mnie one nie obchodzą - oburzył się Nick. - A teraz chciałbym zająć się swoimi obowiązkami, jeśli pozwolisz.

- W porządku - wydawało się, że Lovestone ustępuje. - Właściwie to masz rację. I tak dajesz z siebie wiele. Nie mogę wymagać, byś poświęcał mi jeszcze życie prywatne. Wiesz, co mi właśnie przyszło do głowy?

Nicka nic to nie obchodziło.

- Nie mogę się doczekać, aż mi o tym powiesz.

- Powinieneś wziąć sobie tydzień urlopu. - A po chwili zastanowienia dodał wspaniałomyślnie: - Co tam tydzień. Dwa tygodnie!

Coleman osłupiał. Urlop? Dotąd było to czymś tak odległym, jak spacer po księżycu. A tu nagle taka niespodzianka. Nie, Jerry - pomyślał - tym razem nie dam ci się zwieść. Dobrze wiedział, o co chodzi jego szefowi. Wysyłając Nicka na urlop, Lovestone pchał go w ramiona Jackie.

Ale Nick już dawno przestał wierzyć w dobroduszość swego szefa. Z całą pewnością nie wykorzysta Jackie tak, jakby pragnął tego Lovestone.

- Chętnie - odrzekł bez emocji. - Od kiedy mam iść na ten urlop?

- Uporządkuj swoje sprawy i jutro ma cię tu nie być. - Lovestone wstał. - I dobrze wykorzystaj te dwa tygodnie - rzucił wychodząc.

- Nie omieszkam. - Nick obdarzył szefa lodowatym spojrzeniem.

Jackie czuła się najszcześniejszą osobą pod słońcem. Nick jej wybaczył! Co więcej, znów byli razem. To przeznaczenie rzuciło ją w jego ramiona. Nick należał do niej. Nie liczyło się nic więcej.

Zamiast w poniedziałek pójść prosto do pracy, zamówiła do pokoju fryzjerkę i manicurzystkę, jeszcze raz rozpamiętując słowa Nicka.

Gdy Jackie, mocno spóźniona, przekroczyła próg swego biura, Bernice od razu dostrzegła zmiany w wyglądzie szefowej. I nie chodziło bynajmniej o włosy upięte w finezyjny kok.

Choć Jackie nie dosypiała przez cztery ostatnie doby, z jej twarzy tryskało zdrowie i energia.

- Powinnaś częściej wydawać przyjęcia - stwierdziła sekretarka, przypisując witalność Jackie noworocznej zabawie.

- Powiedz to Arthurowi - zaśmiała się Jackie. - Albo lepiej nie mów, bo ucieknie stąd, gdzie pieprz rośnie.

- A propos Arthura, to szuka cię cały ranek.

- Poproś go - poleciła Jackie, zamieniając się w jednej chwili z rozmazanej i zakochanej dziewczyny we władczą szefową Sand Corporation.

Dyrektor generalny Arthur Scott zjawił się w gabinecie szefowej z grubym plikiem dokumentów.

- Miałas rację - oznajmił rozpromieniony. - Od rana otrzymaliśmy od naszych noworocznych gości już szesnaście propozycji współpracy. Zaznaczyłem te najkorzystniejsze - rzekł, kładąc dokumenty przed Jackie - ale ostatnie słowo należy oczywiście do ciebie.

- Dzięki, Arthurze. - Jackie nawet nie zerknęła na przyniesione przez niego papiery. Zamiast tego z najwyższą uwagą przypatrywała się Scottowi. Tak. Oto człowiek, któremu bez obaw będzie mogła powierzyć Sand Corporation, gdy nadejdzie dzień jej powrotu do domu.

- Sam wybierz oferty warte zachodu. Ufam w słuszność twojej decyzji. - Nie mogła powiedzieć nic więcej. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

Odwróciła się do okna, nie chcąc, by Scott widział łzy w jej oczach. Tęsknota za górami odzywała się w Jackie coraz częściej, a za każdym razem była silniejsza. Himalaje czekały. Tybet czekał. Już wkrótce... - postanowiła.

- Cieszę się z twojego urlopu, Nick, ale niestety nie stać mnie na taki luksus - mówiła z wielkim żalem Jackie, kiedy Coleman zadzwonił, by podzielić się z nią tą nowiną.

- Nie wygospodarujesz nawet dwóch wolnych dni? - Nick spochmurniał.

- Może pod koniec tygodnia - obiecała.

Okazało się, że nie było żadnej aż tak ważnej sprawy, dla której osobista obecność Jackie w firmie byłaby niezbędna.

W czwartek po lunchu dziewczyna zadzwoniła do Nicka.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, zapraszam cię na moje rancho. Nie miał nic przeciwko.

Od frontu wiejska dacza wyglądała właściwie tak samo, jak za poprzedniego właściciela. Zmiany zauważało się dopiero po wejściu do wewnątrz. Zniknęło wiele zbędnych mebli, co uczyniło wnętrze rezydencji o wiele bardziej przestronnym. Ciężkie kotary zastąpiono udrapowanymi finezyjnie firanami. Kiedyś była tu zbieranina różnych sprzętów - od współczesności po osiemnasty wiek. Teraz po przekroczeniu progu budynku odnosiło się wrażenie, że czas się cofnął i że wstąpiło się w dawną epokę.

Nick był zafascynowany zmianami dokonanymi kobiecą ręką. Zaglądał w każdy kąt salonu i co chwila wyrażał swój podziw dla doboru stylu, mebla, czy obrazu.

- Ale najbardziej - powiedział na koniec - podoba mi się ta kanapa w stylu Ludwika XIV.

- To nie jest kanapa w stylu Ludwika XIV - ze śmiechem odparła dziewczyna. - To jest kanapa Ludwika XIV.

Stajnie były akurat w rozbudowie. Jackie zażyczyła sobie jeszcze jednego budynku dla zwierząt.

Na wybiegu biegało kilkanaście koni.

- Niedawno miałas tylko Abigaile - zauważył Nick. - Teraz widzę, że stadko ci się powiększyło.

- Nie wszystkie są moje - powiedziała, patrząc z czułością na kochane stworzenia. - Ich właściciele uznali, że nie obchodzi ich do kogo należy stadnina, byle tylko dobrze dbano o ich konie.

- A czy ja... - zaczął z wahaniem - mógłbym z powrotem umieścić tu...

- Oczywiście - Jackie odgadła jego myśli. - Nie rozumiem, po co w ogóle je stąd zabierałeś? Moje rancho to dom także dla twoich koni.

W ciągu następnych dwóch dni Nick podziwiał nie tylko odmienione rancho Jackie. Zapoznawał się też na nowo z ciałem ukochanej dziewczyny -

i trzeba przyznać, że był bardzo skrupulatny w tym studiowaniu.

W sobotę ich rozkoszną beztroską przerwał telefon z biura Sand Corporation.

- Streszczaj się, szefowo - mówił Arthur Scott. - Szejk Al-Ashmawy zgodził się na nasz układ mimo afrontu, jakiego doznał od ciebie na noworocznym przyjęciu. Za cztery godziny masz samolot do ArRijad w Arabii Saudyjskiej. Tam będzie przesiadka do Ras Tannurah nad samą Zatoką Perską. W Ras Tannurah będzie czekała łódź szejka Al-Ashmawy'ego, która zabierze cię na jego wyspę.

- Zrozumiałam - powiedziała Jackie do słuchawki. - Dzięki.

- Kto to był? - zapytał Nick z posłania, które rzadko opuszczali w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Muszę wyjechać, Nick. - Jackie usiadła na skraju łóżka i ujęła dłoń mężczyzny w swoją. - Wypadła mi bardzo pilna sprawa.

- Trudno. - Nick pogłaskał ją po twarzy. - Zdrzemnę się przez ten czas. Jak wrócisz, to mnie obudź.

- Nie rozumiałeś - rzekła ze smutkiem. - Nie będzie mnie przez kilka, może nawet kilkanaście dni.

W milczeniu zaczęła się ubierać. Nick patrzył na jej ruchy, w duchu przeklinając swój los. Musiała wyjeżdżać akurat teraz, kiedy było im ze sobą tak dobrze?

Gdy była już gotowa do wyjścia, zapytał:

- Dokąd ty właściwie jedziesz?

- Do Londynu - skłamała.

- Nie mógłbym przypadkiem polecieć z tobą? - zaproponował nieśmiało. - Skoro mam urlop...

- Nie, Nick - powiedziała stanowczo. - Także bym tego chciała, ale to niemożliwe. Mimo, że się kochamy, nadal stoimy po przeciwnych stronach barykady.

- Więc twoja podróż na związek z Lovestonem? - zdziwił się. Jackie pocałowała go mocno na pożegnanie, po czym odparła:

- Wszystko, co robię, ma bardzo ścisły związek z Lovestonem, Nick.

Po tych słowach dziewczyna wyszła.

Dlaczego skłamałam? - zastanawiała się, jadąc autostradą w kierunku miasta. - Dlaczego nie powiedziałam Nickowi, dokąd naprawdę jadę? Po chwili Jackie przekonała samą siebie, że uczyniła słusznie. Jak bowiem, bez

ujawnienia powodów, wytłumaczyłaby fakt, że oto zostawia ukochanego i pędzi na złamanie karku by spotkać się z arabskim szejkiem?

Ostatnie, czego potrzebowała, to sceny zazdrości. A powodów wyjazdu wyjawic nie mogła. Jeżeli chciała, by jej plan się powiódł, musiała działać z absolutnego zaskoczenia.

Nie wystarczyło podsunąć Lovestone'owi do kupna kilkunastu nic niewartych firm; dobry biznesman, a Lovestone z całą pewnością do takich należał, prędzej czy później stanie na nogi, najwyżej będzie na przyszłość bardziej czujny w zawieraniu podobnych transakcji.

Tu trzeba było mocnego uderzenia, takiego, od którego zadrży cały świat.

Byle tylko Sal'D Al-Ashmawy się nie rozmyślił. W końcu to będzie nie lada wyczyn - wpłynąć na obniżenie światowych cen ropy naftowej. I to za co w zamian? Za ręcznej roboty naszyjnik z himalajskich diamentów.

W momencie, gdy Jackie rozsiadła się wygodnie w samolocie linii Pan American, jeden z pracowników obsługi lotniska dzwonił właśnie do rezydencji Lovestone'a.

Na wszystkich nowojorskich lotniskach było łącznie osiemnastu ludzi opłacanych przez Jerry'ego Lovestone'a. Ich jedynym zadaniem było informować nieoficjalnego szefa o każdym locie z udziałem Jackie Sand, bądź kogokolwiek z dyrekcji jej firmy.

Ciekawe - pomyślał Lovestone, wysłuchawszy swego informatora - po co ona leci do ArRijad? Był zły, bo nie wiedział, czy stolica Arabii Saudyjskiej to rzeczywisty cel podróży dziewczyny, czy też może uda się ona gdzieś dalej. Żałował, że wcześniej nie przyszło mu do głowy, by kazać śledzić Jackie Sand. A może - przemknęło mu przez myśl - z ArRijad polecą do Katmandu po swoje diamenty?

Postanowił zadbać, by w następną podróż Jackie udała się już ze swoim cieniem.

Tym razem zachowanie szejka Sal'Da Al-Ashmawy'ego w niczym nie przypominało tamtego zbyt pewnego siebie, podpitego mężczyzny z balu noworocznego.

Szejk osobiście czekał na Jackie na brzegu jego własnej wyspy, a gdy dwudziestoczwierometrowa łódź przybiła do brzegu, podał swemu gościowi ramię, pomagając zejść z pokładu.

- Niech wolno mi będzie powitać tę niezwykłą piękność - rzekł czarującym głosem, całując dłoń Jackie. - To zaszczyt dla mojego skromnego domu.

- Witaj, Sal'D. - Jackie czuła się niezręcznie, wciąż jeszcze pamiętając śliski dotyk warg tego mężczyzny na swej szyi. - Miło cię widzieć. - Nie było to szczerze wyznanie.

Szejk musiał wyczuć niechęć w głosie dziewczyny. Bez słowa zajął miejsce za kierownicą land-rovera. Jackie usadowiła się obok.

Gdy dojechali do szczytu niewielkiego wzniesienia, oczom Jackie ukazał się „skromny dom” Sal'Da - bogato zdobiony pałac przywodzący na myśl budowle z baśni tysiąca i jednej nocy, który w zachodzącym słońcu lśnił najczystszy złotem.

- Niezła chatka - tymi słowami Jackie wyraziła swój ogromny podziw.

Sal'D tylko wyszczerzył w uśmiechu nieskazitelnie białe zęby i jeszcze mocniej docisnął pedał gazu. Coraz bardziej zaczynała mu się podobać ta Amerykanka o azjatyckim wychowaniu i dzikim charakterze.

Przy długim stole, który nakryto do kolacji, mogło spokojnie zasiąść ze czterdzieści osób. Tego jednak wieczora siedziały przy nim zaledwie dwie osoby - u jednego szczytu Sal'D Al-Ashmawy, u drugiego zaś Jackie Sand.

Blat stołu bogato przyozdobiono świecznikami i orientalnymi kwiatami. Zza wysokich bukietów Jackie prawie nie widziała gospodarza. O jakiegokolwiek konwersacji nawet nie mogło być mowy - musieliby chyba krzyżeć, chcąc zamienić parę zdań.

Służący bezszelestnie pojawiali się z coraz to nowymi potrawami, a Jackie i Sal'D jedli w milczeniu. Wreszcie, przy deserze, dziewczyna nie wytrzymała. Wybuchnęła wdzięcznym śmiechem, którego echo odbiło się o wysokie ściany olbrzymiej sali jadalnej, przyozdobionej jedynie kindżalami i trofeami myśliwskimi, po czym uniosło się na dalsze komnaty pałacu. Po chwili zawtórował jej śmiech mężczyzny.

Ciągle się śmiejąc, Sal'D wstał ze swego miejsca z pucharkiem deseru w dłoni i przeszedł długą salę, siadając obok Jackie.

- Czy wiesz - zapytał - że właśnie złamałem panującą tu od pokoleń etykietę?

- Doprawdy? - dziewczyna zaśmiała się jeszcze serdeczniej, aż łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak. I wiesz, co jeszcze?

- Nie mam pojęcia - wydusiła z siebie w przerwie między kolejnymi salwami śmiechu.
- Muszę być chyba idiotką, że nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy to uczynić.

To jedno stwierdzenie pomogło Sal'Dowi przełamać wszelkie dzielące ich lody.

Resztę wieczora spędzili gawędząc jak dwoje starych przyjaciół. Miejsce mężczyzny o niemoralnym zachowaniu zajął teraz szarmancki dżentelmen w każdym calu.

Późno w nocy, gdy Jackie w samotności leżała w pałacowym gościnnym apartamencie, jeszcze raz rozważyła wszystkie za i przeciw jej planu.

Tak, Sal'D Al-Ashmawy to z całą pewnością człowiek, który był w stanie jej pomóc. Był obrzydliwie bogaty, a przy tym miał szerokie koneksje i znajomości w całej Zatoce Perskiej. Oby tylko nie żądał zbyt wysokiej ceny za tę pomoc.

Jackie zastanowiła się przez moment, czy istniały dla niej jakiegokolwiek granice mogące powstrzymać ją od zemsty na Lovestone'ie? Dobrze wiedziała, że nie. Jeśli Sal'D zażąda jej ciała, dostanie je, nawet, jeśli miałoby to na zawsze przekreślić miłość Nicka.

Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Jackie spędziła w Arabii Saudyjskiej osiem dni. Osiem cudownych dni, podczas których jeździła konno, nurkowała w wodach Zatoki Perskiej razem z poławiaczami pereł, opalała się i po prostu dobrze się bawiła.

Przez cały ten czas ani razu nie rozmawiała z szejkiem o interesach.

Ani razu też Sal'D nie zapukał do drzwi jej komnaty.

Ósmego dnia Al-Ashmawy odsłonił przed Jackie swój skarbiec. I znów dziewczyna poczuła się jak w baśni tysiąca i jednej nocy. W szklanych gablotach leżały spokojnie brylanty - perły, rubiny i szmaragdy, jedne oprawione w złoto, inne samotnie pyszniły się na atlasowych poduszkach. Naszyjniki, bransolety, brosze i pierścienie były dosłownie wszędzie. Nie brakowało też pucharów przyozdobionych diamentami, złotych figurek, czy nawet świeczników.

- Widzę, że mój naszyjnik nie będzie się tu czuł samotnie - zażartowała.

Sal'D uśmiechnął się także.

- Kolekcjonujemy klejnoty od pokoleń - rzekł. - Przyznam się, że obojście mam dość nikły wkład w tworzenie tego skarbcu, być może dlatego, że niewiele jest już na świecie dzieł, których byśmy nie mieli, a które swym pięknem zasługiwałyby na miejsce tutaj.

- W takim razie - odparła - czuję się zaszczycona, że mój naszyjnik spocznie akurat w twoim skarbcu. - Jackie odpięła biżuterię i podała ją szejkowi.

Sal'D ujął delikatnie naszyjnik w swe ręce, zamknął oczy i wtulił weń swą twarz. - Pachnie górkim wiatrem - szepnął - i promieniami słońca objającymi się od wiecznego śniegu. Widzę górkie łąki porośnięte bujnym kwieciami. Słyszę szum wodospadu i ryk tygrysa. I coś jeszcze - otworzył oczy - bicie serca mistrza, który stworzył to dzieło.

Sal'D wyciągnął rękę z naszyjnikiem z powrotem w stronę dziewczyny.

- Nie mogę tego przyjąć - powiedział nieoczekiwanie. - Te klejnoty mają dla ciebie najwyższą wartość. Kimże jestem, by cię ich pozbawiać?

Jackie zbliżyła się do szejka, wzięła w dłoń jego rękę trzymającą naszyjnik i zacisnęła na biżuterii jego palce.

- Może to nienormalne - rzekła, patrząc Arabowi prosto w czarne oczy - ale pozbawienie Lovestone'a wszystkiego, co posiada, ma dla mnie wartość jeszcze większą. Z radością pozbędę się tego naszyjnika, byle tylko móc dopiąć swego.

Bliskość dziewczyny i dotyk jej dłoni sprawiły, że w sercu mężczyzny niebezpiecznie zaczęło budzić się pożądanie. Zapragnął kochać się z nią tu, w skarbcu pałacu, wśród tylu nieprzebranych skarbów. Był pewien, że nie napotka najmniejszego oporu z jej strony. Ale jednocześnie nie opuszczała go świadomość, że nawet jeśli Jackie mu się odda, będzie to miłość sztuczna i bez przyszłości.

A Sal'D pragnął, by Jackie go kochała. W ciągu tych kilku dni zdał sobie sprawę, jak ubogie było dotąd jego życie w pełnym bajecznego przepychu lecz smutnym pałacu. Wraz z Jackie zawitała na wyspę radość. Wdzięczny śmiech dziewczyny rozbrzmiewający po całym pałacu ożywił to miejsce, czyniąc je jeszcze piękniejszym.

O, gdybyż mógł na zawsze zatrzymać przy sobie tę piękną, młodą kobietę.

Ale Jackie stała przed nim chłodna i nieprzystępna, mierząc go beznamiętnym wzrokiem. Szczęściarz z tego Colemana - pomyślał szejk. - Na niego patrzyła zupełnie inaczej.

- Dostaniesz to, o co prosisz - rzekł, układając naszyjnik na atlasowej poduszce w gablocie. - Najpóźniej do końca kwietnia wykupię Lovestone Mining. Gdy ceny ropy naftowej zaczną spadać, Lovestone przyjmie ode mnie każdą sumę, jaką mu zaproponuję w zamian za jego firmę.

Rozdział XXI

- **J**adę do Trenton po Vanesę - oznajmiła Barbara Lovestone byłemu mężowi przez telefon. - Pomyślałam, że chciałbyś mi towarzyszyć.

- Cóż... Ja... - Jerry Lovestone nie miał najmniejszego zamiaru oglądać własnej córki, ani teraz, ani kiedykolwiek. - Za godzinę mam spotkanie...

- Coleman nie może cię zastąpić? - dopytywała się Barbara.

- Jest na urlopie - omal nie wypowiedział tego zdania z radością.

Barbara pojechała po córkę sama.

Vanessa spędziła w Prywatnej Klinice Neurologicznej w Trenton trzy długie miesiące. Terapia doktora Brackleya wreszcie przyniosła zamierzony skutek. Dziewczyna przysięgła sobie, że nigdy więcej nie tknie alkoholu ni narkotyków. Zrozumiała, że pod ich wpływem traci się samokontrolę i jasność myślenia.

A ona potrzebowała olbrzymiej jasności umysłu, by zrealizować swój szatański plan.

Dotąd trzema najważniejszymi pryncypiami Vanessy był seks, dopiero na czwartym miejscu dziewczyna stawiała pieniądze. Teraz, kiedy pod wpływem lekarstw jej chorobliwy pociąg seksualny stopniał zupełnie, posiadanie pieniędzy stało się jej najwyższym celem.

Sprawę skomplikował nieco rozwód rodziców i podzielenie New York Oil. Po rozwodzie Jerry Lovestone przeznaczył córce dożywotnią rentę w wysokości trzystu dolarów tygodniowo, sumę zakrawającą na ironię, gdyż na same tylko buty Vanessa potrzebowała trzykrotnie więcej.

Pozostawała jeszcze matka, wiecznie zagubiona Barbara Lovestone, ale ona nie zamierzała dawać Vanessie do ręki żadnej gotówki.

- Po co ci pieniądze? - mówiła. - U mnie będziesz miała wszystko, czego będziesz potrzebować. Póki żyję i póki istnieje Wiedermann Hotels, nie zabraknie ci niczego.

Ale Vanessa potrzebowała akurat pieniędzy. Nie po to, żeby móc je wydawać. Ona chciała po prostu je posiadać.

A sposób na to, by zaspokoić to pragnienie, był niezwykle prosty.

Wystarczyło zabić matkę.

Z okna swego pokoju Vanessa widziała, jak biały, lśniący mercedes Barbary zajeżdżał przed klinikę. Jak burza wypadła wówczas na korytarz i, natknąwszy się w holu na matkę, rzuciła się jej w ramiona.

- Mamusiu - łkała wzruszona. - Tak się cieszę, że po mnie przyjechałaś.

Barbara także wzruszyła się tym powitaniem. Nie pamiętała, kiedy córka tak wylewnie okazała jej swą miłość. Jedyne, co była w stanie zrobić, to pogłaskać córkę po jasnych włosach, które podczas pobytu w Trenton zdążyły już urosnąć do ramion.

- Zabieraj się z tego okropnego miejsca - powiedziała. - Wracamy do domu.

Późnym wieczorem samolot z ArRijad wylądował na płycie lotniska Kennedy'ego. Jackie była zaskoczona, jak bardzo stęskniła się za Nowym Jorkiem.

Prosto z lotniska udała się do mieszkania Nicka.

- Wróciłam - szepnęła, zarzuciwszy mu ręce na szyję.

- Jak tam londyńskie interesy? - zapytał zasypując jej twarz gradem pocałunków.

- Nad wyraz udane - odparła, pozwalając mu zaprowadzić się do sypialni.

Kiedy nadrobili kilkudniowe zaległości i nasycili wreszcie sobą swe ciała, Jackie zaryzykowała pytanie:

- A jak się miewa mój przeciwnik?

Mimo wszystko Nick nie rozgniewał się, tylko powiedział wesoło:

- Dzięki twoim ukrytym działaniom, mój szef jeszcze nieprędko będzie święcił triumfy powrotu do dawnej świetności. - Po chwili zasępił się. - Nie powinienem ci tego mówić - zaczął z wahaniem - ale Lovestone przejrzał twoje plany dotyczące Nepalu.

- Moje plany? - Jackie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - A jakież one są, jeśli mogę spytać? - zapytała ze śmiechem.

- Przecież pochwaliłaś się nimi na noworocznym przyjęciu, nie pamiętasz? Co najmniej kilkanaście osób słyszało, jak zamierzasz zawojować Nepal.

- Ach tak? Chodzi ci o hotele! Ale to jeszcze nie pewnego...
- Nie chodzi mi o hotele - Nick spoważniał. - A już na pewno nie chodzi o nie Lovestone'owi. On jest przekonany, że chcesz założyć w Nepalu kopalnię diamentów.

I bardzo dobrze! - pomyślała Jackie. Szkoda tylko, że tym razem faktycznie potrzebowała Nicka jako przynęty.

- Jeśli nawet tak jest w istocie - powiedziała z jakimś błyskiem w oku - to Lovestone nie zdoła mi w tym przeszkodzić.

Była pewna, że Nick użyje teraz wszelkich możliwych argumentów, byle odwieść Lovestone'a od pomysłu założenia kopalni diamentów w Nepalu, zanim uczyni to Jackie. Oby tylko nie był w tym zbyt przekonujący.

Oficjalny raport z pierwszych miesięcy działalności Lovestone Mining nie pozostawiał cienia wątpliwości co do tego, że firma stała na skraju bankructwa.

Pod koniec stycznia główny księgowy firmy, Norman Dovers, przedstawił szefowi bilans za ubiegły rok. Obaj wiedzieli, że interesy idą źle, ale to, co Lovestone ujrzał na komputerowym wydruku, przerosło jego najgorsze obawy.

- Mój Boże - jęknął.
- Bóg nic tu nie pomoże, Jerry - odparł Dovers. - Prawdę mówiąc, nikt tu już nie pomoże. Na twoim miejscu wyprzedałbym najszybciej resztki Lovestone Mining, zanim ktokolwiek się zorientuje, że są niewiele warte.

- Nigdy tego nie zrobię - odrzekł Lovestone chłodnym tonem.

Wziął raport i udał się do gabinetu Colemana.

- Zobacz - rzucił papiery na biurko swego zastępcy - do czego doprowadziła nas twoja kochanka! W dalszym ciągu stoisz po jej stronie?

- To nie wina Jackie - zaproponował Nick - że źle lokowałeś kapitał firmy. Chciałeś się szybko wzbogacić, więc teraz widzisz tego efekty. I nie jestem po niczyjej stronie - dodał ze złością. - Spotykam się z Jackie Sand i pracuję u ciebie, gdyż jedno nie wyklucza drugiego. Jestem uczciwy, Jerry! Nie będę szpiegował ani dla niej, ani dla ciebie.

Faktycznie to jedno trzeba było przyznać Nickowi. Był do bólu uczciwy. A przez to tym łatwiej było nim kierować.

- Chcę, byś coś dla mnie zrobił - powiedział Lovestone, a widząc wściekłe spojrzenie Nicka, dodał szybko: - Coś jak najbardziej uczciwego i zgodnego z prawem.

- Co tym razem? - westchnął Coleman.

- Sprzedaj wszystkie nasze filie, które nie mają nic wspólnego z ropą naftową.

- Zwariowałeś? - Nick wytrzeszczył oczy ze zdumienia. - I niby w czym ma to nam pomóc?

Na wargach Lovestone'a pojawił się uśmiech.

- Te filie są jak kule u nogi - odparł. - A okręt, który idzie na dno, nie potrzebuje balastu i musi się go pozbyć.

Nick przerzucił wzrokiem pierwszą stronę raportu o stanie finansów firmy.

- Ale niektóre z nich są bardzo rentowne - stwierdził.

- Mój drogi - rzekł Lovestone tonem dobrotliwego wujaszka - mój ojciec wzbogacił się dzięki ropie naftowej, a ja zamierzam pójść w jego ślady. Ropa naftowa to przyszłość! - rozmarzył się. - Nie potrzebujemy babrać się w niczym innym.

- W dalszym ciągu uważam, że nie powinniśmy stosować strategii defensywnej i wycofywać się z różnorodnych branży niezwiązanych z ropą naftową. Co będzie, gdy z jakichś przyczyn ropa naftowa nie da nam spodziewanych profitów? Stawiając na jedną branżę, możemy pewnego dnia pozostać z niczym.

- Co ma nie wyjść? - roześmiał się Lovestone. - Człowieku! Z ropą ma nie wyjść? Nareszcie Lovestone Mining stanie się tym, czym powinna być od samego początku - firmą wyłącznie wydobywającą ropę naftową. Produkcowanie koronkowych majtek i kremów do twarzy zostawiam innym.

Nie było sensu sprzeczać się z postanowieniami Wielkiego Prezesa, nawet jeśli tylko on sam wierzył w ich powodzenie.

Zmiany, jakie uczyniła terapia w Trenton, były wprost nie do pojęcia. Teraz Vanessą ujmowała wszystkich niezwykłą u niej pogodą ducha. Dobroć emanowała z tej dziewczyny na każdym kroku.

Barbara nie poznawała własnej córki. Czy to możliwe, by kilka tabletek uspokajających tak odmieniło Vanessę? Zamiast tego dociekać, Barbara radowała się teraz każdym dniem spędzonym z córką.

Chodziły razem na zakupy i do salonów piękności. Jeździły do Europy, spacerowały po plaży. Czasem po prostu plotkowały w apartamencie nowojorskiego hotelu Wiedermann, chichocząc przy tym jak uczennice.

O czymś takim Barbara marzyła od zawsze. Teraz jej mała córeczka wróciła na nowo. I należała tylko do niej.

A Vanessa czekała...

Łatwo jest wytyczyć sobie cel. Trudniej jest go zrealizować, zwłaszcza wtedy, gdy w grę ma wchodzić morderstwo doskonałe.

Vanessa nie mogła po nocach spać, tak gorliwie obmyślała sposób pozbycia się matki. Należało działać niezwykle ostrożnie i precyzyjnie. Otrucie czy wypchnięcie z okna nie wchodziły w rachubę - było to zbyt banalne. Poza tym, jako jedyne dziecko Lovestone'ów i dziedziczka ogromnej fortuny, Vanessa byłaby podejrzaną numer jeden.

Więc co? Porażenie prądem podczas kąpieli? Vanessa rzuciła się na łóżku ze zdenerwowania. To także chybiony pomysł. Musiałaby być daleko stąd, gdy to się stanie. Tylko jeśli zdobędzie żelazne alibi, będzie mogła korzystać z pieniędzy matki.

Dlaczego po prostu nie wynając płatnego mordercy? - szdyżiła sama z siebie. - Wtedy podejrzenie padnie na kogokolwiek.

I nagle usiadła wyprostowana na łóżku. Ta prosta myśl ją poraziła.

Dlaczego nie zrobić w to wszystko ojca? Albo Colemana?

Dalszym knowaniom Vanessy pomógł przypadek. Ostatecznie to Jackie Sand miała ponieść karę za zabicie Barbary Lovestone.

Następnego dnia rano, kiedy matka i córka jadły śniadanie w hotelowym apartamencie, nieoczekiwanie zjawiała się Jackie Sand.

Od podziału New York Oil jej wizyty u Barbary były dość częste, jako że Jackie zarządzała teraz całą siecią Wiedermann Hotels i każdą swą planowaną decyzję uzgadniała najpierw z właścicielką sieci.

Dla Barbary było właściwie wszystko jedno, jak prowadzone są hotele, byle tylko starczało na utrzymanie jej i jej córki.

Aż do tego dnia.

- Po co chcesz wznosić nowe hotele Wiedermann w Nepalu? - zapytała Barbara, zaglądając do przyniesionego przez Jackie projektu poszerzenia sieci. - Czy sądzisz, że nie wystarcza mi tych, które już mam?

Nie pojmowała, czego jeszcze chce Jackie Sand. Przecież odzyskała spałek, upokarzając przy tym Jerry'ego. Niech sobie buduje własne hotele, jeśli

tak jej zależy na zyskach. Barbara nie pragnęła nic, prócz dalszego towarzystwa córki.

- Nie, Jackie - dodała stanowczo. - Nie potrzebuję hoteli w Nepalu.

- Za to ja ich potrzebuję - powiedziała cicho Jackie.

- Czemu zatem nie założysz własnej sieci? - zdziwiła się Barbara. Jackie spojrzała na Vanessę, która zdawała się nie interesować ich rozmową. Zajadała w najlepsze grzanki i tępym wzrokiem patrzyła gdzieś przed siebie. Przy Vanessie jednak Jackie nie mogła powiedzieć wszystkiego.

- To nie takie proste - zaczęła w końcu. - Hotele Wiedermann mają renomę wyrobioną przez dziesięciolecia. Znacznie łatwiej będzie mi wydzierżawić w Nepalu tereny pod budowę hoteli znanej marki, niż przekonać rząd co do słuszności budowania nieznanym nikomu hoteli Sand.

- Wybacz - odparła Barbara - ale niepotrzebnie próbujesz mnie przekonywać. Nie zgadzam się, by w Nepalu powstały hotele Wiedermann.

- Szkoda - westchnęła Jackie, wstając. - W ten sposób odrzucasz możliwość zarobienia wielu milionów dolarów.

Na te słowa Vanessa wyraźnie drgnęła.

- Jeśli tylko to się dla ciebie liczy - powiedziała smutno Barbara - to wiedz, że gorzko mnie rozczarowałaś.

Jackie wzruszyła ramionami, jakby nic jej nie obchodziły te słowa i zabrawszy przyniesiony projekt, wyszła bez słowa pożegnania.

Vanessa nie rozumiała, jak można być tak głupią, jak jej matka. Skoro jest możliwość zarobienia dużych pieniędzy, to dlaczego z niej nie skorzystać?

- Może jeszcze raz to przemyślisz, mamó? - zaproponowała z niewinnym uśmiechem. - Jeśli Jackie jednak ma rację, to...

- Jackie Sand - przerwała jej matka - z całą pewnością ma rację, drogie dziecko. Ale ja już nie chcę żadnych zmian w moim życiu. Wiedermann Hotels to firma dostatecznie silna, by zapewnić luksusowe życie i mnie i tobie. Wierz mi, Vanesso, nie potrzebujemy dodatkowych zysków. Starczy nam tego, co mamy.

Wariatka! - skwitowała słowa matki Vanessa. - Jak można wyrzekać się pieniędzy?!

- A jeśli - wolała się upewnić - Jackie Sand jednak się uprze? Przecież dałaś jej swoje pełnomocnictwo. Ona nawet nie musi pytać cię o zgodę, a ty,

znając twój brak zainteresowania firmą, nawet byś się nie zorientowała, że hotele Wiedermann wyrastają w Nepalu jak grzyby po deszczu. - Przynajmniej ja bym tak zrobiła, dodała w myślach.

- Jackie jest na to zbyt uczciwa. Po mojej śmierci będzie mogła dowolnie przekształcać Wiedermann Hotels, na razie jednak musi liczyć się z moim zdaniem.

- Sądziłam - nieśmiało powiedziała Vanessa - że większym zaufaniem darzysz własną córkę, a nie jakąś przybłędę z gór.

- Nie martw się, kochanie - Barbara popatrzyła na nią z miłością. - Jackie Sand ma tylko zarządzać naszym przedsiębiorstwem. Gdy umrę, ty staniesz się właścicielką firmy.

Vanessa radośnie sięgnęła po kolejną grzanekę. Różnica zdań pomiędzy matką a Jackie tylko ułatwiała sprawę.

Był już domniemany sprawca zbrodni, teraz istniał też motyw. Brakowało jedynie samej zbrodni, ale śmierć Barbary była już tylko kwestią czasu.

Vanessa nie mogła wiedzieć, że jeszcze tego samego dnia obie kobiety spotkały się w mieście i że Barbara, wysłuchawszy rzeczywistych powodów, dla których Jackie zamierzała wydzierzawić tereny w Nepalu, zgodziła się ostatecznie, by hotele Wiedermann zaistniały także u podnóża najwyższych gór świata.

Tym razem to Sand Corporation miała sprawować pełną kontrolę nad nepalskim przedsięwzięciem oraz brać czynny udział w zyskach.

Rozpoczęto gorączkowe przygotowania do wyjazdu. Jackie Sand miała lecieć do Katmandu z Arthurem Scottem oraz jeszcze dwiema osobami z branży hotelarskiej.

Specjaliści od wytyczania gruntów pod budowę hoteli mieli czekać w pogotowiu w Nowym Jorku. Nie było sensu, by leciała od razu cała ekipa. Zawsze przecież istniała ewentualność, że władze Nepalu w ogóle projektu nie zaakceptują.

Jakkolwiek Jackie była dobrej myśli, w razie czego użyje najbardziej przekonującego argumentu - jeszcze nie słyszała, by w Nepalu zawiodła łapówka.

Spotkanie z premierem Nepalu, Manem Mohanem Adhiharim, było ustalone na dziewiątego marca, czyli za niecałe dwa tygodnie. Do tego czasu należało sporządzić wszelką potrzebną dokumentację.

Pracownicy Sand Corporation uwijali się jak mrówki. Jackie spędzała w biurze długie godziny, nie chcąc zaniedbać niczego przed tak ważnym przedsięwzięciem. Prawie w ogóle nie miała teraz czasu dla Nicka.

- Ty rzeczywiście zamierzasz zapelnąć Nepal hotelami Wiedermann - Nickowi nie podobało się to całe zamieszanie z poszerzeniem firmy Barbary Lovestone.

- Oczywiście - odpowiedziała z radosnym uśmiechem i podkrążonymi ze zmęczenia oczami. - To właśnie zamierzam.

- Przystopuj choć trochę. - Martwił się jej wyglądem.

- Dopiero wtedy, gdy skończę z tymi wszystkimi obrzydliwymi papierzyskami - ruchem głowy wskazała na piętrzący się przed nią plik dokumentów.

Mario Dala, niewysoki, barczysty dwudziestosiedmioletni Latynos, szorował właśnie pokład nieskazitelnie białej, osiemnastometrowej łodzi należącej do jednego z nowojorskich przemysłowców. Czynność tę wykonywał prawie od roku, wciąż jednak miał odczucie, że uwłacza ona jego męskiej godności. Nie po to przecież zaliczył dwa lata studiów biologicznych, by być teraz zwykłym posługaczem na przystani.

Odkąd pamiętał, jego marzeniem była praca przy węzach - te stworzenia były mu naprawdę bliskie.

Jeszcze półtora roku temu Dala realizował swoje marzenia, miał dobrą posadę w laboratorium przy stałej ekspozycji węży w Miami na Florydzie.

Lecz chciwość - ta drobna ludzka przypadłość zdolna powalać imperia, nie oszczędziła młodego Meksykanina. Bardzo szybko pojął, że zarobi znacznie więcej, kradnąc jad węży z laboratorium i sprzedając go na czarnym rynku. Problem polegał na tym, by nie zostać wykrytym.

Z początku Dala kradł małe ilości cennej substancji. Z biegiem czasu jednak czuł się coraz pewniej. Coraz więcej też jadu znikało z laboratorium.

Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo, zważywszy, że laboratorium liczyło się z każdą kroplą węzowego jadu. Wkrótce też ujęto złodzieja. Pewna asystentka weszła do pomieszczenia z próbkami akurat w momencie, gdy Dala usiłował doprowadzić kolejną porcję cieczy.

Przylapano na gorącym uczynku, Meksykanin dość mglście tłumaczył swą obecność w miejscu, w którym nie miał prawa przebywać.

Z braku jednoznacznych dowodów winy nie oskarżono Dali o kradzież, jakkolwiek laboratorium nie chciało już mieć nic wspólnego z niesubordynowanym pracownikiem. Dale zwolniono, kradzieże ustały.

Mario Dala próbował znaleźć pracę w innych miejscach, gdzie mógłby mieć do czynienia z węzami, jednak laboratorium, w którym pracował do tej pory, nie omieszczało poinformować ludzi z branży o dziwnym związku byłego pracownika ze znikaniem jadu węży.

Tak więc Dala musiał zrezygnować ze swoich marzeń i zajął się bardziej intratnym zajęciem - kradzieżą samochodów. Znów jednak popadł w konflikt, tym razem ze świadkiem przestępczym Miami, gdyż tak zaniżał ceny kradzionych aut, że mało brakowało, a dotychczasowi gangsterzy pozostaliby bez pracy.

Wkrótce też miejscowy boss mafii zaprosił Dale na poufną rozmowę w interesach, po której Meksykanin nie miał już trzech zębów, został mu za to złamany nos i dwa pęknięte żebra.

Ta rozmowa ostatecznie przekonała Dale, że klimat Florydy niekorzystnie wpływa na jego zdrowie; w efekcie przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie zatrudnił się na przystani, a po godzinach dorabiał jako chłopak do towarzysztwa próżnych dam, z których ogromna większość już dawno przekroczyła magiczną pięćdziesiątkę.

Czasem trafiały się młodsze klientki - zdradzane, niekochane żony pragnące odplacać mężom pięknym za nadobne, bądź szukające rozrywki, rozkapryszone nastolatki.

Z tych ostatnich szczególnie jedna zapadła Dali głęboko w pamięć. Była młoda, piękna i wymagała od niego niestworzonych wprost rzeczy, ale też i najwięcej płaciła. Nazywała się Vanessa Lovestone. Szkoda, że od pół roku nie dawała znaku życia. Pewnie wyszła za mąż i mężulek ukrócił jej młodzińcze zapędy.

Dala nigdy nie mógł zrozumieć, co skłaniało tę dziewczynę do poszukiwania i utrzymywania kontaktów z mężczyznami jego pokroju. Przecież jako dziedziczka ogromnej fortuny mogła przebierać w bogatych kawalerach do woli.

Dala zakończył zmuszone zajęcie czyszczenia pokładu i cisnął szmatę do kubła. Potem wstał, rozprostował plecy i odetchnął z ulgą. Nie miał na dziś żadnych klientek, mógł spokojnie wypocząć.

Łodzie, oświetlone promieniami zachodzącego słońca, kołysały się lekko na wietrze.

Meksykanin zapalił papierosa i ruszył w kierunku swego starego austina, zaparkowanego tuż przy molo. Na przystani nie było widać żywej duszy.

Dala właśnie otwierał drzwi auta, gdy za plecami rozległ się odgłos czyich kroków. Odwrócił się gwałtownie.

Tuż za nim stała młoda kobieta o długich rudych włosach zebranych w koński ogon.

- To ty? - Dala z trudem rozpoznał w niej swą dawną klientkę. - Jeszcze pół roku temu byłaś blondi. Głupio wyglądasz z rudymi włosami.

- Potrzebuję cię, Mario - odparła poważnie Vanessa Lovestone, puszczając mimo uszu uwagę na temat rudej peruki.

- Jestem do twoich usług - uśmiechnął się szarmancko. - Jak zwykle zresztą. Zaczynałem nawet tęsknić.

Podszedł do niej, chcąc ją pocałować, ona jednak cofnęła się z obrzydzeniem. - Leki powodowały u niej „dosłownie wstręt do mężczyzn.

- Nie o taką usługę mi chodzi - powiedziała z wyższością. - Nie tym razem.

- Więc czego chcesz? - Dala nonszalancko oparł się o maskę samochodu i zaciągnął się głęboko papierosem.

- Chcę dać ci możliwość zarobienia pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Dala aż zakrztusił się dymem z wrażenia.

- Pięć... dziesiąt... tysięcy...? - powtórzył kaszłąc.

- Dokładnie - rzekła, wpatrując się niewzruszenie w załzawione od kaszlu oczy mężczyzny. - Dwadzieścia teraz, resztę po robocie.

- Co miałbym zrobić?

- Włóżysz coś do pewnego samochodu.

Dala podrapał się za głowę.

- No... - zastanawiał się - z samochodem nie będzie problemu. Umieć przełamywać najwymyślniejsze zabezpieczenia... Sam nie wiem.

- Dam ci po prostu zapasowy klucz.

- Czemu sama tego nie zrobisz?

- Bo nie mam tej rzeczy, którą trzeba włożyć do samochodu. Ty musisz ją ukraść.

- Ukraść?! - Dala wzdrygnął się na samo wspomnienie złodziejskich porażek w Miami. - Co niby mam ukraść?

- Dowiesz się dopiero wtedy, gdy się zgodzisz.
- Za pięćdziesiąt patoli? - zachnął się. - Ukradnę wszystko, co zechcesz, byle by nie pochodziło to z sejfów bankowych.
- Nie, nie z sejfów - Vanessa po raz pierwszy podczas tej rozmowy uśmiechnęła się. - Właściwie sama nie wiem, skąd to wytrzaśniesz. Jestem za to przekonana, że ty będziesz doskonale wiedział, gdzie tego szukać.
- Strasznie jesteś tajemnicza. Co to za rzecz?
- Wąż - odparła, a jej spojrzenie stało się lodowato zimne. - Najbardziej jadowity wąż z jakim w ogóle można mieć do czynienia.

W sobotę, ostatniego dnia lutego, Jackie uznała, że należy jej się trochę wolnego. Była przygotowana do wyjazdu z najdrobniejszymi szczegółami. Już w piątek, szóstego marca, miała ponownie zobaczyć ukochane góry.

Zadzwoiła do Nicka i razem wybrali się na ranczo.

I wtedy jej stan zdrowia nieoczekiwanie się pogorszył.

Przejeżdżali właśnie konno przez brzozy zagajnik, gdy Jackie pobladała gwałtownie, ogarnęła ją fala mdłości, a ból głowy stał się nie do zniesienia.

- Mówiłem, że za ciężko pracujesz - rzekł Nick z wyrzutem, odwracając dyskretnie głowę, podczas gdy Jackie, przewieszona przez powaloną wiatrem brzozę, zwymiotowała cały lunch.

Już od jakiegoś czasu dręczyły ją mdłości oraz bóle i zawroty głowy, jednak przypisywała to podnieceniu z powodu wyjazdu do Nepalu.

- Powinnaś pójść do lekarza - martwił się Nick.
- Nic mi nie będzie - powiedziała tylko.

Jednak na drugi dzień sytuacja się powtórzyła, akurat w momencie, gdy służąca podała im do łóżka śniadanie. Poczawszy zapach świeżo zaparzonej kawy, Jackie zerwała się z posłania i czym prędzej pognąła do łazienki. Tym razem, oprócz wymiotów, pojawił się jeszcze dokuczliwy ból brzucha. Cienka strużka czerwonej cieczy wypłynęła spomiędzy ud dziewczyny.

- Słuchaj, a może ty jesteś w ciąży? - zapytał Nick, kiedy wróciła do sypialni.

- Nie jestem - odparła stanowczo. - Właśnie dostałam okres.

Właściwie do tej pory sama się o to podejrzewała. Miesiączka opóźniła się aż dwa miesiące. Ale takie opóźnienia, oprócz ciąży, mogły wywołać też

częste podróże, zmiany klimatu oraz zmęczenie. Jackie miała zrobić test ciążowy, ale dopiero po powrocie z Nepalu. Nie miała nic przeciwko ciąży, ale nie chciała, by cokolwiek poza interesami zakłócało jej myśli w najbliższych dniach. Teraz nie było to istotne. Pojawiło się krwawienie. Nie była w ciąży, ale fakt ten, zamiast sprawić, że odetchnie z ulgą, wprawił ją tylko w przygnębienie.

W ośrodku o nazwie Serpentarium świat Gadów w St. Cloud na Florydzie przebywały tysiące egzotycznych węży z całego świata. Ich jad sprzedawano laboratoriom medycznym, a jego pozyskiwanie odbywało się zazwyczaj na oczach turystów, którzy mogli podziwiać to wymagające precyzji zajęcie przez szyby z grubego szkła.

Cały rytuał pobierania jadu polegał na tym, że hakiem przenoszono gada ze skrzyni na stół, następnie za pomocą specjalnych widełek asystent przyciskał węża do stołu, zaś osoba pobierająca jad chwyciła gada gołymi rękami i wcisnęła jego głowę w plastikową folię przykrywającą zlewkę. Wówczas do naczynia zaczynał spływać jad. Zajęcie było niebezpieczne, mogłoby się zdarzyć, że zwierzę wymknie się spod kontroli człowieka i ukąsi go. Należało zachować szczególną ostrożność, bowiem ukąszenie to mogło mieć skutki śmiertelne.

Również i tego dnia turyści czekali w napięciu na ten niecodzienny widok.

Właśnie miano przystąpić do pobierania jadu od najgroźniejszego, a zarazem dającego najwięcej jadu węża w całym terrarium - kobry królewskiej. Wąż ten, w porównaniu z innymi jadowitymi gadami, wydziela o wiele więcej trucizny. Podczas gdy od węża koralowego można uzyskać jednorazowo tylko dwie krople jadu, kobra królewska potrafi wyprodukować całą łyżkę stołową tej substancji.

Christopher Daniels, od lat pracujący w Serpentarium, ujął w ręce osadzony na długim trzonku specjalny hak do chwytania węży i dał znak swojej asystentce, Isabel Kearns, by otworzyła skrzynię. Kobieta ostrożnie odsunęła wieko drewnianej klatki. Kobra w każdej chwili mogła zaatakować. Daniels powoli podszedł do skrzyni, zjrzał do środka i zamarł z przerażenia. Hak do chwytania węży z głośnym hukiem upadł na podłogę.

Skrzynia była pusta!

Natychmiast wszczęto alarm. Wszystkie osoby ewakuowano na zewnątrz budynku. Do akcji poszukiwawczej natychmiast wkroczyły odpowiednie służby weterynaryjne i straż pożarna.

Gorączkowe kilkugodzinne przeszukiwanie ośrodka nie dało żadnych rezultatów.

Kobra zniknęła.

W środę rano Jackie siedziała w swoim gabinecie i po raz tysięczny chyba przeglądała dokumentację związaną z ich podróżą do Nepalu, gdy do pokoju wszedł Arthur Scott.

- Jesteś nareszcie - zawołała. - Już zaczynałam się martwić, że utknąłeś w korku.

Scott wrócił właśnie z hotelu Wiedermann, gdzie Barbara Lovestone podpisała potrzebne pełnomocnictwa.

- Powinno być wszystko - położył przed szefową teczkę z dokumentami - ale przejrzyj też i to.

- Vanessa też tam była? - zapytała Jackie, przekładając kartki przyniesionych przez Scotta papierów. Śmieszyła ją ta nierozłączność matki z córką. Jackie ani na moment nie uwierzyła w cudowną metamorfozę Vanessy.

- Na szczęście nie. - Arthur także nie pałał sympatią dla córki Lovestone'ów. - Podobno wyjechała do Europy na kilka dni.

- Pewnie Barbara uznała, że Vanessa jest już wystarczająco oswojona, by spuścić ją z łańcucha - roześmiała się Jackie. - Cholera jasna! - zaklęła w pewnym momencie. - Brak dwóch podpisów Barbary!

- Nie wiem, jak mogłem to przeoczyć - zmartwił się Scott. - Przecież pokazywałem jej palcem, co ma wpisywać i gdzie. Daj mi to - sięgnął po dokumenty. - Pojadę do hotelu jeszcze raz.

- Nie, Arthurze, sama tam pojadę. Przy okazji pożegnaj się z Barbarą. Ty przez ten czas dopilnuj tu wszystkiego. Za... - spojrzała na zegarek - niecałe cztery godziny będziemy już w powietrzu.

W hotelowym apartamencie Barbary Lovestone rozdzwonił się telefon.

- Słucham? - zapytała, podnosząc słuchawkę, a po chwili dodała zdziwiona: - To ty córeczko? Jak ci się podoba Wenecja?

Vanessa dwa dni wcześniej wyjechała do Europy. Matka osobiście odwiozła ją na lotnisko.

- Nie jestem w Wenecji, mam - rozległ się zrozpaczony głos córki.
- Nie? - teraz Barbara była całkowicie zaskoczona. - A gdzie?
- Tu, w Nowym Jorku. - Vanessa mówiła bardzo szybko. - Zostałam zatrzymana na lotnisku za posiadanie narkotyków... Tylko że ja nie mam pojęcia, skąd w moim bagażu wzięły się narkotyki. Ktoś próbuje mnie wrobić! Przysięgam, mam, że to nie moje narkotyki! Policja dopiero teraz pozwoliła mi zadzwonić. Przyjedź po mnie, mam...

Pod Barbarą ugięły się nogi. Koszmar powrócił. Mimo całego leczenia nie udało się skutecznie wyciągnąć córki z nałogu.

- Gdzie dokładnie jesteś? - zapytała łamiącym się głosem.
- Na lotnisku Kennedy'ego. Trzymają mnie tu od dwóch dni. Powiedziałam, że przyjedziesz po mnie białym mercedesem, podałam też numery rejestracyjne. Wystarczy, że zatrzymasz się przed głównym wejściem, a ktoś z obsługi lotniska natychmiast przyprowadzi cię do mnie.

- Nie wiem, czy będę w stanie prowadzić. - Barbara była załamana. Nawet przez myśl jej nie przeszło, dlaczego nikt z obsługi lotniska nie skontaktował się z nią wcześniej.

- Musisz, mam! - błagała Vanessa. - Nie wolno ci wziąć taksówki!

- Dobrze, córeczko - zgodziła się. - Nie denerwuj się i czekaj na mnie. Zaraz tam będę.

- Liczę na ciebie, mam - Vanessa odłożyła słuchawkę i z uśmiechem zadowolenia wyjrzała przez okno hotelowego pokoju.

Wenecja właśnie budziła się ze snu.

Vanessa zastanawiała się, ile minut dzieli ją od zdobycia ogromnej fortuny jej matki. Kilka? A może kilkanaście?

Tyle, ile zajmie Barbarze zjechać windą do garaży i zajęcie miejsca za kierownicą białego mercedesa.

Oprócz sporego parkingu przed budynkiem, nowojorski hotel Wiedermann posiadał w swych podziemiach jeszcze dwie kondygnacje przeznaczone dla samochodów gości.

Normalnie Jackie zaparkowałyby przed budynkiem, ale gdy zadzwoniła do Barbary, powiedziano jej w recepcji, że pani Lovestone właśnie opuściła hotel.

Jackie musiała za wszelką cenę dorwać Barbarę. Bez wszystkich jej podpisów podróż do Nepalu nie miałyby sensu.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, gdy przejeżdżając przez pierwszą kondygnację garaży, zauważyła lśniącą bielą mercedesa i kobietę wsiadającą do

środka. Zaparkowała nieopodal, zgasiła silnik i z teczką pełną dokumentów wyszła się ze swego volvo.

I wtedy przez podziemia hotelu Wiedermann przebiegł rozpaczliwy krzyk. Nie ulegało wątpliwości, że był to krzyk Barbary.

Jackie puściła się biegiem w kierunku mercedesa. Pierwsze, co ujrzała, to zastygła w przerażeniu twarz Barbary, dopiero po chwili Jackie dostrzegła coś jeszcze - długi, owalny kształt, który wspinał się po przedramieniu kobiety siedzącej za kierownicą. Kobra królewska raz za razem wbijała swe zęby w ciało ofiary, wstrzykując dawkę trucizny.

Jackie otworzyła auto i jednym szarpnięciem wyciągnęła sparaliżowaną strachem kobietę na zewnątrz, po czym znów zatrzasnęła drzwi mercedesa. Kobra została w środku: z podniesionym łbem i rozpostartym kołnierzem patrzyła przez szyby na obie kobiety, które szybko szły w kierunku samochodu Jackie.

Dopiero teraz zaalarmowany krzykiem boy hotelowy przybiegł na miejsce.

- Czy coś się stało pani Lovestone? - spytał, widząc szarą z bólu twarz kobiety.

- Zadzwoń do szpitala Świętego Tomasza - poleciała mu Jackie, pakując otepiałą z przerażenia Barbarę do środka samochodu. - Panią Lovestone ukąsiła kobra królewska. Za chwilę tam dotrzemy. I niech nikt nie otwiera białego mercedesa. Najlepiej wezwij tu policję i jakąś ekipę, może z ogrodu zoologicznego - ostatnie zdanie Jackie wypowiedziała odpalając silnik.

Po chwili granatowe volvo ruszyło z piskiem opon.

Pięć minut - tyle dokładnie trzeba, by jad kobry królewskiej uśmiercił człowieka. Ale też w ciągu tych pięciu minut można podać ukąszonemu surowicę, a tym samym uratować go od śmierci w konwulsjach.

Jackie obawiała się, czy zdąży dojechać do szpitala na czas. A co będzie, jeśli tam nie ma surowicy? Wiedziała, jak niebezpieczne jest ukąszenie kobry królewskiej. Jad tego wyjątkowo jadowitego gada zawierał neurotoksynę - śmiertelnie trującą substancję, atakującą system nerwowy i powodującą u ukąszonej ofiary paraliż, a w efekcie jej uduszenie. Inne toksyny wchodzące w skład jadu kobry królewskiej powodowały pęknięcie naczyń włosowatych, co prowadziło do powstawania licznych wewnętrznych krwotoków, zewnętrznym tego przejawem był krwotok z nosa.

- Nie mogę oddychać - wyszeptała Barbara. Widocznie paraliż atakował już przeponę.

- Trzymaj się - Jackie uśmiechem próbowała dodać jej otuchy. - Nic ci nie będzie.

- Muszę... - Barbara z trudem łapała oddech - pojechać na lotnisko Kennedy'ego... Tam jest Vanessa... Nie pojechała do Europy... Zatrzymali ją... za posiadanie narkotyków.

Jackie zaskoczyła ta informacja.

- Najpierw musisz trafić do szpitala - powiedziała stanowczo.

- Ale ona tam na mnie czeka...

- Nie martw się. Ja to załatwię - obiecała Jackie.

W tej samej chwili głowa Barbary opadła bezwładnie do tyłu. Jackie docisnęła pedał gazu. Wytrzymaj - błagała ją w duchu.

Gdy volvo Jackie zajechało przed szpitalną izbę przyjęć, oczekiwali tam już sanitariusze oraz doktor George Watkins. Natychmiast podłączono Barbarę do respiratora i podano dawkę epinefryny - leku przeciwdziałającego reakcjom alergicznym. Następnie podłączono kilka kroplówek, mających za zadanie między innymi regulować ciśnienie krwi, które u Barbary spadło grubo poniżej normy.

Doktor Watkins wysłuchał pobieżnie historii zdarzenia.

- Niestety - rozłożył bezradnie ręce - nasza medycyna niewiele wie na temat zatrucia jadem kobry królewskiej. Nie byliśmy przygotowani na taki przypadek.

- Natychmiast należy podać jej surowicę! - Jackie nie mogła uwierzyć w bezradność szpitala.

- Nie mamy takiej surowicy - odpowiedział doktor.

Jackie chwyciła za telefon i wykręciła numer swojej firmy.

- Arthurze - niemal krzyczała do słuchawki - polecisz helikopterem do ogrodu zoologicznego. Weźmiesz stamtąd surowicę przeciwko jadowi kobry królewskiej i dostarczysz ją do szpitala Świętego Tomasza.

- A Nepal? - przypomniał.

- Teraz to nieaktualne.

Arthur Scott nie pytał o nic więcej. Jak zawsze, tak i tym razem bez słowa wykonał polecenie szefowej.

Gdy po czterdziestu minutach helikopter Sand Corporation wylądował przed szpitalem, Scott miał już ze sobą pojemnik z siedemnastoma ampułkami surowicy przeciwko jadowi węża tygrysięgo. Musiały wystarczyć.

Doktor Watkins nie był przekonany co do słuszności ich zastosowania.

- Proszę mnie zrozumieć - tłumaczył się - nie mogę ryzykować życia pacjentki.

- Zaryzykuje pan, jeśli pan tego nie uczyni - naskoczyła na niego Jackie. - Surowica węża tygrysygo jest rutynowo podawana przy zatruciu jadem kobry królewskiej. Tylko tak można uratować Barbarę!

W tym momencie stan chorej, na krótko ustabilizowany środkami medycznymi, zaczął się gwałtownie pogarszać. Znow spadło ciśnienie krwi.

- Doktorze... - nalegała Jackie.

- To jakaś pani krewna? - zapytał doktor Watkins po chwili namysłu.

- Tak. - Jackie zawahała się na moment. - To moja matka.

- W takim razie zrobię to na pani odpowiedzialność - zdecydował i niezwłocznie zaaplikował Barbarze odtrutkę.

Niestety, przyniosło to tylko niewielką poprawę.

Po dwóch godzinach, podczas których Jackie i doktor nie odstępowali chorej na krok, przywieziono z innego ogrodu kolejne dwadzieścia ampułek, tym razem zawierających surowicę przeciwko jadowi kobry królewskiej. Jednak po ich zaaplikowaniu życie Barbary nadal pozostawało pod znakiem zapytania.

Dopiero nad ranem doktor Watkins oznajmił Jackie:

- Pani matka będzie żyła. Monitory wskazują, że jej organizm uporał się z trucizną.

Jackie spojrzała na doktora zmęczonymi bezsennością oczami.

- To nie jest moja matka. Ale dziękuję.

- Okłamała mnie pani - rzekł z wyrzutem.

- Jeśli bym tego nie zrobiła, straciłby pan pacjentkę, doktorze.

Mimo wszystko musiał przyznać jej rację.

- Zdziwiająco dużo wie pani o wężach - zagadnął, gdy wyszli do bufetu na kawę.

- Od dziecka interesowały mnie zwierzęta - odparła. - Zwłaszcza te zagrażające życiu ludzi.

Nagle pojawienie się pielęgniarki przerwało ich dalszą rozmowę.

- Doktorze Watkins - powiedziała - w pańskim gabinecie czeka ktoś z policji. Chce z panem rozmawiać. Z panną Sand również.

Szczupły, wysoki mężczyzna koło czterdziestki, z orlim nosem i

oprószonymi siwizną włosami, czekał w gabinecie doktora. Wydawał się bez reszty pochłonięty studiowaniem plakatu wiszącego na ścianie, a przedstawiającego główne zasady udzielania pierwszej pomocy ofiarom zawału serca. Niemniej jednak pojawienie się doktora i towarzyszącej mu młodej kobiety przyjął z wielką ulgą.

- Inspektor Ryan Thyler z wydziału zabójstw - przedstawił się.
- Czekam na pana już od godziny. Natomiast co do pani - inspektor przenikliwie spojrzał na Jackie - to dziwi mnie pani obecność tutaj.
- Nie bardzo rozumiem - odparła zaskoczona.
- Jest pani główną podejrzaną w sprawie usiłowania morderstwa na Barbarze Lovestone.

Słowa inspektora na chwilę odebrały Jackie mowę.

- To jakiś absurd! - wykrzyknął doktor Watkins.
- Niestety, doktorze. Panna Sand miała poważny powód, by pozbyć się pani Lovestone, prawda, Jackie? Chciała pani robić w Nepalu duże pieniądze za pośrednictwem firmy Wiedermann Hotels, ale właścicielka tej firmy była przeciwna pani zamiarom. Postanowiła więc pani pozbyć się niewygodnej Barbary Lovestone, wybierając dość nietypowy sposób, ukąszenie węża. - Inspektor mierzył Jackie druzgocącym spojrzeniem. - Niestety - ciągnął - jakaś przypadkowa kobieta, której personaliów nie udało nam się dotąd ustalić, udaremniła pani zamiar, przywożąc tu panią Lovestone, a tym samym ratując jej życie.

Doktor Watson spoglądał ze zmarszczonymi brwiami to na Jackie, to na Thylera.

- Jest pan pewien stawianych tu zarzutów, inspektorze? - zapytał groźnie.

- Na klamce samochodu Barbary Lovestone - odparł Thyler - znaleźliśmy odciski palców Jackie Sand, które podejrzana najprawdopodobniej zostawiła, pakując tam worek z czterometrowej długości kobrą królewską.

- Gdyby nie Jackie Sand, inspektorze - rzekł z wściekłością doktor - Barbara Lovestone nie przeżyłaby tej nocy. Kobieta, która przywiozła tu ofiarę ukąszenia przez kobrę królewską, stoi właśnie przed panem!

Thyler oniemiał.

- Tto ppani...? - wyjąkał.
- Inspektorze Thyler - głos Jackie nie wyrażał najmniejszego wzburzenia - pani Lovestone w pełni popiera plany związane z poszerzeniem

Wiedermann Hotels na Azję. Na potwierdzenie tego mogę w każdej chwili przedstawić odpowiednie dokumenty. Mam je nawet teraz przy sobie. Żądam natomiast wyjaśnień, skąd u policji takie podejrzenia w stosunku do mnie?

- Jest świadek... - zaczął niepewnie inspektor - że posprzeczała się pani z Barbarą Lovestone na temat Nepalu.

- Mówi pan - Jackie była pełna najwyższego zdumienia - o Vanessie Lovestone?

- Właśnie.

- Rozmawiał pan z Vanessą?

- No... niezupełnie. Panna Lovestone przebywa w Wenecji. Rozmawiała z nią włoska policja.

Jackie zamknęła oczy. Myśl, która przyszła jej do głowy, była straszna i odrażająca. Vanessa próbowała zabić Barbarę! Zabić własną matkę!

Jakże potworna musiała być natura tego monstrum o blond włosach i anielskiej twarzy!

- Dobrze się pani czuje, panno Sand? - nagle pobladła twarz dziewczyny wzbudziła troskę doktora.

Dziewczyna podniosła powieki, kierując wzrok na Thylera.

- Vanessa - odezwała się słabym głosem - na kilkanaście minut przed wypadkiem zadzwoniła do matki i błagała ją, by ta przyjechała na lotnisko Kennedy'ego, gdzie rzekomo zatrzymano Vanessę za posiadanie narkotyków. Myśli pan, inspektorze, że chciała w ten sposób zwabić matkę do samochodu, w którym czekała kobra?

- Jeśli to, co pani mówi, jest prawdą - inspektor Thyler aż usiadł na kanapie z wrażenia - Vanessa Lovestone będzie miała nie lada kłopoty.

Cztery godziny później Barbara, odzyskawszy przytomność, potwierdziła wersję wydarzeń Jackie Sand.

- Co z Vanessą? - to były jej pierwsze słowa po przebudzeniu.

- Nie martw się - Jackie ścisnęła dłoń kobiety w serdecznym geście. - Arthur Scott, dyrektor generalny mojej firmy, zajął się wszystkim. Vanessa jest teraz w drodze do hotelu Wiedermann. Po przejściach na lotnisku musi dojść do siebie.

- Naturalnie - załkała cicho Barbara. - Najważniejsze, że nic jej nie jest.

Jackie wymieniła z inspektorem wymowne spojrzenie.

- Twoja córka jest cała i zdrowa - rzekła, spuszczać wzrok. - Udało nam się zatuszować sprawę posiadania narkotyków.

- Bogu dzięki - wyszeptła Barbara i prawie natychmiast zapadła w niespokojną drzemkę.

- Inspektorze - odezwała się Jackie, gdy wyszli na korytarz - Barbara Lovestone nie będzie bezpieczna, dopóki jej córka przebywa na wolności.

- Obawiam się tylko, że panna Lovestone ma dość mocne alibi. W chwili zdarzenia dzieliły ją od matki tysiące mil.

- Musiała mieć współnika - powiedziała Jackie z przekonaniem. - Czy już wiadomo, skąd pochodziła kobra?

- Z Serpentarium Świat Gadów w St. Cloud na Florydzie - odparł Thyler. - Złodziej zadał sobie dużo trudu, zważywszy, że tu, w Nowym Jorku, w ogrodach zoologicznych można znaleźć niejednego jadowitego węża znacznie słabiej strzeżonego niż w St. Cloud.

- Może to oznaczać - zauważyła - że złodziej jest w jakiś sposób związany z Florydą. Może to właśnie jest jakiś trop.

- Czarno to widzę - westchnął Thyler. - Z panią w roli głównej podejrzanej sprawa rysowała się o wiele prościej... Jeszcze raz przepraszam za to nieporozumienie. Ale raczej trudno będzie udowodnić próbę usiłowania morderstwa Vanessie Lovestone. Jeśli to rzeczywiście ona za tym stoi, to z pewnością dobrze się zabezpieczyła przed ewentualną wpadką.

- Przestępca popełnia błędy zazwyczaj wtedy, gdy czuje się bezkarnie, inspektorze. - Jackie uśmiechnęła się tajemniczo. - Mam pewien pomysł, który być może sprawi, że pewnego dnia Vanessa potknie się w swoich poczynaniach. Oczywiście, jeśli zechce pan go wykorzystać.

- Co to za pomysł?

- Dajmy Vanessie to, czego pragnie, a przekonamy się, co wówczas uczyni.

Jackie Sand rozmawiała z inspektorem Ryanem Thylem jeszcze kilkanaście minut, po czym udała się do swego biura.

Poprzedniego dnia miała polecieć do Nepalu, ale nic nie szkodzi, niezastąpiony Arthur Scott przełożył ich rezerwację na dziś.

O godzinie piętnastej dwadzieścia pięć na lotnisku La Guardia Jackie, pożegnawszy się czule z Nickiem, wkroczyła razem ze swoimi

współpracownikami na pokład PanAmu lecącego do Delhi. Tam czekała ich przesiadka do Katmandu.

Piętnaście minut później na innym nowojorskim lotnisku wylądował samolot z Rzymu. Na jego pokładzie wróciła Vanessa Lovestone, drżąca z obawy o życie swojej ukochanej matki.

Gdy tylko opuściła terminal, podszedł do niej mężczyzna z orlim nosem i siwiejącymi włosami.

- Czy panna Vanessa Lovestone?- zagadnął.
- Zgadza się - odparła.
- Inspektor Ryan Thyler z wydziału zabójstw - przedstawił się policjant. - Mam dla pani smutną wiadomość. Pani matka zmarła godzinę temu. Mimo że lekarzom udało się na krótko przywrócić ją do życia, trucizna okazała się jednak silniejsza.

Pod Vanessa ugięły się kolana. Runęła jak długa na ziemię, zanim inspektor zdążył ją podtrzymać.

Mój Boże - pomyślał zaskoczony Thyler. - Ona naprawdę zemdląca.

- Już pani lepiej? - dopytywała się jedna z urzędniczek starających się ocucić Vanessę.

Omdlałą kobietę przeniesiono do pomieszczenia służbowego i umieszczono na sofie.

Vanessa wypila cały kubeczek kawy, podany jej przez inną urzędniczkę.

- Dziękuję - szepnęła łkając. - Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Moja biedna mama... W Wenecji powiedzieli mi, że przeżyje ten wypadek... Co ja bez niej pocznę? - rozplakała się na dobre.

Trzem urzędniczkom lotniska krajało się serce na widok rozpaczliwej kobiety, która właśnie straciła najbliższą osobę.

Stojący w kącie pokoju inspektor Thyler przyglądał się dziewczynie uważnym wzrokiem.

- Czy ona... coś mówiła? - zapytała wstrząsana spazmami płaczu Vanessa.

- Niestety - odparł. - Pani Lovestone do końca nie odzyskała przytomności.

- A czy wiadomo już, kto podrzucił węża do samochodu mojej mamy?

- Próbuje to ustalić - powiedział wymijająco. - Ale zapewniamy panią, że znajdziemy sprawcę zabójstwa.

- Musicie to uczynić jak najszybciej - odparła stanowczym tonem. - Taki człowiek nie zasługuje na to, by chodzić po tym świecie - dodała z przekonaniem.

Gdy tylko Vanessa znalazła się w apartamencie hotelu Wiedermann, natychmiast zrzuciła maskę żałoby i oddała się szalonemu tańcowi radości.

Więc się udało!

Cały trud nie poszedł na marne. Teraz ona, Vanessa Lovestone, była panią sieci hoteli Wiedermann. Nareszcie mogła korzystać z ogromnych pieniędzy jej matki. Szkoda, że nie mogła wydać przyjęcia z tej okazji.

Płając po pokoju, Vanessa układała w głowie kolejne posunięcia. Była poza wszelkimi podejrzeniami. Miała niepodważalne alibi. Pozostawał, co prawda, Mario Dala, ale z nim dziewczyna postanowiła rozliczyć się w najbliższych dniach.

Jedno trzeba było przyznać Meksykaninowi - znał się na węzach. Obiecał jej wyszukać takiego gada, którego ukąszenie jest niezwykle trudne do wyleczenia.

Nagle Vanessa przestała tańczyć i opadła ciężko na łóżko. Jej szczęśliwa twarz posmutniała. Dziewczyna jeszcze tak przeżywała chwile grozy, kiedy to ujrzała policjanta na lotnisku. Obawiała się wówczas najgorszego - że matka powiedziała już policji o telefonie. Nigdy bym się z niego nie wytłumaczyła - pomyślała.

Na szczęście Barbara zmarła nie odzyskawszy przytomności, a fakt ten tak ucieszył Vanesę, że z emocji zemdlła. Ale czyż mogła marzyć o uczynieniu czegoś bardziej stosownego na wieść o śmierci własnej matki?

Uśmiech pojawił się na ślicznej twarzy dziewczyny. Na przyszłość muszę być ostrożniejsza - postanowiła.

Późnym wieczorem zadzwoniła z budki telefonicznej do Dali.

- Wrobiłaś mnie! - wrzeszczał do słuchawki. - Wepchnęłaś mnie w samo gówno!

- Uspokój się - rozkazała mu ostrym tonem. - Dzwonię, by dotrzymać umowy. Jestem ci dłużna jeszcze trzydzieści kawałków.

- Nic z tego, złościutka. Nie wetkniesz mi pięćdziesięciu tysięcy dolarów za morderstwo. Mówiłaś, że chodzi tylko o zastraszenie kogoś. Nie sądziłem, że dojdzie do czyjejś śmierci.

- To był wypadek - odparła spokojnie. - Nie ma tu niczyjej winy.

- Ale stało się - Dala prawie płakał. - Albo dostarczysz mi na jutro pół miliona dolarów, albo pójdę na policję.

Vanessę zmroziły te słowa. Dala był najwyraźniej w szoku. Rzeczywiście mógł spełnić swoją groźbę. Dziewczyna szybko podjęła decyzję.

- Dobrze. Jutro, o tej samej porze, czekaj na mnie na molo na przystani, gdzie pracujesz. Przyniosę pieniądze.

Nawet gdyby chciała dać mu owe pół miliona, do jutra nie zdołałaby zdobyć takiej sumy. Jeszcze nie dopełniono formalności związanych z otwarciem testamentu Barbary. Ba! Nawet jej jeszcze nie pochowano.

Ale Vanessa nie zamierzała dawać Dali żadnych pieniędzy, nawet tych obiecanych trzydziestu tysięcy.

Następnego dnia, późnym popołudniem, Vanessa udała się do centrum handlowego South Street Seaport. Jak głosił późniejszy raport policji, pan-na Lovestone kupiła tam kilka czarnych garsonek i kilka kapeluszy, również w kolorze czarnym. Za wszystko płaciła kartą kredytową. Przebywała w pasażach sklepowych ponad dwie godziny, prawie do zamknięcia sklepów, po czym udała się do toalety...

Inspektorowi Ryanowi Thylerowi od razu wydało się podejrzane, że dama tego pokroju nie robi zakupów w markowych sklepach przy Piątej Alei. Niezależnie od dwóch policjantów w cywilnym ubraniu, nieustannie śledzących pannę Lovestone, postanowił sam zjawić się w South Street Seaport. Nie zdziwił się też zbyt, gdy w pewnym momencie jeden z policjantów poinformował go przez radio, że Vanessa przebywa w toalecie już od piętnastu minut.

Inspektor Thyler nakazał im natychmiast zajrzeć do damskiej toalety. Jak słusznie przypuszczał, po Vanessie Lovestone nie było już ani śladu. Prawie ani śladu.

W jednym z koszy na śmieci policjanci znaleźli wydarte z odzieży metki z kodem kreskowym; gdyby Vanessa chciała wynieść je ze sobą, czujniki zainstalowane w drzwiach sklepu zatrzymałyby ją za kradzież towaru.

- Zgubiliśmy ją - obaj śledzący dziewczynę policjanci rozłożyli ręce w geście bezradności.

- Niezupełnie. - Thyler wziął metki, z których wciąż zwisały strzępy kolorowej tkaniny, i udał się do kasy sklepu.

Po chwili miał pełny opis nowej odzieży uciekinierki.

- Do wszystkich jednostek - nadał przez radio. - Poszukiwana biała dziewczyna, wiek dwadzieścia lat, średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Ubrana jest w granatową sukienkę, czarne pantofle na wysokich obcasach, zieloną skórzaną kurtkę i takie same rękawiczki. Włosy długie, proste, koloru brązowego.

Teraz mógł tylko czekać. Czuł, że Vanessa poszła na spotkanie z człowiekiem, który ukradł gada, a potem podrzucił go do samochodu Barbary. Jeśli uda się złapać dziewczynę podczas przekazywania temu człowiekowi pieniędzy, nic nie uratuje Vanessy od oskarżenia. Ale najpierw należało ją znaleźć.

Radio odezwało się po dwudziestu minutach. Poszukiwana najspokojniej w świecie spacerowała sobie po molo na przystani, zaledwie trzy przecznice od South Street Seaport.

Thyler z piskiem opon ruszył w tamtym kierunku.

- Paradujesz tu jak dziwka - męski głos dochodzący z ciemności sprawił, że Vanessa drgnęła. - I wyglądasz jak dziwka. - Wyłoniwszy się z cienia Mario Dala zmierzył ironicznym spojrzeniem przebranie dziewczyny. - Tyle że dzisiejsza peruka pasuje ci o niebo lepiej niż tamta ruda.

- Cieszę się - uśmiechnęła się dziewczyna - że dobry humor cię nie opuszcza.

- Daleko mi do dobrego humoru - warknął Meksykanin. - Masz pieniądze?

- Oczywiście.

Dziewczyna podeszła bliżej.

- Więc dawaj i nie chcę cię więcej widzieć.

- Chodźmy bardziej w cień - rozejrzała się dookoła. Nigdzie nie było widać żywej duszy. - W świetle latarni jesteśmy zbyt widoczni.

- Po ciemku nie będę widział pieniędzy - zaprotestował.

- W porządku.

Rozejrzała się jeszcze raz i sięgnęła do pękatej torebki, w której, jak sądził Dala, znajdowały się pieniądze. Uczyniła przy tym jeszcze dwa kroki i znalazła się tuż obok niego.

I nagle jednym szybkim ruchem ręki wyciągnęła z torby sztylet i dźgnęła Dale z całej siły w brzuch. Ostrze z łatwością przebiło skórę, rozpruło przeponę i zatrzymało się dokładnie w sercu mężczyzny.

Dale stał przez chwilę ze zdziwionym wyrazem twarzy, gapiąc się wytrzeszczonymi oczyma gdzieś daleko poza plecami Vanessy. Dziewczyna, niewiele myśląc, wyszarpnęła sztylet z ciała Dali i pchnęła go do tyłu.

Umarł, jeszcze zanim dotknął powierzchni wody.

No i kłopot z głowy - pomyślała Vanessa, chowając narzędzie zbrodni do torebki. Odwróciła się i stanęła jak wryta. Na początku molo stał mężczyzna, ten sam, który obwieścił jej śmierć matki. Teraz trzymał wymierzony w nią rewolwer.

Inspektor Thyler dyszał zmęczony, a jego połyskujące srebrnymi nitkami włosy były wzburzone od szybkiego biegu. To na niego patrzył Dala w chwili śmierci.

- Jest pani aresztowana! - krzyknął Thyler.

Za nim nadbiegło czterech policjantów. W oddali wycie syren nasilało się z każdą sekundą. Cała przystań rozświetliła się nagle niebieskim światłem kogutów policyjnych.

A ona stała tam, dumna i wyniosła. Jakoś wytłumaczy się z popełnionej przed chwilą zbrodni. Powie, że Dale jej groził, że ją prześladował...

Ale nigdy nie udowodnią jej, że stała za śmiercią własnej matki. Nigdy!

- Jest pani aresztowana - powtórzył już nieco spokojniej Thyler.

- I całe to zamieszanie wywołała kradzież w sklepie z odzieżą? - zdobyła się na żart. Ale nikt się nie śmiał.

- Odpowiesz za usiłowanie morderstwa na Barbarze Lovestone i za morderstwo popełnione przed chwilą na moich oczach.

- Usiłowanie morderstwa... - szepnęła Vanessa. - O czym pan mówi, do cholery?! Miałabym zabić własną matkę? To potworne, sugerować coś takiego! Nie zrobiłam tego! - głos Vanessy przeszedł w histeryczny falset. - Nie zabiłam jej!

- Wiem - wtrącił Thyler - bo Barbara żyje. Ale wiem też, że próbowałaś.

- Ty... - syknęła dziewczyna, po czym zamilkła.

Również w milczeniu pozwoliła zakuć się w kajdanki i zapakować do policyjnego wozu.

Myślała intensywnie.

Matka żyła. Trudno. Może to nawet i lepiej? W końcu usiłowanie to nie to samo, co morderstwo! Może Barbara wyciągnie ją z tego? A jeśli nie, był

przecież ojciec. Jerry Lovestone nie pozwoli, by jego jedyna córka gniła w więzieniu. Chociażby ze względu na nazwisko.

Tak! Ojciec będzie musiał jej pomóc. W przeciwnym razie świat dowie się, jak nikczemnie przez wiele lat wykorzystywał seksualnie swoją małą córeczkę. Vanessa zamknęła oczy. Wóz policyjny wiozł ją do więzienia, a ona z lubością wyobrażała sobie najbardziej brutalne sceny erotyczne. Jeśli Jerry jej z tego nie wyciągnie, ona uczyni go bohaterem owych scen, ze sobą w roli głównej.

Telefon obudził Jerry'ego w środku nocy.

- Twoja córka ma potężne kłopoty - mówił prokurator Dexter Tucker.
- Ja nie mam córki - chłodno odparł Lovestone. - A jeśli to już wszystko, pozwolisz, że powrócę do snu, który mi niepotrzebnie przerwałeś.
- Tym razem to dużo poważniejsza sprawa. Poważniejsza niż w ogóle możesz sobie wyobrazić. O nic nie pytaj, tylko przyjeżdżaj natychmiast do mego biura.

Zmierzający do więziennej celi mężczyzna nie miał w sobie nic z dumy i pewności siebie, tak na co dzień zwyczajnej u Jerry'ego Lovestone'a. Dziś Jerry Lovestone nie był sobą. Przytłoczony wiadomością o wstrząsających wyczynach własnej córki, stąpał ciężko po kamiennej posadzce korytarza. W każdy krok wkładał wiele wysiłku.

Bał się spotkania z Vanessą. Obawiał się, że rozplacze się jak dziecko, gdy tylko ujrzy swoją jedynaczkę. To wszystko było dla niego jakimś strasznym nieporozumieniem. Policja musiała coś pokręcić. Vanessa miałaby próbować zabić Barbarę? Nieważne, że przy świadkach zasztytowała jakiegoś przybłędę. Ale Barbarę? Własną matkę? Nie wierzył, by jego córka była do tego zdolna.

Strażnik więzienny otworzył drzwi celi. Lovestone wszedł do środka.

Stała tam, odwrócona tyłem do drzwi, z twarzą ukrytą w dłoniach. Na jej widok ogromny żal wypełnił serce Lovestone'a. Już miał przytulić ukochane dziecko, dodać mu otuchy, otrzeć łzy... gdy nagle Vanessa zwróciła ku niemu swe bynajmniej niezaplakane lico.

- Wpłaciłeś kaucję? - spytała tonem niecierpiącym zwłoki, a jej pełne nienawiści spojrzenie sprawiło, że Lovestone drgnął mimo woli i cofnął się o krok.

Spodziewał się ujrzeć skruchę na twarzy córki, ale Vanessie daleko było do poczucia winy.

- Głuchy jesteś? - warknęła. - Pytam, czy wpłaciłeś kaucję?

Zupełnie jakby zapytała, czy zamówił pizzę.

- Nie, ale... - zaczął słabym głosem.

- Więc na co czekasz? - przerwała mu. - Zobacz w jakich warunkach mnie tu trzymają - zatoczyła ręką szeroki łuk, obejmując tym gestem dość ubogie wyposażenie celi, na które składało się metalowe łóżko, umywalka i sedes. - Jak można trzymać tu człowieka?

- Cóż - odparł - nie jest to, co prawda, Wiedermann ani Ritz, ale czy nie uważasz, że po trosze sama jesteś sobie winna?

- Winna? - roześmiała się ojcu w twarz. - A cóż ja takiego zrobiłam, czego i ty byś nie uczynił? Czyżby nagle ludzkie życie nabrało dla ciebie jakiegokolwiek znaczenia?

- Meksykanin nic dla mnie nie znaczy - powiedział cicho, a jego kamienna twarz nie wyrażała żadnych emocji. - Ale podobno podniosłaś rękę na Barbarę.

Vanessa nie odpowiadała, patrzyła tylko na ojca nienawistnym spojrzeniem.

- Powiedz, że to nieprawda - zażądał.

- Nie rozumiem, czemu to dla ciebie takie istotne - odezwała się wreszcie, wzruszywszy ramionami. - Powinieneś być raczej zadowolony. To przez Barbarę straciłeś hotele i połowę firmy. Wiem, że cię czymś zaszantażowała, inaczej nigdy byś nie pozwolił jej odejść. Dziwię się, że trzymasz jej stronę. Zamiast robić mi wyrzuty, lepiej wyciągnij mnie stąd.

Lovestone zamknął oczy. Straszliwy ból rozsadał mu czaszkę. Więc jednak to prawda! Mój Boże - pomyślał. - Oto pokuta za moje własne zbrodnie.

- To będzie raczej trudne - powiedział w końcu. - Zbyt wiele narozrabiałaś.

- I narozrabiam znacznie więcej, jeśli mi nie pomożesz - zagroziła. - Nazmyślam dla prasy takich pikantnych historyjek erotycznych, że już nigdy żaden przedsiębiorca nawet nie spojrzy w twoją stronę. Chyba że zechcesz otworzyć burdel dla pedofili.

Nie przeraziły go jej groźby.

- Porozmawiam najpierw z twoją matką - oznajmił.

- Oby zdechła! - wyrwało się Vanessie.

- Jeśli cię z tego wyciągnę - zaczął Lovestone, spoglądając dziwnie na córkę - obiecaj, że na przyszłość, kiedy znów przyjdzie ci ochota zapolować na Barbarę, nie dasz się złapać policji.

- Och, tato - Vanessa z radością rzuciła mu się na szyję. - Następnym razem zaplanujemy to obydwójce. Wiedermann Hotels znów stanie się częścią Lovestone Mining, a my będziemy pławić się w luksusach.

Lovestone powoli acz stanowczo odsunął ją od siebie.

- Muszę już iść - rzekł przez ściśnięte gardło. - Trochę tu duszno.

- I spiesz się - ponagliła. - Nie zamierzam tu siedzieć ani jednego dnia dłużej niż to konieczne.

- Nie będziesz - obiecał i po raz ostatni popatrzył na córkę.

Dopiero za drzwiami lzy beznadziejnej rozpaczki popłynęły mu z oczu. Podjął już decyzję. Sam był sędzią dla własnego dziecka. Teraz miał stać się również katem.

Kolejne godziny spędzone w więziennej celi dłużyły się Vanessie niemiłosiernie. Żeby tak mieć tu telewizor - myślała - albo chociaż radio. Po nocnej wizycie jej ojca dziewczyna znów zaczynała widzieć świat w jasnych kolorach.

Wreszcie, około ósmej rano, drzwi do jej celi ponownie się otwarły. Tym razem stanął w nich Dexter Tucker.

- Nareszcie! - Vanessa zeskoczyła z niewygodnego posłania. - Mam nadzieję, że ojciec ruszył już dupę w mojej sprawie. To zamknięcie jest nie do zniesienia - szczebiotała. - Marzy mi się gorący prysznic i francuski szampan z kawiozem i jeszcze... - urwała, widząc grobową minę prokuratora. - Bo... przychodzi pan z polecenia mego ojca... prawda?

- Twój ojciec - zaczął Tucker, choć niełatwo mu było wypełnić tę misję - nie chce cię więcej oglądać na oczy.

Vanessa zmarszczyła brwi. O czym on bredzi, do cholery?! - myślała gorączkowo.

- Mimo wszystko - ciągnął prokurator - Jerry wspaniałomyślnie pozwolił ci wybrać pomiędzy dożywociem a zakładem dla obłąkanych.

- Jak to? - zapytała przerażona. - Mam spędzić resztę życia w więzieniu? To jakiś żart?

- Albo w zakładzie dla obłąkanych pod szczególnym nadzorem. - powtórzył. - Wybieraj.

Poczuła się osaczona. Dranie! Zamiast jej pomóc, chcieli ją na zawsze pograć.

- Czy to wszystko, co mój ojciec ma mi do zaoferowania? - spytała dumnie.

- Niezupełnie. Biorąc pod uwagę fakt, jak bardzo przywykłaś do życia na najwyższym poziomie, oraz to, że nieodwracalnie znalazłaś się na samym dnie, Jerry polecił mi zasugerować ci samobójstwo.

Prokurator położył na umywalce małą niebieską tabletkę.

- Umrzesz szybko i bezboleśnie - mówił spokojnym tonem. - Nie tak, jak planowałaś dla własnej matki. Tym samym unikniesz poniżenia i nędzy, których tak bardzo się boisz, a które odtąd staną się twoją koszmarem codziennością.

Vanessa nie mogła oderwać oczu od trucizny. Słowa Tuckera dźwięczały jej w głowie jeszcze długo po jego wyjściu. Poniżenie i nędza. Do końca życia w zamknięciu. A gdzie bale i przyjęcia? Drogie suknie i klejnoty? Dalekie podróże i wspaniali kochankowie?

Nie była w stanie bez tego żyć i Lovestone doskonale o tym wiedział.

Powoli ruszyła w kierunku umywalki.

Wiadomość nadeszła w chwili, gdy Lovestone przeglądał w swoim gabinecie rachunki zakupu nowych urządzeń wiertniczych. Mimo że była to sobota, jego biuro pracowało na najwyższych obrotach.

- Przyszli panowie z policji - poinformowała go sekretarka. - Prosić?

- Za chwilę - odparł zduszonym głosem.

Wiedział, czego chcieli, ale jeszcze nie był gotów, by to usłyszeć.

Wstał ociężale, nalał sobie podwójną whisky, po czym wypił alkohol jedynym haustem.

Czuł, że zaraz się rozplacze. Wspomnienia odżyły w nim z wielką siłą. Widział małą dziewczynkę o jasnych włoskach, słyszał jej wdzięczny śmiech, prawie czuł, jak jej małe rączki zaciskają się czule na jego szyi. Pamiętał pierwsze wspólne wyjście do ZOO, siniaki na jej kolankach, gdy uczyła się jeździć na rowerze, pierwszy dzień w szkole, rozczarowania i radości.

Ale mała dziewczynka dorosła i z niewinnego aniołka zamieniła się w prawdziwą diablicę, bez skrupułów i wyrzutów sumienia.

Wyhodowałem potwora - pomyślał zrozpaczony ojciec.

Teraz inne wspomnienia stały mu przed oczami. Jeszcze raz ujrzał wewnątrz Błękitnego Pokoju u Madame Mosley. Poczł zapach podnieconych ciał i ciepły dotyk ust na swym członku - ust własnej córki.

Przeczesał palcami włosy i sięgnął po przycisk interkomu.

- Poproś panów policjantów, Anno - polecił sekretarce.

Idąc korytarzem szpitala świętego Tomasza, Lovestone wyglądał, jakby przybyło mu ze sto lat.

Gdyby nie zaistniałe okoliczności, nigdy nie przyszyłoby mu do głowy odwiedzić byłą żonę. Ale sytuacja była zbyt delikatna, by powierzyć jej załatwienie policji.

Chociaż od ukąszenia przez kobrę minęły już trzy dni, stan Barbary ciągle nie był zadowalający. Lovestone z trudem dojrzał ją zza płataniny kroplówek i kabli urządzeń monitorujących. Przypominała ćmę schwytaną w pajęczą sieć.

Tyle że pająk został unicestwiony.

- Jerry? - zapytała Barbara słabym głosem. - Ty tutaj? - A gdy dostrzegła jego pełne bólu spojrzenie, dodała: - Czy coś się stało?

- Vanessa... miała atak serca... - Przełknął głośno ślinę. - Zmarła dziś rano w celi aresztu tymczasowego.

Z piersi Barbary wyrwał się ledwie słyszalny jęk.

- Co myśmy z niej zrobili? - popatrzyła mu prosto w oczy. - Co zrobiliśmy ze sobą, że zasłużyliśmy na taką karę?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Chwilę później Barbara została sama w szpitalnej sali. Dziwne, początkowa rozpacz ustąpiła teraz miejsca ogromnej uldze, poczuła się tak, jakby ktoś zdjął z niej nagle wielki ciężar. Nawet nie potrafiła zmusić się do płaczu.

Vanessa odeszła... To już koniec. Koniec udręki i cierpień okłamywanej i wzgardzonej matki.

Teraz Barbara nie miała już nikogo, ani męża, którego kiedyś tak kochała, ani córki, której tak pragnęła, a która w swym okrucieństwie i chciwości przerosła własnego ojca.

Nie było już nikogo, kto mógłby skrzywdzić Barbarę.

Rozdział XXII

Hima oznacza w sanskrycie śnieg. Alaja to w sanskrycie dom, siedziba, przybytek.

Przez wiele milionów lat Himalaje były dnem prehistorycznego oceanu Tetydy, by wreszcie, sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, na skutek zderzenia dwóch płyt tektonicznych, stać się najwyższymi górami na świecie.

Teraz były krainą mitycznych wierzeń, regionem o olśniewającej przyrodzie, wielobarwnym etnicznie i ujmującym swą egzotyką i ekstrawagancją.

Himalaje były domem Jackie Sand.

Miała trzy latka, gdy razem ze swoim nieodłącznym opiekunem, Jon-Te, po raz pierwszy wybrali się na górską wycieczkę.

Nie była to taka sobie zwykła wycieczka. Opuścili klasztor Tsu-An o świącie, właściwie było nawet jeszcze ciemno. Chociaż był to środek lata, Saran trzęsła się z zimna i co chwila pocierała piąstkami piekące z niewyspania oczy.

Przejechali konno wrzosowe łąki i las kwitnących białym kwieciem rododendronów. Potem, zostawiwszy konia u stóp niewielkiej góry, poczęli wspinać się na jej szczyt w ogromnym, niezrozumiałym dla Saran pośpiechu.

Chociaż było to niewielkie wzniesienie, dla małej dziewczynki wydawało się wówczas najwyższą górą świata.

Zbocze góry nie było zbyt strome, bo po półgodzinie stanęli na płaskim, porośniętym mchem, wierchołku. Dziewczynka piszczała z zachwytu, gdy udało im się tego dokonać.

Wtedy Jon-Te ujął ją za maleńką rączkę, która dosłownie tonęła w jego potężnej pięści, i powiedział:

- Popatrz za siebie, Saran.

A gdy to uczyniła, jej dziecięca buzia rozdziawiła się w zachwycie.

- Ojej! - westchnęła tylko.

W dole pod nimi poranna mgła unosiła się nad olbrzymimi połaciami pól ryżowych. Gdzieś na wrzosowiskach pasły się stada jaków i kóz. Tybetańska wioska ze swymi domami z gliny i bambusa wydała się Saran tak mała, że można byłoby ją zmieścić na dziecięcej dłoni. A daleko w tle łańcuch Wysokich Himalajów odcinał ziemię od bezchmurnego nieba postrzępionymi szczytami.

I nagle pierwsze promienie słońca wypelzły leniwie znad horyzontu. Mgła zaczęła gęstnieć, a jej mleczna barwa poczęła przybierać złocisty kolor, który już po chwili zamienił się w czysty róż.

Wschodzące słońce zamarudziło na moment za jakimś zbłąkanym obłokiem, ale obłok umknął jakby zawstydzony, a ognista tarcza wystrzeliła promieniami w budzącą się ze snu dolinę.

Na kilka ulotnych chwil mgła stała się złotoróżowym oceanem, tętniącym podwodnym, zaczarowanym życiem.

- Jesteśmy w bajce - stwierdziła mała.

- Tak - Jon-Te uśmiechnął się łagodnie i wziął dziewczynkę na rękę. Obydwoje nie odrywali oczu od cudu wschodzącego słońca. - Całe nasze życie to bajka - powiedział. - Nauczę cię wszystkiego, Saran, jak kochać tę bajkę i jak z niej korzystać.

- A czy... - Saran nagle posmutniała - czy ta bajka skończy się szczęśliwie?

- To zależy tylko od ciebie - odparł. - To twoja bajka. Możesz być księżniczką, albo kimkolwiek zechcesz. Wystarczy być dobrą dla innych, a przeżyjesz najpiękniejszą bajkę na świecie...

- Panno Sand, proszę się obudzić - stewardessa potrząsała ramię śpiącej dziewczyny.

Jackie otworzyła zaspane oczy i natychmiast z powrotem je zamknęła, oślepiąca złotoróżowymi promieniami wschodzącego słońca, wpadającymi przez okno samolotu.

- Za chwilę podchodzimy do lądowania. Zechce pani zapiąć pasy.

- Dziękuję - Jackie spełniła prośbę stewardessy.

Po niespełna pięciu minutach koła samolotu Królewskich Linii Lotniczych Nepalu, w skrócie RNAC, uderzyły o płytę lotniska w Katmandu.

Mimo iż podróż Jackie Sand do Azji opóźniła się o jeden dzień, w niczym nie kolidowało to z planowanym na poniedziałek spotkaniem z premierem Nepalu, Manem Mohanem Adhiharim.

Dziewiątego marca, punktualnie o czternastej, delegacja amerykańskich przedsiębiorców stanęła przed premierem.

- Więc pragnie pani - Adhihari zwrócił się do Jackie - stworzyć w Nepalu sieć luksusowych hoteli?

- Tak - potwierdziła. - Tutejsze krajobrazy powinny przyciągnąć wielu turystów ze wszystkich stron świata.

- Mamy już hotele - odrzekł spokojnie. - I mamy turystów.

- Nie przeczę - Jackie nie dawała się zbić z tropu. - Ale gdyby pański rząd zgodził się udostępnić mojej firmie tereny pod budowę nowych hoteli, byłoby to z ogromną korzyścią dla pańskiego kraju, co do którego zresztą mam nie mniejszy sentyment, niż pan.

- Wiem. - Popatrzył na Jackie z sympatią. - Słyszałem o pani cudownym ocaleniu. A co do owych korzyści...

- Już mówię - weszła mu w słowo. - Otóż hotele, które zamierzam tu stworzyć, będą należały do międzynarodowej sieci Wiedermann Hotels. Najwyższa jakość, będąca wizytówką owych hoteli, stanie się jednocześnie drogowskazem dla lubujących się w luksusowych podróżach, bogatych ludzi, którzy przywykli do podziwiania świata zza okien samolotów i zza szyb hotelowych apartamentów. Dajmy tym ludziom widok z okna na Mount Everest i nieco bliższy, na basen wyłożony kafelkami, umieścimy w menu kawior i szampan, a ręczę, że nie wytkną oni nosa poza hotelowy parkan. Tacy ludzie nigdy nie odwiedzą pańskiego kraju, jeśli nie znajdą tu luksusu, do jakiego są przyzwyczajeni. A jeśli nie odwiedzą Nepalu, nie zostawią w nim swoich dolarów.

- Jeśli nie wydadzą ich tutaj - Adhihari podchwycił myśl Jackie - zrobiają to gdzieś indziej.

- Panie premierze - popatrzyła na niego poważnie - w swojej krótkiej karierze kobiety biznesu poznałam wielu takich ludzi i uznałam, że Nepal mógłby skorzystać z ich pieniędzy. Poza tym budowa hoteli to wzrost zapotrzebowania na artykuły budowlane i siłę roboczą. A gdy wreszcie hotele Wiedermann wyrosną w dolinach Himalajów, powstaną miejsca pracy przy ich obsłudze. Zyskają też sklepy i rzemieślnicy produkujący pamiątki, zyskają Królewskie Linie Lotnicze Nepalu i lokalny przemysł.

- Ale stracą obecni hotelarze - zauważył premier.
- Bynajmniej nie nepalscy - odezwał się Arthur Scott, który do tej pory tylko przysłuchiwał się wywodom Jackie. - Owszem, stracą ci z Egiptu, Hiszpanii, Grecji, Tajlandii, słowem - tych miejsc, do których światowe elity finansowe zwykły podróżować. Ci z Nepalu natomiast nadal będą mieli swoich himalaistów i trekkingowców, nie odbierzemy im tej klienteli. Nasza oferta jest skierowana do nieco innych sfer.
- Rozumiem - odparł Adhahari, pocierając w zamyśleniu brodę.
To, co proponowała ta młoda kobieta, miało sens. Nepal był przecież krajem nastawionym głównie na turystykę. Czemu więc nie przysporzyć mu nowych, obrzydliwie bogatych turystów?
- Obawiam się - rzekł wreszcie - że w dużych miastach nie dysponujemy terenami pod dzierżawę. Nie wiem nawet, czy znajdzie się coś na peryferiach...
- Jesteśmy gotowi wyłożyć na ten cel znaczną sumę pieniędzy - powiedziała Jackie z naciskiem.
- Jak znaczną? - zapytał Adhahari, a gdy usłyszał kwotę, uśmiech zadowolenia rozjaśnił jego twarz. - No cóż... Niczego nie mogę obiecać. Mój rząd planuje, co prawda, rozbudowę hotelowej dzielnicy Katmandu, Thamel... Mógłbym przedłożyć pani projekt na posiedzeniu Rady Ministrów...
- Dziękuję - uśmiechnęła się Jackie - ale nie chodzi mi o stolicę, ani w ogóle o żadne inne miasto.
- Nie? - Premier był całkowicie zaskoczony. - Więc gdzie chce pani budować te hotele?
- Już mówiłam. W dolinach Himalajów, najlepiej w północno-wschodniej części Nepalu. Oczywiście jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu.
- Tam nie ma kompletnie żadnych szlaków turystycznych! - zauważył.
- Ale za to jest przepiękna okolica - odparła. - Tam się wychowałam. A poza tym, moi przyszli klienci to laicy w sprawach Himalajów. Może to zabrzmie dla pana okrutnie, ale dla nich będzie wszystko jedno, na jaką górę patrzą przez okno hotelu.
- Jeśli tak - rzekł premier Nepalu - w najbliższym czasie zapoznam Radę Ministrów z pani projektem. Ze swojej strony nie widzę przeszkód, dla których mielibyśmy go nie zatwierdzić. Proszę zostawić dokumentację w sekretariacie.

- Ależ to czysty idiotyzm! - minister spraw zagranicznych był równie zaskoczony co premier podczas spotkania z Jackie Sand. Rada Ministrów przeglądała akurat dokumenty pozostawione przez Amerykanów. Szczególną uwagę ministra zwróciły mapki północno-wschodniego Nepalu, z zaznaczonymi na nich terenami pod dzierżawę. - Ja znam te tereny i wierzę mi, panowie, nie da się na nich postawić nawet pasterskiej chaty. Nawet dzikie zwierzęta omijają te miejsca z daleka.

W rzeczy samej, na mapkach były zaznaczone cztery działki, każda zbliżona powierzchnią do boiska piłkarskiego. Tylko że boiska powstają na płaskich terenach, a tu Jackie Sand żądała czegoś zgoła odmiennego. Dwie z proponowanych działek były dosłownie zboczami gór, tak nieprzystępnymi, stromymi i bezużytecznymi, że tylko ktoś niespełna rozumu mógłby chcieć postawić tam hotel.

Z kolei dwa pozostałe obszary miały, co prawda, powierzchnię zbliżoną do płaskiej, ale przystosowanie ich pod budowę hoteli graniczyło z cudem - były to bagna w samym środku zwrotnikowej dżungli. Samo osuszenie podłoża, nie mówiąc już o transporcie materiałów budowlanych, pochłonęłoby miliony dolarów.

- To nie nasza sprawa - powiedział premier Man Mohan Adhahari - że Jackie Sand chce stracić w naszym kraju swój majątek. Dajmy jej więc to, czego chce. - Jeszcze raz rzucił okiem na mapki, przypominając sobie sumę, jaką Jackie zaproponowała mu za przychylne załatwienie swej sprawy.

Rząd Nepalu zgodził się wydzierżawić Sand Corporation cztery działki w północno-wschodnim terytorium kraju.

Cztery działki kompletnie niezdatne do jakiegokolwiek zagospodarowania.

Cztery działki! - myślał Lovestone, drżącymi dłońmi przerzucając kartki faksu, świeżo nadesłane z Katmandu. Na każdej z kartek widniała bardzo szczegółowa mapa północno-wschodniej części Nepalu.

Więc jednak!

Jackie Sand może mydlić swoimi hotelami oczy komukolwiek, ale Lovestone'a nie da się jej oszukać. Doskonale znał się na odczytywaniu map. A mapy mówiły jedno - na terenach, o które Jackie Sand zwróciła się do nepalskiego rządu, nie da się postawić żadnego hotelu.

Więc dlaczego tak zależało jej na tych działkach? Była tylko jedna możliwa odpowiedź - to tam Jackie znalazła diamenty. Może nie na wszystkich czterech obszarach, z pewnością nie na tych umiejscowionych na zboczach gór, ale dwie pozostałe działki mogły w swym bagnistym podłożu mieć niezmiernie duże pokłady kimberlitu - czarnej kruchej skały, w której można znaleźć diamenty.

Lovestone poprzysiął sobie, że zdobędzie owe cztery działki. Teraz to była sprawa honoru. Już nie liczyło się nic więcej. Niedawna śmierć córki stała się nagle sprawą tak odległą, że aż nieistotną.

Diamenty leżały sobie spokojnie w Himalajach i to nie Jackie Sand, ale on, Jerry Lovestone, je zdobędzie.

Błogie leniwość zaczynała ogarniać ekipę Jackie Sand. Już od tygodnia ona, Arthur Scott i dwaj mężczyźni - James Potter i Robert Sifton - obaj młodzi i ambitni specjaliści z branży hotelarskiej siedzieli beczynnie w apartamentach hotelu Everest Sheraton International w Katmandu.

W początkowej fazie oczekiwania na decyzję nepalskiego rządu oddawali się z pasją partyjkom brydża, ale i to im się znudziło.

Sporym urozmaiceniem, a na pewno niezapomnianym przeżyciem, była dla Jackie i jej towarzyszy audyencja u króla Nepalu.

Król Birendra Bir Birkam Shah Dev, zaciekawiony postacią wyrosłej wśród dzikich gór i lasów dziewczyny, która w tak krótkim czasie doszła do niesłychanej wręcz fortuny, zapragnął osobiście poznać Jackie Sand. A kiedy wreszcie stanęła przed jego majestatem, król nie mógł się nadziwić jej wiedzy i urodzie.

Dla Jackie zaś najmiłym rezultatem tej wizyty była obietnica króla, że wpłynie na rząd w sprawie pozwolenia na dzierżawę terenów.

Jackie marzyła o wypadzie w góry, jednak z uwagi na nieustanne bóle i zawroty głowy musiała odłożyć swój zamiar na później, kiedy z całą ekipą udadzą się na północ, by dokładnie wytyczyć działki pod budowę hoteli.

- Nie wiem, czy w ogóle powinnaś tam jechać - Arthur Scott martwił się złym samopoczuciem szefowej. - Zdajesz sobie chyba sprawę, że taka podróż nie jest łatwa.

- Nie martw się o mnie - śmiała się Jackie. - Zobaczysz, że gdy tylko wyjedziemy z miasta, przejdzie mi jak ręką odjął.

Scott nie był co do tego przekonany, tym bardziej, że już do tradycji należało opuszczanie przez Jackie stolika podczas każdego posiłku. Wstawała wówczas pobladała i dyskretnie udawała się do toalety, po czym wracała jeszcze bledsza, o ile to w ogóle było możliwe.

Jackie chudła w oczach. Gdy jeszcze miesiąc temu była tryskającą zdrowiem i energią dziewczyną, teraz pozostał dosłownie cień tej osoby. Wielkie i lśniące oczy Jackie Sand, zamiast przydawać jej urody, uwypuklały tylko jej wychudzoną twarz.

- Cóż - westchnął Scott - być może kiedy spotkasz ludzi, u których się wychowałeś, przejdzie ci ta bulimia.

- Ależ Arthurze - popatrzyła na niego tajemniczo - nie planuję jechać do klasztoru Tsu-An.

- Nie...?

- Tereny, które zamierzam wydzierżawić, znajdują się bardzo daleko od klasztoru - wyjaśniła.

- Ale... premierowi mówiłaś co innego... - urwał, gdyż Jackie znów pobiegła do łazienki.

Chociaż pragnę tego z całego serca - myślała, wymiotując - nie mogę odwiedzić klasztoru.

W przeciwnym wypadku szpieg Lovestone'a odkryłby, że w klasztorze przebywa Nancy Coleman.

Gdy Jackie opuściła wreszcie łazienkę, w salonie zastała ją miła niespodzianka. Ubrany w śnieżnobiałą marynarkę urzędnik z biura rządu przyniósł wieść, iż nepalski rząd popiera plan zagospodarowania górskich nieużytków przez amerykańską firmę. Istniał wszakże jeden warunek. Przed podpisaniem umowy dzierżawy przedstawiciele Sand Corporation i Wiedermann Hotels mieli udać się w proponowane przez siebie tereny i osobiście sprawdzić stan ich przydatności pod budowę hoteli. W ten sprytny sposób rząd chciał ustrzec się przed późniejszymi ewentualnymi nieporozumieniami, gdyby miało się okazać, że ten, kto wytyczał działki palcem na mapie, nie miał zielonego pojęcia o ukształtowaniu przedstawionego na nich terenu.

Ale działki wytyczała Jackie Sand, a ona wiedziała doskonale, co robi. W całym północno-wschodnim regionie trudno było o bardziej beznadziejne pod względem przemysłowym miejsca. Z premedytacją i olbrzymią precyzją Jackie wybrała akurat te cztery działki. Teraz, gdy wyprawa w owe tereny

miała stać się rzeczywistością, Jackie zastanawiała się, czy szpieg Jerry'ego Lovestone'a zdążył dostarczyć swemu panu mapy.

Jako mistrzyni w przewidywaniu posunięć Lovestone'a, Jackie oczyma wyobraźni widziała już swego przeciwnika, jak gorączkowo usiłuje zdobyć pieniądze na kosztowne nepalskie przedsięwzięcie.

Jackie się nie myliła. Odkąd Lovestone otrzymał mapy, nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak o najtwardszym mineralu świata. Diamenty nawiedzały go nawet w snach.

Tylko że aby zdobyć himalajskie diamenty, potrzeba było pieniędzy.

A Lovestone pieniędzy nie miał.

Firma Lovestone Mining sprzedała, co prawda, wszystkie filie niezwiązane z wydobywaniem ropy naftowej, ale uzyskane w ten sposób środki finansowe natychmiast inwestowano w przemysł wydobywczy. Jerry Lovestone postawił wszystko na jedną kartę, a ową kartą była właśnie ropa naftowa.

Wprowadzono więc nowe technologie, zwiększono nakłady na badania, zakupiono kilka drobnych przedsiębiorstw górniczych, słowem, wydano niemal wszystkie zapasy pieniężne firmy. Zaciągnięto też olbrzymie kredyty.

Teraz należało już tylko czekać, aż poniesione wydatki wydadzą owoce. Lecz Jerry Lovestone nie przewidział jednego - że cena ropy naftowej na światowych rynkach zacznie gwałtownie spadać.

- Kraje OPEC zupełnie poszalały! - wściekał się Lovestone na zebraniu dyrektorów wszystkich filii Lovestone Mining. - Komu opłaca się sprzedawać ropę po tak niskich cenach?!

Rzeczywiście, już od miesiąca większość filii firmy, zamiast spodziewanych zysków, przynosiła straty.

Kraje OPEC, jak nazywa się inaczej państwa położone w rejonie Zatoki Perskiej, obniżyły drastycznie ceny ropy naftowej, a w ślad za nimi poszły inne państwa z całego świata. Wiadomo bowiem powszechnie, że to właśnie kraje OPEC narzucały tempo wzrostu tychże cen.

- Ostrzegalem cię przed czymś takim, Jerry - przypomniał Coleman. - Nie powinniśmy byli pozbywać się przedsiębiorstw innych branż. A teraz możemy się tylko modlić, by cena ropy nie spadła jeszcze bardziej i by taki stan rzeczy nie utrzymywał się zbyt długo. W przeciwnym razie, przykro mi to mówić, grozi nam bankructwo.

- Jak zwykle dramatyzujesz - roześmiał się Lovestone, lecz jego śmiech, zamiast beztroski, miał w sobie sporą nutę hysterii. - Lovestone Mining to silna firma. Przetrwamy, nawet jeśli raje OPEC zaczną rozdawać ropę za darmo!

- Nie byłbym tego taki pewny - odezwał się jeden z dyrektorów. - Moja filia nie posiada żadnego zaplecza finansowego, a tylko kupę wierzycieli.

- I takich filii jest przynajmniej kilka - dodał inny.

Zebrani pokiwali twierdząco głowami.

- Więc co? - gorączkował się Wielki Prezes. - Powinniśmy zaciągnąć nowe kredyty?

- Obawiam się - Coleman znów zabrał głos - że to nie będzie najlepsze wyjście. Od rozpadu New York Oil banki nabrały do nas uprzedzeń. Wystarczy jedno potknięcie, a znów zażądają od nas natychmiastowej spłaty kredytów.

To wszystko wydawało się Lovestone'owi złym snem. Jackie Sand buszowała bezkarnie po Nepalu w poszukiwaniu diamentów, a on nie miał z czego finansować podstawowej działalności własnej firmy. Poza tym pragnął także wyruszyć do Nepalu i na to również potrzebował pieniędzy.

- Panowie - rzekł wreszcie, wodząc po zebranych ponurym spojrzeniem - wyjście może być tylko jedno. Decyzja może być tylko jedna.

Sprzedam Lovestone Mining.

W gabinecie zapanowało poruszenie. Chociaż Wielki Prezes spodziewał się protestów, ku swemu zaskoczeniu usłyszał ciche westchnienia ulgi. Oto czym odwdzięczali mu się jego podwładni za wieloletnią współpracę. Żaden z obecnych tu dyrektorów nie zapytał, co będzie z zarządzaną przez niego częścią firmy. Powód był aż nadto jasny - dla nich sprzedaż Lovestone Mining oznaczała jedynie zmianę szefa.

A zmiana szefa oznaczała poprawę obecnego stanu firmy.

- Nic mi nie powiesz? - zapytał Lovestone Colemana po zakończonym posiedzeniu. - W sali konferencyjnej zostali tylko oni dwaj.

. Nick był zaskoczony decyzją szefa, ale nie zmartwiony.

- A co mam powiedzieć? - zdziwił się. - To twoja firma. Możesz z nią zrobić, co zechcesz. Uczynisz słusznie, jeśli ją sprzedasz. Przynajmniej nie będziesz musiał patrzeć, jak filia po filii rujnujesz swój dorobek życia.

- Nie do wiary, że mówisz to tak spokojnie - odparł wzburzony Lovestone. - To twoja kochanka doprowadziła do ruiny New York Oil! Tak samo jak zrujnowała moje małżeństwo. To przez Jackie Sand straciłem Vanesę!

- Vanesę - powiedział Coleman bez cienia współczucia - straciłeś na długo przed pojawieniem się Jackie. Wszystkie swoje porażki zawdzięczasz jedynie sobie, nikomu więcej. - Teraz, gdy los firmy był przesądzony, Nick wreszcie zdobył się na zupełną szczerłość. - Niszczysz wszystko, czegokolwiek tkniesz. Pomału zaczynam wierzyć, że z premedytacją okłamałeś umierającą Helen O'Donnell.

- Jak śmiesz! - wrzasnął Lovestone. - Dałem ci wykształcenie, opiekę nad twoją matką. Byłem dla ciebie jak ojciec...

- Nie jesteś moim ojcem! - teraz także Nick podniósł głos. - I nic ci nie jestem winien. Owszem, pomogłeś mi, ale już dawno spłaciłem mój dług wobec ciebie. Gdyby nie ja, New York Oil nigdy nie byłaby przemysłowym gigantem o światowej renomie. Gigantem, którego zniszczyła twoja chciwość.

Zapadło niezręczne milczenie. Słowa Nicka były ostre, ale mówiły prawdę i Lovestone doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Mogę zająć się sprzedażą firmy - dodał jeszcze Coleman. - Ale będzie to ostatnia rzecz, jaką dla ciebie uczynię.

- Zrób to - odrzekł Lovestone, opadając ciężko na fotel. - Jeśli tylko znajdzie się kupiec na Lovestone Mining, sprzedaj ją.

Coleman wyszedł.

Głupcy! - pomyślał Lovestone. - Wydaje wam się, że to koniec Jerry'ego Lovestone'a. Ale tak nie jest! Udowodnię światu, do czego naprawdę jestem zdolny. Sprzedaje swoją firmę. Tak! Lecz wkrótce powstanie inna Lovestone Mining, wiele tysięcy mil stąd, a wtedy tacy ignoranci jak Coleman będą błagać mnie na kolanach, bym dał im posadę. Będę pławił się w diamentach. I zgniotę Jackie Sand jak pluskwę. Dopiero wtedy będę naprawdę szczęśliwy!

W środę, osiemnastego marca, przybyła do Katmandu pozostała część ekipy Jackie Sand. Był to zespół ośmiu mężczyzn w różnym wieku. Czterej z nich byli rodowitymi Amerykanami, trzech pochodzili z Australii; Sand Corporation podkupiła ich z australijskiego giganta górniczego Broken Hill Proprietary, tego samego, które w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym

pierwszym roku dokonało w kanadyjskiej tundrze odwiertów prowadzących do odkrycia żyły diamentów. Ósmy mężczyzna jeszcze do niedawna pracował w południowoafrykańskim kolosie DeBeers, firmie dominującej w światowym handlu diamentami, w Pekinie jednak przeszedł do tamtejszej filii Sand Corporation, zwabiony oferowanymi przez Jackie zarobkami.

Następnego dnia tych ośmiu mężczyzn, a także Jackie Sand, Arthur Scott oraz James Potter i Robert Sifton mieli rozpocząć trzytygodniową wędrówkę w nieprzebyte obszary północno-wschodniego Nepalu. Ich celem było wytyczyć dokładne granice czterech działek i sprawdzić przydatność owych działek pod budowę hoteli. Tak przynajmniej utrzymywała Jackie Sand.

Jerry Lovestone był odmiennego zdania. Znowu otrzymał faks z Katmandu, tym razem z listą uczestników wyprawy. W dokumencie pojawiały się takie nazwy, jak DeBeers i Broken Hill Proprietary. Dla laika nazwy te byłyby bez znaczenia. Dla Lovestone'a kojarzyły się z jednym. Jeśli do tej pory miał jeszcze jakieś wątpliwości co do rzeczywistego celu podróży Jackie do Nepalu, teraz rozwiały się one w jednej chwili.

Jerry Lovestone zyskał stuprocentową pewność, że Jackie Sand chce założyć tam kopalnię diamentów.

Późnym wieczorem Jackie zadzwoniła do Nicka. Rozmawiali ze sobą prawie codziennie, teraz jednak miał to być telefon pożegnalny.

- Jutro wyruszamy w góry - powiedziała ze smutkiem. - Wrócę dopiero za jakieś trzy tygodnie. Do tego czasu będziemy pozbawieni kontaktu. W górach nie ma zasięgu dla telefonów komórkowych.

- Będę na ciebie czekał, kochanie - usłyszała w odpowiedzi. - Nawet nie wiesz, jak ja za tobą tęsknię.

- Ja za tobą również...

Już wcześniej uzgodnili między sobą, że nie będą rozmawiali o interesach, skoro reprezentowali dwie konkurencyjne strony. Teraz jednak korciło Jackie, by zapytać o Lovestone'a. Zrezygnowała jednak, ponieważ stwierdziła, że nie ma prawa mieszać Nicka do swoich rozgrywek. Już i tak kiedyś omal go przez to nie straciła.

W końcu, czyż tak trudno domyślić się, co robi Lovestone? Z całą pewnością kombinował, jak by tu sprzątnąć jej sprzed nosa nepalski interes.

W czwartek rano wszystko było już gotowe do drogi. Obładowane sprzętem mierniczym i ekwipunkiem podróżnym land-rovery stały przed hotelem Sheraton.

Pogoda dopisywała i wszyscy byli w wyśmienitych nastrojach, oprócz Arthura Scotta, który ciągle martwił się o Jackie. Ale ona najwyraźniej czuła się dużo lepiej tego dnia, być może rzeczywiście przygotowania do podróży dodały jej energii? Dwoiła się teraz i troiła, sprawdzała bagaże, rozmawiała z mającymi im towarzyszyć nepalskimi przewodnikami.

Nic nie zapowiadało nadciągającej katastrofy.

Jackie sprawdzała właśnie ładunek ostatniego land-rovera.

- To już wszystko - zawołała wesoło, stojąc na piramidzie pakunków ciasno poukładanych w samochodzie. - Mam nadzieję, że o niczym nie zapomniłam.

Scott podał jej rękę i dziewczyna zeskoczyła lekko na ziemię. I nagle pociemniało jej w oczach, a ostry ból przeszył jej podbrzusze. Jackie zemdlała.

Doktor Steve Mallard, młody chirurg-położnik z Anglii, oddelegowany na trzymiesięczną praktykę do Nepalu, pełnił właśnie dyżur w izbie przyjęć miejskiego szpitala w Katmandu, gdy przywieziono tam kobietę z podejrzeniem ataku wyrostka robaczkowego.

Jackie odzyskała już przytomność, nic ją też już nie bolało, ale Arthur Scott uparł się, by zbadał ją lekarz. Zgodziła się więc, choć nie bez złości, nie mieli przecież czasu na takie głupoty.

Doktor Mallard osłuchał jej płuca i serce, jednak nie znalazł w ich pracy nic niepokojącego.

- Zbadam panią teraz przy pomocy ultrasonografu - powiedział do pacjentki. - Jeśli faktycznie chwilowy atak wyrostka robaczkowego był przyczyną pani omdlenia, w górach może pani mieć nie lada kłopoty.

- Mam nadzieję - odparła, sadowiąc się na leżance - że to nie wyrostek. Nie mogę dopuścić, by z jakiegoś błahego powodu ta podróż nie doszła do skutku.

Doktor przystąpił do badania jamy brzusznej Jackie i już po chwili ujrzał na ekranie prawdziwy powód niedomagań dziewczyny.

- To nie wyrostek - powiedział wreszcie, przenosząc wzrok z ekranu na Jackie. Z twarzy doktora nie można było wyczytać absolutnie nic.

- Cieszę się - odparła uspokojona - bo nie mam czasu chorować. Proszę mi tylko przepisać jakieś leki przeciwbólowe i już mnie tu nie ma.

- Nie powiedziałem - rzekł doktor - że jest pani zupełnie zdrowa, chociaż... w zasadzie nic pani nie dolega...

- Doktorze - przerwała mu, poważniejąc - niechże się pan wyraża jaśniej. Mogę jechać w góry, czy nie?

- Pozwoli pani, że najpierw zadam jedno pytanie. Kiedy ostatnio miała pani miesiączkę?

- Jakieś... dwa tygodnie temu.... choć właściwie nadal lekko krwawię. Dlaczego pan pyta?

- Jest pani w ciąży, panno Sand. Wygląda mi to - ponownie popatrzył w ekran ultrasonografu - na dziesiąty tydzień. Powiem jeszcze, że brzydko to wygląda, na tyle brzydko, że nie powinna pani nawet myśleć o wyprawie w Himalaje. Ba! Nie powinna pani w ogóle chodzić.

- Co pan mówi? - Jackie z trudem nadążała za słowami doktora.

- Że nie powinna pani jechać w góry, ani...

- Wcześniej!

- Że jest pani w ciąży... Nie podejrzewała nic pani?

- Nie... - zdziwienie powoli ustępowało miejsca radości.

Była w ciąży! Miała urodzić dziecko Nicka! Nic piękniejszego nie mogło jej chyba spotkać. Do diabła z hotelami. Do diabła z Lovestonem! Będziemy mieli dziecko, Nick - powtarzała w myślach raz za razem.

Widząc radość na twarzy pacjentki, doktor Mallard zmartwił się jeszcze bardziej.

- To ciąża poważnie zagrożona - jego głos sprowadził ją na ziemię. - Widzę znaczne odklejenie trofoblastu, pęcherza, z którego w późniejszym stadium rozwoju płodu powstaje łożysko. To dlatego pani krwawi. Jeśli chce pani urodzić to dziecko, a przynajmniej spróbować uratować ciążę, konieczny jest pobyt w szpitalu. Podamy pani leki podtrzymujące ciążę. Potem będzie można jedynie czekać.

- Jak długo? - spytała.

- Może nawet do dziewiątego miesiąca ciąży, a na pewno dotąd, aż ustanie krwawienie. Niestety, nawet jeśli zdecyduje się pani na szpital, nie będę mógł zagwarantować, że pani nie poroni.

Arthur Scott zastał Jackie podłączoną do kroplówki i tonącą we łzach.

Pociągając nosem, opowiedziała mu, co jej naprawdę dolega.

- W tej sytuacji - rzekł, wysłuchawszy najnowszych rewelacji - trzeba odłożyć podróż, aż...

- Wykluczone! - wykrzyknęła, unosząc się na łokciach. - Pojedziecie tam beze mnie.

- Ależ Jackie! Rząd Nepalu zaznaczył wyraźnie, że najpierw trzeba obejrzeć te tereny.

- Więc je obejrzycie.

- A ty? Do ciebie przecież będzie należało ostatnie słowo.

- I mogę je wypowiedzieć już teraz. Chcę wydzierżawić działki, które osobiście zaznaczyłam na mapie. Koniec, kropka. Ufam ci, Arthurze - ujęła go za rękę - i ty także musisz mi zaufać. Cokolwiek znajdziesz na tych działkach - teraz mówiła prawie szeptem - moja decyzja pozostanie taka sama. Waszym zadaniem jest jedynie wyznaczenie dokładnych granic tych terenów.

- Zaczynam wątpić - Scott popatrzył szefowej głęboko w oczy - czy rzeczywiście zamierzasz wznieść tam hotele. Coś mi mówi, że obszary, które wybrałaś, nie będą idealnym miejscem na sielankę dla zamożnych turystów.

- Dwie z tych działek - wyznała - to bagna, dwie pozostałe to skaliste góry. Nikt przy zdrowych zmysłach nie porywałby się przystosować ich pod jakąkolwiek budowę.

- Więc jednak diamenty? - Nie mógł się oprzeć przed zadaniem tego pytania.

- Miło mi, że tak pomyślałeś. Zależy mi, aby tak właśnie sądzono. Ale jesteś w błędzie. Nie wiem, co kryje podłoże tych czterech działek, z całą pewnością natomiast nie ma tam diamentów.

- Wybacz, Jackie, ale nic już nie rozumiem. Po co mamy jechać w góry, skoro nie masz zamiaru wznosić tam hoteli, ani zakładać kopalni diamentów?

- Ze względu na Roberta Siftona - odparła. - To człowiek Lovestone'a. I wierz mi, właśnie Lovestone wydzierżawi ostatecznie te jałowe tereny. A więc potraktuj tę wyprawę czysto turystycznie i ciesz się nią. Zapewniam, że będzie to dla ciebie niezapomniane przeżycie. Góry są piękne.

- Niezła jesteś - Scott uśmiechnął się szelmowsko.

- Tylko się we mnie nie zakochaj. - Jackie odwzajemniła uśmiech.

Na moment wizja rychłego zwycięstwa nad znieawidzonym przeciwnikiem przesłoniła jej niepewność związaną z zagrożoną ciążą, ale już po chwili smutek powrócił.

- Zadzwoń do Nicka - poprosiła Scotta, kiedy ten zbierał się do wyjścia. - I wyruszajcie wreszcie. Przeze mnie straciliście już trzy godziny.

Po dwudziestu minutach Scott powrócił na szpitalną salę.

- Dzwoniłem do mieszkania Nicka - rzekł - ale nikt nie odbierał, co wydało mi się raczej dziwne, zważywszy, że w Nowym Jorku jest akurat środek nocy. Zadzwoń więc do biurowca Lovestone Mining, tam portier z nocnej zmiany powiedział mi, że Coleman wyjechał.

- Trudno - westchnęła. - Spróbuję zadzwonić jutro, jeśli pozwolą mi wstać z łóżka.

- Jackie... - Scott obawiał się, że wiadomość, jaką przyniósł swojej szefowej, wpłynie negatywnie na jej i tak już wątłe zdrowie. - Nick wyjechał gdzieś na Bliski Wschód. Nie wiadomo, kiedy wróci, może to nastąpić nawet za miesiąc... - a gdy nie zauważył żadnych oznak pogorszenia jej zdrowia, dodał: - Pojechał sprzedać Lovestone Mining.

Gdyby Jackie nie bała się wstać, z radości rzuciłaby się Arthurowi na szyję.

Szejk Al-Ashmawy dotrzymał obietnicy! Lovestone stanął na pograniczu bankructwa i teraz wyprzedawał swoją firmę! To było jak najpiękniejszy sen. Oby tak jeszcze mogła podzielić się swą radością z Nickiem...

To nic, że wyjechał. Wróci. Cóż znaczył miesiąc, czy nawet dwa, w obliczu całego życia. Życia, które zamierzała spędzić u boku ukochanego, z ich nienarodzonym jeszcze dzieckiem.

Godzinę później ekspedycja składająca się z jedenastu pracowników Sand Corporation i Wiedermann Hotels, prowadzona przez czterech Nepalczyków, wyruszyła w niełatwą podróż w północno-wschodnie rejony Nepalu, tym bardziej niełatwą, że nie było wśród nich szefowej przedsięwzięcia - Jackie Sand.

Rozdział XXIII

- **N**ie wiem, jak pani to zrobiła - dziwił się doktor Mallard, wykonując kolejne badanie ultrasonograficzne macicy Jackie - ale po odklejeniu trofoblastu nie pozostał nawet ślad. Płód rośnie i ma się dobrze. Jackie spędziła w miejskim szpitalu w Katmandu dokładnie miesiąc. Przez cały czas wypełniała dokładnie polecenia doktora. A były one dość proste - leżeć i wypoczywać.

- Czy to oznacza - ucieszyła się - że zagrożenie poronieniem minęło?

- Proszę się nie forsować, a jest spora szansa, że urodzi pani w odpowiednim terminie. Kategorycznie odradzam wypraw w góry. Najlepiej będzie, jeśli zaszyje się pani w jakiejś małej klinice w malowniczej okolicy i tam poczeka na rozwiązanie. O ile wiem, w Europie pełno jest takich miejsc.

- Nie mogę - zaprotestowała - spędzić pięciu miesięcy odizolowana od świata. Prowadzę dużą firmę. Rozpoczęłam w Nepalu znaczne przedsięwzięcie, poza tym...

- Powinna pani - przerwał jej doktor. - Chociażby ze względu na dziecko. Nie musi to być od razu prywatna klinika. Może pani przebywać w swoich posiadłościach pod opieką lekarza domowego. W żadnym razie jednak nie wolno się pani przemęczać. Proszę spojrzeć - to mówiąc doktor zwrócił ekran w kierunku Jackie - ten ciemny kształt oznaczony krzyżykami to pani dziecko. Jeśli chce je pani ujrzeć zdrowe, a przede wszystkim żywe, proszę zastosować się do moich rad.

Z początku Jackie widziała na monitorze jedynie ciemną plamę, ale po chwili dało się zauważyć wyraźną linię kręgosłupa, owalny kształt główki i... coś małego i cienkiego, co poruszało się energicznie.

- Czy to rączki? - zapytała nieśmiało.

- Zgadza się - odparł wesoło. - Wszystko jest, jak trzeba, na każdej dłoni po pięć paluszków.

Jackie nie potrafiła dojrzeć żadnych paluszków, mimo to jej serce biło radośnie, gdy tak patrzyła na najwyższej pięciocentymetrowy kształt swego dziecka.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, co należy teraz uczynić. Skoro doktor Mallard kazał jej odpoczywać, będzie odpoczywać. Tyle, że po swojemu.

Wracających z gór Scotta i resztę Jackie powitała już w apartamencie hotelu Sheraton. Zjawili się tu w trzy dni po tym, jak opuściła szpital. Zarośnięci, osmaleni górskim wiatrem i zmęczeni, nie wyglądali na szczęśliwych z powodu wyprawy.

- Powinna pani raczej zająć się garami - James Potter dał upustowej złości - niż bawić się w kreślenie działek na mapach. - Ktoś mi to już kiedyś zaproponował, pomyślała Jackie. - Szkoda, że nie było pani z nami, gdy, brnąc zanurzeni po pas w grząskich bagnach, wytyczaliśmy granice terenów, które przysniło się pani wydzierzawić. Zastanawiam się, jakim cudem zamierza pani postawić tam hotele?

Podobnego zdania byli prawie wszyscy pozostali mężczyźni i głośno wyrażali teraz swoje niezadowolenie. Wyjątek stanowili Arthur Scott i Robert Sifton - ten ostatni sprawiał nawet wrażenie zadowolonego.

No pewnie - Jackie na chwilę zatrzymała wzrok na Siftonie. - Ty wiesz, że nie mam zamiaru budować hoteli. Przynajmniej na razie.

- Doskonale się spisaliście - powiedziała z uznaniem. - Arthurze, skoro życzeniom nepalskiego rządu stało się zadość, pójdziesz jutro do Pałacu i potwierdzisz nasze zamiary.

- Pani oszalała! - Potter nie wierzył własnym uszom. - Straci pani cały majątek, a i tak...

- Cicho, James - uciszył go Scott. - Szefowa wie, co robi.

Nazajutrz dyrektor generalny Sand Corporation oraz obaj specjaliści z branży hotelarskiej Potter i Sifton udali się do Sekretariatu Pałacu. Jackie z racji swego odmiennego stanu pozostała w hotelu.

Na zewnątrz nic się nie zmieniło - biały, betonowy budynek sekretariatu stał sobie na skraju terenów pałacowych, zupełnie jak miesiąc temu. Nawet stado nietoperzy, zwisających głowami do dołu z wysokich pałacowych sosen, wyglądało tak samo.

Różnicę poczuli dopiero w środku. Już nie witano ich z taką kurtuazją, jak poprzednio. Mimo iż byli umówieni z premierem dokładnie na dziesiątą, kazano im czekać trzy godziny, zanim wreszcie jakiś podrzędny urzędniczyzna oznajmił, że premier tego dnia już ich nie przyjmie. Podobno wypadła mu jakaś nagła sprawa. Mogli spróbować dopiero za dwa tygodnie, a i tak nie było wiadomo, czy wówczas premier znajdzie dla nich czas.

Jackie nie wydawała się zaskoczona takim stanem rzeczy. Gdy amerykańska delegacja wróciła z niczym do Sheratona, Jackie powitała ich wesoło, jak gdyby z góry przeczuwała, że w sekretariacie Pałacu spotka ich niepowodzenie.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Scott, zły jak wszyscy diabli.

- To może oznaczać tylko jedno - powiedziała spokojnie - że ktoś trzeci jest zainteresowany tymi terenami równie mocno, jak my.

- Nie wierzę! - James Potter nie potrafił zrozumieć, co można widzieć w czterech górskich, bezużytecznych jak cholera działkach. - Znalazła tam pani złoto, czy co?

- Jakie tam złoto? - odparła niewinnie. - Każdy teren da się przystosować pod budowę, James. Jeszcze zobaczy pan, jakie piękne hotele wyrosną w tych górach.

Akurat! - pomyślał Sifton i zaraz po zakończonej rozmowie z Jackie udał się do telefonu.

- Ktoś kopie dołki pod naszą uroczą Jackie - powiedział cicho, gdy uzyskał połączenie. - Czy to ty, czy może...

- A jak sądzisz? - po drugiej stronie oceanu Jerry Lovestone roześmiał się do słuchawki.

- Bo już myślałem - ciągnął Sifton - że może nepalski rząd przejrzał nasze plany.

- Nawet o tym nie mów! Gdyby tak się stało, nie pożywilibyśmy się nawet jednym zasranym diamentem! Na razie wszystko idzie jak po maśle. Sprzedaż Lovestone Mining to kwestia paru dni. Coleman nad tym pracuje. Już pozbyłem się sześciu filii, ale całą forszę pochłonęła łapówka dla nepalskich urzędasów.

- Musisz się pospieszyć - powiedział jeszcze Sifton. - Ona coś przeczuwa. Jeśli da im większą łapówkę niż ty, wszystkie diamenty będą należeć do niej.

- Zdążę! - Lovestone ze złością cisnął słuchawkę na widelki.

Miał zagwarantowane jeszcze trzy tygodnie, urzędnicy, z którymi kontaktował się telefonicznie i którym wysłał przelewem równowartość sześciu filii, dość jasno to określili.

A za trzy tygodnie - albo forsa, albo podpiszą umowę dzierżawy z Sand Corporation.

Żeby tylko Coleman zdążył do tego czasu znaleźć durnia, który kupi resztę Lovestone Mining - pomyślał Lovestone.

Otworzywszy drzwi do swego pokoju, Sifton stanął jak wryty.

Na kanapie, niczym królowa na tronie, siedziała Jackie Sand, za nią stali Scott i Potter, a cała trójka wpatrywała się w Siftona oskarżycielsko.

- Co u Jerry'ego? - zapytała Jackie słodziutkim głosem.

Sifton skurczył się pod wpływem tego pytania. Wiedzieli już o jego podwójnej grze.

- Nie wiem, o czym pani mówi - skłamał. Może nie wszystko stracone? Może Jackie strzelała w ciemno, przypadkowo wiążąc jego osobę ze zmianą nastawienia rządu do ich delegacji?

- O tym - nie wytrzymał Scott - że jesteś skorumpowanym gnojkiem, Sifton! Zabijaliśmy się w górach przez miesiąc, a teraz ten łajdak, Lovestone, sprzątnie nam nasze działki sprzed nosa.

- Wolnego! - Sifton wyprostował się i z wyższością popatrzył na trójkę intruzów. - Te działki nie należą jeszcze do nikogo. Nepalski rząd wydzierżawi je temu, kto da więcej. To nie moja wina, że konkurencja weszła pani w drogę, Jackie. I boleję nad tym - zrobił minę cierpiętnika - że darzy mnie pani takim brakiem zaufania, zwłaszcza że, jak powiedział szanowny pan Scott, zabijaliśmy się w górach dla pani hoteli.

- Nie pieprz, Sifton - przerwała mu ostrym tonem. - Przed chwilą dzwoniłeś do Lovestone'a. - Pomachała mu przed nosem małym urządzeniem w czarnej plastikowej obudowie, nie większym, niż paczka papierosów. - Nagraliśmy każde twoje słowo.

Sifton skapitulował wobec tak oczywistego dowodu swojej winy.

- Co pani teraz zrobi? - zapytał, nadrabiając miną.

- Ja? - zdziwiła się. - Nic. Za to ty natychmiast opuścisz ten kraj.

Nie musiała mu tego powtarzać dwa razy.

- Jak się pani na nim poznała? - Potter mocno przeżył zdradę kolegi.

Sifton spakował swoje rzeczy i zniknął z Sheratona, jakby go tu nigdy nie było. A oni - Potter, Jackie oraz Arthur Scott - siedzieli teraz w hotelowej restauracji.

- Spędziliśmy z nim miesiąc w skrajnie trudnych warunkach - mówił Potter. - Wielokrotnie powierzaliśmy mu życie, a on... - urwał, lecz nie przestawał kręcić głową z niedowierzania.

- Był zbyt uczciwy, James - wyjaśniła - bez najmniejszej skazy. A tacy ludzie zawsze wzbudzają moje podejrzenia.

- Poza tym - dodał Scott - tylko on mógł przekazać Lovestone'owi kopie naszych map. Ty nie miałaś ich w reku nawet przez sekundę.

- To oznacza - Potter wytrzeszczył oczy na Jackie - że wiedziała pani o jego zdradzie jeszcze przed naszą podróżą! Dlaczego dopiero teraz go pani zdemaskowała?

- Potrzebowałam go do przekazywania Lovestone'owi ciekawych, acz błędnych informacji. Ale Sifton spełnił już swoją funkcję, nawet o tym nie wiedząc. Dalsza jego obecność tutaj byłaby mi nie na rękę.

- Moim skromnym zdaniem - stwierdził Potter - wybrała pani zły moment na odkrycie kart przed Siftonem. On przecież powie Lovestone'owi, że przejrzała pani ich grę, a Lovestone z kolei użyje wszelkich możliwych środków, przepłaci nawet, byle tylko zdobyć te działki, jeśli tak mu na nich zależy.

- I o to mi właśnie chodzi - uśmiechnęła się, po czym przez dziesięć minut tłumaczyła obu mężczyznom, co naprawdę zamierza robić w Nepalu.

Gdy skończyła, James Potter popatrzył na nią z najwyższym podziwem. Znał szefową mądrą i roztrofną, teraz poznał ją sprytną i przebiegłą.

Także Scott był zaskoczony pomysłowością strategii Jackie.

- A podsłuch? - zapytał. - Nie w mówisz nam chyba, że założyłaś podsłuch w recepcji hotelu, by przyłapać Siftona, jak zdaje szpiegowską relację Lovestone'owi.

- Nie mam zamiaru wam tego wmawiać.

- Więc?

Popatrzyła na obu mężczyzn, chcąc potrzymać ich jeszcze trochę w niepewności, po czym odparła:

- Urządzenie, jakie pokazałam Siftonowi, to zwykły walkman, który pożyczyłam od wnuczka hotelowej sprzątaczk.

Wszyscy troje wybuchli gromkim śmiechem.

Następnego dnia Jackie Sand, zła jak burza gradowa, wpadła do sekretariatu Pałacu.

Scott odradzał jej tę wizytę.

- Doktor Mallard zabronił ci się przemęczać - mówił. - Jeśli tam pójdziesz, narazisz się na niepotrzebne nerwy, a to może zaszkodzić twemu dziecku.

- Nie martw się - uspokoiła go. - Dobrze wiem, co mnie tam spotka. Z pewnością usłyszę, że z powodu jakichś bardzo ważnych przyczyn sprawa dzierżawy górskich terenów musi być odłożona.

- Więc nie idź wcale.

- Muszę. Inaczej wzbudzę ich podejrzenia, że nie zależy mi tak bardzo na tej dzierżawie.

W sekretariacie Pałacu naskoczyła na pierwszego napotkanego urzędnika.

- Kto jest odpowiedzialny za wstrzymanie zezwolenia na dzierżawę terenów pod budowę hoteli?

- Ja... nie wiem... - odparł. - Proszę przyjść jutro, może wówczas będzie ktoś, kto umiałby pani pomóc.

„Nie wiem” i „jutro”, to była odwieczna polityka skorumpowanych urzędników.

- Może to - Jackie wyjęła z torebki banknot studolarowy - odświeży panu jasność umysłu?

Pieniądze, niczym fatamorgana, natychmiast zniknęły w kieszeni urzędnika. Gdyby nie otwarta torebka, Jackie przysięgłaby, że nie było żadnego banknotu. To się nazywa sprawność w pełnieniu służbowych obowiązków - pomyślała z ironią.

- Właściwie - urzędnik uśmiechnął się szeroko - przypominam sobie, że wczoraj moi koledzy dyskutowali właśnie na interesujący panią temat. Proszę za mną, panno Sand, zaprowadzę panią do nich.

Choć się nie przedstawiła, mężczyzna doskonale znał jej nazwisko. To dobrze. Nawet bardzo dobrze. To by znaczyło, że czuli przed nią respekt i traktowali nad wyraz poważnie jej ofertę współpracy.

Urzędnik zaprowadził ją do pokoju na końcu korytarza, gdzie siedziało dwóch pracowników Sekretariatu. Na widok Jackie zerwali się ze swoich krzeseł.

- Pani tutaj? - zawołał jeden z nich. - Mówiono nam, że jest pani w szpitalu...

- Jak panowie widzą - powiedziała - stoję przed wami i mam się całkiem dobrze, w przeciwieństwie do obiecanego przez wasz rząd zezwolenia na dzierżawę. Będą panowie łaskawi wyjaśnić mi, dlaczego zostało wstrzymane - to rzekłszy rozsiadła się wygodnie w fotelu. - W przeciwnym razie będę zmuszona poinformować europejskie firmy o tym, jak nieprzychylnie potraktowano tu moją osobę.

- Ależ panno Sand - bladeść, jaka wystąpiła nagle na twarzach obu urzędników, mogła być porównywalna z kartką papieru - to, że nasz rząd wstrzymał wydanie zezwolenia, nie oznacza, że nie zgodzi się na dzierżawę.

- A co oznacza? - zapytała z nutką drwiny w głosie.

- Potrzebujemy czasu - tłumaczył się jeden z nich - by bliżej zapoznać się z pani projektem.

- Więc co, za przeproszeniem, robiliście do tej pory?

- Załatwialiśmy inne sprawy - odparł drugi wymijająco.

- Rozumiem - westchnęła. - A kiedy załatwicie moją?

- Wkrótce.

- Żądam dokładnej odpowiedzi - powiedział gniewnie. - Wkrótce może oznaczać za rok!

- Trzy tygodnie, nie dłużej - zapewнили ją urzędnicy. Do tego czasu rząd zdecyduje, czy wydzierżawi pani działki w północno-wschodnim obszarze kraju.

Czy też wydzierżawi je Lovestone'owi - dokończyła Jackie w myślach.

- Wspaniale! - podniosła się z fotela. - Więc wrócę tu za trzy tygodnie. I lepiej - dodała z naciskiem - żeby umowa dzierżawy była wtedy przygotowana.

Wróciwszy z sekretariatu Pałacu do Sheratona, Jackie zastała w hotelowej recepcji Nepalczyka z plemienia Szerpów, Bahadima Norbu, tego samego, który pół roku wcześniej zaprowadził do klasztoru Tsu-An Anthony'ego Bearsa i Nancy Coleman.

Będąc jeszcze w szpitalu, Jackie wysłała Norbu do klasztoru. Nepalczyk miał dostarczyć mnichowi Jon-Te list, w którym Jackie informowała przybranego ojca o swej wizycie w Katmandu. Ubolewała jednocześnie nad tym, że sama nie może zjawić się w klasztorze.

- Miałeś bezpieczną podróż? - tymi słowami powitała starego przyjaciela.

- Tak, panienko Saran - odparł z szacunkiem.

- A jakie wieści przywozisz mi z Tsu-An? Czy mój ojciec ma się dobrze?

- Sam to panience powie - Norbu uśmiechnął się tajemniczo.

- Jak to? - niezbyt rozumiała ten uśmiech. - Czyżby przyjechał tu z tobą?

- Zaprowadzę panienkę do niego. - Nepalczyk ruszył do wyjścia, a Jackie pospiesznie podażyła za nim.

Minęli pieszo kilka przecznic, aż wreszcie dotarli do jednego z bazarów, położonego tuż za Thamelem. Na końcu bazaru rosły cztery kasztanowce. W cieniu jednego z nich stał wysoki mężczyzna, w kapeluszu z szerokim rondem i z rękami wbitymi w kieszenie podniszczonego płaszcza.

Rozglądał się leniwie dookoła. Gdy dostrzegł Jackie, jak przeciskała się przez tłok straganów, jego twarz rozjaśnił dobrotliwy uśmiech.

- Cóрко - szepnął, czując łyzy wzruszenia napływające do oczu.

Jackie także zauważyła swego mistrza. W jednej chwili napraszające się przekupki przestały istnieć. Jon-Te wyjął ręce z kieszeni i wyciągnął je do Jackie.

- Ojciec... - dziewczyna padła mu w ramiona, niezdolna powiedzieć nic więcej. A on tulił ukochane dziecko tak mocno, jakby bał się, że za chwilę Jackie zniknie.

- Musiałam, mistrzu. - Łzy dziewczyny wsiąkały w połę jego płaszcza. - Mam ci tak wiele do opowiedzenia...

Wiele godzin później, gdy bezchmurne niebo nad Katmandu roziskrzyło się milionem gwiazd, Jackie wracała samotnie do Sheratona. Włokąc się wolno, noga za nogą, dziewczyna jeszcze raz przeżywała spotkanie z mistrzem Jon-Te. Roztrząsała każde jego słowo.

- Czynisz dobrze, cóрко - mówił - że wypełniasz ostatnią wolę swojej ciotki. Nie pozwól tylko, by chęć zemsty zniszczyła twoje serce.

Jon-Te był kochanym ojcem. Z właściwym sobie spokojem przyjął fakt jej ciąży. Nie krytykował, nie prawił morałów.

- Cieszę się - rzekł po prostu. - Czy ty także się cieszysz?

- Bardzo - odpowiedziała szczerze.

Z daleka widać już było budynek hotelu. Jackie ze złością kopnęła pustą puszkę po coli.

Cholera - zakłęła w duchu. - Co z tego, że się cieszę, jeśli Nick o niczym nie wie? Zdązę urodzić, a on nadal nie będzie miał pojęcia, że zostanie ojcem!

Coleman wciąż jeszcze nie wrócił do Nowego Jorku. Już od miesiąca podróżował po krajach Zatoki Perskiej, poszukując kupca na Lovestone Mining. Mimo wielu prób, Jackie nigdzie nie mogła go zastać pod telefonem, a wiadomość, jaką chciała go uraczyć, była zbyt delikatna, by powierzać dostarczenie jej komuś trzeciemu.

Teraz jednak, gdy sprawa dzierżawy uległa zawieszeniu, Jackie wiedziała dokładnie, w jaki sposób spędzi najbliższe trzy tygodnie.

Znajdę cię, Nick - pomyślała, pokonując stopnie hotelowych schodów.

Gdy tylko pojawiła się w holu, natychmiast dopadli ją Scott i Potter, obaj mocno przestraszeni.

- Czy coś się stało? - zapytała widząc ich przerażone miny.

- I ty masz czelność o to pytać?! - krzyknął Scott, zwracając na siebie uwagę obecnych w holu hotelowych gości. - Wyszłaś stąd rano, a teraz jest dziesiąta wieczór! Obdzwoniliśmy z Jamesem wszystkie szpitale i posterunki policji. Dzwoniliśmy nawet do kostnicy, a ty się pytasz, co się stało? Na Boga, dziewczyno, gdzie ty się podziewałaś?!

- Musiałam załatwić pewną sprawę - Jackie wzruszyła ramionami. - Chodźcie do mego pokoju, a wszystko wam opowiem.

W milczeniu wjechali windą na trzecie piętro.

- Wyglądasz na bardzo zadowoloną z siebie - zauważył Scott, gdy znaleźli się w apartamencie Jackie. - Czyżby wizyta w sekretariacie Pałacu przebiegła po twojej myśli?

- Poniekąd - odpowiedziała z uśmiechem. - Rząd nepalski ma na razie pilniejsze sprawy, niż wydawanie pozwoleń Amerykanom na dzierżawy gruntów. Ale, jak mi dziś obiecano, za trzy tygodnie znajdzie się czas i dla nas.

- Rozumiem - stwierdził Scott - że akurat tyle potrzeba Lovestone'owi, by sprzedać firmę i nabyć wytyczone przez nas działki?

- Zgadłeś. Właśnie to zamierza uczynić Lovestone. Nie wydzierżawić, a nabyć te tereny.

- A w efekcie stracić kupę forsy - dodał James Potter.

- Nie będziemy mu w tym przeszkadzać - powiedziała Jackie. - Arthurze, polecisz ze mną do Nowego Jorku. Zarezerwuj dla nas miejsca na najbliższy lot. A ty, James, zabaw się trochę w Katmandu. Jeśli zdrowie nam dopisze - pogłaskała się po płaskim jeszcze brzuchu - wrócę za trzy tygodnie. Jeśli nie, ty poprowadzisz nepalskie przedsięwzięcie.

Żaden z mężczyzn nie ośmieliłby się kwestionować poleceń szefowej.

- Pójdę się spakować. - Scott ruszył już do drzwi, ale przypomniawszy sobie o czymś, przystanął nagle. - Nie powiedziałaś nam jeszcze, gdzie byłaś do tej pory.

- Widziałam się z moim ojcem - w głosie dziewczyny zabrzmiała ogromna czułość. - Jego zdaniem obrałam właściwą drogę - dodała jakby do siebie.

W Nowym Jorku czekało Jackie przykre rozczarowanie. Nikt nie wiedział, gdzie jest Coleman. Jedynie Lovestone mógłby mieć coś do powiedzenia w tej sprawie, ale akurat on był ostatnią osobą, jaką Jackie chciałaby o to spytać. Spotkanie ze zniechęconym wrogiem wywołałoby w niej tylko niepotrzebne emocje, a tych, ze względu na dobro dziecka, wołała zdecydowanie uniknąć.

W głównej siedzibie Sand Corporation przy Ósmej Alei powitano Jackie bardzo serdecznie. I nic dziwnego - dla swych podwładnych była kimś w rodzaju członka rodziny.

Jackie z radością stwierdziła, że spadek cen ropy naftowej nie dotknął w szczególności bolesny sposób jej firmy. Działo się tak głównie dzięki temu, iż Sand Corporation inwestowała także w wiele innych gałęzi przemysłu. A że inwestowała trafnie, wciąż rosła w potęgę i siłę, i trzeba by chyba wojny czy kataklizmu, by nadweryżyć jej fasady. Nadweryżyć, nie obalić.

W hotelu Wiedermann Jackie zastała pogrążoną w żałobie Barbarę Lovestone. Niedawna śmierć córki i wypadek z kobłą królewską odbiły się na twarzy kobiety setkami zmarszczek, których jeszcze dwa miesiące temu tam nie było.

- Powinnaś gdzieś wyjechać, wypocząć - poradziła jej Jackie. - Spróbowałabyś zapomnieć...

Barbara uśmiechnęła się smutno.

- Dla mnie już wszystko się skończyło - rzekła. - Wraz ze śmiercią Vanessy odeszła ode mnie cała radość życia. Czasem myślę, że powinnam była umrzeć od tego ukąszenia. - Rozpląkała się.

- Nie pleć bzdur. - Jackie objęła ją ramieniem.

- Nie mam po co żyć - szlochała Barbara. - Nigdy w życiu nie spotkało mnie nic dobrego. Nawet własna córka próbowała mnie zabić.

Jackie ze wszystkich sił starała się pocieszyć Barbarę.

- Jeszcze wiele przed tobą - powiedziała. - Skoro, jak sama mówisz, życie przynosiło ci dotąd same cierpienia, nie znaczy to, że zawsze tak będzie. Może jutro wydarzy się coś, co przywróci ci nadzieję i dawną radość?

- Kochana Jackie - westchnęła Barbara. - Obyś miała rację. - Otarła łzy i już w zdecydowanie lepszym nastroju zapytała: - A jak tam nepalskie interesy? - i dodała: - Chyba dość dobrze, bo wyglądasz kwitnąco. Opuściłaś Nowy Jork taka wymizerowana, a teraz - zmierzyla gościa uważnym spojrzeniem - przybyło ci trochę ciała.

Na dźwięk tych słów Jackie zmieszała się lekko, a jej twarz oblała się rumieńcem.

- Na razie - odparła - wszystko układa się zgodnie z planem. Poza jednym. - Spuściła wzrok. - Spodziewam się dziecka.

Barbara popatrzyła na Jackie w osłupieniu.

- Dziecka...? To wspaniale! - zawołała, a uściskawszy przyszłą mamę, dodała smutno: - Życzę ci, by twoje dziecko było dla ciebie powodem do radości i dumy oraz byś nigdy nie zaznała od niego przeżyć, których mnie los nie oszczędził. Chociaż - poprawiła się - twoje dziecko z pewnością da ci samo szczęście, przecież Nick nie jest taki, jak Jerry. Bo to... Nick... prawda?

- Oczywiście! - odpowiedziała Jackie, zaskoczona, że ktoś mógłby w ogóle pomyśleć inaczej.

Barbara skorzystała z rady Jackie i w dwa dni po ich rozmowie weszła na pokład transatlantyku płynącego do Europy.

Pozostawiała za sobą Nowy Jork i ponad trzydzieści lat swego małżeństwa. Na powrót przybrała panięskie nazwisko. Nic już tu jej nie trzymało. Straciła męża i jedyne dziecko. W Szwajcarii miała przynajmniej rodzinną posiadłość Wiedermannów i wspomnienia z lat dzieciństwa - więcej, niż pragnęła, zbyt mało, by zaczynać życie od nowa.

Barbara od razu zamknęła się w kajucie wraz ze swym smutkiem i cierpieniem. Nie wyszła na pokład nawet wtedy, gdy statek odbijał od brzegu. Płynęła do domu - i tylko to się liczyło.

Kochana Jackie - pomyślała. Tak właśnie nazywała przyjaciółkę. Kochana Jackie. To Jackie namówiła ją na tę podróż, wzniciła w niej nadzieję, dodała odwagi. Barbara wiedziała, że pozostawia prowadzenie swej firmy

w dobrych rękach. Dopóki Jackie Sand będzie zarządzać jej hotelami, Wiedermann Hotels nie zginie.

Szkoda tylko - Barbara całą siłą woli powstrzymywała cisnące się do oczu - że nie mam nikogo, kto odziedziczy po mnie mój majątek.

Dopiero w porze kolacji Barbara opuściła kajutę. Gdy zeszła do restauracji, niemal od razu jej uwagę przykuły trzy postacie skulone przy jednym ze stolików. Kobieta około sześćdziesiątki i dwie dziewczynki, najwyżej siedmioletnie i podobne do siebie jak dwie krople wody, zapewne babcia z wnuczkami, rozglądały się lękliwie po wielkiej sali restauracyjnej.

Nie pasowały do tego miejsca. W mocno znoszonych ubraniach wyglądały jak trzy Kopciuszkii pośród eleganckich dam i ich towarzyszy.

Barbara poczuła nagle silną więź z tymi zagubionymi istotami. Choć było jeszcze wcześniej i restauracja była wypełniona gośćmi tylko w połowie, Barbara ruszyła właśnie do ich stolika.

- Czy to miejsce jest wolne? - zapytała kobietę, wskazując jedyne puste krzesło.

- Tak... - Kobieta podniosła na Barbarę wystraszone oczy.

- Nie będzie paniom przeszkadzać, jeśli się dosiadę?

- Skądże znowu - żarliwie zapewniła kobieta. - Tylko... moje wnuczki... są dość niesforne - dodała jakby na usprawiedliwienie.

Barbara przypatrzyła się ciekawie dziewczynkom. Ich śliczne dziecięce buzie okolone jasnymi loczkami do ramion zapowiadały, że w przyszłości te dwie panny staną się wielkimi pięknosciami. Teraz zaś w najwyższym skupieniu grzebały łyżkami w zupie i ani trochę nie wyglądały na niesforne.

- Nie szkodzi. - Barbara usiadła. - Lubię dzieci.

Do stolika podszedł steward.

- Czego sobie pani życzy, pani Wiedermann?

Barbara poczuła się dziwnie wspaniale na dźwięk swego dawnego nazwiska, którego nie używała od lat. W pierwszej chwili chciała poprosić o wino, jednak ze względu na dzieci rozmyśliła się.

- Na razie poproszę sałatkę z krewetek - rzuciła lekko, nie zajrzawszy nawet do menu. - Potem zobaczymy.

Emma Swanson, babcia bliźniaczek, patrzyła na elegancką damę z wielkim podziwem. Dla niej złożenie zamówienia zajęło dwadzieścia minut, tyle bowiem trwało rozszyfrowanie pośród francuskich nazw potraw zwykłej zupy pieczarkowej, wstydziła się bowiem zapytać stewarda, co one oznaczają.

A tu proszę - sałatka z krewetek. Tak po prostu.

Nie mnie się do niej równać - pomyślała Emma i jeszcze bardziej skuliła się w swoim krześle. - Ją nawet steward zna z nazwiska. Ze wszystkich sił starała się skupić nad swoją zupą, której smaku z wrażenia i skrępowania nawet nie czuła. Omal też się nie zakrztusiła, kiedy siedząca obok dama znów się odezwała:

- Podróżuje pani sama z wnuczkami?
- Tak - odparła szybko.
- Rozumiem, że to taki rejs wycieczkowy? - Barbara pytała dalej.

Czemu ją to interesuje? - pomyślała Emma, głośno zaś powiedziała:

- Niezupełnie. Pierwszy raz płyniemy statkiem. Wiozę moje wnuczki do ich ojca. Ja jestem już schorowana. Nie mam siły ich wychowywać. Do tego trzeba zdrowia i pieniędzy. U ojca będzie im lepiej... - urwała, zaskoczona własną gadatliwością.

- A matka dziewczynek? - dopytywała się Barbara.

- Umarła, biedaczka, na zapalenie płuc, gdy miały zaledwie miesiąc. Była dobrą córką, lecz zakochała się nieszczęśliwie. Studiowała wtedy w Europie, tam też poznała ich ojca. Ale łajdak zostawił ją, gdy dowiedział się, że jest w ciąży. A pani... - Emma najwyraźniej nabierała odwagi - ma dzieci?

- Miałam. - Barbara opuściła wzrok. - Moja córka była równie urocza, co pani wnuczki, zanim...

- Umarła?

- Nie. Dorosła. A potem umarła. Więc mówi pani - Barbara odegnęła od siebie bolesne myśli - że wiezie wnuczki do ich ojca? To raczej dziwne, zważywszy, że kiedyś się ich wyrzekł.

- A co mam robić? - westchnęła Emma. - Wcześniej jeszcze dawałam sobie radę, ale kiedy rok temu zmarł mój mąż, zostałyśmy praktycznie bez środków do życia. Sprzedałam więc nasz dom i opłaciłam tę podróż. Teraz modłę się, by udało mi się znaleźć ich ojca, bo jeśli nie, to nie wiem, co się z nami stanie. - Kobieta była bliska płaczu.

Za to Barbarze humor zaczął wyraźnie dopisywać.

- Więc jedzie pani zupełnie w ciemno... - powiedziała, myśląc nad czymś intensywnie.

- Nie mam wyjścia. Ja się nie liczę. Chodzi mi tylko o te dzieci.

- Jeśli zostawisz nas u ojca - nieoczekiwanie odezwała się jedna z wnuczek - to i tak od niego uciekniemy.

- Cicho bądź, Joan - skarciła ją babcia. - Robię to dla waszego dobra. Ciebie i Janet czeka przy mnie tylko nęcza.

Druga wnuczka, Janet, zaczęła cicho pochlipywać.

- Widzi pani? - Emma zwróciła się do Barbary. - Mówiłam, że to niesforne dzieciaki.

- Nie powinna pani ich tak stresować - stwierdziła Barbara. - Są jeszcze takie małe...

- Mają już sześć lat, a im wcześniej poznają prawdę, tym lepiej. A prawda jest taka, że nie mam już ani centa.

Barbara czuła, że za tymi szorstkimi słowami kryje się ogromna miłość do wnuczek.

- A co pani robi - zapytała cicho - kiedy już zostawi je pani u ich ojca?

Emma nie odpowiedział, tylko mocno zacisnęła zęby i wbiła nieobecne spojrzenie w podłogę.

- Proszę nawet o tym nie myśleć! - Barbara odgadła sens tego spojrzenia. A życie jest zbyt pięknym darem, by tracić je z powodu braku pieniędzy.

- Jeśli - zaczęła Emma głosem pełnym cierpienia - zabraknie przy mnie Joan i Janet, nie będę miała po co żyć.

- Ależ, moja droga - Barbara uśmiechnęła się do niej życzliwie - Joan i Janet będą przy pani jeszcze przez wiele lat. Jeśli oczywiście uczyni mi pani ten zaszczyt i zechce skorzystać z mojej propozycji.

- Propozycji? - powtórzyła jak echo Emma Swanson.

- Jadę właśnie do Szwajcarii - wyjaśniła Barbara. - Mam tam rodziną posiadłość nad jeziorem Genewskim, ot, mały dworek w stylu renesansu, otoczony przepięknym parkiem, słowem, dość miejsca, by pani wnuczki miały gdzie się bawić. W pobliskim miasteczku jest całkiem dobra szkoła. Mój kierowca woziłby je codziennie na zajęcia, nie rozstawałaby się więc pani z nimi na długo. O pieniądze proszę się nie martwić. Ja mam ich aż za dużo.

Lzy wielkie jak groch spływały po twarzy Emmy. O czymś takim nie śmiała nawet marzyć.

- A czymże ja się pani odwdzięczę? - zapytała wzruszona.

- Proszę pozwolić mi dzielić z panią tę ogromną babciną miłość.

Miałaś rację, Jackie Sand - pomyślała Barbara. - Moje jutro właśnie nadeszło. Wiedziała już, w jaki sposób wypełni pustkę po stracie Vanessy. Znowu czuła się potrzebna. Snuła plany i marzenia.

Joan i Janet zrozumiały z tej rozmowy tylko tyle, że ukochana babcia już ich nie opuści. Zajadały teraz z apetytem swoje desery, nieświadome, że kiedyś odziedziczą ogromny majątek - firmę Wiedermann Hotels.

- Jadę do Arabii Saudyjskiej - tego samego wieczora Jackie obwieściła Arthurowi. Jedli właśnie kolację w nowojorskim Hiltonie.

- Czy to aby nie jest ryzykowne? - Scott popatrzył na brzuch dziewczyny.

- Mój ginekolog nie widzi przeciwwskazań do podróży samolotem. A mnie denerwuje to siedzenie w jednym miejscu. W Arabii jest przynajmniej ktoś, kto pomoże mi znaleźć Nicka.

- On nadal nie wie...?

- Niby skąd? - Jackie weszła mu w słowo. - Jutro jest trzydziesty kwietnia - mówiła rozdrażniona. - Rozpocznie się osiemnasty tydzień ciąży, albo, jak kto woli, piąty miesiąc. A ten pieprzony drań, Lovestone, wysłał mojego Nicka cholera wie dokąd. Taka sytuacja jest nienormalna i muszę coś z tym zrobić. Inaczej zwariuję.

Arthur Scott przyznał jej rację.

Nazajutrz Jackie opuściła Nowy Jork na pokładzie odrzutowca Pan American lecącego do ArRijad.

W samolocie tym, pośród trzystu osiemnastu pasażerów leciał ktoś jeszcze - niski, niepozorny człowieczek nazwiskiem Fred Wilbur. Jemu było wszystko jedno, dokąd leci. Jego jedyny cel sprowadzał się do śledzenia Jackie Sand.

Rozdział XXIV

Na tarasie hotelu Asturia w Ras Tannurah siedział młody, przystojny mężczyzna. Siedział tak już od godziny. Mogło się wydawać, że nie ma nic pilniejszego do roboty, niż gapienie się na jachty, pływające całymi stadami po spokojnych tego dnia wodach Zatoki Perskiej.

Mężczyzna sęczył powoli sok pomarańczowy i tylko uważny obserwator dostrzegłby w jego zdawałoby się leniwych ruchach ogromne zniecierpliwienie.

Po Iranie i Kuwejcie przyszedł czas na Arabię Saudyjską i nic nie zapowiadało, że akurat w tym kraju dojdzie do ubicia interesów.

Coleman spojrział na zegarek. Kupiec na Lovestone Mining spóźniał się już dwadzieścia minut. Nick z doświadczenia wiedział, że takie spóźnienie nie wróży niczego dobrego. Już sześciokrotnie umawiał się z potencjalnymi nabywcami, za każdym razem jednak, gdy miało dojść do transakcji, kupcy rozmyślali się w ostatniej chwili, nie próbując nawet tłumaczyć zmiany swojej decyzji.

Coleman poniekąd ich rozumiał. Gdyby miał tyle pieniędzy, co ci wszyscy potentaci naftowi z Bliskiego Wschodu, z którymi spotykał się przez minione półtora miesiąca, ostatnią rzeczą, jaką by kupił, byłaby właśnie firma Lovestone'a.

Nie dało się ukryć, że to kompletna ruina. Nick dziwił się, że w ogóle ktokolwiek chce z nim pertraktować.

Ponownie spojrział na zegarek. Dwadzieścia pięć minut spóźnienia. No tak - pomyślał - ten klient nie zamierza się nawet zjawić, żeby poinformować mnie o odmowie. Zniecierpliwienie z wolna ustępowało miejsca irytacji.

Nick dopił pospiesznie swój sok. Nie było sensu czekać dłużej. Arab z pewnością nie przyjdzie. Znowu trzeba było szukać nowych kupców.

W momencie, kiedy Coleman podnosił się z krzesła, czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział szejek Sal'D Al-Ashmawy, uśmiechając się ciepło. - Ważne sprawy zatrzymały mnie na mieście.

- Ach, nic się nie stało - odparł prędko Nick, zadowolony, że szejek w ogóle się zjawił.

- Czy twoja oferta - zaczął Al-Ashmawy - jest nadal aktualna, czy może ktoś już mnie ubiegł?

- Lovestone Mining wciąż jest na sprzedaż.

- To świetnie! - ucieszył się Arab. Wejdźmy zatem do środka, abyśmy mogli omówić warunki. Tu jest zdecydowanie za gorąco.

Dopiero teraz Nick poczuł, jak bardzo jest spocony. Czekaając na Araba i rozważając sprawę sprzedaży firmy, nie zwrócił najmniejszej uwagi na lejący się z nieba żar.

- Warunki są dość proste - powiedział, gdy znaleźli się w chłodnym, klimatyzowanym wnętrzu hotelu. Ty wykładasz kasę, my przekazujemy ci Lovestone Mining na własność.

- Zapoznałem się z waszymi sprawozdaniami finansowymi - rzekł na to Al-Ashmawy. - Zachęcające to one nie są...

Nick nie wyglądał na zakłopotanego tym oczywistym stwierdzeniem.

- Cóż - odparł - co prawda Lovestone Mining nie stoi u szczytu swoich możliwości finansowych, ale...

- Rzekłbym raczej - przerwał mu Arab - że sięgnęła dna.

Nie można było tego ująć w prostszych słowach.

- Znasz cenę - głos Colemana był pozbawiony wszelkich emocji. - Wiesz, na co możesz liczyć w zamian. Decyduj.

Al-Ashmawy nie odpowiedział od razu. Najpierw pociągnął spory łyk swego drinka, a potem długo obracał w dłoni szklankę wypełnioną kostkami lodu, wpatrując się przy tym w dzwoniące o szkło kryształki, jakby chciał wyczytać w nich wszystko.

- Kupię Lovestone Mining - powiedział w końcu - ale za połowę podanej ceny. Inaczej będziesz czekał z jej sprzedażą do końca życia.

Nick nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Firma, która jeszcze nie tak dawno obracała miliardami dolarów, miałaby zostać sprzedana za czterysta milionów dolarów?

- Żartujesz? - zapytał.

Al-Ashmawy przeniósł spojrzenie ze szklanki na Colemana. A było coś takiego w jego oczach, co nie pozostawiało Nickowi najmniejszych wątpliwości, że właśnie tak się stanie.

- Nie do mnie należy ostatnie słowo - westchnął Coleman - lecz podejrzewam, że Jerry Lovestone zaakceptuje twoje warunki.

Jeszcze tego samego dnia opuścił Ras Tannurah, jednak najdalej za trzy dni miał się tu zjawić z powrotem, tym razem w asyście swego prezesa.

Lecąc do Nowego Jorku Nick nie posiadał się z radości. Kiedy sprzedaż Lovestone Mining stanie się faktem, nic już nie będzie łączyło go z Lovestone. Nareszcie będzie tylko z Jackie. Ożeni się z nią, a potem zamieszkają pośród jej ukochanych gór.

Wkrótce miało się okazać, jak płonne to były marzenia.

- Ma pan gościa - powitał Al-Ashmawy'ego kamerdyner, gdy ten zjawił się wieczorem w swym pałacu na wyspie.

- Gościa? - szejk ze zdziwieniem zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie, by, prócz Colemana, był na dziś jeszcze z kimś umówiony.

- To kobieta - dodał kamerdyner. - Młoda Amerykanka. Bardzo piękna.

Al-Ashmawy poczuł, jak krew uderza mu do głowy. Jackie tutaj? - pomyślał uradowany. - Jeśli to sen, to nie chcę się obudzić.

- Gdzie jest? - zapytał ze zniecierpliwieniem.

- Na zachodnim patio...

Szejk nie słuchał dłużej.

Jackie stała zamyślona przy jednym z krzewów orchidei, które w ogromnych donicach rozstawiono po całym pałacu. Ubrana w luźną błękitną suknię wykonaną z tkaniny delikatniejszej niż mgła i z rozpuszczonymi długimi włosami, wyglądała na isticie niezziemskie zjawisko. Poruszany wiatrem jedwabny szal, którym dziewczyna owinęła się z obawy przed wieczornym chłodem, tylko potęgował to wrażenie.

Jackie myślała o dziecku, które nosiła pod sercem. Oczyma wyobraźni widziała już, jak to maleństwo wyciąga do niej swe rączki, jak się uśmiecha... Zastanawiała się, jakie ono będzie. Miało przyjść na świat z końcem września, Jackie nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby je stracić. Czyż nie wykonywała skrupulatnie zaleceń doktora Mallarda? Żadnych stresów, dużo odpoczynku.

Postanowiła, że gdy tylko znajdzie Nicka i powie mu o dziecku, wyjadą razem na koniec świata, zbudują dom i będą w nim szczęśliwi.

Bezwiednie dotknęła kwiatu orchidei. Delikatne białe płatki zaskakiwały swą gładkością. Jackie zapragnęła nagle poczuć tę aksamitną gładkość na swych ustach. Podniosła gałązkę i musnęła kwiat wargami.

W tej samej chwili za jej plecami rozległ się męski głos:

- Za całe moje bogactwo chciałbym być tym jednym kwiatem orchidei.

- Sal'D! - wykrzyknęła uradowana i puściwszy gałązkę krzewu, ruszyła w stronę szejka. - Nie słyszałam, kiedy nadszedłeś.

- Wyglądałaś tak pięknie - rzekł, całując na powitanie obie jej dłonie - że nie chciałem ci przeszkadzać. Poza tym nie byłem pewien, czy to ty, czy może jakaś bogini zaszczyliła swą obecnością skromne progi mego domostwa.

Jackie posłała mu czarujący uśmiech.

- Romantyczny i szarmancki, jak zawsze - odparła. - Lecz, niestety, masz przed sobą zwykłą śmiertelniczkę, nie boginię. I jako śmiertelniczka - dodała poważniejąc - przyjechałam, by prosić cię o kolejną przysługę.

- Co tylko zechcesz - powiedział, a w jego czarnych oczach Jackie wyczytała coś, co przeraziło ją do głębi. Miłość i pożądanie.

Dziewczyna spuściła wzrok. Miała świadomość, że jej prośba zrani młodogo Araba. Nie zawahała się jednak przed jej wyjawieniem.

- Szukam Nicholasa Colemana - zaczęła pewnym i twardym tonem. - Wiem, że jeździ gdzieś po Bliskim Wschodzie, poszukując kupców na Lovestone Mining. - Znów popatrzyła Arabowi prosto w oczy, tym razem krył się w nich olbrzymi smutek. Przykro mi, Sal'D, pomyślała, muszę cię zranić jeszcze bardziej. - Będę miała z nim dziecko.

Na dźwięk tych słów Al-Ashmawy zacisnął powieki, a kiedy wreszcie je podniósł, jego spojrzenie było tak samo zimne i bez wyrazu, jak przed poznaniem Jackie.

Młoda i piękna Amerykanka wzbudziła w nim nieznane mu dotąd uczucia. O niej tylko myślał, o niej śnił, z nią wiązał nieśmiałe nadzieje na przyszłość. Zakochał się w niej, choć od początku jasno określiła ich znajomość. Pozwolił sobie na marzenia. Teraz pojął, jak bardzo był naiwny.

- Coleman przyjedzie tu za trzy, może cztery dni - nawet nie starał się ukryć chłodu w swym głosie. - Do tego czasu miło mi będzie gościć cię w

moim pałacu. To ja jestem tym, który nabędzie Lovestone Mining - to powiedziawszy odwrócił się i odszedł, pozostawiając Jackie zdziwioną i z poczuciem winy.

Dobrze, że nie zdążyłam się rozpakować - pomyślała. Wobec tak jawnego dowodu arogancji, nie mogła pozostać dłużej w pałacu.

Zraniła szejka. Trudno. Nikt mu nie kazał się w niej zakochiwać. Nigdy nawet najdrobniejszym gestem nie dała mu poznać, że będzie jego. Nieważne. Teraz liczyło się tylko to, że za kilka dni spotka wreszcie Nicka. Wtedy mu powie...

Jackie zamieszkała w hotelu Asturia w Ras Tannurah.

Następnego dnia z pałacu na wyspie zniknęły wszystkie krzewy orchidei. Szejk kazał wynieść je na tyły ogrodu, po czym, ku zdumieniu służby, osobiście polał kwitnący białym kwieciami stos benzyną i podpalił go.

Po przybyciu do Nowego Jorku, Nick Coleman udał się prosto do biura Lovestone Mining przy piątej Alei.

- Trochę tego mało... - Jerry Lovestone odruchowo podrapał się w brodę. Zapoznał się właśnie z warunkami Al-Ashmawy'ego. Czteryście milionów dolarów za coś, co było warte niemal miliard, warte w przenośni, bo w istocie żadna inna firma nie była zainteresowana kupnem Lovestone Mining. A coś, czego nikt nie chce kupić, staje się w zasadzie bezwartościowe.

- Szejk Al-Ashmawy - zaczął Nick - to jedyny kupiec, z którym rozmowy zaszły tak daleko. Sześciu poprzednich odmawiało kupna zaraz na początku. Nie próbowali nawet negocjować swoich stawek. Dodam jeszcze, że znalezienie siedmiu chętnych na naszą firmę zajęło mi prawie dwa miesiące. Lovestone Mining z każdym dniem traci na wartości. Jeśli nie zamierzasz...

- No, no - przerwał mu Lovestone - uspokój się. Nie powiedziałem, że mam zamiar odrzucić warunki Araba, tylko że cena jest bardzo niska. Ale - tajemniczy uśmiech pojawił się na jego wargach - wystarczy na moją kolejną inwestycję.

- Wybacz, Jerry - Nick wykazał się kompletnym brakiem zrozumienia dla przedsiębiorczości szefa - nie interesują mnie twoje nowe pomysły. Jak już mówiłem, odchodzę, gdy tylko dokonamy transakcji z Al-Ashmawym.

- Jasne! - Lovestone rzucił Nickowi swe pełne ironii spojrzenie. - Po-
biegniesz prosto w ramiona swojej uroczej Jackie i pozwolisz, by ta suka
nadal przyprawiała ci rogi!

Słyszając to, Nick pobladł straszliwie.

- O czym ty mówisz, do cholery?! - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- O tym - Lovestone najspokojniej w świecie zapalił cygaro - że Jackie
Sand, twoja ukochana dziewczyna, jest właśnie w pałacu szanownego pana
Al-Ashmawy'ego i że nie jest to jej pierwsza wizyta w Arabii Saudyjskiej. -
Nick słuchał chciwie, a Lovestone ciągnął dalej:

- Pierwszy raz pojechała tam w styczniu, tuż po balu noworocznym...

- Kiedy miałem urlop - wtrącił Nick. - Mówiła, że leci do Londynu.

- Ledwie wróciła z Nepalu, a znowu jest u szejka. Nie sądzisz, że to
nie jest zbieg okoliczności? Faktem jest, że...

- Może - Nick czepiał się nadziei - poleciła, żeby mnie odszukać?

- Pobożne życzenie, Coleman - Lovestone zaśmiał się szyderczo.

- Ale nie wiesz jeszcze najlepszego. Twoja Jackie jest w ciąży. Jak
myślisz, z kim?

Nawet Lovestone nie mógł wiedzieć, że to już piąty miesiąc. Kazał śledzić
Jackie dopiero wtedy, gdy wróciła z Nepalu.

- Skąd od razu takie przypuszczenie?! - rzucił ostro Nick.

- Ginekolog, do którego codziennie chodziła, okazał się wyjątkowo
nieprzekupny, pewnie drań skasował od niej dużo grubszą forszę niż tę, jaką
zaproprowowali mu moi ludzie. A skoro tak - zrobił niewinną minę - widocz-
nie Jackie ma coś do ukrycia.

- Więc jednak nie wiesz na pewno? - Nick miał nadzieję, że Lovesto-
ne wyssał całą historyjkę z palca.

- Cóż, na szczęście pielęgniarka owego ginekologa jest rozsądną ko-
bietą. Jackie Sand jest w ciąży!

Nick wolałby, żeby cały budynek zawałił mu się na głowę, niż miałby
usłyszeć tę straszną nowinę. Jeśli Jackie była w ciąży, to na pewno nie on
był ojcem jej dziecka! Pamiętał dokładnie ich ostatni wyjazd na ranczo.
Właśnie wtedy Jackie dostała okres. A przecież nie kochali się od tamtego
czasu!

A jeśli Lovestone kłamał?

- Więc mówisz - powiedział Nick, ochłonawszy nieco - że ona jest te-
raz w Arabii?

- Dokładniej w pałacu na wyspie, będącej prywatną własnością szejka
Al-Ashmawy'ego. Za dwa dni będziesz miał możliwość zobaczenia się z nią.

Lecimy do Ras Tannurah, Nick. Czas pozbyć się Lovestone Mining.

Jad, który Lovestone wlał w serce Nicka, był po stokroć gorszy od jadu kobry królewskiej. Tamten atakował tylko ciało, ten zaś zatruwał i duszę.

Wróciwszy do swego mieszkania, Nick wyciągnął się na łóżku. Nie mógł jednak zmrużyć oka. Słowa Lovestone'a wciąż powracały do niego niczym natrętne muchy.

Jackie w ciąży. Z Arabem. Albo jeszcze z kimś innym.

- Ale nie ze mną - powiedział z wściekłością sam do siebie.

Nagle zerwał się z posłania i sięgnął po słuchawkę telefonu. Przez chwilę słuchał przeciągłego buczenia, po czym odłożył ją na miejsce.

Nie przez telefon - tłumaczył sobie. Jeśli Lovestone mówił prawdę, Jackie będzie musiała wiele mu wyjaśnić. Nick wołał, żeby wyznała mu prawdę o swej zdradzie prosto w oczy. Dopiero wtedy uwierzę - pomyślał. Coś, co jeszcze nie tak dawno było w sercu Nicka ogromną miłością, zaczęło przybierać całkiem nowy kształt - kształt palącej nienawiści.

Nazajutrz obaj z Lovestonem opuścili Nowy Jork. Lecieli do Arabii Saudyjskiej w zgoła odmiennych nastrojach, jeden pełen wewnętrznych rozterek i obaw przed spotkaniem z Jackie, drugi absolutnie rozluźniony, niemożący doczekać się chwili, kiedy ostatecznie pozbędzie się tej kuli u nogi, jaką była Lovestone Mining.

Obaj zaś mieli przeczucie, że ta jedna podróż odmieni zupełnie ich życie.

Jackie spędziła w hotelu Astoria w Ras Tannurah już dwa dni, dwa uroczne dni, które upłynęły jej na kąpielach w basenie, opalaniu się i długich spacerach po plaży. Przez cały ten czas myślała o Nicku. Układała sobie w głowie setki scenariuszy, jak i gdzie powie mu o dziecku. Raz widziała ich na plaży, raz w parku, to znowu w hotelowym apartamencie. W jej wyobraźni Nick przyjmował tę nowinę w przeróżny sposób, od lekkiego zaskoczenia, poprzez niedowierzanie, do szalonej radości. Jednak zawsze koniec każdej z tych scen był nieodmiennie taki sam - brał ją na ręce, całowali się, a potem ślubowali sobie dożgonną miłość.

Czasem Jackie tak się zapominała w swych marzeniach, że niektóre kwestie wypowiadała na głos, czym wzbudzała spore zainteresowanie mijających ją przechodniów.

Nocami leżała w pokoju, wsłuchując się w bicie własnego serca i próbując wyczuć najdrobniejszy choćby ruch w jej łonie. Dziecko było jednak jeszcze zbyt słabe, by dać wyczuwalny dowód swego istnienia.

Jackie dotknęła brzucha, który od pewnego czasu zaczął nabierać coraz bardziej owalnych kształtów, wciąż jednak nie wyglądał na początek piątego miesiąca ciąży. Zwłaszcza teraz, gdy dziewczyna leżała na wznak, był zupełnie płaski. Wkrótce to się zmieni - pomyślała, uśmiechając się w ciemności. - Będę taka gruba, że nie przecisnę się przez drzwi samolotu. Mam nadzieję, że nie przestanę ci się wtedy podobać, Nick.

Podczas trzeciego dnia jej pobytu w Asturii przyniesiono jej ogromny bukiet róż. W środku nie było biletu ni wizytówki. Posłaniec, który dostarczył kwiaty, powiedział tylko:

- Na tarasie hotelu czeka mężczyzna. Prosi panią o spotkanie.

Nick przyjechał! - pomyślała Jackie i jak na skrzydłach pognała do windy.

Mimo, że była dopiero dziesiąta rano, na tarasie było pełno hotelowych gości. Zwabieni rześkim, wilgotnym powietrzem niesionym przez wiatr od Zatoki, korzystali z uroków przedpołudnia. Za kilka godzin upał znów stanie się nie do zniesienia, zamkną się wtedy w klimatyzowanych apartamentach. Na razie jednak pili bez pośpiechu kawę, jedli spóźnione śniadanie, a stojąca pośród nich Jackie nigdzie nie mogła dostrzec sylwetki ukochanego mężczyzny.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nią szejk Al-Ashmawy.

- Dziękuję, że zechciałaś przyjść - zaczął nieśmiało.

Jackie była kompletnie zaskoczona.

- Czy podobały ci się kwiaty? - ciągnął Arab. - Co prawda to nie orchidee, ale...

- Są piękne - powiedziała ledwie słyszalnym głosem. Więc to nie Nick... Szkoda. Czuła się strasznie zawiedziona. Lecz z drugiej strony, to dobrze, że Al-Ashmawy uczynił ten gest pojednania. Woląca mieć w nim przyjaciela, nie wroga.

- Chciałbym prosić cię o wybaczenie - odezwał się Arab, gdy usiedli w rogu tarasu, przy jedynym chyba wolnym stoliku. - Postąpiłem jak ostatni idiota. Takie zachowanie nie było godne dżentelmena.

- Nie mam ci czego wybaczać - uśmiechnęła się Jackie. - Masz prawo czuć do mnie żal.

- Ja jednak czuję się winny i jako zadośćuczynienie za zniewagę, jakiej ode mnie zaznałaś, chciałbym ci coś ofiarować. - To rzekłszy, wyjął z kieszeni marynarki niewielkie pudełko.

- Co to jest? - spytała zaskoczona.

Szejk, zamiast odpowiedzieć, otworzył pudełko i wyjął diamentowy naszyjnik, nie tak okazały, jak ten, który dostał od Jackie w zamian za wpłynięcie na obniżenie cen ropy naftowej, ale na pewno w niczym nie ujmujący mu urodą.

- Och, Sal'D - szepnęła z zachwytem. - Jest piękny i... - zawahała się - cenny. Nie mogę go przyjąć.

- Musisz - odrzekł głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Na dowód, że nie żywisz do mnie urazy.

Czyż mogła odmówić wobec takiego argumentu?

Za framugą drzwi prowadzących na taras, z twarzą ukrytą w mroku hotelowego wnętrza, stał Nicholas Coleman. Dla tych, którzy siedzieli na zewnątrz, pozostawał jedynie bezosobową postacią, za to sam widział bardzo wyraźnie, jak Al-Ashmawy zakłada na szyję Jackie diamentową biżuterię. Dwoje kochanków było tak zajętych sobą, że nie zwracali uwagi na nic dookoła.

Miałeś rację, Jerry - pomyślał Nick, czując napływające do oczu łzy. - Ten jeden raz miałeś pieprzoną rację! Powoli, na nogach ciężkich jak z ołowiu, powłókł się do swego pokoju. Musiał ochłonąć, nim ostatecznie rozmówi się z Jackie.

Dwie godziny później Jackie siedziała przed toaletką w swojej sypialni, podziwiając kosztowny prezent. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, nawet nie wstała ze swego miejsca, sądząc, że to sprzątaczką.

- Proszę! - zawołała tylko.

Drzwi otwarły się i zamknęły po chwili. W salonie dało się słyszeć kroki. Po chwili w owalnym lustrze toaletki zamajaczyła postać mężczyzny. Jackie nie widziała jego twarzy - lustro kończyło się akurat w miejscu, w którym był tors mężczyzny, jednak bez trudu domyśliła się, co to za tajemniczy gość.

- Sal'D! - wypadło to bardziej radośnie, niż zamierzała. - Właśnie zachwycam się naszyjnikiem - powiedziała, wciąż patrząc w swe odbicie w lustrze. - Zastanawiałam się też nad kunsztownym wykonaniem tego dzieła. Czy możesz mi zdradzić jego pochodzenie?

- Nie mnie powinnaś o to spytać - głos, który rozległ się za jej plecami, z pewnością nie należał do Sal'Da.

Odwróciła się gwałtownie w swoim krześle, zbyt wzruszona, by wypowiedzieć cokolwiek.

W drzwiach sypialni stał Nick. Jedyne mężczyzna jej życia. Ojciec jej dziecka.

- To tylko ja - odezwał się z ironicznym uśmiechem, obrzucając ją pełnym pogardy spojrzeniem. - Rozczarowana? Nie martw się, zajmę ci tylko chwilę. Potem będziesz mogła bez żadnego skrępowania rzucić się w ramiona swego szejka.

Jackie nie wierzyła własnym uszom. Co on wygadywał?! Wstała powoli z krzesła i już otwierała usta, ale uciszył ją podniesieniem ręki.

- Pozwól, że to ja będę mówił - ton jego głosu był spokojny, ale w środku Nick dosłownie wrzał. - Było nam ze sobą dobrze. Szanowałem cię i kochałem. Dla mnie byłaś świętością. Wierzyłem, że kiedy uporządkujesz sprawy swojej firmy, będziemy mogli być wreszcie naprawdę razem. Jak głupi czekałem, kiedy wrócisz z gór, martwiłem się, że ciągle nie ma cię w hotelu w Katmandu.

Jackie z przerażeniem słuchała jego oskarżycielskich słów, wciąż nie mogąc pojąć, do czego zmierzał, a on mówił dalej:

- Ale ty okazałaś się zbyt wielką damą, by zniżyć się do mego poziomu. Niech sobie głupi Coleman snuje swoje marzenia. Ty wybrałaś dużo lepszą partię. - Szkoda tylko - gorzyc w jego głosie stawała się nie do zniesienia - że zabrakło ci tej odrobiny przyzwoitości, by zawiadomić mnie, że między nami wszystko skończone.

- Nick... - wyszeptwała zbiegającymi wargami. - Nie wiem, o czym mówisz... Czy to Lovestone coś ci naopowiadał?

- Tym razem Jerry okazał się mniej obłudny niż ty - odparł złośliwie. - Chociaż to właśnie od niego wiem, że jesteś w ciąży.

W tej jednej chwili wszystkie tak skrupulatnie wymyślane scenariusze diabli wzięli. Nick wiedział! Tylko czemu się tak zachowywał? Podejrzewał ją o zdradę, a przecież...

Nagle Jackie zdrewniała. Przypomniała sobie ów dzień na ranczo, kiedy zaczęło się krwawienie. Sama przecież wzięła je wtedy za miesiączkę. Nick również. To dlatego sądził...

- Nie zaprzeczyłaś - powiedział zdruzgotany - a więc jesteś w ciąży.

- Nick - zaczęła łagodnym tonem - to jakieś nieporozumienie. - Dziecko jest twoje...

- Co?! - wrzasnął. - Jak śmiesz mi to wmawiać?! Jeśli Al-Ashmawy cię odtrącił, to twój problem. Ja cię już nie chcę. Zapamiętaj sobie dobrze, Jackie Sand, nie będę ojcem arabskiego bękarta! - to powiedziawszy, Coleman wybiegł z hotelowego apartamentu.

Jackie osunęła się na podłogę, a żaloszny szloch wyrwał się z jej piersi. Jak mógł tak jej nie ufać? Jak mógł pomyśleć, że byłaby skłonna go zdradzić? Przecież tak go kochała... Nosiła pod sercem jego dziecko. Co z tego, że nadal miała prawie płaski brzuch? Była w piątym miesiącu ciąży i łatwo mogła to udowodnić... Tylko że on nie żądał dowodów. Osądził ją, nie dając jej najmniejszej szansy na tłumaczenia. Czy tak postępuje człowiek, który kocha?

Jackie zacisnęła pięści. O, nie, Nicholasie Coleman - pomyślała. - Nie mam zamiaru się przed tobą tłumaczyć. Słuchaj Lovestone'a, jeśli wolisz. Już i tak stałeś się taki, jak on!

Leżąc na dywanie podciągnęła kolana pod brodę, rękami zaś objęła się za brzuch.

- Będziesz tylko moje - szepnęła dławiona płaczem. - Tylko ty i ja w tym nienawistnym świecie.

Naraz, jakby w odpowiedzi, Jackie poczuła w brzuchu lekkie poruszenie. Na moment przestała płakać, sądząc, że to tylko złudzenie. Ale nie, po chwili znów, tym razem bardziej zdecydowanie, coś dotknęło ją od środka.

- Moje dziecko - powtarzała szeptem. - Moje kochane dziecko.

Dochodziła ósma wieczór, gdy w apartamencie Jackie zjawił się szejek Al-Ashmawy.

- Nie przeszkadzam? - zapytał od drzwi.

- Ależ skąd - odezwała się bez entuzjazmu. - Wejdz, proszę. Jestem sama. I to w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Siedziała na kanapie w salonie i patrzyła tępym wzrokiem w trzymaną w rękę szklankę. Na stoliku obok stała opróżniona do połowy butelka wódki.

- Cóż to? - Arab usiadł naprzeciwko. - Upijasz się na smutno?

Nie odpowiedziała, tylko nadal wpatrywała się w swego drinka.

- Myślałem - zagadnął - że jest u ciebie Coleman. Nie było go podczas transakcji sprzedaży Lovestone Mining, ale i bez niego poszło mi z Lovestone nad wyraz sprawnie. Stary drań wydawał się wielce szczęśliwy z faktu, że pozbywa się swojej firmy, nawet za tak małą cenę. Choć ostatecznie czterysta milionów dolarów to i tak niewiele, zważywszy, że wkrótce ceny ropy

znów wzrosną... Á propos, słyszałaś, że Coleman odchodzi od Lovestone'a? Sądziś, że zgodziłby się objąć kierownictwo nad moim nowym nabytkiem? Jako człowiek, który zna tę firmę od podszewki, byłby niezastąpiony na stanowisku dyrektora generalnego. Chyba że macie inne plany... - uśmiechnął się znacząco. - Właściwie to gdzie jest Nick?

Dopiero teraz Jackie popatrzyła na Al-Ashmawy'ego, a jej spojrzenie pełne było najgłębszego smutku.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Coleman - odparła i sięgnawszy po butelkę, naląła sobie kolejną porcję wódki. Szejk z zaskoczeniem zauważył, jak bardzo drżą jej dłonie. - Nie wiem, jakie są jego plany, z całą pewnością jednak mogę stwierdzić, że nie mają one nic wspólnego ze mną.

- Jak to...? - Arab osłupiał.

- Ja i Nick - powiedziała zdecydowanym, pewnym głosem - to już przeszłość.

- A dziecko?

- Zarzucono mi dziś kłamstwo i obłudę. Nie mogę opierać życia na kimś, kto rzuca tak bezpodstawne oszczerstwa.

Szejk podniósł się z fotela i usiadł na kanapie obok niej.

- Zrobię wszystko - przytulił ją do siebie w przyjacielskim odruchu - byle widzieć cię szczęśliwą. Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Dziękuję - wyszeptwała, czując, że znowu zbiera jej się na łyż. Rozzłościło ją to, wiedziała bowiem, że tym razem nie żal, a wypity alkohol jest ich przyczyną. Z wściekłością odstawiła niedopitą wódkę na stolik. - Nie mam prawa cię wykorzystywać, Sal'D.

- Obiecuję - zapewnił ją żarliwie - że nie będę się czuł wykorzystany.

- Właściwie... - zaczęła nieśmiało - jest coś, o co chciałabym cię prosić...

- Cokolwiek zechcesz.

- Gdybym mogła spędzić w twoim pałacu kilka dni...

- Nawet całe życie - odparł najzupełniej serio, ona jednak przyjęła to jako żart.

- Tylko kilka dni, Sal'D - uśmiechnęła się słabo. - Potrzebuję czasu, by przemyśleć pewne sprawy. - W myślach zaś dodała: I pozwolić Lovestone'owi kupić nepalskie tereny.

Rankiem następnego dnia dwudziestoczworometrowa łódź arabskiego szejka zawiozła ich na jego prywatną wyspę.

Jackie czekało kilka dni spokoju, kilka dni, podczas których musiała od nowa zaplanować swoje życie. Z dzieckiem, które miało się pojawić za niecałe pięć miesięcy.

Bez Nicka.

Rozdział XXV

Żółta taksówka toyota z trudem przeciskała się przez zatłoczone, wąskie uliczki Katmandu, zmierzając w stronę terenów pałacowych. Mijała rowerowe ryksze, spieszących dokądś zagranicznych turystów, ale też tkwiących nieruchomo świętych mężów, których wielu siedziało przy głównych ulicach miasta. Ci ostatni przypominali indiańskich szamanów - byli obwieszani koralami i paciorkami, ich zupełnie nagą spaloną słońcem i cienką jak pergamin skórę zdobiły jakieś malowidła. Święci mężowie potrafili siedzieć bez ruchu całymi godzinami, medytując oraz czekając na skromne datki od wiernych i turystów.

Taksówka z mozołem posuwała się naprzód, pozostawiając w tyle całe mnóstwo kapliczek i ołtarzyków poświęconych hinduskiemu bogom. Po całym mieście spacerowały krowy, a ich nieustanne porykiwania zagłuszały odgłos silnika toyoty.

Nagle kierowca taksówki nacisnął na hamulec i zatrąbił przeciągle.

Tuż przed samochodem stała krowa i, jak gdyby nigdy nic, przeżuwała trawę i gapiała się dookoła tępym wzrokiem.

- Do diabła! - zaklął siedzący z tyłu taksówki pasażer. - Niech ktoś zabierze stąd to zwierze! - Amerykanin w średnim wieku, ubrany w drogi garnitur od Tiffany'ego, bębnił ze zdenerwowania palcami w czarny skórzany nesoser, który trzymał na kolanach. - I tak już jestem spóźniony.

- Nie da rady - ze stoickim spokojem odparł kierowca. - Musimy poczekać. To święta krowa i ma tu bezwzględne pierwszeństwo.

No jasne! - pomyślał rozdrażniony Lovestone. - W tym pieprzonym kraju wszystko jest nienormalne. Dziś rano najprawdziwsza w świecie małpa ukradła mu z pokoju śniadanie, wynosząc je przez okno na rosnący obok hotelu wysoki kasztanowiec, a teraz miał ustąpić jakiejś krowie, która, nic sobie z niego nie robiąc, ani myślała zejść z jezdni.

Lovestone nerwowo spojrział na zegarek. Dochodziło południe. Był spóźniony już prawie pół godziny. Jeśli się nie pospieszę - zirytował się - dupki z sekretariatu Pałacu mogą zmienić zdanie i sprzedadzą działki tej suce. Nie mógł na to pozwolić.

- Dalej pójde już pieszo - powiedział.

Zapłacił taksówkarzowi sto rupii i wysiadł z samochodu prosto w uliczny tłok i gwar, po czym minawszy krowę ruszył w stronę terenów pałacowych.

Jednak po przejściu kilkudziesięciu kroków, Lovestone zaczął żałować, że opuścił względnie bezpieczne miejsce w taksówce. Na ulicach Katmandu, oprócz krów, kurzu i upału, pełno było straganów i przekupek oferujących dosłownie wszystko - od wymiany pieniędzy, przez wyroby rzemieślnicze, po haszysz.

Dla kogoś niewprawnego w przedzieraniu się przez istny labirynt napraszających się sprzedawców, a Lovestone raczej nie przywykł do chodzenia na piechotę - jego pierwszym samochodem była limuzyna - dotarcie do końca ulicy granoczyło z cudem. A przecież było ich jeszcze kilka do pokonania.

Kiedy po pół godzinie Lovestone wszedł wreszcie do budynku sekretariatu Pałacu, w niczym nie przypominał wyglądem eleganckiego biznesmena z Nowego Jorku. Jego ubranie było mocno zakurzone, koszulka pod marynarką kleiła się do pleców, a cała twarz i włosy były zlane potem. Jakby tego było mało, do jego lewego buta przykleił się spory kawałek świeżego krowiego łajna.

Mimo to Lovestone był szczęśliwy, okazało się bowiem, że nikt jeszcze nie wydzierzał interesujących go działek. Niezwłocznie zaprowadzono go przed oblicze jakiegoś wiceministra, zajmującego się sprawami dzierżawy terenów w Nepalu. Wiceminister ów miał sześć imion, tak skomplikowanych w wymowie, że dla Lovestone'a nie sposób byłoby je powtórzyć. Zapamiętał jedynie nazwisko - Rana, co nie było trudne, zważywszy, że połowa, jeśli nie więcej ludzi sprawujących w Nepalu wysokie urzędy, nosiło właśnie to nazwisko. Co jeszcze bardziej ucieszyło Lovestone'a to fakt, że wiceminister Rana zdawał się odnosić do jego hotelowego projektu wielce przychylnie.

- Zastanawia mnie tylko - powiedział Rana, gdy Lovestone przedstawił mu ów projekt - dlaczego tyle osób naraz jest zainteresowanych tymi czterema działkami.

- Tyle osób? - Lovestone udał zdziwienie.

- No... najpierw ta urocza Amerykanka, a teraz pan... Gdybym osobiście nie znał tych obszarów Nepalu, pomyślałbym, że znajduje się tam żyła złota. Ale tak się składa, że pochodzę z tamtych stron i wiem, powtarzam, wiem, że nic takiego tam nie ma. Co więcej, na terenach wyznaczonych przez Jackie Sand nie da się zbudować niczego, nawet górskiej chaty z bambusa i gliny. No więc? - popatrzył wyczekująco na Lovestone'a. - Po co tak naprawdę chce pan wydzierżawić te działki?

- Ależ ja chcę je zakupić - żywo zaoponował Lovestone - nie dzierżawić!

- Po co? - powtórzył ostrym tonem Rana i dorzucił zaraz: - Żądam szczerzej odpowiedzi. W przeciwnym razie może pan zapomnieć o kupnie czy nawet dzierżawie jakiegokolwiek części mojego kraju!

- Cóż, ja... - Lovestone wahał się dłuższą chwilę. Wyznanie prawdy oznaczałoby konieczność dzielenia się zyskami z kimś jeszcze, chociaż, patrząc z perspektywy czasu, nie da się przecież ukryć powstania kopalni diamentów. Jeśli skłamię - pomyślał - rząd nepalski nieźle się wkurzy, patrząc jak pozbawiam ich bogactw naturalnych. Będą gotowi pod byle pretekstem odebrać mi moje diamenty. Akurat podczas tej inwestycji Lovestone zdecydowanie wolał mieć rząd Ne-» palu po swojej stronie. - Rzeczywiście - westchnął ciężko - hotele to tylko przykrywka, zasłona przed konkurencją. Tak naprawdę chodzi mi o przemysł wydobywczy.

- I cóż pan chce wydobywać? - roześmiał się Rana. - Błoto? Czy może granit?

Lovestone rozejrzał się nerwowo po pomieszczeniu, po czym zbliżył się do urzędnika i rzekł konspiracyjnym szeptem:

- Diamenty, panie Rana. Najprawdziwsze diamenty.

Teraz już wiceminister śmiał się do łez.

- Diamenty, powiada pan? - powtórzył przerywanym od śmiechu głosem.

- A tak! - odparł Lovestone niezrażony i przez następne dziesięć minut opowiadał o niezwykłym znalezisku dokonany przez amerykańską dziewczynę wychowaną w Nepalskich górach. A w miarę, jak mówił, twarz Rany stawała się coraz bardziej poważna.

- Wierzyć się nie chce - powiedział na koniec wiceminister. - To nieprawdopodobne.

- Widziałem te diamenty - przekonywał go Lovestone - i zapewniam pana, że nigdy dotąd nie obserwowałem podobnego szlifów na kamieniach.

Proszę nie być naiwnym, panie ministrze, Jackie Sand nie zamierza budować w Nepalu żadnych hoteli. Owe cztery wytyczone przez nią działki to złoża diamentów!

- I właśnie pan uparł się, by mieć te diamenty - stwierdził Rana.
- Zamiast panny Sand.
- Za przyzwoleniem pana i pańskiego rządu - odparł tamten służalczym tonem.
- Moje przyzwolenie będzie pana słono kosztować.
- Z radością przystanę na każdą cenę.

W ciągu najbliższych czterech dni sporządzono niezbędną dokumentację. Wreszcie w piątek, piętnastego maja, dopełniono reszty formalności. Sprzedaż czterech górskich działek stała się faktem. Teraz ich nowym właścicielem był Jerry Lovestone.

Mimo że kosztowało go to czwartą część sumy, jaką dostał od Al-Ashmawy'ego za Lovestone Mining, a także dwadzieścia pięć procent udziału w zyskach przyszłej kopalni, które miały przypaść nepalskim urzędnikom, Lovestone czuł się tego dnia najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. Jestem pierwszy, Jackie Sand - myślał.

- Zawsze byłem i będę pierwszy! Jeśli przez moment mogłaś sądzić inaczej, to czas już, byś zrozumiała, że nie da się pokonać Jerry'ego Lovestone'a!

Dzień później w sekretariacie Pałacu zjawił się James Potter - przedstawiciel Sand Corporation w Nepalu.

- Niestety, panie Potter - wiceminister Rana wyglądał na zmartwionego - tereny, o które ubiega się pańska firma, zostały wczoraj sprzedane.
- Nic nie szkodzi - Potter wzruszył ramionami i rozłożył przed Raną inne mapy. - Właśnie miałem poinformować pana, że rezygnujemy z tamtych czterech działek - mówił lekkim tonem. - Doszliśmy do wniosku, że choć okolica jest tam wyjątkowo piękna, to jednak budowanie na tych terenach hoteli pociągnie za sobą zbyt duże koszty. Cieszę się więc, że udało się wam znaleźć na nie kupca. Nadal jednak - ciągnął - pragniemy wejść do Nepalu z naszym kapitałem. Tym razem panna Sand proponuje inne tereny.

Wiceminister słuchał tego, usiłując zrozumieć, czy czasem przedstawiciel Sand Corporation nie robi dobrej miny do złej gry. Jackie Sand poniosła porażkę i próbowała właśnie przełknąć tę gorzką pigułkę, nie tracąc przy

tym twarzy. Nepalski rząd postawił ją przed faktem dokonanym. Diamentowe działki należały teraz do Lovestone'a. Rana był pełen uznania dla młodej Amerykanki. Dziewczyna twardo stąpała po ziemi. Obeszła się smakiem, jeśli chodzi o diamenty, a mimo to, zamiast się poddać, dalej planowała inwestycje. Zmieniła tylko branżę.

- A któreż to tereny was interesują tym razem? - zapytał z ironią. - Któres ze wzniesień Shiwaliku, czy może jakieś bagna w Małych Himalajach?

- Obydwa te pasma górskie - grzecznie odpowiedział Potter - posiadają niewątpliwie olbrzymie walory krajobrazowe, na początek wolelibyśmy jednak zacząć wznosić nasze hotele w pobliżu miast Katmandu i Patan. Pan premier Adhahari zapewniał mnie, że dysponujecie tam terenami budowlanymi.

- Więc pańska firma - wiceminister zmierzył gościa chytrym spojrzeniem - rzeczywiście zamierza budować u nas hotele?

- Od samego początku nie braliśmy pod uwagę niczego innego - entuzjastycznie zapewnił Potter.

Jackie była akurat na swoim ranczo, gdy nadeszła wiadomość z Katmandu.

Dwa dni wcześniej wróciła z Arabii Saudyjskiej, przywoząc ze sobą szejka Al-Ashmawy'ego. Arab przyjechał do Stanów z zamiarem obejrzenia głównych filii kupionej od Lovestone'a firmy, jednak jak dotąd dotrzymanie towarzystwa pięknej Jackie zajmowało cały jego czas.

Jackie stała właśnie przy ogrodzeniu wybiegu, patrząc jak Sal'D galopuje na białej kłaczce Revenge. Sama, ze względu na swój odmienny stan, nie mogła dosiadać koni.

Brzuch Jackie, do niedawna prawie płaski, teraz przybrał zdecydowanie ciężowy kształt, a dziecko wierciło się w nim niemal bez ustanku.

W dzinsowych ogrodniczkach i z włosami potarganymi wiatrem, dla arabskiego szejka Jackie wyglądała po prostu bosko. Cięża tylko dodawała jej uroku. Choć nie było to jego dziecko, Al-Ashmawy rozpaczliwie pragnął, by właśnie z nim Jackie dzieliła radość jego narodzin. Mimo to, przez cały czas, jaki spędzili w Arabii, nie przestawał namawiać jej, aby wybaczyła Colemanowi i spróbowała wytłumaczyć się z oszczerstw, które wobec niej wysuwał.

- Zapomniałam już o Colemanie - odpowiadała niezmiennie. Oboje wiedzieli jednak, że to nieprawda.

Sal'D popatrzył w kierunku ogrodzenia. Oddałby wiele, by stojąca tam kobieta zechciała należeć do niego. To się nigdy nie stanie - pomyślał ze smutkiem i już miał pogalopować w stronę lasu, gdy nagle usłyszał, że Jackie krzyczy coś do niego. Natychmiast skierował konia w jej stronę.

- Sal'D! - wołała radośnie dziewczyna, wymachując przy tym ramionami. - Och, Sal'D, udało się!

- Co takiego? - zdziwiony zeskoczył z konia.

- Udało się - szczebiotała wesoło. - Wygrałam! Przed chwilą dzwonił z Nepalu mój człowiek. Jerry Lovestone utopił właśnie w górskie nieużytki sto milionów dolarów! Jestem taka szczęśliwa! - Mało brakowało, by rzuciła się szejkowi na szyję. - Jest coś jeszcze - dodała, a jej wielkie błyszczące oczy stały się jeszcze bardziej roziskrzone. - Sand Corporation rozpoczyna w Nepalu budowę hoteli Wiedermann!

Kilka godzin później Jackie i Al-Ashmawy zjawili się w przytulnej restauracji na Manhattanie. Jackie pragnęła uczcić tą kolacją swój triumf, a towarzystwo arabskiego szejka wydawało jej się w tej sytuacji jak najbardziej stosowne. Przecież gdyby nie Al-Ashmawy, jej zemsta na Lovestone'ie nie doszłaby jeszcze prędko do skutku.

Sal'D, szarmancki jak zwykle, podsunął jej krzesło.

- Dziękuję. - Dziewczyna opadła na nie ciężko.

Już od jakiegoś czasu czuła się dziwnie ociężała. Wiedziała, że ten stan wynika z ciąży i nie przejmowała się tym zbyttnio. Zupełnie nie przeszkadzało jej, że wdzięczne dotąd ruchy zastąpił tak zwany kaczy chód, jakże charakterystyczny dla kobiet w ciąży. Nie przeszkadzało to także Arabowi, który ani na chwilę nie przestawał marzyć o pięknej Jackie.

Gdy kelner podał szampana, Sal'D wznosił toast:

- Za powodzenie najnowszego przedsięwzięcia Sand Corporation.

- I za moją zemstę na Lovestone'ie - dodała.

Podczas kolacji Jackie wyjaśniła szejkowi, jak udało jej się doprowadzić do rozpadu korporacji New York Oil, opowiedziała też o wielkiej, aczkolwiek do końca dla niej niejasnej roli Barbary Wiedermann w tym rozpadzie. Mówiła o nieudanych inwestycjach Lovestone Mining, które w dużej mierze doprowadziły tę połowę New York Oil na skraj bankructwa. I choć jej szef,

Jerry Lovestone, zwany także Wielkim Prezesem, zdołał pozbyć się upadającej firmy, to jednak jego ostateczny koniec był całkiem blisko.

Arab słuchał tego wszystkiego w wielkim skupieniu. Nie miał dotąd pojęcia, że oprócz urody, Jackie posiada taki genialny umysł.

- Co zamierzasz teraz robić? - zapytał, gdy skończyła swoją opowieść.

- Naturalnie pojedę do Nepalu - oświadczyła. - Będę z bliska przyglądać się, jak Lovestone traci ostatnie centy.

- Zostało mu jeszcze trzysta milionów - przypomniał jej Sal'D. - Trzeba być chyba skończonym głupcem, by po tylu nauczkach stracić tak duże, zwłaszcza, że ostatnie pieniądze.

Jackie roześmiała się wdzięcznie.

- Przeceniasz Lovestone'a, Sal'D. Przydomek głupiec, to dla niego zbyt łagodne określenie. Zrozum, że on teraz z uporem maniaka szuka w Himalajach diamentów. Jest przekonany, że właśnie odebrał mi tereny bogate w te szlachetne kamienie i wyda na poszukiwania wszystkie pieniądze.

- Ale trzysta milionów...? - nie czuł się przekonany.

- Czemu nie? - odparła wesoło. - Akurat wystarczy, żeby sprowadzić w góry sprzęt wiertniczy, przygotować jako tako teren, opłacić fachowców i... przekonać się, że to wszystko nie było warte złamanego centa.

- Zabraknie mu natomiast za zakup nowych działek - Arabowi wydało się, że podchwycił jej tok myślenia - a wtedy ty będziesz mogła kupić od nepalskiego rządu właściwe tereny, te diamentowe.

- Jesteś w wielkim błędzie - powiedziała poważnie. - Mówiłam ci już kiedyś, że nie pamiętam, gdzie znalazłam diamenty.

- Nie opowiadaj bzdur! - rzekł stanowczo. - Nie musisz się przede mną zgrywać po tym, jak wiele ci pomogłem. - Zrobił obrażoną minę.

Jakie poczuła nagle wyrzuty sumienia. Za to, co dla niej uczynił, winna była mu przynajmniej szczerść.

- Dobrze - odezwała się cichym głosem. - Masz rację.

Arab popatrzył na nią triumfalnie.

- Doskonale pamiętam - ciągnęła - gdzie jest to miejsce. Trafiłabym tam nawet w nocy. Jednak mylisz się sądząc, że pragnę w Nepalu założyć kopalnię diamentów.

- Jak to? - Teraz nic już nie pojmował.

- Te diamenty to dziedzictwo Himalajów. Nie mam prawa wyciągać po nie ręki, nie na skalę przemysłową. Mam wystarczająco dużo pieniędzy dla mnie, dla mego dziecka i moich przyszłych wnuków. Nie potrzebuję więcej. Poza tym, gdybym założyła tam kopalnię, przyciągnęłoby to w Himalaje tysiące poszukiwaczy diamentów, ci z kolei zniszczyliby dziewicze góry i doliny, a, wierz mi, piękna przyrody nie da się odbudować za żadne pieniądze. Poza tym nie potrzebuje ci chyba tłumaczyć, jakie byłyby konsekwencje polityczne takiego przedsięwzięcia. Indie i Chiny skakałyby sobie do gardeł, próbując za wszelką cenę dobrać się do diamentowych żył. Chiński Smok i indyjski Słoń w walce zdeptałyby biedny Nepal na proch. Nie, Sal'D - dodała z przekonaniem - himalajskie diamenty pozostaną tam, gdzie są.

Al-Ashmawy musiał przyznać przed samym sobą, że to, co mówiła Jackie, miało sens, nie mógł jednak powstrzymać się przed pytaniem:

- A hotele? Po co chcesz je budować, skoro nie zależy ci na pieniądzach?

- Ze względu na ubogich mieszkańców Nepalu.

Arab parsknął śmiechem.

- Będą mieszkać w hotelach Wiedermann?

- Nie, ale będą w nich pracować - powiedziała to takim tonem, że szejek spoważniał natychmiast. - W hotelach, sklepach, przy budowie linii kolejowej, którą także zamierzam tam stworzyć... A klientela moich hoteli wzbogaci znacznie kasę państwa, co z kolei przyczyni się do poprawy warunków bytowych i socjalnych jego mieszkańców. Trzeba tylko trochę zmienić mentalność pewnych urzędników, a innych wymienić na całkiem nowych... - Uśmiechnęła się. - Urzędnicza korupcja w Nepalu to powszechny proceder.

Szejk Al-Ashmawy, dla którego dotąd istotne było wzbogacanie jedynie prywatnej kasy, był zaskoczony marzeniami siedzącej przed nim młodej dziewczyny. Nie wiadomo skąd pojawiło się w nim przeświadczenie, że marzenia te się spełnią. Poczul też ogromny żal, że oto kończy się jego przygoda z kobietą nazwiskiem Jackie Sand. Chociaż niekoniecznie...

- Nie musisz - zaczął nieśmiało - wyjeżdżać do Nepalu, by spełnić swoje plany... Masz tam zaufanych ludzi, możesz kierować nimi z Arabii Saudyjskiej...

- Do czego zmierzasz? - zapytała zdziwiona.

- Czy... - Al-Ashmawy zaczerpnął powietrza dla dodania sobie odwagi. Teraz albo nigdy, pomyślał - Czy chciałabyś zostać najjaśniejszą perłą w moim pałacu? - wyrzucił z siebie jednym tchem.

- Czyżby twój harem świecił pustkami? - zmieszała się.

- Proponuję ci małżeństwo - powiedział rozdrażniony.

Na dźwięk tych słów Jackie pobladła lekko, tak wielkie wrażenie wywarły na niej nieoczekiwane oświadczenia. Cóż, jeśli padły z ust nie tego mężczyzny, o którym śniła każdej nocy i którego dziecko nosiła pod sercem.

- Przykro mi, Sal'D - odparła smutno. - Nie byłbyś ze mną szczęśliwy.

Szejk zamknął oczy i zacisnął szczęki. Przekłety Nicholasie Coleman! - pomyślał z zazdrością. - Ona nigdy nie przestanie cię kochać.

Chociaż Jackie Sand gorąco pragnęła wyrzucić Nicka ze swego serca, to jednak zamiar ten był ponad jej siły. Niechciane oświadczenia arabskiego szejka tylko spotęgowały w niej tęsknotę za Nickiem.

Tuż po kolacji Jackie pożegnała się z Al-Ashmawym, który następnego ranka miał rozpocząć osobistą inspekcję nowo zakupionych filii Lovestone Mining. Także i ona musiała przygotować się do podróży do Nepalu. A że miała to być podróż tylko w jedną stronę, należało pozalać mnóstwo spraw tu, na miejscu, między innymi wydać dyspozycje dotyczące firmy, czy też ustanowić pełnomocnika, który zarządzałby Sand Corporation w jej imieniu.

Wracając z restauracji do hotelu, Jackie wiedziała już, co powinna uczynić najpierw. Zdecydowała, że nie opuści Nowego Jorku, dopóki nie oczyści się z zarzutów. Nick będzie musiał jej wysłuchać! A jeśli i tym razem się na to nie zgodzi, to znaczy, że nie jest wart jej miłości.

Nazajutrz z samego rana Jackie udała się taksówką do mieszkania Nicka. Gdy podeszła do drzwi, jej serce łomotało tak mocno, iż zdawało się, że użycie dzwonka będzie zupełnie zbędne.

Jackie stała w korytarzu przed drzwiami dłuższą chwilę. Nie zastanawiała się, co mu powie, jak się wytłumaczy. Ważne było tylko to, by pozwolił jej mówić.

Wreszcie zebrała się na odwagę i zadzwoniła do drzwi. Wewnątrz dały się słyszeć zrazu jakieś szepty, potem czyjeś stopy zadudniły o podłogę.

Drzwi się otwały.

Ogromne osłupienie odmalowało się na twarzy Jackie, gdy spojrzała w zaspianą twarz młodej, czarnej dziewczyny.

- Pani do kogo? - zapytała, mierząc Jackie nieco nerwowym spojrzeniem. Była wysoka i szczupła. I piękna.

Dopiero teraz Jackie zorientowała się, że jedynym strojem dziewczyny był kąpielowy ręcznik, owinięty niedbale wokół talii. Więc to tak! Nick dość szybko pocieszył się po nieudanym romansie! Jackie zapragnęła zaszyć się ze wstydu w mysią norę. Po co tu w ogóle przychodziła?

- Proszę pani - ponownie odezwała się Murzynka, widząc, że stojąca za drzwiami elegancka ciężarna kobieta zrobiła się nagle dziwnie blada - czy przypadkiem nie pomyliła pani drzwi?

- Ja... - Jackie wydawało się, że to ktoś inny mówi za nią. - Chyba tak... Przepraszam.

Już miała uciec, gdy z głębi mieszkania doleciał męski głos:

- Kto to, Kate? - Tuż za głosem wynurzył się muskularny mężczyzna odziany jedynie w bokserki. Miał krótko ostrzyżone czarne włosy i... czarną skórę!

Jackie zrobiło się nagle słabo. Ten Murzyn z całą pewnością a nie był Nicholasem Colemanem.

- Ta pani pomyliła drzwi, Ralph - opasana ręcznikiem dziewczyna ruchem głowy wskazała na Jackie.

Teraz także i Ralph rzucił mimowolne spojrzenie na niewielką, aczkolwiek wyraźną ciążę.

- Niezupełnie - powiedziała Jackie, odzyskując powoli pewność siebie. - To jest mieszkanie mojego... - zawahała się czy użyć określenia „przyjacieli”, zmieniła jednak zdanie - znajomego, Nicholasa Colemana. Czy jest u siebie?

- Nie znam żadnego Colemana - odparła Kate. - A ty, Ralph?

- Ani ja - stwierdził po sekundzie namysłu. - Widzi pani - popatrzył ciekawie na Jackie - na pewno musiała się pani pomylić.

- Ależ, proszę pana - zaoponowała - odkąd go znam, Nick zawsze tu mieszkał.

- Teraz rozumiem - roześmiał się Murzyn. - Pyta pani o tego lokatora, który tu mieszkał przed nami. Ładnych parę dni temu wynajęliśmy z Kate to mieszkanie. Ten pani Coleman musiał się wyprowadzić i widocznie zapomniał panią o tym powiadomić. - Znowu popatrzył wymownie na jej brzuch.

Może właściciel tego budynku będzie umiał pani pomóc. - Obydwoje z Kate cofnęły się do mieszkania i zatrzasnęły drzwi.

Rozczarowanie pomieszane z bezradnością towarzyszyły Jackie w drodze do właściciela domu, Sama Howglanda, który zajmował lokal na parterze. Niestety, zastała tam tylko jego żonę, Eleonorę, niezwykle gadatliwą kobietę o arystokratycznych rysach twarzy i farbowanych na rudo włosach. Pani Howgland należała do tego typu kobiet, które całymi dniami chodzą po domu w podomce. Od razu załapała Jackie istnym potokiem słów.

- Męża nie ma - mówiła - podwiózł dzieciaki do szkoły. Ale jeśli pani chce wynająć mieszkanie, to niestety chwilowo nie dysponujemy wolnymi lokalami. Gdyby tak jeszcze tydzień temu, to co innego. Wygląda mi pani o wiele bardziej wiarygodnie, niż ten Murzyn z drugiego piętra, co się ostatnio wprowadził. Z takimi to nigdy nic nie wiadomo... - Kobieta przerwała dla zacerpnienia tchu.

Jackie wykorzystała ten moment, by wyjaśnić, o co jej chodzi.

- Nie poszukuje mieszkania. Szukam kogoś. Tego pana, który zajmował mieszkanie przed Murzynem.

- Ach, pana Colemana? - Twarz Eleonory Howgland rozjaśnił szeroki uśmiech. - To był bardzo dobry lokator, zawsze płacił czynsz przed terminem. Ale, niestety, wyjechał z Nowego Jorku. Szkoda, bo czuję, że z tym Murzynem, co to zamieszkał tu po nim, będą kłopoty z płatnościami.

- Jak to wyjechał? - przerwała jej Jackie. Nie mieściło się jej to w głowie. Nick nie mógł tak po prostu wyjechać! Musiała mu powiedzieć o dziecku! - Czy nie wie pani, dokąd? - zapytała przez dławione strachem gardło.

- Podobno do matki - odpowiedziała kobieta, patrząc w podłogę. Gdyby patrzyła na Jackie, dostrzegłaby nagły skurcz, który przebiegł przez twarz dziewczyny. - Wie pani, że we wrześniu ubiegłego roku porwano mu sparaliżowaną matkę? - Gdy Eleonora podniosła wzrok z podłogi, twarz Jackie nie wyrażała już żadnych emocji, stała się tylko jeszcze bledsza.

- Tak.

- Tyle że teraz to już właściwie nie wiadomo, czy to faktycznie było porwanie. - Rozmówczyni Jackie wyraźnie się ożywiła. - Kiedy pan Coleman wrócił ostatnio z podróży służbowej, wydał mi się taki przybity i zdruzgotany, ale już po godzinie przybiegł do nas w radosnych podskokach. Powiedział, że w swojej skrzynce pocztowej znalazł kopertę, a w niej list i zdjęcie

własnej matki. Widziałam to zdjęcie. Było zrobione na tle ośnieżonych gór. A ona, matka pana Nicholasa, stała tam, proszę sobie wyobrazić, na własnych nogach, bez niczyjej pomocy! Sparaliżowana kobieta!

- Niesamowite - Jackie pokręciła głową ze zdumienia.

I nie dziwił jej bynajmniej fakt, że Nancy Coleman mogła stać, ba, nawet chodzić o własnych siłach. O tym dowiedziała się już miesiąc temu, od Jon-Te, podczas ich spotkania w Katmandu. Niesamowite natomiast było to, że matka odważyła się wreszcie na spotkanie z synem, że odważyła się wytknąć światu swoje krzywdy.

- Więc Nick wyjechał w Himalaje? - spytała.

- W jakie znowu Himalaje? - teraz zdumiała się pani Howgländ.

- Pan Coleman jest we francuskich Alpach. List nadano właśnie stamtąd. Z Albertville, jeśli dobrze pamiętam.

Trudno było w to uwierzyć. Nancy nie mogła opuścić klasztoru Tsu-An. Zwłaszcza teraz, gdy w Nepalu przebywał Lovestone! Czy nie zdawała sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo grozi jej z rąk tego człowieka?

A jeśli to zrobiła? Odzyskawszy po blisko czterestu latach władzę nad swym ciałem, Nancy mogła zatracić instynkt samozachowawczy... Ale gdyby tak się stało, pojechałaby prosto do Nowego Jorku, a nie ukrywała się w Alpach.

Po głębszym zastanowieniu nasuwał się Jackie tylko jeden wniosek: Nancy Coleman nadal przebywała pod troskliwą opieką zakonników z Tsu-An, a list nadany w Albertville... no cóż, mógł go na jej prośbę wysłać zupełnie przypadkowy turysta, jakich pełno kręci się po Himalajach.

Jeśli tak było w istocie, Nick na próżno będzie szukał matki w Alpach. Nie znajdzie jej, nawet jeśli przeczesze wszystkie europejskie góry. Szkoda twego czasu, Nick - pomyślała Jackie, głośno zaś powiedziała:

- Kiedy pan Coleman wróci, proszę mu przekazać...

- Nie wróci - z najwyższym przekonaniem oznajmiła Eleonora. - Zwolnił mieszkanie na dobre. Zwierzył mi się, że nawet gdyby nie znalazł matki, pozostanie na stałe w Europie, a gdzie dokładnie, tego nawet on sam nie wiedział. Ale do Stanów nie wróci. - Kobieta stanowczo pokręciła głową, patrząc współczująco na ciężarną dziewczynę, która kołysząc biodrami

niczym kaczką, odeszła ze spuszczoną głową.

Biedaczka - pomyślała. - Taka młoda i ładna... A z tego Colemana to niezły gagatek. Zrobił takiej dziecko i proszę! Już go nie ma! Wzruszywszy ramionami, kobieta weszła do mieszkania.

Długo potem, gdy zmywała naczynia po obiedzie, smutna ciężarna dziewczyna stała jej ciągle przed oczami. Niemożliwe - stwierdziła w duchu Eleonora, chowając talerze do szafki - że od niej uciekł. Coleman należał przecież do ludzi z klasą. Był dżentelmenem w każdym calu, a tacy nie uciekają przed odpowiedzialnością. Nie, Coleman wyjechał do Francji, by odnaleźć matkę. W końcu, czyż nie pokazywał im listu od niej? Eleonora Howgland na własne oczy widziała na kopercie stempel pocztowy Albertville.

Albertville. Uroczyste alpejskie miasteczko, jakich wiele na południowym wschodzie Francji. Było jednak coś, co czyniło je zupełnie wyjątkowym. To właśnie tutaj, w którymś z urzędów pocztowych nadano ten list.

Stojąc przed jednym z takich urzędów, Nick po raz kolejny włożył rękę do kieszeni marynarki, wyjmując stamtąd sfatygowaną nieco, białą kopertę. Odkąd opuścił Nowy Jork, często tak czynił, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co zawierała. Tak samo jak nie mógł uwierzyć, gdy otworzył ją po raz pierwszy. Wówczas znalazł w niej krótki list bez podpisu; była też wykonana polaroidem fotografia, ale o tym Nick jeszcze nie wiedział, zdjęcie przykleiło się bowiem do koperty.

Charakter pisma owego listu wydał się Nickowi dziwnie znajomy, przysiągłby, że gdzieś już widział te pochyłe rzędy liter. Kiedy i gdzie - tego nie pamiętał, musiało to być dawno temu, ale z całą pewnością spotkał się już z tym pismem.

Do kogo mogło należeć? Czyżby do Jackie?

Treść tego listu była banalna: „Jak widzisz, mam się dobrze. Nie muszę dodawać nic więcej. Wkrótce się zobaczymy, a wtedy wszystko ci wyjaśnię.”

Jak widzisz? - zastanawiał się Nick. - Widzisz co?

Dopiero wtedy poczuł, że w kopercie jest coś jeszcze. W momencie, kiedy sięgał po fotografię, doznał nagłego olśnienia. Już wiedział, czyje jest to pismo i kto będzie na, zdjęciu.

Lzy wzruszenia spłynęły mu po policzkach, gdy patrzył na uśmiechniętą twarz Nancy Coleman oraz na jej dumnie wyprostowane ciało ubrane w

narciarski kombinezon. Nigdzie nie było ani śladu wózka inwalidzkiego. Za to do stóp kobiety były przypięte narty! Cała postać jego matki emanowała zdrowiem i energią, a widoczne w tle postrzępione wierzchołki ośnieżonych gór dodawały jej rzeźkości.

Mój Boże - szlochał Nick, nie bacząc, że stoi w korytarzu, przed drzwiami własnego mieszkania. - Jak to możliwe? Mamo, ty jesteś zdrowa...

Ponownie spojrzął na pismo, którego nie widział od niemal czterestu lat. I nieoczekiwanie pojawiła się inna refleksja. Jeśli matka jakimś cudem wyzdrowiała, to znaczy, że jej umysł był przez cały czas sprawny!

- O Boże! - W jednej sekundzie Nick zdał sobie sprawę, jak bardzo skrzywdził swoją matkę. Skazał ją na trzynaście lat wegetacji w Trenton. - Uwierzyłem lekarzom. Uwierzyłem Lovestone'owi. On wiedział, wszyscy wiedzieli... Oprócz mnie! Mamo - załkał ponownie - czy mi wybaczysz?

Lecz na próżno było szukać odpowiedzi na to pytanie. Najpierw należało odnaleźć Nancy Coleman.

Nick spojrzął na stempel. List nadano we Francji, w Albertville. Więc matka przebywała w Alpach.

Jeszcze tego samego dnia Nick opuścił Nowy Jork. Nikt i nic go już tu nie trzymało.

Znajdę cię, mamo - przysiągł - choćbyś była na końcu świata.

Szkoda tylko, że zaczął szukać w niewłaściwym końcu.

Coleman pokazywał fotografię matki we wszystkich urzędach pocztowych Albertville, jednak żadna z urzędujących tam osób nie pamiętała, by ta pełna wigoru kobieta nadawała jakąś przesyłkę. W miasteczku kręciło się pełno obcokrajowców, niemożliwością byłoby spamiętać ich wszystkich. Nick doskonale to rozumiał, toteż nie poprzestawał na urzędach pocztowych. Rozpoczął wędrowkę po sklepikach i pensjonatach, wszędzie pokazując fotografię Nancy Coleman. Nikt jednak nie potrafił mu pomóc.

I nic dziwnego - nawet jeśli Nick przemierzyłyby całe Alpy, a taki właśnie miał zamiar - nie znalazłby nikogo, kto spotkałby jego matkę.

Nancy Coleman nie było w Alpach.

Odkąd Jackie Sand dowiedziała się, że Nick opuścił Nowy Jork, nic już nie łączyło jej z tym miastem. Chociaż to właśnie tutaj diametralnie odmieniło się jej życie.

Kiedy równo rok temu przybyła do Stanów, nie podejrzewała nawet, jak wiele czeka ją radości i rozczarowań. Ów rok spędzony w dżungli miejskiej aglomeracji zahartował ją bardziej, niż dwadzieścia lat spędzonych w nepalskiej dżungli zwrotnikowej.

Przestała być ufną Saran, wychowaną w trosce i miłości przez tybetańskich mnichów. Stała się twardą i nieugiętą kobietą biznesu, a zmiany, jakie w niej zaszyły, nie mogły pozostać bez echa także dla tych, którzy się do owych zmian przyczynili.

Ich niszczące skutki najboleśniej chyba odczuł Jerry Lovestone, który właściwie był już bankrutem, choć sam jeszcze o tym nie wiedział.

Powodowana chęcią zemsty Jackie w swej pogoni za fortuną nie ulegała hipnotycznej mocy pieniędzy i nadal miała serce wielkie i otwarte dla tych, których mogła mienić przyjaciółmi.

Dzięki niej Nancy Coleman odzyskała zdrowie, a Barbara Wiedermann wolność, Clark i Laura Davisowie prowadzili jedną z największych agencji detektywistycznych w Nowym Jorku, zaś wszyscy pracownicy Sand Corporation, od sprzątaczkę po dyrektora generalnego, mogli liczyć na duże pensje i stałe zatrudnienie. Ten ostatni zresztą, Arthur Scott, nawet się nie spodziewał, jaki zaszczyt spotka go ze strony szefowej.

- Odtąd - powiedziała bez ogródek Jackie na dzień przed opuszczeniem Stanów Zjednoczonych - ty będziesz kierował Sand Corporation. Przejmiesz ode mnie także wszelkie pełnomocnictwo Wiedermann Hotels. Od dziś wszelkie decyzje dotyczące obu tych firm oraz związane z nimi sukcesy i porażki będą zależały wyłącznie od ciebie.

Scott słuchał tego wszystkiego z rozdziawionymi ze zdumienia ustami.

- Nie wiem, czy podołam... - zaprotestował cicho.

- Podołasz - odparła głosem nieznoszącym sprzeciwu. - A jako prezes Sand Corporation będziesz miał do pomocy cały sztab doradców. - To mówiąc, uśmiechnęła się w duchu. Czyż nie tak mówił do niej Nicholas Coleman, gdy obejmowała kierownictwo nad działem reklamy New York Oil? - Nadszedł czas - dodała, gładząc się po wypukłym brzuchu - bym usunęła się ze świata wielkiego biznesu.

- Prezes...? - powtórzył zaskoczony. - Mam być prezesem Sand Corporation?

- Nie chcesz? - zapytała, uśmiechając się filuternie.

- Ja... chcę - słowa z trudem przeciskały mu się przez gardło - tylko nie mogę wprost uwierzyć...

- Więc uwierz. Ja będę jedynie właścicielką, która się do niczego nie wtrąca. A teraz, czy szanowny pan prezes Arthur Scott zechciałby po raz ostatni uczynić coś dla byłej szefowej?

- Nie żartuj, wiesz przecież, że tak.

- Zarezerwuj mi bilet lotniczy na najbliższe połączenie z Katmandu.

Kiedy wyszła, Scott wychylił duszkiem całą szklaneczkę brandy.

- A niech mnie! - powiedział sam do siebie. - Mówiłem, że w tej firmie szybko się awansuje.

Najtrudniej było Jackie rozstać się z ranczem, które jak na złość tego majowego wieczora wyglądało jakoś szczególnie uroczco.

To tu wszystko się zaczęło - pomyślała z nostalgią. I nie chodziło jej bynajmniej o Lovestone'a.

Tu spotkała Nicka.

Tu się zakochała.

Tu prawdopodobnie poczęło się jej dziecko.

Ileż radości wiązało się z tym miejscem. Jakież wielki był smutek, gdy przyszło je opuścić.

- Nie musisz wyjeżdżać. - Anthony Bears, który po wygranej procesie osobiście zarządzał ranczem, również był poruszony tym rozstaniem. - W Nepalu poradzą sobie bez ciebie, a Lovestone właściwie już jest skończony.

Szli oboje wzdłuż ogrodzenia wybiegu dla koni. Ich sylwetki kładły się długim cieniem na wydeptaną końskimi kopytami trawę.

- Wiem, Tony - odpowiedziała - ale muszę sprawdzić, co z Nancy. Ta sprawa z listem do Nicka ciągle nie daje mi spokoju. Jeśli Nancy faktycznie opuściła kryjówkę w górach, to boję się nawet pomyśleć, co zrobi Lovestone, kiedy się dowie o jej ozdrowieniu.

- Nadal uważasz, że ona zna jakąś jego tajemnicę?

- Jestem o tym absolutnie przekonana. W przeciwnym wypadku po co tyle lat więziły ją w Trenton?

Tony zatrzymał się nagle, a w jego zmęczonych życiem oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Pozdrów ją ode mnie, gdy ją znajdziesz - poprosił.

- Nie ma sprawy - obiecała, a po chwili padła w jego ramiona i rozplakała się na dobre. - Och, Tony, tak mi smutno - szlochała. - Tak smutno.

Pogładził ją po miękkich włosach. Dobrze wiedział, o co jej chodzi.

- Nie jest łatwo być ręką Opatrzności, Jackie - rzekł. - Czasami trzeba ponieść ofiarę.

Podniosła na niego zaczerwienione oczy.

- Ofiarę - powiedziała z goryczą - ponieśli moi rodzice dwadzieścia jeden lat temu. Ja nie zamierzam się poddawać. Będę walczyć o Nicka, choćby do końca życia. Nie dam Lovestone'owi satysfakcji, że nas rozdzielili!

Kolacja na dacy upłynęła im w bardzo ponurych nastrojach. Tony, który zdążył już pokochać Jackie jak córkę, przeklinał los za nieszczęścia, jakie na nią zsyłał.

Po kolacji Jackie nieoczekiwanie zaczęła zbierać się do drogi.

- Myślałem, że odjedziesz dopiero jutro. - Tony nie krył rozczarowania.

- Wolę zapamiętać ranczo takim, jakie jest teraz, otulone płaszczem nocy. Poza tym z samego rana muszę się spotkać z moim ginekologiem. Czekam na dość męcząca podróż i chcę się upewnić, że nie zagrozi to memu dziecku.

- Będę za tobą tęsknił. - Tony'emu także zbierało się na płacz, kiedy odprowadzał ją do samochodu.

- Mam dla ciebie coś na otarcie łez. - Jackie sięgnęła do torebki i podała mu białą kopertę. - To akt własności tego rancza - uprzedziła jego pytanie - i wszystkich moich koni. Od tej chwili ty jesteś tu panem.

- To zbyt wiele - wyszeptał zaskoczony i wzruszony zarazem.

- O wiele za mało za to, co dla mnie uczyniłeś. - Jackie jeszcze raz uściskała Tony'ego. - Żegnaj, przyjacielu. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze się zobaczymy. Ale na razie wracam do domu.

Wsiadła do samochodu i ruszyła do Nowego Jorku. O tak! Za kilka dni nareszcie znajdzie się w domu. Tam czekał ukochany Jon-Te. Czekala też Nancy Coleman. W jednej chwili wszystkie związane z wyjazdem rozterki prysnęły jak bańka mydlana.

Tam urodzę moje dziecko - pomyślała.

Anthony Bears stał na podjeździe przed daczą jeszcze długo po tym, jak tylne światła samochodu Jackie zniknęły w oddali. W drżącej dłoni wciąż

trzymał białą kopertę zawierającą akt własności rancza. Trudno mu było w to uwierzyć. Niemał przez dwadzieścia lat pracował tutaj jako zwykły stajenny, a teraz nieoczekiwanie stał się jego właścicielem!

Stary człowiek otarł rękawem łzy z twarzy i włożył kopertę do kieszeni, po czym wolnym krokiem skierował się do budynku stajni.

Wszedł do środka. Konie zarżały cicho w swych boksach, poznawszy mimo ciemności opiekuna i przyjaciela. Łkając jak dziecko, Bears wtulił się w białą grzywę albinoskiej klaczy Revenge.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, co powinien uczynić z tak niesamowitym darem.

Założy tu centrum rehabilitacji dzieci cierpiących na porażenie mózgo-
we. I nada mu imię Helen O'Donnell.

Rozdział XXVI

Klasztor Tsu-An położony był w malowniczej górskiej dolinie, w jednym z na wpół niezależnych maleńkich i starych królestw, jakich pełno było w tej części Nepalu i które zgodnie z zygzakami grani Himalajów wcinały się głęboko w terytorium Tybetu.

Sama budowla była bardzo stara. Jej część z salą narad i prowadzącym do niej labiryntem kamiennych schodów powstała jeszcze w ósmym wieku, kiedy to hinduski joga Padma Sambhaw przyniósł buddyzm do Tybetu. Ta część klasztoru pamiętała jeszcze czasy panowania pierwszego króla Tybetu o wdzięcznym imieniu Srong-bcan-sgam-po, który władał Tybetem około tysiąc trzysta lat temu.

I choć po królach nadszedł w tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym roku czas panowania dalajlamów, do roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego, kiedy rozpoczęła się chińska okupacja Tybetu, aż po dzień dzisiejszy, klasztor Tsu-An pozostał niezmiennie świątynią Buddy.

Niektórzy utrzymują, że to właśnie w Tsu-An w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym znalazł schronienie dalajlama po nieudanym powstaniu Tybetańczyków przeciwko okupacji Chin. Uciekając ze stolicy Tybetu, Lhasy, przebywał w klasztorze prawie dwa tygodnie, zanim wraz z osiemdziesięcioma tysiącami zwolenników znalazł schronienie w Dharmsali w Indiach, gdzie powstała tybetańska kolonia i gdzie utworzył się rząd tymczasowy na uchodźstwie.

Tybet pozostał chińska kolonią do dziś. W połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku stał się autonomicznym regionem Chin o nazwie Xizang.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat granica pomiędzy Tybetem a Nepalem wielokrotnie zmieniała położenie. Klasztor Tsu-An raz należał do terytorium Chin, to znów do sfery wpływów indyjskich, czyli Nepalu.

Jednak polityczna gra o Himalaje, toczona wiele lat pomiędzy chińskim Smokiem a hinduskim Słoniem nie przeszkodziła wiernym mnichom w wyznawaniu lamaizmu.

Tak więc od ponad tysiąca lat klasztor Tsu-An przytulał swe mury do skalnego zbocza doliny, a zamieszkujący go tybetańscy lamowie bez reszty poświęcali się medytacjom.

W Tsu-An przyszło na świat dziecko Jackie.

Cztery miesiące wcześniej, przyleciawszy z Nowego Jorku do Katmandu, Jackie Sand od razu rozpoczęła przygotowania do wyprawy w góry. Doktor Mallard z miejskiego szpitala, ten sam, który stwierdził u niej ciążę, odradzał jej tę podróż. W dżungli czekało wiele niebezpieczeństw groźnych dla zdrowych, dorosłych mężczyzn, a co dopiero dla ciężarnej kobiety.

Ale Jackie nie słuchała doktora. Miała już serdecznie dość miejskiego zgiełku, tłumów, intryg. Czuli się chora przez to wszystko. Jedyne, czego teraz pragnęła, to zobaczyć klasztor będący jej prawdziwym domem i poczuć serdeczność mieszkających tam osób. W czym ta serdeczność mogłaby zaszkodzić jej dziecku? Nie było sensu tłumaczyć tego wszystkiego doktorowi Mallardowi. Nie rozumiałby.

Przeprawa przez zwrotnikową dżunglę i górskie przełęcze przebiegła bez zakłóceń. Jackie przez większość drogi podróżowała na słoniu, na którym przewodnik wyprawy, Bahadim Norbu, wymościł dla niej tak wygodne posłanie, że chyba nawet hinduskie księżniczki nie podróżowały wygodniej. Ale też żadna hinduska księżniczka nie miała tak dobrego przewodnika, a zarazem przyjaciela, jakim był Norbu.

Tak jak Jackie się spodziewała, Nancy Coleman nadal była w Tsu-An. Mimo iż dziewczyna wiedziała o całkowitym ozdrowieniu matki Nicka, przeżyła spory szok, widząc Nancy uśmiechniętą i poruszającą się na własnych nogach. Do niedawna sparaliżowana kobieta cieszyła się teraz każdym ruchem ciała, a poruszała się niemal bez ustanku, jakby chciała nadrobić tamtych trzynaście straconych lat.

Zapytana o list do syna, Nancy uśmiechnęła się łobuzersko.

- Albo to mało wędrowców zabłądzi w te strony? - odparła, a w jej oczach zaigrały wesołe ogniki. - Poprosiłam takiego jednego przemiłego Francuza o drobną przysługę i, jak słyszę, dotrzymał obietnicy.

Onieśmiałą Jackie ta kobieta cudem wyrwana ze szponów zdawałoby się nieuleczalnej choroby. Trzydzieści lat spędzonych w cierpieniu i samotności pozostawiło na jej twarzy zaledwie kilka drobnych zmarszczek. Nie-samowite, jaką wielką wolę życia miała w sobie Nancy Coleman. Jackie nie była pewna, czy ta wola życia bierze się z matczynej miłości do syna, czy też z nienawiści do ich wspólnego wroga - Jerry'ego Lovestone'a. Raczej nie wypadało pytać o to Nancy.

Dopiero po kilku dniach spędzonych w klasztorze, Jackie odważyła się powrócić do sprawy listu do Nicka. Akurat wybrały się z Nancy na przechadzkę do pobliskiego lasu rododendronów. Mnich Tsumo, który pełnił w klasztorze funkcję wszechstronnie wyspecjalizowanego lekarza, zalecał im obu takie spacerory - niezbyt forsowne, a zdecydowanie poprawiające kondycję fizyczną.

- Dlaczego nie napisałaś do Nicka prawdy? - zapytała Jackie, gdy znalazły się w cieniu olbrzymich drzew.

Południowe słońce prześwitywało przez korony, rzucając długie promienie światła na tworzące leśne poszycie jasnozielone paprocie. Kwiaty rododendronów o intensywnej różowej barwie pyszniły się na każdej gałęzi.

- Zawsze zdążę to zrobić - odrzekła Nancy. - Najpierw przekonam się, czy mój syn jeszcze mnie kocha. Po tym, jak łatwo pogodził się z moją chorobą, a jeszcze łatwiej z porwaniem, mam co do tego poważne wątpliwości.

- Nie mów tak - wzdygnęła się Jackie. - Nie można nie kochać swoich rodziców. - Nagle ogarnął ją niemily dreszcz na wspomnienie pewnej dziewczyny, która najwyraźniej miała za nic jakiegokolwiek wyższe uczucia, skoro targnęła się na życie własnej matki. Dla Vanessy Lovestone obca była miłość do rodziców. Ale przecież Nick nie był taki! Może i zbyt długo pozostawał pod wpływem Lovestone'a, ale miał dobre serce. Jackie za wszelką cenę starała się przekonać o tym Nancy. Próbowwała przekonać także siebie.

- To miłe, że bronisz mego syna - wzruszyła się Nancy Coleman - zwłaszcza, że masz tysiąc powodów, by go nienawidzić. Po tym, jak wyrzekł się waszego dziecka...

- To prawda - westchnęła Jackie - ale nie winię za to Nicka, lecz Lovestone'a. Odkąd Nick stracił ojca, Jerry stał się dla niego kimś w rodzaju opiekuna. I mimo że ich drogi w końcu się rozeszły, twój syn podświadomie reaguje tak, jak by życzył sobie tego Lovestone.

Na wzmiankę o ojcu Nicka przez twarz Nancy przebiegł bolesny skurcz, ale Jackie nic nie dostrzegła. Patrzyła właśnie na maleńkiego żółtego ptaszka, odrobinę tylko większego od kolibra, który przysiadł na gałązce zwisającej nad urwiskiem z pszczelimi gniazdami. Miodowód himalajski. Niezwykłe stworzenie żywiące się woskiem z plastrów miodu.

Nancy również popatrzyła w kierunku miodowoda, lecz wcale go nie widziała. Jej myśli krążyły wokół człowieka, który bezpowrotnie odebrał jej męża, a teraz starał się odebrać także syna.

A wszystko dlatego, że wzgardziła jego miłością...

Miodowód zerwał się nagle do lotu, niczym żółty błysk przeciął powietrze i zniknął gdzieś w zaroślach w dole urwiska.

Nancy Coleman otrząsnęła się ze swoich myśli. Jeszcze nie pora mówić Jackie o okolicznościach śmierci Donalda. Drastyczne informacje mogłyby źle wpłynąć na jej ciężę. Poza tym, w młodym sercu dziewczyny dość było jej własnej nienawiści do Lovestone'a. Nancy nie chciała jej dodatkowo podsycać własnymi problemami.

- Z Lovestonem - gdy Nancy przerwała wreszcie milczenie, jej głos zabrzmiał dziwnie złowrogo - jeszcze się rozliczę. A Nick... no cóż - dorzuciła łagodniejąc - kiedyś się zorientuje, że na fotografii, jaką mu posłałam, są Himalaje.

Jak dwadzieścia jeden lat temu, tak i tej wietrznej wrześnieowej nocy płacz noworodka rozniósł się echem po korytarzach i komnatach klasztoru.

Dziecko przyszło na świat we właściwym terminie i najzupełniej zdrowe.

- To dziewczynka! - obwieścił mnich Tsumo, który odbierał poród.

- Brawo! - również obecna przy porodzie Nancy Coleman klasnęła uradowana w ręce, po czym mocno przytuliła spoconą z wysiłku głowę Jackie. - Masz śliczną córeczkę.

- A ty wnuczkę - odparła słabym głosem Jackie i obie kobiety rozpląkały się ze szczęścia.

Nowo narodzone dziecko darło się wniebogłosey. Tsumo podał dziewczynkę matce. Jackie, mocno wzruszona, pogładziła córkę po zmarszczonym z płaczu czółku. Maleństwo, jakby rozumiejąc ten gest, przestało płakać i popatrzyło na matkę wielkimi niebieskimi oczami.

Nie ulegało wątpliwości, że były to oczy Nicka.

Jackie nazwała córeczkę imieniem swojej matki. Mała Eva od samego początku stała się ulubienicą wszystkich w klasztorze. Nie było chwili, by któryś z mnichów nie nosił jej na rękach, nie prowadził na spacer lub po prostu nie siedział wpatrzony w śpiące niemowlę.

- Tobie Saran, nigdy tak nie nadskakiwali - zażartował pewnego razu Jon-Te.

Ogólną pieczę nad Eva sprawowała Nancy Coleman, dzięki czemu odciążona od obowiązków młoda mama szybko odzyskiwała siły po porodzie.

Gdy dziecko miało pół roku, Jackie zdecydowała, że nadszedł czas, by opuścić Tsu-An. Nie chciała i nie mogła dłużej nadużywać gościnności mnichów. Razem z Nancy i dzieckiem wyprowadziły się do pobliskiej chaty na skraju lasu.

Mimo że dom był zbudowany z gliny i bambusa - materiałów budowlanych dość powszechnie stosowanych w dolnych partiach gór, sprawiał wrażenie solidnego. Jackie mieszkała w nim już wcześniej, na długo przed podróżą do Stanów.

Przepięknie rzeźbione okna i drzwi budynku były szeroko otwarte na powitanie nowych mieszkanek. Po ścianach domu wspiwały się przedziwne tropikalno-arktyczne pnącza kwitnące bladoniebieskim kwieciem. Wszędobylskie zięby popiskiwały jak zwykle w koronach wiązów i akacji. Ponad doliną szybował orłosep.

Dookoła, jak okiem sięgnąć, tylko góry, góry, góry...

O takim rajku marzył Nick - pomyślała Jackie i przytuliwszy córkę mocniej do piersi przekroczyła próg chaty.

Jon-Te zadbał o przygotowanie chaty do zamieszkania do tego stopnia, że jedno z jej pomieszczeń wyposażył w najnowszy sprzęt komputerowy, mogący w ułamku sekundy za pomocą satelity połączyć Jackie z giełdą przy Wall Street, biurem Sand Corporation w Nowym Jorku, czy z jakimkolwiek innym miejscem na kuli ziemskiej.

Odtąd zaszyta w leśnej głuszy Jackie mogła śledzić każdy krok zarządu swojej firmy, a gdyby zaistniała taka potrzeba, ingerować w jego poczynania.

Ale prezes Arthur Scott stanął na wysokości zadania. Sand Corporation wciąż kwitła. Kwitła też Wiedermann Hotels.

Jackie nie odczuwała nawet, że jest właścicielką jednej z najpotężniejszych amerykańskich firm. Od czasu do czasu przypominały jej o tym wyciążi z kont, na które Scott przelewał jej zyski.

W czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku firma Sand Corporation wydała przyjęcie na cześć swej działalności w Nepalu. Przyjęcie odbyło się w Katmandu, w nowym hotelu Wiedermann - największym i najbardziej luksusowym hotelu w całym kraju.

Gośćmi firmy była sama elita światowego biznesu. Był także nepalski król Birendra Bir Birkam Shah Dev, a także premier rządu Man Mohan Adhahari.

Na takiej uroczystości nie mogło oczywiście zabraknąć samej Jackie Sand, która ku własnemu ubolewaniu musiała rozstać się z dziewięćmiesięczną już córeczką, aczkolwiek nie było to długie rozstanie. Zaraz po przyjęciu Jackie miała do niej wrócić, lecz tym razem wybrała dogodniejszy środek transportu; na dachu hotelu oczekiwał gotowy do drogi helikopter firmy.

Samo przyjęcie zdaniem gości było fantastyczne. Wszyscy bez wyjątku byli zaskoczeni elegancją wnętrza hotelu, bogatym asortymentem dań oraz szerokim wachlarzem dodatkowych atrakcji, takich jak baseny, sauny, czy lodowisko. Wszystko to oczywiście niewiele znaczyło wobec widniejącej na północy panoramy Himalajów - najwyższych gór świata, odwiecznej siedzi-by bóstw buddyjskich i hinduistycznych, krainy wierzeń i mitów...

Jackie patrzyła z tarasu hotelu na najeżone wierzchołki gór, odcinające się na tle atramentowo-czarnego, rozgwieżdżonego nieba.

Gdzieś tam przebywał człowiek, któremu przysięgła zemstę.

Jackie dowiedziała się przed chwilą, że cztery najpotężniejsze banki londyńskie udzieliły firmie Lovestone'a krótkoterminowych kredytów na działalność wydobywczą w Nepalu, a to znaczyło, że firma Nepal Lovestone Mining, jak się teraz nazywała, wyczerpała do cna swe zasoby finansowe, a jej szef liczył na szybkie odkrycie diamentów.

Smutny uśmiech zagościł na wargach dziewczyny.

Jerry Lovestone topił w himalajskich bagnach ostatnie pieniądze. Gubiła go jego własna chciwość. Stracił wszystko, co miał, choć sam jeszcze o tym nie wiedział.

Oto zemsta się dokonała. Nie istniało na świecie nic, co mogłoby go zranić jeszcze bardziej.

Chociaż Jackie Sand wiedziała, że nigdy tak naprawdę nie zdoła do końca zapomnieć o Jerry'ym Lovestone'ie, odsunęła myśl o nim w najciaśniejsze zakamarki umysłu. Jedyne, czego teraz pragnęła, to wrócić czym prędzej do

chaty w lesie i cieszyć się ze wspaniałej córeczki. Być może któregoś dnia podzieli się tą radością z Nickiem...

O ile Jackie udało się pomścić morderstwo rodziców, Nancy Coleman nadal pałała chęcią zemsty do Jerry'ego Lovestone'a.

Żądza ta towarzyszyła jej bez ustanku, w dzień i w nocy, na jawie i we śnie. Rozsadzała jej czaszkę, rozpaliała wnętrzości. Nie opuszczała jej nawet wtedy, gdy kobieta tuliła w ramionach swoją wnuczkę i nuciła jej kołysanki.

Jerry Lovestone zabił jej męża. Potem skazał ją na trzynaście lat osamotnienia. A jakby tego było mało, odebrał jej także syna.

Nancy bardzo dokładnie pamiętała dzień, kiedy poznała Lovestone'a, Wielkiego Prezesa, wówczas przełożonego Donalda Colemana. Pamiętała ten dzień nie przez Lovestone'a, ale dlatego, że właśnie obchodzili z Donaldem piętnastą rocznicę ślubu.

Donald od dziesięciu lat pracował w New York Oil jako inżynier, a tego dnia niespodziewanie awansował. Miał zostać szefem nowo powstałej platformy wiertniczej w Wenezueli, niedaleko miasta Tia Juana.

Awans męża zasmucił Nancy, oznaczał, że teraz Donald będzie częściej poza domem, a przecież ona go potrzebowała. A z całą pewnością potrzebował go ich syn, dwunastoletni wówczas Nicholas.

Donald zbyt dobrze znał żonę, by nie dostrzec cienia smutku w jej oczach.

- Nie cieszysz się? - bardziej stwierdził, niż zapytał.
- Ależ cieszę się - zaprotestowała żywo. - Tylko... ta Wenezuela jest tak daleko stąd...
- Moja droga - wziął ją w ramiona i mocno przytulił do siebie. - Nam trojgu przyda się jakaś odmiana.
- Trojgu? - Nancy nie bardzo rozumiała. - Jak to, trojgu?
- Przecież nie zostawię was samych w Nowym Jorku. Prędzej odrzuciłbym propozycje Lovestone'a.

Nancy wiedziała, że mąż mówi prawdę. W końcu za to tak bardzo go kochała. Wyswobodziła się z jego ramion i na chwilę wyszła z pokoju. Gdy powróciła, trzymała w dłoni małe ozdobne pudełko.

- To dla ciebie. - Wręczyła prezent Donaldowi. - Z okazji naszej piętnastej rocznicy ślubu.

Cały ubiegły tydzień wędrowała po sklepach, by wybrać mężowi upominek. Teraz Donald jak urzeczony wpatrywał się w niebieski krawat w beżowe prążki.

Najzwyklejszy w świecie krawat.

Mogłoby się wydawać, że nieoczekiwany awans przyćmi ten jakże pospolity prezent.

Ale nie dla Donalda, który wciąż kochał żonę tak samo, jak w dniu ich ślubu. Dla niego był to najpiękniejszy krawat pod słońcem. Nie zamieniłby go na nic, nawet gdyby w zamian miał awansować na samego prezesa New York Oil.

- Ja też mam coś dla ciebie - rzekł tajemniczo. - Załóż swoją najlepszą sukienkę. Dziś wieczorem będziemy się dobrze bawić.

Od początku trwania ich małżeństwa Colemanowie świętowali każdą rocznicę ślubu w małym bistro w pobliżu ich mieszkania w nowojorskiej dzielnicy Queens. Tego wieczora miało być inaczej.

Donald zawiózł żonę na Manhattan, gdzie korporacja New York Oil wydawała przyjęcie z okazji powodzenia przedsięwzięcia naftowego w Wenezueli. Dotąd Colemanowie nigdy nie byli zapraszani na tego typu spotkania towarzyskie. Za to teraz, kiedy Donald został jednym z dyrektorów firmy, zaproszenie to było jak najbardziej na miejscu.

Obydwoje ubrani w stroje wieczorowe - on w wytworny smoking, ona w obcisłą ciemnozieloną suknię i biżuterię z pereł - wkroczyli do sali balowej firmy i od razu przykuli uwagę pozostałych gości. Na całej sali nie było drugiej tak pięknej i tak zakochanej pary.

A oni wirowali na parkiecie. Nancy patrzyła mężowi głęboko w oczy, nieświadoma, że przyciąga zrazu ciekawskie, potem wręcz zazdrosne spojrzenie samego gospodarza balu - Jerry'ego Lovestone'a.

Gdyby wówczas wiedziała, jak tragiczne w skutkach będzie to przyjęcie...

Ale tego nikt nie mógł przewidzieć.

Po kwadransie Nancy została przedstawiona Lovestone'owi. I to jako najbardziej zakochana i najbardziej wierna żona. Donald cieszył się, że może pochwalić się nią przed szefem, który wyżej cenił tych podwładnych, których połowice zaliczały się do osób reprezentacyjnych. A trzydziestopięcioletniej wówczas Nancy Coleman nie brakowało ni urody, ni inteligencji.

- Miło mi panią poznać. - Lovestone szarmancko ucałował dłoń Nancy, a zwróciwszy się do Donalda, rzekł: - Musisz czuć się szczęściarzem, Coleman, posiadając miłość takiej kobiety. Ale czy nie uważasz, że wierność

jest w dzisiejszych czasach pojęciem względnym?

- Nie sądzę - odparł Coleman, nie przeczuwając ze strony szefa żadnej złośliwości.

- Och - nie darował Lovestone - droga do sukcesu tkwi w negocjacjach. Założę się, że znaleźlibyśmy wspólny mianownik za wierność twojej żony.

Nancy dotknęła ta uwaga. Zastanawiała się, dlaczego szef jej męża uparł się, by ubliżyć publicznie ich miłości. Powód był aż nadto jasny - dla Lovestone'a nie istniało nic świętego, czemu więc miałby szanować uczucia innych?

- Nie kupiłby mnie pan - odezwała się nieoczekiwanie - nawet za milion dolarów, Jerry. Nie wszystko da się sprowadzić do pieniędzy.

- A za dziesięć milionów? - Tym pytaniem zaskoczył ją i Donalda. - Proszę się zastanowić, pani Coleman - dodał z nutką drwiny w głosie - co zrobiłaby pani z dziesięcioma milionami dolarów?

Choć nie wypowiedział tego głośno, zrozumieli, że to jego cena za złamanie wierności ich małżeństwa.

- Panie Lovestone - powiedziała mu wówczas spokojnym i opanowanym tonem - są na świecie rzeczy, przy których pieniądze tracą wszelką wartość i takie, których nigdy pan nie zazna, nawet za całą pańską fortunę. Jeśli pan tego nie rozumie, to jest pan w gruncie rzeczy ubogim człowiekiem.

Po tych słowach Colemanowie oddalili się w przeciwny koniec sali, by na powrót oddać się przeplatanemu miłosnymi spojrzeniami tańcowi, świętowali piętnastą rocznicę ślubu i nic nie mogło im w tym przeszkodzić. Było im wszystko jedno, czy Lovestone ukarze Donalda za niegrzeczną odpowiedź Nancy.

A jednak do niczego takiego nie doszło.

Tydzień później Donald Coleman wyjechał do Wenezueli, by podjąć tam obowiązki szefa platformy wiertniczej oraz by przygotować wygodne lokum na przybycie żony i syna.

Następnego dnia po jego wyjeździe w mieszkaniu Colemanów zjawił się nieoczekiwanie Jerry Lovestone.

- Podwyższam stawkę do dwunastu milionów - rzekł stanąwszy w progu, mierząc Nancy chłodnym spojrzeniem.

Jeśli miała dotąd nadzieję, że na przyjęciu Lovestone jedynie żartował, to prysła ona wraz z tym zdaniem.

Nancy była sama w domu, Nick nie wrócił jeszcze ze szkoły, sąsiedzi byli akurat w pracy. Gdyby Lovestone zechciał, z łatwością mógłby zaciągnąć ją w głąb mieszkania i zwyczajnie zgwałcić. On jednak postanowił ją kupić.

Tak jakby była na sprzedaż.

Gdy spojrzenie Lovestone'a należało do chłodnych, to spojrzenie Nancy Coleman było wręcz lodowate.

- Brzydę się panem - odpowiedziała wyniośle, zaskakując tymi słowami nie tylko jego, ale także siebie, po czym zatrzaskała mu drzwi przed nosem.

Miała nadzieję, że to wystarczy, aby natrętny przybysz zrozumiał, że jego propozycja nigdy nie zostanie przyjęta. Lecz najbliższe dni miały pokazać, jak bardzo złudna była to nadzieja.

Nancy, choć nieświadomie, rzuciła wyzwanie męskiemu ego Lovestone'a. Jak to? On, przystojny prezes wielkiej korporacji, o którym marzyła połowa kobiet w Nowym Jorku, z jego własną żoną na czele, a druga połowa już miała zaszczyt gościć w jego sypialni, miałby się ugiąć przed nic nieznaczącą żoną jednego z podrzędnych dyrektorów? Miałby o niej śnić, jej tylko pragnąć, w dodatku nie usłyszawszy od niej ani słowa zachęty ni przyzwolenia?

Dotąd coś takiego wydawało mu się nie do pomyślenia. A jednak to była prawda.

Jerry'ego Lovestone'a opanowała obsesyjna wręcz miłość do Nancy Coleman. Widział jej twarz w każdej kobiecie, z którą zdradzał żonę, ba, kilkakrotnie omal nie zwrócił się do Barbary imieniem Nancy. Nie potrafił skupić się na najprostszycich sprawach firmy. Zaniedbywał ważnych kontrahentów, tracił kontrakty...

A wszystko przez to, że zakochał się i to po raz pierwszy w życiu, miłością chorą i nieczystą, taką, która nie ulęknie się nawet zbrodni, byle tylko dopiąć swego.

Wkrótce po jego pierwszej wizycie w mieszkaniu Colemanów zaczęły się telefony. Jakiś czas błagał tylko, nalegał na spotkanie, zebrał o rozmowę. Gdy zabiegi te nie dawały rezultatów, zaczął grozić.

Jego założenie było niezwykle proste. Jeśli Nancy nie chce należeć do niego, nie będzie należeć także do Donalda.

Z początku Nancy bagatelizowała te groźby, ale gdy w urzędzie odmówiono jej zgody na paszport i wyjazd do Wenezueli, do męża, stało się jasne, że Jerry Lovestone nie żartuje.

Przez kolejne cztery lata Nancy rzadko widywała Donalda. Przyjeżdżał do Nowego Jorku jedynie z okazji większych świąt, niezmiennie tłumacząc żonie, że wciąż czyni starania, by sprowadzić ich do Tia Juana. Nie wierzył, jakoby szef mógł wpłynąć na wstrzymanie zgody na ich wyjazd, tym bardziej, że Lovestone obiecywał mu niejednokrotnie pomoc w tej sprawie.

- Nie widzisz - denerwowała się Nancy - że on nas zwodzi? Gdyby chciał, wystarczyłoby jedno jego kiwnięcie palcem, a jeszcze dziś zamieszkalibyśmy z tobą i Nickiem w Tia Juana.

Gdyby chciał... Ale Lovestone nie chciał. Liczył na to, że rozłąka Colemanów uczyni Nancy bardziej podatną na jego zaloty, a tymczasem uzyskał efekt wręcz odwrotny od zamierzonego. Nieszczęsna wybranka jego serca była zakochana w swoim mężu jeszcze bardziej niż na początku małżeństwa.

Ostami telefon od swego prześladowcy Nancy odebrała czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku, tuż przed piętnastą.

- Będziesz moja? - zapytał bez ogródek Lovestone.

Nancy nie miała pojęcia, że dzwonił z Wenezueli, z platformy wiertniczej, na której pracował Donald.

- Nigdy! - padła jej jedyna możliwa odpowiedź.

Pół godziny później na platformie zdarzył się wypadek. W południowej jej części, będącej w rozbudowie, wystąpił niegroźny pożar, niegroźny pod tym względem, że korporacja poniosła tylko nieznaczne straty finansowe.

Były niestety straty w ludziach. Zginął szef platformy, inżynier Donald Coleman.

Owego feralnego dnia przebywał w Wenezueli na inspekcji swoich filii sam prezes korporacji New York Oil Jerry Lovestone. Głównym celem jego wizyty miało być zapoznanie się z postęпами prac nad rozbudową tej części platformy, na której zdarzył się wypadek.

Jak wykazało późniejsze dochodzenie, pożar wybuchł nagle i niespodziewanie. Zawiodła instalacja elektryczna i, jak to zwykle bywa, czynnik ludzki. Ktoś źle zabezpieczył kable elektryczne.

Pech chciał, że Coleman, który oprowadzał Lovestone'a po platformie, znalazł się właśnie w polu rażenia ognia. Lovestone, prócz lekkiego zaczerwienienia, nie doznał poważniejszego uszczerbku na zdrowiu, a to dlatego, że w momencie wybuchu przebywał akurat na wyższym poziomie rusztowania

i mimo że próbował pomóc Colemanowi, ogień był zbyt silny i szybko się rozprzestrzenił.

Ekipa ratunkowa, która przybyła na miejsce chwilę później, zastała pół-przutomnego Lovestone'a skulonego za betonową ścianą oraz leżące kondygnację niżej zwęglone zwłoki Donalda Colemana.

Niezwłocznie zatelefonowano do Nowego Jorku.

Kiedy zadzwonił telefon, myślała, że to znowu Lovestone. W końcu, czyż nie dzwonił zaledwie przed godziną? Zdenerwowana podniosła słuchawkę.

- Pani Coleman? - usłyszała całkiem obcy głos.

- Słucham, kto mówi?

- Tu George van der Horst. Dzwonię z Wenezueli, z platformy wiertniczej. Mieliśmy tu pożar... Pani mąż... Donald nie żyje.

Pierwszą reakcją Nancy Coleman na wieść o śmierci męża był szok. Stała przy aparacie w salonie swego mieszkania, ze słuchawką w dłoni, niezdolna do wypowiedzenia jakichkolwiek słów.

- Nic się nie dało zrobić - ciągnął van der Horst łamiącym się głosem.

- Pan Coleman zginął prawie od razu... Nie cierpiał długo... - I jakby to mogło przynieść wdowie jakieś pocieszenie, dodał: - Pan Lovestone próbował go ratować, ale sam omal nie zginął.

Nancy drgnęła.

- Co pan powiedział?! - krzyknęła do słuchawki.

- Proszę się uspokoić - przestraszył się van der Horst, sądząc, że kobieta krzyczy z powodu szoku.

- Na litość boską, co pan powiedział? - pytała przerażona Nancy. - Lovestone był z moim mężem?

- Przyjechał dziś do Tia Juana na inspekcję naszych szybów naftowych - pospieszył z wyjaśnieniami. - Pani mąż oprowadzał go po platformie. Pożar wybuchł nagle... Zaskoczył ich obu. Lovestone'owi udało się przeżyć. Pan Coleman nie miał tyle szczęścia...

Nancy poczuła pod czaszką nagły, okropny ból, jednocześnie jakiś błysk przemknął jej przed oczami. Po chwili, jakby rażona gromem, kobieta padła bez ducha na podłogę salonu.

Wieczorem znalazł ją tam jej syn, Nicholas. Karetka pogotowia przyjechała prawie natychmiast.

- Twoja mama żyje - oznajmił lekarz - ale prawdopodobnie doznała udaru mózgu. Musimy ją zabrać do szpitala.

Piętnaście minut później Nick dowiedział się z telewizyjnego wieczornego serwisu informacyjnego o pożarze w Wenezueli i o śmierci ojca.

Elektryka odpowiedzialnego za niedostateczne zabezpieczenie przewodów elektrycznych zwolniono z pracy.

Niedługo potem kupił sobie luksusowy dom w Malibu.

Pół roku po wypadku, na skutek rozległego udaru mózgu, Nancy Coleman umieszczono na prośbę jej syna w Prywatnej Klinice Neurologicznej w Trenton w stanie New Jersey, gdzie odcięta od świata miała spędzić następnych trzynaście lat swego życia.

Jerry Lovestone nie mógł sobie, niestety, pogratulować satysfakcjonującego rozwiązania sprawy. Inicjując wypadek na platformie ryzykował dużo, ale też miał nadzieję wiele zyskać. Nie powiodło się. Pozbył się, co prawda, rywala i to na zawsze, lecz jednocześnie pozbawił ukochaną kobietę władzy nad jej ciałem.

W całej swej przenikliwości tego jednego nie udało się Lovestone'owi przewidzieć - że Nancy Coleman dostanie udaru mózgu. Miał wrażenie, że przegrał z samym sobą.

Tylko czy aby na pewno?

Teraz, gdy łatwowierny Nicholas umieścił matkę w klinice doktora Brackleya, Lovestone mógł ją mieć wyłącznie dla siebie. Toteż odwiedzał Nancy częściej, niż jej własny syn, a podczas tych wizyt mógł cieszyć się do woli jej choćby niemym towarzystwem.

Przykuta do wózka inwalidzkiego, pozbawiona zdolności mowy czy choćby najmniejszego ruchu, była skazana na te odwiedziny, niezdolna do jakichkolwiek protestów. Już nie mogła kazać mu wyjść, zamknąć drzwi przed jego nosem, czy rzucić słuchawki na widelki.

Opowiadał jej o wszystkim. O firmie, o sobie, o swojej żonie i kochankach...

A ona musiała go słuchać. Nawet wtedy, gdy ze szczegółami opowiadał, jak to było naprawdę ze śmiercią Donalda. Jak opłacił elektryka, by ten spowodował zwarcie przewodów, jak zwałił Donalda do nieużywanej jeszcze części platformy, aby uniknąć zbyt wczesnej interwencji osób trzecich, mogącej zniweczyć jego nikczemne plany. Jak patrzył na trawione płomieniami ciało Donalda, który wyciągał do niego ręce w błagalnym geście wołania o pomoc.

Mógłby mu pomóc. Mógłby wciągnąć go na wyższą kondygnację rusztowania, mógłby użyć jednej z gaśnic, których pełno było dookoła. Zamiast

tego skulił się za betonową ścianą i z bezpiecznej kryjówki obserwował agonię Colemana.

Bo przecież Donald musiał umrzeć.

Po trzynastu latach umysłowych tortur Bóg zesłał Nancy Anioła w postaci Jackie Sand. Ów Anioł uwolnił jej umysł od cierpienia, a ciało od paraliżu.

Od ucieczki z Trenton minęły już prawie dwa lata. Teraz Nancy Coleman znów cieszyła się dobrym zdrowiem. Za sprawą medycznych umiejętności tybetańskich mnichów i ich modlitewnych medytacji, była na powrót w pełni sprawna na ciele i umyśle.

Dziś nie było już wózka.

Ale nie było też Donalda.

I choć Nancy, na pozór spokojna, tuliła w ramionach dziewięcioletnią wnuczkę, żal i gorycz, które narastały w niej przez trzynaście okrutnych lat, nadal szukały ujścia. Dla niej nie wystarczyło uczynić z Lovestone'a żebraka.

Ból mógł minąć tylko w jeden sposób.

Teraz to Lovestone musiał umrzeć!

Rozdział XXVII

Wieża wiertnicza pracowała niemal bez ustanku. Jej dudnienie odbijało się echem od skalnych ścian kotliny, sprawiając wrażenie, że to lawina toczy się z ośnieżonych szczytów gór. Słysząc je było w promieniu kilku mil.

Świder maszyny raz za razem zanurzał się w bagnie wyrzucając przy tym ze stalowej rury fontannę błota. A gdy wiertło natrafiało wreszcie na skalny grunt, Jerry Lovestone nerwowo zaciskał szczęki. Może tym razem...?

Stał po kolana w błocie u brzegu cuchnącego bagna - działki, którą wykupił od nepalskiego rządu. Nie była to bynajmniej działka odebrana podstępnie Jackie Sand. Tamtą maszyny wiertnicze zryły doszczętnie jeszcze w ubiegłym roku, nie znajdując absolutnie nic. Bagno, w którego dniu wiercili obecnie, sąsiadowało z działką wytyczoną przez Jackie, ale i tu prawie już brakło miejsca do wierceń.

W sumie Lovestone wykupił czternaście działek będących górskimi nieużytkami, wciąż mając nadzieję na sukces, jednak minął już rok, odkąd rozpoczął w Nepalu działalność wydobywczą, a diamentów ciągle nie było widać.

Nepalski rząd był coraz bardziej niezadowolony, nie widząc obiecanych profitów. Niezadowoleni byli pracownicy Lovestone'a zmuszani do bezustannej pracy w psich warunkach, a dodatku za dużo mniejsze wynagrodzenie, niż obiecywano im na początku. Ludzie zaczęli szeptać... Wkrótce też stało się tajemnicą poliszynela, że Jerry Lovestone stał na pograniczu bankructwa. Zasoby ze sprzedaży Lovestone Mining wyczerpały się już dawno temu, zaciągnięte krótkoterminowe kredyty także rozchodziły się w zawrotnym tempie. Właściwie nie zostało mu już nic, a on ciągle topił w nepalskich bagnach kolejne dolary.

On jeden miał jeszcze nadzieję...

Na powierzchni bagna wyłoniła się rura rdzeniowa świdra. Wiertniczy Doug Koppel stuknął w nią trzy razy młotkiem i oto oczom Lovestone'a' ukazał się zablocony kawałek twardej skały. Obaj z geologiem, Tomem Mackenzie'm z Kanady, pochyłili się nad próbką.

- Czy to kimberlit? - Lovestone wbił błagalny wzrok w geologa. Jedno spojrzanie doświadczonych oczu wystarczyło.

- To granit. - Mackenzie nawet nie czuł już rozczarowania.

Gdy rok temu Lovestone zaproponował mu posadę rzeczoznawcy, geolog, trzydziestoosmioletni wówczas Kanadyjczyk, ujrzał w niej życiową szansę. Bez cienia żalu pozostawił rodzinny kraj oraz olbrzymie przedsiębiorstwo Dia Met, zajmujące się wydobywaniem diamentów na skalę przemysłową, w którym pracował dotychczas, lecz w którym stał dość nisko w hierarchii służbowej, w dodatku bez cienia szans na awans.

Lovestone rozbudził w nim ogromne nadzieje. Diamenty w Himalajach? Czemu nie?

Niestety, zarówno dla Mackenzi'ego, jak i dla Lovestone'a rzeczywistość okazała się bardziej twarda, niż kawałek granitu leżący przed nimi.

- Niech to szlag - warknął Lovestone i cisnął odłamek skały w stronę bagna. Granit z cichym pluskiem zanurzył się w grzęzawisku. - Zawsze to samo! Rzygać się chce, gdy pomyśle, że pieprzone diamenty mogą leżeć o dwa kroki od mego odwiertu!

Popatrzył z wściekłością na wieżę wiertniczą, ostatnią czynną spośród ośmiu, jakie posiadał, na eksploatację pozostałych siedmiu po prostu zabrakło mu pieniędzy, i krzyknął do wiertniczego:

- Wierć dalej, Koppel! Do wieczora jeszcze kupa czasu. Może uda się coś znaleźć.

- Najwyżej cholerny granit - wtrącił Mackenzie, który miał już serdecznie dość tego błąkania się po bagnach - albo inne, równie nieprzydatne gównno.

- Zobaczysz - Lovestone aż zatrząsł się na te słowa - że jeszcze będziesz mi dziękować, że uczyniłem cię bogaczem.

- Jak dotąd - zauważył geolog - zalegasz mi z pensją.

- To się zmieni, jak tylko natrafimy na żyłę. - Lovestone ruszył w kierunku obozowiska.

Mackenzie pospiesznie poczłapał za nim.

- Nie rozumiem - powiedział dogoniwszy Lovestone'a - dlaczego tak się upierasz przy tych obszarach. Wiem, że nie badałeś gleby na obecność kimberlitu, nikt też nie znalazł w tej okolicy diamentów, więc skąd masz pewność, że nie tracimy czasu? U nas, w Kanadzie - mówił zapalając papierosa - w latach dziewięćdziesiątych, kiedy rozszalała się diamentowa gorączka, wydzielono na poszukiwania ponad czterdzieści milionów hektarów Terytoriów Północno-Zachodnich. A ty kupiłeś parę małych działek, przeryleś je wzdłuż i wszerz i za każdym razem wmawiasz mi, że to już.

Lovestone nic nie odpowiedział. Gdy dotarli do obozu, zamknął się w swoim baraku.

Mimo całej wiary w diamentowe przedsięwzięcie, jego także ogarniały czasem wątpliwości. Faktycznie przeskubał już cztery działki, o które ubiegała się Jackie Sand i nie znalazł dosłownie nic. Dokupił inne, sąsiednie i... znowu nic. Maszyny wiertnicze zaczęły się psuć, ludzie poczęli odchodzić, na wszystko brakło pieniędzy. I gdzie tu marzyć o dokupieniu nowych działek?

A jeśli nie było diamentów...? Nie, to niemożliwe! Widział je przecież na własne oczy. Ta suka wiecznie była nimi obwieszona. A jeśli w tym wszystkim krył się jakiś podstęp?

No nie! - Lovestone roześmiał się sam do siebie. - Jaki znowu podstęp? Przecież ona też bardzo chciała nabyć te tereny i ja ją w tym ubiegłem.

Wyobraził sobie Jackie czyhającą, by zająć jego miejsce, kiedy zniechęcony wycofa się z Nepalu.

Niedoczekanie! - pomyślał.

Już wiedział, że nigdy się nie podda. Będzie walczył do ostatniego centa. Widmo Jackie pławiącej się w diamentach było silniejsze niż wszystkie jego dotychczasowe obawy.

W momencie, kiedy Lovestone zastanawiał się, do którego z banków zwróci się o kredyt tym razem, zadzwonił jego telefon komórkowy; łączność w górach była możliwa jedynie dzięki satelitom.

- Czy mam przyjemność z Jerrym Lovestonem? - odezwał się w słuchawce miły dziewczęcy głosik. - Mówi Sindu Chinwala z katmandzkiego oddziału Royal Banku.

- Tak, tu Lovestone. Czy coś się stało?

Mimo upalnej lipcowej pory zrobiło mu się zimno. Royal Bank prowadził wszystkie jego rozliczenia. Jedynie tam Lovestone miał na koncie jeszcze

jako taki kapitał. Brakowałoby, żeby wierzyciele zaczęli upominać się o swoje.

- Doprawdy - urzędniczka nie kryła bezradności - nie mam pojęcia, o co chodzi. Dzwonię, by przekazać panu, że niezwłocznie ma pan stawić się w naszym oddziale. To zapewne zwykła formalność. Pan prezes wysłał już po pana helikopter.

Jakby na potwierdzenie jej słów, na tle buczenia wieży wiertniczej dało się odróżnić jakiś inny hałas i po chwili stalowe cielsko helikoptera wyłoniło się z szarości nadchodzącego zmierzchu.

Zwykła formalność.

Akurat!

Następnego dnia rano Lovestone stał już w gabinecie prezesa Royal Banku w Katmandu. Czuł się okropnie po nieprzespanej nocy, którą spędził w podrzędnym hoteliku po dwa dolary za dobę. Minęły niestety czasy, gdy mógł pozwolić sobie na Wiedermanna, a bank, zafundowawszy mu luksusową podróż helikopterem, zapomniał najwidoczniej o ulokowaniu swego petenta w nieco dogodniejszych warunkach.

Toteż znalazłszy się przed prezesem banku, Jerry Lovestone miał wszystkiego serdecznie dość. Oczy go piekły z niewyspania, źle ogolona broda swędziała teraz jak wszyscy diabli, na dodatek wciąż nie wiedział, po co go wezwano. Na pewno jednak nie miało wynikać z tego nic dobrego.

- Ja się pan zapewne domyśla - zaczął prezes banku, Kamal Badur - mamy problemy z pańskim kontem.

- Problemy? - Lovestone'a ogarnęły nagle duszności. - Przecież nie dalej jak tydzień temu sprawdzałem stan mego konta i wszystko było w porządku. Powinienem tam mieć nieco powyżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów, pochodzących z kredytu, jakiego udzielił mi ostatnio londyński Imperial Bank.

- To wszystko prawda - przerwał mu Badur - ale niestety zaistniały nieprzewidziane okoliczności.

- Nie rozumiem...

- Imperial Bank cofnął panu kredyt - oznajmił Badur bez cienia współczucia w głosie; Lovestone nie należał już do ludzi, przed którymi drżały banki i inne instytucje. - Teraz na pańskim koncie widnieje całkiem spory debet. Przykro mi to mówić, ale jeśli w ciągu tygodnia nie uzupełni pan konta, będziemy zmuszeni zająć pańskie urządzenia wiertnicze na poczet spłaty wierzytelności, zanim zrobią to inni.

- Inni... - wyszeptał Lovestone wyschniętymi wargami. Jeśli do tego by doszło, stałby się nikim. Zerem. Straciłby wszystko. I to bezpowrotnie.

Dotąd zadłużył się w bankach europejskich i amerykańskich na łączną sumę przewyższającą pół miliona dolarów. Terminy płatności pierwszych rat miały nadejść wkrótce, ale Lovestone liczył, że do tego czasu odkryje żyłę diamentów, a jeśli nie, to przynajmniej zdobędzie kredyt w londyńskim Imperial Banku.

Teraz wszystko wywróciło się do góry nogami. Należało wyjaśnić sprawę w Londynie, albo poszukać nowego wierzyciela.

- Tydzień, powiadasz pan? - Lovestone myślał intensywnie. - A może pański bank byłby zainteresowany udzieleniem mi kredytu?

Prezes Royal Banku omal nie parsknął śmiechem.

- Nawet gdybym chciał to zrobić, prędzej uwierzyłbym, że zdobędzie pan Mount Everest, niż że uda się panu spłacić zadłużenie. Ale niestety nie mogę udzielać panu kredytów. Nie byłoby to przychylnie odbierane przez naszych klientów.

Lovestone nie miał najmniejszych wątpliwości, że Badur ma na myśli Jackie Sand.

Również Jackie Sand była powodem, dla którego także Imperial Bank odstąpił od umowy kredytowej.

A jeśli Jackie Sand tak bardzo zależało na tym, by Lovestone pozostał bez środków na dalsze odwierty, to znaczy, że był już bardzo blisko celu w swych poszukiwaniach.

Zwłaszcza teraz nie mógł zrezygnować.

Tylko skąd wziąć pieniądze?

Odpowiedź nasunął mu artykuł w Nepalskiej Gazecie Urzędowej: Właścicielka międzynarodowej sieci hoteli zakłada fundację na rzecz pomocy nepalskim dzieciom.

Lovestone wracał z banku do hoteliku, gdy nagle za brudną szybą kiosku z gazetami zauważył rozpromienioną twarz byłej żony, Barbara Wiedermann uśmiechała się do przechodniów z fotografii obok artykułu.

Lovestone wyszperał z kieszeni kilka rupii i kupił gazetę. Potem przeleciał wzrokiem tekst artykułu, chłonąc każde słowo. Barbara zobowiązała się wybudować na wsiach szkoły i domy dziecka i wyposażyć je w sale gimnastyczne i pracownie komputerowe. Oprócz tego oferowała pomoc najuboższemu poprzez utworzoną do tego celu fundację.

Na koniec autor artykułu donosił, że hojna fundatorka zatrzymała się w hotelu Wiedermann w Katmandu, gdzie spędzi wraz z wnuczkami resztę wakacji, zapoznając się z kulturą i tradycjami Nepalu.

Lovestone ani przez moment nie zastanawiał się, jakie to też wnuczki wytrzasnęła Barbara. Szczerze mówiąc, nic go to nie obchodziło. Liczyło się tylko to, że jego eksmałżonka przebywała akurat w mieście i że była prawdopodobnie jedyną osobą na całym kontynencie azjatyckim, do której mógłby się zwrócić o pożyczkę, nie spotykając się przy tym z odmową.

Jeśli Barbara była skłonna obdarować obce dzieciaki milionami dolarów, to jemu; Jerry'emu Lovestone'owi, z którym łączyło ją, bądź co bądź, ponad trzydzieści lat małżeństwa, nie pożądaje marnych pięciuset tysięcy.

Barbara odmówiła.

Kiedy Lovestone do niej zatelefonował, nie wydawała się specjalnie zaskoczona ani tym telefonem, ani też sprawą, w jakiej dzwonił.

- Słyszałam, że twoje interesy stoją marnie - jej aksamitny głos był pełen wyższości nad byłym mężem - ale nie podejrzewałam, że będziesz zebrał.

- Proszę cię tylko o pożyczkę. - Lovestone brzydził się swoją bezradnością. - Do końca roku oddam ci wszystko, przysięgam. Ale teraz potrzebuję tych pieniędzy.

- Niby dlaczego miałabym ci pomóc?

- Bo tylko ty mi pozostałaś - powiedział to najczulej, jak potrafił, ale takie słowa już nie działały na Barbarę.

Kiedyś, jako Barbara Lovestone, może i dałaby się na to nabrać, ale teraz była Barbarą Wiedermann i urok Jerry'ego nie miał już na nią żadnego wpływu.

- Prosisz na darmo. - Jej słowa zabrzmiały w uszach Lovestone'a jak wyrok śmierci. - Nie należę już do ciebie. Nie mam obowiązku ci pomagać.

- Ależ... - z całych sił ścisnęła słuchawkę. To była jego ostatnia deska ratunku.

- Nie dostaniesz ode mnie pięciuset tysięcy, Jerry. - Stanowczość Barbary go przeraziła, a trzask odkładanej słuchawki omal nie rozsadził mu czaszki.

Mimo tak jednoznacznej odmowy, następnego dnia rano Jerry Lovestone, jak gdyby nigdy nic, pojawił się w Wiedermannie. Swoim niechlujnym,

wręcz ubogim wyglądem odcinał się od reszty gości przebywających w holu; jego wypłowiała w słońcu kurtka-wiatrówka nie pasowała do dwurzędowych garniturów hotelowych gości.

Stojąc u szczytu schodów, Barbara patrzyła z góry na jego osmaloną twarz. Wyglądał jak włóczęga. Choć przypuszczała, że się tu dzisiaj zjawi, z trudem poznała w nim byłego męża. Teraz to był wrak człowieka.

Jeszcze nie tak dawno Jerry Lovestone był właścicielem całej sieci hoteli Wiedermann, dziś nie mógł sobie pozwolić nawet na drinka w bufecie.

Na chwilę, na jedną krótką chwilę zrobiło jej się go żal.

Zeszła po schodach i stanęła naprzeciw niego. Jedno krótkie spojrzanie w jego oczy, a współczucie minęło równie szybko, jak się pojawiło. Jego oczy nic nie straciły z dawnej chytryści i pogardy dla świata.

Ten człowiek zrujnował jej życie. Był mordercą. Barbara wzdrygnęła się z obrzydzenia. Gdyby nie nalegania Jackie, nigdy nie zgodziłaby się na to spotkanie.

- Czego chcesz? - nawet nie próbowała silić się na uprzejmy ton.

Jerry Lovestone musiał przyznać przed samym sobą, że rozwód wpłynął na zdecydowanie dodatnio na wygląd Barbary. Spodziewał się ujrzeć ją załamana i zagubiona, a tymczasem stała przed nim prawdziwa kobieta biznesu - elegancka, piękna i pewna siebie.

- Ślicznie wyglądasz - powiedział cicho.

- Pytałam, czego jeszcze chcesz? - Barbara puściła komplement mimo uszu.

Lovestone pojął, że nie tędy droga. Nadeszła pora, by zrzucić maskę obudy.

- Jeśli - zaczął - nie możesz mi pożyczyć pięciuset tysięcy, to ile?

Rozbawienie, jakie ujrzał w jej oczach, było jak tortura.

- Wiem, na co chcesz wydać te pieniądze - oznajmiła, uśmiechając się lekko - i nie sądzę, aby był to najlepszy pomysł.

- O! - Lovestone z całych sił starał się nie wybuchnąć. - Widzę, że stałaś się ekspertem od udanych inwestycji. Co, według ciebie, mam zamiar z nimi zrobić? A w ogóle, to od kiedy jesteś taka dobra w interesach?

- Ech, Jerry, Jerry - Barbara pokiwała głową z politowaniem. - W niepełna dwa lata przetraciłeś ogromną fortunę i nadal masz się za światowego biznesmena. Co tam - machnęła ręką. - Powiem ci. - Zniżyła głos, jakby

miała mu wyznać największą tajemnicę. - Tam, gdzie szukasz obecnie, nie ma diamentów.

Lovestone wytrzeszczył na nią oczy.

- Cały twój wysiłek - ciągnęła - poszedł na marne. One są zupełnie gdzie indziej.

- I... ty wiesz... gdzie...? - wyjąkał.

- Ja nie - odparła. - Ale Jackie wie - dodała niewinnie. Znienawidzone imię podziało na niego jak wiadro zimnej wody.

- Nie musisz mi o tym przypominać! - krzyknął.

- Nie muszę - przytaknęła, a jej twarz przybrała nagle zatroskany wyraz - ale nawet jeśli pożyczę ci pieniądze, to i tak nie znajdziesz diamentów.

- A to dlaczego?

- Tydzień temu Jackie kupiła od nepalskiego rządu właściwą działkę.

Lovestone zachwiał się pod wpływem tych słów. Czegoś takiego nie przewidział. Dał się złapać w potrzask własnej chciwości. Podstępna Jackie patrzyła spokojnie, jak stracił cały majątek, a teraz, gdy nie miał już nic, najspokojniej w świecie kupiła diamentową działkę.

- Czemu mi to mówisz, Barbaro? - powiedział cicho. - Myślałem, że jesteście przyjaciółkami.

- Przez wzgląd na nasze małżeństwo - odparła tonem, z którego nie można było wyczytać absolutnie nic, po czym nie oglądając się za siebie, wsiadła do windy.

Lovestone wypadł z hotelu wprost w lejący się z nieba lipcowy żar. W głowie mu szumiało, a na piersi osiadł dziwny ciężar.

Diamentowa działka sprzedana!

Tyle zachodu, tyle straconych pieniędzy, a on szukał nie tam, gdzie trzeba!

Jestem biznesmenem? - zapytał w duchu samego siebie. - Najwyżej krowy mogą się na to nabrać! - Ze złości kopnął puszkę ulicznego żebraka; monety rozsypały się z brzękiem po kocich łbach. Chudy Nepalczyk zerwał się na równe nogi i drżącymi palcami począł zbierać rupie, posyłając przy tym Lovestone'owi mordercze spojrzenie. Biedak nie wiedział, że przy całej swojej nędzy był o wiele bogatszy od Amerykanina.

Wracając windą do hotelowego apartamentu, Barbara spostrzegła, jak

bardzo drżą jej dłonie. Mocno przeżyła spotkanie z byłym mężem. Kiedy zadzwonił wczoraj prosząc o pożyczkę, nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nie mogła też nie podzielić się z Jackie tą nowiną. Winda zatrzymała się na trzecim piętrze. Barbara weszła do apartamentu.

- Poszedł już? - zapytała ją Jackie.

Obie z Emmą Swanson, nieodłączną towarzyszką Barbary, siedziały właśnie na kanapie w salonie i rozmawiały o trudnej sztuce wychowywania pociech. A u ich stóp dzieci, cóż, jak to dzieci, z natury nazbyt hałaśliwe stworzenia, klóciły się zajadle o to, która z bliźniaczek, Joan czy Janet, będzie karmić małą Evę kremem czekoladowym.

- Tak, już poszedł. - Barbara nalała sobie koniaku i usiadła w fotelu.

- Uwierzył?

- Chyba tak... - zawahała się - tylko... nadal nie wiem, czy postępujemy słusznie.

- Barbaro - Jackie uściśnęła jej drżące z emocji dłonie - on nigdy nie miał w stosunku do ciebie żadnych, choćby najmniejszych wyrzutów sumienia.

Chcąc nie chcąc, Barbara musiała przyznać jej rację.

W pewnym momencie Eva, nic sobie z nich wszystkich nie robiąc, podeszła na drżących jeszcze nóżkach, wspierając się o stolik do kawy, do pucharka z kremem i jednym zwinnym ruchem sięgnęła po naczynie, jednocześnie zanurzając w nim twarz.

- Mój Boże! - krzyknęła na ten widok Barbara i nagle poczuła, jak uchodzi z niej całe napięcie spowodowane minionym spotkaniem.

Parsknęła raptownie gromkim, szczerym śmiechem. Po chwili zawtórowały jej Jackie i Emma.

Ewa odsunęła pucharek od twarzy i zatrzepotała sklejonymi kremem powiekami. Z całej twarzą tylko oczy pozostawały widoczne zza kremowej mazi. Niemowlę rozejrzało się niepewnie dookoła, przeczuwając, że zrobiło coś nie tak, po czym wystraszone śmiechem kobiet, wyciągnęło rączki w stronę matki.

Było coś takiego w oczach dziecka, co sprawiło, że Jackie spoważniała raptownie. Tak samo patrzył na nią Nick...

Dziewczyna mocno przytuliła córeczkę, nie bacząc, że krem czekoladowy wsiąkł w sukienkę za cztery tysiące dolarów.

To, co robię - pomyślała - jest jak najbardziej słuszne. Lovestone odpowie za to, co uczynił mnie, tobie, moim rodzicom.

Lovestone błąkał się po Katmandu przez dwie godziny, nie mogąc pozbierać myśli. Wreszcie, zrezygnowany, usiadł na skraju kamiennej fontanny i natychmiast został obstąpiony przez wszędobylskie małpy, które z piśkiem domagały się choćby kawałka bułki. W Nepalu małpy były zjawiskiem tak powszechnym, jak gdzie indziej psy czy koty.

- Zjeżdżajcie stąd! - tupnął nogą. - Sam nie mam co jeść, wy hieny! Załatwiła mnie ta suka i wasz rząd!

Nagle jakaś myśl przysłała mu do głowy; wstał tak energicznie, że małpy uciekły w popłochu.

Jezu! - złapał się za głowę. - Że też wcześniej o tym nie pomyślałem! Może ten wiceminister, jak mu tam... Rana, będzie umiał mi pomóc?

Jak opętany pobiegł w kierunku terenów pałacowych.

Wiceminister nie miał akurat żadnej narady ani posiedzenia rządu, mógł więc bezzwłocznie przyjąć amerykańskiego biznesmena.

- Cóż to, panie Lovestone - powitał go od progu - znalazłeś pan diamenty?

Lovestone był zbyt wyczerpany, by dopatrywać się w tych słowach ironii.

- Jeszcze nie - wykrztusił padłszy bez zaproszenia na krzesło. Oczywiście miał rozbiegane jak u szaleńca. - Ale wiem już, gdzie ich szukać.

- Doprawdy? - zdziwił się Rana. - Czyżby do tej pory pan tego nie wiedział? - i zaraz pomyślał: - Ta dziewczyna, Jackie Sand, musi mieć rację. To wariat! - Pan pozwoli, ale podczas naszej pierwszej rozmowy, kiedy to kupił pan od mego kraju cztery górskie działki, odniosłem zgoła odmienne wrażenie...

- Zostałem oszukany! - wyrzucił z siebie Lovestone. - Przez Jackie Sand! Wprowadziła mnie w błąd i drogo mi za to zapłaci.

- Jackie Sand...? - Rana zmarszczył brwi, udając, że usiłuje coś sobie przypomnieć. - Czy to przypadkiem nie ta młoda i piękna osóbką, która kupiła od nas przed tygodniem inną górską działkę, dużo bardziej wysuniętą na wschód, niż te pańskie?

- Właśnie! - Lovestone zerwał się z krzesła, ale po chwili opadł na nie z powrotem; piekący ból w klatce piersiowej odbierał mu siły. - To na tej działce są diamenty!

- Hm, dziwne. Przypominam sobie, że ta pani chce wybudować tam dom, willę z ogrodem, a potem w niej zamieszkać.

- Widzi pan? Was też oszukała!

- I co pan radzi? Skoro doszło już do sprzedaży...

- Trzeba koniecznie unieważnić tę transakcję! - Tylko takie rozwiązanie wydawało się Lovestone'owi na miejscu. - A potem sprzedać działkę mnie.

Rana długo wpatrywał się w okno, ważąc kolejne słowa.

- Doszły mnie słuchy - zaczął - że ma pan spore kłopoty finansowe...
- To się zmieni - wszedł mu w słowo Lovestone - jak tylko natrafię na żyłę.
- Z czego pan zapłaci za kolejną działkę?
- Więc jednak bierze pan pod uwagę unieważnienie transakcji....?

Dwa dni później Lovestone rozliczył się ostatecznie z Royal Bankiem. Prezes banku, Kamal Badur, nie krył zdziwienia, skąd też Amerykanin wytrzasnął pieniądze. Ale Lovestone nie uznał za stosowne wyjawiać źródła swego dofinansowania. Upewnił się tylko, że jego jedyna wieża wiertnicza nie zostanie skonfiskowana, po czym wynajętym helikopterem odleciał w stronę majaczących na północy gór.

Gdy przelatywał nad rozrzuconymi z rzadka górskimi wioskami i pasącymi się stadami kóz i jaków, jedna uporcezywa myśl nie dawała Lovestone'owi spokoju.

A więc Barbara nadal go kochała! Nie do wiary! Po tym wszystkim, co jej uczynił... Głupia dziwka. Ale bez niej nie odbiłby się od dna. Znów posłużył się nią jak narzędziem. A ona nadal go kochała.

Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że mimo wszystko pożyczyła mu, co prawda, tylko sto tysięcy, ale zawsze. Wystarczyło na spłatę drobnych długów, a co najważniejsze, udało się kupić od nepalskiego rządu jeszcze jedną działkę. Tę najważniejszą.

Swoją drogą, ciekawe, jak wiceminister Rana wytłumaczy się przed Jackie Sand z unieważnienia transakcji?

- Szkoda, że nie zostaniesz w Katmandu dłużej. - Barbara uściśniła Jackie i jej córeczkę. - Joan i Janet bardzo polubiły Evę, ja zresztą też...

Obie kobiety stały na dachu hotelu Wiedermann. Olbrzymi helikopter Sand Corporation był gotowy do drogi.

- I ja żałuję - odparła Jackie - ale muszę już wracać. Szykuję Lovestone'owi ostatnią niespodziankę i nie mogę opuścić zakończenia tego spektaklu.

Dziewczyna ruszyła do helikoptera, ale Barbara nieoczekiwanie ją zatrzymała.

- Powiedz, ile naprawdę dałaś temu wiceministrowi za wystawienie Jerrego do wiatru?

- Nie pytaj - uśmiechnęła się Jackie. - Więcej, niż warte są wszystkie twoje hotele w Nepalu.

Rozdział XXVIII

Jackie zastanawiała się, dlaczego też Nancy, po odzyskaniu zdrowia, nie pozbyła się wózka inwalidzkiego, który mnisi załatwili jej z miejskiego szpitala w Patanie.

Kiedy tylko Nancy zaczęła poruszać się o kulach, wózek przeniesiono do małego pomieszczenia w dolnej części klasztoru, czegoś na kształt rupieciarni. Mnisi gromadzili tam wszystkie niepotrzebne graty.

Jakie natknęła się na wózek po raz pierwszy, gdy będąc jeszcze w ciąży zeszła do owego pomieszczenia, by poszukać dla swego dziecka kołyski z sosnowego drewna, własnoręcznie rzeźbionej przez ojca Jon-Te, kołyski, w której sama kiedyś sypiała.

- Dziwię się - powiedziała potem do Nancy - że od razu go nie spaliłaś. Gdybym to ja była przykuta do czegoś takiego przez trzynaście lat, nie zniosłabym ani chwili dłużej tego widoku.

- Jest mi o tyle łatwiej poradzić sobie z tym - odpowiedziała wówczas ze śmiechem Nancy - że przez cały ten czas miałam go za plecami, a nie przed sobą. Dużo później Jackie dowiedziała się, jaki jest naprawdę cel przeznaczenia tego wózka.

Teraz Jackie nie mieszkała już w klasztorze, a jej dziecko wkrótce miało ukończyć pierwszy rok życia.

Mnich Jon-Te, który ukochał małą Evę tak samo, jak niegdyś jej matkę, czuł się w obowiązku podarować dziecku z tej okazji coś wyjątkowego i oryginalnego. I tak jak przed dwudziestoma dwoma laty zbudował dla Saran kołyskę, tak teraz postanowił zrobić dla Evy huśtawkę.

Był koniec sierpnia. Jon-Te zszedł po kamiennych schodach, przyświecając sobie latarką, do rupieciarni. Drugą ręką mnich przytrzymał wysoko

swój brunatny habit, bojąc się, by nie potknąć się o jakiś pozostawiony nieopatrnie pod nogami sprzęt, co nie raz już przytrafiało się mnichom. Na szczęście tym razem do niczego takiego nie doszło.

Mnich poświecił latarką dookoła w poszukiwaniu skrzynki z narzędziami. Jest! Stała wysoko na półce po lewej stronie, tuż nad kołowrotkiem do przedzenia wielbłądziej wełny, dokładnie tam, gdzie postawił ją ostatnio.

Jon-Te uczynił krok w jej kierunku, gdy nagle jakiś szczegół przykuł jego uwagę. Dziwne, był tu nie dalej jak tydzień temu, ale wtedy nie mógł swobodnie podejść do półki. Przeszkadzał mu w tym stojący tu od półtora roku wózek inwalidzki.

Teraz wózek zniknął.

Działka, którą tym razem wybrała Jackie, była uroczym zakątkiem, w którym nieprzypominającym nagich skał i grząskich bagien, z którymi Lovestone miał do czynienia do tej pory. Teren ten oddalony był od poprzednich o trzy dni konno na wschód. Teraz było to wzgórze o łagodnych stokach i ściętym wierzchołku, porośniętym trawą. Z jego zbocza tryskało małe źródło, które wijąc się pośród alpejskich porostów wpadało wąskim strumieniem do płynącej u podnóża wzniesienia rzeki Kosi. Lewy brzeg rzeki usłany był turkusem i to tak gęsto, że patrząc ze szczytu wzgórza zdawało się, iż to niebo dotyka ziemi. Na drugim brzegu rzeki, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się zwrotnikowa dżungla - zielona powódź ginąca we mgle.

A w oddali, wysoko ponad mgłą, niczym szybujące ptaki - najeżały się granie najwyższych gór świata - granica Nepalu z Tybetem.

Lovestone kazał rozbić obóz u stóp wzniesienia. Dla niego uroki krajobrazów nie miały najmniejszego znaczenia. No bo co mogło być interesującego w chłostanej jesiennym monsunem przyrodzie? Dla niego to miejsce wydawało się wręcz ponure; omszałe drzewa i śliska od wilgoci trawa jeszcze potęgowały to wrażenie.

Lovestone ubrany w gumowe buty i płaszcz od deszczu stał na brzegu rzeki Kosi i patrzył, jak ośmiu jego ludzi i jeszcze paru wynajętych Szerpów krążyła się wokół poruszanych wiatrem, ogrzewanych namiotów.

Z przeciwległego brzegu rzeki, z najgłębszych zarośli, przyglądała się Lovestone'owi para oczu.

Zainstalowana na płaskim szczycie wzniesienia wieża wiertnicza od dwóch dni nie pracowała. Pękło w niej jakieś cholerstwo i wszyscy czekali teraz aż z Norwegii dostarczą części zamienne.

Zanosilo się na tydzień czekania, więc ludzie znudzeni bezczynnością w obozie wybierali się w pojedynkę lub grupkami na wędrówki po okolicy.

Następnego dnia po południu, podczas jednej z takich wypraw, geolog Mackenzie natknął się w dole rzeki, jakąś milę od obozowiska, na prowizoryczny most, wykonany prawdopodobnie przez miejscowych tragarzy. W pobliżu nie było drzew dość dużych, by sięgały od jednego brzegu rzeki do drugiego. Do budowy mostu użyto więc ośmiu krótszych kłód. Cztery z nich wysunięto ku środkowi rzeki z jednego brzegu, końce zaś obciążono stosem okrągłych kamieni. Z drugiego brzegu wysunięto kolejne cztery kłody, które zetknęły się z poprzednimi i w ten sposób powstał most.

Sam most nie budził zaufania, podobnie jak las po przeciwnej stronie rzeki, pełen dzikich zwierząt, a przynajmniej pijawek i innego plugastwa. Ale Mackenzie miał już serdecznie dość towarzystwa Lovestone'a, który z dnia na dzień popadał w coraz większą depresję; ten idiota naprawdę liczył, że odnajdzie tu diamenty.

Jak na ironię, to właśnie Mackenzie miał natrafić na pierwszy kamień.

Kanadyjczyk na czworaka pokonał niebezpieczny most i chwilę później znalazł się pośród tropikalnych pnączy. Ku jego rozczarowaniu żadne groźne zwierzę, tygrys, czy niedźwiedź, nie czyhało w zaroślach. Spłoszył jedynie parę małp i całą chmarę kolorowego ptactwa.

Niestety, las okazał się zbyt gęsty, by można było swobodnie się w im poruszać. Była co prawda ścieżka, a właściwie ślad ścieżki wyrąbanej latem przez tragarzy, ale niedostępna dżungla broniła zaciekle swych kniei, tworząc z lian, epifitów i bambusów płataninę tak gęstą, że stanowiła ona barierę nie do przebycia dla nieuzbrojonego w maczetę Mackenzie'go.

Mężczyzna uczynił wprawdzie kilkadziesiąt kroków w głąb lasu, ale ciemności panujące pod ociekającym wodą sklepieniem z liści stawały się nie do zniesienia. Poza tym uczęszczany latem szlak mógł w porze monsunowej zamienić się w grzęzawisko. Świadom tego Mackenzie, postanowiwszy, że jutro przyjdzie tu z kimś z obozu, zawrócił w kierunku rzeki, która

z miejsca, gdzie stał, była ledwie słyszalnym szmerem. Ścieżka była kręta, a las tak gęsty, że nawet najmniejszy prześwit spomiędzy drzew nie zdradzał, że las zaraz się skończy.

Wyszedłszy z zarośli, geolog skierował się od razu w stronę mostu. Już miał postawić stopę na jednym z krągłych głazów utrzymujących kłody, gdy nagle jego wzrok przykuł inny kamień. Serce Mackenzie'go na chwilę się zatrzymało, by po chwili roztrzepotać się łącie szaleńczym rytmem.

Diament!

Żółty jak złoto i wielki jak wiśnia kamień leżał na mokrym mchu, niczym na aksamitnej poduszce.

- Nich mnie szlag! - szepnął Mackenzie z niedowierzaniem i padł na kolana obok znaleziska. - Pieprzony Lovestone miał rację. - Geolog roześmiał się na całe gardło. - Tu rzeczywiście są diamenty!

Nagle spowaźniał. Zerwał się na równe nogi, ściskając w dłoni szlachetny kamień i bacznie rozejrzał się dookoła.

Ani śladu innych diamentów.

W swym roztargnieniu, spowodowanym niespodziewanym znaleziskiem, Kanadyjczyk nie zwrócił uwagi na drobny, acz znamienity fakt, że gdy stał na tym brzegu rzeki pierwsze kroki, rozglądał się o wiele uważniej niż teraz, a żadnego diamentu nie zobaczył.

Wszedł po kolana do rzeki i zaczął przeczesać palcami zamulone dno. Oprócz zwykłych w takim miejscu kamieni rzecznych zwanych otoczakami, nie znalazł nic.

Dopiero zmierzch kazał Mackenzie'emu przerwać chaotyczne poszukiwania.

Po powrocie do obozu geolog zaszył się w swoim namiocie, nie dzieląc się absolutnie z nikim swoim odkryciem. Był zresztą przekonany, że nikt go nie widział.

Nawet nie przypuszczał, że przez cały czas śledziły go czujne oczy Jackie Sand.

Późną nocą deszcz wzmógł się jeszcze bardziej. Ale trzem zakapturzonym postaciom skulonym w gęstwinie akacji porastających teren wokół obozowiska zdawało się to nie przeszkadzać.

- Co będzie - szepnęła jedna z nich - jeśli ten mężczyzna zatrzyma diament tylko dla siebie?

- Nie zatrzyma, bądź pewna - również szeptem odrzekła druga postać i pociągnęła z termosu spory łyk gorącej kawy. - Brrr - skrzywiła się, czując ciepłki smak płynu na języku. - Jak można lubić takie ohydztwo?

Trzecia postać sięgnęła po pusty już termos i bez słowa oddaliła się w stronę namiotów obozowiska Lovestone'a, by po chwili zniknąć w jednym z nich.

Nazajutrz o świcie Mackenzie zakradł się do namiotu Lovestone'a

- Co, do diabła? - Lovestone wyrwany z głębokiego snu rozejrzył się dookoła przekrwionymi od nadużywania alkoholu oczami.

- Wstawaj, Jerry. - Geolog potrząsał go za ramię. - Musimy iść.

- Eee... co...? Dokąd? - zapytał niezbyt przytomnie.

- Znalazłem diament!

To jedno krótkie zdanie wystarczyło, by poderwać Lovestone'a na nogi.

- Jak to? Gdzie? - krzyknął.

- Człowieku, ciszej - warknął na niego Mackenzie - bo cały obóz gotów się tu zlecieć.

- I co z tego? - Lovestone aż dygotał z przejęcia, ale posłusznie zniżył głos. - Po to tu są te darmozjady, nie?

- Jak by to powiedzieć... - geolog uśmiechnął się szelmowsko. - Nie znalazłem tego na twojej działce - to mówiąc, podsunął Lovestone'owi rozpostartą dłoń, na której pysznił się najprawdziwszy diament - ale spory kawałek drogi stąd. W dole rzeki. Ubierz się, zaprowadzę cię tam.

Lovestone z nabożeństwem ujął diament w drżące palce.

- Ma chyba ze trzydzieści karatów - rzekł, ważąc go w dłoni.

- Dokładnie trzydzieści dwa.

- I smakuje... - dodał zamknąwszy oczy przyłożywszy kamień do ust - jak kawior z szampanem.

Nagle popatrzył przenikliwie na Mackenziego.

- Mogłeś mi go w ogóle nie pokazać - stwierdził, zdziwiony tą oczywistą prawdą. - Więc dlaczego...?

Zapanowało krótkie milczenie, podczas którego mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Wreszcie twarz Kanadyjczyka rozpromienił szeroki uśmiech.

Niespodziewanie taki sam uśmiech pojawił się także u Lovestone'a.

- Ty draniu - powiedział. - Potrzebujesz moich pieniędzy.
- A ty moich informacji - odparł wesoło Mackenzie.

Lecz żadnemu z nich nie było w tej chwili do śmiechu. Gdyby mogli, pozabijaliby się wzajemnie.

Kiedy wyszli z namiotu, deszcz przestał padać, jedynie ciężkie chmury płynęły nad ich głowami, ale oni tego nie zauważyli, byli zbyt podnieceni możliwością odnalezienia kolejnych diamentów.

Szli brzegiem wzdłuż rzeki, turkusy chrzęściły im pod nogami.

Glupiec! - pomyślał Lovestone zerkając na idącego obok geologa. - Myśli, że mam pieniądze. To dobrze. Nie będę wyprowadzał go z błędu. Zbankrutowany biznesmen był przekonany, że nawet jeśli Kanadyjczyk zechce uzurpować sobie prawo do działki, to i tak wiceminister Rana da pierwszeństwo jemu - Jerry'emu Lovestone'owi.

W końcu stwierdził, że niepotrzebnie się martwi. Najważniejsze było to, że wygrał z Jackie Sand. Mackenzie się nie liczył, spełnił już swoją funkcję. W zasadzie teraz należałoby się go pozbyć, gdyż w przyszłości mógłby stwarzać problemy przy podziale zysków.

Lovestone dotknął swego pasa. Przez płaszcz przeciwdeszczowy wyczuł twardą rękojęść myśliwskiego noża. Uśmiechnął się. Nie zamierzał dzielić się absolutnie z nikim.

Znad rzeki zaczęła unosić się mgła.

- Daleko jeszcze? - wydyszał Lovestone.
- Już dochodzimy - odparł Mackenzie i prawie w tym samym momencie z mgły wyłonił się most. Oba jego obciążone kamieniami końce pozostawały niewidoczne zza oparów, toteż zdawało się, iż kłody unoszą się w powietrzu nad nurtem rzeki.

Lovestone nie wydawał się zachwycony perspektywą przejścia po śliskich od wilgoci kłodach, ale przecież nic nie mogło go teraz zatrzymać w drodze do fortuny. Bez ociągania się podążył na czworaka za Kanadyjczykiem.

- To tu - powiedział triumfalnie Mackenzie, gdy znaleźli się po drugiej stronie rzeki. - Tutaj znalazłem diament. - Wskazał porośnięte mchem miejsce pomiędzy kamieniami podtrzymującymi konstrukcje mostu.

Lovestone'a zatkało.

- Jak to, tutaj? - krzyknął. - Tutaj?! Chcesz mi, kurwa, wmówić, że diamenty rosną tutaj na mchu? Czemu od razu nie na drzewach?

- Nie krzycz tak - uspokajał go Mackenzie. - Sam główkowałem nad tym całą noc. I wiesz co? Doszedłem do wniosku, że ktoś musiał go tu przynieść.

Wyjął diament z kieszeni i ułożył go na ziemi, w tym samym miejscu, w którym wczoraj go znalazł.

- Widzisz? - popatrzył na Lovestone'a. - Tak to wyglądało.

- No dobra. I co dalej? - zapytał Lovestone, nie mogąc oderwać oczu od złotego kamienia pyszniącego się na połyskującym rosą mchu.

- Jak to co? - zdziwił się geolog. - Trzeba zwołać ludzi, wyrąbać las i poszukać więcej diamentów.

- Ale mówiłeś, że ktoś musiał go tu przynieść... albo zgubić... Może jeden z tych tragarzy, którzy zbudowali most...

- Człowieku - roześmiał się geolog - wiesz, ilu Nepalczyków chadza latem takimi szlakami? Jeśli nie zauważyliby diamentu przede mną, to z pewnością wdeptaliby go głęboko w ziemię.

- No to skąd, do diabła, wziął się tu ten diament?

- A nie pomyślałeś o małpach?

Faktycznie! Poszczekiwania tych wszędobylskich zwierząt były tak wszechobecne, że Lovestone zdążył już się przyzwyczać do tego stopnia, iż ich nawet nie zauważał. Teraz zaś, gdy Mackenzie mu o nich przypomniał, cały las rozbrzmiał kakofonią małpich pisków.

- W takim razie - rozpromienił się - wracaj do obozu i sprowadź wszystkich z siekierami i łopatami. Ja w tym czasie trochę się tu rozejrzę.

Zamiast wypełnić polecenie, geolog rozsiadł się wygodnie na kamieniach i zapalił papierosa. Diament nadal leżał na mchu u jego stóp.

- Najpierw porozmawiajmy o podziale zysków - rzekł z szerokim uśmiechem.

Lovestone drgnął i mimo woli sięgnął pod płaszc. W tej samej chwili po drugiej stronie rzeki rozległo się wołanie:

- Panie Mackenzie! Panie Mackenzie!

- Czego?! - wrzasnął Kanadyjczyk zerwawszy się na równe nogi.

Mgła była tak gęsta, że przeciwległy brzeg rzeki pozostawał zupełnie niewidoczny.

- Znaleźliśmy coś niedaleko obozu! - choć Nepalczyk, jeden z

wynajętych w Katmandu Szerpów, darł się z całych sił, jego głos pozostawał ledwie słyszalny w szumie rwącej rzeki, dodatkowo tłumiony ścianą mgły. - Musi pan rzucić na to okiem!

Mackenzie i Lovestone wymienili szybkie spojrzenia.

- Co to jest? - zapytał geolog.

- Jakaś skała, bardzo krucha, a w niej takie małe kamyczki! - odkrzyknął Szerp.

W tym samym momencie Lovestone poczuł na policzku przenikliwy ból. Coś ostrego odbiło się od jego twarzy i z cichym pluskiem wpadło do rzeki. Tuż obok, na wysokiej akacji siedziała małpa. Nie wrzeszczała, ani nie piszczała, za to, jak wydało się Lovestone'owi, była bardzo z siebie zadowolona.

- Idź sam - wycedził przez zęby, nie spuszczać oczu ze zwierzęcia. - Ja się tu jeszcze chwilę rozejrzę. A o zyskach porozmawiamy później.

Mackenzie z wypiekami na twarzy przemknął przez most. Dusza geologa wzięła górę nad chciwością. Zapomniał o diamentie pozostawionym na mchu. Ale cóż znaczył jeden diament, kiedy w obozie prawdopodobnie czekały inne.

- Gdzie dokładnie jest to znalezisko? - zapytał znalazłszy się po drugiej stronie rzeki. Dopiero teraz ujrzał tego, od kogo pochodził głos.

Dla Mackenziego wszyscy Szerpowie wyglądali niemal identycznie ze swymi płaskimi tybetańskimi twarzami, czasem byli wręcz nie do odróżnienia, zwłaszcza ci wynajęci przez Lovestone'a, ale przysięgłby, że nigdy wcześniej nie widział stojącego przed nim Szerpa.

- W pańskim namiocie - odparł Bahadim Norbu.

Kanadyjczyk natychmiast pognał w górę rzeki. Nawet nie spostrzegł, że Nepalczyk nie podążył za nim.

Dotarłszy do obozowiska, Mackenzie wpadł do swego namiotu jak błyskawica i... stanął jak wryty. Poślanie było niepościelone, ubrania porozrzucone, słowem, wszystko wyglądało tak, jak rano zostawił. I ani śladu skały!

- Koppel! - wrzasnął ile sił w płucach.

Po chwili chuda sylwetka wiertniczego pojawiła się u wlotu namiotu.

- Stało się coś? - zapytał. - Wrzeszczysz, jak by cię...

- Gdzie jest skała? - przerwał mu Mackenzie.

- Jaka skała? - Koppel popatrzył na niego zdziwiony. - Odbiło ci jak staremu, co?

Kanadyjczyk zmierzył go strasznym wzrokiem.

- Dawaj tu te nepalskie małpy! - krzyknął.

Kiedy wezwano czterech pracujących w obozie Szerpów, Mackenzie przyjrzał się uważnie ich twarzom. Ze zgrozą stwierdził, że żaden z Nepalczyków nie był tym, który go tu zwabił.

Gdy tylko Mackenzie zniknął we mgle, Lovestone rzucił się na kolana i zaczął grzebać w przybrzeżnym mule.

- Cholera jasna! - zaklął, znalazłszy wreszcie to, czym rzuciła w niego małpa.

Szyszka. Pieprzona sosnowa szyszka.

Ze złością cisnął znaleźnikiem w małpę. Zwierzę, choć nietrafione, uciekło z piskiem w głąb dżungli.

I wtedy Lovestone zobaczył ścieżkę.

Cały czas była za jego plecami. Jak wrota do rajów. Jak brama do Sezamu.

Pełen dziwnego przeczucia, że na końcu ścieżki odnajdzie to, czego szukał, Lovestone na drżących nogach przestąpił próg dzikiego lasu.

Gdy Mackenzie wraz z pozostałymi członkami ekipy dotarł do miejsca, w którym opuścił Lovestone'a, okazała się rzecz dziwna.

Most zniknął.

Pozostały, co prawda, okrągłe kamienie, ale po kłodach łączących oba brzegi rzeki Kosi nie pozostało śladu. Wyglądało to tak, jakby jakaś olbrzymia siła staranowała środek mostu, wysuwając kłody z przytrzymującego je stosu głazów.

Lovestone także zniknął. Mimo nawoływań, nie pojawił się na przeciwnym brzegu.

Mgła uniosła się wysoko i ściana lasu po drugiej stronie rzeki była teraz widoczna. Ścieżka w głąb dżungli wydała się Mackenzemu dużo bardziej wyraźna. Dziwne, zważywszy, że wczoraj z tego samego miejsca w ogóle jej nie zauważył.

Pełen najgorszych obaw geolog przyłożył do oczu lornetkę i włosy stanęły mu dęba na głowie.

- Koppel, wezwij helikopter ratunkowy - odezwał się wreszcie. - Stary ma kłopoty.

Ścieżka wyglądała na świeżo wyrąbaną, jak gdyby ktoś dopiero co oczyścił ją z lian i bambusów.

A przecież ani on, ani Lovestone nie mieli ze sobą siekier.

Lovestone nie szedł już, ale biegł, zrazu powoli, potem coraz szybciej. Coś, jak żelazna obręcz, ścisnęło mu piersi, ale nie zwracał na to uwagi. Nie miał czasu, spieszył się.

Znalazł już trzy.

Trzy diamenty, nie tak duże, jak ten znad rzeki, ale za to najprawdziwsze pod słońcem.

Ścisnął je w dłoni, nieprzerwanie rozglądając się za następnymi. Ten drań Mackenzie miał cholerną rację mówiąc, że to małpy rozrzucają je po dżungli. A skoro tak, diamenty musiały leżeć gdzieś na wierzchu, może nawet całymi kupkami.

Jeśli małpy mogły je znaleźć - pomyślał, jeszcze bardziej przyspieszając kroku - to ja także.

Nawet nie zauważył, kiedy las zaczął rzednąć. Grube kasztanowce i palmy ustępowały teraz miejsca bambusom i akacjom. Nie ułatwiało to bynajmniej marszu, jako że w tym miejscu kończyła się ścieżka wyrębana nocą przez Bahadima Norbu.

Lovestone, który ani przez moment nie zastanowił się nad powstaniem ścieżki, szedł teraz bardzo powoli, wściekając się na cały świat, gdyż wysoka po pas trawa i kolczaste byliny plątały mu nogi. I jak w takiej gęstwinie dostrzec diamenty?

Nie miał pojęcia, jak długo szedł; w dżungli czas nabiera innego wymiaru. Mogła minąć godzina, lecz równie dobrze i trzy godziny. Z całą pewnością jednak teren wyraźnie wznosił się pod górę.

Wreszcie Lovestone dotarł do sporej, spowitej mgłą polany. Przeczesał ją pobieżnie, lecz nie znalazł diamentów. Klucie w klatce piersiowej nasilało się z każdym krokiem. Chcąc nie chcąc, musiał zrezygnować z dalszego marszu. Postanowił, że powróci tu jutro z resztą ekipy.

Usiadł pod olbrzymim klonem, by chwilę odpocząć przed drogą powrotną.

I wtedy to usłyszał. Coś, ni to szept, ni to skrzek, nawoływało jego imię.

- Jerry... Jeeerrryyyyyy...

Najpierw pomyślał, że mu się wydawało, ale po chwili szept się powtórzył.

- Jeeerrryyyyyy...

Lovestone zerwał się z mchu i wyżejając wzrok, próbował dostrzec coś w mlecznobiałej mgle. I rzeczywiście, jakiś ciemny, nieokreślony kształt

zamajaczył kilkanaście kroków przed nim. Choć Lovestone nie należał do ludzi bojaźliwych, poczuł, jak ciarki przeszły mu od stóp do głów. Poczuł się nieswojo - przed chwilą tamtędy przechodził, a nic, żadnego krzewu, czy skały o takim kształcie nie spotkał.

- Chodź, Jerryyyy...

Nie do wiary, ten głos go przyzywał!

Lovestone przestąpił dwa kroki do przodu. Nie był pewien, czy głos należał do mężczyzny, czy kobiety. Ale bez wątpienia był to głos ludzki. A na ludzi Jerry Lovestone miał dość skuteczne lekarstwo.

Pospiesznie wymacał pod płaszczem twarde zgrubienie. Nóż ciągle tam był.

Nie było natomiast diamentów! Lovestone zerknął pod drzewo; musiał je zgubić zrywając się z miejsca.

Znów rozległo się wołanie.

Nieważne - pomyślał, później ich poszukam.

Wyjął nóż i ostrożnie ruszył w stronę głosu. Jeszcze kilka kroków i z tajemniczego kształtu zaczęła wyłaniać się ludzka sylwetka. Nieruchoma pośtać siedząca na... wózku inwalidzkim!

Widok samego diabła nie zrobiłby na Lovestone'ie takiego wrażenia. Wytrzeszczył z przerażenia oczy, a nóż wypadł mu z ręki.

- Tttto nniemożliwe - wychrypiał. - To nie możesz być ty...

A jednak była. Siedziała przed nim tak samo, jak przez całe trzynaście lat w Trenton i tak samo wbijała w niego nieme, oskarżycielskie spojrzenie.

- To nie możesz być ty! - powtórzył z krzykiem.

Setki małych zawtórowały mu z zarośli przeraźliwym piskiem.

Lovestone czuł, że za moment zwariuje. Mógłby podbiec do niej i udusić ją gołymi rękami... Ale przecież to było widmo... Nancy została porwana dwa lata temu... Co by robiła w Himalajach? Najwyraźniej wyobraźnia płatała mu figle.

Roześmiał się histerycznie. Musiał wziąć za Nancy skałę, albo jakiś głaz. A mgła i przemęczenie dokonały reszty.

Przetarł trzęsącymi się dłońmi oczy i już miał podejść bliżej, gdy nagle snop światła padł z góry wprost na siedzącą przed nim kobietę - jedna z tych rzadkich w porze monsunowej chwil, kiedy zabłąkany promień słońca przebijają się przez powłokę z chmur.

Nancy Coleman nie mogła marzyć o lepszym wejściu. Wirujące w słońcu błękitno-różowe języki mgły, srebrno-złoto połyskujące krople rosy na

paprociach, a pośrodku ona, niczym bogini zstępująca z niebios, bogini, która nareszcie położy kres złu.

- Jerry - odezwała się, wstając. Jej serce waliło jak oszalałe. - To ja. - Tylko tyle zdołała wykrztusić, nim słowa uwięzły jej w gardle.

Oto stał przed nią człowiek, który zrujnował jej życie - zabił jej męża i odebrał syna, a ją samą skazał na trzynaście lat nieprzerwanego cierpienia. Trzynaście lat niegasnącej nienawiści.

Co miała teraz powiedzieć? Że czuje do niego żal? Że przestała być bezbronną rosnącą rośliną? O nie! Żadne w świecie słowa nie były w stanie oddać gorczy, jaką nosiła w sercu. Nikt nie mógł zwrócić jej straconych lat. Nie było sensu dyskutować o tym z Lovestonem.

Nancy mocno zacisnęła dłonie na kawałku stali i wyciągnęła ku Lovestonowi obie ręce.

Mężczyzna cofnął się o krok. Jego umysł nie był w stanie pojąć tego, co rejestrowały oczy. Działy się tu rzeczy niemożliwe!

Nancy była sparaliżowana. Nieuleczalnie!

Pokręcił parę razy głową, jakby chciał zaprzeczyć temu, co widział, odwrócił się gwałtownie i z szaleńczym wrzaskiem pognął przed siebie, w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybył. W tym samym momencie dwie inne postacie podniosły się z trawy i natychmiast przyskoczyły do Nancy.

- Rzuć to! - wrzasnęła na nią Jackie Sand.

Bahadim Norbu jednym szarpnięciem wyrwał Nancy rewolwer.

- On nie jest tego wart - powiedziała Jackie, tuląc roztrzęsioną kobietę. - Miałś go tylko wystraszyć. Nie warto mieć rąk splamionych zabójstwem.

- Ten łotr - łkała Nancy - nie powinien żyć.

- Nie będzie - obiecała Jackie. - Dżungla mu na to nie pozwoli.

Nepalczyk zebrał leżące pod klonem diamenty, jakie zostawili na ścieżce na przynętę. Jackie pomogła mu zarzucić wózek na plecy, sama zaś objęła ramieniem półprzytomną wciąż Nancy. Deszcz znowu rozpadał się na dobre.

- Zbierajmy się stąd - rzekła. - Ludzie Lovestone'a zaraz tu będą.

- Nie tak znowu zaraz, panienko Saran - uśmiechnął się Norbu. - Bez mostu przeprawa przez rzekę zajmie im trochę czasu.

Jackie nie śmiała go pytać, jakiej nadprzyrodzonej siły użył, by zniszczyć bądź co bądź solidną konstrukcję. Choć wychowała się pośród tych gór

i lasów, niektóre tajemnice Szerpów miały na zawsze pozostać dla niej nieprzeniknione.

Godzinę później na polanę przybyła pierwsza ekipa ratunkowa, która dostała się na drugi brzeg rzeki Kosi dzięki pontonom dostarczonym przez helikopter.

Przewodnikiem ekipy był Nepalczyk, jeden z Szerpów zatrudnionych w obozie Lovestone'a. Jako doświadczony wędrowiec, bez trudu zauważył ślady kół wózka inwalidzkiego odcisnięte w mokrej ściółce lasu. Poznał też, w jakich kierunkach rozeszli się ludzie po spotkaniu na polanie - jedna osoba na północ i co najmniej dwie osoby na północny zachód.

Tropy te, dla niego wyraźne, dla innych były zupełnie nie do odgadnięcia.

- W tym miejscu - odezwał się do innych - pan Lovestone skręcił na wschód.

Wszyscy podążyli potulnie we wskazanym kierunku, nieświadomi, że Szerp wprowadził ich w błąd. Ale on przecież nie mógł powiedzieć im prawdy. Nazywał się bowiem Kabir Norbu i był starszym bratem Bahadima Norbu.

Lovestone nie miał już siły biec. Już nie stalowa obręcz, a rozpalone do białości żelazne szczytce ścisnęły go za samo serce. Szedł teraz chwiejnie, potykając się przy każdym kroku. Zresztą nie miało znaczenia czy szedł, czy też biegł.

Oni ciągle byli tuż za nim.

Trupioblade twarze Ewy i Johna Sandów. Ich zaciśnięte usta i zakrzywione szpony zamiast palców. I krew wypływająca nieprzerwanie z podeźniętych gardeł.

Od dwóch dni próbował zgubić tę przerażającą pogoń. Kilka razy nawet mu się to udało. Lecz wówczas pojawiał się Donald Coleman ze swym błagalnym spojrzeniem i ciałem pokrytym pękającymi od ognia pęcherzami.

Bał się usiąść, bo wtedy ogarniała go niespokojna drzemka. Wówczas śniła mu się jego mała córeczka, jak bawi się z nim w parku, jak w pewnej chwili rozpina jego rozporek i bierze do ust jego członka. Jak członek zamienia się nieoczekiwanie w grubego jadowitego węża... Budził się wtedy i szedł dalej.

Niekiedy zdawało się Lovestone'owi, że jego prześladowcy go osiągną. Skamlał wtedy jak pies, bo krzyżeć już nie dał rady. Ale oni tylko za nim szli. Milcząc i patrząc.

A ich spojrzeń było jeszcze gorsze, niż gdyby go zabili.

Tymczasem teren, który od dwóch dni wznosił się łagodnie ku górze, opadał teraz dość stromo w dół, a dżungla na powrót stawała się prawie niemożliwa do przebycia.

Wieczorem drugiego dnia marszu gnany strachem i wyrzutami sumienia Lovestone dotarł do niewielkiej rzeczki bez nazwy - lewego dopływu Kosi. Ledwie jego stopy stanęły na piaszczystym brzegu, padł nieprzytomny na ziemię.

Lovestone otworzył oczy dopiero koło południa następnego dnia, trzeciego od opuszczenia obozu. Był zziębnięty i przemoczony do suchej nitki. W dodatku stopy miał tak opuchnięte, że z trudem mieściły się w kaloszach i tak poranione, że z nad gumowych cholewek wyciekała krew.

Cholera! - Usiadł na piachu i rozejrzył się półprzytomnym wzrokiem dookoła. - Chyba zablądziłem.

Nie pamiętał, ile czasu szedł, ani jak długą drogę pokonał. Zdawało mu się, że rozstał się z Mackenzie'm zaledwie kilka godzin temu. Musiał się zdrzemnąć i wtedy przyśniły mu się te zjawy...

Nagle oprzytomniał zupełnie.

- Moje diamenty - szepnął i zaczął nerwowo szukać wokół siebie trzech kamieni.

Po chwili odetchnął z ulgą. Były tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Jeden, drugi, trzeci...

Ale co to? Cztery i piąty leżały nieco dalej, a tuż za nimi następne... Kilkanaście malutkich kamyczków.

Mój Boże! - Lovestone nie wierzył własnym oczom. - Znalazłem!

Roześmiał się na całe gardło.

- Znalazłem!!

Jak zwykle zawtórowały mu małpy.

Wstał i zataczając się na słabych nogach zaczął zgarniać diamenty do kupy. Było ich tu dużo więcej. Leżały w mokrym piasku na brzegu rzeki, ale były też i w wodzie. Dno płaskiego koryta zdawało się być nimi usiane.

Wygrałem - cieszył się jak dziecko. - Teraz będę mógł zniszczyć Jackie Sand i wszystkich, którzy jej pomagali. Nareszcie miał za co odbudować dawne imperium finansowe, jakim była New York Oil.

Nie lada problem stanowiło, co prawda, wydostanie się z dżungli, ale Lovestone i na to znalazł radę. Będę szedł z prądem rzeki - postanowił. - Mam co pić, będę łowił ryby. Prędzej czy później dotrę do jakiejś osady.

Teraz był przecież bogaty. Miał diamenty. Mnóstwo diamentów.

To chichocząc, to śmiejąc się głośno, Lovestone uzbierał już kilkadziesiąt co większych kamieni, po czym upchał je w kieszeni płaszcz. Ale to ciągle było za mało. Cóż znaczyło kilkadziesiąt diamentów, podczas gdy tu leżały ich setki, a może tysiące... Mimo całej swej pychy doskonale wiedział, że nigdy nie uda mu się trafić z powrotem w to samo miejsce.

Nie zważając na deszcz i zimno, zdjął płaszcz i rozłożył go na mokrym piachu. Teraz miał coś w rodzaju tobołka. I to całkiem sporego. Wystarczyło tylko napelnić go diamentami i...

Potężny ryk rozległ się nagle za plecami Lovestone'a. Mężczyzna odwrócił się i zastygł z przerażenia, patrząc prosto w ślepią potężnej, blisko półtonowej bestii.

Serce Lovestone'a przestało bić na moment przed tym, jak tygrys bengalski zatopił w gardle ofiary swe ostre jak szable zęby.

Dziesięć dni później w leśnej chacie Jackie Sand odezwał się telefon. Dzwonił James Potter, dyrektor filii Sand Corporation w Katmandu. Wiadomość, jaką przekazał, wywołała w Jackie dziwne przygnębienie.

Dziewczyna wyszła przed dom, gdzie Nancy Coleman uczyła chodzić małą Evę.

- To już, Nancy - powiedziała, biorąc córeczkę na rękę.

Nancy milczała przez moment, patrząc tępo w stronę gór. Choć wyglądała spokojnie, widać było, jak krew zaczęła szybciej pulsować w jej skroniach.

- Tak jak obiecałaś - odezwała się w końcu słabym głosem. - Jak to się stało?

- Tygrys...

- Tak jak obiecałaś - powtórzyła.

- Czy... - Jackie zawahała się - czy dzięki temu czujesz się lepiej?

- Tak - powiedziała jeszcze ciszej i odeszła w kierunku pobliskiego zagajnika.

Jackie wiedziała, że to nieprawda, ale nie miała do Nancy żalu o to, że ją

okłamała, śmierć Lovestone'a niczego przecież nie rozwiązywała, nie naprawiała krzywd, nie ożywiła umarłych. Była jedynie złudnym cieniem sprawiedliwości dla tych, którym przyszło się żyć pod ciężarem tych krzywd.

Ludzie ci nigdy nie zdołają zapomnieć.

Ni wybaczyć.

Barbara Wiedermann siedziała zamyślona w ogrodzie swojej willi nad jeziorem Genewskim. Przed nią na stoliku leżała poranna gazeta.

Kobieta nawet nie zauważyła, kiedy wyrosły przed nią bliźniaczki.

- Zobacz, babciu - zaszczebiotała Joan - znalazłyśmy dżdżownicę. Będziemy się nią opiekować.

Barbara z lekkim obrzydzeniem zerknęła na zaciśnięte w dziecięcej dłoni stworzenie.

- Jest śliczna - sama nie wierzyła, że to powiedziała - ale sądzę, że powinniście odnieść ją tam, gdzie ją znalazłyście. Jej mamusia na pewno za nią tęskni.

Słyszac to, Janet zawróciła na pięcie i pobiegła w stronę świeżo skopanych rabat różanych. Wróciła już po sekundzie, niosąc dumnie inną dżdżownicę.

- Nie martw się - pocieszyła Barbarę. - Znalazłam również jej mamusię.

Obie dziewczynki pognały w wesołych podskokach do domu. Barbara posłała za nimi pełen miłości uśmiech. Jakże ona kochała te dzieci...

Wzrok Barbary padł na stolik. Kobieta spoważniała. Wzięła do ręki gazetę i jeszcze raz przeczytała zamieszczony tam tłustym drukiem artykuł:

„Ciało zaginionego przed dwoma tygodniami w Nepalu amerykańskiego biznesmena, Jerry'ego Lovestone'a, byłego męża właścicielki firmy Wiedermann Hotels, zostało wczoraj odnalezione przez grupę włoskich turystów przy jednym ze szlaków łączących Nepal z chińskim Tybetem. Znaczne uszkodzenia ciała ofiary wskazują na tygrysa jako sprawcę zbrodni. Ustalono, że bestia ciągnęła ofiarę przez zwrotnikową dżunglę wiele mil, zanim porzuciła zwłoki. Policja nepalska wykluczyła ingerencję osób trzecich...”

- Był do połowy zjedzony - powiedziała jej wczoraj przez telefon Jackie Sand.

Wybacz mi, Boże - pomyślała Barbara, odkładając gazetę na stolik. - Nawet po jego śmierci nie mogę przestać go nienawidzić.

Rozdział XXIX

Wiosną roku dwutysięcznego pojawił się w Paryżu pewien mężczyzna. Z ogorzałą od wiatru twarzą, wyrobioną w górskich wędrówkach sylwetką, w niczym nie przypominał wymuskanego finansisty z Piątej Alei, jakim był kiedyś.

Nicholas Coleman od niemal dwóch lat poszukiwał matki. Zjeździł całe chyba Alpy. Podróż rozpoczął we Francji, od miasteczka Albertville, skąd nadszedł list od matki. Był we Włoszech, Szwajcarii, Austrii, odwiedzał małe wsie, nie omijał kurortów wypoczynkowych i prywatnych klinik, zaglądał nawet do szalasów górskich pasterzy. Wszędzie jednak szukał bezskutecznie. Nikt nigdy nie widział kobiety wyprostowanej dumnie na fotografii.

Teraz Coleman był znowu we Francji. Zatrzymał się w paryskim Ritzu. Potrzebował czasu, by zastanowić się, co dalej. Nie mógł przecież błąkać się po Alpach w nieskończoność. Z drugiej jednak strony dla matki zrobiłby wszystko...

Już drugiego dnia pobytu w hotelu podjął decyzję. Była to decyzja świadoma i w pełni przemyślana. Wróci do Nowego Jorku, zatrudni się w jakiejś firmie i będzie czekał.

- Wybacz, mamó - rzekł sam do siebie, pakując swój niewielki dobytek do jednej tylko walizki. - Szukałem cię naprawdę wszędzie.

Wieczorem zszedł na dół do restauracji - po raz pierwszy od swego pobytu tutaj. Dotąd jadał samotnie w hotelowym pokoju. Mimo iż był to Paryż - europejska stolica kultury i sztuki, wolał prowadzić życie samotnika.

Kiedy tylko Nick przekroczył próg restauracji, natychmiast pożałował, że w ogóle tu przychodził.

Przy jednym ze stolików siedział arabski szejek Sa'l'D Al-Ashmawy. Towarzysząca mu kobieta odwrócona była tyłem do drzwi, ale jej długie

kasztanowe włosy zwijające się w gęste loki Nick rozpoznałby nawet w piekle.

Jackie!

Natychmiast zawrócił, szybkim krokiem podszedł do wind i nacisnął guzik. Winda podjechała, otworzyły się drzwi i w tym samym momencie czyjaś dłoń spoczęła na jego barku.

- Cóż to, Nick - białe zęby Sal'Da błysnęły w szerokim uśmiechu - stronisz od starych przyjaciół?

- Ja... - Nick obracał się bardzo powoli, a gdy dostrzegł rąbek sukni należącej do stojącej obok Sal'Da kobiety, pociemniało mu w oczach. Nie był przygotowany na to spotkanie. - Ja... - powtórzył - nie zauważyłem cię... Was - poprawił się, ani na chwilę nie odrywając oczu od podłogi.

Jackie tu była! Stała obok, milcząca i wyniosła, zupełnie, jakby zapominała o ich wspólnej przeszłości. A jednak, nie wiedzieć czemu, Nick bał się spojrzeć jej w twarz.

- Poznaj moją narzeczoną - powiedział Arab; Nick drgnął pod wpływem tych słów. - Księżniczka Kalika...

Jedno błyskawiczne spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, iż to nie Jackie. Ta była dużo młodsza, mogła mieć nie więcej niż siedemnaście lat, miała szerokie krzaczaste brwi i trochę zadarty nos, co jednak w niczym nie ujmowało jej urody.

- ...A to mój stary znajomy Nicholas Coleman - szejka zakończył prezentację.

- Mmmiło mi - wyjąkał Nick, stojąc przed nimi na miękkich jak wata nogach. Ale już po chwili odzyskał zimną krew. - Więc jednak księżniczka? - popatrzył na szejka z ironią. - Tamta ci nie pasowała, co?

Czując nadciągającą burzę, Sal'D rzekł do narzeczonej:

- Wróć do stolika, Kaliko. Niebawem do ciebie dołączę. My tymczasem porozmawiamy sobie z panem Colemanem bardzo, bardzo poważnie.

Kiedy księżniczka się oddaliła, Sal'D wycedził przez zęby:

- Wyjaśnij mi, proszę, o co ci chodzi.

- Nie rozumiesz? - roześmiał się Nick. - Wolisz księżniczki, tak? Jackie może i była bogata, akurat na tyle, by wziąć ją do łóżka, ale niestety zabrakło jej tytułu. Ty, taki džentelmen, zostawiłeś ciężarną kobietę, bo nie była księżniczką!

Arab poszarzał na twarzy.

- Nie masz nic przeciwko - zaproponował cicho - byśmy dokończyli resztę rozmowy w toalecie?

Nick także zauważył, że swym podniesionym głosem zwracał uwagę hotelowych gości.

- Jakim prawem - naskoczył na niego Sal'D, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi toalety - śmiesz stawiać mi takie zarzuty?!

- Jackie była moja - krzyknął Nick - zanim nie wtargnąłeś między nas! Zwyczajnie ją omamiłeś! A potem, gdy zrobiłeś jej dziecko, nie chciałeś mieć z nią nic wspólnego. Czy tak postępuje prawdziwy mężczyzna?!

Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego Arab ważył pełne gorczy słowa Colemana.

- Jej to oczywiście nie wystarczyło - kontynuował Nick tonem pełnym drwiny i szyderstwa, ale już nieco spokojniejszym. - Prosto z twoich ramion przybiegła do mnie i próbowała mi wmówić, że dziecko jest moje! Postąpiła jak dziwka i...

Nie dokończył, ponieważ zaciśnięta pięść Araba trafiła go prosto w środek twarzy.

Jak rażony gromem, Nick zwałił się pomiędzy pisuary. Z rozbitego nosa pociekła krew, tworząc na włoskich kafelkach dość sporą plamę.

- Wybaczę ci - odezwał się Sald, dysząc z emocji - że obraziłeś mnie. Ale przynigdy nie zniosę, jeśli będziesz obrażał ją! Jackie to świętość! Nigdy nie pozwoliła mi się tknąć, choć, na Allacha, próbowałem nie raz. Z całego serca pragnąłem, by, choć brzemienna, została moją żoną. Ale ona wybrała ciebie, na nieszczęście swoje i waszego dziecka. Słyszysz, Coleman? Szczęściarz z ciebie. Dziecko jest twoje! - To powiedziawszy, Arab wyszedł z toalety, pozostawiając leżącego na podłodze Nicka, któremu palący wstyd odebrał wszystkie siły.

Coleman odważył się wyjść z toalety dopiero po kwadransie. Niezauważony przez nikogo przemknął chyłkiem do swego apartamentu. Tam opatrzył rozbity nos, zmienił rezerwacje na samolot, skreślił na kartce kilka słów, po czym wezwał boja hotelowego.

- W restauracji siedzi pan Al-Ashmawy, towarzyszy mu piękna kobieta. Oddaj mu to.

Chwilę później Arab otrzymał list: „Twoje jakże celne uderzenie zerwało mi klapki z oczu. N.C. P.S. Dziękuję, przyjacielu.”

Al-Ashmawy uśmiechnął się smutno. Pozdrów ją ode mnie - pomyślał.

Coleman był już w drodze na lotnisko.

- Niestety, z przyczyn technicznych pański lot do Indii opóźni się około godziny - poinformowała Nicka urzędniczka w hali odlotów, wpatrując się bezczelnie w jego zalepiony plastrem nos.

- Nic nie szkodzi - odparł, wzruszywszy ramionami. I tak roztrwonil już tyle czasu, cóż zatem znaczyła jedna godzina? - Zdążę jeszcze wypić kawę - dorzucił wesoło i ruszył do baru.

Mimo pulsującego bólu w rozbitym nosie, rozsadzała go euforia. Nareszcie miał dokąd jechać! Jackie nigdy go nie zdradziła, a w dodatku urodziła mu dziecko... Dziecko! Nick zastanowił się, jakie ono jest. Ile mogło mieć miesięcy? Pamiętał jak dziś te nudności i zawroty głowy u Jackie, gdy wybierali się na konne przejażdżki. Pamiętał, jak strasznie wychudła i zmarniała. Ona wtedy była w ciąży... A on, głupiec, posądził ją o zdradę!

Oby tylko mi wybaczyła - pomyślał.

Nagle wzrok Nicka przykuł stojący u wejścia do baru starszy mężczyzna w mocno zniszczonym płaszczu, pogniecionym kapeluszu i z plastikowym kubkiem w dłoni. Zza okularów w drucianej oprawie spoglądały zamyślane oczy; reszta twarzy tonęła w bujnym siwym zaroście, którego właściciel najwyraźniej nie strzygł od miesięcy.

Oto Paryż - pomyślał Nick z ironią - miasto kultury i sztuki, a jednocześnie miasto nędzy i ubóstwa.

Ogarnięty współczuciem sięgnął do kieszeni kurtki, a wyszperawszy portfel, wyjął z niego banknot dwudziestodolarowy. Zdecydowanym krokiem podszedł do żebrzącego mężczyzny i wrzucił pieniądze do kubka, po czym nie czekając na podziękowanie, wszedł do baru.

Gdyby się odwrócił, ujrzałby ogromny wyraz zdumienia w oczach za szklami w drucianej oprawie.

- Co dla pana? - zapytał uprzejmym tonem barman, gdy Nick rozsiadł się na barowym stołku.

- Poproszę małą kawę - odparł i zaraz pomyślał: Jackie nie znosiła kawy. Ciekawe dlaczego?

W tej samej chwili poczuł, że ktoś za nim stoi. Odwrócił się gwałtownie i z wrażenia omal nie spadł z taboretu. To był mężczyzna w zniszczonym płaszczu i z plastikowym kubkiem w dłoni.

Mężczyzna zanurzył palce w kubku i Nick w największym osłupieniu ujrzał tak szczerze ofiarowany przez siebie banknot - ociekał kawą.

- To chyba pańskie - powiedział nieznajomy kładąc banknot na ladzie baru.

Barman postawił przed Nickiem kawę. Była w takim samym plastikowym kubku.

- Ja... - Nickowi kompletnie odjęło mowę. - Przepraszam... Ja...

- Nie szkodzi - mężczyzna roześmiał się rubasznie. - Jestem przyzwyczajony do tego, że ludzie często biorą mnie za żebraka. Pozwoli pan, że się dosiadę. - Nie czekając na zaproszenie usiadł obok Nicka. Najwidoczniej nie żywił do niego urazy. - Nazywam się Pierre Gilbert.

Gilbert! Nick zaczerwienił się ze wstydu po czubki uszu. Słyszał to nazwisko niejednokrotnie podczas swej wędrówki po Alpach. Gilbert - światowej sławy antropolog, profesor jednego z uniwersytetów paryskich, zapalony alpinista i himalaista, zdobywca wszystkich ośmiotysięczników.

I oto Pierre Gilbert siedział teraz obok niego. A ja wziąłem go za żebraka - pomyślał ze zgrozą Nick.

- Jestem Nicholas Coleman - przedstawił się. - Właśnie czekam na samolot do Indii, stamtąd lecę do Katmandu.

- O - żywo zainteresował się profesor - czyżbym miał przyjemność z entuzjastą wspinaczki wysokogórskiej?

- Nie - jeszcze bardziej zawstydził się Nick. - Lecę do żony i dziecka.

- Chłopczyk czy dziewczynka?

Nick spuścił wzrok, śmieszne, nawet nie wiedział, czy ma syna, czy córkę.

- Chłopczyk - strzelił na oślep.

Po chwili milczenia Gilbert rzekł z nostalgią:

- Nepal to przepiękny kraj, byłem tam nie raz. Znam Himalaje jak własną kieszeń, a mimo to za każdym razem fascynują mnie od nowa. Toteż zazdroszczę panu tej podróży. Ja niestety lecę zaledwie do Rzymu. Mam tam wygłosić nudną prelekcję...

Gawędzili ze sobą jeszcze przez pół godziny, dopóki głos z megafonu nie zapowiedział lotu do Rzymu.

- Na mnie już pora - Gilbert podał dłoń Colemanowi. - Miło się z panem rozmawiało.

- Do widzenia, profesorze.

Gdy Gilbert opuszczał stanowisko odpraw celnych, usłyszał rozpaczliwe wołanie:

- Profesorze Gilbert! Profesorze Gilbert!

Obejrzał się. Przez halę odpraw pędził w jego stronę poznany w barze młody Amerykanin z zaklejonym plastrem nosem, wymachując kartką papieru.

- Profesorze Gilbert - zziąjany Nick dopadł Francuza - pomyślałem, że może pan będzie umiał mi pomóc.

- Co się stało, panie Coleman?

- Pan zna się na górach.... - Nick wyciągnął w stronę profesora poźółkłą i wymiętą od ciągłego pokazywania fotografię Nancy Coleman. - Może pan będzie wiedział, co to za góry w tle?

- Pan raczy żartować? - Gilbert popatrzył na niego podejrzliwie. - Przecież to Mount Everest, najwyższy szczyt świata.

Nickowi świat zawirował przed oczami.

- Jest pan pewien? - wychrypiał, blednąc nagle.

- Młody człowieku - odparł poirytowany profesor - może i wyglądam na włóczęgę, ale dowiedz się pan, że wierzchołek Mount Everest rozpoznam zawsze, nawet w nocy, choćby nie wiem, z której strony go sfotografowano. I właśnie na tej fotografii - uderzył palcem w zdjęcie Nancy - widnieje Mount Everest. - To powiedziawszy, profesor oddalił się.

Nick stał osłupiały jeszcze przez chwilę, po czym ryknął niepohamowanym śmiechem. Zrozumiał, jak okrutnie zadrwiła z niego matka, posyłając mu list z Francji. Jak było do przewidzenia, nie zastanowił się głębiej nad treścią fotografii, tylko pognał jak oszalały w Alpy i... zmarnował na poszukiwania dwa lata.

Tak samo, jak niegdyś, szesnaście lat temu, przyjął za pewnik słowa doktora Brackleya z kliniki w Trenton, zbyt łatwo godząc się z nieuleczalną chorobą Nancy Coleman.

Tymczasem Nancy ani nie była nieuleczalnie chora, ani też nie było jej w Alpach.

- Nigdy nie poświęciłem ci wystarczająco dużo czasu, mamó - szepnął do siebie. - Zasłużyłem na to, co mnie teraz spotyka.

Zapowiedziano opóźniony lot do Indii. Nick zajął miejsce w samolocie.

Nie czuł do matki żalu. Dziękował Opatrzności, że dała mu dziś spotkać się z arabskim szejkiem, a teraz także z francuskim himalaistą.

Gdy jeszcze dwie godziny temu snuł plany, by osiąść na stałe w Nowym Jorku, teraz leciał do nieznanego Nepalu, w najwyższe góry świata, aby odnaleźć tam dwie, nie! - trzy najdroższe osoby.

I niech mnie - pomyślał szczęśliwy, gdy samolot podrywał się do lotu - jeśli Jackie Sand nie miała nic wspólnego ze zniknięciem mojej mamy!

Rozdział XXX

Jackie Sand nadal mieszkała wraz z córką i Nancy. Leśna chata nie była już tą samą wątłą konstrukcją z gliny i bambusa, w której niegdyś mieszkała Saran Rai. Teraz ściany domu były zrobione z mocnych sosnowych bali. Przybyło też izb - rozbudowano parter i wzniesiono obszerne poddasze z czterema sypialniami. Dwie kobiety ze wsi przychodziły sprzątać i gotować. Opiekę nad Evą bezspornie sprawowała Nancy.

Za domem ciągnął się malowniczy ogród, dalej zaś Jackie kazała wybudować stajnię - nic wielkiego - ot, na jakieś sześć do dziesięciu koni.

- Nie zamierzasz chyba - zażartował Arthur Scott, gdy przyjechał tu zimą z wizytą - zrobić konkurencji Tony'emu Bearsowi?

- Ależ skąd! - roześmiała się wówczas. - Po prostu nie potrafię żyć bez koni.

- Więc... - Arthur spoważniał nagle - nie wrócisz już do nas?

Doskonale wiedziała, co miał na myśli. Lovestone nie żył, rachunki zostały rozliczone, a ona była właścicielką olbrzymiej międzynarodowej firmy, co więcej - miała dziecko, które potrzebowało wykształcenia, rówieśników i poznania świata. Potrzebowało też ojca, ale o tym Jackie Sand starała się za wszelką cenę nie myśleć.

- Oczywiście, że wrócę, Arthurze - odparła. - Za rok, może dwa, tego jeszcze nie wiem. Ale wrócę na pewno.

Tak było zimą.

Teraz zaczynał się maj i ani Jackie, ani Nancy nawet nie myślały o wyjeździe.

Często wędrowały konno po okolicy, Jackie sadzała wówczas córeczkę przed sobą w siodle i z wielkim przejęciem opowiadała jej o życiu górskich zwierząt i roślin. Te chwile dla nich obu należały do najszcześniejszych.

Od miesiąca Nancy coraz rzadziej towarzyszyła im w tych wyprawach, aż wreszcie przestała zupełnie.

Martwiło to Jackie, bo lubiła te wspólne wędrówki, poza tym niepokoiło ją, że od pewnego czasu Nancy zupełnie zamknęła się w sobie. Nie można było z nią porozmawiać jak dawniej, z dnia na dzień stawała się coraz bardziej smutna, gasła w niej chęć do życia. Nietrudno było zgadnąć, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest tęsknota za synem.

- Dlaczego po prostu do niego nie pojedziesz? - zapytała ją któregoś dnia Jackie przy kolacji.

Nie mogła znieść cierpienia w twarzy kobiety, cierpienia, które Nancy sama sobie zadawała.

- Nie zrozum mnie źle - ciągnęła łagodnie Jackie - jest mi z tobą naprawdę dobrze, ale... czy nie dość się już naczekałaś? Trzyście lat powinno wystarczyć, ty dołożyłaś sobie jeszcze trzy, tylko czy warto?

Nancy posmutniała jeszcze bardziej.

- Masz rację - powiedziała. - Jutro zacznę się pakować.

Odłożyła sztucce obok talerza z nietkniętą kolacją i poszła na górę do sypialni.

Jackie wiedziała, że wraz z Nancy odejdzie wszelka nadzieja na odzyskanie Nicka.

Z daleka klasztor Tsu-An wyglądał jak ruiny jakiegoś zamczyska, jednak gdy Nick znalazł się przed bramą, przekonał się, że starożytne mury są całkiem solidne i przetrwają jeszcze wiele pokoleń.

Nick, prowadzony przez jednego z mnichów, szedł klasztornym dziedzińcem, rozglądając się ciekawie dookoła. Wszystko wydawało mu się niesamowite - wieczny ogień tryskający ze zbocza góry, parujące gorące źródła w dole doliny, sam klasztor, wreszcie mnisi z ogolonymi głowami, ubrani w brązowe habit.

Chociaż pięć dni podróżował konno z Katmandu przez lasy i przełęcze pełnego egzotyki kraju, to jednak tu, w Tsu-An, odniósł wrażenie, jakby dotknął zupełnie innej epoki. Dopiero tu owa egzotyka do niego dotarła.

I właśnie w tej egzotyce, w tym jakże odmiennym dla nowojorczyka świecie, miał nadzieję odnaleźć to, co przez własną głupotę utracił.

Prowadzony przez mroczne korytarze klasztoru Nick dotarł do sali narad. W pomieszczeniu nie było okien, tylko wloty trzech korytarzy, toteż

mimo iż na dworze było samo południe, panował tu półmrok. Na środku kamiennej posadzki stało coś w rodzaju stołu, na którym ustawiono wielką zapaloną świecę - jedyne źródło światła, nie licząc małej świeczki w ręku mnicha, który tu przyszedł z Nickiem.

Ściany sali narad pokryte były barwnymi malowidłami, które w blasku ognia zdawały się tętnić własnym życiem. Przypatrując się im, Nick nawet nie spostrzegł, kiedy mnich się oddalił.

Nagle z korytarza naprzeciwko wyszła inna postać - także mnich, tyle że niezwykle wysoki jak na Tybetańczyka; nawet Nick musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć mu w oczy.

Z twarzy Jon-Te emanowała sama dobroć. Więc to jest ów człowiek, którego wybrała Saran - pomyślał. - Szkoda, że ludzka zawiść okazała się silniejsza od ich miłości.

- Szukam kogoś - odezwał się Nick pełnym szacunku głosem.

- Szukasz kogoś? - powtórzył Jon-Te - Czy może chcesz kogoś odnaleźć?

Nie zaskoczyło Nicka to pytanie. Do niedawna sam nie zauważał różnicy, a teraz...

- Chcę kogoś odnaleźć - poprawił się. - Bardzo, bardzo chcę...

Jon-Te zapatrzył się w płomień świecy. Stary mnich posiadał wielką mądrość, dla niego dusza młodego Amerykanina była widoczna jak na dłoni. Mógł w niej czytać niczym w otwartej księdze. To dobry człowiek - pomyślał. - Byłby dla Saran dobrym towarzyszem życia - głośno zaś powiedział:

- Oto świątynia Buddy! Wielu znalazło w niej spokoju i szczęścia. Wielu też znalazło odpowiedź. Niech i tobie będzie dane ujrzeć prawdę.

Jon-Te wezwał innego mnicha i kazał mu zaprowadzić Nicka do chaty w lesie.

- Twoja matka czeka na ciebie - powiedział do Amerykanina.

- A... - Nick zawahał się - Jackie...?

- Jackie jest z Nancy - ton głosu Jon-Te stał się odrobinę chłodniejszy. Co ten młodzieniec mógł chcieć od Saran? Już raz ją skrzywdził...

- A dziecko? - pytał dalej Nick. - Czy moje dziecko jest z nimi?

Oczy starego mnicha zaszklily się dziwnie. Powiedział „moje dziecko”! Teraz już wszystko będzie dobrze.

- Twoja córka, Eva, jest z nimi - odparł wzruszony.

Nic na świecie nie zatrzymałoby Nicka dłużej w klasztorze. Nim jednak wyruszył do leśnej chaty, powiedział do Jon-Te:

- Jestem wam wdzięczny za cud uleczenia mojej matki. Jeśli jest coś, czym mógłbym wam wynagrodzić...

Jon-Te z uśmiechem pokręcił przecząco głową.

- Może chociaż - wzrok Nicka zatrzymał się na świecy - mógłbym ofiarować parę takich świec... choć właściwie nie mam pojęcia, co symbolizują. Co oznacza ta płonąca świeca?

Stary mnich uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nic - odparł. - Wczoraj wysiadł nam generator prądu.

Obie kobiety czekały od rana, ale helikopter Sand Corporation wciąż nie nadlatywał. Dzwonili z biura z Katmandu, że skierowano go w góry do akcji ratunkowej; jacyś turyści utknęli na zboczach Mount Everestu.

Nancy była spakowana i gotowa do drogi. Popołudniowy samolot linii Royal Nepal Airlines miał ją zawieść do Kalkuty, gdzie czekała ją przesiadka do Paryża.

- Jeszcze raz sprawdzę dokumenty - odezwała się smutnym głosem do Jackie.

Już nie musiała się ukrywać pod nazwiskiem Smith - opuszczała Nepal jako Nancy Coleman i uzyskanie prawdziwych dokumentów nie nastęrczyło większych trudności.

- Zadzwońię do Katmandu, zapytam o śmigłowiec - powiedziała Jackie i wyszła z salonu.

I dla niej było ciężko rozstawać się z zaprzyjaźnioną kobietą. Jackie przez całą noc rozważała, czy nie powinna wyjechać razem z nią. Wreszcie o świcie doszła do wniosku, że byłoby to nietaktem z jej strony. Nancy musiała spotkać się z synem sama.

- Helikopter będzie tu za godzinę - oznajmiła, gdy wróciła od telefonu. Akcja ratunkowa się udała. Znaleźli tych turystów całych i zdrowych.

- Przyprawdź Evę - poprosiła ją bliska płaczu Nancy. - Pożegnaj się z nią teraz, nie chcę, by potem patrzyła, jak się rozklejam.

Dziecko bawiło się w ogrodzie za domem, pod czujnym okiem Lhamo, tybetańskiej kobiety, która przychodziła tu ze wsi sprzątać.

- Chodź, kochanie! - Jackie wyszła przed dom. - Babcia Nancy chce ci coś powiedzieć...

I wtedy ich zauważyła.

Dwie postacie nadciągające konno od strony klasztoru. Jedna z nich to był z pewnością któryś z lamów, byli zbyt daleko, by mogła poznać który, za to towarzyszący mu mężczyzna przypominał jej raczej...

Jackie zmartwiła.

Nick!!!

Przez chwilę dziewczyna stała jak zamurowana, niezdolna do najdrobniejszego ruchu, nagle ruszyła ku dziecku, porwała je w ramiona i, ku zdumieniu Lhamo, pobiegła do stajni.

Wiedziała, że nie przyjechał tu dla niej. To była chwila Nancy. Czekala na nią szesnaście lat i Jackie czuła, że nie ma prawa uczestniczyć w szczęściu matki i syna. Nawet za cenę własnego szczęścia.

Osiadła naprędce jedną z klaczy i, posadziwszy Ewę przed sobą w siodle, pognęła w głąb lasu.

Dwaj mężczyźni dotarli na szczyt niewielkiego pagórka.

Na widok leśnej chaty Nick zagwizdał przeciągle. Z daleka drewniana budowla wyglądała imponująco na tle kwitnącego lasu.

Więc to tu się ukryliście! - pomyślał uradowany jak dziecko.

- Dalej pojedzie pan sam - mnich przewodnik odezwał się po raz pierwszy, odkąd godzinę temu opuścili klasztorne mury.

Nick podziękował mu skinieniem głowy i jak na skrzydłach pogalopował w dół wzniesienia.

Kłęcząc na podłodze, Nancy po raz tysięczny chyba sprawdzała nerwowo zawartość kieszeni swoich podróżnych toreb. Nie chciała, by cokolwiek niemile ją zaskoczyło. Odkąd nauczyła się na powrót panować nad swoim ciałem, zapragnęła też panować nad wszystkimi otaczającymi ją rzeczami. Wszystko, co robiła, musiało być zaplanowane i przemyślane.

Trzeba przyznać, że dotąd jej się to udawało. Aż do wczoraj. Podróż do Francji nie była ani zaplanowana, ani przemyślana. Dlatego właśnie Nancy nie opuszczało przeświadczenie, że coś pójdzie nie tak. Do tego dochodził jeszcze ból rozstania z wnuczką i Jackie.

Nancy przysięgła sobie solennie, że kiedy odnajdą się wreszcie z synem, przywiedzie go w te góry, choćby miała użyć narkozy.

Dopiero gdy złączą się dwa zakochane serca, zemsta na Jerry'm Lovestone'ie dokona się naprawdę.

Drzwi frontowe otwały się na oścież. Do salonu wpadł świeży powiew wiosennego wiatru.

Nancy zatrzasnęła zamek walizy i z ciężkim sercem podniosła się z podłogi. Teraz czekał ją najtrudniejszy moment - pożegnanie. Nagle drgnęła usłyszawszy najdroższy na świecie głos.

- Wybierasz się dokądś?

Odwrociła się, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Tuż za nią stał Nick, jej jednorodzony syn, którego skazała na tułaczkę i który odnalazł ją na końcu świata.

- Już nie, synku - odparła wzruszona. - Tu mam więcej, niż mogłabym kiedykolwiek pragnąć.

Objęła mocno swoje dziecko, uściskiem, w którym była zawarta cała miłość i tęsknota za ukochanym synem.

Helikopter zjawił się dopiero po dwóch godzinach. Jackie słyszała jego przytłumiony drzewami warkot dość wyraźnie, mimo że oddaliła się od domu na półtorej mili. Obie z córką zaczynały być głodne, co więcej, nadchodził zmierzch - pora niezbyt odpowiednia na konne wyprawy z małym dzieckiem.

Na szczęście po kwadransie hałas ucichł. Śmigłowiec odleciał. Jackie miała nadzieję, że razem z Nancy i Nickiem. Pamiętała dokładnie, jakim stekiem wyzwisk obrzucił ją w hotelu w Ras Tannurah. Czy po ich ostatnim spotkaniu chciałby przebywać z nią pod jednym dachem?

Znała Nicka i wiedziała, jaki jest dumny i honorowy. Zbyt ją nienawidził, by chcieć ją oglądać na oczy. Z całą pewnością Nick wraz z Nancy odleciał do Katmandu.

Zawróciła konia w stronę domu.

- Poczekaj tu - Jackie zsiadła z konia i postawiła Evę u wrót stajni - a ja rozsiodłam konia.

- Pozwól, że ja to zrobię. - Mężczyzna, który wyszedł niespodziewanie zza budynku, przestraszył je obydwie.

Eva schowała się za nogę matki, przyglądając się lekliwie nieznanomemu. Kompletnie zaskoczona Jackie dała sobie wyjąć cugle z dłoni.

Tych kilka minut, w czasie których Nick uporał się z uprzężą, pozwoliło jej jako tako dojść do siebie. Wzięła Evę na ręce i przyglądała się, jak mężczyzna jej życia wprowadza konia do boksu.

Na twarzy Nicka błąkał się lekki uśmieszek - zadowolenia... czy ironii...?

Nick wyszedł ze stajni i w milczeniu ruszyli w stronę domu. W oczach Nicka Jackie wypiękniała jeszcze, a macierzyństwo dodało jej obliczu nowego blasku. Z pięknej dziewczyny stała się piękną kobietą. Dziecko zaś wydało się Nickowi istnym aniołkiem. Moje dziecko - pomyślał dumny. - I moja Jackie.

Zatrzymali się w ogrodzie. Dopiero gdy Lhamo zabrała dziewczynkę z rąk matki i zniknęła za drzwiami domu Jackie odezwała się, siląc się na chłodny ton:

- Nie spodziewałam się ciebie tu zastać.
- Musimy porozmawiać... - zaczął niepewnie. - Chciałbym...
- Jeśli chodzi o twoją matkę - przerwała mu - nie musisz mi dziękować. Zrobiłam to dla niej, nie dla ciebie, a jej ozdrowienie jest dla mnie wystarczającym podziękowaniem z jej strony.

- Chodzi mi o nas - popatrzył jej głęboko w oczy - i o nasze dziecko.

- Co...? - oniemiała.

Nancy nie miała prawa!

Nick, jakby czytając w jej myślach, powiedział:

- Mama nic mi nie mówiła. Domyśliłem się sam, jeszcze w Paryżu... no, trochę pomógł mi w tym Sal'D Al-Ashmawy, jeszcze czuję rozbity nos.... ale faktem jest, że oto stoję tu przed tobą i błagam o wybaczenie.

- Nie czuję do ciebie żalu - odparła cicho.

- Skrzywdziłem cię - rzekł, biorąc ją w ramiona. - Wyrzekłem się naszego dziecka, nazwałem je... - głos mu się załamał - arabskim bękartem. Nie ma usprawiedliwienia na moją głupotę. - Puścił Jackie i zaczął nerwowo przechadzać się po ogrodowej alei. - Zrozumiem, jeśli każesz mi się wynosić - mówił. - Masz prawo mnie nienawidzić. Ale zanim to uczynisz, chciałbym, abyś o czymś wiedziała. - Zatrzymał się tuż przed nią. - Kocham cię całym sercem - wyznał - jeszcze bardziej niż kiedyś, choć, Bóg mi świadkiem, wielokrotnie próbowałem o tobie zapomnieć. Gdybyś zechciała dać mi szansę, jedną małą szansę... Chcesz - rzucił się przed nią na kolana - będę żebrał u twoich stóp, tylko spróbuj jeszcze raz mnie pokochać! - Przytulił głowę do jej łona i rozpląkał się.

Jackie, dotąd milcząca, zanurzyła dłonie w jego włosach - szorstkie i lepkie od podróznego kurzu wydały jej się miękkie i delikatne.

- Nigdy nie przestałam - wyszeptwała i uklęknęła naprzeciw niego.

- Słucham? - podniósł na nią zapłakane oczy.

Wzruszona otarła łzy z jego policzków i odezwała się słowami, które często powtarzał jej ojciec Jon-Te:

- Dżungla nienawiści porasta czasem ludzkie serca tak gęsto, że nie trudno w niej zabłądzić. Gdy raz się zgubisz, możesz się błąkać aż do śmierci. Nienawiść niechętnie odstępuje swe ofiary przebaczeniu. Tylko nieliczni odnajdą drogę powrotną. Cieszę się, że nam się to udało.

Wstała z klęczek i Nick wstał także.

- Nigdy nie przestałam cię kochać - powtórzyła. - I nigdy nie przestanę.

A potem złączyli swoje usta w gorącym pocałunku, ślubując wobec jedy-nych świadków - milczących szczytów najwyższych gór świata - wieczną miłość.